

Epicka powieść autora

HOUSE *of* CARDS

o prawdziwej rozgrywce, w której stawką były losy świata



MICHAEL
DOBBS

WOJNA WINSTONA

Michael Dobbs
WOJNA WINSTONA

tłumaczenie
Anna Gralak

Kraków 2017

znak *litera*
nova

Dla Sandy'ego i Edny Saundersów
oraz dla Edny Dickinson, kochanych ciotek i wuja

Jakże straszne, fantastyczne i niewiarygodne jest to, że musimy tu robić okopy i przymierzać maski gazowe z powodu kłótni w jakimś dalekim kraju między ludźmi, o których nic nie wiemy.

Neville Chamberlain mówiący o Czechosłowacji kilka godzin przed lotem do Monachium, gdzie miał negocjować z Hitlerem umowę, podporządkowując Niemcom ogromną część tego kraju. Czechów na te negocjacje nie zaproszono.

Część pierwsza

Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój

Rozdział pierwszy

Londyn, sobota, 5 października 5978

Każda opowieść musi się gdzieś zaczynać. Ta zaczyna się w ponurym jesiennym dniu niczego niepodjętego roku 1938.

Oczywiście mogła się zacząć w poprzednim pokoleniu – w roku 1914, gdy Brytyjski Korpus Ekspedycyjny wyruszał na wojnę z cesarzem. Albo w 1918, gdy nieliczni, którzy ją przetrwali, wlekli się z powrotem do domu. Moglibyśmy też zacząć o jedno stulecie wcześniej, gdy kopyta kawalerii cesarza Napoleona przemieniały europejski kontynent w błotniste, wymierające miejsce, które rozciągało się od rwących rzek i gór Hiszpanii po bramy carskiej Moskwy. Wystarczyłoby tylko trochę wysilić wyobraźnię, a moglibyśmy się cofnąć i z tysiąc lat, do dnia, w którym na wzgórzu z widokiem na wybrzeże Sussex król Harold II wznosił oczy, żeby spojrzeć na odwrót wrogiej armii, i w nagrodę ugodziła go strzała – albo o tysiąc lat więcej, do czasów wielkiego Juliusza i jego nacierającej floty, która dobiła do brzegu zaledwie kawałek dalej. W zasadzie moglibyśmy się cofnąć do dowolnego dnia, a i tak nic by się nie zmieniło. Cudzoziemcy zawsze oznaczali kłopoty.

Ta opowieść zaczyna się jednak na Bayswater Road, a w dodatku nie od króla ani od nacierającego cesarza, lecz od niewyrośniętej postaci noszącej nazwisko McFadden. McFadden jest golarzem dżentelmenów, i to dobrym. W zasadzie jednym z najlepszych. Człowiekiem o bystrym wzroku i łagodnej ręce, skrupulatnym

zarówno z natury, jak i z racji wykonywanej profesji. Tym razem McFadden jest jednak spóźniony, a to do niego niepodobne. I nie powinien być spóźniony, nie dzisiaj, bo właśnie tego dnia zgodził się wziąć ślub.

Ubrał się na tę okoliczność najlepiej, jak mógł, ale nie jest zadowolony z efektu. Ciężka wełniana marynarka została uszyta dla kogoś lżejszego o co najmniej dziesięć funtów i guzik na brzuchu ciągle się rozpina. Róża w butonierce też odmawia współpracy. Ześlizgnęła się ze szpilki i w każdej chwili może spaść na ziemię. McFadden mamrocze pod nosem ponure zakłęcie i na bieżąco wprowadza poprawki, spiesząc się przy tym, co wcale nie jest łatwe dla kogoś, kto kuleje tak mocno jak on. Nie wspomnieliśmy o tym, że McFadden kuleje, lecz w istocie ma jakiś poważny problem z biodrami, które nie są równe, a więc spiesząc się, musi obracać całe ciało, żeby wyrzucić naprzód prawą nogę. Dlatego McFadden nie lubi się spieszyć. Inaczej to sobie wyobrażał.

Zamierzał odbyć podróż podziemnym pociągiem z domu niedaleko Piggeries w North Kensington i dostać się w ten sposób do urzędu stanu cywilnego w Caxton Hall, ale gdy zjawił się na stacji, zastał jedynie wyświechtane ogłoszenie przyklejone do bramy – „Zamknięte z powodu pilnych napraw”. Jest to tylko drobne oszustwo, zwykle oficjalne obwieszczenia bardziej mijają się z prawdą. A tę zna cały Londyn. Wzmacnia się dach dworca, żeby można go było wykorzystać w charakterze schronu przeciwbombowego.

Ale przecież nie będzie żadnych nalotów.

Premier zaręczył własnym słowem. Zaledwie wczoraj wrócił z Monachium i oznajmił, że przywiózł ze sobą „pokój z honorem, pokój dla naszych czasów”. Mac oczywiście mu nie wierzy. To kolejne

cholem, przekłete kłamstwo. Odkąd mohel odwrócił go na kuchennym stole i zapewnił, że nie będzie bolało, a po chwili uciął mu koniec kutasa, Mac wie, że System zawsze kłamie. (Nie żeby cokolwiek pamiętał ze swojego obrzezania, po prostu starsi bracia Julek i Wowka nigdy nie szczędzili mu co bardziej makabrycznych szczegółów. Krzyczał potem godzinami). Mac zna się na kłamstwach. Kłamstwa podążały za nim jak cień, gdziekolwiek szedł, i zwykle witały go tam, dokąd docierał – w Polsce, Niemczech, a zwłaszcza przez te wszystkie lata w Rosji. Teraz jest w Anglii i jak dla niego jedyna różnica między panem Neville'em Chamberlainem a tym psychopatą Stalinem polega na tym, że Anglik chodził do porządnej szkoły i nauczono go, że nie należy drapać się po jajach w miejscu publicznym – choć, jeśli się nad tym zastanowić, Mac nigdy nie widział zdjęcia, na którym Stalin sam trzymałby swój parasol, i to także jest pewna różnica.

Piekielnie boli go noga. Zawsze daje mu się we znaki – nie przypomina sobie, by kiedykolwiek nie płonęła żywym ogniem – a im bardziej zawilgotnieje, tym bardziej płonie, głęboko w środku, aż do samego szpiku. Dlatego Mac postanawia pójść na skróty przez park. Nie jest to najlepsza z jego decyzji. Na płaskiej połaci Hyde Parku zwykle panują spokój i cisza, ale tym razem coś się zmieniło. Zamiast hektarów zieleni wita Maca bulgoczący, błotnisty chaos. Jak w dniu Sądu Ostatecznego. Robotnicy z kilofami i koparkami rozpruli ziemię ze wszystkich stron, wycinając w grubej londyńskiej glinie chaotyczny labirynt dziur. Wszędzie okopy. „Przeciwlotnicze – publicznego – do użytku” – ha! Te przekłete doły nie są w stanie zapewnić ochrony przed deszczem, a co dopiero przed bombami Göringa. Jeszcze nie skończono ich kopać, a już zaczęły wypełniać się ponurą, brązową wodą. Typowy angielski kretynizm. Traktowanie wojny jak gry

w krykieta. Jak coś, co można odwołać, jeśli zacznie padać deszcz. Cibele! Anglicy rosną jak cebule, z głowami mocno wciśniętymi w ziemię.

Ziemia z nowo wykopanych grobów zaczyna przyklejać się do butów Maca i sięga nogawek jego spodni, mimo że spodnie, podobnie jak marynarka, są wyraźnie przykrótkie. Właśnie dlatego były tanie. Kupił je w lombardzie w Portobello. To jego jedyny garnitur. A róża w kłapie znowu się kołysze.

Oczywiście McFadden nie jest jego prawdziwym nazwiskiem. Żydowscy chłopcy rodzący się w Polsce tuż przed końcem stulecia nosili takie nazwiska jak Kleinman, Dubner i Goldberg. Przyszedł na świat w małym mieście targowym zwanym Wadowice u podnóża Karpat, w dusznym pokoju na piętrze obok rytualnej łaźni dla kobiet, w gorący letni dzień gęsty od pyłu ze żniw. Był jednym z sześciorga dzieci, nie bardziej skomplikowanym niż zwykły uczeń, który w wolne wieczory dorabia jako pomocnik krawca, kimś, kto nie obchodzi nikogo oprócz własnych rodziców, lecz potem postanowiono, że Europa potrzebuje nowego Systemu i podarto ten stary na strzępy. Mac miał grupkę szkolnych przyjaciół, liczącą w sumie osiemnastu chłopców, i to szaleństwo pochłonęło ich wszystkich: powołano ich i zmuszono do walki w imię cesarza w szeregach 4. Armii Auffenberga. 4. Armia przetrwała jednak zaledwie kilka tygodni, a oddział Maca poszatkowano przy nadrzecznym mieście Jarosław. Dosłownie poszatkowano. Zdumiewające, jak piskliwie może krzyczeć chłopak, który ponad rok wcześniej przeszedł mutację. Mimo to Mac nie zdołał umknąć Systemowi, gdyż tych kilku uczniów z jego klasy, którzy przeżyli, pojmano i przesłuchano, a potem postawiono pod nadkruszoną wiejską ścianą obok brudnego kurnika i powiedziano im,

że mają wybór. System dawał im wybór! Mogli albo walczyć dla cara, albo, jeśli woleli, mogli zostać rozstrzelani. Kiepski to wybór, gdy do siedemnastych urodzin brakuje jeszcze kilku miesięcy. Dlatego przez resztę tego okropnego roku walczyli dla Rosjan przeciwko swoim dawnym niemieckim towarzyszom, aż w końcu rewolucja przybyła ocalić ich od tego szaleństwa i Mac mógł wreszcie wyrzucić karabin. Wtedy żyli już jednak tylko on i Moniek, syn lekarza. Ale mimo wszystko żyli, czuli się wyjątkowi i cieszyli się. Mac nie przypominał sobie, żeby później jeszcze kiedykolwiek był szczęśliwy.

Świętował pokój razem ze wszystkimi innymi żołnierzami, dopóki bolszewicy nie odkryli, że on i Moniek wcale nie są Rosjanami, a zatem nie pasują do Nowego Wspaniałego Systemu i jego świata cudów. Wiedzieli, że to naprawdę świat cudów nie tylko dlatego, że powiedzieli im tak faceci w butach z cholewami i z kolbami karabinów, ale też dlatego, że, jak zawsze uczył ich rabin, cuda wykraczają poza zdolność pojmowania. A nic już nie miało sensu. Mówiono im, że w tym nowym świecie powinni być internacjonalistami, lecz najwidoczniej jeszcze ważniejsze było bycie Rosjanami. A oni nimi nie byli. Dlatego anioły w butach z cholewami i z kolbami karabinów ponownie oddały ich w służbę Systemowi i wysłały do obozów pracy, gułagów – na Kołymę, do Kniaź Pogost, Sretenki, Jercewa, Pomozdina, Szczelajajura, Solikamska. Niekończący się świat małych cudów, często przy poniżej trzydziestu stopniach mrozu, pełen aniołów, które o poranku wykrzykiwały polecenia – „Wszyscy nieprzytomni wychodzić, albo zostaniecie tu, żeby zamarznąć!” – i świętych, którzy nie chcieli robić rozróżnienia między żywymi i martwymi. Od wszystkich oczekiwano, że będą pracować. Przeganiano ich od obozu do obozu, wciskano do metalowych stołypinek, w których było miejsce

dla dwunastu osób, lecz często całymi dniami, a nawet tygodniami, tłoczyło się w nich trzydzieści albo i trzydzieści pięć. Mac pamiętał pewien wagon tak wypełniony więźniami, że przez trzy dni nie dotknął stopami podłogi. Trwał zawieszony między niebem a ziemią, unosząc się na skrzydłach anioła, walcząc o każdy oddech, aż w końcu podczas kontroli pozwolono im oddzielić martwych od powoli umierających i położyć tych pierwszych na podłodze wagonu, tak że ci, którzy zostali, mogli przez resztę podróży stać na zwłokach. Na prośby wyładowania zwłok odpowiadano jedynie biciem. W papierach było napisane, że w podróż wagonem wyruszyło tyle i tyle ciał, więc tyle samo musiało ją ukończyć. Trwała piętnaście dni.

Innym razem wrzucono go do wagonu razem z kobietami, głównie starymi, zwiędłymi weterankami, ale parę z nich nadal miało trochę ciała przyczepionego do kości i panował tam tak wielki ścisk, że przez większość tygodnia uprawiał z jedną z młodszych ciąglą, choć nieuchronnie prymitywną formę seksu. To był jego pierwszy raz. Och, ileż zawdzięczał temu nowemu światu cudów.

I tak to się ciągnęło, bez przerwy, głodzono ich i bito prawie na śmierć, aż w końcu zupełnie zapomniano o ich istnieniu, a ich nazwiska i pochodzenie zniknęły ze wszystkich rejestrów. Stali się jedynie wpisami w listach przewozowych. Później, około roku 1920 – kto mógłby to wiedzieć na pewno, czas nie miał żadnego znaczenia, liczyły się tylko cierpienie i żywność – Mac i mały Moniek trafili do gułagu nad morzem. Do obozu numer trzy w czwartym okręgu, na Wyspach Sołowieckich. Po drugiej stronie świata, nad północnym kołem podbiegunowym. Obozu zbudowanego dla trzystu osób, lecz mieszczącego ponad cztery i pół tysiąca. Rozrastającego się bez końca

– kolejny cud. Jedynie liczba kubłów na odchody pozostawała taka sama.

I Mac to pamięta, wciąż przeżywa to wszystko na nowo, choć bardzo się stara wymazać to z umysłu.

Podczas tej niekończącej się podróży Mońka o mało nie zabiła gorączka. Mac wlecze go półprzytomnego i pomstującego z więziennego statku, który przywiózł ich tam z Archangielska, lecz nie mogą liczyć nawet na chwilę wytchnienia. Już kilka godzin po przybyciu zostają skierowani do pracy przy budowie nowego portu. Trawiony gorączką Moniek, pomstujący już tylko w myślach, nigdy wcześniej nie widział morza. Delikatnie wzbierająca woda jawi mu się jako nowy świat, o którym marzył – spokojny, otulający, nieskończony. Wydaje z siebie cichy okrzyk radości, a później, potykając się, rusza w stronę morskiej piany. Chyba nie zauważa, że temperatura tylko trochę przekracza zero stopni. Po chwili odwraca się, spogląda za siebie jak speszone dziecko, lecz strażnicy tylko się śmieją i machają, żeby wchodził dalej – przynęta na ryby, krzyczą, idź i wypij ocean do dna. Ignorują Mońka, gdy on bezskutecznie usiłuje wrócić do brzegu, aż w końcu widać już jedynie tył jego ciemnej głowy unoszącej się daleko na fali.

Wtedy strażnicy postanowili zrobić kilka zakładów o to, któremu z nich uda się urządzić małemu Mońkowi odpowiednie pożegnanie. Z powodu fal to niełatwe zadanie, ale piąta kula odstrzeliła Mońkowi czubek głowy, jakby to był dojrzały agrest.

Dziwne, jak działa nękany umysł, jak próbuje się chronić. Mac na zawsze zapamięta Mońka, ale gdy w końcu wydostał się z gułagów i załapał na statek płynący dokądkolwiek, nie potrafił sobie przypomnieć własnego nazwiska. Ono zniknęło. Jakimś sposobem

System je połknął, obrabował go z jego tożsamości, zmienił go jedynie w numer. Gdy statek zawinął wreszcie do miejsca zwanego Tilbury, urzędnik, kolejny mamzer Systemu, zażądał od niego nazwiska – chyba było mu wszystko jedno jakiego – więc nazwał się McFadden, tak jak kapitan tego statku. Wybrał sobie dobre, porządne, nieżydowskie nazwisko.

I po tych wszystkich latach nadal tak siebie nazywa. Dawno temu nauczył się, że bycie Żydem na tym świecie przypomina zachęcanie innych, żeby cię bili albo robili ci coś jeszcze gorszego – nawet tutaj, w Londynie. Nie, nie zapomniał, że jest Żydem, po prostu zakończył ten etap, tak jakby zdjął stary płaszcz. Dzięki temu wszystko stało się o wiele łatwiejsze.

Teraz będzie miał panią McFadden. To szyksa, niekoszerna, ale dość przyjemna, wdowa o kilka lat starsza od niego, której po śmierci męża zostały własne skromne mieszkanie na parterze w zachodnim Hampstead oraz graniczące z desperacją pragnienie ponownego zamążpójścia. „Lada chwila może wybuchnąć wojna – mówi – a wtedy będzie już za późno”. Ma rację. No więc Mac się zgodził, nie dlatego, że ją kocha, lecz z równie błahego powodu, czyli dlatego, że nie chce jej rozczarować. Zresztą jak mawia jego przyszła żona, jeśli wybuchnie wojna, Londyn będzie bombardowany i truty gazem, aż nic w nim nie pozostanie, więc to, czy wezmą ten ślub, czy nie, i tak nie ma najmniejszego znaczenia, do cholery.

Tylko że – cud nad cudami – nie będzie żadnej wojny!

Chamberlain wrócił ze swojej misji u Hitlera, machając świstkiem, „na którym widnieje zarówno jego nazwisko, jak i moje”, i który obiecuje pokój w zamian za spory kawałek jakiegoś nieznanego, dalekiego kraju należącego do kogoś innego. Świat zupełnie oszalał.

Ufa Hitlerowi. Ale Mac wie swoje. Zna dyktatorów, zna System, wie, że jedyny podpis, jakiemu można ufać, to ten, który umieszczają na rozkazie wykonania wyroku śmierci albo na nakazie deportacji. Wzdycha. Ma wrażenie, że noga pali go aż do kości, a błoto pod stopami zdradziecko się przykleja. Pochyliła się, żeby pochwycić unoszoną przez wiatr gazetę i zetrzeć brud z butów. Na stronie jest olbrzymie zdjęcie Chamberlaina po powrocie z rozmów w Monachium, stojącego zwycięsko obok króla i królowej na balkonie w pałacu Buckingham. Wszystko jest skąpane w świetle, jak na ogromnej scenie, a tłum na dole prawie szaleje z ulgi i wdzięczności. Mac zdrapuje błoto z nóg i zastanawia się, czy w Pradze też świętują.

Ale może mają rację. Może nie będzie wojny – a w takim wypadku on i pani McFadden prawie na pewno pożałują swojego małżeńskiego pośpiechu, gdy spokojnie się nad tym zastanowią. Nos Maca mówi mu jednak, że wojna nie może być daleko, czuje jej zapach, a w takim razie – jaki to ma sens? Po co się spieszyć? Po co brać ślub? Po co robić cokolwiek?

W rogu parku widzi załogę dział przeciwlotniczego podczas szkolenia. Sądząc po wściekłym tonie instruktora, wygląda na to, że idzie im fatalnie. Podobno całej stolicy ma bronić niespełna sto takich dział – nic dziwnego, że modlą się, żeby wojny nie było. Ale Mac już dawno stracił wiarę w Boga. Znowu zaczął padać deszcz i do butów przykleja mu się błoto, a wilgoć pełźnie przez sztupery. Mac z pochyloną głową jeszcze raz pcha zbolące ciało do przodu jak niewolnik, którym kiedyś był. Gdy to robi, kwiatu w jego butonierce wreszcie udaje się uciec i spada z powrotem na ziemię.

– Psiakrew! – klnie Mac i z obrzydzeniem wyrzuca przemoczoną gazetę.

Potem zawraca i idzie do domu.

Chartwell, Kent

To była pora rozkładu i liście kasztanowców strzegących Weald w hrabstwie Kent zaczynały brązowieć i zwijać się na krawędziach. Młody mężczyzna był zachwycony podróżą z Londynu. Jego mg z otwartym dachem miał prawie osiemdziesiąt koni mocy – nie był największą maszyną na trasie, ale młodzieniec mógł się rozpędzić na opustoszałych w czasie weekendu drogach i za Biggin Hill przekroczył osiemdziesiąt pięć mil na godzinę. Przelotny deszczyk jedynie dodawał przyjemności, nawet jeśli nie dodawał mu elegancji, ale on nigdy nie przywiązywał do elegancji zbyt wielkiej wagi. Był wprawdzie producentem radiowym pracującym w BBC, lecz wyglądał raczej na mechanika samochodowego przyłapanego w trakcie wymiany oleju, i nawet jeśli niektórzy rzucali mu czasem pytające spojrzenie, traktował je jedynie jak kolejne ryzyko związane z życiem. Lubił podejmować ryzyko. Albo może miał w sobie coś, co wymagało od niego podejmowania ryzyka, tak jak inni mają coś, co wymaga od nich picia. Na przykład ten Wielki Człowiek.

Gdy skręcił z drogi na krótki podjazd prowadzący ku frontowej części domu, poczuł muśnięcie rozczarowania. Wyobrażał sobie rezydencję głośząca znakomitość i arystokratyczne pochodzenie Wielkiego Człowieka, a znalazł jedynie ponurą wiktoriańską fasadę stojącą w cieniu wzgórza, wciśniętą w szpaler rododendronów, które tak długo po okresie kwitnienia były ciemne i posępne. Przednia część domu była nędzna i bardziej niż trochę nijaka. Nienawidził nijakości. Chryste, czasy królowej Wiktorii wydały tylu wspaniałych architektów – Pugina, Barry'ego, Sloane'a – ale ten oblał chyba egzamin z weny i został wygnany do Kentu. Mężczyzna z BBC pociągnął za dzwonek

obok drzwi wejściowych i odpowiedziało mu smętne echo. Pociągnął jeszcze raz. Cisza. Być może ta podróż była stratą czasu. W zamyśleniu obszedł dom z boku i dopiero wtedy zaczął rozumieć, dlaczego Wielki Człowiek tak uwielbia to miejsce. Jeśli bowiem Anglia miała serce, to z pewnością tkwiło ono właśnie tutaj. Widoki zdawały się chwytać za duszę. Dom wzniesiono na skraju Weald i przed oczami młodzieńca rozciągały się tysiące hektarów drzew porastających wiejskie tereny obleczone w zielono-złote barwy jesieni, sięgające aż do Crockham Hill i znikające we mgłach, które przylgnęły do południowego wybrzeża jakieś trzydzieści mil dalej. Teren za domem gwałtownie opadał, a poniżej były zasilane strumieniem jeziora, po których pływały czarne łabędzie, pstrągi podpływały do góry i marszczyły powierzchnię. Było tam także kilka budynków gospodarczych, spory ogród otoczony murem oraz domki zbudowane z czerwonej cegły. Obok jednego z nich zauważył dwie pracujące postacie – może jednak nie zmarnował czasu. Ruszył w dół po stromej ścieżce pokrytej śliską warstwą niedawnego deszczu i zbliżając się, zobaczył, że jednym z mężczyzn jest młody robotnik. Druga postać miała grubą płaszcz i kapelusz, lecz nie sposób było nie rozpoznać zgiętej linii pleców, podobnie jak ramion przygarbionych niczym u pięściarza. Zauważył też mgiełkę cygarowego dymu.

– Dzień dobry! – zawołał z daleka mężczyzna z BBC.

Winston Spencer Churchill, człowiek, który zajmował stanowiska kanclerza skarbu, ministra spraw wewnętrznych i pierwszego lorda Admiralicji oraz służył ojczyźnie jako żołnierz, mąż stanu i historyk, przerwał pracę. W jednej ręce miał kielnię, a w drugiej cegłę.

– Czego pan chce? – spytał, w ogóle nie siląc się na uprzejmości.

Jego usta mocno zaciskały się na cygarze, nadając twarzy uparty wyraz.

– Nazywam się Burgess, sir.

– No i?

– Telefonowałem...

Wielki Człowiek zmrużył oczy, próbując to sobie przypomnieć.

– Jak pan widzi, jestem zajęty – warknął. – Świat postanowił siebie zniszczyć, więc buduję mur.

Burgess starał się nadać za logiką polityka. Być może był to tylko symboliczny akt oporu albo jedynie wyjątkowo zły humor. Nie takiego powitania się spodziewał i nie na takim mu zależało.

– Guy Burgess – powtórzył młody mężczyzna. – Z BBC.

Churchill miał spuchnięte, zaspane oczy, czerwone ze zdenerwowania. Powiódł nimi po niespodziewanym gościu, spoglądając na jego potargane włosy, pognieciony garnitur, mocno poobgryzane paznokcie.

– Nie wygląda pan na BBC.

Burgess wytrzymał spojrzenie. Starszy człowiek miał na sobie znoszony i utyłany ziemią płaszcz bez środkowego guzika. Jego kapelusz wyglądał tak, jakby przed chwilą brał udział w meczu przy murze w Eton, a buty pokryte były plamami cementu.

– A pan nie wygląda na wielkiego polityka – odrzekł bez ogródek.

Cygaro przekręciło się między ustami Wielkiego Człowieka, gdy ten mierzył wzrokiem bezczelnego intruza. Po chwili odrzucił kielnię.

– Chyba będzie lepiej, jeśli o naszym obopólnym braku autentyzmu porozmawiamy w domu.

Churchill poprowadził ich z powrotem w stronę domu, krocząc z niecierpliwością, lecz także z niezwykłym jak na mężczyznę w jego

wieku wigorem. Łysiejącą głowę pochylił jak szarżujący baran. Zrzucił płaszcz, odsłaniając niebieski kombinezon, który napinał się na opastym brzuchu, a następnie zaprowadził Burgessa do gabinetu na pierwszym piętrze. Kolejne architektoniczne rozczarowanie. Pomieszczenie miało imponować sklepieniem drewnianym sufitem wzorowanym na średniowiecznych komnatach, ale według Burgessa było nieprzekonujące. I czy nie to samo mówiono o Churchillu – pretensjonalny, nieprzekonujący pozer? Za oknem rozciągał się jednak jeszcze wspanialszy widok na Weald. Wzrok Churchilla sięgał o wiele dalej niż wzrok niemal wszystkich ludzi w Anglii. To także o nim mówiono.

– Whisky? – Churchill nalał, nie czekając na odpowiedź.

Burgess zerknął na zegarek. Była dopiero jedenasta.

– Chciał pan, żebym wystąpił w jakiejś audycji radiowej, prawda? – mruknął Churchill, wlewając mnóstwo wody gazowanej do dwóch kryształowych szklanek.

– Tak, sir. Audycja nosi tytuł Tydzień w Westminsterze.

Churchill machnął ręką, zapraszając go do zajęcia miejsca w jednym z foteli z uszakami stojących przy kominku. Na kracie żarzyły się polana.

– Nie bojąc się, że zaprzeczę samemu sobie, mogę ci powiedzieć, młody człowieku, że nie ma to najmniejszego cholernego sensu.

– Dlaczego?

– Dlatego... – Churchill nie chciał usiąść i tylko niecierpliwie chodził tam i z powrotem po drugiej stronie kominka, ze złością dźgając powietrze cygarem skierowanym w stronę młodszego mężczyzny – ...że reprezentuje pan BBC, które spiskowało przeciwko

mnie i knuło, żebym nie mógł się pojawić w eterze, odkąd naraziłem się wam w związku z Indiami i abdykacją...

- To nie byłem ja, sir - zaprotestował Burgess, lecz drugi mężczyzna nie zamierzał przystawać, żeby wziąć jeńców.

- ...ale przede wszystkim dlatego, że nasz premier... - cygaro drżało, głos zdawał się przesycony rozpaczą - waham się, czy to mówić. Rodziny pana Chamberlaina i moja mają w świecie polityki bardzo długą tradycję. Jego ojciec Joseph był wielkim mężem stanu, brat Austen także. Przyjaźnili się z moim ojcem. - Głos Churchilla nagle zdradliwie się załamał.

Ech, grzechy ojca... W Cambridge Burgess był doskonałym historykiem i nie trzeba mu było przypominać o lordzie Randolphie, niezwykłym ojcu Churchilla - najwspanialszym i najbardziej fascynującym z ludzi, któremu powszechnie wróżono stanowisko następnego premiera, lecz on doprowadził się do upadku w wieku trzydziestu siedmiu lat, wylatując z Rady Ministrów na grząski grunt wygnania, z którego nigdy nie pozwolono mu wrócić. Umarł zdławiony zgryzotami, choć lekarze zdiagnozowali syfilis. Uważano go za człowieka niesolidnego. Jego syna także. Wyjątkowo trudna i niewygodna spuścizna.

- Nasz premier twierdzi, że stoi na czele największego imperium na ziemi, panie Burgess, a mimo to wrócił ze spotkania z tym odrażającym austriackim karierowiczem, kołyszając parasolką i ściskając w rękę umowę, która nurza ten kraj w hańbie. - Gdy Churchill osuwał się w odmęty swoich emocji, w jego głosie wyraźniej pobrzmiwało charakterystyczne syczenie, skutek defektu podniebienia. Jego słowa zdawały się fruwać po pokoju i gorączkowo szukać czegoś, na czym

można by przycupnąć. – Rozpaczam. Czuję, że strącono mnie w ciemność, a jednak nic nie mogę zrobić. Jestem starym człowiekiem.

– Nie tak starym jak Chamberlain.

Burgess chciał dodać odwagi, lecz już zdążył poczuć, jak trudno jest nadążyć za tokiem myśli Churchilla.

– Hitler wypowie nam wojnę, czy tego chcemy, czy nie. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby odeprzeć zagrożenia, ale nikt mnie nie słucha. Niech pan spojrzy. – Chwytał stertę gazet leżących na biurku. – Nazywają się wolną prasą, ale nie ma tu ani jednej wolnej myśli. Kontroluje je Chamberlain, sam pan wie, prawie pisze te artykuły za nich. – Cisnął gazety w kąt, gdzie opadły jak wystraszone kurczęta. – Co napisał dziś „Times”? Chyba dokładnie pamiętam te słowa, słowa, które wypaliły mi dziurę w sercu. „Żaden zdobywca nie wrócił ze zwycięskiej bitwy przystrojony wspanialszymi laurami niż pan Chamberlain po wczorajszej wizycie w Monachium...” – Churchill najwyraźniej nie był w stanie dokończyć cytatu i tylko kręcił głową. – Złożył w ofierze nie tylko małą Czechosłowację, ale także nasz honor.

– Hitler dostał wyłącznie niemieckojęzyczne części Czechosłowacji.

Churchill z wściekłością odwrócił się do Burgessa.

– Hitler dostał wszystko, czego chciał. Zażądał, by pozwolono mu zrobić sobie ucztę z wolnego i demokratycznego kraju, a my, zamiast stawić opór, zaproponowaliśmy, że pokroimy mu go na kawałki. Część dostanie dzisiaj, a resztę jutro. Nie nabawi się przez to nawet niestrawności. Wie pan, że Czesi mieli trzydzieści dywizji wspaniałych żołnierzy? Trzydzieści dywizji, niech pan to sobie tylko wyobrazi! Chronionych za wielkimi bastionami z betonu i stali. Dość, by zapewnić Hitlerowi niekończącą się agonię, ale zamiast walczyć, są

zmuszeni wykopać słupki graniczne i wpuścić do siebie Wehrmacht. Pozwolono nazistom zająć pół Czechosłowacji, choć zagrozili jej najwyżej orkiestrą dętą.

Cygaro zgasło, dopaliło się, lecz Churchill chyba tego nie zauważył. Stał obok okna, spoglądając nad swoją ukochaną wsią ku kanałowi La Manche i leżącemu za nim niespokojnemu kontynentowi.

– Uwielbiam to miejsce. Kiedyś, panie Burgess, było tu bardzo cicho, bardzo spokojnie, ale teraz z każdego zakątka Europy dobiega tylko wycie wilków. Wyją coraz głośniejsze, coraz natarczywiejsze, lecz nie mogę na to nic poradzić. Jestem sam. – Starszy mężczyzna pogrążył się w milczeniu, jego ciało jakby oklapło. Ramiona, które niedawno należały do pięściarza, teraz wydawały się jedynie przygarbione i drżały przed ciosem, który miał na nie spaść.

– Panie Churchill, nie jest pan sam. Wielu z nas podziela pańskie obawy.

– Doprawdy? Czy aby na pewno? – Churchill się odwrócił. – Nie według tych dziwek, od których roi się na Fleet Street. – Gwałtownie kopnął stertę gazet.

Burgessowi wydało się dziwne, że taki polityk jak Churchill, bywający na Fleet Street regularniej niż ktokolwiek inny w tym kraju, nazywa dziennikarzy dziwkami. Dziwne, ale wcale nie niesłuszne.

– Co mogę zrobić? Nie dowodzę armiami, nie mam sił, które mógłbym zwrócić przeciwko wrogowi.

– Ma pan głos.

– Jeden głos zagubiony pośród burzy.

– Gdy człowiek tonie, nawet jeden głos może dawać nadzieję. Niech pan go zachęci, żeby się nie poddawał, żeby walczył dalej. Ma pan najbardziej przekonujący głos naszych czasów, panie Churchill.

– Nikt go nie słucha. – Churchill spuścił głowę.

– W porządku – warknął Burgess. – Niech pan się podda, jeśli pan chce, ale równie dobrze może pan stanąć za Chamberlainem i zacząć ćwiczyć przekłety krok defiladowy. Mnie to nie zadowala. Mam dopiero dwadzieścia siedem lat i jeśli wybuchnie wojna, znajdę się wśród tych, których jako pierwszych poślą na odstrzelenie jaj, podczas gdy starzy mężczyźni będą siedzieli przy kominkach, udając, że ta okropna wojna to tak naprawdę wina kogoś innego. Tak jak poprzednim razem. – Urwał, nie zadając sobie trudu, żeby stłumić pogardę w swoim głosie. – Ile ma pan lat, panie Churchill?

Oczy Churchilla płonęły gniewem w obliczu takiej arogancji. Musiało minąć wiele chwil wewnętrznego wzburzenia, zanim był w stanie odpowiedzieć.

– Sześćdziesiąt trzy, panie Burgess. Ale moja droga żona często powtarza, że jak na swój wiek jestem wyjątkowo niedojrzały. Czy nie miałby pan przypadkiem czasu zjeść ze mną lunchu?

Jedli w jadalni przy okrągłym dębowym stole. Churchill mruknął przepaszająco – jego żona pojechała do Francji i w domu został tylko jeden służący, musieli się zadowolić czymś na zimno. Wzmocnili się drugą dużą whisky i butelką clareta. Atmosfera panująca w domu wydawała się Burgessowi napięta, niemal boleśnie spokojna. Świat na zewnątrz stał na krawędzi armagedonu, lecz w Chartwell czas jakby się zatrzymał. Nie było słychać natarczywego dzwonienia telefonu, żadni skrybowie nie kursowali z wiadomościami i dokumentami państwowymi, żadni dostojni goście nie pukali do drzwi, domagając się pilnej audiencji – byli jedynie dwaj samotni mężczyźni, jeden stary, drugi młody, obaj wymięci.

– Widzi pan, Burgess, największe zagrożenia dla naszej wyspy zawsze brały początek w Europie. Nasze imperium rozpościera się na cały glob, pomogliśmy ucywilizować pół świata, a mimo to ilekroć wyruszamy na jakąś przygodę na kontynencie, zamiast zdobywać chwałę, w końcu pogrążamy się w żalu. – Churchill, który odkrawał mięso, rzucił na talerz gościa gruby plaster szynki. – Na początku oczywiście wszystko wygląda zupełnie inaczej. Europa przypomina wspaniałe, szerokie schody nadziei, ale niebawem dywan się kończy. Kawalek dalej znajdujemy jedynie kamienne płyty, a jeszcze dalej pękają nam one pod stopami. Teraz zupełnie się pokruszyły i nie podtrzymuje nas nic solidniejszego niż aspiracje pana Chamberlaina.

– Ale w Europie mamy przecież przyjaciół. Przyjaciół, którzy nadal dysponują potężnymi armiami.

– Na przykład Polaków? Mają wyśmienitą kawalerię, panie Burgess, a jak pan być może wie, darzę kawalerię szczególną miłością. Ba, brałem udział w ostatniej wielkiej szarży kawaleryjskiej brytyjskiej armii. Pod Omdurmanem. Och, to było coś wspaniałego. Tylko że tam mieliśmy przeciwko sobie wroga uzbrojonego we włócznie, a nie artylerię i karabiny maszynowe.

– Myślałem raczej o Francuzach.

– O nich może pan zapomnieć! Pod aktem kapitulacji z Monachium podpisał się nie tylko Chamberlain, ale i Daladier.

Churchill energicznie pociągnął łyk clareta z kieliszka. Burgess poszedł za jego przykładem. Rocznik był doskonały, lepszy niż to, na co Burgess mógłby sobie pozwolić. Odrobina kapnęła z kieliszka na kombinezon Churchilla, który, jak zauważył Burgess, poznaczony był plamami powstałymi w podobnych okolicznościach. Churchill nie był

elegancki, gdy jadł. Dusił w sobie zbyt wielką energię, zbyt wielką niecierpliwość, żeby zaprzętać sobie głowę manierami.

– Francuzi mają olbrzymią armię – ciągnął – ale tak było od czasów Napoleona, a mimo to ponosili jedną sromotną klęskę za drugą, jakby zarazili się nawykiem przegrywania.

– Nie bierze pan pod uwagę Rosji?

– Ech, bolszewicy! Jak ja ich nienawidzę. To rzeźnicy. – Churchill pomachał w kierunku Burgessa kawałkiem szynki nadzianej na widelec. – Ale nie śmiałbym ich lekceważyć. Oni istnieją i Bóg świadkiem, że budzą u wszystkich wokół strach przed potępieniem, u Hitlera i jego szkopów też. Zdolność Stalina do rzezi nie zna granic, ale był tak zajęty masakrowaniem własnych ludzi, że nie miał czasu ani ochoty zwrócić się przeciwko Berlinowi.

– Rosja i faszyci nie mogliby współistnieć.

– Być może ma pan rację. Może rozwiązaniem rzeczywiście jest Rosja, ale nawet jeśli tak, pokazuje nam to tylko potworną naturę pytań, przed którymi stoimy. – Nagle oczy Churchilla niczym strzały pomknęły na drugą stronę stołu. – Jest pan jednym z tych wielbicieli komunizmu, Burgess? Słyszałem, że w BBC mają całą ich wylegarnię.

– Przeżyłem ten etap w Cambridge, jak wielu innych. Zdawało nam się, że jeśli chcemy stawić opór faszyzmowi, nie ma innego wyjścia. Ale to było dawno temu. Ludzie się zmieniają. Zdaje się, że w tamtych czasach należał pan jeszcze do Partii Liberalnej.

– Nie. Wtedy wróciłem już do konserwatystów. Ale rozumiem, do czego pan pije.

– Nie ma nic gorszego niż skostniały umysł i zamknięte oczy. Gdy byłem w Trinity, nasz szacowny pan Chamberlain zjawił się na Uczcie Założycieli w charakterze gościa honorowego. Oczywiście był wtedy

jeszcze kanclerzem skarbu, a my zaprezentowaliśmy się od najlepszej strony: uczelniane srebra, sześć dań, w tym tuczne ciele. Z niezwykłym przekonaniem rozwiewał nasze obawy. Gdy krążyło porto, powiedział, że nie ma powodu do obaw, w kraju nie występuje głód, nawet wśród bezrobotnych. Dokładnie tak brzmiały jego słowa: nawet wśród bezrobotnych. Z pewnością pamięta pan tamte czasy. Dwa miliony w kolejkach po zasilek, a głód maszeruje wzdłuż i wszerz całego kraju. Jednak Chamberlain tego nie widział. O mało nie zwymiotowałem.

– Lecz ostatecznie pan tego nie zrobił. Wygląda pan na człowieka o mocnym żołądku.

Churchill prawie się uśmiechnął, rozpoznając w Burgessie kogoś, kto posiadał w tym zakresie umiejętności mogące nawet dorównywać jego własnym.

– Nie, nie zwymiotowałem. Zamiast tego wstałem. Zacząłem krzyczeć. Nazwałem go prowincjonalnym ignorantem handlującym żelazem. W jadalni w Trinity jest niebywałe echo. Zrobiła się z tego piekielna scena.

– Ech, ale teraz gromadzą się tłumy, żeby wiwatować na jego cześć.

– Powinni go raczej zlinczować!

Obaj wypili za dużo clareta, żeby drwić w subtelny sposób, i nic nie tłumilo gwałtowności słów młodszego mężczyzny. Churchill przez chwilę milczał, przypatrując mu się w skupieniu, i Burgess pomyślał, że chyba posunął się za daleko.

– Mamy ze sobą wiele wspólnego, panie Burgess.

Gdy młodzieniec znowu się odezwał, drżał mu głos, ale nie z chęci przypodobania się, lecz pod wpływem pasji zrodzonej głęboko w jego sercu.

– Boję się o swoją ojczyznę i o cały cywilizowany świat. Nie ma takiej rzeczy, której nie byłbym gotów zrobić, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się faszyzmu. I mogę panu wyznać ze szczerego serca, sir, że w takich chwilach nie ma nikogo, z kim pragnąłbym być bardziej niż z panem.

Wzruszonemu Churchillowi załamał się głos.

– Zatem, jak pan mówi, nie jestem sam.

Wstał od stołu, trzymając w ustach świeże cygaro, i spojrzął przez okna sięgające od podłogi po sufit.

– Zawsze myślałem, że powinienem tu spędzić emeryturę, panie Burgess. Widzieć te pola w ostatnich dniach życia.

– Mam nadzieję, że tak się stanie. Gdy nadejdzie pora.

– Obawiam się, że gdy nadejdzie pora, już mnie tu nie będzie. – Churchill mówił takim tonem, jakby żegnał się ze starym przyjacielem. – Wygląda na to, że ja i Clemmie musimy się stąd wyprowadzić.

– Ze względów bezpieczeństwa?

Nie trzeba było być wojskowym geniuszem, żeby zauważyć, iż Chartwell leży na trasie, którą musiałyby pokonać bombowce zmierzające do Londynu.

Churchill smutno pokręcił głową.

– To jedna z wielu ironii losu zaśmiecających moje życie, panie Burgess: właśnie brak wojny może mnie zmusić do opuszczenia domu. To nie żadna tajemnica państwowa, że ostatnimi czasy zaniedbywałem swoje sprawy finansowe. Poświęcałem się polityce, mimo że ona uparcie odmawiała poświęcenia się dla mnie. Ogromną większość swojego dochodu zawdzięczam pisaniu, ale książki i artykuły, które powinienem napisać, wciąż tkwią zamknięte w moim umyśle.

– Powiedział pan, że brak wojny...

– Kilka miesięcy temu zostałem zmuszony wystawić Chartwell na sprzedaż. O mało nie pękło mi serce. Wielką część tego wszystkiego zbudowałem własnymi rękami, kocham to miejsce bezgranicznie. Jednak gdy rozpaczałem, przyszła mi do głowy inna strategia. Jeśli w Europie wybuchnie wojna, wartość wszystkiego w tym zakątku świata gwałtownie spadnie, a inwestycje w Ameryce będą sięgały coraz większych wyzyn. Nowy Świat podziela odświeżająco na Stary. Taka strategia do mnie przemawia. Jak pan zapewne wie, moja matka była Amerykanką.

Matka Churchilla, Jennie, była nowojorczką korzystającą z życia z niezwykłym wigorem, który obejmował trzech mężów oraz liczne bardziej wątpliwe związki. Pierwszym z tych mężów był ojciec Churchilla, klasyczny przypadek księżęcego upadku. Obydwoje zaniedbywali syna równie mocno jak siebie nawzajem, a mimo to Churchill kurczowo trzymał się wraku ich reputacji jak tonący rozbitek. Siedział teraz przy stoliku kawowym i nalewał solidne porcje koniaku.

– Dlatego wycofałem ofertę sprzedaży i w oczekiwaniu na wojnę każdy grosz, jaki udało mi się zarobić, zainwestowałem w krótkoterminowe akcje na Wall Street. Powinienem już siedzieć na małej fortunie.

– Ale Chamberlain przyczołgał się z Monachium...

– Parasolka podarta na kawałki przez burzę. Widocznie Chamberlain i ja jesteśmy skazani na złośczenie się na siebie nawzajem. Pokonał mnie w wyścigu o przywództwo naszej partii, a potem zignorował moją kandydaturę na ministra w swoim rządzie.

Próbuje mnie odizolować i być może w końcu uda mu się mnie zniszczyć.

- Dlatego że nie będzie wojny.
- Nie dość szybko, żeby ocalić moje inwestycje.
- Co pan zrobi?

Churchill wysunął dolną wargę.

- Pocieszę się świadomością, że to on nie ma racji i że ostatecznie okaże się, że ja ją miałem. Liczę, że gdy to nastąpi, będę jeszcze wśród żywych. Spróbuję znaleźć pociechę w myśli, że w czasie wojny takie budynki jak ten nie są warte więcej niż sterta gruzu, która po nich pozostaje.

W bladoniebieskich oczach pojawiła się wilgoć, której nie sposób było przeoczyć.

- Budynki zawsze można odbudować, panie Churchill, ale nie da się niczym zastąpić pańskiego uporu i pańskiej elokwencji.

- Słowa, słowa, słowa... Podczas gdy nam potrzebne są armie. Broń!

- Panie Churchill, w tym momencie pańska elokwencja może być jedyną bronią, jaką dysponujemy. Nie wolno się panu poddać.

- Jeden człowiek przeciwko całemu światu? - Churchill pokręcił głową. - Jestem tylko starcem, który od dekady nie zajmuje żadnego stanowiska w rządzie.

- Ale jest pan dumny z wolności i wierzy w wielkość prawa człowieka do dokonywania wyborów, a to najlepsza miara każdego mężczyzny, jaką znam. - Burgess zaczął uderzać się w pierś. - Panie Churchill, moja pasja jest równie głęboka jak pańska, ale brakuje mi pańskiej siły. Pod tym względem nie ma pan sobie równych. Jeśli pan się podda, na naszym niebie zabraknie gwiazdy polarnej. Musi pan

działać dalej. Pańska ojczyzna tego oczekuje, ona tego żąda. I wiem, że pan jej posłucha. Jak wszyscy Churchillowie przed panem.

Wilgoć w oczach starszego mężczyzny graniczyła już ze łzami i Churchill odwrócił się, żeby spojrzeć na swoją ukochaną wieś w hrabstwie Kent. Burgess stanął obok niego i pokazał palcem.

– Te pola, te błogosławione pola... Miałyby być dalekim zakątkiem przeklętej Rzeszy Niemieckiej? Nigdy!

Starszy mężczyzna przez chwilę stał i patrzył, a potem powoli odwrócił się do swojego towarzysza.

– Wygląda na to, że nie mogę się poddać. Nie pozwoli mi pan. Poza tym zaszedłem za daleko, żeby zawrócić. Potrafi pan przekonywać, Burgess. Ba, przypomina mi pan mnie samego z czasów młodości. Choć zdaje się, że mogłem sobie pozwolić na lepsze garnitury. Zatem... – w oczach Churchilla znowu pojawił się błysk – zrobię tak, jak pan nalega. Nie zamilknę. Nie mam przecież nic do stracenia. I jak pan widzi, jestem już za stary na naukę kroku defiladowego! – Dopił koniak jednym haustem. – Teraz muszę się jednak przespać. Ostatnio bardzo kiepsko sypiam, a tej nocy w ogóle nie zmrużyłem oka. – Churchill podał Burgessowi rękę. – Zastał mnie pan w najśłabszej formie, panie Burgess. Zstąpiłem w ciemność. Pomógł mi pan odzyskać siły. Żadne słowa nie będą w stanie wyrazić mojej wdzięczności. – Gwałtownie popchnął Burgessa w stronę drzwi. – Jest tyle do zrobienia i tak mało czasu. A żeby to zrobić, muszę odzyskać siły.

Gdy dotarli na korytarz, Churchill nagle przystanął, jakby przypomniało mu się coś ważnego.

– Niech pan się wpisze do księgi gości i chwilę tu zaczeka – polecił Burgessowi, po czym szybko się oddalił. Wrócił, niosąc inną księgę. –

Ja próżnowałem, ale mój syn Randolph nie. Jest mniej więcej w pańskim wieku, panie Burgess, i niedawno wydał tom moich przemówień Arms and the Covenant. Proszę, to dla pana.

Wyjął pióro z ręki Burgessa i zaczął pisać na wyklejce: „Guyowi Burgessowi od Winstona S. Churchilla, na potwierdzenie jego godnych podziwu przekonań”. Do inskrypcji dodał datę: wrzesień 1938.

– Miłej lektury. A jeśli kiedykolwiek będzie mnie pan potrzebował, panie Burgess, niech mi pan prześle tę książkę. Będę pamiętał naszą rozmowę i dług, jaki u pana zaciągnąłem.

Pożegnali się: Wielki Człowiek i Arcymanipulant. Dopiero później Churchill przeczytał wpis w księdze gości.

„Od towarzysza podróży: wojowniczego, niestroniącego od kieliszka – i splukanego”.

Widniała na kartce, która wiele lat później miała zostać wyrwana z tej księgi i zniszczona.

Prognoza pogody brzmiała zniechęcająco. Poza tym okazała się najzupełniej trafna i młoda telefonistka biegła do pracy, robiąc, co w jej mocy, żeby ochronić nową trwałą ondulację przed działaniem żywiołów. Następnego dnia była umówiona na randkę z ciemnookim wędrownym sprzedawcą rękawiczek z Manchesteru o imieniu Norman i choć wiedziała, że ich znajomość można mierzyć zaledwie w chwilach i jest ona szczytem szaleństwa, i tak chciała wyglądać jak najlepiej. Dotarła do pracy trochę przed czasem, żeby naprawić zniszczenia, jakich dokonała burza, i wypalić pół papierosa, starannie wkładając drugą połówkę z powrotem do paczki.

Centrala telefoniczna była ponura, światło pod sufitem słabe i niewystarczające w takim miejscu. Usiadła na krześle z wysokim oparciem i spojrzała na rzędy przełączników rozmieszczonych

z wojskową precyzją na desce naprzeciwko. Na wysokości brody przyklejono „polecenia dnia” napisane na maszynie na małej kartce. Ze wszystkich stron dobiegały ściszone damskie głosy operatorek udzielających informacji i łączących rozmowy. Tego wieczoru w centrali było dużo pracy, bo większość kraju chciała się z kimś podzielić ocalonymi z tak wielkim trudem urokami pokoju. Słuchała wielu rozmów międzymiastowych, sprawdzając jakość połączenia, i czasami kusiło ją, żeby się do nich włączyć, poświętować razem z tymi ludźmi, a nawet opowiedzieć im o jej Normanie. Myśli o Normanie sprawiały, że noc niemiłosiernie się dłużyła. Miała eleganckie i wyjątkowo miękkie dłonie, jak przystało na sprzedawcę rękawiczek, i marzyła o tym, żeby już było jutro.

Gdy na swojej tablicy zauważyła to połączenie, doskonale wiedziała, co robić. Wydano wyraźne instrukcje dotyczące numeru Westerham 4433. Odwróciła się i skinęła na przełożoną, która siedziała w swojej kabinie na środku centrali, a teraz w odpowiedzi kiwnęła głową. Przełożona, kilka lat starsza od reszty dziewczyn, włożyła wtyczkę do własnej tablicy i przekierowała połączenie do sali obserwacyjnej.

Sala obserwacyjna była mała, niemal grobowa, i nie dobiegały do niej rozmowy z głównego pomieszczenia. W środku siedziała inna młoda telefonistka w słuchawkach, z gotowym do pracy sprzętem nagrywającym i ołówkiem w ręku. Gdy połączono rozmowę, zapisała na arkuszu obserwacji godzinę i numer, a gdy odezwały się głosy, przystąpiła do wykonania zadania, stenografując każde słowo.

Bez trudu odróżniała wypowiedzi dwóch mężczyzn. Jeden mówił zwyczajnie, po prostu paplał z ożywieniem.

Drugiego głosu nie sposób było pomylić z żadnym innym. Brzmiał dźwięcznie. Charakterystycznie syczał.

Notowała, aż rozboleły ją palce.

Rozdział drugi

Alfred Duff Cooper, PC, DSO, MP i tak dalej, był mężczyzną o niebywale wielkim apetycie. Nie potrafił spędzić tygodnia bez kobiet – wielu kobiet – włączając do ich grona swoją piękną i wyrafinowaną żonę Dianę. Wprawdzie irytowały go jako gatunek, lecz pojedynczo miały nieodparty urok. Nie umiał też chyba żyć bez zachęty w postaci alkoholu, choć pod tym względem niczym się nie wyróżniał w klubach i na korytarzach pełnych ludzi władzy. Był także człowiekiem o znacznych możliwościach intelektualnych, napisał uznaną biografię Talleyranda i drugą, feldmarszałka Haiga, mimo że jednocześnie pełnił obowiązki ważnego członka rządu. Przede wszystkim jednak miał apetyt na politykę, czyli grę przynoszącą sławę, wysokie stanowiska i wiele pięknych kobiet pukających do drzwi. Niestety, polityka miała się okazać najbardziej niewierną ze wszystkich kochanek „Duffiego”.

– Strzyżenie i golenie, jeśli można, McFadden. Tylko bez pośpiechu. Muszę wyglądać najlepiej, jak się da.

– Ważne spotkanie, sir?

– Z toporem kata.

– Oczywiście, sir – odrzekł Mac, okazując takie przejęcie, jakby poproszono go o wystawienie pustych butelek po mleku.

Polityk przez piętnaście minut szedł pieszo ze swojego gabinetu w Admiralicji do Trumper's, zakładu fryzjerskiego zatrudniającego najlepszych w kraju golarzy dla dżentelmenów, którzy świadczyli usługi przy Curzon Street w Mayfair. Trasę tę pokonywała niezwykle

duża liczba najznamienitszych mężczyzn w państwie (choć w wypadku klientów z pałacu i Downing Street golarz przeważnie pakował małą walizkę niezbędnych narzędzi i składał wizytę domową). McFadden był jednym z kilku wybrańców, którzy ich obsługiwali. Dołączył do ich grona przed laty dzięki połączeniu sprzyjającego losu ze znacznymi umiejętnościami. Wszyscy lubili Maca, bo nie domagał się żadnego zainteresowania. Nikt nie musiał zaprzętać sobie głowy poznawaniem go. Zjawiał się, pracował, sprzątał i wychodził. Teraz pierwszy lord Admiralicji czekał wyciągnięty na jego krześle w wypolerowanej do połysku drewnianej kabinie, jednej z wielu ustawionych w długim rzędzie sięgającym w głąb salonu.

– Przykro mi słyszeć, że pan umrze, sir. Jest jakiś konkretny powód? – spytał Mac, przygotowując gorące ręczniki.

Wieść o rychłym końcu wielkiego polityka wymagała chyba jakiejś reakcji, ale Mac zawsze starał się unikać zbyt dużego zainteresowania albo emocjonowania się problemami klientów. Przybywali do niego, żeby się odprężyć, odsunąć na bok aktualne troski, i o wiele łatwiej przychodziło im to w towarzystwie kogoś takiego jak Mac, kto zwyczajnie się nie liczył. Mieli wrodzoną tendencję do odstawiania przed służącymi gamy myśli i emocji, jaką nie śniłoby im się dzielić z przyjacielem albo z żoną. Sprawę ułatwiało także to, że Mac mówił z lekkim akcentem, kulał oraz wydawał się tępawy i powolny, nie był kompletnym mężczyzną, toteż odpowiadał pewnemu stereotypowi człowieka pracującego, któremu bezpiecznie można się zwierzyć, nawet gdy chodzi o głosowanie.

Duff Cooper zamknął oczy i pozwolił sobie na powolny wydech.

– Nie umieram dosłownie, na litość boską. Gorzej. Dziś po południu mam wygłosić bardzo ważną mowę w Izbie Gmin. Podaję się

do dymisji.

– Smutny dzień, sir.

Mac spowolnił przygotowania do golenia. Klient najwyraźniej chciał mu coś wyznać, a nie byłoby łatwo to zrobić spod warstwy gorących ręczników.

– Boże, jak ja kochałem tę robotę. Siedziałem w Admiralicji i wysyłałem najpotężniejszą na świecie flotę marynarki wojennej do każdego zakątka globu. To większa władza i przywilej, niż większość ludzi może sobie wymarzyć. Dzisiaj jednak stanę się wyrzutkiem pogardzanym przez tych, którzy wczoraj chłonęli każde moje słowo i nazywali mnie przyjacielem. A wszystko przez...

– Proszę unieść brodę, sir. Dziękuję. Przez co, sir?

– Niech to szlag, McFadden! Wygraliśmy przeklętą wojnę. Mówiliśmy, że nigdy więcej. Aż nagle zjawia się Hitler, który zaczyna budować dywizje pancerne i eskadry myśliwców. Zapewnia wszystkich, że robi to wyłącznie w celach obronnych, a my mu wierzymy. Wierzymy mu, nawet gdy wkracza do Nadrenii. Dwa lata później tratuje całą cholerną Austrię, a teraz rozdziera Czechosłowację na kawałki. Jednak nasz premier nadal mówi, że mu ufa!

Klient był spięty, wąż mu się nastroszył. Mac jeszcze bardziej rozłożył krzesło, żeby mężczyzna mógł się odprężyć.

– Powiedz mi, McFadden, co myślisz o naszym ukochanym panu Chamberlainie?

Mac nie lubił tak bezpośrednich pytań. Przez całe dorosłe życie przejawiał mentalność więźnia gułagu: nigdy otwarcie nie narzekał, zawsze wydawał się zgodny, nie ryzykował kłótni. Być może dlatego zgodził się ożenić, nie tyle by uniknąć sprawienia damie zawodu, lecz raczej dlatego, że tak było najłatwiej wpasować się w bieg wydarzeń.

Teraz wszystkie proste drogi były już jednak zamknięte. Przyszła pora, by nawet golarz opowiedział się po którejś ze stron.

– Myślę, że pan Chamberlain nosi zbyt długie włosy – odpowiedział cicho.

– Boże, ale ile bym dał, żeby znaleźć się obok niego z brzytwą – warknął polityk.

– Nie pasują do wizerunku. Te jego włosy – ten załamany kołnierzyk i frak. Moim zdaniem to już niemodne.

– Mężczyzna, który nie nadąża za duchem czasu.

– Czy dołączą do pana jacyś koledzy, sir?

W ustach Maca zabrzmiało to jak zaproszenie do wspólnego posiłku. Gdy położył pierwszy ręcznik, polityk wydał z siebie ciche stęknienie i przez chwilę Mac myślał, że ręcznik jest zbyt gorący, lecz wkrótce stało się jasne, że ból ma inne źródło.

– No wiesz, obiecali. Walter Elliot i inni. Będziemy z tobą, powiedzieli, staniemy u twojego boku. Monachium to o jeden krok defiladowy za dużo. Ale gdzie są teraz? Elliot głądzi, że może się bardziej przydać, pracując w rządzie, niż będąc trędowatym w tylnych ławach. „Trędowatym”. Tak to określił. Dzień wcześniej mówił o honorze, a teraz honor stał się rodzajem szpecącej choroby. Łajdak. Reszta ciągle chrzani o tym, że zbliżają się wybory i rezygnowanie w takiej chwili byłoby samobójstwem, że szefostwo partii dopilnuje, by nigdy nie zdobyli innej pracy. Na litość boską, na jaką pracę będą mogli liczyć, kiedy po Whitehallu przemaszeruje pieprzony Wehrmacht?

Mac wstrzymał się z położeniem ostatniego ręcznika. Miał wrażenie, że polityk wylewa z siebie całe cierpienie i ból z powodu zdrady, których nigdy nie byłby w stanie okazać w Izbie Gmin, że

w jakimś sensie musi się zmierzyć z ruiną, która zaledwie kilka godzin temu była wspaniałym życiem.

– Jestem zrozpaczony. Co się stało z moją partią? Myślałem, że jesteśmy ligą dżentelmenów, ale zadzwonił do mnie tylko Eden. I oczywiście Winston. Z płaczem. Stare sentymentalne biedaczysko. Bóg świadkiem, że gdyby łzy mogły utopić Hitlera, Winston wykończyłby go, nim choć jeden wojskowy but dotarłby do Wiednia.

Mac pokuśtykał wokół krzesła, żeby położyć ostatni ręcznik. Zanim jego twarz zniknęła, Duff Cooper wymamrotał słowa, które Mac wielokrotnie słyszał od klientów siedzących na tym miejscu.

– Oczywiście nie wolno ci tego powtarzać, McFadden. W ogóle nie powinienem ci tego mówić, ale... Niech to zostanie między nami, co?

Polityk potrzebował milczącego słuchacza, a któż nadawał się do tej roli lepiej niż powolny, głupi żydowski golarz? Mac położył ręcznik i polityk wreszcie zamilkł.

Opinia Maca na temat polityków była prosta. Nienawidził ich. Rządzili nim carowie, cesarze, królowie i przekłęty chaos. Widział z bliska – z nazbyt bliska – zarówno imperializm, jak i komunizm, i miał jasne wyobrażenie także na temat nazizmu. Wszystkie te systemy były takie same. Tworzyli je politycy. Siedzieli za olbrzymimi biurkami w olbrzymich pałacach i przesuwali olbrzymie armie wte i wewte na mapach – aż w końcu armie przestawały być olbrzymie i były rozbite, a gra dobiegała końca. Na jakiś czas. Życie milionów ludzi pokrojone na kawałki za pomocą strzałek na mapie.

Ten był niewiele lepszy od reszty. Chciał wojny i w końcu ją dostanie, jeśli nie z powodu Czechosłowacji, to z powodu jakiegoś innego zapomnianego przez Boga skrawka Europy. W pewnym momencie ktoś narysuje kreskę na piasku, a ona wkrótce spłynie

czerwienią i tak bardzo nasiąknie łzami, że w końcu się zatrze. Zniknie. Tak to już jest z kreskami na piasku. Żołnierski but, burza, ulewa z łez. Kreska zniknie, a potem wszyscy oprócz starych kobiet będą usiłovali sobie przypomnieć, gdzie – i dlaczego – w ogóle się pojawiła.

Tego popołudnia Duff Cooper miał oczywiście wstać i utrzymywać, że broni interesów zwykłych ludzi, ale Mac był najzwyczajniejszy, jak to tylko możliwe, a prędzej stanąłby w płomieniach, niż zdołał się w tym doszukać jakiegokolwiek sensu. Skoro Cooper, jak twierdził, bronił wolności, to dlaczego nie bronił jej w Hiszpanii, i dlaczego nie bronił jej w Austrii, gdzie już teraz wyłapywano Żydów i wysyłano ich w podróż pociągami donikąd? Co było takiego wyjątkowego w pieprzonej Czechosłowacji?

Nie, dla polityka było to jedynie polowanie na chwałę, gra ambicji i awansu społecznego, w którą grał, odkąd wypchnięto go z przedszkola i posłano na naukę sportu na boiskach jakiejś angielskiej prywatnej szkoły.

Golenie i strzyżenie dobiegło końca, wąsy wróciły na swoje miejsce. Polityk był gotów stanąć twarzą w twarz z wrogiem.

– Miłego dnia, sir – powiedział Mac w drzwiach, podając klientowi świeżo wyczyszczony kapelusz.

Wielki człowiek, który wkrótce miał przestać być wielki, ledwie to usłyszał. W myślach już stał, wygłaszając jedno z najbardziej pamiętnych przemówień epoki, mogące nawet zachwiać rządem albo wręcz doprowadzić do jego upadku. Starał się nie zwracać uwagi na robaka, który przez cały ranek wił się głęboko w jego sercu, radząc, żeby poszedł po rozum do głowy, żeby był realistą, żeby zrozumiał, iż może liczyć najwyżej na to, że Izba Gmin zakołysze się wystarczająco

mocno, by otworzyły się drzwi, pozwalając mu wskoczyć z powrotem do środka.

– To jeszcze nie jest mój koniec – warknął Cooper.

Mac powstrzymał się od komentarza.

Guy Francis de Moncy Burgess obudził się w kiepskim nastroju. Nie było to dobre miejsce na taką pobudkę. Swoje mieszkanie przy Chester Square niedaleko dworca Victoria urządził, robiąc ukłon w stronę groteski – dywan był czerwony, ściany miały kolor złamanej bieli, zasłony i pościel pod ciężkim włoskim wezgłowieм łóżka były barwy niepewnego błękitu, a wszystko pokrywała warstewka nikotyny. Gdy otworzył oczy, te kolory wraz ze stęchłą wonią tytoniu przypuściły na niego zmasowany atak. Jęknął. Jego usta przypominały dno ptasiej klatki i wszystko wskazywało na to, że się spóźni. Znowu.

Wyślizgnął się z łóżka i chwiejnym krokiem podszedł do okna. Po drodze przewrócił stertę książek, na której balansował kieliszek czerwonego wina. Na szczęście wino, podobnie jak Burgess, było prawie zupełnie wykończone i plama zniknęła wśród innych. Zamaszystym ruchem otworzył okno i zapalił papierosa, kaszląc, gdy smużka świeżego powietrza spróbowała spenetrować pokój. Był on potwornie zaniedbany, ale jak uparcie powtarzał przyjaciółom, nawet jeśli pokój faktycznie wyglądał nędznie, jego nędza była niczym w porównaniu z tym, co można by zastać w Guernice albo w jednej z bocznych uliczek Moskwy. „Więc byłeś w Moskwie? – pytali nieuchronnie. – Jak tam jest?” „Ciężko, bezwzględnie, intelektualnie, bez sentymentów” – odpowiadał. Relacjonował swoje spotkanie z milicjantami, którzy chcieli go pobić za chodzenie po trawie, ale była to tylko połowa historii. Wymiotował wtedy pod pomnikiem Stalina.

Wyrzucił przez okno niedopałek papierosa i wciągnął na górę kawałek suszonej ryby, która dyndała na sznurku pod parapetem. Oderwał część, a resztę wyrzucił z powrotem. Śniadanie w biegu. Tak bardzo jednak zaschło mu w ustach, że nie był w stanie żuć, dopóki nie nalał sobie Jamesona na dwa palce i nie opłukał nim dziąseł.

- Za przeżuwanie - mruknął, unosząc kieliszek w stronę wypchanego słomą jelenia w stylu regencji stojącego obok szafy.

Jeleń patrzył na niego z wyrzutem, zdawał się wodzić za nim szklanymi oczami. Czasami Burgess miał wrażenie, że cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu, nawet wypchane zwierzęta. W mieszkaniu roilo się od przedmiotów, poczynając od fregaty w butelce, a kończąc na starej amerykańskiej fisharmonii, na której czasami grywał. Żadna z tych rzeczy nie miała wielkiej wartości, w zasadzie były to same śmieci. Pewnego dnia zamierzał się ich pozbyć razem z resztą swojego niedorzecznego życia. Wmasował whisky palcem w zęby, żeby pozbyć się kwaśnego smaku w ustach. Miał wrażenie, że ciągle pije więcej whisky, niż zamierzał, a potem wlewa ją w siebie ponownie, żeby wyleczyć się z kaca. Gryzł czosnek, by pozbyć się jej zapachu, a następnie pędził na złamanie karku, sprawdzając, czy przypadkiem nie udałoby mu się pozbyć także wszystkich innych trosk. Przyjaciele mówili, że w końcu się zabije, i chyba mieli rację. To zadziwiające, że mimo wszystko otaczało go aż tylu przyjaciół.

Zapowiadał się kolejny z tych dni. Spóźni się do Broadcasting House i będą na niego krzyczeli, więc on też zacznie krzyczeć, a mimo to będzie próbował ich nakłonić, żeby wykorzystali Churchilla. Wiedział, że odmówią, bo dostali polecenia z góry. Ale krzycząc o Churchill, zapomną, że Burgess wygląda jak menel i że znowu się

spóźnił. Wypije zatem jeszcze jeden kieliszek na wzmocnienie, a potem ruszy w drogę.

W tym momencie poruszyła się puchowa kołdra. Tworzyła wysoki kopiec po drugiej stronie łóżka, płataninę starego jedwabiu i śladów po papierosach, i wysunęła się spod niej łydka, a następnie udo i najwspanialszy tyłek, jaki widział od... Od wczorajszego wieczoru. Dworzec Victoria, jeden z jego ulubionych terenów łowieckich, gdzie w razie zatrzymania zawsze mógł powiedzieć, że właśnie idzie do domu, bo mieszka tuż za rogiem, panie władzo. Tyłek się poruszył. Należał do młodego boja hotelowego z Claridge's. Nie pamiętał, jak mu na imię. Podczas wczorajszej szamotaniny nie miało to najmniejszego znaczenia, ale w wilgotnym świetle dnia wydawało się... no cóż, niepotrzebnie niegrzeczne. Burgess postanowił zatem spędzić z gościem trochę więcej czasu o poranku, spróbować się dowiedzieć, jak chłopak ma na imię. Bo czy to ważne, że zjawi się w BBC jeszcze bardziej spóźniony? Widmo wojny się oddaliło. Tak brzmiał oficjalny komunikat.

Brendan Bracken należał do postaci, które można opisać na wiele sposobów, ale przede wszystkim był nieumiarkowany. Poza tym wkrótce miał zostać jednym z najpotężniejszych ludzi w kraju.

Bracken był fantastą. Był także pośłem z północnego Paddington. Urodził się jako Irlandczyk, ale twierdził, że jest sierotą z Australii, gdzie jego rodzice zginęli w pożarze buszu. W rzeczywistości jego ojciec był kamieniarzem i członkiem Irlandzkiego Bractwa Republikańskiego, nielegalnej organizacji nacjonalistycznej, w imieniu której wysadzał w powietrze anglo-irlandzkie mury i budynki. Nazajutrz pukał do drzwi i wesoło proponował, że je odbuduje. Być może przekazał synowi żywą wyobraźnię.

Bracken szedł przez życie, kłamiąc o swoim pochodzeniu, wykształceniu – czasami dawał do zrozumienia, że studiował w Oksfordzie – a nawet o swoich rodzicach. Gdy związał się z Winstonem Churchillem i w końcu został niezastąpioną prawą ręką starego, zaczęły krążyć plotki, że jest jego nieślubnym synem. W żaden sposób ich nie dementował, a może nawet sam je rozsiewał.

Bracken nie ograniczył się do stworzenia otaczającego go świata, stworzył wiele światów i chyba był w stanie gładko przechodzić z jednego do drugiego. Ludzie wiedzieli, że to w dużej mierze farsa, ale tupet i energia towarzyszące jego fantazjom skłaniały ich do przystawania na nią. Tak było o wiele łatwiej, niż gdyby mieli go zmusić do odsłonięcia kart. W październiku 1938 roku miał trzydzieści siedem lat, bezpieczne miejsce w parlamencie, a szofer woził go jego własnym, wyprodukowanym na zamówienie bentleyem. Mimo to nadal nie traktowano go zbyt poważnie.

A bardzo rozpaczliwie chciał, żeby traktowano go poważnie. I właśnie dlatego głęboko się zmieszał, gdy wszedłszy do holu dla deputowanych w pałacu westminsterskim i stanąwszy obok wielkich dębowych drzwi prowadzących na salę obrad Izby Gmin, dostrzegł, że pozdrawia go Duff Cooper. Dlatego że Duffie należał do drużyny. Cooper był kompanem Churchilla od kieliszka, jego towarzyszem w porze posiłków oraz bliskim sprzymierzeńcem w walce przeciwko Chamberlainowi i polityce ustępstw. To była wspaniała drużyna, jeden z nich zasiadał w gabinecie, drugi swobodnie dokazywał na zewnątrz, ale teraz wszystko się rozpadało. Cooper, ostatni wielki sojusznik Churchilla na korytarzach władzy, przestał istnieć. Churchill był przybity. Jakkolwiek Bracken by na to nie spojrział i jakkolwiek nie obracałby tego w umyśle, Chamberlain zwyciężył.

– Brendan – powitał go Cooper, biorąc go za ramię. – Nareszcie jakaś przyjazna twarz. Stojąc tu, zaczynałem się czuć równie popularny jak doktor Crippen.

– Witaj, Duffie. Dobrze, że zdołałem cię znaleźć. Chcę, byś wiedział, że wszyscy jesteśmy z tobą.

– Ach, słowa pociechy. To mi się podoba. Zechcesz usiąść obok mnie, gdy będę wygłaszał mowę? No wiesz, wsparcie moralne. Ktoś, na kim można się oprzeć, gdy stare kolana za bardzo zadrżą.

Zamiast odpowiedzieć, Bracken wyjął olbrzymią chusteczkę i z namaszczeniem wydmuchał nos. Zawsze narzekał na zatoki. I dzięki temu miał czas, żeby sformułować odpowiedź.

– To byłby dla mnie zaszczyt, Duffie... ale sam wiesz, że nie mogę. Muszę pełnić obowiązki przy Winstonie.

Churchill zawsze zajmował to samo miejsce w zielonych skórzanych ławach Izby Gmin: w pierwszym rzędzie, zaledwie kilka metrów od ministrów. Zgodnie z tradycją ministrowie podający się do dymisji wygłaszali mowy z tylnych rzędów.

– Ale z pewnością w tych okolicznościach... – zaczął nalegać Cooper. Wokół jego uśmiechniętych ust owinęła się stalowa nić.

– Duffie, przecież wiesz, jaki jest Winston.

– Mój Boże, czuję się, jakbym został porzucony na bezludnej wyspie.

Zanim zdążył rozwinąć swój protest, przerwał im przenikliwy amerykański głos z charakterystycznym nosowym brzmieniem bostońskich Irlandczyków.

– Ach, bohater dnia. Mam nadzieję, że nie zmieniłeś zdania.

– Dzień dobry, Wasza Ekscelencjo – odrzekł Cooper, nawet nie starając się ukryć niechęci.

Joseph Kennedy, ambasador Stanów Zjednoczonych na dworze Świętego Jakuba, był jednym z najmniej dyplomatycznych wysłanników, jakich kiedykolwiek przysłał Waszyngton. Jego podziw dla skuteczności i ambicji Rzeszy Niemieckiej był równie głęboko zakorzeniony jak pogarda, którą odczuwał wobec upadających, pogrążonych w chaosie demokracji Starego Świata, i nie zadawał sobie najmniejszego trudu, żeby ukryć jedno czy drugie.

– Przyprowaździłem dwóch gości, żeby zobaczyli ten występ. To mój syn Jack – przedstawił gładkolicęgo mężczyznę tuż po dwudziestce, lecz wyglądającego jeszcze młodziej – i ktoś, kogo być może już pan zna. Kapitana Charlesa Lindbergha.

Lotnik, pierwszy człowiek, który samotnie przeleciał nad Atlantykiem, zdobywając sławę na całym świecie, wyciągnął rękę na powitanie.

– Joe, to wspaniałe, że uważasz moje wystąpienie za godne takiej publiczności. Postaram się nie sprawić wam zawodu.

– Już go sprawiłeś, Duffie. Gdybyś postawił na swoim, toczyłbyś teraz wojnę z Hitlerem. Równie dobrze mógłbyś się wykąpać w wannie z kwasem.

– A nie mówiłem, Brendanie? Istny doktor Crippen.

– Jeśli nie wierzysz, możesz spytać Lindiego. Dużo mi opowiadał o Luftwaffe, a przecież, do diabła, zna się na rzeczy. Mogą wysłać dziesięć razy więcej samolotów niż wy, Francuzi i Rosjanie razem wzięci. Jego zdaniem w razie działań wojennych Londyn nie przetrwałby nawet tygodnia. Tęgo właśnie chcesz?

– Właśnie to mnie zdumiewa, Joe. Według ciebie nie mamy absolutnie żadnej możliwości. A ja myślałem, że wygraliśmy ostatnią wojnę.

- Duffie, wy, Brytyjczycy, wciąż tego nie rozumiecie. To my wygraliśmy ostatnią wojnę. W 1917 roku Ameryka przyszła wam na ratunek. Świadczy o tym pięćdziesiąt tysięcy poległych. Niech nas szlag, jeśli kiedykolwiek to powtórzymy.

- W razie potrzeby będziemy walczyli sami.

- Walczyli! A niby czym, do diabła? Hitler ma więcej samolotów, więcej czołgów, więcej dywizji, więcej wszystkiego. - Wymierzył palec w stronę kamizelki Coopera i dźgał nim powietrze. - A przy okazji: nie wiesz przypadkiem, co w zeszłym miesiącu stało się z waszą stopą bezrobocia?

Cooper, który nie nadążał za tokiem myślenia Amerykanina, przecząco pokręcił głową.

- Miałem inne sprawy na głowie...

- Poszybować w górę. Znowu. To już prawie dwa miliony. Wasze fabryki się zamykają i produkują najwyżej pajęczynę. Tymczasem fabryki Führera działają na pełnych obrotach. Budują największą armię i siły powietrzne po tej stronie Atlantyku. Spójrz prawdzie w oczy, Duffie, macie mniej więcej takie szanse jak kutas w klasztorze. Co zrobicie, gdy Wehrmacht przemaszeruje po Whitehallu? Obrzucicie go piłkami do krykieta?

Na policzki Coopera wystąpił rumieniec złości.

- A wy co zrobicie, gdy wprowadzi w Europie dyktaturę? Gdy komunizm i faszyzm zdominują świat? Gdy Ameryka zostanie odcięta od swoich rynków, straci przyjaciół? Gdy Hitler będzie mógł was postawić pod ścianą?

Kennedy chłodno się uśmiechnął, nie połykając przynęty. Skinął w stronę sali obrad.

- Pójdiesz tam i zrobisz z siebie głupca, Duffie.

- Nie owijasz w bawełnę, Joe.
- Do diabła, nie pora owijać w bawełnę, gdy w Europie panuje taka sytuacja.
- Zgadzam się w zupełności.
- W takim razie, jak już mówiłem, szykuje się wspaniałe wystąpienie. Wspaniałe jak cholera. Idziemy zająć miejsca. Do zobaczenia później. – Po chwili, w ostatnim akcie zniewagi wymierzonym w byłego pierwszego lorda, Kennedy odwrócił się do Brackena, który przez całą tę rozmowę nie odezwał się ani słowem. – Miło się z panem rozmawiało, panie Bracken. Niech pan wpadnie na kolację w tygodniu. Zadzwoń.
- Byłoby wspaniale... – odpowiedział Bracken, zanim zdał sobie sprawę, jak bardzo niewrażliwy musiał się wydać koledze parlamentarzysty. Odwrócił się, żeby wyrazić skruchę, ale było już za późno. Cooper odszedł.

Duff Cooper pomylił się w swoich przewidywaniach. Nie groziło mu osamotnienie w ławach. Gdy wstał, żeby wygłosić swoje przemówienie po podaniu się do dymisji, rządowi rzecznicy dyscypliny zadbali o to, by otoczył go zastęp lojalistów, a ci uznali za swój obowiązek dopilnować, aby chwile, które spędzi w centrum parlamentarnej uwagi, były dla niego jak najbardziej nieprzyjemne. Zgodnie z tradycją tego rodzaju przemówień wysłuchuje się w ciszy, a Hansard, oficjalny rejestr obrad parlamentarnych, słynie z niezdolności do słyszenia obelg i niestosownych przerywników, nawet jeśli dosięgają one starych krokwi. Jednak „The Times” także publikował rozległe fragmenty obrad i zawarty w nim raport nie był w stanie ukryć szorstkiej reakcji, jaką wystąpienie Coopera wywołało wśród członków jego własnej partii.

Otoczyli go, zastrasiali, szydzili z niego i kpili. Zniszczyli wiele przyjaciół. Dopiero gdy wspomniał nazwisko premiera, wydali z siebie radosne okrzyki, a potem ponuro zamilkli, kiedy powiedział, że choć bardzo się stara, nie może uwierzyć w to, w co wierzy premier.

– A zatem nie mogę się przydać ani jemu, ani jego rządowi – ciągnął Cooper, rozglądając się ze smutkiem w oczach. – Byłbym tylko zawadą.

Pomruki potakujących posłów zaczęły wzbierać wokół niego niczym woda podczas potopu.

– Będzie o wiele lepiej, jeśli odejdę.

Zaczęto machać listami pytań poselskich, które wyglądały jak rozstępujące się morze mogące go porwać. Stał wśród nich jak skała, samotny, wyzywający, czując suchość w ustach, słysząc ciągłe zniewagi.

Mimo to w końcu zapadła cisza. Być może gnębiciele poczuli wstyd albo po prostu zabrakło im tchu. W każdym razie dostojeństwo Coopera wreszcie mogło się spokojnie ukazać.

– Bardzo dużo straciłem. Zrezygnowałem z ukochanego urzędu, z pracy, która niezmiernie mnie interesowała, i z podwładnych, z których każdy człowiek mógłby być dumny. Zrezygnowałem ze współpracy z kolegami, z którymi od lat utrzymywałem niezwykle harmonijne stosunki, traktując ich nie tylko jako kolegów, lecz również jako przyjaciół. Zrezygnowałem z przywileju asystowania przywódcy, którego nadal darzę największym podziwem i sympatią.

Patrzył prosto na Chamberlaina, który jednak nie odwzajemnił spojrzenia.

– Być może zrujnowałem swoją karierę polityczną. Nieważne. Zachowałem coś, co dla mnie ma większą wartość: nadal mogę

chodzić po świecie z podniesioną głową.

Dopiero po tych słowach usiadł. Lecz nawet wtedy premier na niego nie spojrział.

Jak na tak znakomite i wpływowe miejsce Downing Street była nadzwyczaj przeciętna od strony architektonicznej. Nawet po szeroko zakrojonej renowacji pod numerem dziesiątym przeprowadzonej przez Neville'a Chamberlaina i jego żonę, podyktowanej po części potrzebą podparcia stropów, które uginały się, grożąc zawaleniem, większość wnętrza pozostała wyjątkowo ciemna i ciasna. Miejsce dla elfów i skrzatów. A do najbardziej żarłocznych z nich należeli sir Horace Wilson i sir Joseph Ball.

Wilson piastował oficjalną funkcję głównego doradcy rządu do spraw przemysłu, co w żadnej mierze nie oddawało skali jego faktycznych wpływów. W rzeczywistości uznawano go za najbardziej zaufanego asystenta Chamberlaina. W ubiegłym miesiącu towarzyszył premierowi podczas wszystkich trzech podróży lotniczych do Hitlera, a nawet został wyznaczony do bezpośrednich rozmów z niemieckim przywódcą. „To najbardziej niezwykły człowiek w Anglii – powiedział kiedyś Chamberlain kolegom. – Nie mógłbym bez niego przeżyć ani jednego dnia”. Wilson kontrolował większość rządowych dźwigni. Tymczasem jego bliski kolega Ball kontrolował maszynę polityczną. Stał na czele Wydziału Badań Partii Konserwatywnej, organu odpowiedzialnego za politykę torysów, a ponadto był urzędnikiem zajmującym się reklamą i propagandą w głównej siedzibie partii. Jak na ironię, to właśnie on odrzucił kandydaturę Guya Burgessa, gdy ten starał się o zatrudnienie w Partii Konserwatywnej po ukończeniu Cambridge. Uznał, że jest zbyt niechlujny.

Wilson i Ball mieli ze sobą wiele wspólnego – przeszłość w służbach specjalnych (obaj byli funkcjonariuszami MI5), zajadły antysemityzm, głęboką wiarę w politykę ustępstw, a nade wszystko oddanie Neville'owi Chamberlainowi wykraczające poza wszelkie wymogi stawiane pracownikom rządowym. Byli onieśmielający, a w pewnych kręgach budzili uzasadniony strach.

Ci dwaj znamienicy słudzy narodu siedzieli teraz w gabinecie Wilsona, małym pomieszczeniu sąsiadującym z salą posiedzeń Rady Ministrów. Było już ciemno, zaciągnięto zasłony i oświetlenie zapewniały jedynie dwie lampy z zielonymi abażurami ustawione na biurkach obok wysokich okien, co tworzyło konspiracyjną atmosferę lubianą przez obu mężczyzn. Ball właśnie zakończył rozmowę telefoniczną z jednym z dyrektorów „Yorkshire Post”. Nie po raz pierwszy dyskutowali o predylekcjach redaktora Arthura Manna, upartego człowieka, który uznał, że mowa pożegnalna Duffa Coopera zrobiła na nim wrażenie.

W rozmowie Balla roiło się od takich sformułowań jak „osobista uraza” i „utrata kontaktu z rzeczywistością”, ale szło mu raczej marnie. Mann słynął z uporczywego sprzeciwiania się polityce ustępstw, wyjaśnił dyrektor, i chyba nikt nie mógł na to nic poradzić.

– Jamie, na litość boską, do kogo należy ta cholerna gazeta? Dlaczego pozwalasz mu tak sobą pomiatać? Na Boga, weź się w garść. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chce podbijać Berlina ze względu na Żydów. – Ball wypowiadał słowa powoli, mając nadzieję, że wsiąkną głęboko w umysł jego rozmówcy. – To kwestia przetrwania. I to nie tylko przetrwania kraju, ale też twojej gazety. Spójrz, co się stało z waszymi przekłętymi dochodami z reklam. Wystarczyło, że przez lato postraszone ludzi wojną, a wasz rynek poleciał na łeb na szyję.

O ile? Trzydzieści procent? Właśnie. Dopóki będziecie zachęcali takich maniaków jak Duff Cooper, żeby podsycali obawy przed wojną, będziecie patrzyli, jak wasze zyski kurczą się niczym dziecko w kąpielu. Nikt niczego nie kupi, do cholery. Spójrz na niemiecką gospodarkę: potrzebujemy tu czegoś takiego, a nie krwi na zestawieniu bilansowym. Chcesz wojny? Jasne, że nie. Ale właśnie ją dostaniesz, jeśli dalej będziesz wlaził w tyłek Duffowi Cooperowi i jego bandzie.

Chyba wreszcie argument dotarł do słuchacza. Dyrektor powiedział, że zobaczy, co da się zrobić, i rozmowa zakończyła się obietnicami wspólnego lunchu.

Wieczorna praca przyniosła owoce. Przyciśnięto także inne gazety. Ball z zadowoleniem podrapał się po brzuchu. Rano nekrolog Duffa Coopera miał zostać odpowiednio oszpecony.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi i do środka wsunęła się głowa. Należała do Geoffreya Dawsona, redaktora „Timesa”. W mrocznych zakamarkach Whitehallu Chamberlaina zawsze witano go niczym generała powracającego do obozu.

– Wiedziałem, że was tu znajdę, stare łobuzy – odezwał się na powitanie. – Muszę się was poradzić.

– I wypić kieliszeczek sherry, Geoffreyu.

Redaktor wygodnie usiadł przy kominku w fotelu obitym popękana skórą i umościł się, odnawiając znajomość ze starym przyjacielem.

– Przed chwilą wypilem herbatę z Edwardem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Wspomnianym „Edwardem” był lord Halifax, minister spraw zagranicznych. Dawson często się z nim spotykał, zwłaszcza gdy przygotowywał cięty artykuł wstępny. Od dawna się przyjaźnili, a ich losy były ze sobą powiązane. Obaj studiowali w Eton i pochodzili

z północnego Yorkshire, należeli do Kościoła Wysokiego i razem uczestniczyli w obrzędach religijnych i polowali na lisy.

– Mam nadzieję, że okazał się pomocny – rzekł Wilson, chcąc poznać więcej szczegółów.

– Jak zwykle. Mam kieszeń pełną wstępniaków, które starczą mi aż do weekendu. Ale martwi mnie coś innego. Chodzi o mojego młodego dziennikarza parlamentarnego. Szczeniak nazywa się Anthony Winn. Napisał beznadziejne peany o dzisiejszej mowie pożegnalnej Duffa Coopera, o jego szlachetności, o tym, że to spektakularny sukces parlamentarny, że jego przytyki trafiły w sedno. A nawet że rządowe oddziały zamilkły ze wstydu. Tego typu rzeczy.

– W takim razie to zmień.

– Spokojnie, Joey. Wstępniaki to jedna sprawa. Szatkowanie artykułu reportera wiadomości jest znacznie bardziej niebezpieczne. To trochę jak kopanie w kołyski. Tym bardziej, że według moich źródeł szczeniak ma, do diabła, całkowitą rację.

Wilson i Ball spojrzeli na siebie z niepokojem.

– Być może ma rację jedynie w tym momencie. Ale nie w ogólnym kontekście – powiedział zamyślony Wilson. – Duffie musiał odejść. To człowiek żyjący na krawędzi katastrofy. Niezdolny do trzeźwego osądu sprawy, Geoffreyu. Spójrz tylko na jego kobiety. Bierze je z ulicy. Niektóre to cudzoziemki o zupełnie niestosownych powiązaniach... Czasami się zastanawiam, czy te dość szokujące romanse nie nadwątlili jego umysłu.

– Kto jak kto, ale „Times” nie może rozpowszechniać żydowskiej propagandy, Geoffreyu – dorzucił Ball. – Mój Boże, przecież ta gazeta jest organem przyzwoitości i renomy. Establishmentu, a nie rewolucji.

Wszyscy wiemy, że zajmuje szczególną pozycję i że osobiście się do tego przyczyniłeś.

Ach tak, najważniejszy argument. Wszyscy trzej doskonale zdawali sobie sprawę, że Dawson jako jedyny mężczyzna w pokoju nie otrzymał jeszcze tytułu szlacheckiego. Czasami było to tematem ich nerwowych żarcików: zaszczyt przyrzeczony, ale obietnica jeszcze nie złożona. Dopóki czekał, zachowywał się, jak należy.

– Właśnie dlatego potrzebuję waszej rady. Czy ta historia Duffa Coopera jest tak cholernie ważna? Warta przykrości, jakie mnie spotkają, jeśli zapłacę czepialskiemu cenzorowi i napiszę ten przekłety artykuł od nowa?

Na twarze dwóch pozostałych mężczyzn wrócił spokój. Ball położył nogi na biurku. Znamienici słudzy narodu uśmiechnęli się do gościa i wyrazili swoją opinię jednym głosem.

– Och tak, sir Geoffreyu. Prosimy!

Redaktor „Timesa” zrobił, co mu kazano. Zniszczył kopię artykułu, jakby rozpoczynał oblężenie jakiejś średniowiecznej twierdzy. Później go przerobił. „Sentymentalni smakosze myśleli, że wyjaśnienie powodów dymisji pana Duffa Coopera będzie smakowitym kąskiem – napisał – lecz okazał się on dość mało apetyczny. Przemawiając bez kartki, były pierwszy lord raczej wystrzelił z dział przeciwlotniczych, niż oddał salwę całą burtą. Przemówienie oklaskiwała opozycja, lecz pan Chamberlain skwitował je z szacunkiem jedynie miłym słowem”.

Mimo zmian artykuł ukazał się opatrzony nazwiskiem Anthony’ego Winna, parlamentarnego korespondenta gazety. Nazajutrz Winn złożył wymówienie. Miał zostać jedną z pierwszych ofiar poległych w czynnej służbie na wojnie, która niebawem wybuchła.

Izba Gmin zebrała się, by debatować nad porozumieniem z Monachium. Argumenty wysuwano przez cztery dni – opór Chamberlaina w Monachium trwał znacznie krócej. Debata tonęła w szlachetności i goryczy, oporze i służalczości, przy czym tej drugiej było znacznie więcej – choć, rzecz jasna, w Westminsterze nikt jej tak nie nazywa, w korytarzach i salonach występuje bowiem w przebraniu lojalności i ducha współpracy. Graj razem z nami, stary! Chamberlain zażądał lojalności i zdominował swoją partię – te miernoty, które się wokół niego zebrały, wiedziały, że dysponuje państwowymi stanowiskami wraz z okazałym uposażeniem i rezydencjami, które owe stanowiska zapewniały. Duffie pozbawił się domu w Londynie i pięciu tysięcy funtów rocznie – niemałej fortuny w epoce, w której ci zaciągający się, by umrzeć za ojczyznę, nadal robili to za „królewskiego szylinga” i parę miedziaków więcej dziennie. W każdym razie miały się odbyć nowe wybory, być może już niedługo, i karą za nielojalność wobec Wielkiego Popularnego Przywódcy z pewnością byłaby taka sama nielojalność. Twierdzono, że polityka ustępstw jest nie do uniknięcia, a najzacieklej broniono tego twierdzenia w palarni Izby Gmin, gdzie na przestrzeni wieków posłowie gromadzili się w poszukiwaniu alkoholu i sekretu wiecznego życia wyborczego.

– Czym się trujesz, Ianie? Dżinem? Z tonikiem? Z plasterkiem Kraju Sudeckiego?

– Może niech będzie whisky, dobrze, Dickie?

– Zatem duża whisky.

Chwila na skosztowanie alkoholu.

– Byłeś kiedyś w Czechosłowacji, Ianie?

– Nie jestem pewny, czy umiałbym ją znaleźć na mapie. Dalekie krainy i tak dalej.

– Co powiedział Neville po powrocie z Monachium? – Dickie zaczął naśladować piskliwy nosowy głos. – „A teraz zalecam, żebyście poszli do domów i spokojnie wyspali się w swoich łóżkach”.

– Albo przynajmniej w cudzych. W którym spałeś w ubiegłym tygodniu, Dickie?

– Mam żelazną zasadę. W ciągu sześciu miesięcy przed jakimikolwiek wyborami odmawiam sobie przyjemności sypiania z żonami wyborców z mojego okręgu. Rzecz jasna, dotyczy to także mojej żony. To coś w rodzaju samodyscypliny. Jak trenowanie biegów długodystansowych.

– Na litość boską, tylko nie wspominaj o tym w Biurze Centralnym. Mogliby wprowadzić taki zakaz.

– To dobra polityka. Wychodzę z założenia, że zawsze mogę dostać głosy kobiet. Pod warunkiem, że ich mężowie o niczym się nie dowiedzą.

– Lepsze to, niż powiesić jaja na starym drucie kolczastym.

– Nie mogę znieść tego całego cholernego podżegania do wojny, Ianie. Każdy głupiec może pójść na wojnę.

– Zwłaszcza taki stary głupiec jak Winston.

– Wojował przez połowę dorosłego życia. I patrz, dokąd go to zaprowadziło. – Po chwili ściszył głos: – A skoro pytaniem jest wojna, to jakim cudem, do diabła, odpowiedzią miałby być Troll-Belisha?

Spojrzeli ponad popękaną skórzaną tapicerką palarni w stronę tęgiej, ciemnej postaci ministra wojny, Lesliego Hore-Belishy (tudzież Troll-Belishy albo Horeb-Eliszy, w zależności od upodobań), który właśnie zamawiał kolejną drinków.

– Czy whisky jest koszerna, Ianie?

– Sądząc po ilościach, jakie w siebie wlewa, z całą pewnością tak.

- Wiesz, on sobie roi, że zostanie przyszłym liderem.
- Elisza? Naprawdę? Nie moim. Zawsze uważałem, że byłoby lepiej, gdyby na kolejną krucjatę poprowadził nas chrześcijanin.
- Otóż to.
- On się robi coraz grubszy, wiesz? Dziwne jak na kogoś, kto głosi, że poświęca się wyłącznie dobru publicznemu.
- Genetycznie uwarunkowana skłonność do...
- Korpulencji.
- Myślałem raczej o dogadaniu sobie.
- Chryste. Szykujmy maski gazowe. Zbliża się święty Harold.

Harold Macmillan, czterdziestoczteroletni konserwatywny poseł ze Stockton, sunął w ich kierunku. Nieczęsto cieszył się sympatią kolegów. Nie tylko miał sumienie, lecz uparcie chciał się nim dzielić.

- Dobry wieczór, Haroldzie. Dickie właśnie nam mówił, że się zreformował. Zrezygnował z sypiania z żonami swoich wyborców. Oszczędza się dla dobra partii przed wyborami. To chyba oznacza, że zamierza sypiać z naszymi żonami.

Macmillan minął ich, milcząc jak zjawa.

- Mój Boże, Ianie, potrafisz być brutalnym draniem.
- A co ja takiego zrobiłem, do diabła?
- Nie wiesz? O żonie Macmillana? I o Bobie Boothbym, naszym szacownym koledze z East Aberdeenshire? Podobno od lat ugania się za jej futrzaną przyjaciółką, a w dodatku zdarzało mu się ją złapać. Tajemnica poliszynela. Ponoć to on jest ojcem najmłodszej córki Harolda.

- Co? Własny kolega zrobił z niego rogakca? Słyszałem, że pewne rzeczy zachowuje się w rodzinie, ale to się w pale nie mieści. Dlaczego się nie...?

– Rozwiódł? To wykluczone. Jest do niej przywiązany sznurem starej ambicji. Świętość, z której słynie, nie wytrzymałaby takiego skandalu.

– Śmieszny człowiek. Nie chce walczyć o własną żonę, a domaga się, żeby reszta z nas poszła na wojnę o Czechosłowację.

– On nigdy do niczego nie dojdzie.

Jeszcze po kieliszeczku.

– Neville dobrze to rozegrał, prawda Dickie?

Chwila milczenia.

– Wie o tym wszystkim więcej niż ktokolwiek inny w kraju. Chyba musimy mu zaufać.

– Wiesz, młody Adolf nie jest taki zły, że chce wytargać za łby niektórych w Europie. To chyba dobrze. Przyda się tam trochę porządku, jeśli chcesz znać moje zdanie. Niech wrócą do szeregu i tak dalej.

– Zjednoczona Europa?

– Na dłuższą metę wyjdzie to nam wszystkim na dobre. Patrzmy w przyszłość.

– Musieliśmy się z tym pogodzić. To było nieuniknione.

– Nieuniknione. Tak. Cholernie dobrze to ująłeś.

– Jak Winston nazwał to w holu dla deputowanych? „Pokój przechodzący wszelkie pojęcie...” Jak myślisz, co chciał przez to powiedzieć?

– Od dawna nie mam pojęcia, o czym on mówi, i wcale mnie to nie obchodzi. Winston nigdy nie czuł ducha partii.

– Zawsze posuwa się za daleko.

– W każdym razie niedługo skończy karierę i stąd zniknie. Masz jakieś plany na weekend?

- Myśleliśmy o tym, żeby trochę popolować na lisy. Psy mogłyby się wybiegać. A ty?

- Moja żona nadal jest we Francji. Więc pomyślałem o... małej agitacji przedwyborczej.

- Masz na myśli kogoś konkretnego?

- Angielską żonę niezmiernie zapracowanego zagranicznego bankiera, która poprosiła mnie o kilka lekcji patriotyzmu.

- Szlachetne poświęcenie. Dla sprawy.

- Ale nie w moim okręgu wyborczym. Wiesz, jakie mam zasady.

- Dzięki Bogu, Dickie. Wszystko wróciło na swoje miejsce.

Rozdział trzeci

W rezydencji amerykańskiego ambasadora w Princes Gate wszystko wyglądało jak zwykle. Nie znaczy to oczywiście, że dom Josepha P. Kennedy'ego przypominał cokolwiek, co w kręgach dyplomatycznych zwykło się uznawać za normalne, ale trudno było traktować Kennedy'ego jak dyplomatę. Niedawno skończył świętować pięćdziesiąte urodziny i swobodniej czuł się w szalunkowych czynszówkach surowego bostońskiego East Side, gdzie się urodził, niż w tej dostojnej, krytej sztukaterią rezydencji z widokiem na londyński Hyde Park. Irlandzko-amerykańskie korzenie, których tak bronił, nigdy go jednak nie ograniczały.

Kennedy był człowiekiem pasji i czynu, nawet jeśli czasami wyjątkowo pozbawionym umiejętności trafnej oceny sytuacji. Do dyplomacji na dusznym dworze Świętego Jakuba często podchodził bardzo podobnie jak do seksu – nie zaprzętał sobie głowy uprzejmościami ani grą wstępną. Zawsze był niecierpliwy, napierał i obłapiał. Wcześniej, będąc potentatem filmowym, zaciągnął do łóżka Glorię Swanson, światowy symbol seksu lat dwudziestych. Doskonale zapamiętała to spotkanie. Potem powiedziała przyjaciółom, że Kennedy zjawił się pod jej drzwiami, przez chwilę tylko się na nią gapił, a potem wydał z siebie jęk i rzucił się na nią. Od razu dążył do celu, jak zawsze. Porównała go do spętanego konia – narowistego, męczącego i ostatecznie niewiele wartego. „Po pospiesznym szczytowaniu leżał obok i głaskał mnie po głowie – wspominała. – Nie

licząc skruszonych, namiętnych pomruków, nie powiedział niczego sensownego”.

Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych doskonale by ją zrozumiało. Jednak mimo całego swojego braku poważania dla przyjętych norm Kennedy, który przybył do Londynu na początku roku, podbił go szturmem. W świecie cichych łez i nieustannie wydłużających się cieni, w starym świecie od dawna zmierzającym ku końcowi, jego arogancja wywoływała radość, a brak poszanowania dla społecznej pajęczyny był źródłem niekończącej się uciechy. Królową nazywał „słodką dziewczyną” i pędził po parkiecie, żeby z nią zatańczyć, odrzucając po drodze dworzan i konwenanse. Posługiwał się językiem zapożyczonym od bostońskich dokerów z czasów swojej młodości. Miał wrodzony dar zdobywania rozgłosu, lecz najsilniejszą podstawą jego uroku było dziewięcioro dzieci – nazywał je swoimi „dziewięcioma zakładnikami fortuny”. Najstarsi Joe junior i Jack mieli lat dwadzieścia kilka, a najmłodszy Edward był jeszcze niemowlęciem. Zupełnie jakby znowu nastał rok 1917: Amerykanie przysłali na ratunek całą armię. Korytarze w Princes Gate 9 zmieniły się zatem w boisko do futbolu amerykańskiego, marmurowe patio przeistoczyło się w ścieżkę rowerową, a winda stała się integralną częścią olbrzymiego wyimaginowanego domu towarowego prowadzonego przez młodego Teddy’ego. I nawet jeśli obserwatorzy uważali, że Kennedy wykorzystuje status samozwańczego „ojca narodu” jako platformę do ubiegania się o prezydenturę w 1940 roku, chyba nikt nie miał mu tego za złe – może poza prezydentem Franklinem Rooseveltem, który wysłał go do Londynu, mając nadzieję, że więcej o nim nie usłyszy. Był to jeden z typowych dla prezydenta błędów w ocenie.

Cztery dni po ogłoszeniu pokoju dla naszych czasów w rezydencji panowała jednak rzadko spotykana cisza. W korytarzach nie niosły się echem dziecięce głosy, nie rozlegał się stukot upuszczanych rowerów odbijających się od marmuru i nawet goście zaproszeni przez ambasadora na kolację zachowywali się powściągliwie. Churchill wydawał się przytłoczony, a Brendan Bracken, siedzący obok siostrzenicy Kennedy'ego, sprawiał wrażenie dziwnie małowównego. Miejsce naprzeciwko Churchilla zajął agresywnie izolacjonistyczny korespondent „Chicago Tribune”, który okazał się nieco rozczarowujący, gdyż jego mistrzostwo w sztuce agresji zdawało się ograniczać wyłącznie do pióra. Przez cały wieczór najwyżej coś mruknął i dał nura do kieliszka. Szwedzki biznesmen Svensson był uprzejmy, lecz ostrożny, wołał słuchać i zachęcać do mówienia, niż samemu głosić kazania, prawie jakby towarzystwo trochę go onieśmiało. Tymczasem książę Gloucester na drugim końcu stołu jak zwykle był w formie i znieczulał gości po obu stronach. Nie na takim efekcie zależało Kennedy'emu. Uwielbiał konfrontacje, zderzanie się słów i woli. Anglicy byli w tym beznadziejni, ale Irlandczycy ze wschodniego Bostonu... Ech, to była zupełnie inna rasa.

– Gdzie się podziały pańskie dzieci, ambasadorze? – Churchill podniósł głowę znad talerza.

Kennedy dostrzegł plamę z sosu na jego kamizelce, ale polityk albo jej nie zauważył, albo się nią nie przejmował.

– W ubiegłym tygodniu wysłałem większość z nich do Irlandii. Mają okazję poszukać swoich korzeni.

– Aha. – Chwila milczenia. – Rozumiem.

Zatem zakładnicy fortuny uciekli. Churchill ponownie skupił się na talerzu, wykazując brak chęci kontynuowania tematu.

– Nie pochwała pan tego, Winstonie?

– Czego? Tego, że w czasie kryzysu wysyła się młode ptaszyny za granicę? – Zastanowił się. – Ludzie pełniący funkcje publiczne muszą podejmować trudne decyzje.

– Ale pan by tak nie zrobił.

– Wysyłanie niewłaściwych sygnałów bywa niebezpieczne.

– Pan trzymałby swoje dzieci tutaj, gdy zagrażałyby im bomby?

– Można na to spojrzeć w inny sposób. Obecność ukochanych osób nieustannie przypomina nam o tym, o co walczymy. I chyba jest sygnałem dla agresora, że jesteśmy pewni zwycięstwa.

– Ale my, Amerykanie, nie mamy zamiaru walczyć. Jeśli zaś chodzi o zwycięstwo...

– Wątpi pan w nas?

– Wątpię w waszą przeklętą obronę przeciwlotniczą. – Kennedy zaatakował deser, jakby na nowo kreślił granice. – Wiesz, co słyszałem, Winstonie? Gdy w ubiegłym tygodniu rozkopywaliście Londyn, czekając na Luftwaffe, mieliście niespełna sto dział przeciwlotniczych do obrony całego miasta.

Churchill się skrzywił, co jedynie dodało jego rozmówcy odwagi.

– Ale to jeszcze nie wszystko. Z tych stu dział sprawna jest niespełna połowa. Reszta ma amunicję niewłaściwej wielkości albo rozładowane akumulatory. I wie pan, czego się dowiedziałem, gawędząc sobie w parku z facetami od obrony przeciwlotniczej?

– Po co zawracać sobie głowę domysłami, skoro z pewnością zaraz mi pan powie?

– Nie mieli stalowych hełmów. A można by pomyśleć, że po tych wszystkich latach gładzenia o przeklętej wojnie dowództwo powinno

wpaść na to, że żołnierze muszą mieć stalowe hełmy. W razie gdyby Hitler postanowił coś na nich zrzucić.

Churchill, podobnie jak całe miasto, wydawał się prawie zupełnie bezbronny.

– Od dawna przestrzegałem przed niewydolnością naszego ARP – zdołał jedynie powiedzieć.

Po drugiej stronie stołu siostrzenica Kennedy'ego szepnęła sąsiadowi na ucho:

– Co to jest ARP?

Słyszając to pytanie, Brendan Bracken przygryzł usta, i to nie po raz pierwszy tego wieczoru. Miał niezwykle rysy twarzy, ognistorude włosy sływały mu kaskadą na czoło niczym lawa podczas erupcji wulkanu. W komplecie miał też ognisty temperament: gdy prowadził swoje wywody, energicznie wymachiwał rękami. Jednak tego wieczoru, w obecności siostrzenicy ambasadora, stał się niezwykle powściągliwy. Kobiety – pomijając matkę – nigdy nie odgrywały w jego życiu większej roli, swoją wyjątkową energię skupiał na zarabianiu pieniędzy i pięciu się po szczeblach kariery politycznej. Zresztą jakie znaczenie miały kobiety w angielskim establishmencie, gdzie pogłoski o homoseksualizmie krążyły równie swobodnie jak porto? Anna Maria Fitzgerald była jednak inna. Większość młodych kobiet wydawała mu się niepoważna i przekorna, widziały w nim albo potencjalną zamożną partię, albo obiekt seksualnego zaciekawienia – lub też jedno i drugie, a w takim wypadku chował się za okularami o szklach grubych jak denka od butelek i na nowo wymyślał swój życiorys, stosownie do sytuacji. Amerykanki – a zwłaszcza Anna – wydawały się jednak o wiele bardziej prostolinijne. Nie czuł przy nich potrzeby grania żadnej roli, ale ponieważ odgrywanie ról było nieodłącznym

elementem jego dorosłego życia, trudno mu było znaleźć coś na jego miejsce. Dlatego milczał. Teraz szeptała mu do ucha, pachnąc świeżo, nie tak jak dziwka, i muskając palcami grzbiet jego dłoni.

– ARP? – powtórzyła szeptem.

– Ee... Air-Raid Precautions – wyjaśnił. – Obrona przeciwlotnicza. No wie pani, unikanie bomb.

– Okropność! – Jej palce zostały na chwilę na grzbiecie jego dłoni. – Dopiero co przyjechałam do Londynu, żeby zostać kimś w rodzaju asystentki wuja Joego, a miastu już grozi zniszczenie.

– Mam nadzieję, że pozwoli pani oprowadzić się po Londynie. Znam tu wszystkie najlepsze schrony przeciwlotnicze.

Ten nieporadny i niezamierzony dowcip zdradzał jego skrępowanie, ale ona skwitowała to śmiechem.

Na końcu stołu jej wuj skończył jeść placek z jabłkami i plasterek żółtego sera, po czym uznał, że przyszła pora na rozrywkę po posiłku. Wcześniej chciał zaprosić ambasadora Niemiec Dirksena, ale ten był już umówiony, więc Kennedy musiał się zadowolić jego faszystowskim odpowiednikiem z Hiszpanii, księciem Alby.

– Wie pan, książę, niektórzy twierdzą, że nadszedł koniec demokracji w Europie. Jak pan sądzi?

Churchill natychmiast podniósł głowę.

– Koniec? – warknął, nie dopuszczając Hiszpana do głosu.

Kennedy zdążył już zdjąć marynarkę, a teraz zsunął szelki. Pora na sprzeczkę.

– Mam na myśli to, że po ostatniej wojnie Brytyjczycy i Francuzi próbowali narzucić demokrację całej Europie, ale niech pan się rozejrzy. Wszystko poszło w diabły – albo zupełnie przepadło. Niemcy, Włochy, Hiszpania, Austria – a teraz Czechosłowacja. W Rosji

demokracja nawet się nie zaczęła. A to, co z niej zostało w innych krajach, jest żałośnie słabe.

– Czy tak brzmi język nowej dyplomacji?

– Daj spokój, sam mówisz, że powinieneś być złapać Hitlera za jaja wiele lat temu.

– Demokracja to coś w rodzaju wspaniałej sztuki. Trwa dłużej niż przez jeden akt. Musi pan być cierpliwy, panie ambasadorze.

– Tak jak ci goście z ARP, którzy wciąż czekają na hełmy?

Tani chwyt czy zamierzona zniewaga? Churchill to zignorował.

Kennedy prowokował dalej:

– Demokracja też potrafi być trudną kochanką, Winstonie, wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. A Niemcy wybrali Herr Hitlera. Nie możesz tego zlekceważyć.

– A on natychmiast zrezygnował z przeprowadzania wyborów.

– W Kraju Sudeckim zaproponował referendum.

– Ha! Tylko po to, żeby potwierdzić coś, co już zostało postanowione. Cios w plecy nieszczęsnych Czechów. Osobliwie pokrętne wyobrażenie na temat demokracji.

– Chyba o czymś zapominasz, Winstonie. Tacy brytyjscy politycy jak ty i pan Chamberlain są wybierani kilkoma tysiącami głosów, Hitlera wybrały miliony. To chyba znaczy, że Herr Hitler ma większe poparcie niż wy, prawda?

– Władzy nie zdobywa się za pośrednictwem urny wyborczej, panie ambasadorze, ją się dzieli. Władza pochodzi od ludzi. Tylko wyjątkowo skażona forma demokracji bierze tę władzę po to, żeby niewolić własny naród.

– Och, daj spokój. Mówisz mi, że to jest niewolnictwo? Miliony niewolników nie wychodzą na ulice, machając transparentami

i pochodniami, żeby podziękować za koniec głodu w kraju. Dawne niemieckie rządy były chaotyczne, karygodnie niekompetentne. Wy mogliście to nazywać demokracją, Winstonie, ale dla Niemców to była kupa gnoju. Umierali w rymsztoku. Więc Hitler zamienił kolejki po chleb na armie robotników budujących autobahny. Co w tym złego, do diabła?

– Pewnego dnia, już za kilka lat, być może za kilka miesięcy, zażąda się od nas, żebyśmy także stali się częścią Europy zdominowanej przez Niemcy. Pojawią się tacy, którzy powiedzą, że to racjonalne wyjście z sytuacji. Inni już mówią, że... nieuniknione – nie lubię tego słowa, nie ma dla niego miejsca w słownikach dyplomacji. Ci ludzie twierdzą, że będziemy dzięki temu jeszcze silniejsi, że nie możemy pozostawać wyspiarskim satelitą silnej, rosnącej Europy. Poprosi się nas o oddanie kawałka naszej niezależności i wolności, żebyśmy mogli czerpać korzyści związane z silniejszą Europą. Słowem: zażąda się od nas, byśmy się podporządkowali.

Churchill był w swoim żywiole. Odsunął od siebie talerz, robiąc miejsce na obrusie, jakby szykował się do rozrysowania planu bitwy.

– Wkrótce nie będzie nami rządził nasz parlament, lecz zagranica. Okroi się nasze prawa. Nasza gospodarka znajdzie się pod obcą kontrolą. Będą nam mówili, co wolno nam produkować, a czego nie. A chwilę później zaczną decydować, co wolno nam mówić. Już teraz zdarzają się tacy, którzy twierdzą, że nie powinniśmy pozwalać, by system rządów w Berlinie krytykowali zwykli, szeregowi angielscy politycy. Utrzymują, że jesteśmy „anglocentrykami”, zacofanymi ksenofobami. Już się nas cenzuruje, czasami zupełnie otwarcie, odmawiając nam dostępu do BBC, a czasami pośrednio, poprzez wpływ, jaki przyjaciele rządu wywierają na prasę. Każdy organ opinii

publicznej jest systematycznie odurzany albo usypiany, by zmusić go do uległości, i krok po kroku będziemy prowadzeni dalej tą drogą, aż w końcu odkryjemy, tak jak milcząca, zrozpaczona, porzucona, załamana Czechosłowacja, że jest już za późno! I że nie możemy zawrócić.

– Do diabła, właśnie tak wygląda demokracja. Ludzie chcą robić interesy z Europą, więc takie są skutki – prowokował Kennedy. – Sam to powiedziałeś, Winstonie: decydują ludzie. Przecież widziałeś, jak witali premiera. Jak męża opatrnościowego. Przez całą noc oklaskiwali go na Downing Street.

– W Monachium też bito mu brawo.

– A tobie nawet na chwilę nie przyjdzie do głowy, że możesz się mylić? Jutro w Izbie Gmin też będzie tłum, przegłosuje jego politykę. Nie zaprzeczysz, że pan Chamberlain wygra, i to w cuglach.

– Jutro może wygrać. Ale ja ich ostrzegę! I może nadejdzie dzień, gdy sobie o tym przypomną. Wkrótce odkryjemy, że ponieśliśmy całkowitą i bezsprzeczną klęskę, nie oddawszy w swojej obronie ani jednego strzału.

Churchill zmiotł dłonią okruszki ze stołu, jakby były niewidzialnymi dywizjami pancernymi.

– Winstonie, dostaliście baty, bo nie macie czym walczyć. Pogódź się z tym, nie macie szans w żadnej wojnie. Dlatego musieliście uciekać.

Dwie zaciśnięte pięści uderzyły w stół, tak że wszystkie srebra podskoczyły. Wino Churchilla chlusnęło znad krawędzi kieliszka. Rosło na obrusie jak ciemna plama na mapie środkowej Europy.

– Hitler zażądał uczyty z nieszczęsnej Czechosłowacji, a my, zamiast stawić opór jego żądaniom, z radością podaliśmy mu ją kawałek po

kawałku! Przystawił nam pistolet do głowy i zażądał jednego funta. Gdy mu go daliśmy, znowu wyjął pistolet i zażądał dwóch. W końcu pan Chamberlain pomachał parasolką i zgodził się zaoferować jeden funt siedemnaście szylingów i sześciopensówkę, a resztę przekazać w formie obietnicy przyszłej życzliwości. Mój kraj spala się ze wstydu.

– W oczach starszego mężczyzny widać było łzy. Wstał. – Przepraszam. Za bardzo uległem emocjom. Ale ambasador nie powinien mówić tego, co powiedział. Mamy za sobą okropny etap historii, Europie przystawiono pistolet do głowy, a zachodnie demokracje okazały się niedoskonałe. Ale to jeszcze nie koniec. To dopiero początek końca. Pierwszy łyk, przedsmak gorzkiego napoju, którym będziemy częstowani rok w rok, dopóki nie odzyskamy woli i wigoru i nie wytrącimy go z ręki dyktatora!

Wśród zgromadzonych zapadło milczenie. Rzecz jasna, był to spektakl, a Winston zawsze przesadzał z odgrywaniem swojej roli. Świeczka zamigotała, kapiąc woskiem na obrus i piętrząc się tam jak tysiąc konsekwencji. Churchill potrzebował dłuższej chwili, żeby się uspokoić.

– Jest wiele do zrobienia. I bardzo mało czasu. – Wyzywająco wodził wzrokiem po gościach. – W Monachium rząd musiał wybrać między wojną a hańbą. Wybrał hańbę. Mówię wam, że wojnę też dostanie. – Oschle skinął w stronę Kennedy’ego. Jego gest zdrzął na krawędzi pogardy. – Chodźmy, Bracken. Pora wracać do obowiązków.

Zanim Bracken zdołał się spostrzec, on także stał, mamrocząc do Anny przeprosiny i pospiesznie żegnając się z ambasadorem, oburzony, że Churchill znowu nie spytał go o zdanie. Niech to szlag, wcale nie chciał wychodzić, jeszcze nie teraz. Churchill zawsze traktował otaczających go ludzi jak kogoś niewiele lepszego od

ministrantów czekających, żeby mu służyć. Mówili o nim, że przypomina Mojżesza, tylko że jako człowiek skromniejszy zadowala się jednym przykazaniem: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”.

– Szkoda, że musisz już uciekać, Winstonie – zawołał Kennedy za wychodzącymi, świadomie pogłębiając ich ból. – Pozdrów ode mnie Neville’a. I wpadnij jeszcze kiedyś. Przyjdź w Święto Dziękczynienia. Wtedy zwykle faszerujemy indyki¹.

– I niech pan nie zapomni o schronach przeciwlotniczych! – zawołała niewinna w swej ignorancji Anna.

– Ha! Ani o hełmach. Jeśli uda wam się jakieś znaleźć...

Burgess wiedział, że to będzie jeden z tych dni, gdy upije się bardzo wcześnie i zrobi coś na wskroś przerażającego. Czasami nie potrafił się powstrzymać, czuł, że popycha go do tego jakaś siła, bardzo podobna do tej, która zmuszała jego serce do bicia, a płuca do napełniania się powietrzem. Kiedyś któryś z jego przyjaciół nazwał to formą szaleństwa, lecz chodziło po prostu o to, że Burgess spoglądał na świat innymi oczami – szerzej otwartymi, widzącymi więcej, niż wymagały konwenanse i poprawność – co w tym momencie wcale nie było trudne, bo konwenanse wymagały, by świat był bardziej ślepy i nieświadomy niż kiedykolwiek wcześniej.

Najdobitniej uświadomił mu to tego ranka kontroler Działu Rozmów Radiowych BBC. Burgess przypuszczał, że będą kłopoty, na wszelki wypadek nawet zjawiał się w rozgłośni o czasie, by już na wstępie nikogo do siebie nie zrazić, lecz punktualność, podobnie jak wszelkie argumenty, nie była w stanie osuszyć oceanu poirytowania, który na niego czekał.

Kwestią sporną był Churchill. Burgess przekonywał cicho, a potem z rosnącą siłą, że udział starszego męża stanu doda głębi i atrakcyjności jego programowi na temat problemów bezpieczeństwa w basenie Morza Śródziemnego. Zgadzał się, że temat nie jest zbyt porywający, ale tym bardziej należało zaprosić Churchilla. Kontroler najzwyczajniej odmówił i wrócił do lektury „Timesa”, a Burgess stał przed biurkiem jak niesforny uczeń. Zaczął jednak obgryzać paznokcie i nie ruszył się z miejsca.

– Dlaczego? Dlaczego... nie?

– Decyzja kierownictwa, stary – odrzekł kontroler, udając znudzenie.

– Ale pomóż mi to zrozumieć. Skoro ośmieszam się, proponując zaproszenie Churchilla, to wyjaśnij mi, dlaczego to takie śmieszne, żebym więcej nie popełniał podobnych błędów.

Poirytowany kontroler zaszeleścił gazetą, lecz nie odpowiedział.

– Dlatego że on jest ekspertem w sprawach zagranicznych?

Cisza.

– A może dlatego, że to jeden z najbardziej znanych historyków naszej epoki?

Szeleszczenie przybrało na sile.

– Wiem. To dlatego, że ma kiepski głos.

Cisza.

– A może jesteś zbyt ciemny albo po prostu zbyt uprzedzony, żeby wyjaśnić to za pomocą słów?

– Niech cię szlag, Burgess!

– O, pewnie mnie trafi, ale nie będę odosobniony. Bo wiesz, co myślę? Że nie możesz mi powiedzieć, dlaczego odsunięto Churchilla, ponieważ sam nie wiesz – albo nie chcesz wiedzieć. Ci, którzy kazali ci

to zrobić, nie byli na tyle uprzejmi, żeby ci to wyjaśnić. Po prostu kazali ci nasmarować tyłek wazeliną, trzymać Churchilla z dala od radia, i tyle. Ty tylko wykonujesz rozmazy, prawda?

– Obyś zgnił w piekle! Co ty możesz wiedzieć o tych sprawach?

– Wystarczająco, by zdawać sobie sprawę z tego, że zazwyczaj nawet ty nie jesteś aż takim dupkiem.

– Słuchaj, Guy. Nastąpiły trudne czasy. Cholernie trudne. Czasami musimy robić coś, co nam się nie podoba.

– Więc to nie ty podjąłeś tę decyzję?

– Niezupełnie...

– Jak wysoko zapadła?

– Tak wysoko, Guy, że aby tam przetrwać, potrzebowalbyś maski tlenowej.

– Wiesz, co myślę?

– Spójrz prawdzie w oczy, Guy, dzisiaj nikogo nie obchodzi, co myślisz ty albo ten twój cholerny Winston Churchill.

Burgess dopadł do biurka i jego twarz znalazła się zaledwie kilka centymetrów od twarzy kontrolera. Kontroler próbował się odsunąć, trochę z zaskoczeniem, lecz także ze wstrętem. Poczł woń surowego czosnku.

– Chyba przyszła pora, żebyś stanął w kolejce po partyjną odznakę, mam rację? – warknął Burgess.

Kontroler zaniemówił, nie był w stanie oddychać, atakowany bezczelnością i smrodem.

– Sieg-kurwa-Heil! – Burgess wyrzucił rękę w górę, odwracając się i wybiegając za drzwi, które kopnął tak mocno, że trzeba było wezwać stolarza do naprawy zawiasu.

Właśnie dlatego postanowił się upić. Chciał się upić, unicestwić, a potem zobaczyć, co zgotuje mu los. Na razie było jednak trochę za wcześnie, nawet dla niego. Nie lubił się upijać przed południem. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie dać ujścia frustracji w podziemnych toaletach na Piccadilly Circus, ale akurat zwiększono liczebność policyjnych patroli, więc nie było szans, żeby uszło mu to na sucho. Zbyt wielkie ryzyko, nawet dla niego. Uznał zatem, że zrobi coś dla zabicia czasu. Pójdzie się ostrzyc. W Trumper's.

Tak poznał McFaddena.

– Ma pan dobre, gęste włosy, sir. – Tak naprawdę zaczynały się już cofać i przypominać coś, w czym można by uwić gniazdo. – Ładny skręt. Ale nieczęsto je pan obcina.

– Jest wiele rzeczy, które powinienem robić częściej – warknął Burgess.

– Jak mam pana ostrzyc, sir?

– Najlepiej w milczeniu.

Nagle Burgess poczuł się podle. Bez powodu był nieuprzejmy dla golarza, co samo w sobie niespecjalnie skłaniałoby go do żalu. Burgess miał język naostrzony karborundem i jego nieuprzejmość była legendarna. McFadden jednak zwyczajnie ją wchłonął, spuścił oczy, nie okazał nawet odrobiny emocji czy urazy. Jakby przywykł do bicia. A to poruszyło w Burgessie zupełnie inną strunę, gdyż miał on złożoną duszę. Owszem, potrafił być okrutny i czerpać z tego przyjemność, zwłaszcza gdy był pijany, ale rzadko zdarzali się ludzie, których prawdziwe cierpienie poruszało równie mocno jak jego. Choć sam bez skrupułów zadawał ciosy, w równej mierze poświęcał swój czas, pieniądze i niespożyta energię, by pomagać leczyć rany zadane przez innych. A cała przyjemność związana z obrażaniem ludzi polegała na

tym, że było to umyślne i dawało mu poczucie spełnienia oraz wyższości, przypominając coś w rodzaju pokrętej gry intelektualnej. Kopanie kulawego golarza plasowało się znacznie poniżej jego zwykłych standardów.

Siedział cicho, z poczuciem winy, słuchając tnących nożyczek. Po chwili dobiegł go głos z sąsiedniego fotela: głęboki i tubalny, należący najpewniej do jakiegoś bankiera z City, który zbliżał się do końca burzliwego tygodnia.

– Chyba nie powinienem o tym wspominać, ale...

Finansista zaczął opowiadać, jak warstwa po warstwie pozbywa się ciężaru spoczywającego na jego interesach, a każda z tych warstw może pomóc bystremu inwestorowi w osiągnięciu pokaźnych zysków. Tyle że oczywiście nie było takiego niebezpieczeństwa, bo słyszeli go tylko golarz i ten drugi dżentelmen.

Nagle Burgess zrozumiał, jak bardzo te fotele przypominają konfesjonał: wypolerowane drewno, szepty i niemal grobowa atmosfera. Człowiek się odprężył, zamykał oczy, odpływał. A gdy znowu na siebie spoglądał, twarz patrząca na niego z lustra nie była jego twarzą, nie była tym młodzieńczym, męskim ja, które tak dobrze znał i traktował jak coś oczywistego. Zamiast niej widział – i to z każdym upływającym miesiącem coraz wyraźniej – twarz swojego dawno zmarłego ojca, jakby przybyłą z innego świata, ze świata duchów. Ze świata innych zasad, gdzie nie było sekretów, gdzie mówiono o wszystkim. Obudziło to ciekawość Burgessa. Niespokojnie się poruszył.

– Przepraszam – powiedział do McFaddena. – Mam kiepski dzień.

– Jesteśmy tu po to, żeby stał się lepszy, sir – odpowiedział Mac, wymawiając słowa powoli, głosem niewątpliwie obcego pochodzenia,

lecz trudnym do natychmiastowego zidentyfikowania. Jeszcze jeden akcent w mieście, które w ostatnich latach zalała fala uchodźców. – To wielki przywilej móc obsługiwać takich dżentelmenów jak pan. Możliwe, że to jedyna chwila w nerwowym miesiącu, gdy może się pan odprężyć. Okazja, by odsunąć na bok wszystkie zmartwienia.

– Ludzie często na pana krzyczą?

– Obsługujemy tu najróżniejszych zapracowanych dżentelmenów: biznesmenów, polityków. Czasami krzyczą, czasami tylko szepczą. Nie obrażamy się. I oczywiście zawsze traktujemy ich z należyty szacunkiem. Pomagamy im się odprężyć. Potem zapominamy.

– Przychodzą tu politycy?

– Niedawno był pan Duff Cooper. W dniu, w którym podał się do dymisji. Wcale mnie to nie zaskoczyło, sir. Od miesięcy narzekał tu na sytuację. Ćwiczył ze mną fragmenty swojego wystąpienia, siedząc na tym samym miejscu co pan. Ale można tu poznać wszystkie punkty widzenia – dodał pospiesznie Mac, nie chcąc urazić klienta. – Czasami nawet premier musi się ostrzyć, sir. Minister spraw zagranicznych też, i członkowie rodziny królewskiej.

– Każdy ma własną historię.

– Otóż to.

– A twoja historia, McFadden. Jak ona brzmi?

– Moja historia, sir?

– Gdzie przetrącono ci nogę?

– To nie jest żadna historia, naprawdę. Zmiażdżona miednica. Niefortunna sprawa, ale... – Wzruszył ramionami.

– Wypadek?

Mac strzygł dalej, milcząc w skupieniu, jakby natrafił na wyjątkowo upartą kępkę, i niespokojnie przesuwał się na chorej nodze. Ale jego

oczy mówiły wszystko.

– No więc niech zgadnę. Jeśli to nie był wypadek, ktoś musiał pana zaatakować. W jakiś sposób pobić. Może został pan ranny podczas wojny?

– Niedługo po wojnie, sir.

– Gdzie?

Mac nie chciał się wydać niegrzeczny albo nierozmowny, ale nie miał też ochoty się zwierzać. W tę grę grało się inaczej. To klient kwęczał i paplał, a golarz słuchał, nie odwrotnie. Na szczęście angielscy dżentelmeni bardzo bali się okazywać ignorancję w obecności przedstawicieli niższych klas, więc Mac był przekonany, że wie, jak położyć kres tej rozmowie.

– W miejscu, o którym zapewne nigdy pan nie słyszał, sir. Za granicą. Na Wyspach Sołowieckich.

– O kurwa – szepnął powoli Burgess.

– Słucham, sir?

– W gułagu.

Zaskoczony Mac zadrżał i upuścił nożyczki.

– Proszę, sir. – Rozejrzał się nerwowo, jakby w obawie, że ktoś podsłuchuje. – Nie lubię o tym mówić. A w takim zakładzie...

– Biedaczysko.

Mac był wytrącony z równowagi. Drżącymi rękami podniósł nożyczki z podłogi i o mało nie zapomniał wymienić ich na świeżą parę z tacy ze zdezynfekowanymi narzędziami. Wpatrywał się w Burgessa, a na jego twarzy wzbierały ból i opór, których nie było w stanie wytrzebić nawet pół życia uległości. Burgess patrzył mu prosto w oczy.

– Bez obaw, panie McFadden, nie chciałem wprawiać pana w zakłopotanie. Przykro mi, że przeżył pan tyle złego.

Mac zauważył coś w oczach Burgessa – iskierkę, drzwi, które otworzyły się tylko na chwilę i szybko zostały zamknięte, lecz w tym momencie Mac zdążył za nimi ujrzeć drugiego cierpiącego człowieka, a może nawet skrywane przerażenie. Osobnik siedzący na jego krześle rozumiał. I dlatego gdy Burgess wysunął pewną propozycję, Mac zgodził się zrobić coś, czego nie śmiałby uczynić żaden golarz znający swoje miejsce. Umówił się z Burgessem na drinka.

Wejście do Shepherd Market znajdowało się dokładnie naprzeciwko Trumper's. Był to labirynt uliczek i małych podwórek ukryty w sercu Mayfair. Głodny człowiek mógł się tu natknąć na zdumiewającą różnorodność pubów i restauracji, przeważnie cudzoziemskich, a jeśli zapuścił się trochę dalej, mógł znaleźć wąskie klatki schodowe prowadzące do pokoiów, w których zaspokajało się także wiele innych pragnień.

Gdy przyszedł Mac, Burgess stał przy barze w Grapes, tak jak zapowiedział. Palił, osłaniając papierosa dłonią, i popijał ogromną irlandzką whisky. Golarz wspiął się na taboret. Mac był niski, żylasty, jego ramiona nierówno opadały, jakby chciały zrekompensować mu krzywą nogę, plecy miał już zgarbione, być może od pochylania się nad klientami. Siwiejące, rzadkie włosy starannie przyczesał, a skóra pod jego ustami była pomarszczona, jakby broda próbowała się wycofać i poszukać schronienia przed ciosami. Nie miał jeszcze czterdziestki, ale wyglądał znacznie starzej.

– Nie byłem pewny, czy pan przyjdzie – zaczął Burgess, lecz nie wyciągnął ręki. Anglicy nigdy tego nie robią.

– Ja też nie byłem pewny, czy przyjdę. Zwłaszcza gdy zobaczyłem pana w tym barze. Jest dla mnie trochę za drogi.

– Ja stawiam. Czym się pan truje?

– Byłbym wdzięczny za kufel milda, panie Burgess.

Burgess zauważył, że służalcze „sir” zniknęło. To było spotkanie ludzi równych sobie. Burgess wyjął z kieszeni gruby zwitek banknotów i zapłacił za kufel nijakiego brązowego płynu.

– W gułagu tego nie było, prawda McFadden?

– Było wiele rzeczy. Przede wszystkim przemoc i głód. Ale zawsze mieliśmy mnóstwo pracy, żeby wypełnić puste chwile. – Pociągnął duży łyk i wytarł usta grzbietem dłoni. Biegła po niej stara blizna, przygaszona upływem czasu, a jeden z palców był krzywy – najwidoczniej został kiedyś złamany i źle go nastawiono.

– Jak pan trafił na Wyspy Sołowieckie?

– A kto by to teraz wiedział? Przez wiele innych obozów. Przenoszono mnie z jednego do drugiego, zapominano o mnie, przypominano sobie i znowu mnie przenoszono. Nie byłem przestępcą, tylko pechowcem. W tym cały problem. Widzi pan, zupełnie zapomnieli, dlaczego tam się znalazłem, więc nie mogli mnie wypuścić. Brakowało odpowiednich papierów. Gdyby mnie wypuścili i okazałoby się, że popełnili błąd, sami musieliby odsiedzieć mój wyrok. Takie sprawy trzeba załatwiać, jak należy. No więc trzymali mnie dalej, na wszelki wypadek. Jedynym powodem, dla którego pamiętam właśnie Wyspy Sołowieckie, a nie któryś z wielu innych obozów, jest to. – Pokazał na swoją nogę.

– Jak to się stało?

– Budowaliśmy nowy dok. Był chyba luty. Zima na północnym kole podbiegunowym. Od tygodni nie widzieliśmy słońca. Kazano mi

rozładować wóz pełen ciężkiego drewna. Było ciemno i zimno, wszystko na mnie spadło.

– Myślałem, że to nie był wypadek.

Ich oczy znowu się spotkały, prawie jakby ścierały się w walce.

– Gdy temperatura spada do trzydziestu stopni poniżej zera, masz za sobą dziewięć godzin pracy bez jedzenia, nie czujesz rąk ani nóg, gdy cała sterta drewna zamarza na kość, a tego dnia strażnicy pobili cię już dwa razy, bo jakiś szczegół nie spełnił zakładanych norm, i grożą, że będą cię bili, dopóki nie wyładujesz drewna... Nie nazwałbym tego wypadkiem. A pan, panie Burgess?

– Musi pan nienawidzić Rosjan.

– Dlaczego? Większość innych więźniów to byli Rosjanie.

– W takim razie Sowietów, strażników.

– Nieszczególnie. Oni po prostu przejęli obozy zbudowane przez carów i nie znali niczego innego. Zresztą ostatecznie to właśnie sowiecki lekarz ocalił mi życie. Miałem szczęście, panie Burgess. Na początku wojny miałem liczną grupę przyjaciół, lecz nikt oprócz mnie nie przetrwał. Wszyscy zginęli, co do jednego. To nie była wina bolszewików. Jeśli pominąć małego Mońka.

Burgess zaproponował drugie piwo, ale Mac nie wypił jeszcze nawet połowy pierwszego, więc podziękował. Burgess zamówił zatem drugiego dużego Jamesona.

– Więc czyja to była wina?

– Systemu.

– Jakiego systemu?

– Każdego. Tak jest wszędzie. Politycy i rządzący decydują, wydają dekryty, a za swoje błędy kazań płacić takim jak ja, zwykłym ludziom. Rewolucja w Rosji, panie Burgess, miała przynajmniej tę zaletę, że gdy

zastrzelono cara, wreszcie ktoś zapłacił za swoje błędy. To chyba pewnego rodzaju postęp.

Burgess uznał, że to doskonała chwila na rozpoczęcie gry.

– W pewnym sensie właśnie dlatego chciałem się z panem spotkać, panie McFadden. Z powodu Systemu. Żeby prosić pana o pomoc. Wie pan, że pracuję dla BBC?

– Nie, panie Burgess, nie wiedziałem. Sporo o panu wiem, ale tego akurat nie.

– A co takiego pan o mnie wie, do diabła?

– Że pańska praca wymaga dużo pisania – sądząc po smugach atramentu na pańskich palcach i po plamie na kieszeni marynarki. Poza tym ma pan w związku z nią dużo stresów – niech pan spojrzy na swoje paznokcie. Wiem też, że nie jest pan żonaty. I prawdopodobnie nigdy nie będzie.

– Co? – mruknął nieco zaniepokojony Burgess.

– Spozrzegawczy golarz bardzo dużo wie o swoich klientach. Weźmy na przykład ten pański kołnierzyk. Nigdy nie znajdował się w pobliżu kobiety. A jeśli reszta pańskiej garderoby wygląda podobnie, ma pan równie wielkie szanse na zdobycie żony, jak Stalin na zostanie papieżem. Jest pan inteligentnym człowiekiem, z pewnością pan o tym wszystkim wie, a jednak najwyraźniej wcale to pana nie martwi. Zatem nie jest pan bawidamkiem.

– Myśli pan, że próbuję pana poderwać?

Mac lekko się uśmiechnął.

– Nie. Mając pieniądze, jakie przed chwilą wyciągnął pan z kieszeni, na pewno nie musiałby pan zaprzętać sobie głowy kimś takim jak ja. W każdym razie z mojego doświadczenia wynika, że wy, dżentelmeni, macie przenikliwe umysły – czy to właściwe słowo? Od

razu wiecie, czy marnujecie czas. Pan i ja modlimy się w różnych kościołach. Ale nie formułuję pochopnych opinii, panie Burgess, o nie. Widzi pan, w obozie człowiek uczy się przetrwania za pomocą wszelkich koniecznych środków. Wszelkich, panie Burgess, cokolwiek by to nie było. W przeciwnym razie się umiera. Rozumie pan?

– Chyba tak.

– W obozach nie ma miejsca na moralizowanie. Więc nie moralizuję, nawet gdy mówię o swoich klientach.

Mac dobrze się bawił. Miał kontrolę, zyskał przewagę, czuł się zupełnie inaczej, niż będąc pod czyimś butem. Właśnie dlatego zgodził się na to spotkanie. Dostrzegł w Burgessie kogoś, kto cierpi bardziej niż on sam. Poza tym przyszedł z ciekawości.

– Ustaliliśmy zatem, że nie zależy panu na moim ciele, panie Burgess. Czego więc pan chce?

– Uważamy się za pieprzonego Sherlocka Holmesa, co? – warknął Burgess, ale zrobił to z uśmiechem, prawiąc komplement, i w końcu udało mu się namówić gościa na drugie piwo.

– Niech pan zrozumie, panie Burgess, że najlepiej poznaje się mężczyznę, polerując mu buty albo obcinając włosy. W ten sposób widzi się go w całości, od stóp do głów. Jeśli wolno mi podzielić się z panem opinią, panie Burgess, problem z większością angielskich dżentelmenów polega na tym, że nigdy nie poświęcają czasu na poznanie drugiego człowieka. To kwestia klasowa. Anglik zawsze patrzy w górę – i zwykle spogląda na czyjeś plecy.

– Nie lubi pan Anglików?

– Anglików pewnego rodzaju. Mam klientów, których strzygę od lat, a oni za każdym razem pytają mnie o nazwisko. Pan je znał, chciał je poznać, od samego początku. Nieważne dlaczego, wystarczyło, że

okazał pan zainteresowanie, że nie traktował mnie pan z góry. No więc pomyślałem, że ja też okażę zainteresowanie. Co mogę dla pana zrobić?

Burgess wychylił nowego drinka jednym haustem.

– W zasadzie to nie jestem pewny, czy pan może, ale... pracuję dla BBC. Zajmuję się audycjami o polityce. Lubię tę pracę, jest ważna – ważniejsza niż kiedykolwiek dotąd – ale przypomina jazdę we mgle. Rząd prawie nic nam nie mówi, a to, co mówi, jest pokręcone jak śrubokręt. Albo kłamie, obiecuje pokój dla naszych czasów, a my mimo to zmierzamy ku wojnie, czy to się nam podoba, czy nie.

Głęboko osadzone oczy golarza wpatrywały się w niego – nieruchome, niewyrażające zgody, ale sprzeciwu też nie.

– No więc muszę zrozumieć. Jeśli mamy iść na wojnę, chcę, do cholery, dowiedzieć się dlaczego. I gdy siedziałem w pańskim fotelu, nagle sobie uświadomiłem, że ludzie, których pan codziennie widuje, to ci sami, którzy podejmują decyzje. I że oni do pana mówią. Gdyby mógł mi pan pomóc zrozumieć ich myśli, ich plany, byłbym w stanie o wiele lepiej wykonywać swoją pracę.

– Panie Burgess, strzygę polityków, ministrów, najróżniejszych wpływowych ludzi. Zwierzają mi się, bo myślą, że jestem opóźniony, głupi, pochodzę z klasy robotniczej i z zagranicy. Zakładają, że i tak nic z tego nie rozumiem. A pan chce, żebym przekazywał panu ich zwierzenia.

A niech to, facet miał głowę na karku.

– Nie proszę pana, żeby zdradzał pan sekrety ani nic w tym rodzaju...

– Ja sekrety, panie Burgess? Skoro mówią to mnie, zwykłemu golarzowi, to czy mogłyby to być sekrety?

– Przepraszam, jeśli czuje się pan urażony, pójdę już...

Mac sączył piwo i zastanawiał się. Powoli, łyk po łyku opróżnił kufel i delikatnie odstawił go na wypolerowany bar.

– Urażony? Panie Burgess, nie jestem urażony tym, że próbuje pan wykonywać swoją pracę. Rażą mnie gułagi, ale to, co się teraz dzieje w Europie, doprowadzi do czegoś znacznie, znacznie gorszego niż gułagi. Tym czuję się urażony. Tym i czymś jeszcze. Dziś rano czytałem gazetę. Zostawił ją pewien dżentelmen, interesowała go tylko kronika dworska i wiadomości z wyścigów konnych. W środku znalazłem mały artykuł. Najwidoczniej niezbyt istotny. O tym, jak w Wiedniu świętowano zwycięstwo Hitlera w Czechosłowacji, wyłapując Żydów. Wywlekano z domów całe rodziny i kazano staruszkom siedzieć całą noc na gałęziach drzew jak ptaki. O tej porze roku w Wiedniu czasami pada śnieg, panie Burgess. A starych mężczyzn ustawili na ulicy w szeregu przed ich córkami i ogolili im intymne części ciała, mówiąc, że to program odwyszawiania. Upokorzyli ich nie dlatego, że ci ludzie zrobili coś złego, ale z powodu tego, kim są. Potem oznajmili im, że nie mogą wrócić do domów, bo ich domy skonfiskowano. Jeśli ktoś protestował, słyszał, że zostanie wywieziony do Dachau. Albo że spotka go coś jeszcze gorszego. Ciekawy dobór słów: „Dachau albo coś jeszcze gorszego”. Jak pan myśli, panie Burgess, co chcieli przez to powiedzieć?

– Szczerze mówiąc, wolałbym nawet o tym nie myśleć.

– Ale ktoś musi myśleć, panie Burgess. I to jest jasne jak czerw w kawałku klopa, że pan Chamberlain nie ma zamiaru tego robić.

– Jest pan Żydem?

McFadden pokręcił głową, jakby próbował odpędzić natarczywą muchę.

– Nieważne, kim jestem. Ani kim pan jest.

– To znaczy?

– Żyjemy w skomplikowanym świecie. Wątpię, żeby tę gotówkę, którą trzyma pan w kieszeni, dostał pan od BBC na golarza.

Burgess zatuszował nagły niepokój śmiechem – Boże, ten facet miał łeb na karku.

– Uwierzyłby pan, gdybym powiedział, że żyję z zysków, jakie moja matka czerpie z nierządu?

– Wszyscy jesteśmy zakładnikami swojej przeszłości.

– Chciałby pan otrzymywać zapłatę?

Mac powoli pokręcił głową.

– Nie. Jeśli pan chce, może mi pan postawić drinka, ale nie będę panu pomagał dla pieniędzy. Zrobię to, bo jeśli pan Chamberlain źle rozegra sprawę, zginie wielu ludzi. Takich jak ja i Moniek. Nie takich jak pan Chamberlain.

– Kto to jest Moniek?

– To już bez znaczenia.

– Niech pan wypije jeszcze jedno piwo.

McFadden ponownie pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. To był ciężki tydzień, a podobnie jak pan jestem mężczyzną samotnym. Czuję, że potrzeba mi małej odskoczni. Dopóki takie rzeczy są jeszcze dozwolone. Jeśli pan pozwoli, chyba przespaceruję się po Market. Zobaczę, co się dzieje.

– Będziemy w kontakcie, McFadden. Dzięki – powiedział Burgess, gdy drugi mężczyzna zsunął się z taboretu i pokuśtykał w stronę wyjścia.

W drzwiach przystanął i odwrócił się.

– Wie pan co, panie Burgess, w takim tempie skończy pan jako najlepiej ostrzyżony facet w Wielkiej Brytanii.

Tego wieczoru, idąc do domu, McFadden przystanął obok drzwi synagogi na końcu Kensington Park Road. Nie wchodził do synagog, odkąd był nastolatkiem, ale teraz się zawahał, dręczony wspomnieniem Mońka, sprawami, które ukrywał przez tyle lat. Położył rękę na drzwiach. Prawie odczuł ulgę, gdy okazały się zamknięte.

Churchill zabrał głos w debacie na temat Monachium – albo, jak ją nazwano w Hansardzie, spraw europejskich. Mówił o hańbie, o zupełnej i kompletnej porażce, o rażącym zaniedbaniu i ułomności, o tym, że jego kraj został poddany ocenie i okazał się niedoskonały. Przemawiał wspaniale, był gwiazdą przewodnią buntowników. Tych było niewielu, około trzydziestu, ale zajmowali wysokie stanowiska, byli ludźmi wielkiego formatu – jak na przykład były minister spraw zagranicznych Anthony Eden, Duffie Cooper, Leo Amery, Bobbety Cranborne, admirał floty sir Roger Keyes, Macmillan, Boothby, Duncan Sandys, Harold Nicolson. Ten ostatni zapisał w swoim dzienniku: „Nasza grupa uznała, że będzie lepiej, jeśli wszyscy powstrzymamy się od głosu, niż gdyby część miała się powstrzymać, a część zagłosować przeciwko. Siedzimy zatem na swoich miejscach, co z pewnością rozwściecza rząd, ponieważ najważniejsza jest nie nasza liczebność, lecz nasza reputacja”.

Miał rację. Rząd był wściekły. Gdy Chamberlain wstawał z miejsca, by przyjąć rześiste oklaski ze wszystkich stron, decyzja już zapadła. Buntownicy, mniej więcej trzydziestu, byli odtąd naznaczeni, wszyscy co do jednego. Reputacja, o której Nicolson pisał z taką dumą, niebawem miała być systematycznie szargana.

1 Ang. turkey – indyk, ale także Turkey, czyli Turcja. Kennedy nawiązuje do porażki Churchilla w największej kampanii desantowej podczas I wojny światowej: w bitwie pod Gallipoli (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Rozdział czwarty

Chamberlain. Chamberlain. Dokądkolwiek człowiek poszedł, pojawiała się to nazwisko. Neville Chamberlain. Bez niego żadne wydarzenie nie wydawało się kompletne. Jego nazwisko było na ustach wszystkich. Na jego cześć zaopatrywano szpitale w dodatkowe łóżka, Francuzi otworzyli fundusz, żeby w dowód wdzięczności podarować mu kawałek francuskiej ziemi, a jego zdjęcie zdobiło gzymsy kominków w tysiącach domów – „The Times” oferował je nawet czytelnikom w formie pamiątkowej kartki bożonarodzeniowej. Publiczna wrzawa osiągnęła takie rozmiary, że mogła zakończyć się kompromitacją. Chamberlain czuł się w obowiązku wydać oświadczenie, odrzucając zgłoszony przez biskupa Coventry pomysł utworzenia Funduszu Hołdu Narodowego na swoją cześć. Żyli przecież w systemie demokratycznym.

– Przyjechał już?

W pytaniu królowej wdowy Marii nie było ani krzty zniecierpliwienia – nawet matka króla nie mogłaby się niecierpliwic w oczekiwaniu na człowieka tak bardzo zajętego ratowaniem świata. Brakowało im go jednak. Zebrali się w salonie w Sandringham, wymyślnie urządzonej, zatłoczonej pomieszczeniu obwieszonym rodzinnymi portretami, czaszkami jeleni i darami przekazanymi w epoce wiktoriańskiej przez poddanych, którzy za bardzo starali się zadowolić władców. Schodów strzegł olbrzymi wypchany niedźwiedź. Królowa Maria usiadła w fotelu przy kominku, trzymając w ręce

kieliszek sherry, a u jej boku stali dwaj mężczyźni, czekając i przy okazji ogrzewając się przy huczącym ogniu. Pierwszy z nich, Edward Halifax, minister spraw zagranicznych, czuł się w królewskim domu jak u siebie, gdyż zajmował pozycję gwarantującą osobiste przywileje, jakich rzadko doświadczali politycy. Był bliskim przyjacielem króla. Często jadali razem posiłki, tylko we dwóch, i Halifax dostał klucz do ogrodów pałacu Buckingham, dzięki czemu mógł przez nie przechodzić codziennie rano w drodze do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Król ćwiczył w ogrodach strzelanie ze strzelby i często zatrzymywał Halifaxa, żeby podzielić się z nim poglądami na sprawy państwowe, ale przede wszystkim by zwyczajnie nacieszyć się jego towarzystwem. Król-cesarz czuł się czasami samotny. Jerzy VI był stosunkowo mało doświadczony – monarcha z przypadku. Poza tym cierpiał na tak poważną wadę wymowy, że jego słuchacze często nie byli w stanie zgadnąć, czy Jego Wysokość zamilkł, żeby się zastanowić, czy po prostu się zaciął. W rezultacie wystąpienia publiczne go przerażały i być może dlatego czuł się swobodnie w towarzystwie Halifaxa, który także i w widoczny sposób dźwigał razem z nim pecha wąskiego rodowodu. Wicehrabia był niezwykle wysoki, tyczkowaty, lekko przygarbiony, łysy i urodził się bez lewej ręki. Rękaw jego garnituru z Savile Row wypełniała jedynie proteza, gumowa pięść. Dowcipnisie nazywali go „Jednorękim Eddiem”. I podobnie jak król cierpiał z powodu płaczącego się języka – nie był w stanie wymówić „r”. No więc ci dwaj spacerowali, rozmawiali, jękali się i czerpali pociechę ze swojego towarzystwa. W rezultacie między niepospolitymi mężczyznami zrodziła się niepospolita więź.

Przy kominku ogrzewał się też Joseph Kennedy. Ambasador był, rzecz jasna, pospolity jak błoto Nowej Anglii i nie miał prawa czuć się

jak u siebie w zaciszach brytyjskiej rodziny królewskiej, ale gwizdał na to. Podobnie jak harde wino był le nouvel arrivé: cierpki i obcesowy, lecz królowa Maria uważała go za doskonały nabytek. Zuchwale zwracał się do niej „Wasza Łaskawość”, co wywoływało na jej twarzy rzadko widywany uśmiech, i podzielał wiele z jej uprzedzeń.

– Czy Amerykaninowi wolno powiedzieć angielskiej królowej, że olśniewająco dziś wygląda? – zaczął Kennedy.

– Myślę, że w tej sprawie możemy zrobić wyjątek, nie sądzi pan, panie ministrze?

– Bez wątpienia.

Lokaj z kryształową karafką wślizgnął się między nich, żeby uzupełnić kieliszek Jej Wysokości. Miał na sobie odświętny dworski strój: pończochy, pumpy, buty ze sprzączkami, kryzę. Kennedy zastanawiał się, czy nie udałoby mu się pożyczyć tej kreacji na Halloween.

– Mam nadzieję, że dobrze się panowie dzisiaj bawili.

– Fruwały nisko i powoli. Tak jak lubię – odrzekł ambasador, który mimo całej swej ckliwości dla Dzikiego Zachodu strzelał kiepsko.

– Dla nas był to szczególnie szczęśliwy dzień – oznajmiła królowa Maria, z zadowoleniem poklepując się po udach. – Podczas gdy panowie starali się coś upolować na kolację, wypiałam herbatę z naszym siostrzeńcem Fritzim. Księżciem Prus – dodała podstarzała królowa wdowa na użytek Amerykanina. – Cóż za uroczy chłopiec. Przywiózł mi wieści i listy z Doorn.

Mina Amerykanina wyrażała bezbrzeżną ignorancję.

– Z Doorn... w Holandii – wyjaśnił Halifax. – Cesarz ma tam swoje posiadłości. Mieszka na wygnaniu od zakończenia wojny.

– Widzi pan, panie ambasadorze, to nasz kuzyn. Byliśmy bardzo zżyci. Może pan sobie wyobrazić, jak trudne były dla nas ostatnie dni.

Kennedy zaczął sobie przypominać odprawy w Departamencie Stanu. Jasne, więzy rodzinne były ważne, wcale temu nie zaprzeczał, ale te, które łączyły rodziny królewskie Niemiec i Wielkiej Brytanii, przypominały genetyczną pętlę. Niemcy rządili Wielką Brytanią przez większą część ostatnich dwustu lat. Nazywali się Hanowerczykami. Część z nich ledwo mówiła po angielsku, wszyscy mieli niemieckie żony. Nawet królowa wdowa siedząca obok niego w fotelu była księżniczką jakiegoś Tecku – oraz Hesji i Wirtembergii, skoro już o tym mowa – a wypędzony cesarz – wojenny podżegacz, szczypiący w pośladki i kręcący węża Wilhelm – był wnukiem Wiktorii. Brytyjska rodzina królewska wykazywała wręcz monumentalne pragnienie zniknięcia w gąszczu swoich korzeni.

– To niepojęte, znowu wojna. Między Wielką Brytanią a Niemcami. Kuzyni przeciwko kuzynom. Prawda, panie ambasadorze? – spytała królowa Maria.

– W głowie się nie mieści – zgodził się, choć najwyraźniej tak szlachetne względy rodzinne nie zdołały ich powstrzymać poprzednim razem. Gdy padły już wszystkie słowa i ludzie przestali ginać, Wielka Wojna stała się czymś w rodzaju wielkich dąsów w rodzinie – król przeciwko cesarzowi przeciwko carowi – aż w końcu zjawili się Amerykanie i wytargali ich wszystkich za te wsobne łby.

– Niech pan pomyśli o kosztach – ciągnęła królowa wdowa. – Przecież nie byłoby nas na to stać. A imperium! – Przez chwilę wyglądała, jakby miała zemdleć, na jej upudrowanych policzkach pojawiły się czerwone plamy. – Wybuchłyby zamieszki w koloniach,

zwłaszcza w tak uciążliwych miejscach jak Bliski Wschód i Indie. – Zwróciła się do Halifaxa. – Edwardzie, przecież znasz Indie.

Halifax nisko się pochylił i na potwierdzenie skłonił głowę. Zaledwie kilka lat wcześniej przestał być namiestnikiem Indii.

– Ci... Hindusi są cudowni, o tak, przecudowni – ciągnęła królowa wdowa. – Ale mają w zwyczaju wykorzystywać sytuację, gdy tylko spuści się ich z oka. – Ściszyła głos i dodała konspiracyjnym szeptem: – Może i Herr Hitler ma pewne wady, ale weźcie pod uwagę alternatywną sytuację. Albo Niemcy zdominują kontynent, albo przypadnie on bolszewikom. A z kim wolałby pan pić herbatę, panie ambasadorze? Z niemieckim tradycjonalistą, który ma przynajmniej tyle rozumu, żeby robić z nami interesy, czy z bolszewickim rewolucjonistą, który jeden nóż przykłada ci do portfela, a drugi do gardła?

– Panie ministrze? – spytał Kennedy, unikając odpowiedzialności.

Halifax nie spieszył się z reakcją. Pytanie było złożone, długo i z ożywieniem dyskutował nad tą kwestią z kolegami i z Bogiem.

– Nie jestem wielbicieleм Herr Hitlera. To rozjuszony byk, człowiek z krwią na rękach. Mimo to nie widzę powodu, dla którego ta krew miałaby być brytyjska. Z drugiej strony bolszewizm stanowi zagrożenie dla wszystkiego, co uosabia ten kraj. – Zaczął poklepywać protezę kieszeń smokingu, jakby chciał sprawdzić, czy nie zniknął stamtąd portfel. – Niech pan spojrzy na mapę, panie ambasadorze. Największą przeszkodą stojącą na drodze Stalina są Niemcy. Bez silnego Reichu – to słowo wydostało się z jego ust koszmarne zniekształcone – nic nie będzie w stanie powstrzymać hord Stalina przed rozlaniem się na cały kontynent i w końcu zapukają do naszych drzwi. Osobiście – a jako arystokrata muszę traktować takie sprawy

osobiście – nie chciałem zostać zaszlachtowany tylko dlatego, że urodziłem się tym, kim się urodziłem. Pani wybaczy, Wasza Wysokość.

Królową wdową wstrząsnął leciutki dreszcz współczucia, wywołując błysk czterech sznurów klejnotów w jej naszyjniku. Od dawna nękały ją myśli o losie, jaki spotkał jej kuzyna, cara, którego zamordowano wraz z całą rodziną w piwnicy w Jekaterynburgu: sprowadzono po schodach, nafaszerowano kulami, a potem wykończono bagnietami. Nie, nie taki los powinien spotkać króla. Drzenie królowej wdowy przybrało na sile i zbliżyła dłoń do fałd podbródka.

Tymczasem Kennedy był w doskonałym humorze. Ogień gruntownie rozgrzał siedzenie jego spodni, a burbon, który sączył, był schłodzony i wyborny. Uznał, że to odpowiednia chwila, żeby trochę się zabawić.

– Zgadzam się z panem, panie ministrze – powiedział, podchwytyjąc wątek. – W takich czasach wszyscy musimy dokonywać wyborów. Trudnych wyborów. – Złowróźnie zamilkł. – Szkoda, że chyba nikt nie powiedział o tym panu Churchillowi.

Królowa wdowa zareagowała tak, jakby nagle natrafiła na szpilkę w poduszce fotela.

– Co za człowiek! – zawołała oburzona ze zboląłą miną.

Halifax zaczął chrząkać – głośno, dyplomatycznie – próbując dać królowej szansę wycofania się, ona jednak była we własnym domu i nie brała tego pod uwagę. Była przecież kobietą mającą reputację notorycznej kleptomanki i gospodarze, którzy zapraszali ją na kolację, wydawali służbie polecenie, by pozamykać najlepsze srebra, na wypadek gdyby wpadły jej w oko i zapragnęła schować coś do torebki.

Nigdy nie należała do dam nadmiernie przejmujących się uczuciami innych ludzi i teraz też nie miała zamiaru okazywać słabości.

– Ciska się jak byk, którego nie karmiono od tygodnia – kontynuowała, pociągając duży łyk sherry. – Gdziekolwiek się pojawi, zostawia po sobie zgliszczą.

– Doprawdy? – podpuszczał ją Kennedy, pragnąc usłyszeć więcej i nisko się pochylając.

– Przepraszam, panie ambasadorze, ale... – Przez chwilę wydawało się, że wstrząsnęła nią jej własna niedyskrecja. Jej twarz zbladła pod warstwą pudru niczym przyprószony śniegiem granit, i idąc za sugestią Halifaxa, szukała jakiejś drogi ucieczki. Tępo spojrzała przed siebie. – Edwardzie, kim jest ta kobieta? Ta ubrana jak paryska aktorka.

– Hm, ta dama obok schodów?

– Ta z naszyjnikiem, który ociera się chyba o pępek. Z pewnością nie są prawdziwe.

– Klejnoty, jaśnie pani? Możliwe, że są. To żona jednego z bankierów króla.

Wymienił nazwisko i nozdrza królowej wdowy rozszerzyły się z niesmakiem, jakby ktoś właśnie wrzucił do ognia materac z końskiego włosia. Nie był to gość, którego zaprosiłaby za swoich czasów. Ten sposób odwrócenia uwagi nie wyszedł jej na dobre. Zresztą, przekonywała samą siebie, dlaczego miałyby szukać czegoś, co odwróci ich uwagę? Była stara, a podeszły wiek stwarzał najróżniejsze możliwości ulegania swoim zachciankom: jeśli miała ochotę, mogła wskakiwać w kałuże, potrząsać balustradami i podkradać srebra. Jej mąż już nie żył, nie była już na świeczniku. Dlaczego miałyby się powstrzymywać?

– Zapomniałam, że jest pan w naszym kraju dopiero od niedawna, panie ambasadorze. Ale skoro wyraził pan zainteresowanie panem Churchillem, byłoby nieuprzejme z mojej strony nie doradzić panu w tej sprawie. Wkrótce pozna pan przeszłość pana Churchilla. Zaiste wyjątkową. – Zamilkła, żeby osiągnąć lepszy efekt i zaczerpnąć powietrza. – Nigdy nie był lojalny wobec nikogo poza sobą samym. Zmienia partie i przyjaciół, gdy jest mu tak wygodnie. Oczywiście to nie nasza sprawa, ale kiedy zaczyna mącić w interesach korony, to już zupełnie inna historia. Och, boli mnie, panie Kennedy, że mój syn Edward tak źle postąpił w związku z abdykacją. Każdej rodzinie byłoby trudno to znieść. Pan Churchill zachował się jednak wprost skandalicznie. Rozmawiał o utworzeniu Partii Króla. Chciał, żeby Edward pozostał na tronie i obrócił to wszystko w wielką polityczną awanturę. Był gotów przyjąć tę kobietę jako królową!

Jej Królewska Złość zanurkowała w sherry, gdyż przez chwilę nie była w stanie mówić dalej, a Kennedy zmusił się do powstrzymania uśmiechu, żeby zachować poważną, dyplomatyczną minę. Gdyby „ta kobieta”, czyli Wallis Simpson, była jakąś skwaszoną niemiecką grubaską, losy Edwarda wyglądałyby o wiele prościej...

Królowa ponownie podniosła głowę, wciąż targana silnymi emocjami.

– Pan Winston Churchill – postanowiła pokazać, gdzie jest jego miejsce – pan Winston Churchill zrobił więcej niż jakikolwiek inny plebejusz od czasów Cromwella, by doprowadzić naszą rodzinę na skraj ruiny. Równie dobrze mógłby być bolszewikiem!

Halifax, bojąc się, że królowa matka mogłaby zapuścić się w niewygodne rejony, postanowił ją uratować.

- Winston miał wiele trudnych okresów - wyjaśnił Kennedy'emu - ale najgorszy był spór o abdykację. Wrócił do Izby Gmin po czymś, co można by nazwać, hm... obfitym lunchem, i nie chciał siedzieć cicho. Uparł się, że wygłosi mowę przeciwko abdykacji. Gdy sprawa była już przesądzona.

Królowa wdowa ponuro mruknęła. Kennedy miał wrażenie, że do jego uszu dotarły słowa: „pies” i „wymioty”.

- To była, hm, niezwykła scena. Wybuczano go ze wszystkich stron, aż w końcu nie wytrzymał. Został zmuszony do opuszczenia sali obrad. Wychłostany i pozbawiony stanowiska. Nigdy nie odzyskał reputacji. Smutny finał ładnej kariery. Kto wie, jak - hm, w innych okolicznościach - mogłoby się to skończyć?

Kennedy musiał jeszcze bardziej się starać, żeby powstrzymać rozbawienie wywołane delikatnym obracaniem sztyletu w wykonaniu Halifaxa i potokiem jego wymęczonych „r”. Rozrywkę zakłóciło mu coś, co na pierwszy rzut oka przypominało strusia, pierzastą zjawę, która zaczęła powoli kołysać się w górę i w dół. Okazało się, że to jedna z zaproszonych osób, żona ważnego dyplomaty, która dygała - raz, drugi - próbując zwrócić na siebie uwagę królowej wdowy. Jej starania wypadły fatalnie. Królowa wpatrywała się w nią z kamienną twarzą, a jej oczy mogłyby wyrywać pióra z odległości pięćdziesięciu kroków. Ten konkretny ptak należał bowiem do kręgu pań z towarzystwa, które - tak jak żona bankiera - wzięły jej syna, niegdyś niewinnego Edwarda, pod swoje skrzydła i do swoich łóżek, dopilnowując, by młodemu przystojnemu księciu nie zależało ani na doświadczeniu, ani na wykształceniu. Problem w tym, że wzbudziły w nim także zamięłowanie do egzotyki, które w opinii królowej Marii zepchnęło go po śliskiej erotycznej pochylni, doprowadzając do ruiny

u boku „tej kobiety”. Królowa nie chciała ani wybaczyć, ani zapomnieć, więc zrozpaczona dworzanka poszła dalej, trzepocząc świeżo podciętymi skrzydłami.

Kennedy skupił ich uwagę z powrotem na rozmowie.

– Więc pańskim zdaniem Churchill raczej nie ma przyszłości w polityce?

– Najlepsze czasy ma już za sobą, i to od dawna – mruknął Halifax. Zabrzęczał królewski fiszbin.

– To wszystko szopka. Stracił wszelkie poparcie.

Kennedy uwielbiał tę kobietę, i od razu można było to zauważyć. Była wybuchowa, pełna pasji, pewna siebie. Do diabła, gdyby rodzinie królewskiej dano także mózg, historia mogłaby wyglądać zupełnie inaczej.

– Hm, a skoro o tym mowa, panie ambasadorze – ciągnął Halifax – jest pewna sprawa, w której pan premier i ja bylibyśmy panu bardzo wdzięczni za poparcie.

– Chcecie odzyskać Nowy Jork?

– Chyba już nie pasuje do naszego stylu architektonicznego. Nie, chodzi o Paramount, o hm... wytwórnię filmową. Wyprodukowała kronikę, która ani trochę nie... jak by to ująć?... ani trochę nam nie pomaga. Mówi się w niej ciągle o triumfie niemieckiej dyplomacji i o cierpieniach Czechosłowacji zamiast o, hm... pokoju i bezpieczeństwie, które to porozumienie zapewniło całej Europie. Cenzura oczywiście nie wchodzi w rachubę, całkowicie to rozumiem, ale zastanawiałem się – zważywszy zwłaszcza na pańską przeszłość w Hollywood – czy nie mógłby pan zamienić słówka z Paramountem? Na przykład z właścicielami. Zachęcić ich, żeby wprowadzili do swoich produkcji trochę więcej równowagi.

- Chciał pan powiedzieć: przyprzeć parę osób do muru. Przycisnąć tego i owego?

- Jestem pewny, że wystarczy szepnąć słowo do właściwego ucha – nalegał Halifax.

- Ależ połową Hollywood rządzą synowie Izraela. Grają tam własną melodię. Czego się pan spodziewa...?

Dyskusję przerwał występ kwartetu smyczkowego. Grali coś z Europy Środkowej. Prawdopodobnie Bacha. Był to oczywiście zbieg okoliczności, ale w uszach królowej melodia zabrzmiała jak niebiańskie fanfary, gdyż dokładnie w tej chwili do sali wszedł sam premier ubrany w smoking i w towarzystwie swojej żony Anne, która trzymała go pod rękę.

- Ach, Neville – królowa wdowa zatrzepotała rzesami, drżąc od wypitej sherry. – Błogosławiony Neville. Nareszcie! Teraz wszyscy możemy być spokojni.

Neville. Błogosławiony Neville. Święty Neville. Dokądkolwiek pójdzie, jego imię jest na ustach wszystkich i zewsząd płyną wyrazy uznania. Pokój – i chwała – w jego czasach. Zadanie wykonane, świat ocalony. I racja dowiedziona. Jakaż to ironia losu, że spośród wszystkich potężnych Chamberlainów to właśnie on pozostawi ślad, i jakie to groteskowe, że po tych wszystkich pochwałach, jakie wygłoszono pod jego adresem, Neville nadal czuje się niepewnie. Dorastał jednak w cieniach, był niemal politycznym dopowiedzeniem, synem Josepha i przyrodnim bratem Austena, obu znacznie wybitniejszych od niego. Lecz żaden z nich nie dotarł na Downing Street 10. A on owszem. Może i nie miał tak lotnego umysłu ani tak lirycznego języka, ale braki w zakresie wrodzonych talentów nadrobił uporem i ciężką pracą – niektórzy nazywają ten upór oślim,

determinacją, od której osiwiął i stanął na skraju zupełnego wyczerpania. Jego ciało osiągnęło taki stan, że nocą ściska go w środku zimne żelazo, trzymając aż do rana. Potrzebuje każdego grama tego uporu i wiary w siebie, żeby móc iść dalej, ale nie ma innego wyjścia. Od tego zależy pokój w Europie. I dobre imię jego rodziny.

Gdy jedzie – a raczej jest wieziony – z powrotem z Sandringham House, nadal czuje zimno przenikające go aż do szpiku kości. W uszach dźwięczą mu brawa gości, jego dłoń ciągle czuje ciepło dłoni króla, lecz na Boga, nocą w Fens potrafi być zimno. Ciaśniej owija się kocem i próbuje znaleźć wygodną pozycję na skórzanym siedzeniu austina. Marzy o tym, żeby zasnąć, tak jak siedząca obok żona, ale sen nauczył się go omijać. Na zewnątrz jest ciemno, tak jak wtedy gdy wracał z Niemiec. Nigdy wcześniej nie latał samolotem, lecz tę podróż odbył już trzykrotnie, była długa i niewygodna, jakby podskakiwał w dwukółce jadącej po nierównym bruku. Wysilek się jednak opłacił. Gdy po raz ostatni leciał wzdłuż Tamizy w stronę Londynu, uświadomił sobie, że pokonuje trasę, którą mogłyby lecieć bombowce. A tam, pod nim, w całym swym elektrycznym splendorze, leżał Londyn z milionami mężczyzn, kobiet i dzieci – wliczając w to jego wnuka, który przyszedł na świat zaledwie kilka dni przed jego wyjazdem – i czekał. Czekał na niego, czekał na Hitlera, czekał bezbronny na wszystko, co mogło go spotkać. Na szczęście wojny nie będzie. A on ma nadzieję, że nigdy więcej nie będzie musiał wsiąść do samolotu.

Wie, że niektórzy z niego drwią, ale ci ludzie drwiliby z samego Jezusa. Za jego plecami nazywają go Grabarzem, Koronerem, choć nie mówią mu tego w twarz, już nie. Nawet Hitler krzyknął na niego i grzmiał, aż jego ślina wylądowała Chamberlainowi na policzku.

Horace Wilson powiedział mu, że podczas jednej z prywatnych rozmów w Berchtesgaden Führer tak bardzo się zdenerwował, że dostał ataku: wrzasnął i padł na podłogę. Ten niemiecki przywódca to bez wątpienia mały pospolity pies, lecz nawet jeśli jest w połowie szalony, to zostaje jeszcze druga połowa, a poza tym zależy mu na interesach. Robi interesy z nim, Neville'em Chamberlainem – Hitler powiedział o nim: „Pierwszy człowiek od wielu lat, który zmusił mnie do jakichś ustępstw” – i Chamberlain przywiózł z Niemiec kartkę z jego podpisem, od której zależy życie setek milionów Europejczyków. Herr Hitler dał mu słowo.

Podczas wizyty w Niemczech zdarzały się oczywiście jaśniejsze chwile. Gdy przybył do Monachium i wyszedł z samolotu, czekała na niego gotowa do przeglądu gwardia honorowa SS. Z czaszkami i skrzyżowanymi piszczelami na kołnierzykach. Zastanawiał się, co one oznaczają. W każdym razie gdy stanęli na baczność, przypomniał sobie, że zostawił w samolocie parasol, i poszedł po niego, zmuszając SS, żeby zaczekało. Wielka niemiecka armia zatrzymana z powodu parasola! A oskarżają go o brak poczucia humoru.

Osiągnął coś więcej niż jedynie brak wojny, położył podwaliny pod pokój – pokój, w czasie którego Wielka Brytania będzie w sercu Europy, mając prawdziwy wpływ i pomagając kształtować jej przyszłość, zamiast tylko bezradnie patrzeć, jak odradzające się Niemcy coraz bardziej dominują.

– Zbliżamy się do Cambridge, sir – oznajmia kierowca.

Boże, zostało jeszcze tyle kilometrów. Chamberlain wraca myślami do przyrodniego brata, Austena, i do Pokojowej Nagrody Nobla, którą przyznano mu za działania na rzecz zjednoczenia narodów Europy. Zastanawia się, czy kiedykolwiek się zdarzyło, żeby dano Nobla dwóm

braciom. Oczywiście jemu jeszcze go nie przyznano, nie ma sensu dzielić skóry na niedźwiedziu (choć dzieli ją, a jakże). Ale jego bratu nadworny poeta John Masefield nigdy nie zadedykował wiersza:

Jak Priam do Achillesa po swojego syna,
Tak i tyś wyruszył w blasku bożej chwały,
By z bitwy, która wciąż się nie zaczyna,
Wydano ci młode ciała, co jeszcze nie skonały.

– Słucham, kochanie? – Jego żona Anne porusza się, obudzona ze snu.

– Wybacz, najdroższa. Chyba mówiłem do siebie. Odpoczywaj dalej. Został nam jeszcze kawał drogi.

A co powiedziała mu królowa Maria? Przy kolacji wzięła go za rękę – tak, naprawdę go dotknęła – i oświadczyła, że dostała list od samego cesarza, w którym monarcha napisał – och, te słowa tak mocno jaśniały – że nie ma „najmniejszych wątpliwości, iż pan Chamberlain jest natchniony przez niebiosy i prowadzony przez Boga”. To sprawia, że Chamberlain nieznośnie pokornieje. Ma sześćdziesiąt dziewięć lat, gwałtownie słabnie, jest niezaprzeczalnie śmiertelny, a jednak na rękawie ma dłoń królowej, a przy ramieniu Boga. Mimo to nadal zdarzają się tacy, nawet w jego własnej partii, którzy są mu przeciwni. Co chcieliby, żeby zrobił, na litość boską? Odepchnął na bok ludzkość i rzucił się w wir kolejnej krwawej wojny? Czym miałby według nich walczyć, na rany Chrystusa? Francuskimi siłami powietrznymi bez skrzydeł? Rosyjską armią pozbawioną skrupułów? Ci ludzie, ta sfera politycznych kundli wokół Churchilla – kanapowe teriery, które wzywały go, żeby ogłosił pobór nie tylko mężczyzn, lecz także kapitału. Sugerowali, że powinien przejąć banki i większość przedsiębiorstw. Kontrolować ich zyski. Obłąd! Wykonać robotę za

bolszewików! Czegóż jednak mógłby się spodziewać po Winstonie wymachującym tą swoją whisky z wodą sodową, rozpaczliwie próbującym wymazać wspomnienia własnych rozlicznych klęsk w roli wojskowego dowódcy. Wyrzeźbią Gallipoli na grobie Churchilla obok nazwisk czterdziestu tysięcy brytyjskich żołnierzy, których tam zmasakrowano. Herr Hitler nazwał Churchilla i innych wojennych podżegaczy Mörderen, mordercami. Miał rację.

Samochód toczy się teraz po drodze A10, a myśli Chamberlaina toczą się wraz z nim, obok hektarów szklarni pokrywających Lea Valley i sięgających aż po przedmieścia Cheshunt. Złość rozgrzała go od środka, ale jego wyczerpanie nadal graniczy z rozpaczą. Kierowca zwalnia przed zakrętem i w ciemności premier widzi zarys kościoła oraz tabliczkę informującą, że to kościół pod wezwaniem Świętego Klemensa. Ryb i mięsa, mówią dzwony Świętego Klemensa... I Świętego Marcina, a także sąd karny Old Bailey, Shoreditch, Stepney, Old Bow. Jest tu świeca, która rozjaśni mu drogę do łóżka. I siekiera, żeby odrąbać mu głowę – łup, łup – ostatni to już trup! W udręczonym umyśle Chamberlaina pojawia się wizja. Bombowce rozdarły serce Londynu, wieże kościoła płoną niczym stosy pogrzebowe, a w ich świetle widzi Winstona Churchilla, stojącego nad tym wszystkim okrakiem i trzymającego siekiere! Łup, łup. Och, tylko że to nie jest dziecięca zabawa, nie ma potrzeby uciekać. Łup. Ma wrażenie, że słyszy miarowy rytm opadającej siekiery, ale to tylko stukanie silnika samochodu. Boli go całe ciało, w umyśle wzbiera zmęczenie i mała łza zaczyna żłobić niepewną ścieżkę na jego policzku. Zastanawia się jak przez sen, dlaczego płacze, lecz nie znajduje żadnej konkretnej odpowiedzi. Nie ma w zwyczaju płakać, nie pamięta, kiedy ostatni raz

mu się to zdarzyło. A, no tak, gdy był jeszcze dzieckiem: odmówił wyjścia z kąpieli i ojciec go ukarał...

Rozpamiętuje poprzedni dzień, być może dlatego, że nie potrafi myśleć o jutrzejszym. Czasami w tej nieuchwytnej chwili, kiedy jawa przechodzi w sen, Chamberlain miewa wizję, w której Londyn jednak płonie, dlatego że on źle to wszystko rozegrał. Tłumy już nie wiwatują, odwrócili się od niego zarówno Bóg, jak i królowa. Ale to tylko wytwór wyobraźni. Gdy mijają pomnik królowej Eleonory w Waltham Cross, premier wreszcie zapada w niespokojny sen.

Praca do późna rozpleniała się przy Downing Street niczym choroba. Zakłócała proces spokojnego myślenia i starannego trawienia. Nie należało jej propagować.

– Za chwilę do ciebie dołączę, najdroższa – obiecał Chamberlain, gdy jego żona stanęła na schodach.

Obydwoje wiedzieli, że będzie spała we własnym pokoju, na długo zanim on dotrze na drugie piętro. Nadchodził taki moment, że ciało było zbyt wyczerpane, żeby się odprężyć, a Chamberlain przeżył go już dawno temu. Wiedział, że zanim pomyśli o położeniu się spać, będzie potrzebował drinka i chwili przechadzania się po pokoju. Być może odświeży się za pomocą kilku spośród tysięcy czekających na niego listów i telegramów.

Gdy snuł się ciemnymi korytarzami w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby się skupić, odkrył paseczek światła pod drzwiami poczekalni sąsiadującej z salą posiedzeń rządu. Elfi zagajnik. Stłumiony śmiech. Przyciągnęło go to jak ćmę.

Radość dobiegła końca, kiedy Horace Wilson i Joseph Ball z niepokojem podnieśli głowy.

– Wszystko w porządku, Neville'u? – spytał Ball.

Przywykli do wyczerpania, które nękało ich przełożonego w ostatnich tygodniach, ale twarz widoczna w drzwiach była smętniejsza, wąsy bardziej oklapnięte niż kiedykolwiek wcześniej.

– Czy wszystko w porządku? Sam powinienem o to spytać. Zawsze mam wrażenie, że jesteście o wiele lepiej zorientowani w sytuacji niż ja.

Premier opadł na fotel i wyciągnął rękę. Natychmiast wsunięto do niej kieliszek białego wina. Zmęczone oczy uniosły się w milczącym podziękowaniu. Bardzo często czuł, że w kontaktach z tymi elfami słowa są zbędne. Elfy miały osobliwą zdolność rozumienia jego potrzeb – zwłaszcza Wilson, którego odziedziczył po poprzedniej administracji Baldwina. Czasami wydawało mu się, że to najlepsza część tej spuścizny. Człowiek o delikatnej cerze i jasnych oczach, nawykowo drobiazgowy, powściągliwy, lecz nadzwyczaj zdeterminowany. Wilson i nowy premier od razu się polubili, jeden był głównym doradcą rządu w sprawach przemysłu, drugi byłym biznesmenem z Birmingham, obaj dostrzegali zalety kompromisu i za naczelną zasadę uważali pragmatyzm. Ostatecznie w polityce chodziło przecież po prostu o interesy, o dobijanie targu.

Ball był inny. Był wielbicielem cielesnych przyjemności, co ukazywało się pod kamizelkami jego szerokich garniturów w kredowe paski. Palce miał grube jak kiełbasy, twarz krągłą, a całość uwydatniały ciemne przylizane włosy. Często celowo zachowywał się onieśmielająco – zajmował miejsce za biurkiem, inkwizytorsko spoglądał zza bulajowych okularów niczym adwokat lub as wywiadu, którym kiedyś był, i poruszał się tylko od czasu do czasu, by pomachać ręką, rozganiając papierosowy dym, prawie całkiem go zasłaniający. W przeciwieństwie do Wilsona nie był ani trochę drobiazgowy,

zupełnie otwarcie mówił o swoich uprzedzeniach, którymi zarażał innych, pełniąc funkcję mózgu propagandy w Centralnym Biurze Partii Konserwatywnej, a także za pośrednictwem gazety, którą wydawał pod tytułem „Truth”, czyli „Prawda”. Według Balla prawda składała się z niszczenia reputacji wszystkich przeciwników – wśród których najliczniejsi byli Amerykanie i wszyscy Żydzi – a na swobodę pozwalał sobie jedynie w zakresie środków, które stosował, by osiągnąć swoje cele. Był niezwykle bogaty i miał dostęp do wielu źródeł finansowania. Korzystał z nich nie tylko po to, żeby wspierać swą działalność wydawniczą, lecz także by umieszczać szpiegów w głównej siedzibie Partii Pracy i wśród opozycyjnych dziennikarzy. Powszechnie go nienawidzono i prawie u wszystkich budził strach.

Był jednak jeszcze bliżej premiera niż Wilson. Balla i Chamberlaina łączyło zamiłowanie do wycieczek na wieś, a zwłaszcza do łowienia na muchę, dla którego przy każdej okazji, a czasami z niestosownym pośpiechem, podróżowali razem do łososiowych rzek Szkocji. Plotkowano, że terminy wielu przerw w obradach parlamentu wyznacza się zgodnie z kalendarzem wędkarskim. Jakimś cudem zawsze znajdował się czas na małe wędkowanie.

– No więc co słyhać w naszym niewdzięcznym świecie? – drążył Chamberlain, sącząc wino reńskie. Zaskoczyło go. Było wyborne.

Elfy rzuciły sobie figlarne, konspiracyjne spojrzenie. Odpowiedzi udzielił Ball.

– Wiem, że to cię zmartwi, Neville’u, ale obawiam się, że Winston wpakował się w kłopoty.

– Doprawdy? – Gruba brew uniosła się w oczekiwaniu.

– Właściwie to raczej w pieprzone bagno.

– Alkohol?

– Pieniądze.

– Czy on nigdy nie zmądrzeje? – Zamilkł. Reńskie z każdym łykiem smakowało lepiej. – Ile?

– Ponad czterdzieści tysięcy.

– Mój Boże!

– Mówiąc dokładnie, czterdzieści trzy tysiące, siedemset czterdzieści. Termin mija w Boże Narodzenie.

To była fortuna. Przeszło cztery razy więcej niż wysokie uposażenie samego premiera.

– Ale jak to się stało?

– Gra na nowojorskiej giełdzie. Traci. Teraz banki upominają się o spłatę pożyczek.

– Mamy go – dodał miękko Wilson, jakby oznajmiał, że przyniesiono herbatę.

– Bracken próbuje mu pomóc, szuka jakiegoś anioła, który go uratuje. Ale anioły nie wydają się chętne do ratowania duszy człowieka, który domaga się wojny mogącej je zrujnować.

– Co zatem zrobi?

– Sprzeda to, co zostało z jego akcji. Wystawi Chartwell na sprzedaż. Spłaci długi z tego, co uzyska.

– W Chartwell zbyt długo gnieździły się żmije – dodał Wilson. – Pora oczyścić to miejsce.

– Nie, nie... – Chamberlain kręcił głową i w skupieniu marszczył brwi. – To byłoby złe.

– Złe? A co w tym złego? – mruknął Ball, jakby zmagając się z nowym pojęciem filozoficznym.

– On cię nienawidzi, Neville'u – zaprotestował Wilson. – Stoi na czele opozycji na wszystkich frontach.

– I nadal będzie stał, jeśli dasz mu choćby cień szansy – podkreślił Ball.

– Właśnie – zgodził się Chamberlain, składając palce w piramidkę, jakby się modlił, i zachęcając ich w ten sposób do kontynuowania tematu.

– Ale te długie go pogrążą.

– Jaką miałbym z tego teraz korzyść?

– Satysfakcję! – zawołał Ball.

– Oczyszczyć Westminster – podsunął Wilson.

– Przecież on nie może nam zaszkodzić – upierał się Chamberlain.

– To byłoby jak rozdeptanie mrówki.

Dwa elfy zamilkły. Nie rozumiały, jeszcze nie, lecz wiedziały, że premier zarzucił okrutną przynętę.

– Winston się nie liczy, w każdym razie nie teraz. Przegrał, a my wygraliśmy. Taka jest prawda. A gdyby w tej chwili wyleciał za burtę, nikt nawet nie usłyszałby plusku. Co mielibyśmy na tym zyskać? Ci, którzy są przeciwko nam, tylko by się przegrupowali, znaleźliby nowego przywódcę i musielibyśmy zacząć wszystko od początku. Nie, jest lepszy sposób. Raczej nie dzisiaj, nie w tym miesiącu, ale już niedługo nastąpi kolejny kryzys. Byłoby wtedy znacznie lepiej, gdyby ich przywódca był człowiekiem na krawędzi. Słabym. Jak zawsze rozchwianym. Którego kontrolujemy i w razie potrzeby jednym małym kuksańcem możemy strącić w otchłań. – Jego twarz odzyskała kolory, duch został wskrzeszony. Opuszki palców wystukiwały rytm dla myśli.

– Mój Boże – szepnął Wilson. – Ale jak?

– Wyciągniemy go z kłopotów. Udzielimy kredytu, który na razie pozwoli mu przetrwać. Potrzymamy go na żyłce. Aż w końcu opadnie z sił i będziemy mogli zgarnąć go podbierakiem, gdy tylko zechcemy.

- Ale nie może wiedzieć...
- Oczywiście, że nie. Znamy jego bankierów.
- Z całą pewnością.
- To... przyjaciele?

Ball prychnął na myśl, że bankierzy mieliby być obdarzeni uczuciami bardziej skomplikowanymi niż te właściwe tarantulom.

- O wiele lepiej niż przyjaciele. To bankierzy partii.

- Zatem będą z nami współpracować. Powiedzcie im, że chcemy pomóc koledze. Ale po cichu, anonimowo, żeby uniknąć kłopotliwej sytuacji. Podzyrujemy jego kredyt. Niech Winston przetrwa... na razie.

- Do diabła, to wbrew naturze. Gdy masz go na haczyku, Neville'u, musisz go wyciągnąć z wody, takie jest moje zdanie. Nie pozwól, żeby się wyslizgnał.

- Joe, mam nadzieję, że oboje jesteśmy na to trochę zbyt sprytni.

- W sierpniu wymknęła ci się dwudziestokilowa ryba.

- Doskonale wiesz, że zaplątała żyłkę w korzenie drzewa. Winston jest znacznie mniej zwinny i będzie miał o wiele mniej siły do walki. Nie sądzisz, Horace?

Wilson milczał. Nie był wędkarzem. Był negocjatorem, szukał korzyści.

- Skoro wygraliśmy i, jak twierdzisz, nie mamy żadnej prawdziwej opozycji, uderzmy teraz. Nie tylko w Winstona, ale w całą tę przeklętą bandę. Obok siebie masz króla, a za sobą kraj. Zwołaj wybory!

- Wybory? Przecież mają być dopiero za dwa lata.

- Możliwe, że lepsza okazja się nie nadarzy.

- Joe?

- Zmusilibyśmy Winstona do odsłonięcia kart. Może pogroźlibyśmy go w Epping, jeśli nadal będzie nielojalny. Pomyśl

o tym. Jaki sygnał dalibyśmy reszcie tych gnojków! A w sondażach wyprzedzasz ich o milę, Neville'u.

– Naprawdę? Naprawdę...? – Chamberlain był jednak niespokojny.

– Referendum w sprawie pokoju – zachęcał Ball.

– Ale czerpiące korzyści z Monachium? – Premier znowu wydał się zmęczony, mówił coraz lakoniczniej.

– Dlaczego nie mielibyśmy na tym trochę zyskać?

– Podpisałem porozumienie w Monachium. Nie znaczy to, że ono mi się podoba.

– Pokój z honorem, Neville'u.

– Niemądre sformułowanie. Zapożyczone od Disraeliego. Powiedział tak po powrocie z kongresu berlińskiego. Nie powinienem być tego powtarzać. Chwila słabości. Zrobiłem, co musiałem, ale jak mógłbym być z tego dumny? Dałem słowo. Czechom. A potem je złamałem. Poświęciłem ich, żeby ocalić świat. Marny z tego manifest.

Wyznając to, spuścił oczy i na chwilę w pomieszczeniu zapadła krępująca cisza, którą przerwał Wilson.

– Neville'u, zrobiliśmy to, co musieliśmy zrobić. I świat się cieszy.

Chamberlain powoli podniósł głowę.

– Z tą wspaniałą myślą pójdę spać.

Wstał.

– Ale czy to oznacza przebaczymy i zapomnijmy, Neville'u? Niech draniom ujdzie wszystko płazem? – zawołał wyraźnie poirytowany Ball, gdy Chamberlain ruszył do wyjścia.

– Myślę, że o tym zadecydują ich wyborcy. I prasa. – Stał w drzwiach, opierając się o futrynę. Wyczerpanie wróciło i nie był w stanie dłużej z nim walczyć. Jego twarz miała kolor starego płótna, lecz w głęboko osadzonych oczach nadal płonął niezwykły bunt

i wpatrywały się prosto w Balla. – Przypuszczam, że część z nich czeka dość przykra niespodzianka, nie sądzisz, Joe?

– Jak cholera – powiedział Ball.

W oczach premiera pojawił się błysk, który zaraz zgasł.

– Zatem do łóżka. – Chamberlain dopiero wtedy zauważył, że nadal trzyma w dłoni kieliszek. Opróżnił go i odstawił. – Nawiasem mówiąc, doskonałe reńskie. O wiele lepsze niż to, które zwykle pijemy.

– To Hochheimer Königin Victoriaberg z winnicy, która kiedyś należała do księcia von Metternicha. Pomyślałem, że będzie w sam raz dla ciebie. Jest takie subtelne, szlachetne, śmiałe...

– A gdzie zdobyłeś ten klejnot w płynie?

– Dostaliśmy je od Ribbentropa. Dał nam kilka skrzynek w geście dobrej woli, gdy wracaliśmy z Monachium.

– Zawsze handluje winem... co?

Joachim von Ribbentrop, minister spraw zagranicznych Niemiec, był do niedawna ambasadorem tego kraju w Londynie. Wydawał się naturalnym kandydatem na stanowisko ministra, ponieważ od dawna był nazistą i dobrze znał stolicę Wielkiej Brytanii – od lat prowadził tam winiarskie interesy i cieszył się opinią wspaniałego gospodarza. Był wówczas – i dla wielu taki pozostał – akceptowalną twarzą hitleryzmu i znaczna część londyńskiej socjety wydeptała ścieżkę do jadalni w jego ambasadzie w Carlton House Terrace.

– Wiecie, przez jakiś czas był moim dzierżawcą – mruknął Chamberlain. – Wynajmował mój rodzinny dom w Eaton Place. Gdy ja przeniosłem się tutaj. Czynsz przychodził jak w zegarku. Zawsze mi powtarzał: wznóśmy kieliszki, nie karabiny. Dobry człowiek, dobry człowiek... – Reszta zginęła na ciemnych schodach przy Downing Street.

Rozdział piąty

Dzień Guya Fawkesa – 9 listopada 1605

Był to jeden z tych wieczorów, który wszystko zmienił – choć oczywiście wtedy nikt o tym jeszcze nie wiedział. I jak to często bywało, Max Aitken, pierwszy baron Beaverbrook, miał pełnić funkcję konferansjera.

Zgromadzili się na wezwanie potężnego barona prasowego, by świętować torturowanie i stracenie przed ponad trzystoma laty typowego brytyjskiego zdrajcy, Guya Fawkesa, który usiłował zniszczyć cały parlament, łącznie z królem, napychając piwnicę prochem strzelniczym. W krytycznym momencie przyłapano go ze świecą w rękę i uśmiercono, wywlekając jego wnętrzności z wciąż jeszcze żywego ciała, paląc je na jego oczach, a następnie wyrywając mu z piersi bijące serce. Sadystyczna średniowieczna Europa – zanim dwudziesty wiek zmienił tortury w nowoczesną naukę o fabrykach i piecach.

Pogoda poprawiła się po tygodniach ulewnego deszczu i rzymskich przepowiedni. W górze wisiał księżyc w pełni – idealny wieczór na palenie tradycyjnego ogniska przygotowanego na terenie wiejskiej posiadłości Beaverbrooka w Cherkley. Ogród i ścieżki zmieniono w czarodziejską grotę za pomocą niezliczonych świec ukrytych w starych cynowych puszkach, a skauci z miejscowego zastępu stawili się, by piec kiełbaski i kurczące udka na opalanych węglem grillach oraz rozdawać grzane wino obficie przyprawione cynamonem

i pieprzem. Rozbili też namioty i rozstawili płócienne daszki, by zapewnić schronienie, w razie gdyby niebo zmieniło zdanie i obróciło się przeciwko nim. Beaverbrook, jak zawsze skory do popisów, polecił nawet ukryć na terenie posiadłości czekoladowe jajka i inne słodczyce dla dzieci. Chciał zadbać, by dobrze bawili się wszyscy. Do Cherkley przybyli zatem dobrzy i wielcy, ci sławni i ci wciąż jeszcze goniący za szczęściem, i ponad dwieście osób siedziało owiniętych w futra, karakuły, jedwabne szale i z ogrzewaczami na dłonie, dziękując za centymetry kolumn, które mieli nadzieję zająć w „Expressie” i „Standardzie”, oraz puszczając w niepamięć to, że w przeszłości centymetry te często bywały okrutne i nieprzyzwoicie nieprzychyłne. Baronowie prasowi nie mają jednak monopolu na nieprzychyłność.

– Jesteś... – minister urwał, żeby się zastanowić, ale na to było już za późno, do głosu doszedł instynkt – śmieszna, kobieto. Histeryzujesz. Przynosisz hańbę swojej płci.

– Tylko mężczyzna mógłby być taki głupi.

– Spytaj, kogo chcesz. Neville to najwspanialszy Anglik, jaki kiedykolwiek żył.

– Przez niego wstydzę się, że jestem Brytyjką.

– I ty śmiesz mówić o wstydzie!

– To znaczy?

– Na litość boską, nie znudziło ci się włożenie do łóżka Winstona?

– On może jeszcze uratować nas wszystkich.

– Co? Człowiek, który zniszczył więcej karier niż Kaligula.

I zapełnił cmentarze Gallipoli.

– To prorok...

– Czarnuch w drewnitni z pudełkiem zapalek.

– ...który ostrzega, że jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

- Zatem, do diabła, tym bardziej należy dobić targu z Hitlerem.
- Ty dobiłbyś targu nawet z samym diabłem.
- Popieram mojego premiera. Jestem lojalny wobec swoich. Ty nie jesteś w stanie tego zrozumieć.
- Rozumiem, co to jest jawne tchórzostwo.
- Ubolewam nad tym. Jestem przeciwny waszej niemądrej wojnie, bo ona zniszczy cywilizację.
- Wojna przeciwko Hitlerowi może być jedynym sposobem, żeby ocalić cywilizację!
- To obłąd. Czysty obłąd. Jesteś Żydówką czy co?

Taką właśnie rozmowę toczyli koledzy zasiadający razem w ławach konserwatystów.

Zaczął się od śmiechu, wesołości i jednego z żarcików Beaverbrooka (słynął z niepoprawnego poczucia humoru – niektórzy twierdzili, że rozwinął je, żeby skompensować sobie swój słynny brak poczucia lojalności). Wydał szczegółowe polecenia związane z wyglądem kukły, która miała spłonąć w ognisku. Wwieziono ją z pewną pompą, usadowioną na starym drewnianym krześle przystrojonym kwiatami ze szklarni i umieszczonym na taczkach przez zarządcę. Kukła była olbrzymia i przesadnie wypchana – taka, jakie powinny być wszystkie dobre kukły – źdźbła słomy i ścinki papieru wystawały ze starego trzyczęściowego garnituru, który na tę okazję wygrzebano z dna szafy. Szczególną uwagę poświęcono twarzy, która była okrągła, łysa i nachmurzona, a zamiast ust miała otwartą szparę. Ręce były rozpostarte, jakby kukła wygłaszała przemówienie. Goście stłoczeni w ciemności wokół Beaverbrooka przyjęli ją owacjami i podeszli, żeby się przyjrzeć.

- No więc jak ci się podoba główny winowajca, Samie? - Beaverbrook zadał to pytanie w charakterystycznym dla siebie stylu, z rozwlekłym kanadyjskim akcentem i poruszając tylko kącikami ust.

Sam Hoare, minister spraw wewnętrznych i jeden z najbardziej wpływowych ludzi w rządzie, uważnie oglądał kukłę. U jego boku stała żona.

- Guy Fawkes próbował wysadzić w powietrze wszystkich polityków w kraju. Nic dziwnego, że go zapamiętano, Max.

Goście wybuchnęli śmiechem. Byli wśród nich zarówno dyplomaci i artyści estradowi, jak i politycy oraz przedstawiciele prasy. W oczekiwaniu na uroczyste podpalenie wielkiego ogniska wszyscy zebrali się wokół kosiaka, żeby się ogrzać.

- Fawkes był oczywiście cudzoziemcem. Hiszpanem - dodał ktoś w ciemności.

- Hej, przecież cudzoziemcy nie są tacy źli - upierał się Beaverbrook, mówiąc z teatralnym, fałszywym akcentem.

- Dopóki możemy ignorować większość z nich, prawda Max? - dorzucił Hoare.

- Tylko że nie możemy ich ignorować, Samie, właśnie na tym polega cały problem.

Minister spraw wewnętrznych odwrócił się z lekkim znużeniem. Nawet w ciemności rozpoznał charakterystyczne drżące „r” Katharine, księżnej Atholl oraz deputowanej z Kinross i West Perthshire. „Co miała na myśli?”. Nie chciał tego dociekać, nie teraz, próbował dobrze się bawić. Na litość boską, wszyscy mieli swoje opinie, wyznawane z pasją i wyostrzone jak krawędź żyłki, ale przecież nie było na nie teraz czasu ani miejsca. Nie tutaj. Księżna od dawna była przeciwniczką premiera i polityki ustępstw, wszyscy o tym wiedzieli,

przeciwniczką tak zaciekle, że zasłużyła sobie na przydomek „Czerwona Kitty”. Wszędzie afiszowała się ze swoim sumieniem, ćwiczyła argumenty tysiąc razy przed śniadaniem i ponownie w porze lunchu, aż nieustępliwość zepchnęła ją na najdalsze rubieże partii, a prawdę mówiąc, niemal poza jej granice. Sam Hoare był jednak człowiekiem partii, na pierwszym miejscu stawiał lojalność i nie zamierzał dopuścić, żeby Katharine o tym zapomniała.

– Kitty – zawołał do koleżanki – nie zauważyłem cię w tych ciemnościach. Chyba najwyższa pora, żebyś wróciła do światła i bawiła się razem z resztą z nas, prawda?

Kitty Atholl się zjeżyła.

– Mam się bawić? Właśnie o to tu chodzi, Samie? To dlatego oddaliśmy Czechosłowację? Żeby się bawić?

– Nie nadużywajmy gościnności Maxa...

– Mną się nie przejmuj, Samie – wtrącił Beaver. – Zawsze cenię zdrową różnicę zdań. Nie licząc różnicy zdań wśród moich pracowników, rzecz jasna.

I tak się to wszystko zaczęło. Dyskusja stała się debatą, ta przekształciła się w zaciekle konfrontację na środku pola skąpanego w świetle księżyca w stylu, który od tygodni eksploatowano w całym kraju, a mimo to nadal nie zanosilo się na to, żeby się wyczerpał. Gdy strony stanęły naprzeciw siebie, zastęp skautów zaczął biegać z dzbankami grzanego wina, by napelnić im baki.

– Hej, a może wzniesiemy za niego toast?

– I za śmierć Ribbentropa. Niech kona w męczarniach.

– Ty bezduszna wiedźmo.

– To nie ja chowam głowę w czerwonym pudełku, rozpaczliwie próbując ignorować wszystko, co dzieje się w Europie.

- A ty znowu swoje, robisz aferę z powodu Hitlera. Facet tylko kopie na własnym podwórku.

- Kopie groby.

- Sprząta w Niemczech i tyle. Może to dyktator, ale poza tym jest też trochę purytański. Jak Cromwell.

- Cromwell nie wyrzynał Żydów!

- Na litość boską, słuchając cię, można by pomyśleć, że pogromy zaczęły się wczoraj. To historia Europy, kobieto, od wieków.

- Samie, gdzie się podziało twoje poczucie sprawiedliwości?

- Kitty, wszyscy mamy sumienie. Ale ty się swoim żywisz.

- A ty powiesiłeś swoje w szafie, prawda? Owinięte w bibułkę.

- Każdy głupiec może iść na wojnę. A teraz jedynie głupiec by to zrobił.

- Podbój. Rozlew krwi. Nie dostaniecie od Hitlera niczego więcej.

- Niech to szlag, Kitty, przecież właśnie w taki sposób zbudowaliśmy imperium.

- A przez tchórzostwo je stracimy!

W końcu zostali sami na polu bitwy. Inni sobie poszli, a wtedy Sam Hoare zarzucił Czerwonej Kitty brak charakteru i ksenofobię, kierując pod jej adresem także wszystkie inne kalumnie, jakie mu przysły do głowy. Sprawy zaszły za daleko. Żadne z nich nie potrafiło znaleźć słów, żeby to zatrzymać, a gospodarz odmówił interwencji – do diabła, ta gra, każda jej minuta, sprawiała mu przyjemność: wymachiwał olbrzymim cygarem, trzymając pod rękę Joego Kennedy'ego, drugiego widza, który wycofał się z walki kilka minut wcześniej. Oprócz nich w ciemności tkwiła krągła postać Josepha Balla. Hoare go zauważył. Choć sam był ministrem spraw wewnętrznych, trochę się go bał. Podsunęło mu to pewną myśl.

– Lojalność. Właśnie o nią tu chodzi – powiedział, próbując wycofać się z konfrontacji, zadać ostatni cios. – Ty sypiasz ze swoimi dziwnymi przyjaciółmi, a ja jestem człowiekiem partii, Kitty. Zawsze nim byłem. I umrę jako człowiek partii.

Drwiąco wykrzywiła usta.

– Samie, jestem w stanie zrozumieć umieranie za zasady. Ale za partię?

Gwałtownie wyciągnęła rękę w jego stronę. Zaniepokojony odchylił się do tyłu, a jego oczy wypełniły się strachem. Bał się, że wymierzy mu policzek, ale ona tylko chwyciła parasol dyndający mu na przedramieniu. Podeszła z tym trofeum do kukły, spojrzała na nią, jakby ta mogła nagle ożyć, a potem wcisnęła jej parasol pod pachę i rzuciwszy oponentowi ostatnie drwiące spojrzenie, zniknęła w mroku. Hoare został, nagle osamotniony, czując się jak porzucony rower.

Powiew angielskiego zażenowania chłodził kostki przyglądających się temu spektaklowi, aż w końcu Beaverbrook ponownie wkroczył na scenę, domagając się uwagi. Teatralnie podszedł do kukły, jakby przeprowadzał inspekcję. Był śmiesznie niski, jego twarz wyglądałaby nijako nawet u krasnala, lecz jego pieniądze nadrabiały te braki z nawiązką. Napoleon w papierze gazetowym i kołnierzu z karakułów.

– Hm, co my tu mamy? – spytał głośno. – Człowieka z Monachium, tak? To nie do końca zgodne z moim zamiarem. – Wyjął parasol i trącił nim kukłę. – Jak myślicie? – zwrócił się do zebranych. – Kto to jest? Zrobiono go na moje specjalne życzenie, więc nie zawiedźcie mnie.

– Podpowiedź, nasz drogi Maxie, daj nam jakąś podpowiedź – poprosił rozchichotany głos.

- Nie ma sprawy. No więc ten człowiek jest chyba trochę podobny do Guya Fawkesa. To ktoś, kto próbuje wysadzić w powietrze wszystko, co mamy w zasięgu wzroku. Zadufany. Napuszony. No, dalej, jakieś pomysły?

Tłum na moment zamilkł.

- Mussolini - odezwał się po chwili jakiś głos. - To na pewno Mussolini.

- Dla ciebie signor Mussolini - warknął Beaverbrook. - Niech to szlag, on na pewno to słyszy i skonfiskuje moją willę w Toskanii. Nie, to nie Człowiek Makaron. Zgadujcie dalej.

- Z takim brzuchem to musi być Hermann Göring - zabrzmiał kobiecy głos.

- Nie, nie, nie. A jeśli nas słyszysz, Hojmanie - Beaverbrook zamienił akcent kanadyjski na wyraźny brookliński i wzniosł oczy ku ciemnemu niebu - to wiedz, że cię kochamy!

Wśród radosnego śmiechu rzucano inne nazwiska - Hore-Belishy, Herberta Hoovera, generalissimusa Franco, a nawet Wallis Simpson („Z tymi otwartymi ustami to na pewno ona...”) - ale Beaverbrook nadal uparcie kręcił głową.

- Jeszcze jedna wskazówka, Maxie - usłyszał w końcu. - Nie drocz się tak z nami.

Drobny baron prasowy pomachał rękami, żeby wszyscy ucichli, i w jego oku pojawił się figlarny błysk.

- Zatem jeszcze jedna wskazówka - ustąpił. Wyjął z ust olbrzymie cygaro, po czym wsunął je do szpary w twarzy kukły, gdzie nadal lekko się tliło. - Oto ona...

- Facet z Cygarem. To Facet z Cygarem! Och, Maxie, najdroższy, jesteś taki niegrzeczny!

Ze wszystkich stron posypały się oklaski. Tylko parę z obecnych tam osób wycofało się w mrok, nie dając się porwać tej fali.

Zapach kiełbasy i przypalonej cebuli unoszący się tego wieczoru na wietrze okazał się nie do odparcia i pod płóciennymi daszkami wzniesionymi dla gości przez skautów zrobiło się tłoczno. Brendan Bracken od jakiegoś czasu trzymał się na uboczu, opierając się pokusie dołączenia do tego grona. Zgłodniał, ale musiał dbać o wizerunek, a nie posiadał nic cenniejszego. Robotnik mógł jeść publicznie kiełbaski, podobnie jak hrabia albo aktorka, ale irlandzki uzurpator musiał chronić reputację przed takimi wymierzanymi z boku ciosami. Anglicy uważali, że wszystko powinno być na swoim miejscu, a miejsce człowieka pragnącego zostać mężem stanu i chcącego, by traktowano go z najwyższą powagą, nie było w kolejce po kiełbaski. Wyobraził sobie, że wszyscy o nim rozmawiają – lecz on zawsze wyobrażał sobie, że ludzie o nim rozmawiają, marzył o tym, upierał się przy tym, ponieważ świadomość, że go ignorują, byłaby dla niego największym upokorzeniem. Nie chciał jednak, by zauważono go z powodu kiełbasek. Walczył zatem z głodem i z każdą mijającą minutą czuł się słabszy, nękały go wspomnienia z dzieciństwa związane z kuchniami Tipperary, aż mimo swojej powściągliwości nie był w stanie dłużej opierać się łaknieniu. Chwycił kiełbaskę i bułkę ze wszystkimi dodatkami, a następnie oddalił się trochę od innych gości, by samotnie delektować się doznaniem zwyczajnego opychania się. Wiedział, że właśnie w tym tkwi niebezpieczeństwo. Nie sposób zjeść kiełbasek w bułce delikatnie, trzeba je pożreć, zanim zwrócą się przeciwko tobie i przypuszczą atak, ochlapując wszystko tłuszczem i obrzydliwością. Bracken słynął z pedanterii, był rozpaczliwym hipochondrykiem, który skrupulatnie dbał o wygląd i mył ręce wiele

razy dziennie. To publiczne spotkanie z kiełbaską zdecydowanie było jednorazowym wyskokiem, więc dobrze się przygotował. Znalazł miejsce, gdzie mógł odwrócić się do wszystkich plecami, ostrożnie stanąć w lepkiej trawie, żeby nie stracić równowagi, lekko pochylić się do przodu i...

– Czyżby to pan się tu ukrywał, panie Bracken?

Kiełbaska zmieniła się w pocisk i zniknęła w ciemności, zostawiając w jego rękach zwiotczałą bułkę, a na wykrochmalonej białej koszuli powiększając się plamę tłuszczu. Jego mucha oklapła z rozpacz.

– Obiecał pan zadzwonić, panie Bracken – powiedziała oskarżycielsko Anna Fitzgerald, nie zwracając uwagi na jego nieszczęście. Nie, ono wręcz ją ucieszyło! Skonsternowany Bracken rozłożył ręce, a włosy opadły mu na czoło, jakby same chciały obejrzyć zniszczenia. – Obiecał pan oprowadzić mnie po Londynie, ale nie zadzwonił – ciągnęła.

– Bo... bo... bo ja... – Nagle umknęły mu wszystkie słowa i próbował ogarnąć umysłem mazisty bałagan pełznący mu po klatce piersiowej. Jego mózg i język, zwykle tak wyostrzone i aktywne, najwyraźniej gdzieś się schowały. Mógł jedynie wpatrywać się w nią z miną skarconego dziecka z za okularów o grubości otoczaków.

– Nie lubi pan Amerykanów?

– Nie, nie, proszę...

– Jest pan żonaty czy coś?

– Nie, oczywiście, że nie...

– Ma pan zazdrosną dziewczynę?

– Nic z tych rzeczy.

Dobrze, wyjaśniła sytuację. Podeszła znacznie bliżej. Zauważył, że ma małego psa, rudawo-białego king charles spaniela drepczącego na

smyczy.

– Wiem, że jest pan ważnym człowiekiem. Bardzo zajęтым. Rozprasza pana mnóstwo spraw...

Wyjęła lnianą chusteczkę z górnej kieszonki i rozpoczęła operację czyszczenia jego koszuli, delikatnie wycierając resztki, przejmując kontrolę nad sytuacją.

– Prawda wygląda tak, panie Bracken, że jest pan po prostu trochę nieporadny. I dość nieśmiały.

Anna Fitzgerald była drobna, szczupła, niemal chłopięca, miała na sobie ciemną skórzaną kurtkę lotniczą o kilka rozmiarów na nią za dużą i buty sięgające do kolan. Ubrała się o wiele rozsądniej niż on. Zimna, mokra trawa pod jego stopami zmieniała się w błoto i obłapiała jego ręcznie robione skórzane mokasyny, lecz to i tak było już chyba bez znaczenia. Anna miała najczarniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widział. Jej oczy tańczyły i połyskiwały w świetle tysiąca świec. Była inna – tak bardzo różniła się od kobiet, które kiedykolwiek znał. Wystarczyło jej zaledwie kilka chwil, żeby przełamać obronę umacnianą przez całe życie i żeby wszyscy inni goście tego przyjęcia przestali się dla niego liczyć. Chciał, by ta tłusta plama trwała wiecznie.

– Zajęty... tak. Byłem zajęty. – Wreszcie odzyskał trochę opanowania, jego mózg znów miał łączność z językiem. Inne części jego anatomii też zdawały się żyć własnym życiem. – Winston wygłasza przemówienia, wymaga ode mnie ciągłej obecności...

– Więc nie ma pan czasu oprowadzać głupiej Amerykanki po mieście.

– No cóż, nie tylko o to chodzi... To znaczy wcale nie o to chodzi...
– Bracken zaczął się jękać. Niech to szlag, robił z tego niezły bigos.

Prawie odczuł ulgę, gdy spaniel, który jak się okazało wabił się Chumpers, odwrócił jej uwagę. Znalazł coś w trawie – kiełbaskę Brackena – i skupił się wyłącznie na niej. – Bałem się, że pani wuj ambasador i Winston... jak by to ująć?

– Że wysyłają sygnały dymne z przeciwnych stron koca?

– Właśnie. Obaj są ludźmi wielkich namiętności. Myślałem, że może być trudno.

– Uważa pan, że namiętność to coś trudnego, panie Bracken?

– Chodziło mi o to, że mogłoby być niezręcznie... dla pani... gdybym, no wie pani, zaprosił panią na spacer. Bratanie się z wrogiem.

– Nie wiem, jakie są angielskie dziewczyny, ale nas wychowuje się w Massachusetts tak, żebyśmy myślały samodzielnie.

– Aha.

– Więc gdyby pan do mnie zadzwonił, pan Churchill miałby coś przeciwko? Wymaga od pana nie tylko lojalności politycznej, lecz także towarzyskiej?

– Oczywiście, że nie! – zaprotestował, zanim nagle sobie uświadomił, że prawdopodobnie kłamie. – Przyszło mi też do głowy... No cóż, jestem od pani znacznie starszy. O jakieś piętnaście lat.

– Ależ panie Bracken, chwała Bogu jest pan bardzo staromodnym dżentelmenem – szepnęła głosem trącącym południem Stanów Zjednoczonych i uwodzeniem na werandzie. Drwiła z niego, ale delikatnie. Jej ręka wróciła na jego tors, wprowadzając poprawki do operacji czyszczenia.

– Bynajmniej. Po prostu... – Zamilkł. Zupełnie zaniemówił. Nie było sensu kontynuować. Na jego twarzy pojawił się rumieniec zbliżony kolorem do jego niedorzecznych włosów i Bracken zrobił minę

sugerującą, że właśnie rodzi kamienie nerkowe. – Zachowuję się beznadziejnie.

– Brendanie, po raz pierwszy tego wieczoru jestem skłonna się z tobą zgodzić. Pozwól zatem, że ułatwię ci zadanie. Czy chciałbyś mnie jeszcze zobaczyć? Zabrać mnie na kolację? Pokazać mi atrakcje Londynu? Zagrać w kanastę albo zrobić cokolwiek innego, co robią kulturalni Anglicy?

– Oczywiście, że tak.

– I potrafisz korzystać z telefonu?

Zaczął się śmiać.

– Hej, Brendanie, widać, że wracasz do formy. – Uniosła jego brudną chusteczkę i upuściła ją na jego wyciągniętą dłoń. – Ryzyko bombardowania oddalone – szepnęła. A potem odeszła, ciągnąc za sobą opierającego się Chumpersa.

Był to wieczór nie tylko rozrywki, lecz także spotkań i intryg – dokładnie tak, jak chciał Beaverbrook. Oczywiście nie mógł czegoś takiego zaplanować, ale rozumiał ludzką naturę i wiedział, że nieuchronnym skutkiem mieszania alkoholu z ego są informacje. A w jego świecie informacje oznaczały władzę.

Gdy wrócił do gości, okazało się, że ktoś go potrzebuje. Jakaś zaafierowana kobieta ciągnęła go za rękaw. Była to lady Maud Hoare, żona sir Sama.

– Maxwellu, drogi Maxwellu...

Hola, nikt nie nazywał go Maxwellem. Babka była zdenerwowana.

– Bardzo przepraszam. Mam nadzieję, że Sam nie zrobił sceny – wyrzuciła z siebie Maud.

Oczywiście, że zrobił. I to nie byle jaką. Przed chwilą Beaverbrook usłyszał od Joego Kennedy'ego, że dobre przyjęcia przypominają bitwy.

Wymagają ofiar.

– Sam jest taki porywczy – ciągnęła. – Wiesz o tym, przecież się przyjaźnicie...

Przyjaźnimy się? No cóż, to za dużo powiedziane. Przyjaźń nie należała do gier, w które polityk grałby z dziennikarzem.

– Podobnie jak ty jest lojalny wobec sprawy.

Ach, wobec sprawy. Wielkiej sprawy, której w ostatnich tygodniach Beaverbrook poświęcił tyle pierwszych stron. Sprawy zwycięstwa! Zwycięstwo było wszystkim, a Chamberlain zwyciężył, przynajmniej na razie. Miał być pokój. Musiał być pokój, nalegali

na niego reklamodawcy „Expressu”. Chcieli świata, w którym każdy ma trochę zabawy i wydaje trochę pieniędzy, a nie świata, w którym każdy grosz zostaje zakopany w obligacjach pożyczek wojennych albo w garnkach na skraju ogrodu. Jak dotąd postawienie na Chamberlaina wydawało się dobrą decyzją.

– A Sam żyje pod taką presją...

– Pod presją? Jaką presją? – W Beaverbrook natychmiast obudził się dziennikarski instynkt. Pokrzepiająco położył dłoń na jej rękawie.

– On oczywiście nigdy by się nie poskarżył, to nie jest człowiek tego typu. Ale, och, Maxwellu, biedak jest taki rozdarty.

– Rozdarty?

– To dobry, wspaniały człowiek...

Pewnego dnia może być także najważniejszy. Człowiek, który przejmie wodze. Beaverbrook miał oko do wierzchowców i jeźdźców, a Śliski Sam dobrze rokował. W ocenie Beaverbrooka Hoare był kimś, kogo należy obserwować, kogo... no cóż, niech będzie – kogo warto mieć za przyjaciela.

– Wiesz, jak to jest, Maxwellu, tyle spraw wymaga twojego czasu, twoich sił, twoich... pieniędzy.

Ach, więc o to chodzi. Babce widać było halkę.

– Nie odziedziczył majątku tak jak Neville czy Edward Halifax. Nie może jeździć sobie z wykładami i sprzedawać się jak Winston. – W jej ustach zabrzmiało to gorzej niż stręczycielstwo. – Sam musi się męczyć, mając do dyspozycji wyłącznie rządową pensję. A to naprawdę męka, Maxwellu.

Ile – pięć tysięcy rocznie? Dla niego może i była to męka, ale dla większości ludzi fortuna.

– Zdajesz sobie sprawę, że Neville nie zdołałby dokonać tego, czego dokonał, gdyby nie miał niesłabnącego wsparcia ze strony Sama... Przecież wiesz, prawda, Maxwellu?

– Oczywiście – skłamał.

– Ale to wszystko powoli go wyczerpuje, a ja codziennie płaczę przed zaśnięciem, martwiąc się o niego.

– Nie możemy na to pozwolić, Maudy.

– Och, czasami ogarnia mnie wielka rozpacz, gdy patrzę, jak on się poświęca. Dla innych. Zawsze dla innych. – Jej głos ucichł do szeptu, ale już za chwilę miał odzyskać siłę. – Zupełnie nie wiem, co robić. To tak okropnie trudne czasy.

Jak dobrze to przećwiczyła. Z jaką łatwością zadrżała jej warga, zacisnęły się wypielęgnowane dłonie i jak ochoczo trudne emocje wy dostały się na powierzchnię i zaprezentowały w karnym szeregu.

– No więc zastanawiam się...

Zaraz się zacznie.

– Maxwellu, nie wiesz przypadkiem, w jaki sposób można by... po prostu uwolnić go od tej presji? Umożliwić mu dalsze wykonywanie tej

jego wspaniałej pracy?

Maudy, staruszeko, może gdybyś była o kilka lat młodsza i nie aż tak szkaradna...

– Jestem kobietą, zupełnie nie znam się na tych sprawach, ale ty, Maxwellu, nie tylko się z nim przyjaźnisz, lecz także jesteś bardzo mądrym człowiekiem.

Och, Maudy, myślisz, że pochlebstwem przełamiesz moją obronę? Gdy codziennie otaczają mnie fagasy, którym płacę za przymilanie się i płaszczanie w każdej chwili w mojej obecności? Ale zaproponuj mi jakiś interes, to przecież zupełnie inna sprawa. Zaproponuj mi człowieka, który jest ministrem spraw wewnętrznych – jednym z najbardziej wpływowych ludzi w tym kraju, strażnikiem sekretów, zaklinaczem węży, dozorcą reputacji małych i dużych, człowiekiem mającym spore szanse, że pewnego dnia będzie ustalał zasady tej całej zaszraney gry – zaproponuj mi tego człowieka i zrób z niego mojego dłużnika. Ile byłoby to dla ciebie warte? Ubijmy interes – i pieprzyć przyjaźń. Co ty na to?

– Dwa tysiące.

– Słucham, Maxwellu?

– Dwa tysiące rocznie, Maud. Myślisz, że to mogłoby pomóc? Nie możemy dopuścić, żeby rozpraszały go prywatne zmartwienia.

– Nie, oczywiście, że nie, masz absolutną rację.

– Jeśli mogę mu pomóc, Maud, będzie to dla mnie cholernie wielki zaszczyt. Odegnam te jego zmartwienia. Poza tym dopilnuję, żeby moje gazety mu sprzyjały... Do diabła, dopilnuję, żebyśmy grali z Samem w jednej drużynie, dla siebie nawzajem.

– I dla sprawy. – Zaparło jej dech w piersiach, miała zarumienione policzki jak młoda dziewczyna, która właśnie została zbałamucona

i absolutnie ją to zachwyciło.

– Rozumiesz, to wyłącznie prywatna sprawa. Nie może się o tym dowiedzieć nikt oprócz nas dwojga, Maud. I oczywiście oprócz Sama. Przecież nie chcielibyśmy, żeby szmatławce coś zwęszyły.

– Oczywiście, oczywiście... Zupełnie nie wiem, co powiedzieć, Maxwellu. Zwykłe „dziękuję” wydaje się takie nieadekwatne.

– Nie, Maud, to ja tobie dziękuję. Sam jest wspaniałym człowiekiem. Cieszę się, że mogę mu jakoś pomóc. Przyślij go do mnie. Omówimy szczegóły jak mężczyzna z mężczyzną. – Tak, Maudy, przyślij go na klęczkach i niech przywyknie do takiej pozycji.

Zbliżali się inni goście. Chwila dobiegła końca, interesy zostały załatwione. Kupił ministra spraw wewnętrznych za mniej, niż wydał na swój nowy samochód.

– Bądźmy w kontakcie, Maud.

– Och, będziemy, będziemy – szepnęła, odpływając w noc.

– Kto to był? – spytał nowy towarzysz Beaverbrooka, patrząc, jak kobieta odchodzi. Miał głęboki, starannie modulowany głos godny biskupa.

– Żona Hoare’a – mruknął Beaverbrook.

– Aha.

– I kolejna dziwka na mojej Białej Liście. Na razie.

– A.

Tom Driberg cmoknął z niezadowoleniem. Ten wysoki, smagły trzydziestokilkuletni osobnik z rzednącymi włosami, marszczący się niczym zamyślony maharadża, należał do licznego grona tych, którym Beaverbrook płacił za „przymilanie się i płaszczenie”. Świat zewnętrzny znał go jako Williama Hickeya, najlepiej opłacanego redaktora rubryki towarzyskiej w kraju, a żywiołem Driberga były plotki – zarówno ich

rejestrowanie, jak i rozsiewanie – choć obowiązujące go zasady dotyczące dokumentowania nieszczęśliwych wypadków i ogólnych wpadek socjety były o wiele surowsze niż te, według których sam postanowił żyć. Jedną z jego najsurowszych zasad zawodowych było to, żeby nigdy, przenigdy nie zrażać do siebie wydawcy, a Biała Lista zawierała nazwiska serdecznych przyjaciół Beaverbrooka, którzy byli poza zasięgiem i pod żadnym pozorem nie mogli się znaleźć w kolumnie Williama Hickeya bez uprzedniego przeanalizowania jej treści przez samego magnata prasowego. Plotka była potężną walutą polityczną, a Beaverbrook i Driberg pilnowali kluczy.

– Pracowity wieczór? – spytał Beaverbrook prawie jak gdyby nigdy nic, przypominając drugiemu mężczyźnie, że jest tu po to, by pracować.

– Minister zabiegający o poparcie młodej damy, która... jak by to ująć, żeby nie zabrzmiało niedelikatnie?... dopiero za kilka lat osiągnie wiek pozwalający brać udział w wyborach.

– Patrzymy w przyszłość, co? Cholernie dobry slogan.

– I aktorka, która przez ostatnie dwadzieścia minut ćwiczyła rolę Kleopatry na tylnym siedzeniu samochodu. Doskonałe przedstawienie, mnóstwo jęków i zaparowane szyby. Niech mnie, o mało nie zamarzę, czekając, aż zaczną dziękować ukłonami za oklaski. A ona wyszła stamtąd z własnym mężem. To przechodzi ludzkie pojęcie.

– Do czego zmierza ten świat?

– Noc jest jeszcze młoda.

– Tak. A skoro o tym mowa, trzymaj łapy z daleka od skautów. Nie życzę tu sobie żadnych pedrylskich bzdur. W moim domu to nie wchodzi w rachubę. Zrozumiano?

– Będę bronił twojego honoru do ostatniej sztuki bielizny, Wasza Lordowska Mość.

– Spieprzaj.

– Z największą przyjemnością.

– A, i rozejrzyj się za Duffiem Cooperem. Też tu dzisiaj jest, ale raczej nie z żoną. Wypadł już z Białej Listy.

– Dobrze. Kiedyś bardzo niegrzecznie mnie potraktował, gdy spytałem go o pewną Austriaczkę, z którą przez cztery dni z rzędu jadł śniadanie w Biarritz. Dlatego zawsze warto pamiętać, sir: kiedy przychodzisz, bądź dla nich miły, bo rano na pewno znowu ich spotkasz. Ciągłe to powtarzam.

– Ileż w tobie jest gówna.

O tak. A niebawem miało go być jeszcze więcej. Właśnie poznał pewnego fascynującego młodego producenta z BBC.

Zbliżał się punkt kulminacyjny wieczoru. Kukłę wożono w procesji między gośćmi, nadal z cygarem w ustach – ktoś nawet poświęcił kapelusz dla dopełnienia efektu – i teraz dopchnięto ją do ogniska, gdzie zarządca z dwoma młodymi pomocnikami skorzystali z drabiny, by umieścić ją na samym czubku stosu. Wkrótce miała zapłonąć.

– Doskonałe przyjęcie, Max. – Joseph Ball pogratulował gospodarzowi i wziął go pod rękę w sposób wyraźnie sygnalizujący ludziom wokół, że ci dwaj mężczyźni zamierzają porozmawiać o interesach – na osobności.

– Chyba nie pijesz tych popłuczyn, co Joey? – spytał Beaverbrook, przeciągając samogłoski i przyglądając się kieliszkowi z grzanym winem, jakby spodziewał się ujrzeć w środku kijanki. – Masz. – Wyjął olbrzymią piersiówkę pełną wybornej whisky single malt. W zamian Ball zaoferował mu hawańskie cygaro.

– Max, stary druhu, moc twojej gościnności nigdy nie słabnie. Już na początku dostarczyłeś nam niezwykłych wrażeń.

– Masz na myśli Sama i Kitty? Sam to dobry chłop, cholernie dobry chłop, ale Kitty...

– Tak, nasza droga Kitty. Żaden z niej chłop. Może właśnie w tym tkwi sedno problemu. Zszargane nerwy, słabość umysłu. No wiesz, kobiety w pewnym wieku... Sam ją dzisiaj widziałeś: straciła panowanie nad sobą, była o włos od hysterii. Chyba ma to w genach. Podobno ma też kłopoty finansowe.

– Naprawdę? Niech mnie diabli. – Beaverbrook wziął od niego piersiówkę i pociągnął łyk, ani na chwilę nie odrywając przy tym oczu od swojego gościa. Ball stosował swoje stare sztuczki, wpuszczał fretki do nory, żeby wypłoszyć stamtąd kilka reputacji. Z niszczenia ludzi zrobił formę sztuki. – No więc co poczniesz, Joey? Odebrałeś jej już funkcję rzecznika dyscypliny, zatem chyba nie bardzo masz jej teraz czym zagrozić?

– Max, nigdy nie przyszłoby nam do głowy jej grozić. Przecież dobrze mnie znasz. Ale nie możemy brać odpowiedzialności za innych... – Zamilkł, żeby mocno pociągnąć cygaro, wypełniając powietrze wokół nich dymem i tajemniczością. – Dotarło do mnie pocztą pantoflową, że jej komitet okręgowy drży z oburzenia na jej nielojalność. Tak naprawdę tyczy się to wszystkich buntowników. W ciągu następnych dwóch tygodni większość z nich poczuje wielką presję, żeby wrócić do szeregu, bo inaczej...

– Bo inaczej co?

– W powietrzu unosi się woń wyborów... Może w przyszłym roku. Pora, żeby partia wyczyściła buty.

– Wyrzucą ich?

- Komitety okręgowe mogą uznać, że mają ich dość.
- Oprą ich o starą urnę i wydymają? To mi się podoba.
- Jest tylko pewien mały problem...
- Wujek Max chętnie cię wysłucha.
- Komitety okręgowe jeszcze o tym nie wiedzą.
- Ty cwany draniu. - Zostało to powiedziane i odebrane jako pochwała.
- Słuchaj, pamiętasz tę grupkę korespondencyjną, którą stworzyłeś w czasie cyrku z abdykacją?
- Dziennikarzy, którym kazałem pisać jadowite listy do dziwki króla?
- Właśnie. Nie puścili pary z ust.
- I nie puszcza. Powiedziałem im, że jeśli pisną na ten temat choćby słówko, żaden z nich nie będzie więcej pracował na Fleet Street. To jedna z korzyści związanych z byciem takim prawdziwym kanadyjskim draniem jak ja. Wzbudzam lojalność, Joey. Zawsze wzbudzam lojalność.
- No więc myślałem o czymś w rodzaju następnej takiej grupki, która będzie pisała listy do najważniejszych ludzi w komitecie okręgowym Kitty. Wiesz, skargi na jej niesolidność, zapowiedzi, że nigdy więcej nie zagłosują na konserwatystów, dopóki ona będzie kandydowała, rady, by partia szła dalej. Niech piszą o jej wieku, o jej słabości, dają do zrozumienia, że pieprzyła się ze Stalinem. Tego typu historie. Może uda nam się ją wypchnąć, zanim zrobią to wyborcy. Przed wyborami umieścimy na jej miejscu nowego kandydata.
- I z częścią pozostałych zrobimy to samo?
- Ze wszystkimi, Max. Ze wszystkimi, którzy sprzeciwiali się Neville'owi w sprawie Monachium. Nie pora na półśrodki.

Beaverbrook skinął w stronę kukły.

– Z Winstonem też?

– Ze wszystkimi. Oczywiście większość przetrwa, ale to nimi wstrząśnie. Do wyborów będą siedzieli cicho. Uświadomi im to, że nie warto zadzierać z Neville'em. Ale Kitty to wyjątkowy przypadek, za bardzo zbliżyła się do krawędzi. Wystarczy lekko popchnąć i spadnie. Trochę krzyku, łopotanie halek, odrobina krwi. Coś, co zmotywuje pozostałych.

Szeroki uśmiech o mało nie przeciął twarzy Beaverbrooka na pół.

– Chcesz trochę namieszać? Cała przyjemność po mojej stronie.

– Będę twoim dłużnikiem.

– Nie sądzisz, że demokracja jest cudowna?

Gdy tak się naradzali, inni goście trzymali się z daleka. Przygarbione ramiona i konspiracyjny ton dwóch mężczyzn służyły za ostrzeżenie niepozostawiające żadnych wątpliwości wszystkim oprócz tych najbardziej niewrażliwych – albo tych najmłodszych.

– Chodź, Maxie, wszyscy czekamy – zawołała jakaś młoda kobieta, niecierpliwie przytupując z zimna. – Pora rozpaścić tę noc.

Podstawę ogniska dobrze nasączono parafiną i smołą, a zarządca stał obok z płonąca pochodnią.

– Maxie, najdroższy, no chodź – ponagliła go z wyrzutem, pociągając za etolę z lisiego futra owiniętą wokół szyi. Etola wyglądała na nową.

– Pora coś zrobić – mruknął Beaverbrook.

Chwył pochodnię, podniósł ją wysoko nad głową, nagrodzony oklaskami gości, a następnie wrzucił głęboko do wnętrza ogniska. Wkrótce płomienie zawłasczyły noc i Człowiek z Cygarem na wysokim tronie zaczął marszczyć się z gorąca i czernieć. Wił się, gdy

przejmowały go płomienie, aż w końcu oklapł, pochylił się do przodu i zniknął w burzy iskier. Kobieta pisnęła z zachwytem.

- Trochę młoda, nawet jak na twoje standardy, prawda Max? - zbeształ go Ball.

- Do diabła, Joey, po prostu robię się sentymentalny. Kiedyś znałem jej matkę.

Jeszcze w tym samym tygodniu zapłonęła także spora część Europy.

Nazwano to Kristallnacht - „nocą kryształową” - dla upamiętnienia kawałków potłuczonego szkła, które leżały rozrzucone na ulicy po tym, jak splądrowano żydowskie sklepy w całym Niemczech i w Austrii. Zdemolowano zakłady i domy, podpalono synagogi. Tej nocy zabito dziewięćdziesięciu trzech Żydów. W następnych tygodniach tysiące kolejnych miały odebrać sobie życie. Był to jedynie mały przedsmak tego, co miało nastąpić.

Rozdział szósty

Jedenasta godzina jedenastego dnia jedenastego miesiąca. Chwila, w której dokładnie dwadzieścia lat temu na froncie zachodnim zamilkły karabiny i rzeź dobiegła końca. Rocznica zakończenia pierwszej wojny światowej. Ludzie przymuszeni coraz bardziej wydłużającym się cieniem okoliczności zebrali się wyjątkowo tłumnie na Whitehall wokół kamiennego pomnika Lutyensa, żeby wziąć udział w narodowym hołdzie dla poległych. Było ich prawie milion. Zmarnowani przez wojnę. Wojnę, którą pewne osoby chętnie zaczęłyby od nowa.

Dzień był słoneczny, łagodny jak na tę porę roku, a on musiał przejść zaledwie kilka metrów z Downing Street, lecz mimo to premier czuł potrzebę włożenia płaszcza. Czuł też wszystkie ze swoich sześćdziesięciu dziewięciu lat. Nie miał już tyle siły co kiedyś. Te ceremonie były dla niego męczarnią, budziły emocje, z którymi trudno było mu sobie poradzić – zwłaszcza wspomnienie o kuzynie Normanie, który poległ we Francji. Tacy jak Norman zostali poświęceni. Chamberlain nazywał Normana najbliższym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miał, i nadal opłakiwał jego śmierć, zwłaszcza w takie dni jak ten. Być może nękała go także świadomość, że sam w tej wojnie nie walczył, że nawet przed laty był na to za stary. Przekroczył granicę wieku. Był niezdolny do służby. Norman i inni spłacili dług, który powinien być z nimi dzielić. Churchill oczywiście walczył na wojnie, widział działania na froncie i nigdy nie omieszkał

o tym przypominać. Wojownik. Bohater wojny burskiej. I Wielkiej Wojny. Prawie jakby postanowił dręczyć premiera – nie, nie było co do tego żadnych wątpliwości, oczywiście, że Churchill próbował go dręczyć. Problem w tym, że bardzo często robił to skutecznie.

Byli tam wszyscy, stali w szyku wokół białego pomnika z portlandzkiego kamienia, po jego lewej król i inni członkowie rodziny królewskiej płci męskiej, naprzeciwko biskup Londynu, obok i za nim inni przywódcy polityczni. A wokoło starzy żołnierze, którzy wiedzieli, jak to jest taszczyć brzemię życia, po tym jak ujrzeli śmierć swoich braci, i przez cały czas zastanawiali się, dlaczego im samym oszczędzono rzezi. Byli też młodzi żołnierze, którzy nie mieli pojęcia o wojnie – i powinni trwać w tej nieświadomości dopóty, dopóki on jest premierem.

Ostatnimi czasy często budził się w nocy, drżąc z zimna, czując się tak, jakby gdzieś głęboko w środku chwyciła go jakaś zimna, szara ręka. Czasami myślał, że otaczają go duchy. Mężczyźni, których znał, tacy jak Norman, i którzy zginęli zamiast niego. Słyszał ich szepty, ale nigdy nie mógł zrozumieć, co mówią. Nie pozwalały mu odpocząć.

Orkiestra Brygady Gwardzistów zagrała żałobną melodię, a potem samotny kobziarz wystąpił o krok naprzód i wydobył ze swojej duszy dźwięki Lamentu Purcella. Chamberlain stał ze spuszczoną głową. Nie było słychać niczego oprócz chrupania wędzidla przez konia, tłum zamilkł. Po jego prawej stał Edward Halifax, wysoki, wymizerowany, z rozstawionymi wielkimi stopami, górował nad otaczającymi go ludźmi, spowijając Chamberlaina cieniem i wywołując w nim poczucie, że prawie nic nie znaczy. Minister spraw zagranicznych pochylił się lekko niczym trzcina i szepnął mu na ucho:

– Neville’u, widziałeś poranne gazety?

– Żydzi? – Chamberlain potakująco skinął głową, nadal patrząc prosto przed siebie.

Kobziarz skończył i nastąpiła krótka przerwa, podczas której biskup szykował się do zaintonowania modlitw; po nich zapadła dwuminutowa cisza. Wkrótce mieli ich wezwać do wystąpienia naprzód i złożenia wieńców z krwistoczerwonych maków.

– Mój Boże, Edwardzie, Hitler nie ułatwia nam sprawy.

– Mówią, że przez to wszystko nasze porozumienie z nim zakrawa na kpinę.

– Nie! To nie jest żadna kpina. To ilustracja zagrożenia. Jeszcze dobitniej pokazuje, że porozumienie było konieczne. – Chamberlain drżał mimo słońca. – On dał mi słowo, Edwardzie.

– Nie w sprawie Żydów. O to nie prosiliśmy.

– Czy możemy cokolwiek zrobić?

– Zrobić?

– Tak, na przykład przywrócić trochę równowagi w doniesieniach prasowych, żeby brzmiały mniej drastycznie. Albo dać gazetom inną historię, w której będą mogły zatopić zęby.

– Daliśmy im pokój. Co jeszcze możemy zrobić?

– Potrzebujemy czegoś, co odwróci ich uwagę.

– Tak samo jak Żydzi, jak przypuszczam.

– Horace i Joe mają chyba coś w zanadrzu. Jeśli chodzi o odwrócenie uwagi. Urządzą małe polowanie na lisa. – Sprawiał wrażenie, że nie ma ochoty – albo nie jest w stanie – kontynuować. Westchnął długo, chrapliwie i z udęczeniem. – W każdym razie zbliża się Boże Narodzenie. Pokój na ziemi...

Chamberlain jeszcze raz zadrżał. Tym razem Halifax nie mógł tego przeoczyć. Już prawie przyszła pora. Gdy zegar Big Bena zaczął

wybijać godzinę, od strony Horse Guards dobiegło gruchnięcie artylerii. W głębi duszy Chamberlain się wzdrygnął, znowu zastanawiając się, jak zniósłby potop śmierci, gdyby brał udział w walkach.

Gdy ceremonia dobiegła końca i sztywno maszerowali za królem z powrotem do pobliskiej starej siedziby Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, podjął przerwana rozmowę. Pili herbatę, żeby się rozgrzać i odprężyć po paradzie. Zwłaszcza król zdawał się ciężko znosić takie oficjalne ceremonie.

– Dobrze poszło? – spytał.

Słowa wyszły z jego ust z zająknięciem i w formie pytania. Nie wygłosił żadnej mowy, miał tylko być symbolicznym przywódcą i złożyć wieniec z maków, lecz mimo to król-cesarz potrzebował potwierdzenia.

– Doskonale, sir – odrzekł premier.

– Dziękuję, panie Chamberlain.

Odpręzał się, czuł się swobodniej pod dachem, z dala od spojrzeń tłumu. I wśród przyjaciół. Halifax był jego wspaniałym towarzyszem, z Chamberlainem też się zżył. Minęło dokładnie osiemnaście miesięcy, odkąd Jerzy został koronowany i poprosił Chamberlaina o zajęcie najwyższego politycznego stanowiska w kraju. Teraz wyglądało na to, że ich losy będą na zawsze powiązane. Właśnie dlatego król zaprosił swojego premiera na skąpany w świetle reflektorów balkon w pałacu Buckingham natychmiast po jego powrocie z Monachium. Według niektórych był to gest nieroztropny, wręcz niemądry, ponieważ za bardzo angażował koronę w politykę i zbyt mocno związywał ją z losem premiera, lecz król nalegał. Polityka ustępstw była właściwa,

była moralna, była nie tylko polityką Boga, ale także królewskiej małżonki. Nie czuł potrzeby kompromisu.

W pomieszczeniu zebrali się inni wpływowi mężczyźni, mówili ściszym głosem, z szacunkiem, nie licząc jednego, odrobinę za bardzo podniesionego, hałaśliwie dowodzącego swoich racji nie w stylu łagodnego angielskiego strumyka, lecz kaskady wody spadającej na dywan. Ale Lesliego Hore-Belishę trudno było przecież uznać za... No cóż, nie należało mieć do niego pretensji, że nie został wychowany na angielskiego dżentelmena.

W całym pomieszczeniu pobrzmiwały takie słowa jak „Berlin” i „Wiedeń”, a król raz po raz sztywniał w swoim mundurze.

– Panie premierze, co z nimi zrobić? – spytał cicho.

Chamberlain podążył wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Ach, ma pan na myśli Żydów, sir.

– Co możemy zrobić? Udzieliliśmy już schronienia tysiącom. Teraz grozi nam potop.

– Właśnie rozmawialiśmy o tym z Halifaxem.

– Oczywiście z bólem czytam doniesienia prasowe, ale często odnoszę wrażenie, że ci ludzie sami utrudniają sobie sprawę. Niech pan spojrzy na Palestynę. Oferujemy im siedemdziesiąt pięć tysięcy miejsc w ciągu najbliższych pięciu lat, a mimo to całe hordy próbują dostać się do nas nielegalnie i wywołują chaos.

– Oczywiście, sir, Palestyna nie wystarczy. Jest zbyt mała. I za dużo tam Arabów. Obawiam się, że trochę za bardzo się pospieszyliśmy, sugerując przed laty, że mogłaby zostać żydowską ojczyzną.

– Wędrownie plemiona, co?

– Zastanawialiśmy się z ministrem spraw zagranicznych, czy nie można by uzyskać pomocy w innych częściach imperium.

– W innych częściach?

– Na przykład w Afryce. Tanganika, sir – odezwał się Halifax, zadowolony, że może włączyć się do dyskusji. Wzrost utrudniał mu rozmowę z dwoma znacznie niższymi mężczyznami. Pochylił się delikatnie jak żuraw próbujący nakarmić młode. – I na przykład Gujana Brytyjska. Może udałoby się udostępnić żydowskim uchodźcom ogromne obszary dziewiczych lasów.

– Na ich koszt, rzecz jasna – dodał Chamberlain.

– Nie lepiej po prostu nalegać, żeby pozostali w swoich krajach pochodzenia? Przede wszystkim zapobiegać ich wyjeżdżaniu? – nie ustępował król. – Przecież nie tylko Żydzi z Niemiec próbują najechać na Palestynę, ciągną tam także z takich miejsc jak Polska albo Rumunia. Tam są ich pewnie miliony. Z pewnością byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby po prostu zostali w domach.

– Niewątpliwie tak – zgodził się Chamberlain. – Ale Herr Hitler wcale nam nie pomaga. Mam na myśli zwłaszcza te ostatnie nonsensy.

– Okropny człowiek, wszystko komplikuje. Tylko że to całe zamieszanie... Prasa zawsze robi z takich spraw sensację i wszystko wyolbrzymia, nie sądzą panowie?

– Być może tak. Moi pomocnicy już zajęli się sprawą, dzwonią do zaprzyjaźnionych redaktorów i pilnują, żeby nie... no, żeby nie przesadzali. Może jutro będzie lepiej.

– A jeśli któryś z nich postanowi odmówić współpracy, macie nasze pełne poparcie i możecie im powiedzieć, że na to nie pozwolimy. Nie pozwolimy, słyszycie? – Filiżanka z herbatą niebezpiecznie zabrzęczała. – Jeśli ci redaktorzy oczekują, że pozwolę im przyjść do pałacu i przed sobą uklęknąć, to niech się lepiej zastanowią nad

swoim... – Król zamierzał powiedzieć „postępowaniem”, lecz gwałtowna jakanina odebrała temu władczy wydźwięk.

– Potrzebujemy czegoś, co odwróci ich uwagę, sir. Przed chwilą rozmawiałem o tym z ministrem spraw zagranicznych. Myślimy, że warto by podsunąć im coś innego, o czym mogliby pisać. Za pańskim pozwoleniem chciałbym ogłosić, że na początku przyszłego roku wybieramy się z Edwardem do Rzymu, żeby odwiedzić signora Mussoliniego. Wiem, robił problemy, najechał na Abisynię i wysłał oddziały do Hiszpanii. Ale w Monachium był bardzo pomocny, bardzo solidny. Jeśli wyciągniemy do niego przyjazną dłoń, chyba będziemy mogli go skłonić, żeby trochę wpłynął na Herr Hitlera. Pomógł zapiąć pokój na ostatni guzik.

– Następna porcja pańskich talentów dyplomatycznych, panie Chamberlain? Kolejny triumf na arenie międzynarodowej?

– Z pomocą ministra spraw zagranicznych, sir.

Chamberlain przestąpił z nogi na nogę. Odgrywanie skromnego bohatera nie szło mu zbyt dobrze, a z pewnością nie zdołałby nikogo przekonać, że zawdzięcza cokolwiek Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Prowadził własną politykę zagraniczną i to tak otwarcie, że kilka miesięcy wcześniej poprzedni minister spraw zagranicznych Anthony Eden poczuł się zmuszony złożyć dymisję.

– A Ciano jest wspaniałym ministrem spraw zagranicznych, prawda, Edwardzie? – Halifax pokłonił się, przyznając mu rację. – Nie tak jak ten dziwny Wibbentrop. Wiecie, gdy przyszedł do pałacu złożyć listy uwierzytelniające, powitał mnie jednym z tych śmiesznych salutów i z wyprostowaną ręką krzyknął „Heil Hitler”. Tylko pomyślcie. Z trudem się powstrzymałem, żeby nie zasalutować w odpowiedzi, krzycząc: „Heil Jerzy”!

Żartowali sobie i pili herbatę, a z zewnątrz dobiegały stłumione głosy ostatnich starych żołnierzy maszerujących obok pomnika ku czci poległych i znikających w cieniu. Padł ostatni szorstki rozkaz podoficera i wszyscy zniknęli, zabierając ze sobą wspomnienia.

– Nie ma sensu krzyczeć na Niemców – ciągnął Chamberlain – oni po prostu odkrzykują. Myślimy zatem, że Herr Hitler potrzebuje drobnej zachęty, a Włosi mogliby odegrać kluczową rolę w dopilnowaniu, żeby zachowywał się rozsądnie.

– Czy Mussolini jest godny zaufania?

– W każdym razie jest niezbędny.

– A Włosi zawsze byli o wiele bardziej wyrafinowani niż hitlerowski gatunek Niemców. Dyskusowanie o dyplomacji z Herr Hitlerem i jego pacholkami przypomina rzucanie pereł przed wieprze. Za to Włosi – ich sztuka, ich kultura, ich wspaniała historia – to na pewno inna sprawa.

– Mieli wspaniałe imperium.

– Rozumieją korzyści płynące z kompromisu.

– Pod warunkiem, że nikt nie będzie chciał odbudować całego Imperium Rzymskiego...

– Wznieśmy zatem toast za tego wspaniałego Włocha. – Król uniósł filiżankę, odginając mały palec. – Za signora Mussoliniego.

– I za włoską kulturę.

(„The Times”, sobota, 19 listopada 1938)

MYSZKA MIKI UŁ ASKAWIONA
UNIKNIE WŁOSKIEGO EMBARGA

Od naszego korespondenta.

RZYM, 18 listopada

Produkcje pana Walta Disneya nie zostaną objęte dekretem generalnym Ministerstwa Kultury Popularnej, zgodnie z którym do końca roku z włoskich pism dla młodzieży znikną wszelkie zagraniczne inspiracje.

U podłoża dekretu legło poczucie, że zaniedbuje się doskonałą okazję do wpojenia młodemu włoskiemu umysłowi faszystowskich ideałów, pozwalając, by zwykły kaprys miał spustoszenie na rysunkach i w „historyjkach obrazkowych” w kolorowych tygodnikach dla młodzieży, które we Włoszech są równie powszechne jak w każdym innym kraju. Wydawców i redaktorów poinformowano zatem, że w przyszłości należy wykorzystywać wspomniane pisma do sławienia militarnych i bohaterskich cnót włoskiej rasy. Zagraniczne elementy mają zniknąć.

Zrobiono jednak wyjątek dla pana Walta Disneya ze względu na uznaną wartość artystyczną jego dzieł. [...]

Mac właśnie wyszedł z kina Odeon w Notting Hill Gate. Był na komedii Noëla Cowarda. Śmiał się i kołysał, aż łzy płynęły mu po twarzy. Śmiał się tak po raz pierwszy od bardzo dawna. A płakał po raz pierwszy od pobytu w obozach. Dobrze jest zapomnieć o kłopotach, pozwolić, by coś cię poruszyło. Został, żeby obejrzeć cały film jeszcze raz, ukrywając się na chwilę w toalecie i unikając snopa światła z latarki bileterki, który przesuwiał się po rzędach miejsc niczym reflektor szperacz. Cieszył się, że zabłądził w świecie fantazji. W każdym razie było tu cieplej niż w jego małym mieszkaniu. Oszczędzał na węglu, nie mając pewności, co go czeka. Może i się śmiał, ale nadal nie umiał zaufać. I zaczynał czuć podstępłą wilgoć angielskiej jesieni przenikającą do kości, mimo że było ciepło jak w letni dzień w obozie. Widocznie zaczynał się starzeć.

Gdy wreszcie wyszedł z kina, zaczął wchodzić na wzgórze w Ladbroke Grove, idąc w stronę kościoła pełniącego straż na szczycie. Noc była bezchmurna, księżyc jasno świecił, jesienny wietrzyk ściągał z drzew ostatnie liście. Nadchodziły ciężkie czasy. Prawie żadnego światła, nie licząc księżyca wiszącego nad St. John's, rzucającego wokół długie cienie, które rozciągały się i prześladowały go tak jak jego wspomnienia. Włożył ręce do kieszeni cienkiego płaszcza, uspokoił się, odliczając kilka pensów z drobnych w kieszeni, i pospieszył dalej. Miał płaszczyk, buty, pieniądze w kieszeni, łóżko do spania, a w razie potrzeby także węgiel w koszu. Ba, w kinie pozwolił sobie nawet na lody czekoladowe. Beztroskie życie. Tylko że on nigdy, ale to nigdy nie był beztroski. Wspinając się na wzgórze, poczuł, że zaczyna mu brakować tchu – być może śmiech, do którego nie był przyzwyczajony, okazał się ponad jego siły – a gdy dotarł do ciemnofioletowych konturów kościoła, usiadł na krawędzi pochylonej płyty nagrobkowej, żeby złapać oddech. Wydychane przez niego powietrze zaczynało się skraplać niczym mgła z lodowego pyłu, który, jak pamiętał, osadzał się na brodzie i sklejał mrozem usta, zdzierając z nich skórę, jeśli próbowano się jeść – jeśli miało się cokolwiek do jedzenia. Potem czuło się, jak zaczynają zamarzać gałki oczne, tak że powieki nie chciały się zamknąć, a mózg zaczynał zamarzać tak mocno, że człowiek zastanawiał się, czy to ostatni księżyc, jaki kiedykolwiek zobaczy, lecz jednocześnie wiedział, że ziemia jest już zbyt twarda, by go pochowano, więc po prostu zostawiono by go pod cienką warstwą kamieni, dla lisów.

Ale tu była Anglia! Tu takie rzeczy nigdy się nie zdarzały. Anglicy by na to nie pozwolili. Pan Chamberlain obiecał. Obietnica Anglika. Możemy smacznie spać w swoich łóżkach, palić swoim węglem,

delektować się drobnymi luksusami w postaci czekoladowych lodów i ciast, bezpieczni, ze świadomością, że nie musimy się martwić i że gdy umrzemy ze starości, pochowają nas głęboko, a łyzy nie zamarzną, zanim doleczą do ziemi. Właśnie tak miało być, w każdym razie w Anglii. Imperium będzie nieugięte.

Usiadł, rozpaczliwie chcąc, by świat zastygł w bezruchu, lecz nawet księżyc się przesuwiał. Wietrzyk porywał suche liście i pędził je falami wokół jego kostek, a one wydawały taki dźwięk jak morze rozbijające się na kamieniach. Taki jak tamtego dnia na plaży na Wyspach Sołowieckich.

Nagle znowu popłynęły łyzy. Poczuł się przez nie słaby i zawstydzony, cieszył się, że na ulicy nie ma nikogo, kto mógłby go zobaczyć. Ale dlaczego opinie innych ludzi miałyby mieć znaczenie? Wiódł samotne życie, odcięty od emocji, życie, które odbudował tylko dla samego siebie – bo i czemu nie, skoro nie miał nikogo innego? Nie po śmierci małego Mońka. Przez połowę czasu, jaki spędził na tej ziemi, jego jedynym bogiem było przetrwanie. To, co działo się w reszcie świata i reszcie świata, nie miało dla niego najmniejszego znaczenia. Racje pokarmowe innego człowieka, jego koc, jakiś szczegół jego pracy, czasami nawet czyjeś nazwisko co najmniej raz okazywało się czymś, co odróżnia śmierć od jutra. Wszystko było takie proste: świat, w którym z radością zamieniłby czyjeś życie na godzinę słońca.

A jednak teraz płynęły łyzy i nie mógł ich powstrzymać. łyzy za utraconym życiem. I za życiem, które – wiedział o tym – znowu przepadnie. Za życiem ludzi wpatrujących się w niego wyniszczonymi, okropnymi oczami z kadrów filmu Pathé News, który przed chwilą widział, ze strachem na twarzach rozświetlonych płonącymi wokół

synagogami. Znał te twarze, bo w każdej z nich widział siebie. Płakał, mając nadzieję, że łzy zdołają zgasić ogień.

– Jeszcze jedna brandy, McCrieff. – Propozycja padła z subtelnością niemieckiego ultimatum dla państewka w środkowej Europie.

– To bardzo uprzejme z pańskiej strony. Tylko odrobinę, skoro pan nalega, sir Josephie. Kolacja była wyborna.

– Pierwsza z wielu, miejmy nadzieję. – Horace Wilson wyłonił się zza rozżarzonego koniuszka cygara.

– Istotnie, byłoby miło. Następnym razem w moim klubie Caledonian, jeśli wolno mi nalegać. – W głosie Szkota zabrzmiała nuta niepewności: czy ci wielcy panowie nie uznają przypadkiem, że jak na ich gust Caledonian jest zbyt odrażająco prowincjonalny? Nie był pewny upodobań modnego Westminsteru. Poczul, że powinien wzmocnić swoją propozycję. – Oczywiście ich kuchniom może brakować odrobiny subtelności, lecz piwnice są pełne wyjątkowo wybornej whisky single malt, która z pewnością panów skusi. Proszę nie zrozumieć mnie źle, nie mam nic przeciwko Francuzom – zapewnił ich, opróżniając pękaty kieliszek i żałując, że alkohol przytępił mu umysł – ale wiem, komu jestem winien lojalność.

– Wędkuje pan, McCrieff?

– Umiałem wiązać muchę, zanim nauczyłem się wiązać własne sznurówki.

– W takim razie powinien pan dołączyć do mnie i premiera podczas następnej wyprawy do Dee. Prawdopodobnie na Wielkanoc. Znajdzie pan wolny dzień, prawda?

– Byłbym zaszczycony, sir Josephie, naprawdę zaszczycony. Ale wiem, że obaj panowie jesteście bardzo zajęci i nie chciałbym was rozpraszać.

– Ach, rozpraszenie, McCrieff, rozpraszenie. W życiu bez przerwy coś nas rozprasza. Wojny, rewolucje, skandale, strajki, powodzie – nie wspominając o poczynaniach Australijczyków. W polityce ciągle coś pochłania naszą uwagę, jest tyle spraw, którymi się nas zarzuca. Ach, ale przecież czasem rozpraszamy się sami.

Palarnia w Reform Club skrzypiała od starej czerwonej skóry i historii. Klub stworzono przed stuleciem, chcąc w osobliwy sposób uczcić emancypację. Jeden człowiek, jeden głos – a raczej jedna posiadłość, jeden głos, skręcenie steru stworzonego do obierania kursu między absorbującymi postęпами rewolucji a represjami siejącymi chaos w reszcie Europy.

– Ale wiesz, McCrieff, zawsze uważałem, że w życiu politycznym najbardziej rozpraszają nas kobiety. Zgodzisz się, Horace?

– Kobiety? Z pewnością. Zniszczyły Charlesa Stewarta Parnella. I miały cholernie duże szanse na zniszczenie Lloyda George'a. Osobiście ubolewam, że im się nie udało.

– Jeśli im pozwolimy, mogą nawet zniszczyć obecny rząd.

McCrieff zmarszczył brwi. Stracił wątek. Zmienił pozycję w fotelu przy kominku, rozparł się, słuchając skrzypienia skóry i próbując sprawiać wrażenie człowieka, któremu jest całkiem wygodnie w labiryncie polityki na wysokim szczeblu. Ale kobiety? Czyżby Chamberlain narobił sobie kłopotów z powodu... Nie, to niedorzeczne. Kto jak kto, ale na pewno nie Chamberlain. Prędzej arcybiskup niż grabarz. Chamberlain po prostu nie należał do ludzi tego typu. Więc co miały do tego kobiety?

– Wybaczcie, panowie, ale nie jestem pewien, czy nadążam za waszym...

Ball bezlitośnie mu przerwał.

– Co pan sądzi o naszej lokalnej deputowanej, McCrieff? O księżnej?

McCrieff odwrócił wzrok od Balla i utkwił go w ogniu. Ich zaproszenie było nieoczekiwane, bardzo naglące – czy właśnie o to chodziło? O księżną Atholl? A jeśli tak, komu był winien lojalność? Jej? Czy nie jej? Bez względu na to, jak mocno się wpatrywał, nie zdołał znaleźć w ogniu żadnej odpowiedzi, a jednak jakaś nuta w głosie Balla podpowiadała mu, że jego odpowiedź ma znaczenie. Będzie musiał działać znacznie ostrożniej niż podczas kolacji.

– Jak dobrze wiecie, panowie, jestem człowiekiem, którego można opisać jako wpływowego członka partii w okręgu Kinross i West Perthshire. Sam też pragnę zostać deputowanym. Nie jestem pewny, czy postąpiłbym mądrze, chodząc i krytykując ludzi, z którymi chciałbym współpracować.

– Współpracowałby pan z socjalistami?

– Oczywiście, że nie.

– Ale z księżną tak? Popierałby pan jej dążenia?

– No cóż, z pewnością ma ich wiele. Nie wszystkie mi się podobają.

– Innym też się nie podobają, McCrieff. Na przykład premierowi.

– Ta kobieta ma dziwne, naprawdę dziwne pomysły – dodał Wilson. – Kiedyś słyszałem, jak wygłaszała przemówienie na temat obrzezania kobiet z plemienia Kikuju w Afryce. Zajęła godziny parlamentarnego czasu, nie chciała ustąpić. Nadzwyczaj zdumiewające wystąpienie. – Pokręcił głową, ale nawet na chwilę nie oderwał wzroku od McCrieffa. – Oczywiście nie twierdzę, że jako urzędnik służby cywilnej mam na ten temat jakąkolwiek opinię, ale osobiście i zupełnie prywatnie...

Przerwał, gdy odziany na bordowo pracownik klubu przyniósł nowe drinki i zakrzętnął się przy kominku, pobudzając ogień do życia i wpuszczając do pomieszczenia kłęb węglowego dymu. McCrieff cieszył się, że zyskał chwilę na zastanowienie. Był właścicielem ziemskim, szkockim farmerem, a nie głupcem. Został zaproszony na kolację przez dwóch mężczyzn wiedzących, że posiada znaczne wpływy w okręgu wyborczym, z którego pochodzą jedni z najbardziej kłopotliwych członków partii rządzącej zasiadający w tylnych ławach. Domyślił się, że chcą rozmawiać o czymś znacznie ważniejszym niż wędkowanie. Zakołysał karmelowym alkoholem w szklance, tworząc mały wir. Nagle wmieszała się w to intryga. Pojawiło się niebezpieczeństwo, że go wessie.

– No tak, McCrieff – podjął Ball. – Mówiąc osobiście, prywatnie, tylko między nami trzema... Co pan sądzi o księżnej?

Podsycony ogień odbijał się w okrągłych okularach Balla. Jego oczy upodobniły się do dwóch płonących kul i sprawiały wrażenie, że ogień w jego wnętrzu trawi duszę. Ten człowiek był niebezpieczny.

– Panowie – zaczął powoli McCrieff, stąpając ostrożnie, jakby chodził boso po polu tłuczonego szkła – jeden z was jest najbardziej wpływowym człowiekiem w partii, drugi najważniejszym w rządzie, pomijając samego premiera. A ja mam pewne polityczne ambicje. – Zamilkł, trzymając w swoich rękach zarówno szansę, jak i upadek. Pora wybierać. – Co według was powinienem sądzić o księżnej?

Światło na najwyższym piętrze budynku „Expressu” przy Fleet Street paliło się niezwykle długo. Już dawno minęła pora kolacji. Grupa pięciu dziennikarzy, samych mężczyzn, przeważnie młodych, spędziła już trzeci dzień w tym tygodniu w zamkniętej sali posiedzeń, a teraz czekała ich kolejna ciężka noc. Praca była męcząca, a żarciki,

które rzucali na początku, dawno ustąpiły miejsca ponurej determinacji, żeby skończyć robotę. Dostarczono im wszystkie materiały – pliki papieru listowego, koperty, dwadzieścia siedem list z adresami. Doręczył je kurier, były zaadresowane na nazwisko zastępcy redaktora naczelnego, który usunął dołączony do nich list i wszelkie ślady ich pochodzenia.

Pisali. Niektórzy na maszynach, inni ręcznie. Łącznie ponad pięćset listów, wiele rzekomo od byłych żołnierzy, adresowali je do wpływowych ludzi z dwudziestu siedmiu okręgów wyborczych. Z biegiem czasu osłabła w nich wszelka powściągliwość, język stał się barwniejszy, metafory bardziej niepokojące.

Bolszewicy to królobójcy. Tego właśnie chcecie? Zaryzykowałbym przypuszczenie, że Niemcy, najskuteczniejsza machina wojenna na tej ziemi, przeszliby przez tych czerwonych obszarpańców jak rozgrzany nóż przez masło. Uważajcie, żebyście nie stali im na drodze, kiedy to się stanie!

Był sezon błota i gnoju. To, że jego część się rozprysnie i do czegoś przyłgnie, wydawało się nieuniknione. A zatem harowali, nie przeszkadzało im nic oprócz bicia zegara, stukotu klawiszy maszyn do pisania, szurania stalówek i sporadycznego smarkania w chusteczkę – jednego z nich wyciągnięto chorego z łóżka mimo protestów żony. W jego głowie dominowały myśli o śmierci i niedoli.

Jeśli zagłosujecie na księżną, będzie wojna i wszyscy wasi synowie zginą, tak jak moi w poprzedniej wojnie, zaszlachtowani niemiecką stalą. Czy wasze sumienie to zniesie?

Stosowano rozmaite strategie. Jeden z kolegów wołał czerpać inspirację z pochlebstwa:

Pan Neville Chamberlain to święty człowiek. Ocalił nas. Wojna trwa w Chinach, w Abisynii, w Hiszpanii. Zginęły już setki tysięcy ludzi. Jeśli Wielka Brytania pójdzie na wojnę, z pewnością podzielimy ich los. A jednak mimo że premier jest już starszym człowiekiem, rzucił się w wir obowiązków, trzy razy poleciał do Niemiec, choć nigdy wcześniej nie podróżował samolotem, rażno przystąpił do działania, nie szczędząc swojego czasu, nie dbając o swoje zdrowie i bezpieczeństwo. Jego jedyną ambicją był POKÓJ. Pokój w tych czasach, pokój po wsze czasy. Z pewnością należy on do najwspanialszych ludzi wszech czasów. Dlatego zrobię wszystko, żeby go poprzeć. Ufam, że Pan także, uświadamiając swoim deputowanym [podkreślone dwiema zamaszystymi falami], co czują zwykli ludzie w tym kraju.

Podpisał się jako pani Ada Boscombe.

Jakieś dziesięć minut albo i więcej po tym, jak zegar wybił dziewiątą, otworzyły się drzwi windy. Wyszli z niej dwaj lokaje we frakach i koszulach ze sztywnym kołnierzykiem, niosący duże srebrne tace. Na jednej leżała parująca masa czerwonych jak cegła homarów – mnóstwo szczypców i przerażonych oczu – w towarzystwie ogromnego talerza przejrzystego topionego masła i w otoczeniu obfitego garnirunku z plasterków ogórka i pomidora. Na drugiej tacy stały trzy butelki schłodzonego szampana Pol Roger i pięć kryształowych kieliszków.

– Z pozdrowieniami od Jego Lordowskiej Mości – powiedział do nich pierwszy lokaj, kładąc tacę na kredensie, wyjmując niczym sztukmistrz noże, widelce i lniane serwetki z głębokich kieszeni wewnątrz marynarki. – Prosi, żeby nie zapomnieli panowie odnieść srebrnych tac.

Przybyli w bezprecedensowej liczbie. Wszystkie miejsca były zajęte, wszystkie kąty wypełnione. Księżna zwróciła uwagę na ten tłum oraz na to, że wielu z tych twarzy nie znała. Agent zapewnił ją jednak, że oprócz garstki dziennikarzy są tam wyłącznie entuzjaści z komitetu.

– Nastają bardzo polityczne czasy, Wasza Księżęca Mość – wyjaśnił.

Postanowił pominąć fakt – a ona miała się o tym nigdy nie dowiedzieć – że składkę członkowską bardzo wielu nowych twarzy opłacił w ostatnich dniach William McCrieff. W rozmowie z nim McCrieff ujął to tak, że ostatnie tygodnie skłoniły do działania wielu zwykłych wyborców w okręgu, a on namówił ich, żeby wstąpili do partii, powodowani takimi ważnymi sprawami jak wojna i pokój – oraz, jak przypuszczał agent, dodatkowym funtem w kieszeni za fatygę związaną z udziałem w zebraniu politycznym, nie wspominając o obietnicy darmowego poczęstunku potem. Nawet jeśli spora część zgromadzonych była w partii najwyżej od sześciu dni, a niektórzy nie dłużej niż sześć godzin, żadne zasady nie zabraniały takiego okazywania zainteresowania i entuzjazmu. W każdym razie zapowiadało się wyjątkowo ważne zebranie, ponieważ zwołano je, aby zdecydować, kogo wybiorą na kandydata w następnych wyborach. Agent, jak bardzo wielu członków lojalnych wobec polityki ustępstw i wygodnego życia, uważał, że księżna jest im równie potrzebna jak gradobicie w sierpniu. Ciągłe pouczała, atakowała. Nie tak jak McCrieff. On stosował inne metody. Szepnięte słówko, kropelka alkoholu i sprawa była załatwiona. McCrieff był dobrym członkiem partii, nie tak jak księżna. Ona nie tylko miała własne zdanie – i to bardzo często – ale uparcie dzieliła się nim z innymi. Agent uważał to

za wielką wadę u polityka, być może nawet śmiertelną. W każdym razie przewodniczący właśnie poprosił o ciszę. Wkrótce wszystko miało się wyjaśnić.

Byli obejrzyć sztukę Człowiek i nadczłowiek George'a Bernarda Shaw w Old Vic – jej zdaniem spektakl był wspaniały, grali w nim Valerie Tudor i Anthony Quayle, ale według niego był groteskowy, jak większość tego, co tworzył ten starzec. Mnóstwo lewicowych idei wplątało się w tę jego przekłętą brodę, a potem zdrapywał je z niej jak wczorajszy lunch. Uważał, że Quayle w roli Tannera był czymś niedorzecznym i tak właśnie grał – stek bzdur o tym, że kobieta jest zdobywcą, a mężczyzna zdobyczą. Ale Annie Marii się podobało, powiedziała, że sztuka była fantastyczna i na czasie, najwyraźniej owijanie się teatralnymi wymysłami przypadło jej do gustu. No więc zrobił jej przyjemność i tym razem ugryzł się w język.

Nie chciał, żeby ten wieczór się skończył – zastanawiał się, czy nie zaprosić jej na drinka do swojego domu przy Lord North Street, całkiem niedaleko, ale nie znał jej zbyt dobrze i bał się, że wydałby się napastliwy i by mu odmówiła. Nie umiał sobie radzić z odrzuceniem ze strony kobiet – matka zawsze traktowała go najwyżej jak uciążliwość, a po odejściu z domu rodzinnego wprowadził do swojego starannie budowanego życia zasadę, by nigdy nie stawiać się w położeniu, w którym mógłby się spotkać z odmową. Nie chciał jednak po prostu powiedzieć dobranoc. zaproponował zatem, żeby nie jechali od razu do jej domu, lecz zatrzymali się po drugiej stronie parku, skąd mogliby pokonać ostatni odcinek piechotą. Zgodziła się z uśmiechem.

Specjalnie wybrał dłuższą drogę, prowadząc ją przez Hyde Park, aż dotarli do Serpentine, gdzie powiązane łódki tworzyły miniaturową

armadę, a o brzeg czarnego jak atrament stawu obijały się małe fale. Wzięła go pod rękę, przywierając mocniej, niż to było absolutnie konieczne. Może jednak powinien był ją zaprosić na drinka.

– Więc myślisz, że będzie wojna, Bendy? – Nadała mu przyzwisko. Nigdy wcześniej nie miał przyzwiska.

– Mam nadzieję, że nie – odrzekł, nie chcąc jej straszyć.

– Ale ten twój pan Churchill mówi, że jego zdaniem będzie.

Poczuł poirytowanie. Churchill był jego bohaterem, jego mistrzem politycznym, lecz Brackenowi coraz bardziej się nie podobało, że inni traktują go najwyżej jako pomocnika starego męża stanu, a nikt nie lekceważy go bardziej niż sam Churchill.

– Nie wiem, co się dzieje z Winstonem. To bardzo osobliwe – mruknął. – On... Chyba nie powinienem ci o tym mówić, ale... No cóż, ma problemy finansowe i poprosił mnie o pomoc. Szukałem sponsora, który udzieli mu pożyczki i wyciągnie go z tarapatów. No więc biegałem i wypytywałem po całym Londynie, aż nagle wczoraj kazał mi przestać. Bez wyjaśnienia. Bez podziękowania. Po prostu... – Lekceważąco machnął ręką.

– Tacy są wielcy ludzie. Mam nadzieję, że gdy przyjdzie twoja kolej, ty będziesz inny. – Przytuliła się do niego jeszcze mocniej. – Wuj Joe też taki jest. Chyba trochę przypomina pana Churchilla. Myślisz, że mógłby kiedyś zostać premierem?

Szli zatem, zakłócając spokój śpiących kaczek, zwierając się sobie w sposób, w jaki Bracken nie zwierzał się jeszcze żadnej kobiecie. Mówili o finansowych problemach Churchilla, o ambicjach Churchilla, o pijącym synu Churchilla i o jego nadopiekuńczej żonie. Ciągle o Churchill. Anna wyczuła, że Bracken nie lubi żony Churchilla i o wiele bardziej woli towarzystwo jego niesławnego syna. Bracken

zaprotestował, gdy powiedziała, że Churchill ma jeszcze mnóstwo czasu, żeby zostać premierem – przecież Gladstone miał osiemdziesiąt lat, upierała się – lecz wydawało jej się, że w tej kwestii oponował zbyt energicznie, jakby próbował uciszyć własne wątpliwości.

I czy to nie dziwne, powiedział, że oni dwoje spacerują ramię w ramię, podczas gdy ich dwaj mentorzy zazwyczaj skaczą sobie do gardeł?

– Och, nie możesz się przejmować wujem Joe, on ciągle jest wściekły z jakiegoś powodu. Zawsze coś knuje, zawsze trochę się złości. Nie ma najlepszej opinii o Departamencie Stanu – nazywa ich zgrają dyplomatów od siedmiu boleści i wpada w furję, gdy mowa o Białym Domu. Chyba któregoś dnia sam chciałby zostać prezydentem, tak jak pan Churchill premierem. Pod pewnymi względami są do siebie bardzo podobni.

– Jeśli cenimy swoje bezpieczeństwo osobiste, proponuję, żebyśmy nie wspominali o tym żadnemu z nich.

Zatrzymali się w cieniu drzewa, patrząc na dalekie światła Knightsbridge, które odbijały się od wody i zdawały się znajdować odbicie także w ich oczach.

– Nie przejmuj się wojną, Anno – powiedział Bracken, próbując ją uspokoić. Wziął ją za ramiona i pobawił się końcówkami jej miękkich włosów. – Wy, Amerykanie, za bardzo się przejmujecie, tracicie głowę na samą myśl o wojnie – zbeształ ją. – Przecież nie dalej jak kilka dni temu ten facet... no wiesz, Orson Welles... przeczytał w radiu fragment Wojny światów i połowa wschodniego wybrzeża Ameryki wpadła w panikę, myśląc, że atakują ich Marsjanie. Kiepsko wam idzie toczenie wojen.

– W ostatniej poszło nam całkiem niezłe – przypomniała mu cicho. I pocałowała go.

Zanim się spostrzegł, ich ciała przywarły do siebie, a języki zaczęły poszukiwania, podobnie jak jego palce wśród guzików jej futrzanego płaszcza i na jej piersiach, ale się odsunęła. Nagle ogarnął go wstyd. Usłyszał, jak matka szepcze mu do ucha, dręcząc go, zarzucając mu, że jest niewiele lepszy od psa ogarniętego chucią, i miał ochotę krzyknąć na siebie za to, że okazał się takim głupcem.

– Bardzo przepraszam – wymamrotał, szykując się do ucieczki, ale go zatrzymała.

– Bandy, nie... To ja przepraszam. Tak bardzo cię lubię – szepnęła. – Po prostu... mam w sobie zbyt dużo irlandzkości i katolicyzmu, czuję się przez to taka... taka winna. Nie jesteś w stanie tego zrozumieć.

Zrozumieć? Mógłby o tym napisać całą encyklopedię. Oczywiście, że rozumiał. W przeciwieństwie do niej odebrał całkowicie autentyczne irlandzko-katolickie wychowanie. Raczej w chacie z glinianym dachem w Tipperary niż w rezydencji w Nowej Anglii. Z klepiskiem zamiast marmurów i z tylko jedną izbą. Leżąc w nocy i nie mogąc zasnąć, słuchając odgłosów, jakie wydawali jego rodzice za zasłoną otaczającą ich łóżko, gwałtownych postękiwań ojca i jej próśb, żeby był ciszej i robił to delikatniej. A potem, gdy ojciec zasypiał, jego matka zawsze się modliła, prosząc, by nie miała już więcej dzieci i została uwolniona od tego przekłętą życia. Poczucie winy? Całe jego istnienie było kwestią winy, grzechu i cierpienia, co codziennie wpajano mu biciem w katolickiej szkole, dopóki nie uciekł z niej w wieku piętnastu lat. Przypominał sobie o tym jednak zawsze, gdy słyszał modlącą się kobietę, zawsze gdy pomyślał o seksie.

Zatem tak, Anno Mario, o winie wiedział wszystko.

I właśnie dlatego nie chciał mieć więcej nic wspólnego z Irlandczykami, dlatego próbował przeróżnych sposobów, żeby wytrzebić resztki irlandzkości ze swojego głosu i ze swojej duszy, i między innymi dlatego nie znosił Bernarda Shaw. Anna Maria przypominała mu zaś o Irlandii, ilekroć spojrział w jej jasnozielone oczy. Przecież nawet nie lubił kobiet – w każdym razie nie włochatych, szorstkich, nieprzyjemnych kobiet będących łączną sumą jego seksualnych doświadczeń, bardzo dziwnie pachnących i domagających się potem pieniędzy – a mimo to już odliczał czas, jaki upłynie do następnego spotkania z tą kobietą. Dla Brackena wizerunek był wszystkim, lecz oto stał pod drzewem w parku z dłonią na sutku dziewczyny niemal mogącej być jego córką. Nigdy nie chciał dzielić życia z żadną kobietą, w dużej mierze dlatego, że jego życie było zmyślane w tak wielkim stopniu, iż nie wytrzymałoby żadnej systematycznej analizy, a mimo to nagle łamał wszystkie swoje zasady.

Właśnie wtedy doszedł do wniosku, że się zakochał.

– Tym razem posunęliście się za daleko. I zrobiliście to w podły, haniebny sposób!

A myśleli, że przynoszą mu najlepszą wiadomość tego dnia.

Już gdy zapukali do drzwi sali posiedzeń rządu, Ball i Wilson poczuli, że ich radość jest przedwczesna.

– Czego chcecie? – spytał donośnie Chamberlain, nie odrywając oczu od listu, który właśnie pisał.

Uznali, że to kolejny niekończący się list do jego sióstr. Pisał do nich ze zdumiewającą skrupulatnością nie tylko o faktach związanych z rządem, lecz także o swoich ambicjach i aspiracjach, jak również o obawach. Było to dla niego czymś w rodzaju procesu oczyszczania, upuszczania krwi zaleconego przez średniowiecznego lekarza, tyle że

w tych listach wykrwawiał swoje uczucia i swoją duszę. Czasami jego siostry wiedziały więcej niż Ball i Wilson, a zawsze wiedziały więcej niż jego żona.

– Wieści z frontu, Neville’u – zawołał Ball, wchodząc do pomieszczenia.

– Z którego z tych licznych frontów pochłaniających moją uwagę? – odpowiedział premier. Zawsze się tak zachowywał, gdy był zmęczony: apodyktycznie, sarkastycznie, zwięźle. Nauczyli się to ignorować.

– Nasi przyjaciele ze skutej lodem północy postanowili w swej nieskończonej i wspaniałej łaskawości, że nie poprą kandydatury księżnej w najbliższych wyborach – odrzekł Ball.

Chamberlain nadal nie podnosił głowy. Na jego policzkach widniały czerwone plamy wściekłości. Właśnie się dowiedział, że meble, które zamówił wraz z żoną do nowej rezydencji na ostatnim piętrze pod numerem dziesięć, zostaną dostarczone dopiero za dwa miesiące. Ciągłe opóźnienia. Nie mógł uwierzyć w tak wielką niekompetencję. Jak miał zapewnić Europie bezpieczeństwo, skoro brakowało mu miejsca na przechowywanie czystych koszul? Planował odwiedzić u signora Mussoliniego, który zwykle pokazywał się publicznie ze złotymi galonami. Czy premier Wielkiej Brytanii ma mu się pokazać jak jakiś pracownik rolny?

– Jeśli tak wygląda demokracja, to czasami się zastanawiam, po co w ogóle się wysilamy – mruknął.

– Neville’u, to zwycięstwo demokracji – zaprotestował Ball.

– Co konkretnie?

– Ta przeklęta księżna. Wypadła z gry.

Wreszcie skupił na nich uwagę.

– Wypadła z gry?

- Straciła poparcie w swoim okręgu.
 - Ach, najwyższa pora. - Chamberlain trochę się odprężył, odchylił się w fotelu. - I domyślam się, że gdybym przyjrzał się tej sprawie, gdzieś na wyroku śmierci znalazłbym wasze odciski palców.
 - Najwyżej leciutkie. - Byli tak podekscytowani, że przedstawiając mu szczegóły, mówili jeden przez drugiego.
 - Podobno zebrał się tłum linczowników.
 - Nie miała szans.
 - Na zebraniu zgłoszono wniosek w sprawie wytypowania kandydata, który poparłby twoje stanowisko w sprawie Europy.
 - Zwycięstwo było przytłaczające.
 - Dwieście siedemdziesiąt trzy głosy przeciwko stu sześćdziesięciu siedmiu.
 - Agent mówi, że nigdy nie widział takiej frekwencji.
- Parsknęli śmiechem.
- Nie powiedzieliśmy jeszcze najlepszego. Biedna księżna była tak zrozpaczona, że zrezygnowała z mandatu. Wpadła w szal i uciekła.
 - Zamierza działać jako posłanka niezależna, dasz wiarę?
 - Będą wybory uzupełniające.
 - Co? - Chamberlain zerwał się z miejsca. Pióro, którym pisał, upadło ze stukotem na biurko, opryskując list mokrymi strużkami atramentu. - Co? - spytał ponownie. Teraz miał już czerwoną całą twarz, a dłonie przycisnął do skroni. - Jak mogliście? Głupcy!
 - Spokojnie, Neville'u. - Obaj mężczyźni nagle skamienieli. Coś poszło bardzo nie tak, nie taki scenariusz ze sobą przynieśli. - W czym problem? Odwróciła się plecami do pokoju, teraz odwróciła się plecami do partii. Już po niej.
 - Ale wybory uzupełniające?! Nie rozumiecie, co to znaczy?

Wilson i Ball spojrzeli na siebie zdumieni.

– Wyboru dokonają obywatele.

– Wielki mi wybór – prychnął Ball. – Między wojną a pokojem.

– Między nią... a mną. – Chamberlain oparł się wyprostowanymi rękami o biały marmurowy kominiek, patrząc na puste palenisko, jakby uchodziła z niego wiara. – Tym razem posunęliście się za daleko. I zrobiliście to w podły, haniebny sposób!

– Nie – zaprotestował Wilson. – Dlaczego?

Chamberlain odwrócił się i powiedział ze ściśniętym gardłem, starannie wymawiając każde słowo:

– A jeśli ona wygra?

– Nie może wygrać, do diabła – upierał się Ball. – Nie ma ani jednego przyjaciela, który nie byłby bolszewikiem albo którego nie można by przedstawić jako bolszewika.

– Jesteś tam prawie tak popularny jak Bóg. – Wilson machnął ręką w stronę okien.

– Pan daje i Pan zabiera, sir Horace. – Chamberlain ciężko oddychał, usiłując zapanować nad emocjami. – Tam się coś dzieje. Nie wiem co, może chodzi o ten nonsens z Żydami, ale wszystko się chwieje. – Sięgnął po tekturową teczkę leżącą obok suszki i rzucił ją na stół. – Po pogromach Hitler wygląda jak przestępca. A my jak jego współpiskowcy i poplecznicy.

– Chyba nie uważa pan, że ta głupia księżna wygra? – zaprotestował Ball.

– „News Chronicle” właśnie dotarło do wyników sondaży, które sugerują, że to możliwe.

– Sondaże? – prychnął Ball. – To lekkie odbicie, nic poza tym. Jak wtedy, gdy panna młoda wraca z podróży poślubnej i zastaje górę

rzeczy do prania. – Nonszalancko przygryzł paznokieć. – Zresztą już przekonałem „News Chronicle”, żeby przemilczeli te wyniki.

Chamberlaina bynajmniej to jednak nie uspokoiło. Zaczął niecierpliwie chodzić wokół długiego prostokątnego stołu w gabinecie, pochylony jak podczas wichury.

– Oni nie wierzą Herr Hitlerowi, nie wierzą, że nie ma większych ambicji terytorialnych. Nie wierzą już w Monachium. – Zamilkł, po czym spojrział na nich z wściekłością i rzucił oskarżająco: – A to oznacza, że nie wierzą we mnie.

Ball tak mocno uderzył ręką w stół, że podskoczyły srebra i kryształowy kałamarz.

– Mylisz sprawy, Neville’u. Nigdy nie mówiliśmy, że muszą lubić Hitlera. Sam też nie znoszę tego drania. Przez to sposób, w jaki go potraktowałeś, wydaje się jeszcze bardziej niezwykły. Nakłoniłeś zupełnie nierozsądnego człowieka do więcej niż rozsądnej umowy. Ludzie to rozumieją. Cenią cię za to. A jeśli on podepcze to porozumienie i połowę cholernej Europy, wszyscy będą wiedzieli, kto zawinił. Neville’u, nie zajmujemy się tu delikatnymi sprawami, zajmujemy się mętami Europy. Żydami, małymi nadętymi austriackimi karierowiczami, dekadencjami Francuzami zmieniającymi rządy równie często jak kochanki oraz milionami przeklętych bolszewików, którzy siedzą tuż za granicą, ostrząc noże i szykując się do poderżnięcia gardel wszystkim myślącym inaczej niż oni. W Europie jest bałagan. Nie możesz go posprzątać osobiście, ale dałeś im szansę, żeby sami to zrobili.

– Posprzątać? Tak nazywasz to, co robi Hitler?

– Albo omlet, albo jajka. A gdy wyborcy zaczną ścierać z talerzy resztki tłuszczu, będą zbyt zajęci głaskaniem się po brzuchu, żeby

przejmować się kilkoma resztkami na kuchennej podłodze. Owszem, Hitler rozbija coś więcej niż jajka, ale im parszywiej to wygląda, tym wdzięczniejsi będą ludzie, że uchroniłeś nasz kraj przed podobnym losem. Szkoci nie chcą znowu iść na wojnę z Niemcami z powodu Żydów i komunistów.

– Wybory uzupełniające to nie jest wojna z Hitlerem, lecz wojna między mną a księżną. Będziemy walczyli na jej terenie. A jeśli przegram, stracę wiarygodność nie tylko w kraju, ale i za granicą. Nie byłbym w stanie znowu spojrzeć w oczy Hitlerowi i Mussoliniemu. To byłaby katastrofa. Wszystkie moje starania o pokój pójdą na marne i w końcu wplączemy się w najokropniejszą wojnę, jaką znała ludzkość. Na szali spoczywają nie tylko moje notowania, ale i przetrwanie cywilizacji. Nie rozumiecie? Muszę wygrać te wybory.

– Wygrasz, Neville'u. A wtedy cała reszta buntowników w partii padnie na kolana, żeby albo błagać o przebaczenie, albo czekać na kulkę w tył głowy. Księżna wyświadcza nam przysługę.

– Możecie to zagwarantować?

Ball powoli przeniósł wzrok z premiera na swojego kolegę, a potem przez chwilę przyglądał się paskudnie obgryzionemu paznokciowi.

– Zaufaj mi. Wynik tych wyborów masz już w kieszeni.

To było złe i Churchill o tym wiedział. Bardzo złe. I – co ostatnio często mu się zdarzało – wiedział, że nie może na to nic poradzić. Początkowo miał jednak wrażenie, że przytrafiło mu się coś wspaniałego.

Zupełnie niespodziewanie zadzwonił dyrektor jego banku i po wstępnych uprzejmościach – po stronie Churchilla bardziej powściągliwych niż zwykle – przeszedł od razu do sedna. Spytał, czy Churchill znalazł „alternatywne miejsce” dla kredytu. Przeklęty

głupiec. Miejsce? Czy ten człowiek prowadził bank, czy pensjonat? Churchill nie potrzebował miejsca. Jego kredyt nie spał, starannie opatulony kołdrą. Był rozbudzony jak złośliwa małpa i siedział mu na ramieniu. Churchill widział go, ilekroć się odwracał. Kredyt wlepił w niego spojrzenie, robił się coraz cięższy. No więc nie, nie znalazł dla niego innego miejsca.

– W takim razie być może mam dla pana dobre wieści...

Dyrektor sądził, że uda mu się przekonać przełożonych, by przystali na prolongatę obecnego kredytu.

– Groźba wojny się oddaliła, panie Churchill, więc jesteśmy w stanie spojrzeć na te sprawy nieco bardziej długodystansowo. Z pewnością pan to rozumie.

Teraz Churchill był już pewny, że dyrektor jest przeklętym głupcem. Groźba wojny się oddaliła? Nie, nie zniknęła, po prostu na chwilę coś odwróciło jej uwagę, gdy wbijała nóż i widelec w Czechosłowację. Ale cóż Churchill miał powiedzieć? Ugryzł się w język. Potrzebował tego człowieka. Dyrektor mógł się jeszcze okazać przydatnym przeklętym głupcem.

Żadnych gwarancji, zaznaczył dyrektor, na razie to jedynie propozycja, ale będzie ją mocno forsował w rozmowach ze współpracownikami. I był dobrej myśli. Bardzo optymistyczny, przydatny przeklęty głupiec. Churchill mógł zatem szykować się do podpisania stosownych dokumentów, na przykład w przyszłym tygodniu w Londynie. Dyrektor jeszcze nie wiedział, kiedy dokładnie to nastąpi, i przeproszał za niedogodności, ale czas naglił i musieli działać bardzo szybko, żeby zdążyć w terminie, bo inaczej...

W następnym tygodniu Churchill miał jednak jechać do Szkocji, by wygłosić przemówienie w imieniu księżnej Atholl. Najważniejsze

przemówienie w kampanii. W wielkim wyścigu zwanym wyborami uzupełniającymi. Miał pokazać jej wyborcom i całemu światu, że księżna nie jest sama.

Dyrektor banku nalegał jednak i nie wykazywał się elastycznością. Dokumenty były niezbędne, podpisy konieczne, zbliżał się nieprzekraczalny termin i bardzo żałował, ale nie potrafił powiedzieć, kiedy dokładnie w przyszłym tygodniu. Mimo próśb Churchilla nie mógł znaleźć alternatywnego rozwiązania.

A teraz Churchill musiał jej o tym powiedzieć.

Na linii rozległo się pstrykanie i trzaski, i w końcu usłyszał jej głos.

– Kitty, moja droga księżno, jak wygląda sytuacja na froncie?

Nie był jednak w stanie słuchać jej odpowiedzi. Potem wyjaśnił, że nie zdoła dotrzeć na spotkanie. Musiał złamać obietnicę. Roześle wiadomości do gazet, obsypie ją słowami poparcia i najgłębszej sympatii, ale nie mógł przyjechać do jej okręgu wyborczego.

– Kolejny ranny niebędący w stanie odbyć długiej podróży na północ – mruknęła markotnie. Jej przeciwnik zdążył już zalać okręg dziesiątkami deputowanych, a w ostatnich dniach kampanii miało ich przyjechać jeszcze więcej. – Mój okręg zaczyna przypominać hol przy wejściu do głównej siedziby konserwatystów.

Wyglądało jednak na to, że jej stronnicy z Partii Konserwatywnej, już i tak nieliczni, napotykali mnóstwo przeszkód uniemożliwiających im udzielenie jej pomocy. Właśnie takiego słowa użyła: przeszkód. Wyraźnie miała na myśli wymówki.

Ale to nie była wymówka, chodziło raczej o... pieniądze. O bezpieczeństwo. O jego dom. O Chartwell. Czy nie poniósł już wystarczająco wielu ofiar dla sprawy? Skoro jednak sprawa była tak ważna i pilna, to chyba...? Nie, przede wszystkim był winien

poświęcenie rodzinie. Jego najbliżsi nie mieli nikogo oprócz niego. A co z innymi rodzinami? Z tymi, które już straciły domy i bez wątplenia tracą więcej, o wiele więcej? Bez względu na to, jakie znajdował argumenty, mało go one pocieszały, i wiedział, że nie pocieszą także księżnej. Był zmęczony, wyczerpany licznymi brzemionami, nie mógł dalej pieklić się poza marginesem życia politycznego. Nie przedstawił jej zatem żadnego wyjaśnienia, wymówił się nieuniknionymi obowiązkami.

Jego droga księżna została sama.

– Wszystko w porządku tam na dole, skarbie?

Desdemona była zaniepokojona. Trafił jej się niezły gagatek. Od początku wydawał się gburowaty, niemal rozzłoszczony – i niewiele mówił. Cudzoziemiec, pomyślała, miał w sobie coś z makaroniarza. Mimo to zachowywał się grzecznie – nawet powiedział „proszę” – i była to jej ostatnia robota tego dnia, więc pomyślała: czemu nie? W piątek musiała zapłacić czynsz.

Gdy zdjął ubranie, jej niepokój zaczął rosnać. Rozbierał się bardzo metodycznie, nie wstydliwie jak niektórzy klienci, ale i bez przesadnej skwapliwości, tylko powoli, ostrożnie kładąc wszystko na krześle. Stare ubranie, schludne, ale prawdopodobnie z drugiej ręki. Był czysty, to jej się podobało, i zadbany, ale gdy zdjął kamizelkę, ujrzała ciało, które przypomniało jej starego Blueya, mieszańca collie, którego uratowała ze schroniska, po czym od razu wpadł pod furgonetkę z mlekiem. Nie przywykł do ulic, biedaczek. Próbowali go poskładać, ale marniał w oczach, mizerniał, był cały pokrzywiony, aż w końcu wyglądał jak... no cóż, jak ten gość. Same żebra i blizny.

Później ten mężczyzna na nią spojrzał i spytał, czy ona także mogłaby powoli się rozebrać. Jakby szli do łóżka, a nie szykowali się do

szybkiego numerku, zanim będzie musiała przekazać pokój nocnej zmianie. Mój Boże, miała wrażenie, że za chwilę zaproponuje jej, żeby uklękli i zaczęli się modlić. Ale nawet się jej to podobało. Obserwował ją uważnie, oglądając każdy nowy obszar, który odsłaniała, i choć jej ciało pozostawiało już wiele do życzenia, chyba budziło jego uznanie. Minęło dużo czasu, odkąd ktokolwiek, włączając ją samą, robił z jej ciałem coś więcej, niż tylko go używał. Odkąd Jimmy przyjechał na przepustkę i powiedziała mu, że zaciążyła, a on tak dziwnie się zachował: zamilkł, a potem pewnej niedzieli w porze kolacji poszedł do pubu i nigdy nie wrócił. Spaliła posiłek na wiór, czekając na tego drania. Zostawił nawet swój marynarski mundur. Mundur też spaliła.

Ponieważ jednak ten mężczyzna wydawał się ją doceniać, spodobał jej się sposób, w jaki zabierał się do sprawy. Tak, stara torpeda była już w rurze, jak mawiał kiedyś Jimmy, i silniki pracowały. Zamknęła zatem oczy, wsłuchiwała się w rytm sprężyn materaca i próbowała odzyskać łączność z tymi kobiecymi zmysłami, które, jak sądziła, dawno temu straciła gdzieś po drodze.

– To ci się podoba – powiedział. I przerwał.

– Co się dzieje, skarbie? Zrobiłam coś złego?

– To ci się podoba – powtórzył, jakby rzucał oskarżenie. – Nigdy... nigdy nie miałem kobiety, której to by się podobało.

– Jak to, nigdy?

– Tylko udawały.

– Nawet twoja żona?

– Nigdy nie byłem żonaty.

– Nigdy?

– Kto chciałby poślubić coś takiego? – powiedział, pokazując na swoje pokaleczone ciało.

- Hej, nie masz się czego wstydzić. Ze mnie też żadna Betty Grable.
- Po chwili dodała cicho: - Zawsze taki byłeś?

- Już jako bardzo młody chłopak.

- Biedaczysko - szepnęła. - Ale coś ci powiem, skarbie, nie powinieneś się tym dołować. Mówię ci, spałam z... No, w każdym razie wiem, co mówię, rozumiesz? A z tobą naprawdę miałam przyjemność.

Wstał, każda część jego ciała wyglądała żałośnie.

- A ja wszystko popsulem. Przepraszam - mruknął. - W tej chwili chyba nie jestem w stanie mieć przyjemności z niczego.

Nie mogła tego pojąć. Klient, który przeprasza. Skąd on się wziął? Spojrzała na niego i znowu przypomniał jej Blueya, kogoś, kim miała ochotę się zaopiekować. Dlatego nie zwracając uwagi na gołą drewnianą podłogę, uklękła, ale nie po to, żeby się modlić, i zadbała o to, żeby jednak miał przyjemność. Zapewniła go, że jej także się podobało - no cóż, było to tylko niewinne kłamstewko w rodzaju tych, jakie czasem mówi się... przyjacielowi.

- No, skarbie, od razu poczuliśmy się lepiej, prawda?

I rzeczywiście poczuł się lepiej. Wcześniej, tego dnia po południu, zaszedł do swojej byłej narzeczonej, która o mało nie została panią McFaddenową, i poprosił o zwrot pierścionka. Wydał na niego dwutygodniowe zarobki i nie widział powodu, dla którego miałyby go zatrzymać, zwłaszcza że za jej ramieniem widział suszące się w kuchni wyprasowane ubranie innego mężczyzny. Oczywiście nie dostał pierścionka, a jedynie kilka wiązanek przekleństw. Oraz parę łez. Pomysł był głupi, ale nie miał nic do stracenia, nawet dumy. Od pobytu w obozach nie zawracał sobie głowy dumą. W trakcie spotkania z Desdemoną pomyślał jednak o niedoszej pani McFadden,

dlatego że nigdy nie uprawiał z narzeczoną seksu i zaczął się już zastanawiać, czy dobrać się do jej reform byłoby w ogóle przyjemne.

Być może dlatego był taki rozkojarzony. Dopóki Desdemona nie...

– Zobaczymy się jeszcze? – spytał.

– Jasne, skarbie. Pracuję przez większość wtorków i czwartków i...

– Nie. Miałem na myśli... prawdziwe spotkanie. Nie tylko seks.

Może poszlibyśmy na drinka.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Chyba dlatego, że nie znoszę pić sam.

– Umiesz prawić komplementy, nie ma co.

Miała wrażenie, że minęły całe wieki, odkąd po raz ostatni rozmawiała z mężczyzną o czymś innymi niż erotyczne sztuczki, czas i płatność z góry – pomijając sporadycznych dziwaków chcących rozmawiać o swoich żonach – a zresztą i tak właśnie kończyła zmianę. Potargowała się zatem, wynegocjowała trochę więcej pieniędzy i stanęło na tym, że precyzyjnie się z nim przez wieczorne tłumy w Market i poszli do pubu King's Head. Był tuż za rogiem i kręciło się w nim mnóstwo ludzi, a inne dziewczyny pracujące mogły mieć ją tam na oku – zawsze wyświadczały sobie tego rodzaju przysługi. Nadal mu nie ufała. Może chciał ją zaciągnąć do swojej jaskini i ugotować.

W King's Head były już tylko miejsca stojące. Oparli się o bar.

– Wyglądasz inaczej – mruknął zza kufła milda.

Miała na sobie zwyczajną sztruksową sukienkę i wełniany sweter, prawdopodobnie wydziergany w domu, a do tego buty na niskim obcasie i tylko odrobinę makijażu dopełnionego perłowymi kolczykami i rubinową broszką w kształcie motyla, pochodzącą zapewne z Woolies. Podtrzymujący i rozchylający kostium – ten, który

nazywała swoim „roboczym rynsztunkiem” – leżał w małej kartonowej walizce obok niej.

– Poza Market mam inne życie. Jedno nie przeplata się z drugim.

– Wolno mi spytać, jak wygląda?

– Chyba lepiej, żebyś spytał, bo przecież nie będę stała na środku pubu i krzyczała o swoich wtorkach i czwartkach, no nie? – Pochyliła się do przodu, pachniała wodą różaną. – No więc w poniedziałki, środy, piątki i soboty pracuję jako sprzątaczką. To, co zarobię, starcza mi na czynsz. We wtorki i czwartki zarabiam na jedzenie i ubrania dla dzieci.

– Dla dzieci?

– Chyba nie myślisz, że bym to robiła, gdybym nie musiała, co?

– Mają równie egzotyczne imiona jak ich matka?

Parsknęła w pianę swojego mackesona.

– Masz na myśli Desdemonę?

– Chcesz mnie zszokować i powiedzieć, że to nie jest twoje prawdziwe imię?

– Nazywam się Carol.

– A dzieci?

Zawahała się – posunął się o krok za daleko.

– Jestem bardzo dumna z tych małych nicponi. Ale z jakiegoś powodu nie chcę ci mówić, jak mają na imię. Może dlatego, że oddzielam te dwie części swojego życia, jest między nimi daleka droga, a dzieci znajdują się na jej drugim końcu. Nie są czymś, o czym miałabym ochotę rozmawiać z klientem na środku pubu.

– Rozumiem. Ale gdybym jeszcze raz zaprosił cię na drinka – tylko na drinka – nadal byłbym klientem?

W kąciку jej ust zadrgał uśmiech.

– Nie wiem. Przebiegły z ciebie gość.

Ale już udzielała odpowiedzi, zdejmując jakiś kłaczek z klapy jego marynarki, budując mosty.

– Więc na co masz ochotę? Na kolację w Ritzu? Tańce w Café Royal? Ostrygi w Wheelersie? – Sięgnął po gazetę zostawioną na barze i otworzył ją na części poświęconej rozrywce. – A może na filiżankę herbaty w Lyons Corner House i wieczór w kinie? W przyszłym tygodniu. Chciałabyś zobaczyć coś konkretnego? – Podał jej gazetę.

Odepchnęła ją.

– Nie, sam wybierz.

– Nie mogę. Zapomniałem okularów do czytania.

– Ja też.

– Czyżby twoje sokołe oko potrzebowało okularów do czytania? – Przecież przed chwilą zauważyła kłaczek na jego marynarce. Jeszcze raz podsunął jej gazetę.

Wyglądała, jakby wręczył jej wyrok więzienia. W ciągu jednej sekundy jej uśmiech zbladł, w oczach pojawił się niepokój, już nie chciała tu być. Wyciągnął rękę i z z troskaniem dotknął jej ramienia.

– Carol, co się stało? Co takiego zrobiłem?

– Ja... ja... – Przez chwilę z jej ust wydobywało się jedynie niezrozumiałe jąkanie. – Tak mi wstyd. – Jąkanie przeszło w szloch i zaczęła gorączkowo szukać chusteczki w torebce, ale ubiegł ją i zaoferował własną, starannie wypraną. Szybko pokryła się tuszem do rzęs. Następnie położył Carol rękę na ramieniu, osłaniając jej rozpacz przed innymi klientami pubu.

– Zabawne, co? – załkała wyzywająco. – Żeby ktoś wykonujący taki zawód jak ja czuł wstyd.

– Ale dlaczego?

Spojrzała na gazetę z wściekłością, która mogłaby wywołać spontaniczny zapłon.

– Bo przecież nie umiem czytać, do cholery.

Przeniósł wzrok z niej na gazetę, a potem z powrotem na nią.

– Nie umiesz...?

Przecząco pokręciła głową, którą nisko pochyliła z powodu odczuwanego upokorzenia. Wsunął palec pod jej brodę i unosił ją, dopóki nie spojrzał jej w oczy.

– Carol, ty i ja mamy ze sobą bardzo wiele wspólnego. Nauczyłem się czytać po angielsku, dopiero gdy dobiegałem trzydziestki. I nie jest to powód do wstydu. Jeśli znajdziesz kiedyś parę wolnych wieczorów, mógłbym nauczyć czytać także ciebie.

– Mógłbyś? – Obok nowych łez popłynęła nadzieja.

Potaknął.

– A co chciałbyś w zamian?

Ryknął śmiechem.

– Pozwól, że postawię ci następnego drinka. Na początek.

– Naprawdę sprytny z ciebie gość – powtórzyła. – W domu wszystko czyta mi syn. Pisma od właściciela mieszkania, swoje opinie ze szkoły, tego typu rzeczy. Wieczorem nawet książki. Teraz przerabiamy Lornę Doone. Na tych wrzosowiskach musi być cholernie zimno. A mężczyźni to takie niedołęgi. No, w każdym razie większość z nich. – Teraz słowa wypływały z niej strumieniem unoszącym jej wstyd. – Ale bardzo chciałabym nauczyć się czytać. Może znalazłabym inną pracę, w sklepie albo gdzieś. Za trochę więcej pieniędzy. Skończyłabym z tym fachem. Ze sprzątaniami też. Chociaż pewnie nie dostałabym tej pracy, gdybym... no wiesz, umiała czytać.

Rozkojarzony Mac oblizał palce – nowy kufel milda przykleił się do lakierowanego baru i Mac niechcący wylał sobie trochę piwa na rękę. Słuchał jej jednym uchem.

– A to dlaczego? – spytał, żeby zyskać na czasie.

– Sprzątam w domu ministra spraw wewnętrznych... No wiesz, sir Sama Hoare'a. Chyba dostałam tę pracę tylko dlatego, że nie umiem czytać – on ma bałagan w papierach i nie lubi ich układać przed każdym przyjściem sprzątaczk. Jak nikt nie widzi, potrafi być niezłym draniem. Raz mnie podrywał, kiedy lady nie było w domu, zbereżny sukinsyn. Po lunchu trochę za dużo wypił w klubie. Gdyby poprosił we wtorek albo czwartek, to byłoby zupełnie co innego...

Piwo nadal kapało mu z palców, ale Mac nie zwracał już na to uwagi. Myśli zaczęły wirować wokół niego niczym rój wygłodniałych much. Myśli o Carol, o Hoarze, o jego wypolerowanym na błysk stole i o spadających z niego okruszkach. A także nie do końca ukształtowane myśli o jego kliencie, Guyu Burgessie, który najwyraźniej miał nienasycony apetyt na tego rodzaju okruszki.

– Ale muszę cię o coś spytać – mówiła Carol, ściągając go z powrotem do pubu. – Jak to możliwe, że nie widzisz żadnego problemu w... no wiesz... moich wtorkach i czwartkach? Większość mężczyzn...

– Nie jestem taki jak większość mężczyzn. A w swoim czasie robiłem rzeczy o wiele, wiele gorsze niż ty... Podczas wojny i potem. Każdy musi znaleźć własny sposób na życie, ja już dawno nauczyłem się żyć bez wstydu. Pamiętam pewną historię z mojego dzieciństwa. Fragment z Biblii o bitwie o Jerycho. Zanim się zaczęła, Jozue wysłał do miasta dwóch mężczyzn. Król dowiedział się o tym i rozkazał ich pojmać. Schowali się zatem na dachu domu należącego do prostytutki

o imieniu Rachab. Nie chciała wyjawić, gdzie są, nawet gdy król zagroził jej torturami. Kiedy więc Jozue przybył z armią Izraelitów i z trąbami, przemaszerował wokół murów i zrównał je z ziemią, zabito wszystkich mieszkańców miasta oprócz Rachab. prostytutka zebrała całą rodzinę w swoim pokoju i przywiązała do okna czerwoną wstążkę będącą znakiem. Wszyscy, którzy tam byli, ocaleli. – Uśmiechnął się. – Była wspaniałą, odważną kobietą. Trochę mi ją przypominasz.

– Co? Wzięła dwóch mężczyzn naraz? To chyba cholernie ciężka robota. Ja jestem trochę staromodna, godzę się wyłącznie na jednego.

– Delikatnie sobie z niego żartowała. – Ale historia rzeczywiście jest urocza. Dziękuję, skarbie. Nie miałam pojęcia, że jesteś wierzący.

Pokręcił głową, prawie urażony.

– O nie. W ogóle w niewiele wierzę.

– Ja należę do Kościoła anglikańskiego. Co niedziela prowadzam dzieci na mszę. Nie żebym była szczególnie religijna, ale dzięki temu mój syn może chodzić do przykościelnej szkoły.

– Założę się, że syn Rachab wyrósł na naczelnego rabina.

– Ale jednego nie mogę zrozumieć. Dlaczego Rachab w ogóle musiała ukrywać tych dwóch mężczyzn? Dlaczego król na nich polował? Kim oni byli?

Nagle muchy rojące się w jego mózgu przestały bzyczeć.

– Tu nie ma nic do rozumienia. Sądziłem, że się domyśliłaś. Ci dwaj szukali okruszków.

– Jak to?

– Byli szpiegami.

Rozdział siódmy

Postać, która tego wieczoru wchodzi na zadymiony, przesiąknięty wonią potu i w przeważającej mierze męski ring, jest drobna i delikatna, a nawet nieco podstarzała. Nikt nie nazwałby jej piękną, lecz jej uroda bez wątpienia robi wrażenie, w grubej, sięgającej kostek spódnicy kobieta wygląda prawie jak lalka. Pozory mogą jednak mylić, gdyż Katharine, księżna Atholl, ma mocne nerwy, determinację i bezwzględne zaangażowanie andaluzyjskiego byka. Zdobyła reputację, podejmując sprawy, które wielu uważa za zwykły absurd – w większości sprawy przegrane, związane nie tylko z walką przeciwko obrzezaniu kobiet w Afryce, ale także z innymi problemami, które jej koledzy oceniają jako trudne albo wręcz żenujące, na przykład z dziecięcą prostytutką i uchodźstwem. W dzisiejszych czasach panuje moda na ostrożność, nie na sprawy.

Ma wielkie serce i rozliczne zainteresowania, występujące z wąskich brzegów partyjnej lojalności, przy której tak się upiera wielu jej kolegów. To dlatego nigdy jej nie wybaczyli. Droga, która zawiodła ją tutaj, do tej ciżby ściśniętej w miejskim ratuszu, była długa i często samotna. Jej oczy – ciemne, wymowne, przysłonięte opadającymi powiekami, najbardziej ekspresyjne oczy stale spowite cieniem zbyt wielu trosk i zbyt krótkiego snu – przesuwają się po nich. Są tam ludzie, których nie rozpoznaje, i co najmniej kilka osób bez wątpienia popierających jej rywala, oficjalnego kandydata konserwatystów, miejscowego właściciela ziemskiego o nazwisku Snadden. Jego

komunikat jest prosty. Opowiada się za polityką ustępstw, za Chamberlainem i za całkowitym zniszczeniem jej kariery.

Jest kobietą pełną pasji i nie ma nic przeciwko politycznemu zapałowi innych ludzi, lecz w tej okolicy entuzjazm zmienił się ostatnio w paskudną obsesję. Centralne Biuro Partii Konserwatywnej, ten bastion przedkładający zwycięstwo nad cnotę, wielokrotnie zalewał jej okręg wyborczy deputowanymi, ulotkami i broszurami, a to wszystko zostawiało po sobie oszczerstwa i insynuacje – pogłoski, że w sekrecie jest komunistką, że jest chora, stoi na skraju załamania nerwowego, że zaniedbuje męża, że ma nieślubne dziecko z Żydem.

W całym okręgu wyborczym pojawiły się listy, w których grożono jej zwolennikom i przekonywano tych, którzy nie mogli się jeszcze zdecydować. Chyba nikt nie wie, kto je pisał, ale większość znaczków pochodzi z Londynu. Inne działania są bezsprzecznie lokalne. Sprzedawcy, którzy wywiesili jej plakaty w witrynach, szybko padli ofiarą milczącego bojkotu, wybito kilka szyb. Zgraje wyrostków grasowały na ulicach w jej okręgu wyborczym, wymachując transparentami z napisem: „CZERWONA KITTY CHCE WOJNY”. Ich przywódcy dostali za tę fatygę po dwa szylingi i sześć pensów.

Najobrzydliwszy ze wszystkich jest podły, antykomunistyczny, kipiący nienawiścią do Żydów i szykanujący księżnę dziennik przewrotnie zatytułowany „Truth”, czyli „Prawda”, dostarczany pod drzwi każdego domu w okręgu. Oskarża ją między innymi o przemawianie na komunistycznych wiecach i śpiewanie The Red Flag. To kłamstwa i jawne oszczerstwa, ale jej starania, by dowiedzieć się, kto stoi za tymi publikacjami, spełzły na niczym.

Nie wątpi jednak, że wygra. Ludzie z Kinross i West Perthshire są trochę ponurzy i niezwykle dumni. Nie dadzą się przekonać

insynuacjami i atakami przypuszczanymi z placówki oddalonej o czterysta mil na południe. To jej ziomkowie, znają ją nie jako Czerwoną Kitty ze skandalizujących szmatławców, lecz jako kobietę, która służy im od piętnastu lat, przyplacając to często wyczerpaniem i niemocą. Walczy o ich miejsca pracy, pomaga budować szkoły, ratuje ich domy, nierzadko z własnej kieszeni płaci ich rachunki za leczenie. I razem z nimi płacze.

Szkoda jednak, że Winston nie mógł przyjechać. To najważniejsze publiczne zebranie w jej kampanii wyborczej i jego udział był od dawna zapowiadany. Nie ma mu tego za złe. Kilka innych osób też nie dotrzymało obietnicy zabrania głosu w jej sprawie i przedstawiło najróżniejsze wymówki. Bob Boothby przynajmniej był szczery. Wyjaśnił, że przewodniczący i połowa kierownictwa jego komitetu okręgowego krzyczeli na niego przez cały wieczór, ostrzegając, iż zrezygnują ze stanowisk, jeśli dołączy do jej frontu przeciwko Chamberlainowi. Zaledwie godzinę przed tym starciem dostał anonimowy list, w którym grożono upublicznieniem jego związku z Dorothy Macmillan, jeśli będzie „uparcie wychylał się znad worków z piaskiem w Perth. O tej porze roku w okopach bywa błotniście – dodawano. – Niech się pan nie zdziwi, jeśli część tego błota do pana przylgnie”. W tych okolicznościach mógł najwyżej życzyć jej powodzenia.

Zarówno Churchill, jak i Boothby bardzo by jej pomogli – och, tak by się jej przydali. Są obdarzeni darem krasomówstwa, potrafią zawładnąć chwilą, a ona nigdy nie miała takich talentów. Mogliby przemienić tłumnie przybyłą publiczność w potulne baranki, podczas gdy sama umiała jedynie dać wykład i mieć nadzieję, że jej głos w ogóle dotrze do osób stojących na samym końcu.

Szybko staje się jednak jasne, że ci ludzie nie przyszli dziś po to, by słuchać wykładów. Stoi za stołem przykrytym brytyjską flagą i odpiera falę pytań, przez które czuje się tak, jakby stała nie na znajomej drewnianej scenie, lecz na podłożu równie niepewnym jak ruchome piaski.

– Wasza Księżęca Mość, dlaczego stała pani i śpiewała The Red Flag?

– Nie śpiewałam. Proszę, uwierzcie, że to zwykłe wypaczenie...

– Zatem przyznaje pani, że wszyscy komuniści to szumowiny?

– O, to pan, panie McCrieff. Dobry wieczór...

– Proszę o bezpośrednią odpowiedź na pytanie, Wasza Księżęca Mość. Przyznaje pani, że wszyscy komuniści to szumowiny?

– Uważam, że wyzwiska nigdy nie służą debacie.

– Pewni dziennikarze sugerują, że podczas niedawnej podróży do Stanów Zjednoczonych zaciekle atakowała pani pana Chamberlaina.

– Kłamstwa! Nigdy nie powiedziałam niczego, co mogłoby wprawić pana Chamberlaina w osobiste zakłopotanie.

– Ale czy zgodnie z pani polityką nie musielibyśmy iść na wojnę z powodu Czechosłowacji? Nie toczylibyśmy teraz wojny z Niemcami?

– Takie pytania to nadmierne uproszczenie...

– Może w takim razie Wasza Księżęca Mość zechciałaby nam powiedzieć, jakich pytań od nas oczekuje, bo wydaje się absolutnie jasne, że nie ma pani ochoty odpowiadać na żadne z tych, które jej dotąd zadano.

Włączyli się pozostali.

– Czy dlatego tak bardzo skłania się pani ku wojnie, że nie ma pani dzieci?

- Czy powie pani matkom z Perthshire, ilu Brytyjczyków można by pani zdaniem poświęcić dla tej wojny?

- Czy może pani zdementować pogłoski, że w zeszłym miesiącu piła pani herbatę z sowieckim ambasadorem Majskim?

Za sprawą wielu głosów rośnie wokół poziom hałasu i zniecierpliwienia. Nikomu to nie służy, ale tylko ona ma cokolwiek do stracenia. Mija godzina za godziną, a jej oczy, coraz smutniejsze i bardziej ponure, podążają w wielu kierunkach, próbując znaleźć tych, którzy jej przeszkadzają i nieustannie przerywają. Wielu z nich to obcy ludzie, ale nie wszyscy. Niektórzy są – lub byli – jej starymi przyjaciółmi. Narastającemu zgielkowi towarzyszy stukanie młotka, którym przewodniczący na próżno próbuje przywołać ludzi do porządku, i wkrótce debata zniża się do poziomu hasła: „Zabieraj tyłek z powrotem do Moskwy” i „Nic dziwnego, że mąż ciągle wysyła cię za granicę”. Wszystko wiruje jej przed oczami. Rano będzie wiedziała, co zrobić, jakiej strategii, jakich narzędzi albo słów mogła użyć, żeby stłumić tę wrzawę, ale teraz nie wie.

Nadchodzi finałowa chwila. McCrieff znowu stoi, zadając kolejne pytanie. Księżna daje do zrozumienia, że zajął już więcej czasu, niż powinien, lecz on nadal stoi w morzu machających kapeluszy i ulotek, domagając się głosu. Wielu go popiera. Chaos osiągnął taki poziom, że nie wydaje się możliwe, by ktokolwiek mógł usłyszeć pytanie, ale on niczym prorok wznoszący błaganie do nieba unosi nad głową laskę ze srebrną główką i nagle zapada cisza.

- Wasza Księżęca Mość – zaczyna – prosi pani o moje poparcie jako konserwatysty oraz o poparcie ze strony wszystkich zgromadzonych tu osób, z których większość, śmiem twierdzić, to także lojalni konserwatyści.

Księżna potakuje skinieniem głowy. To niewątpliwie prawda.

– Czy jednak nie jest prawdą, że kilka miesięcy temu odbywała pani spotkania w Westminsterze, na których prowadziła pani rozmowy o utworzeniu nowej partii? O odłączeniu się od konserwatystów? Że knuła pani, by doprowadzić do naszego rozłamu? Sformułowałem to pytanie najprościej, jak umiem, i byłbym wdzięczny za prostą odpowiedź: tak albo nie.

Zamurowało ją, wyraźnie widać jej rozpacz. Skąd on o tym wie? Przecież spotkali się w prywatnym gronie – tylko zaufani ludzie – i nie zobowiązali się do niczego na piśmie. Rozmawiali, telefonowali i ostatecznie nie zdołali dojść do porozumienia. Część z nich nadal ma nadzieję, że Partia Konserwatywna – ich partia – może jeszcze obrać nowy kurs, gdy czas i oburzający bieg wydarzeń złączą osłabiać pozycję Chamberlaina. Na razie jednak rozstali się tak, jak się spotkali, w sekrecie, i ustalili, że zaczekają na inną okazję.

Ale McCrieff wie. A to oznacza, że w Biurze Centralnym też są tacy, którzy wiedzą, bo bez wątplenia jest on ich człowiekiem. Tylko że to przecież niemożliwe!

Gdy tak rozmyśla nad tą niemożliwością, jej milczenie brzmi bardzo wymownie nawet w najdalszych zakątkach sali, udzielając odpowiedzi, jaką chciał usłyszeć McCrieff, i skazując ją na potępienie w duszach wszystkich lojalnych konserwatystów w okręgu wyborczym.

Rozgląda się w poszukiwaniu życzliwych twarzy. Są tam, lecz przypominają jej ryby w morzu, w którym roi się od rekinów, mają bezradne, zdumione miny. Księżna zamyka oczy. Są takie wymowne. Często mówią o współczuciu, czasami o złości i poirytowaniu, zawsze o bezgranicznej miłości. Tego wieczoru schodzi ze sceny z wysoko uniesioną głową i brodą wyzywająco zadartą mimo zgiełku, ale to

właśnie jej oczy mówią wszystko. Dlatego że coś straciły – coś, co dotychczas zawsze ją pokrzepiało i zapewniało łączność między rzeczywistością a jutrem.

Nadzieję.

Polityka często trochę przypomina uwodzenie: zjednoczenie przeciwstawnych sił. Bracken zaplanował uwiedzenie Anny Fitzgerald na podobieństwo kampanii wyborczej, ponieważ nie znał innego sposobu. Zaplanował każdy ruch, zanotował je sobie nawet na kartce, gdyż okazuje się, że ilekroć myśli o Annie, bardzo wiele kanałów w jego nadzwyczaj żywym umyśle nagle jakby się zamyka. Dopada go zdenerwowanie, ilekroć przypomina sobie te części jej ciała, których dotknął, a myśl o innych częściach, tych, których jeszcze nie dotknął, budzi w nim konsternację. Wraca zatem do podstaw. Dzięki zwyczajnej energii i uporowi przezwyciężył wszystkie inne przeszkody, które życie postawiło na jego drodze, a miłość nie może przecież aż tak się od nich różnić.

Myślał o tym, żeby jeszcze raz zaprosić Annę do teatru, ale szybko z tego zrezygnował – wyglądało na to, że mają zupełnie inny gust w kwestii dramaturgów. Zamiast tego zaproponował jej wizytę w Narodowej Galerii Portretów przy Trafalgar Square, gdzie mają dwa wspaniałe obrazy Romneya, które chce jej pokazać. Sam też ma jego obraz – nad kominkiem przy Lord North Street wisi portret Edmunda Burke'a – co, jeśli wszystkie inne inspiracje zawiodą, dostarczy mu pretekstu, żeby później ją do siebie zaprosić. Zanim jednak uda mu się zaproponować, by obejrzała jego bibliotekę, zjedzą razem kolację w Wiltonsie przy Jermyn Street. Wiąże się z tym kilka korzyści. Nie tylko mają tam doskonałą kuchnię, lecz także dobrze go znają. Zrobią zamieszanie, dogodzą mu odrobiną kontynentalnego płaszczenia się,

stworzą dobre wrażenie. Poza tym w Wiltonsie są odgradzone boksy oferujące odpowiedni poziom intymności i jednocześnie umożliwiające klientom pokazanie się innym gościom. Już dopilnował, by jadło tam wtedy co najmniej trzech członków Rady Ministrów. Dobre maniery i urok Anny z pewnością przyciągną ich do jego stolika. To wszystko złoży się na lepszy efekt. Wszystko to razem doda wieczorowi dramaturgii. Zawróci w głowie młodej dziewczynie. Zatem najpierw kolacja. Potem obraz Romneya...

Starannie się przygotował. Przyciął włosy, na jakiś czas poskramiając te dzikie bestie, i ogolił się – wspomniał golarzowi, że chodzi o młodą damę, wymieniając męskie zwierzenia na sporą ilość wody kolońskiej. Włożył swój ulubiony trzyczęściowy garnitur z Savile Row, na cztery guziki, swój szczęśliwy garnitur, który kazał sobie uszyć na kampanię przed ostatnimi wyborami, świeżo wyczyszczony i wyprasowany przez gospodynię, by usunąć lekki zapaszek kulek na mole. Do tego spinki od Cartiera i szpilka do krawata ozdobiona brylantem. A wszędzie przy skórze jedwab: skarpetki, koszula, kamizelka. Co jednak z kapeluszem? Włożyć czy nie włożyć? No i który? Co było teraz modne według młodych kobiet? Stał przed lustrem i rozważał różne wrażenia, jakie mógł zrobić. Solidny i szanowany? Nieco zuchwały? Może zawiadać fedora? Zdezorientowany wyrzucił wszystkie kapelusze i postanowił zdać się na golarza. Kwiaty były mniejszym wyzwaniem. Pojedyncza długa czerwona róża położona na jej lnianej serwetce w Wiltonsie i bukiet hodowlanych lilii na powitanie. Oraz druga róża obok łóżka, na szczęście.

Teraz wszystkie te plany i bolesne oczekiwanie osiągnęły punkt kulminacyjny. Przy Lord North Street ustawiono – i przestawiono –

oświetlenie, Edmund Burke dobrotliwie uśmiecha się znad kominka, w lodówce chłodzi się szampan, a obok kanapy leżą czekoladki wraz z oprawionym w skórę zbiorem jego ostatnich przemówień. Och, a do tego jeszcze czyste ręczniki i pościel. Wszystko na nią czeka. Homar w Wiltonsie i przygotowany na specjalne zamówienie kremowy chowder z małżami z Nowej Anglii, na wypadek gdyby okazała się jedną z tych kobiet, które na widok surowych ostryg stają się godne pożałowania i śmieszne. I wreszcie stoi przed jej drzwiami w Knightsbridge, jego zakłopotany uśmiech

raz po raz się zmienia, jakby miał problem ze znalezieniem wygodnej pozycji. W ręce ściska kwiaty – zbyt mocno – i czuje się jak czternastolatek.

Wyrzuca wypalonego do połowy papierosa i dzwoni do drzwi. Odsuwa się. Jeszcze raz wyciera buty o tył spodni. Czeka. Cisza. Dzwoni ponownie, z jeszcze większym wahaniem. Wreszcie słyszy szuranie po drugiej stronie drzwi i odgłos gmerania przy zamku. Uśmiech po raz ostatni zmienia położenie, Bracken potrząsa kwiatami, jakby chciał je obudzić, i w powitalnym geście unosi kapelusz – tak, ostatecznie zmienił zdanie.

Okazuje się jednak, że proces uwodzenia przypomina politykę jeszcze bardziej, niż Bracken się spodziewał. Anna stoi bowiem na progu, wyraźnie nieprzygotowana, nerwowo dotykając palcami brody i policzków umazanych tuszem do rzęs, który spłynął razem ze łzami.

- Najdroższa, co się...?
- To przez Chumpersa.
- Chumpersa?
- Mojego psa, głuptasie. Mojego małego, wiernego Chumpersa.
- Co z nim?

– Uciekł!

I razem z przeklętym, zapchlonym i obzerającym się kiełbaskami Chumpersem przepadają wszystkie plany Brackena.

Mróz wgryzł się w serce Londynu i połyskliwa mgła przyłgnęła do tafli jeziora w St. James's Park. Kaczki drżały i zbiły się w gromadkę, a królewskie pelikany rozpaczały na swojej skale pośrodku jeziora. Gałęzie platanów jakby oklapły z rozczarowania. Premier odbywał swoją codzienną przechadzkę dla zdrowia, maszerując ścieżką biegnącą wokół parku. Zwykle towarzyszyła mu żona, ale tym razem zniechęciła ją lekka migrena, więc zamiast żony zjawił się sir Horace Wilson. Za nimi snuł się policjant.

Chamberlain kroczył żwawo, gnany nie tylko zimnem, lecz także poirytowaniem z powodu porannych wieści.

– W przyszłym roku – pocieszał go Wilson.

– Tak, tak, tak, oczywiście, że w przyszłym roku. Ale dlaczego nie w tym? – Głos Chamberlaina załamał się pod wpływem rozczarowania.

– Pokojowa Nagroda Nobla powinna trafiać do tych, którzy najbardziej przyczynili się do zapewnienia pokoju. A któż zrobił w tej sprawie więcej ode mnie?

Wilson ostrożnie stąpał po śliskiej ścieżce.

– Może Norwegowie uznali, że musieliby ją przyznać zarówno panu, jak i Herr Hitlerowi. Żeby było sprawiedliwie.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się nią podzielić. Austen też musiał – mamrotał zasmucony Chamberlain, prawie wyłącznie do siebie, i oschle kiwnął głową, gdy jakiś zaskoczony przechodzień uśmiechnął się i pokłonił.

– Komitet Noblowski kieruje się przecuciem, ujęła go trudna sytuacja uchodźców.

- Nawet jeśli. Zrobiłem swoje, zaproponowałem, że przesiedlę do kolonii najwięcej osób, jak się da. Do Afryki. Ameryki Południowej. Nie mogliby dalej uciec od Niemiec! Czy ci z - jak mu tam? - Międzynarodowego Nansenowskiego Biura do spraw Uchodźców zrobili coś więcej? Czy naprawdę zasługują na Nagrodę Nobla bardziej niż ja?

- Skandynawowie trzymają się razem. Wyobraźnia ograniczona dietą złożoną z suszonego dorsza.

- To okropne, jak niewiele wdzięczności jest na tym świecie. Martwię się, co teraz będzie? Co z wyborami uzupełniającymi, Horace? Ty i Joe zapewniliście mnie, że...

- Joe usuwa wszystkie przeszkody...

- Czyżby? Wszystkie? Wie więcej o ludzkich przywarach niż ktokolwiek, kogo znam. Jesteś pewny, że robi wszystko, co może?

- Szczerze mówiąc, o pewnych rzeczach, które robi, wolę nie wiedzieć. I sądzę, że ty też nie powinienes.

- To niezwykle pożyteczny człowiek, przynosi mi przeróżne ciekawe informacje. Żyjemy w trudnych czasach, Horace. Nie ma sensu stosować półśrodków.

- Gdyby Rada Ministrów kiedykolwiek się dowiedziała...

- Gdyby Rada Ministrów kiedykolwiek się dowiedziała, sir Joseph usłyszałby o tym pierwszy. Właśnie po to podsłuchuje rozmowy telefoniczne.

Wilson rozejrzał się z zakłopotaniem, brakowało mu tchu. Czasami Chamberlain narzucał mordercze tempo. Nagle jednak starszy mężczyzna zatrzymał się i skierował złożony parasol w stronę nieba, domagając się ciszy. Zlustrował brzeg jeziora poniżej drzew.

– O, drozd śpiewak. Myślałem, że usłyszałem drozda śpiewaka, Horace. Ale to tylko stary przebiegły kos naśladowujący jego melodię. – Smutno pokręcił głową. – Złudzenie wiosny. Czasami się zastanawiam, czy kiedykolwiek ujrzymy jeszcze kwitnące kwiaty. Czasami, Horace, w ciemnych zakamarkach nocy, zastanawiam się, czy na pewnych rzeczach nie zależy mi za bardzo. Nawet na pokoju. Czy można za bardzo chcieć pokoju?

– Nie jestem pewny, czy rozumiem. Jak można za bardzo chcieć pokoju?

– Nawet Chrystus zwrócił się przeciwko lichwiarzom.

Chamberlain ruszył dalej, już nie tak pospiesznym krokiem, z większym namysłem, miękko stąpał po trzeszczącym lodzie.

– Powiedz Joemu, że w Boże Narodzenie chcę od niego tylko jednego – a nawet że tego oczekuję.

– Czego, panie premierze?

– Wieści. Chcę wieści. Na temat księżnej. Chcę usłyszeć, że wyrzucono ją z mojej świątyni.

Burgess od początku podejrzewał, że trafił mu się prawdziwy diament. Nie miał wątpliwości, że Mac to nieoszlifowany brylant – człowiek otoczony skorupą z tak twardego materiału, że niemożliwą do sforsowania, lecz jednocześnie szlachetną i bardzo wartościową. Oraz grający według własnych zasad. Burgess postanowił zatem dowiedzieć się, jak brzmią te zasady. Podczas rozmów przy kuflach milda próbował wy badać i zrozumieć, co motywuje jego nowego przyjaciela, z jakich korzysta uciech i jakimi występkami sobie dogadza. Poznaj swojego przyjaciela, bo później może zostać twoim wrogiem. Na razie jednak udało mu się wydobyć z Maca niewiele więcej niż kilka pomruków i zdumiewające wyznanie, że uwielbia

stare książki. To niezawodni przyjaciele, powiedział mężczyzna z Wysp Sołowieckich. Możesz je zabrać do łóżka, a rano, kiedy się obudzisz, wciąż będą takie same. Nigdy nie narzekają. Pozwalają ci podróżować, przeskoczyć przez każdy mur, nawet nad wieżą strażniczą, podążyć, dokądkolwiek zechcesz. Gdy zatem Mac zadzwonił i poprosił o spotkanie, Burgess zaproponował pub w jednej z uliczek przy Charing Cross Road pośród sklepów i chaotycznych regałów handlarzy używanymi książkami. Przez dobre pół godziny błakali się między stosami zakurzonych i lekko zaniedbanych książek, które leżały tam i czekały niczym wierne, lecz wyrzucone psy, tak jak one niegdyś kochane i proszące jedynie o to, by pokochano je ponownie.

Tworzyli nietypową parę: niewyrośnięty Żyd z okaleczonym ciałem, odziany w stare, lecz zadbane ubranie, i angielski dżentelmen z oklapniętą muchą starego etończyka, który zdawał się niezdolny do okiełznania rozsadzającej go nerwowej energii, przez co obgryzał paznokcie i nieustannie strząsał popiół z wszechobecnego papierosa. Miał na sobie ubranie znacznie lepszej jakości niż jego towarzysz, choć w słabszym stanie, jakby w nim spał, co zresztą zdarzyło mu się ubiegłej nocy. Oczywiście powinien był bardziej o siebie dbać, pilnować, żeby kanty znajdowały się na swoim miejscu, ale to potwornie trudne, gdy twoje spodnie przez połowę ostatniego wieczoru leżą pogniecione na mokrej trawie.

– Pomyślałem, że moglibyśmy porozmawiać o pieniądzach, panie Burgess – mruknął Mac, kiedy wreszcie zostali sami.

– Ach, ten zielonooki bóg – odrzekł Burgess, nie bez życzliwości, wypijając dużego jamesona.

– Słucham?

– Ile chcesz?

Mac wytarł usta grzbietem dłoni.

– Nie, nie zrozumiał pan. Nie chodzi o mnie. To dla pewnej damy. Myślę, że mogłaby panu bardzo pomóc. Ale w zamian za tę pomoc potrzebuje pieniędzy.

– Co to za dama?

– Dama, która trzy razy w tygodniu opróżnia kosz stojący pod biurkiem ministra spraw wewnętrznych.

Burgess nie odpowiedział. Wytrzymał spojrzenie Maca, ich ciemne oczy zwały się ze sobą, walcząc o przewagę. Dotarli do punktu zwrotnego. Burgess wiedział, że ta chwila musi nadejść, gdyż Mac był zbyt inteligentny, by długo dać się zwodzić historyjką, że Burgess interesuje się jedynie rozwojem swojej dziennikarskiej kariery. Zresztą żaden szanujący się dziennikarz nie zniżyłby się do grzebania w czyichś śmieciach. Mac poddawał go próbie, sprawdzał, jak daleko Burgess jest zdolny się posunąć. Do czego jest gotów się zniżyć. W jego oczach pojawił się błysk i odwrócił je w poszukiwaniu barmana. Zaczekał, aż w jego dłoni spocznie nowy drink, i dopiero wtedy ponownie odwrócił się do Maca, który siedział na swoim taborecie, miarowo pijąc piwo i wycierając usta grzbietem dłoni po każdym łyku.

– Kiedy mogę się spotkać z tą damą?

Mac przecząco pokręcił głową.

– Nie może pan. To moja przyjaciółka, dobra przyjaciółka, i bez urazy, panie Burgess, ale nie chcę, żeby jej sprawy mieszały się z pana sprawami.

– Więc skąd, do diabła, mam wiedzieć, że ona naprawdę istnieje? – odrzekł ostro Burgess.

– Przede wszystkim dlatego, że daję panu słowo. A także dlatego, że dostanie pan to.

Mac sztywno zeskoczył z taboretu i sięgnął po płócienną torbę, którą wcześniej nosił. Burgess myślał, że jest pełna ubrań albo książek. Okazało się jednak, że wypełniają ją skarby. Papierowe skarby. Podarte koperty, lista zakupów, nieaktualne zaproszenia, wiadomość od sprzedawcy wina, pospiesznie napisane przypomnienie od żony dotyczące kolacji, dwa mocno obgryzione ołówki i zmumifikowany ogryzek jabłka. Szczątki intensywnego życia. Pośród nich pływały też jednak inne rzeczy. Szkice wiadomości dla kolegów z rządu. Niedokończone notatki służbowe. Zrobione przez kalkę kopie korespondencji z innymi ministrami. Zmięty w małą kulkę grzeczny, lecz stanowczy list od krawca domagającego się natychmiastowej zapłaty. Pierwszy szkic raportu dla premiera na temat traktowania obywateli wrogich państw w czasie wojny. I arkusz bibułki, w którym odbiła się chyba korespondencja z całego dnia.

Nowa whisky zniknęła w mgnieniu oka.

– Jak pan widzi, panie Burgess, minister ma pod biurkiem ogromny kosz.

– Ile pan za to chce? – Spojrzenie Burgessa było przenikliwe, nerwowe.

– Ja nie chcę nic.

– Przepraszam. Ile żąda ta dama?

Mac wymienił kwotę. Była oparta na wynikach badań, które przeprowadził w pewien niedawny czwartek, ukryty w kawiarni z widokiem na drzwi Desdemony (gdy pracowała, zawsze była dla niego Desdemoną). Z własnego doświadczenia wiedział, ile żądała od jednego klienta. Pomnożył tę kwotę przez liczbę mężczyzn, których

zobaczył tego dnia – a potem dodał jeszcze wtorki. Dorzucił do tego premię w wysokości pięćdziesięciu procent na czarną godzinę i na dzieci, pociągnął piwa i jeszcze raz wytarł usta grzbietem dłoni.

– Niech cię, Mac, ostro się targujesz.

Burgess przyjrzał się twarzy drugiego mężczyzny, szukając w niej jakiegoś śladu blefu albo gotowości do kompromisu. Znalazł jedynie archangielski lód.

– Ten pieprzony ogryzek możesz zatrzymać, Mac. Ale co do reszty... – Burgess powoli pokiwał głową, próbując powstrzymać drżenie dłoni.

– W takim razie umowa stoi. Pozwoli pan, że to ja postawię następnego drinka, panie B.

Zastraszenie pojawia się w różnych przebraniach. Niedaleko wspaniałych posiadłości dominujących w West Perthshire przybyło w aksamitnych rękawiczkach. Zagrodnicy, którzy na Boże Narodzenie mieli odnowić dzierżawę, otrzymali listy z propozycją niezwykle korzystnych warunków. Włożono je w ulotki nawołujące: „GŁOSUJ NA SNADDENA”. A gdy pracownicy z tych posiadłości odebrali wypłatę, odkryli, że takie same ulotki wciśnięto do ich szarych kopert razem z niespodziewanym „dodatkiem świątecznym”.

Głosowanie zaplanowane na środę przed Bożym Narodzeniem miało być tajne, lecz społeczność zamieszkująca te posiadłości i okolice była mocno zżyta. Pokolenia uległości nie sprzyjały dochowywaniu tajemnic, które zdradzało się aż nazbyt łatwo – spuszczeniem oczu, nerwowym uśmiechem. Mówiono, że właściciele ziemscy ustalają wszystkie ceny, ale wyceniali zwłaszcza brak lojalności. Stracisz sympatię właściciela ziemskiego, a stracisz pracę, dom i razem z nimi być może także rodzinę. Nie warto ryzykować.

Bracken zobaczył, że Anna jest niepoczyszona po stracie psa. Wszystkie staranne przygotowania do jej uwiedzenia poszły na marne. Nawet nie przekroczył progu jej domu. Zamiast tego usłyszał, jak obiecuje jej, że przeczesze ulice w poszukiwaniu jej małego ukochanego Chumpersa, a ona nalegała, by zaczął jeszcze tego wieczoru. Obietnica była w najlepszym razie pochopna i stała się jeszcze śmieszniejsza, gdy lunął deszcz. Marne szanse, że zauważy się psa w ciemności zza przedniej szyby skąpanego w deszczu Bentleya.

Było jednak jasne, że jeśli naprawdę ma zdobyć serce Anny, będzie musiał znaleźć tego przeklętego psa. Zatem następnego dnia Bracken zaangażował dwóch prywatnych detektywów, którym zlecił patrolowanie ulic Knightsbridge i South Kensington w poszukiwaniu zaginionego kundla, oferując nagrodę za przydatne informacje każdemu listonoszowi, mleczarzowi i dozorczy w okolicy. Ich starania okazały się daremne. Nigdzie nie było śladu po psie, aż w końcu, drugiego dnia, zamiatacz ulic pokazał im zdobioną obrozę na tyle dużą, by mogła pasować na szyję utuczonego King Charles spaniela. Sprzączka była zgięta, a obroza poplamiona krwią. Pa, pa, Chumpers.

Teraz musiał opracować następny plan.

Można było odnieść wrażenie, że w ludzkie spory włączyli się sami bogowie.

W dniu wyborów, dwudziestego grudnia, w rozległym okręgu wyborczym Kinross i West Perthshire, ranek skąpany był w lodzie i wrogości. Wszędzie leżał śnieg, zapychając rowy i sięgając po kostki, a towarzyszący mu wiatr szydził z tych, którzy musieli wyjść z domu. Był to jeden z największych okręgów wyborczych w kraju, ciągnął się osiemdziesiąt mil z północy na południe i prawie siedemdziesiąt ze wschodu na zachód, a każdy cal kwadratowy jego powierzchni

zamarzł. Dzień do ukrywania się, a nie do głosowania. Dzień z rodzaju tych, w których zwyciężają zmotoryzowani. Samochody były najlepszym i w bardzo wielu wypadkach jedynym możliwym środkiem transportu, lecz razem ze wsparciem Partii Konserwatywnej Kitty Atholl straciła także jej doskonałe zaplecze organizacyjne – jej wolontariuszy, jej sale posiedzeń, a nade wszystko jej pojazdy. Torysi siedzieli na tylnych siedzeniach samochodów, które woziły ich od drzwi do drzwi z kocami owiniętymi wokół kolan, a zwolennicy Kitty byli zmuszeni brnąć pieszo w okrutnym śniegu i na wietrze, który tego ranka przybył prosto z Syberii. Wielu odmówiło zostawienia w domu dzieci i palenisk. Wielu innych musiało zawrócić.

Czterysta mil na południe, w Londynie było mniej zimno, śnieg zmienił się w szare, złośliwe strugi deszczu. Zmusił większość przedsięwziętych hulaków do pospiesznego szukania schronienia, lecz Brendan Bracken jak zwykle dostrzegł w tym szansę.

Jego myślami zawładnęła Anna. Odkąd straciła tego przekłętą psa, odrzucała zaproszenia i nie pozwalała się do siebie zbliżyć. Myślał, że mógłby przyspieszyć sprawę, wyjaśniając z całą wrażliwością, na jaką było go stać, że powinna pogodzić się ze smutnym faktem, iż mały Chumpers najwyraźniej zniknął na dobre. Odszedł. Stał się miłym wspomnieniem. Tragedią, która znajdzie miejsce obok upadku Rzymu i zatonięcia „Titanica”, lecz mimo to będzie trzeba się z nią pogodzić. Bo czy nie przeczesywał Knightsbridge dniem i nocą w poszukiwaniu tej psiny? W nagrodę za swoją troskę otrzymał jednak tylko kilka niewyraźnych słów rozpacz i kolejne strumienie łez wylewane na słuchawkę. Wyglądało na to, że Anna będzie rozpaczała po wsze czasy. Zbliżało się Boże Narodzenie i Bracken wiedział, co chce dostać w prezencie. Sformułował to sobie

jasno i czasami miał wrażenie, że w jego umyśle nie ma niczego więcej. Chciał Anny. Chciał ją posiadać, pragnął jej ciała, chciał uprawiać seks, nie musząc za niego płacić, chciał rozpocząć nowy rok, będąc w związku, o którym by się mówiło, że znacznie młodszą kobietą z koneksjami i bez tych wszystkich znaczących uśmiezków, które wypełzały na twarze ludzi, gdy odkrywali, że ma trzydzieści siedem lat, lecz nie jest ani zaręczony, ani żonaty, ani nawet nie pieprzy z zapalem kilku aktoreczek.

Stanął zatem w deszczu przed jej drzwiami, lecz nie od razu zapukał. Najpierw postać wystarczająco długo, by mieć pewność, że wygląda jak zmokła kura. Jak mężczyzna, który włożył wiele wysiłku, żeby się tam znaleźć. A w ramionach, niczym dziecię wyłowione z jeziora, ścisnął szczeniaka, brązowo-białego king charles spaniela, którego jego szofer znalazł tego popołudnia w schronisku. Pies miał na szyi nową obrozę z przyczepioną do niej różową jedwabną kokardą. Bracken stał przed drzwiami wystarczająco długo, żeby pies zaczął się trząść.

Gdy Anna otworzyła drzwi, jej oczom ukazał się żaloszny widok. Smutny i przemoczony do nitki Bracken oraz szczeniak – nie Chumpers, o nie, lecz maleńki piesek, który mógłby być najlepszym przyjacielem Chumpersa albo nawet jego chudszy braciszkiem – i obaj zdawali się rozpaczliwie potrzebować czułości i domu.

Czemuś takiemu nie sposób się oprzeć.

Wpuściła go.

W apartamencie przy Chester Square 28 już teraz rozbrzmiewały krzyki i donośny śmiech – wcześniej, nawet jak na standardy Burgessa. Słyszał z gościnności zarówno wśród przyjaciół, jak i wśród sąsiadów – wśród przyjaciół dlatego, że był bezwstydnym kolekcjonerem ludzi

i zwykle udawało mu się upchnąć w jednym pokoju niezwykle eklektyczne towarzystwo, od członków Tajnej Rady i dziennikarzy po męskie prostytutki i poetów (włączając Audena i Spendera), obejmujące także różnych polityków, kilka profesorek i głosicieli wszelkich wier. Czasami zjawiał się tam nawet jakiś ksiądz. Ich jedynym wspólnym mianownikiem była rozrywka, która zgodnie z surowym zarządzeniem Burgessa musiała być ekstrawagancka. To właśnie przez ten aspekt jego spotkania towarzyskie miały złą sławę wśród sąsiadów, ponieważ ekstrawagancja nieuchronnie wylewała się za frontowe drzwi na schody, gdzie często przeradzała się w bójki i łzawe wzajemne oskarżenia. Nie narzekano jednak zbyt często – w każdym razie nie wprost – bo ilekroć sąsiedzi pukali do drzwi, onieśmiewało ich połączenie osób publicznych i rozmemłanych aktorów w damskim przebraniu, którzy pojawiali się za ramieniem Burgessa, a on sam miał irytujący zwyczaj reagowania na skargi śmiechem i zapraszaniem sąsiadów do środka. Niezmiennie odmawiali.

Ale tego wieczoru nie zaprosiłby do domu obcych. Goście w salonie pod przewodnictwem wysokiego rangą duchownego zaczęli śpiewać kolędy ze słowami zaczerpniętymi z wyjątkowo nieautoryzowanej wersji angielskiego zbioru hymnów kościelnych, a w drugim pokoju trwał zaciekły i zdecydowanie chaotyczny mecz tenisa stołowego. Nowy przyjaciel Burgessa, Tom Driberg, grał przeciwko towarzyszowi o znacznie dłuższym stażu, Edouardowi Pfeifferowi, będącemu chef de cabinet francuskiego premiera Daladiera. Do gry wykorzystali stół jadalniany, a młody kurier leżał nago rozciągnięty w poprzek, pełniąc funkcję siatki.

Zawodnicy zaczęli spierać się o punkt, hałaśliwie żądając, by sprawę rozstrzygnął Burgess. Od strony kredensu doleciał zapach przypalonego lakieru, gdy uszkodziło go cygaro Francuza, a z drugiego pokoju dobiegły głosy śpiewających kolędy, którzy mordowali kolejno Trzech Króli. Rządził chaos, ale Burgess dla odmiany nie był z tego zadowolony. Nastąpiło Boże Narodzenie i na parę dni świat miał zastygnąć w bezruchu. Ludzie obiecywali sobie nawzajem pokój na ziemi i przez kilka godzin może nawet mówili szczerze. Chrześcijańska wiara Burgessa przygasła, lecz starczało jej jeszcze, by wierzył w piekło i wiedział, że ono właśnie nastąpiło, tu, na ziemi, i że czeka na nich wszystkich po drugiej stronie kanału La Manche, szykując się na nowy rok. Bał się. Trzęsły mu się ręce, bo był moczymordą, ale przede wszystkim dlatego, że nie umiał wyzbyć się obawy, iż są potępieni, wszyscy co do jednego, a on najbardziej, że bez względu na wynik wojny nie będzie miał gdzie się ukryć. Ktokolwiek wygra, było po nim. Chciał zamknąć oczy, przestać się trząść, znowu wierzyć w coś oprócz piekła. Rozpaczliwie chciał, żeby to Boże Narodzenie trwało wiecznie.

Opróżnił zatem kieliszek i przyznał punkt Dribergowi.

Tej nocy policzono głosy w West Perth. Chamberlain wygrał – o włos, nieco ponad tysiącem głosów, ale to wystarczyło. Księżna została pokonana.

„Times” napisał, że ten wynik będzie wielkim wsparciem dla pana Chamberlaina, i dał do zrozumienia, że posłuży też jako ostrzeżenie dla tych wszystkich, którzy podobnie jak księżna sprzeciwiali się jemu i jego polityce. Byli zdani na siebie.

– Co za radość. Och, co za radość! Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój.

Metaliczny i niosący się echem głos premiera wylał się ze słuchawki tak głośno, że Wilson odsunął ją od ucha. Prawie widział błysk w oku starego mężczyzny, rozpalone na nowo wewnętrzne światło, które przywiózł z Monachium i które widniało na tych wszystkich zdjęciach, lecz później w ciągu długich tygodni przygasło z powodu wyczerpujących wydarzeń. Schudł, potrzebował odpoczynku, więc pani Chamberlain zabrała go do Chequers, jego oficjalnego wiejskiego ustronia, by podładował baterie. Ostatnio wymagało to więcej czasu.

Chequers nadawało się do tego celu idealnie: piękny budynek z czerwonej cegły wzniesiony w czasach Tudorów i schowany za długimi alejami okolonymi rzędami buków z Buckinghamshire. Była to raczej kryjówka niż centrum dowodzenia. W zasadzie trudno byłoby tam urządzić centrum czegokolwiek. Jedyne telefon – uważany za narzędzie diabła – schowano w spiżarni, żeby nie przeszkadzać premierowi – nawet gdy premier był potrzebny. No więc Wilson dzwonił i dzwonił, aż zrozpaczony zatelefonował do miejscowego posterunkowego w Princes Risborough, który wsiadł na rower i jechał przez śniegi, żeby poprosić premiera, aby „zechciał odebrać telefon od sir Horace’a, co to próbuje go złapać przez cały dzień”. Chamberlain znalazł telefon schowany pod stertą świeżo wykrochmalonych serwetek.

Teraz jednak czuł bezgraniczną radość. Nieważne, że przewaga była tak niewielka. A jeszcze mniej ważne, że zapewniły ją śnieg, burza i jawne machlojki, i że poległa jego koleżanka, niegdyś przyjaciółka. Staremu premierowi wydawało się, że to zwycięstwo zainspirowane przez Boga i, podobnie jak chleb i ryby, mogło starczyć na bardzo długo. Mógł nim wyżywić cały kraj, a w zamian będzie miał słuszne

prawo domagać się nagród dla tego, który wprowadza pokój. Zajmie miejsce w historii obok Disraelego, Wellingtona, Gladstone'a. Ba, nawet obok Mojżesza, bo czyż nie ocalił swojego narodu przed niewolą wojny? Czyż nie uchronił go od zła? Jacy dumni byliby z niego ojciec i Austen. W końcu zdołał im pokazać, na co go stać – a przynajmniej pokazać to ich wspomnieniom. Och, ale byli przecież jeszcze Churchillowie, Attlee'owie, Edenowie, różni Duffowie Coopersi, cała ta niewdzięczna zgraja pyszałków, którzy od dawna rzucali mu kłody pod nogi. Tak, im też pokaże, pokaże im wszystkim w nowym roku, tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym. W swoim Roku Kary.

Chamberlain wyslizgnął się ze spiżarni w doskonałym humorze, zastanawiając się, czy nie zostało jeszcze trochę tego wybornego reńskiego wina, które podesłał Ribbentrop. Zapomniał odłożyć słuchawkę. Przez następne dwa dni był nieosiągalny.

Księżna odwołała imprezę zorganizowaną dla uczczenia jej zwycięstwa, wróciła do domu do niedomagającego męża i spędziła wieczór, grając na fortepianie sonaty Beethovena. Jej zwolennicy rozplłynęli się w syberyjskiej nocy ze łzami zamarzniętymi na policzkach.

Nazajutrz dostała telegram od deputowanego Josiaha Wedgwooda:

Sokratesowi dali cykutę. Grakchusa zabili kijami i kamieniami. Najwspanialszego i najlepszego ukrzyżowali. Katharine Atholl może stać z podniesioną głową w dobrym towarzystwie. Niech zwycięzcy, gdy nadejdą po upadku fortec szaleństwa, znajdą pod murami twe ciało.

Pałac Blenheim, poniedziałek, 66 grudnia

Drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Dzień Czarnego Psa. Jeden z tych, które prześladowały Churchilla i rzucały go w otchłań rozpacz.

Churchill sztywno szedł po terenie, który dwa stulecia wcześniej stworzył „Capability” Brown, by upamiętnić bitwę pod Blenheim. Brown ukształtował tę okolicę zgodnie z ustawieniem wrogich sił, które starły się tego dnia. Chciał, by pamięć o wielkim zwycięstwie przetrwała dopóty, dopóki ludzie będą chodzić tymi ścieżkami. Churchill i tak nigdy by o tym nie zapomniał. Wiedział jednak, że nie powstaną żadne ogrody i nikt nie wzniesie wspaniałych pałaców, by upamiętnić spotkanie w Monachium – w każdym razie nie w Anglii ani w żadnym innym miejscu nieokupowanej Europy. Patrząc z perspektywy czasu. Miał wrażenie, że bardzo często spogląda w przeszłość. Pisze o historii. Wspomina wielkich przodków. Cóż innego mógłby robić? Nikt nie chciał słuchać o jutrze.

Churchill urodził się tutaj, w Blenheim. Przed terminem, bo jak mawiała jego matka, zawsze się spieszył. Siedem miesięcy po tym, jak wzięła ślub. Pałac był domem przodków należącym do Sunny’ego, jego kuzyna i wspaniałego towarzysza, dziewiątego księcia Marlborough – nudziarz, ale przecież rodzina – i Churchill przyjechał świętować tam Boże Narodzenie. Przyjechał też, żeby się schować, uciec od zgrzyot dnia codziennego, uczepiając się wspomnień chwalebnej przeszłości, która, no cóż, nie była niczym ponadto. Tylko przeszłością. Minioną. Jak on.

Churchill nigdy nie czuł się bardziej samotny. Clemmie wyjechała – wiele tygodni temu – na wycieczkę po Indiach Zachodnich mającą przywrócić jej ducha i zdrowie. Niedawno uderzyła paluchem w zakończoną pazurem nogę empirowego stołu w Paryżu i zaniemogła. Potrzebowała trochę czasu z dala od problemów, które

musiała dzielić z mężem w domu. No więc wyjechała w towarzystwie kolejnej nedorzecznie drogiej garderoby i zażywała teraz relaksu pod karaibskim słońcem, podczas gdy on szedł po mokrej, usianej liśćmi angielskiej trawie. Tęsknił za nią, potrzebował jej. Jako jedyna była bliska zrozumienia go, tylko na niej mógł całkowicie polegać. Lecz nawet ona narzekała – na jego bezosobowe telegramy, na listy do niej, które dyktował innym, domagała się, żeby pisał je własnoręcznie. Gdyby tylko miał czas! Ale nie miał czasu.

Jej nieobecność pozwoliła mu przynajmniej przyjechać do Blenheim i pobyc z Sunnym, jego kumplem. Clemmie miała na ten temat zgoła odmienne zdanie – pokłóciła się z księciem o pewną błahostkę. Gdy minister spraw zagranicznych Anthony Eden podał się do dymisji na znak protestu przeciwko polityce Chamberlaina, napisała do niego uprzejmy list na papierze opatrzonym herbem Blenheim. Książę zaprotestował, a Clemmie natychmiast spakowała walizkę i wyjechała, a później szukała wymówek, by widywać Sunny'ego najrzadziej, jak się da. To takie nierozsądne, rozmyślał Churchill, mieszać sprawy osobiste z polityką, nienawidzić kogoś za zgniłe opinie zamiast za zgniłe serce. Sądził jednak, że Randolph może nigdy nie skorzystać z tej lekcji. Churchill przybył do Blenheim ze swoim dwudziestosiedmioletnim synem i najmłodszą córką, Mary. Powitała ich chmara kuzynów i bliskich przyjaciół, a Randolph zdążył się już pokłócić z wieloma z nich. To stawało się jego zwyczajem. Zjawiał się na kolacji, pił, jadł, jeszcze więcej pił, a potem wyklócał się i sypał obelgami jak solą na płamę z wina. Jego język nie rozumiał jeszcze różnicy między ironią a czystym jadem. A wspomniany zwyczaj objął swym zasięgiem także śniadanie – rano Sunny był zmuszony poprosić, by Randolph odszedł od stołu, po tym jak nazwał

kolejnego gościa „niewybaczalnym kretynem”, dlatego że ten napomknął, iż wakacje w Toskanii zrobiły się o wiele przyjemniejsze, odkąd Mussolini rozwiązał problem pociągów. Randolph bawiący się swoim językiem przypominał dziecko, które na środku placu zabaw znalazło naładowany pistolet.

Poza tym syn poprosił go o kolejną pożyczkę. Pożyczkę, której Churchill, z ręką na sercu, nie mógł udzielić. Mimo to wiedział, że chłopak ją dostanie. Tak jak Clemmie zdobyła kolejną nową garderobę, a Chartwell zyska nowy domek na terenie posesji. Pieniądzy chyba nigdy nie było dość. Zarobił fortunę – kilka fortun – i zawsze wydawał o pensa więcej. Niezmordowanie realizował swoje literackie przedsięwzięcia, pracował na dwie zmiany, dyktował do drugiej albo trzeciej w nocy, otoczony sekretarzami i uwijającymi się asystentami. Pracował nad Historią ludów anglojęzycznych, za którą zapłacono mu olbrzymią zaliczkę w wysokości dwudziestu tysięcy funtów. Tylko że to było w 1933 roku. Pieniądze już dawno się rozeszły. Została tylko praca.

A Beaverbrook unieważnił jego umowę z „Evening Standard”. „Winstonie, ilekroć piszesz o tej swojej przeklętej wojnie, sto tysięcy moich czytelników sra w gacie i ucieka w góry”. Kontrakt zastąpiono umową z „Daily Telegraphem”, ale za mniejsze pieniądze. Churchill rozpaczał jednak nie tylko nad utratą pieniędzy, lecz także nad odsuniętą na bok przyjaźnią. Zasiadał z Beaverbrokiem w rządzie Lloyd George’a, spiskowali razem, przypochebiali się sobie, hulali i upijali się. Potem się kłócili. Zrywali przyjaźń równie często, jak Max przeskakiwał z łóżka jednej kobiety do łóżka drugiej, a aktualnie sypiał ze zwolenniczkami polityki ustępstw. Churchill czuł, że pewnego dnia Max z nimi skończy, jak ze wszystkimi, i wtedy do niego wróci.

W tym roku miał mniej przyjaciół, mniej niż kiedykolwiek dotąd. Rzadziej zapraszano go na kolacje, a prośby o wygłoszenie przemówienia w innych okręgach wyborczych prawie się już nie zdarzały. Jego działania otaczała raczej atmosfera zobowiązań niż przyjaźni, nawet gdy chodziło o takich ludzi jak Eden, Duff Cooper i Leo Amery, którzy siedzieli obok niego na znak protestu i wstrzymali się od głosu w sprawie ustaleń z Monachium. Jakby wyczuli, że Churchill tonie i bali się, że przy okazji oni także mogą pójść na dno.

Byli i tacy, którzy nadal go popierali, a przynajmniej popierali jego sprawę, lecz wydawali się równie niezawodni jak słońce wiosną. Harold Macmillan gadał jak najęty o odejściu z partii, ilekroć przyłapał Boothby'ego w łóżku swojej żony. Nie żeby Macmillan nadal uważał za niemożliwe pogodzenie się z niewiernością małżonki, ale chyba wywoływało to w nim potrzebę znalezienia innych sposobów dowiedzenia swojej jurności. Clemmie zakazała Boothby'emu wstępu do Chartwell, po tym jak wybuchnął przy kolacji, a na koniec przewrócił karafkę i nazwał Nancy Astor „zwykłą małą popieprzoną włazidupą”. Clemmie bynajmniej nie była jędzą, lecz miała niezwykle wysokie standardy dopuszczające wybaczenie jedynie Winstonowi. Brackena też ledwie tolerowała. Nie miała czasu na jego wymysły i fantazje. „Brendan – powiedziała kiedyś z zamierzoną uszczypliwością – to mężczyzna, według którego dwa i dwa daje dwadzieścia dwa”. Znosiła go wyłącznie z powodu jego niezachwianej lojalności wobec jej męża. Jednak nawet Brendan zaczął zachowywać się dziwnie, był osobliwie rozkojarzony. Ci wszyscy trudni do sklasyfikowania sprzymierzeńcy tworzyli bardzo specyficzną zgraję.

Churchill minął olbrzymie, nagie wiązy stojące niczym strażnicy obok mostu i zakłócił spokój kruków, które odfrunęły, łopocząc

skrzydłami i wydając okrzyki zdenerwowania. Kolana bolały go z powodu wilgoci w powietrzu oblepiającej korzenie tych wspaniałych drzew. Za nim barokowy przepych pałacu prawie zniknął z pola widzenia, pomnik minionych czasów i dawnych zwycięstw, ukryty teraz w szarej angielskiej mgle. Churchill czuł się tu jednak dobrze, jak stary relikwiarz, który nareszcie znalazł swoje miejsce. Żył już dwadzieścia lat dłużej niż jego ojciec, dłużej niż jego wuj, siódmy książę, i chyba dłużej, niż mu się należało. Gnijące liście przyczepiały się do końca jego laski. Śmierć zdawała się otaczać go ze wszystkich stron. Właśnie przeczytał w gazetach o śmierci Sidneya Peela, człowieka, który zalecał się do Clemmie i prawie zdobył jej rękę. Porządny gość, ale porządność go nie uratowała. Umierało bardzo wielu ludzi, których Churchill znał w młodości, a on sam osiągnął wiek bezużyteczności, w którym starym mężczyznom kończy się czas. Modlił się, żeby mógł żyć równie długo jak kraczące kruki i umrzeć, zanim jego władze umysłowe ulegną zniszczeniu i pogrążą się w mroku.

Ciaśniej owinął szyję szalikiem i dalej spacerował samotnie nad brzegiem jeziora. Reszta towarzystwa była na polowaniu, nalegała, żeby do nich dołączył, ale dzisiaj nie sprawiłoby mu to przyjemności. Liczył, że pościg za zwierzyną wyczerpie Randolpha i wieczorem będą mogli prowadzić kulturalną rozmowę przy stole, lecz zazwyczaj ekscytujące wydarzenia tylko jeszcze bardziej go pobudzały. Mgła nad jeziorem gęstniała, otaczała go ze wszystkich stron. Drzewa i krzewy przypominały duchy, a z jednego z cieni wyłoniła się postać odziana w ciemny płaszcz i ku swojemu zdziwieniu pomyślał, że to Kitty Atholl. Była to jednak tylko chwilowa pomyłka. Szybko zrozumiał, że to jedynie poczucie winy przebrane za buk.

Och, ale przecież mógł temu zapobiec. Żeby stracić miejsce w parlamencie, stracić wszystko, o co walczyli, przez tysiąc głosów! Głosów, które bez wątpienia mógłby jej zapewnić, gdyby tam pojechał i zabrał ze sobą innych. Czy upadł tak nisko – czy był tak stary, tak rozkojarzony, tak zmęczony – że gotów był odsunąć na bok dorobek całego swojego życia dla półgodzinnego spotkania z przedstawicielem banku? Ocalił Chartwell, na chwilę, ale jaką miałyby to wartość, gdyby spełniło się to, czego się obawiał i przeciwko czemu walczyła Kitty? Same popioły. Czasami Churchill bardzo siebie nie lubił. Kitty do nikogo nie miała żalu, poległa z wielką godnością, a do tego sama. Churchill czuł się przez to jeszcze gorzej.

Ścieżka wiodła w górę, przez gęstą mgłę ku wysokiemu miejscu nad jeziorem, gdzie stała mała świątynia w greckim stylu poświęcona bogini Dianie. To właśnie tutaj trzydzieści lat temu oświadczył się na ławce Clementine. Była tego dnia w lekceważącym nastroju. Za długo wylegiwał się w łóżku i o mało nie spakowała walizek i nie wyjechała. Później poszli na spacer i złapał ich deszczyk, więc schronili się w tej świątyni. Tam, na ławce, na której teraz siedział, spytał ją, czy za niego wyjdzie i zaakceptuje wszystkie jego nieznośne cechy. „Większość z nich – odrzekła – pod warunkiem, że ty zaakceptujesz równie wiele moich”. Tak to się zaczęło, i trwało nadal. Byłoby to dobre zakończenie, gdyby ostatnie dni mogli spędzić w swoim towarzystwie.

Tylko że...

Tylko że ilekroć spoglądał przed siebie, widział cierpienie idące ramię w ramię z katastrofą, a one nie zostawiłyby go w spokoju, by mógł umrzeć elegancką śmiercią. Hitler zaatakował go osobiście i brutalnie w niemieckiej prasie, nazwał go podstępny wicherzycielem i pijakiem, a Chamberlain traktował go niewiele lepiej. Czasami trudno

było ocenić, kto stwarzał większe zagrożenie: mały szalony Austriak, który krzyczał i pluł, czy brytyjski przywódca, który śpiewał pieśni o milczeniu. „Nie związuje mi rąk” – błagał premier, zwracając się do parlamentu, uzasadniając swoje negocjacje z Hitlerem w sprawie Europy. Co za idiota. Czy nie zdawał sobie sprawy, że wkrótce sznur owinie się nie wokół jego rąk, lecz także wokół szyi? Wokół szyj ich wszystkich?

Churchill wiedział, że jest starym uparciuchem i koniec. Ale być może też początek. Bo oprócz tego, że był zawzięty, był również elokwentny – takim słowem określił go ten młody Burgess dzień po Monachium – a w tych niespokojnych czasach elokwencja była potrzebna bardziej niż pieśni Chamberlaina o milczeniu. Mógł nadal mówić, nie ustawać. Ostrzegać przed zagrożeniami w Europie i walczyć o prawo Brytyjczyków do bycia ludźmi wolnymi i zmiennymi, a nie jedynie wasalami. Mogło to oznaczać upadek jego partii, lecz jakie to miało znaczenie, gdy cały kraj stał na krawędzi upadku? Najpierw kraj, potem partia – zawsze – nie było pośredniej drogi.

Przynajmniej będą mogli pochować go razem z jego sumieniem, choć być może wcześniej, niżby chciał. Wezwano go do stawienia się przed kierownictwem okręgu w Epping – „by wytłumaczył się ze swoich ostatnich działań”, jak napisano w niedopuszczającym sprzeciwu liście. By bronił się przed zarzutami o nielojalność; by pokazał, dlaczego nie należy go odsunąć, tak jak odsunięto nieszczęsną Kitty; by dowiódł, że lojalność wobec partii i niemającego rozeznania przywódcy nie jest największym obowiązkiem polityka. Bo czymże była lojalność? Słowem, wymówką, tarczą, za którą tchórze chowają swoją nagość. Partia nie potrzebowała lojalności, dusiła się

w niej. Tym, czego tak rozpaczliwie potrzebowała, był świeży powiew wyobraźni i przywództwa.

Na Boże Narodzenie dostał kartkę od młodego Burgessa, ręcznie narysowany obrazek, który wyglądał bardzo prosto, lecz świadczył o sporym talencie. I o przenikliwości – ukazywał wszystkich członków rządu stojących w kręgu z głowami wbitymi w tyłki sąsiadów, i choć głowy były niewidoczne, większość postaci można było bez trudu rozpoznać. Postać z przodu miała koszulę z załamanym kołnierzykiem i ścisnęła stary parasol. Tytuł obrazka brzmiał prosto: „Przywództwo”. Młody Burgess był człowiekiem o sporej wyobraźni.

A zatem...

W zasadzie nie miał wyboru. Musiał walczyć. Walczyć dalej. A potem jeszcze trochę. Kontynuować walkę, dopóki starczy mu tchu i słów. Bo cóż innego mógł zrobić? Taką miał naturę.

Część druga

Koniec złudzeń

Rozdział ósmy

(„Daily Express”, poniedziałek, 2 stycznia 1939)

OTO DLACZEGO W 1939 ROKU MOŻECIE SPAĆ SPOKOJNIE

W 1939 roku w Europie nie będzie żadnej wielkiej wojny.

W naszej obecnej sytuacji nic nie daje podstaw do przypuszczenia, że wrzenie może albo i musi nastąpić.

Nie ma dziś żadnych czynników, których nie doświadczalibyśmy już wielokrotnie w swojej historii – w chwilach, gdy staliśmy u progu epoki pokoju.

Co takiego zatem sprawia, że prorokom zła drżą kolana?

Widzą dyktatorów w Europie. W Europie zawsze byli dyktatorzy. To naturalna forma rządów w wielu krajach na tym kontynencie.

Widzą intensywne zbrojenia.

Na tej wyspie już wcześniej często mieliśmy takie okresy. Płoszyliśmy się z powodu przeróżnych obaw – także tych urojonych...

Handlarze koszmarów powinni poświęcać trochę więcej uwagi brytyjskiej historii, a trochę mniej własnym nerwom. Mogą także rozważyć następujące fakty związane z aktualną sytuacją na świecie.

Wielka Brytania rośnie w siłę. Mówi nam o tym pan Chamberlain. Jest silniejsza niż Europa. Gdy w tym roku będzie gotowa baza w Singapurze, stanie się silniejsza także w Azji. [...]

Istniało niebezpieczeństwo, że wybuchnie wojna z powodu Czechosłowacji. Gdyby Francja dotrzymała słowa. Gdyby Wielka Brytania ją w tym poparła. Byłby to prosty przepis na katastrofę.

Jednak Czechosłowacja to już przeszłość.

Patrzmy zatem w przyszłość, na rok, w którym wały chroniące nas przed powszechną wojną jeszcze bardziej się umocnią. Pamiętajmy, że wojna, teraz zbyt kosztowna dla małych państw, staje się także coraz mniej możliwa z punktu widzenia wielkich mocarstw. Zniszczenia są zbyt wielkie. I ludzie o tym wiedzą.

Wierzmy w pokój – i domagajmy się, by Wielka Brytania umacniała nas w tej wierze swoją siłą!

Panna Susan Graham z tłumioną pogardą przyglądała się rozłożonej gazecie, która leżała przed nią na podłodze. Wojownik na winiecie „Expressu” miał uniesiony miecz i wysuniętą żuchwę, lecz wyglądał trochę absurdalnie, niemal komicznie, bo oczy miał niewidome i opierał się plecami o ramkę z reklamą. Odnosiło się wrażenie, że broni płynu do płukania gardła.

Odruchowo wygładziła zagniecenie papieru gazetowego. Wiodła porządne, ułożone życie – jak przystało na naczelniczkę poczty w nadmorskim miasteczku Bournemouth – życie poświęcone społeczności, pomaganiu innym, nieuleganiu własnym emocjom. Takie rzeczy były dobre dla Francuzów po drugiej stronie kanału La Manche. Uśmiechnęła się zatem i nawet nie drgnęła w ciągu gorączkowych tygodni przed Bożym Narodzeniem, gdy przez jej biurko przelewała się bezprecedensowa fala listów i pocztówek. Odnosiło się wrażenie, że całe miasteczko uczestniczy w masowym święcie, w eksplozji ulgi – nie będzie wojny! – więc robili to, w czym Brytyjczycy są najlepsi. Stali w kolejce. Stali w kolejce, żeby pobrać

pieniądze z kont oszczędnościowych, stali w kolejce, żeby wysłać telegramy, a potem znowu, by nadać przekazy pocztowe, stali, by kupić znaczki niezbędne do dostarczenia prezentów, po czym jeszcze raz ustawiali się w kolejce po sznurek i szary papier do pakowania paczek. Chyba całe Bournemouth stało w niekończącej się kolejce do jej okienka, lecz ona jak zwykle dawała sobie radę i uśmiechała się w odpowiedzi na ich miny wyrażające radość i ulgę. Nie żeby wierzyła choćby w jedno słowo z tego, co pisano w gazetach. Nie należało ufać Niemcom, nie po tym, co zrobili ostatnim razem, zwłaszcza jej tacie, który też pracował na poczcie i wrócił z błota i gazu Passchendaele z połową płuca i jeszcze mniejszą częścią życia. Nie narzekał – no, w każdym razie niewiele, po prostu często rzeził. Sue też rzadko narzekała, zwyczajnie robiła swoje i już jako nastolatka zajęła się obsługą poczty, służyła klientom i opiekowała się ojcem. Miała niewiele czasu na cokolwiek innego, dopóki nie umarł, a wtedy wydawało jej się, że na wszystko jest już trochę za późno. Miała trzydzieści trzy lata, właśnie zauważyła siwe pasemko we włosach, które zaczesywała do tyłu i spinała w niemodny kok, i zajmowała już na półce miejsce równie głębokie jak plik ubiegłorocznych kartek bożonarodzeniowych.

Sue rzadko się czymś emocjonowała. Może dlatego wiedziała, że to całe gadanie o pokoju jest tylko – jak by to określił jej ojciec? – „kupą starych, przeklętych bzdetów”. Żeby był pokój, potrzeba dwojga, a żeby była wojna, wystarczy jedno, każdy o tym wie. Zwłaszcza doktor Stern i jego żona. Byli Żydami, którzy uciekli z Wiednia i uciekali dotąd, aż przybyli do Eastcliffe. Miła para, spokojna. On starał się, jak mógł, kontynuować praktykę lekarza rodzinnego, choć prawdę mówiąc, większość ludzi nie była zachwycona, że musi się rozbierać przed

Żydem – ale brał niewiele. Nie dążył do dostatniego życia, po prostu był wdzięczny, że może żyć w jakichkolwiek warunkach. Jego żona nigdy jednak nie dotarła do końca tej podróży. Sercem i umysłem nadal była w domu, w Austrii, i gdzieś po drodze straciła nerwy. Rzadko otwierała drzwi, nawet listonoszowi, niespokojnie wodziła wzrokiem pełnym niepokoju i odkąd podpalono synagogi, Sue w ogóle jej nie widywała. Doktor Stern wyjaśnił, że nie mają wieści od jej matki i siostry, które zostały w Wiedniu – w każdym razie miał nadzieję, że nadal tam są. Ciągłe słyszeli okropne rzeczy o miejscu zwanym Dachau.

Pan Chamberlain i „Daily Express” najwyraźniej jednak nie słyszeli o Dachau. Doktor Stern powiedział, że to zaledwie kilka mil od Monachium, a przecież pan Chamberlain był w Monachium. Tylko że podobnie jak pani Stern w drodze powrotnej chyba coś stracił.

Sue Graham przywykła do tego, że radzi sobie sama, i nie robiła zamieszania. Ze szkopami też by sobie poradziła, gdyby zaszła taka konieczność, a pewnie zajdzie. Tymczasem postanowiła trochę się przygotować. Zlikwidować jedną z kwiatnych rabat – róże, zawsze zbyt trudno się je uprawiało wśród słonych wiatrów – i zasadzić w ogrodzie więcej warzyw. Porobić dzemy z większej ilości jesiennych owoców. A dziś wieczorem rozpalić ogień, żeby przepędzić chłód napływający znad kanału La Manche do jej sypialni.

Przyklęła i zrolowała strony „Daily Expressu” w długie zwitki, które starannie złożyła i umieściła w palenisku pod kilkoma patykami rozpałki i warstewką węgla. Potrzebowała dwóch prób i połowy gazety, żeby zajęły się ogniem – węgiel był mokry – lecz w końcu w sypialni zrobiło się cieplej. Tylko do tego nadawał się „Daily Express”. Tej nocy mogła spać spokojnie.

Burgess kurczowo trzymał się ciemności, szukał cieni, owijał się nimi jak peleryną. Szedł za Makiem, zachowując pewną odległość, i bał się, że Mac może go zobaczyć.

Musiał się dowiedzieć, kim jest jego informatorka. Ostatnia partia zawartości kosza stojącego pod biurkiem Sama Hoare'a obejmowała liścik od Maxa Beaverbrooka, któremu bez wątpienia towarzyszył czek – „mały datek z głębokiej kieszeni” – oraz sugestia, by pozbyć się śladów tej korespondencji. W stercie śmieci znalazł się także arkusz bibułki z odbitą prawie kompletną repliką listu ministra spraw wewnętrznych do premiera, zawierającego sugestię, by ponownie przyjąć Beaverbrooka do rządu – „na przykład jako ministra rolnictwa?”. Materiał był tak dobry, że Burgess zaczął się denerwować. Może go wrabiają? Nabierają? Musiał się zbliżyć do tego źródła.

Śledził zatem Maca przez kilka wieczorów. Bynajmniej nie miał kwalifikacji w tym zakresie, lecz Mac okazał się beznadziejnym niewolnikiem przyzwyczajień. Codziennie wieczorem wracał do swojego pokoju w Kensington tą samą ścieżką w Hyde Parku, tą samą trasą przez labirynt ulic w Notting Hill, nigdy się nie zatrzymując, nigdy nie przystając, żeby spojrzeć na sklepową witrynę, nigdy nie przysiadając na szybki kufel piwa, tym samym miarowym, upartym krokiem, jakby wprowadził do swojego życia schemat, którego nie mógł zmienić, tak jak mnich nie mógłby napisać na nowo dziesięciu przykazań. Przyzwyczajenie okazało się jednak jego zgubą, bo tego wieczoru wyszedł z Trumper's, niosąc płócienną torbę – tę, w której zawsze przynosił śmieci – i zamiast ruszyć przez Hyde Park, skręcił w stronę stacji metra. Pojechał nim do Chigwell w Epping, gdzie wysiadł i znowu zaczął iść tym miarowym, upartym krokiem. Burgess szedł za nim w pewnej odległości, przygarbiony, czując się trochę

śmiesznie, aż w końcu dotarli na małą, słabo oświetloną ulicę wiktoriańskich domów szeregowych z czerwonej cegły. Mac zapukał do jednych z drzwi i przez chwilę stał skąpany w plamie światła, po czym wszedł do środka pewnym krokiem człowieka, który znalazł się wśród przyjaciół.

Burgess przez moment stał w mroku na końcu ulicy i osłaniając papierosa zakrzywioną dłonią, przyglądał się domowi. Uboga dzielnica, ściany obłazące z farby, nic szczególnego, jeśli pominąć trójkołowy rowerek porzucony w ogródku wielkości pledu. A więc mieszkały tam dzieci. I poznał adres. Nazwisko mieszkańców powinien znaleźć w spisie wyborców. Był bliski rozwiązania zagadki. Może w przyszłym tygodniu pójdzie za przyjaciółką Maca, żeby się upewnić, czy kobieta rzeczywiście sprząta w domu Sama Hoare'a. Trzy razy w tygodniu, tak powiedział Mac. Zadanie nie powinno być zbyt trudne. Pociągnął łyk z ćwiartki irlandzkiej whisky, którą trzymał w kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego. Zakręcenie jej z powrotem okazało się wyzwaniem. Jego lewa i prawa ręka zdawały się mieć odmienne opinie na ten temat i spierały się, aż w końcu zaczęły trząść się ze zdenerwowania. W takim tempie mógłby nigdy nie zakręcić butelki, więc postanowił ją opróżnić. Łatwiejsze rozwiązanie.

Potem zaczął się śmiać, drwiąc z siebie cicho w ciemności, aż po twarzy popłynęły mu łzy. Jakimż absurdem było jego życie. Tego ranka zjadł śniadanie w Ritzu z wysokim rangą członkiem Partii Pracy. Mieli dyskutować o tym, czy polityka ustępstw jest imperatywem moralnym, czy wycieraczką dla dyktatorów. Zamiast tego postanowili, że jeszcze w tym tygodniu podyskutują o własnej moralności w klubie Mandrake. Lunch zjadł w domu Rozsiki Rothschild – Burgess studiował razem z jej synem Victorem i tak bardzo zaimponował jej swoim

rozeznaniem w sprawach międzynarodowych, że płaciła mu honorarium za nieformalne doradztwo inwestycyjne. „Niech pani zainwestuje w wojnę – poradził jej nad wędzonym łososiem. – Wycofa wszystkie środki z Europy i włoży je w Rolls-Royce’a i General Motors”. Jego analizę uznała za wnikliwą, a radę za mądrą, ale nie chciała z niej skorzystać. „Guy, mam w Europie pół rodziny – wyjaśniła. – To wyglądałoby tak, jakbym odwracała się do niej plecami i porzucała ją na pastwę terroru”. Gdy wychodził, polerowała srebrne ramki zdjęć chusteczką mokrą od łez.

A teraz to. Przemykał bocznymi uliczkami Londynu w kapeluszu mocno nasuniętym na twarz, próbując wieść niedorzeczne podwójne życie, podczas gdy wszystkim wydawało się jasne, że nie jest w stanie porządnie zorganizować jednego. Polował na innych – podobno był w tym dobry, należał do najlepszych, ale skoro tak, to dlaczego bardzo często czuł, że to na niego polują? Absurd. Właśnie dlatego musiał się z siebie śmiać. W przeciwnym razie mógłby zacząć brać to wszystko zbyt poważnie i dokonać żywota równie pogubiony jak stary Mac. Dlatego musiał też pić. Wolał chorować na whisky niż na wszystkie zmartwienia i niedolę. A co do tej drugiej sprawy... No cóż, nikt nie mógł go oskarżyć o wywijanie kutasem w ciemności. Był ekstrawaganckim, nienasyconym, zdeklarowanym pedrylem, człowiekiem, po którym można się spodziewać, że czai się na rogach ulic oraz ma zwyczaj, jakich większość osób nie miałaby ochoty zbyt dobrze poznawać. To tylko Guy, powiedzieliby, przecież wiecie, jaki on jest. Potem szybko zajęliby się czymś innym. Nikt nie chciał za bardzo się zbliżyć. I doskonale mu to odpowiadało.

Olśniewający poranek w Suffolk. Zimny, ze słońcem migoczącym na płaskim, zmrożonym krajobrazie. Hałas wywoływany przez

naganiaczy w lesie niósł się w powietrzu i wypełniał je oczekiwaniem. Nadeszła pora zabijania.

Nagle w lesie eksplodowały oburzenie i pióra. Unosiły się nisko i w wielkiej ilości, falami, głównie bażanty, lecz także kuropatwy czerwone i kuropatwy zwyczajne, choć dla tych ostatnich był to kiepski rok. Mokra jesień i zimna zima drastycznie ograniczyły ich liczebność. Po śniadaniu główny zarządca Turner jeździł przed uczestnikami polowania tam i z powrotem na swoim kucyku, niczym generał wydający ostatnie rozkazy przed bitwą. „Moi panowie – i ci, którzy chcą nimi być – nie będziemy dziś strzelać do kuropatwy zwyczajnej. Dlatego że jest ich zbyt mało. Mamy mnóstwo czerwonej oraz bażanta, jeśli strzelacie szybko i doszłicie do siebie po wczorajszej kolacji. Moje kuropatwy zwyczajne zostawcie jednak w spokoju, i moich naganiaczy też, bo w przeciwnym razie będziecie musieli się przede mną gęsto tłumaczyć”. Ten Turner to był prawdziwy oryginał, forma życia znacznie rzadsza niż jakiegokolwiek kuropatwy i o wiele bardziej zagrożona wyginięciem. Ptaki łowne mogą uciec przed tym, co je czeka, ale tacy jak on już nie. Gdy wielkie posiadłości zbankrutują i upadną – co niebawem nastąpi – Turnerowie tego świata znikną na zawsze.

Chamberlain stał na swoim stanowisku: mała tyczkowata postać o wąskich ramionach, długich rękach, jak zwykle z oklapniętym wąsem i starannie zapiętym trzyczęściowym garniturem z tweedu Harris. Broń trzymał uniesioną, górna część jego tułowia obracała się na boki. Trzask eksplozji, drewniana kolba wcisnęła mu się w ramię. Z prawej i lewej grzmiały wysoko uniesione strzelby. Spadły dwie bażancice. Uderzyły w ziemię ze znaczną siłą zaledwie kilka jardów od jego stóp. Pierwsza krew.

I cały czas nadlatywały nowe. Przeładował. Kolejny brutalny huk wystrzału. Gdy dym się przerzedził, spojrzął w dół na zdeformowane, jaskrawo ubarwione szczątki bażanta.

I tak to się ciągnęło. Stopy nieruchome, strzelba w górze, obracający się tułów. Zabić. Przeładować. Znowu! Z obu luf. Jeden ptak uciekł, drugi umierał, zataczając elegancki łuk zakończony kulą piór, która odbiła się od zamarzniętej ziemi. Nowa strzelba, nowa ofiara, więcej zakrwawionych piór.

– Według mnie właśnie tak wygląda wspaniałe rozpoczęcie nowego roku. Zgodzisz się, Neville'u?

Sam Hoare, minister spraw wewnętrznych, miał stanowisko obok premiera. Podszedł i wyciągnął piersiówkę, z której obaj się napili, idąc z przełamanymi strzelbami do następnej nagonki.

– To rok sukcesu, Samie, przyniesie nam wszystko, czego ludzie potrzebują. Nowe domy, nowe szpitale. Rząd oddany najwyższemu standardom moralnym. – Chamberlain był rześki jak powietrze.

– Brzmi to jak pierwszy szkic programu wyborczego.

– Krzyżowanie szyków wroga?

– Widzę, że masz dziś dobre oko. Z tego, co zauważyłem, niewiele ptaków ci umknęło.

– Chyba domyślasz się, jak to robię, Samie? Znasz mój sekret, prawda?

– Zdradź mi go!

– Wyobraź sobie, że ptak z przodu, ten tłustszy, to Winston. A ten tuż za nim, ten, który prawie wchodzi mu w tyłek, to Duffie Cooper. Mnie to inspiruje. Trafiam za każdym razem!

Premier rozgrzewał się przed następnym zadaniem, gdy szli po zamarzniętych mokradłach, i niebawem zdjął szalik, którym wcześniej

dwukrotnie owinął szyję. Jeszcze raz pociągnął z podsuniętej piersiówki.

– Zbrojenia, zbrojenia i jeszcze raz zbrojenia. To wszystko, co widzi Winston. Ale w tym miesiącu znowu wzrosło bezrobocie. Trudno to uznać za odpowiednią porę na trwonienie budżetu na kule.

– Obawiam się, że Francuzi mogą być innego zdania.

– Jak to?

– Neville’u, będą się od nas domagali rozbudowy armii. Żebyśmy mogli ich wesprzeć, jeśli zostaną zaatakowani. A jeśli odmówimy, zarzucą nam, że jesteśmy podstępnyimi sojusznikami i chowamy się po drugiej stronie kanału La Manche, za swoją marynarką i lotnictwem.

– Francuzi, Samie, Francuzi? – Oburzony Chamberlain podniósł piskliwy głos. – Czy rząd Jego Królewskiej Mości naprawdę ma kształtować swoją strategię polityczną, opierając się na narzekaniach narodu, który przegrał wszystkie wojny, jakie toczył w ciągu ostatnich dwustu lat?

– Oni są na pierwszej linii ognia, Neville’u. Nie rozumieją, jeśli odmówimy zbrojeń.

– Rzeczywiście, oni mogą tego nie zrozumieć. Ale Włosi owszem. – Chamberlain drżał pod wpływem emocji. – Dopilnuję, żeby Mussolini to pojął, zobaczysz. Słuchaj, Samie, jeśli odmówimy potrząsania szabelką, oni też nie będą musieli tego robić. Ja przekonam Duce, a on przekona Herr Hitlera. W rezultacie otrzymamy pokój. Potrafię tego dokonać, Samie, wiem, że potrafię. Wszyscy będą zadowoleni.

– Oprócz Winstona, nie sądzisz?

Oczy pod ciemnymi brwiami zastygły jak stal.

– Myślę o tym człowieku najmniej, jak się da. W polityce zbyt częste myślenie bywa błędem. Odwraca uwagę od chronienia

własnego tyłka. – Chamberlain szedł zdecydowanym krokiem, a lód chrząścił pod jego butami, jakby rozdeptywał robaki. – Nie pozwolę, żeby ktokolwiek odwrócił moją uwagę. Jeśli przez to Winstonowi pozostanie tylko biadolenie poza marginesem życia politycznego, chyba zdołam to jakoś znieść.

– Wszyscy są po twojej stronie, Neville’u, partia, ludzie, nawet król. W kościołach całego kraju odmawia się za ciebie modlitwy. Nie ma potrzeby przejmować się Winstonem.

Chamberlain przesunął palcami wzdłuż luf swojej strzelby, jakby głaskał kota.

– Noworoczne postanowienie, Samie. Pora stanąć do walki. Koniec bzdur. A skoro o tym mowa, niedawno czytałem coś, co napisał jakiś pismak o nazwisku Waller. Domyślam się, że to jeden z chłopców Maxa.

– Chyba go znam. Młody, zuchwały, dociekliwy gówniarz.

– Napisał o signor Mussolinim. Wcale nam to nie pomoże. W każdym innym miejscu Europy trafiłby za to za kratki. Powiedziałbym, że nadużył swojej wolności. – Nagle Chamberlain zatrzymał się i odwrócił, żeby spojrzeć ministrowi spraw wewnętrznych prosto w twarz. – Masz dobre stosunki z Maxem. Szepnij mu słówko, dobrze? Niech powstrzyma tego młodego Wallera, przeniesie go do działu sportowego. Albo jeszcze lepiej do Argentyny. Na stałe.

– Do diabła, Neville’u, naprawdę potrafisz ocenić sytuację.

– I im szybciej te gnojki to zrozumieją, tym lepiej.

Ranek przeszedł zatem w porę lunchu, a później w popołudnie. Gdy zapadał zmierzch i na ciemniejącym błękitnym niebie niewyraźnie majaczyły pierwsze gwiazdy, podliczono upolowane

ptactwo. Łącznie osiemset osiemnaście sztuk, a nie uwzględniono jeszcze tych przyniesionych przez psy. Ani pięciu bardzo zwyczajnych i bardzo martwych kuropatw znalezionych w pobliżu stanowiska ministra spraw wewnętrznych. Przemycono je do zwierzyny ustrzelonej przez premiera, uzasadniając to tym, że nawet Turner nie ośmielił się wejść w konflikt z osobistym przedstawicielem Boga na ziemi.

Przy kolacji Chamberlain wyraził pełne zadowolenie z niedawnej ekspedycji. Dał do zrozumienia, że była wspaniałym omenem. Wróg nie oddał ani jednego strzału.

Miała na imię Marie-Noëlle, z pewnością mniej niż dwadzieścia lat, a jej naiwność była uczta dla jego oczu. Mózdzek lekki jak piórko, które właśnie porwał wiatr. Dziewczyna ze wsi, do niedawna próbowała wiązać koniec z końcem w mansardach Montmartre'u, pozując artystom. Powiedziała, że chce zostać aktorką, miała ambicje, żeby ubierać się jak diwa, zamiast rozbierać się za kilka franków za godzinę, więc w poszukiwaniu szczęścia znalazła się w Londynie. Tam poznała Joego Kennedy'ego podczas przyjęcia wydanego przez ambasadę Francji, w której jej kuzyn był szeregowym fonctionnaire.

Jako doświadczony potentat filmowy, Kennedy miał oko do talentu – w każdym razie do takiego, jaki zapewniał młodym dziewczynom epizodyczne role w filmach klasy B. Pełne nadziei, wygłodniałe oczy przepojone brakiem doświadczenia, nieskazitelna cera, jędrność ciała, które nie nosiło w sobie niczego poza pożądaniem i prawie rozgrzeszało ją z młodości, urzekający wykrój ust, którym daleko jeszcze było do wędnięcia i utraty miękkości. Mężczyzna w zbliżonym wieku uznałby ją za wyjątkową, pełną kobiecych tajemnic, za obiekt uwielbienia wart co najmniej długotrwałego obłąkania, lecz dla kogoś

w wieku i z przeszłością Kennedy'ego była jedynie pretekstem do kolacji w dyskretnym wiejskim hoteliku niedaleko Windsoru.

- Widzisz, problem Francji polega na tym, że jest otoczona z trzech stron. Z jednej strony jest Hitler, z drugiej Franco, a z tej lodziarze. - Ustawił sztucze i wazon z kwiatami w taki sposób, by utworzyły zamknięte miejsce, w którym umieścił jej dłoń. Pierwszy dotyk. - Mówiłaś, że gdzie mieszkają twoi rodzice?

- W Alzacji - szepnęła, pokazując drżącym i ani trochę niepomarszczonym palcem w stronę niewidzialnego wiejskiego domu gdzieś w cieniu swojego kieliszka z winem. Paznokcie zatoczył krąg, zostawiając na lnianym obrusie ledwie widoczny ślad.

- Szkoda. Nic dziwnego, że się martwią.

- Mamy Linie Maginota - oznajmiła z uniesioną brodą, protestując trzepotaniem rzęs.

- A Hitler ma dziesięć tysięcy nowiuteńkich bombowców, które śmigną nad waszą Linie Maginota jak kaczki nad zamrzniętym stawem. - Dolał jej szampana. - Nie powinienem tego mówić, Marie-Noëlle... Do diabła, powinienem zachowywać się jak dyplomata, ale czasami muszę być także mężczyzną. Rozumiesz?

Jej usta zacisnęły się na znak potwierdzenia.

- I serce mi płonie, kiedy myślę o Anglikach stojących w kałużach i spoglądających z góry na całą resztę świata. Stawajcie do walki, powtarzają zawsze Francuzom, do boju! Tymczasem sami siedzą przy kominkach po tej stronie kanału La Manche i drapią się po nogach, wiedząc, że niczego nie ryzykują. Setkom tysięcy Francuzów, takim jak twoja rodzina, grozi niebezpieczeństwo, a Anglicy polują na lisy i każą młodym chłopcom ogrzewać deski sedesowe. Jezu Chryste, ależ ten cholerny kraj potrafi być żałosny!

W jej oczach błysnął niepokój.

– Więc co teraz będzie, Joe?

W tych słowach pobrzmiwały emocje i aż nazbyt wyraźny akcent – uroczy na tle trzasków ognia w kominku, lecz poza niemym kinem bez najmniejszych szans.

– Jeśli zdołamy utrzymać tempo – nic.

Lekceważąco machnął ręką i sięgnął po swój kieliszek.

– A co, jeśli...

– Jeśli Brytyjczycy spieprzą sprawę, jeśli zaczną wojnę i będą ją toczyć na francuskiej ziemi... – wyciągnął ręce i ujął jej dłoń – to Francja skończy jak niedźwiedź w pułapce i będzie miażdżona, aż w końcu zostaną jej tylko łzy.

To było brutalne, ale tylko w ten sposób mógł zyskać pewność. Nigdy nie był dobry w romansach – w East Side uważano je za niemodne. W każdym razie nigdy nie musiał romansować. Miał majątek, o którym zwykłemu człowiekowi nawet się nie śniło, i władzę, w obliczu której większości mężczyzn drżały kolana – na większości kobiet też chyba robiła wrażenie. Niektóre kobiety były jednak tak młode, tak nieamerykańskie, tak rozkojarzone, że w ogóle nie zdawały sobie sprawy, jak im się poszczęściło. Wymagały lekkiej zachęty. Pozbawienia poczucia komfortu i bezpieczeństwa, rozebrania do naga, żeby w końcu wskoczyły mu prosto do łóżka z obawy, że zmarzną. Marie-Noëlle już wytrzeszczyła oczy z przerażenia i zaczynała drżeć. Nadal trzymała go za rękę.

– Do diabła, można by pomyśleć, że po ostatnim razie Brytyjczycy czegoś się nauczyli. Te wszystkie bitwy, cała ta krew... – Jeszcze mocniej ścisnęła jego dłoń. – Ale nie musisz się obawiać, Marie-Noëlle.

Mogę ci pomóc, jeśli chcesz zostać w Londynie. Może załatwię ci rolę w jakimś filmie.

- Ale ja się martwię. - Mówiła krótkimi zdaniami, rzadko wypowiadając więcej niż garstkę słów, często nie kończyła myśli. Może dlatego, że nie miała żadnych myśli, w każdym razie żadnych bardziej skomplikowanych niż te, które można by zawrzeć w kilku prostych słowach.

- Bardzo przejmujesz się losem swojej rodziny. To dobrze. Rodzina to coś dobrego - powiedział, gapiąc się na jej piersi. - Na pewno czujesz się samotna, będąc tak daleko od niej.

- Tak wiele rozumiesz, Joe.

- Bo wiem, jak to jest. Ja też czasami czuję się samotny.

- Ty?

- Pewnie. Czasami mam wrażenie, że tylko ja toczę tę walkę. Mam na myśli walkę o pokój. Bardzo zależy mi na pokoju, Marie-Noëlle. Chcę, żeby zwykli mieszkańcy Europy mieli szansę żyć w pokoju. Zapomnieć o dawnych podziałach. Jak jedna rodzina, jak Stany Zjednoczone Ameryki, a nie wiecznie skakać sobie do gardeł. Nie ma nic złego w dolaniu odrobiny nowego wina do starych butelek, jeśli wiesz, co mam na myśli. - Wygłosił tę kwestię bezbłędnie, bo i dlaczego miałoby być inaczej? Dokładnie ten sam scenariusz wykorzystał w ubiegłym tygodniu podczas lunchu z przedstawicielami Stowarzyszenia Prasy Zagranicznej.

- Och, Joe, byłoby tak cudownie...

- Dlatego ciągle powtarzam panu Chamberlainowi: skaczmy do samolotów, a nie do ich gardeł. Dlatego mu powiedziałem: niech pan jedzie do Monachium, do Mussoliniego.

- Ty mu to powiedziałaś?

– Powiedziałem, żeby został bohaterem. Ale żeby jednocześnie zapewnił nam pokój.

Pochylił się do przodu i podniósł głos, tak jak podniosły się piersi pod jej bawełnianą sukienką, jakby wezbrał w nich podziw.

– Ale czasami czuję się naprawdę samotny.

– To niemożliwe. Jesteś wielkim dyplomatą, masz tylu przyjaciół...

– Nie takich, z którymi mógłbym porozmawiać. Oni zawsze czegoś ode mnie chcą: żebym namówił premiera na to albo na tamto. Albo przekonują, że powinienem zostać prezydentem po Roosevelcie.

– Byłbyś wspaniałym prezydentem – powiedziała z zapartym tchem.

– Zgadza się. – Błysnął uśmiechem i drogim szwajcarskim zegarkiem, poprawiając okulary na nosie. – Ale czasami marzę tylko o tym, żeby uciec i się schować, na przykład tutaj, gdzie nikt mnie nie zna.

– Ja też jestem samotna. Tak daleko od rodziny.

– Domyśliłem się. Po co w przeciwnym razie poszłabyś na kolację z takim starym ramolem jak ja?

– Przecież jesteś w doskonałej formie...

– Trochę ćwiczę.

– Jak na ambasadora jesteś bardzo aktywny i męski.

– No cóż...

– Moim zdaniem jesteś... cudowny. – Ostatnią sylabę uniósł powiew słodkiego łacińskiego powietrza, młode usteczka wydeły się ku niemu, żeby wypchnąć ten dźwięk. Och, święta Mario, już był jej, już był jej!

Spojrzał jeszcze raz, zahipnotyzowany zarysem sutka pod bawełną, różanym pączkiem w mokry od rosy wiosenny poranek. Uśmiechnęła

się do niego, delikatnie przesunęła językiem po ustach. Nie było to nic przesadnie prowokującego, po prostu wystarczyło, żeby odciągnąć jego oczy od molestowania jej ciała. Miała go – lub wkrótce będzie go mieć. Prawie umarła z głodu po przyjeździe do tego mokrego, paskudnego kraju, mieszkając w podnajętym pokoju u kuzyna, chodząc w ostatniej przyzwoitej sukience. A teraz zamierzała podarować mężczyźnie mającemu władzę i pieniądze najwspanialszą w jego życiu nocną ucztę dla kutasa. Jeszcze ze dwie godziny uwodzenia i, sądząc po jego wyglądzie, jakieś dwie minuty kopulowania. Jeśli prawidłowo to rozegra, skończy z zupełnie nową garderobą wiszącą w jej własnym apartamencie w dyskretnym centrum Londynu, niedaleko amerykańskiej ambasady, i zdobędzie dostęp do tętniących życiem kręgów towarzyskich, do jakich nigdy nie zdołałby jej wprowadzić żaloszny kuzyn. Tak, jeżeli o nią chodziło, Nowy Świat mógł przybyć Staremu na ratunek, gdy tylko przyjdzie mu ochota.

Ta wyprawa to był majstersztyk public relations. Rzymski triumf. Dokądkolwiek jechali, Chamberlaina i jego ministra spraw zagranicznych witano oklaskami i powiewającymi chusteczkami. Tłumy gromadziły się wszędzie, na ulicach i rogatkach, ludzie siedzieli na drzewach i w otwartych oknach. Oblegali Chamberlaina, gdy jechał do Watykanu, gdzie papież pochwalił go za starania na rzecz zapewnienia pokoju. Mussolini powtórzył te pochwały jak echo, podobnie jak chóry ludzi ze wszystkich stron.

Chamberlain nie rozumiał jednak dyktatur. Nie zdawał sobie sprawy, że tłumy gromadzą się wyłącznie za pozwoleniem partii, a zwykle pod jej naciskiem, że dobrze się im za to płaci i natychmiast po wylewnym okazaniu planowanego uwielbienia udadzą się do najbliższego baru. Podróżujący z nim przedstawiciele brytyjskiej prasy

też nie rozwikłali tej zagadki. Obracano nimi na wszystkie strony, aż zakręciło im się w głowach i nie widzieli nic poza tym, co chciano im pokazać. Zebrano ich w jednym luksusowym hotelu, zapewniono samochody, przewieziono przez harmonogram tak naładowany gościnnością, że byli albo zajęci, albo pijani, oferowano wizyty w operze, w Palazzo Venezia, na rozlicznych wykopaliskach, zawsze w towarzystwie młodych tłumaczek, które szybko zasłynęły jako brygada „zębów i cycków” ze względu na swoją gotowość do pokazywania jednych i drugich.

No więc dziennikarze dobrze się bawili i uznali tę wizytę za triumf. Sam premier też oczywiście uznał, że to triumf. Co jednak niebywałe, zdawał się także wierzyć w to, co mówi. Składając relację kolegom z rządu, wspomniął o osobistej przyjacielskiej więzi, którą, jak mniemał, był w stanie zadzierzgnąć z Il Duce, choć przyznawał się do pewnej frustracji w związku z tym, że nie zdołał odwieść włoskiego przywódcy od jednoznacznego poparcia dla Herr Hitlera. Musso i Adolf nadal byli najlepszymi kumplami. W protokole z posiedzenia rządu zapisano, jak Chamberlain mówi, że „wtedy był nieco rozczarowany taką postawą, lecz po zastanowieniu uznał, iż odzwierciedla ona siłę charakteru signor Mussoliniego”. Oczywiście, świetny facet, dokładnie taki, jakiego chciałoby się ujrzyć u boku swojej siostry.

Poza tym wszystko biegło zwyczajnym torem. Dzień, w którym premier Wielkiej Brytanii wyruszył w ważną moralną krucjatę do Rzymu, był także dniem, w którym Churchill miał stanąć przed komitetem wykonawczym swojego okręgu wyborczego. Ball niczego nie zostawił przypadkowi. Tego samego dnia Churchill dostał

olbrzymią kopertę, która nie zawierała żadnego listu, żadnej wiadomości, a jedynie rysunek. Bez wątpienia w stylu Guya Burgessa.

Ukazywał on malutką postać lorda Halifaxa z podpiętym rękawem, stojącego na trybunie obok Neville'a Chamberlaina. Minister spraw zagranicznych miał melonik, a premier koszulę z załamanym kołnierzykiem i zmęczony uśmiech na twarzy. Obok mównicy maszerowały krokiem defiladowym ciężko uzbrojone hordy włoskiego dyktatora, a Chamberlain salutował im złożonym parasolem, na czubku którego przycupnął wymęczony gołąb.

Pod rysunkiem widniał podpis: „Jedyny uzbrojony oraz ci zupełnie, kurna, »nieszkodliwi«”.

Święty Walenty należał do osób, które jej drogi i zmarły ojciec nazwałby „denerwującymi starymi sukinsynami”. Tak bardzo się zżymała na ten język, robiła mu wymówki za tak częste odstępstwa od przyzwoitości. Ale ile by dała w ciągu tych długich i samotnych lat, by jeszcze raz usłyszeć, jak przeklina. W każdym razie teraz Sue Graham była skłonna przyznać tacie rację. Święty Walenty – a przynajmniej jego przedstawiciel tu, na ziemi – był niezwykle denerwujący. Zakłócił jej cały harmonogram dnia, zostawiając na pocztowej ladzie jedną czerwoną różę. Początkowo próbowała sobie wmówić, że różę zostawiono przez przypadek, że za pięć minut ktoś po nią wróci, ale pięć minut wydłużyło się do godziny, a poza tym łodygę wsunięto w chroniącą ladę siatkę i bez wątpienia zrobiono to umyślnie. Nie miała pojęcia, kto mógłby to uczynić. Przetrzęsała umysł w poszukiwaniu imion i twarzy tych, którzy rano zjawili się na poczcie, lecz wszyscy okazali się, mówiąc słowami jej nieodżałowanego nieboszczyka, „niewydarzoną zgrają gałganów”.

Ktoś robił sobie z niej żarty. Oszustowi udało się jednak wzbudzić w niej nie tylko poirytowanie, ale także ciekawość – tak na wszelki wypadek. Nie była na randce z mężczyzną od – no cóż, nie pamiętała od kiedy – choć owszem, pamiętała: to był Harry Coxall i umówił się z nią tylko po to, by udowodnić kolegom z baru, że zdoła poderwać pięć nowych dziewczyn w ciągu tygodnia. Nie chodziło o to, że była nieatrakcyjna, lecz do spokojnego Bournemouth przybywało się po to, żeby spać, odpoczywać i ewentualnie umrzeć – a nie w poszukiwaniu partnera. W tym celu jeździło się do Londynu, a ona nie była w Londynie od pięciu lat. „Harwich dla bogaczy – głosiło hasło – Bournemouth dla słabych zwieraczy”. Nie była zatem przyzwyczajona do czerwonych róż. To pewnie kolejny żarcik Harry’ego Coxalla. Będzie musiała zacząć karmić jego psa gazetami, tak jak poprzednim razem.

Do końca pracy zostało tylko dziesięć minut. Ostatnia fala klientów chcących zdążyć przed zamknięciem, jacyś uczniowie kłócący się o torebkę cukierków, mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym zastanawiający się w nieskończoność, jak dużą kupić kopertę, sąsiadka mieszkająca kawałek dalej, kupująca certyfikat oszczędnościowy dla wnuka. Placówka była prawie pusta, gdy mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym wreszcie się zdecydował. Trochę go znała: wysoki, z orlim nosem, pasmami siwizny i blizną na prawym policzku unoszącą usta i układającą je w wieczny uśmiech, który na szczęście znajdował odzwierciedlenie także w jego oczach. Był na poczcie już kilka razy, ale nigdy nie wymienił swojego imienia. Chyba sprowadził się niedawno, zapamiętała go dlatego, że kupił znaczek na kopertę zaadresowaną do Wielce Szanownego Pośła Winstona S. Churchilla, kaligrafując wszystko oficjalnie i starannie,

wyraźnym pismem. Mógł mieć około czterdziestki. Stał skrepowany przy ladzie, z drżącym uśmiechem.

– Chyba powinienem panią przeprosić – powiedział z wyraźnym akcentem ze środkowej Anglii – za to, że zmarnowałem pani czas. W zasadzie to nie chcę kupić koperty. W domu mam ich dziesiątki.

– Więc...

– Dziś rano zostawiłem dla pani różę. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, ale... zauważyłem, że przekopała pani rabatę z różami za budynkiem. Zastanawiałem się, czy może przypałała się czarna plamistość albo coś. Pomyślałem, że może pani potrzebować... wsparcia.

– Byłam pewna, że to żart.

– Oczywiście powinienem był przynieść cały krzew na miejsce tego, który zniknął. Ale tak trudno znaleźć róże...

– W walentynki.

– Właśnie.

Jego uśmiech wracał na twarz. Nie była pewna, czy przypadkiem z niej nie drwi. Odpowiedziała mu miną, która skojarzyła mu się z tą, jaką zrobiła jego nauczycielka, gdy poszedł na węgry, a potem przyniósł jej usprawiedliwienie z niewłaściwą datą oraz błędami w wyrazach „ból brzucha” i „powód”. W tamtych czasach ortografia wciąż była dla niego wyzwaniem.

– Przecież pan mnie nie zna.

– Ależ znam, tak jakby. Wiem, że jest pani kompetentna i zorganizowana... Szczerze mówiąc, zorganizowana we wręcz przerażającym stopniu. Cholernie mnie to przeraża. Sam przypominam obszar klęski żywiołowej. Miejsce, w którym mieszkam, wygląda jak okopy pod Ypres.

– Przed atakiem czy po?

– To nie miało większego znaczenia, okopy były w fatalnym stanie, już gdy je wykopaliśmy. Byłem sierżantem. Pułk Staffordshire. Teraz pracuję u notariusza. Nazywam się Jerry White. W każdym razie wiem, że jest pani cierpliwa. Widziałem, jak potraktowała pani te dzieciaki ze szkoły. Sam zamordowałbym tych małych utrapieńców, a pani tylko ich zbeształa i dała dodatkowe pół uncji miętusów. Czyta pani gazety – tam, skąd pochodzę, uznaje się to za cechę intelektualistów. I kocha pani kwiaty – przepraszam, muszę spytać. Dlaczego wykopuje pani te urocze róże?

– Zasadzę więcej brukselki. I trochę fasoli, i ziemniaki. Na wypadek wojny.

– Oczywiście. Jak rozsądnie. – Teraz była już pewna, że z niej drwi.
– W każdym razie wyglądała pani na... no, tak jakby samotną. Czy tak się mówi? Ja też. Jestem wdowcem. Chciałem się z panią umówić, ale nie mam zielonego pojęcia, od czego zacząć. Wyszedłem z wprawy. Byłem tu kilka razy, kupiłem więcej znaczków, niż zużyję przez cały miesiąc, i dość szpilek sznurka, żeby tuzin razy wyprowadzić Tezeusza z jego labiryntu. Kupiłem gazety, których w ogóle nie czytam, a nawet pół funta cytrynowych cukierków z oranżadką. Mimo że ich nie znoszę. Nigdy nie miałem okazji z panią porozmawiać, zawsze jest pani zajęta, więc pomyślałem, że zostawię tu różę. Oczywiście miałem to zrobić anonimowo. To głupie jak cholera, jeśli się nad tym zastanowić – jak, do diabła, miałbym się z panią umówić, skoro nie wie pani nawet, kim jestem? I dlatego pomyślałem, że, no wie pani, że tu wrócę. I zrobię z siebie głupca. Jeśli o to chodzi, idzie mi chyba całkiem dobrze.

Może jednak drwił tylko z samego siebie.

– Chciał pan się ze mną umówić?

– Zgadza się.

– Dlaczego?

Spojrzał na nią z bezgranicznym niedowierzaniem.

– To najgłupsze pytanie, jakie dziś słyszałem. I to od takiej ładnej dziewczyny jak pani. – A zatem był szczery. Całkiem jak nieodżałowany nieboszczyk. – Czy w odpowiedzi też mogę zadać głupie pytanie? – zaryzykował.

– Proszę bardzo. Do zamknięcia zostały dwie minuty. Są do pańskiej dyspozycji.

– Czy jest jakaś szansa, że przyjmie pani pozostałe? – Wyjął spod prochowca bukiet czerwonych róż. Wiedziała, że będzie ich jedenaście. – Bo inaczej chodzenie z tymi kolczastymi skurczybykami pod płaszczem mnie wykończy.

W Dniu Świętego Walentego w 1939 roku przywódca Tysiącletniej Rzeszy podarował sobie coś niecoś bardziej okazałego niż kwiaty. Zwodował „Bismarcka”, największy pancernik, jaki kiedykolwiek zbudowano w Niemczech. Miał osiem piętnastocalowych armat i dwanaście dział kalibru 5,9 cala, trzy wały napędowe śrubowe i podwójny ster. Później siał zniszczenie na północnym Atlantyku i jednym pociskiem zatopił dumę brytyjskiej floty, krążownika HMS „Hood”. Okazało się jednak, że wywarł o wiele mniejszy wpływ na bieg wydarzeń niż dwanaście czerwonych i bardzo angielskich róż.

– O, jesteś, Dickie. Wypijesz kielicha?

– Nie odmówię, Ianie. Wyznam ci, że trochę się zdenerwowałem. – Smętnie opadł na popękana skórę fotela w palarni.

– Tak. Słyszałem, że wczoraj wieczorem znalazłeś się w pobliżu bomby podłożonej przez IRA na Leicester Square. Pewnie nadal

dzwoni ci w uszach.

– Nie, nie o to chodzi. Chodzi o Ich Lordowskie Mości. O nasze Szacowne Zakute Łby. Nigdy nie zgadniesz, o czym właśnie debatuja.

Ian wyglądał na zniecierpliwionego. Nie lubił zagadek.

– O nieprawym pochodzeniu – ciągnął Dickie.

– Słucham?

– Debataja o ustawie o nieprawym pochodzeniu. Chcą nałożyć obowiązek przeprowadzania badań krwi w razie wątpliwości co do ojcostwa.

– Mój Boże, Dickie...

– Właśnie. Wyobrazasz to sobie? Więcej wśród nas kutasów niż w burdelu u bajzelmamy z Nairobi.

– Biorą się do badania rodowodu Ich Lordowskich Mości i nie sposób przewidzieć, co odkryja. Wiem z pewnego źródła, że stary Buffy pochodzi z niewłaściwej strony komórki w ogrodzie. Jego mamuska słynęła z tego, że zmieniała fiuty jak rękawiczki.

– Nie wspominając o rodzinie królewskiej.

– Otóż to. Jak się miewa księżna?

– Mam nadzieję, że smaży się w piekle.

– Zawsze mnie zastanawiało, Dickie, dlaczego upieraja się, żeby minister spraw wewnętrznych był obecny przy narodzinach następcy tronu. Chyba ma pilnować, żeby nie było nieczystych zagrań. Ale tylko się zastanów. Przecież jego obecność przy narodzinach jest gównem warta. Tak naprawdę powinien być przy poczęciu.

– Z tego, co słyszałem, stary Sam Hoare był obecny przy stanowczo zbyt wielu poczęciach.

– A skoro o tym mowa... Gdzie są te przeklęte drinki? – Jeszcze raz machnął na lokaja.

– Więc myślisz, że będzie wojna, Ianie?

– Stara Matka Chaosu? Puka do wszystkich drzwi oprócz naszych. W Mandżurii, Abisynii, Hiszpanii, Czechosłowacji. Teraz Arabowie i Żydzi biegają po całej Palestynie, strzelając do siebie na chybił trafił. Nie mogę zaprzeczyć, że chwilami mnie to niepokoi.

– Ale Hitler obiecał, dał nam mocne gwarancje.

– Jego mocne gwarancje trochę przypominają współczesne dzieła sztuki. Ilekroć na nie spojrzysz, wyglądają trochę inaczej.

– Wszystko jest takie niepewne. Nie możesz nawet pospacerować po centrum przeklętego Londynu, żeby IRA nie rzuciła w ciebie bombą.

– A tak w ogóle, co robiłeś na Leicester Square?

Pociągnięcie nosem świadczące o zakłopotaniu.

– Ach, tylko mi nie mów... Droga na skróty do Soho?

– Co facet może na to poradzić? Żona znowu wkroczyła na wojenną ścieżkę. Przyłapała mnie na pozyskiwaniu wyborców po godzinach i zawiesiła wykonywanie obowiązków małżeńskich. Poprosiła, żebym spędzał trochę mniej czasu z rodziną.

– Nie przejmuj się, Dickie. Przejdzie jej. Jak zawsze.

– Głędzi o lojalności, jakby była przeklętym rzecznikiem dyscypliny partyjnej.

– Rzecznika byś posłuchał.

– Bo muszę. Nie uśmiecha mi się pójście w ślady starej Kitty. Słyszałem, że nawet Winston ma kłopoty w Epping.

– Drobne lokalne trudności. W zasadzie coś więcej niż drobne lokalne trudności – są wielkie jak kupa gnoju. Ostatnio w Epping unosi się wyraźny wiejski zapach.

– Joe Ball znowu dokręcił śrubę?

- Gestapo mogłoby się od niego wiele nauczyć.
- Obaj przez chwilę wpatrywali się w swoje drinki.
- Chyba powinienem powiedzieć Brackenowi.
 - O czym?
 - O ustawie. Raz na zawsze ustaliby, kto jest jego ojcem. Mógłby zażądać od Winstona próbki krwi.
 - Dostałby czysty alkohol. Nic więcej.
 - Może wątpliwe ojcostwo to norma w rodzinie Churchillów. Kiedy Winston się urodził, jego matka była zamężna niespełna osiem miesięcy. Zawsze się spieszył, nawet wtedy.
 - Miała trzech mężów, prawda? Słyszałem, że była kobietą o bogatym doświadczeniu. Może dlatego Winston tak ochoczo popierał tę przeklętą księżnę.
 - Co... dlatego że była z Windsoru? Kojarzyła mu się z matką?
 - Skończy tak samo jak jego ojciec, wspomnisz moje słowa.
 - Głupi drań. Potok pięknych słów, lecz ani odrobiny zdrowego rozsądku. Ciągłe próbuje zrehabilitować się za porażki poprzedniej wojny, stając pierwszy w kolejce po następną.
 - Nigdy nie wie, kiedy przestać.
 - Dobrze to ująłeś, Dickie. To Człowiek Nigdy-Przenigdy. Jest po prostu za stary.

Nagle coś przykuło uwagę Iana, zadartł nos i zaczął węszyć jak beagle. Dym. Kubańskie cygaro. Odwrócił się i ogarnięty nagłym lękiem znalazł źródło. Dym wydobywał się zza uszaków skórzanego fotela odwróconego do nich tyłem. Po chwili pojawiło się cygaro, a za nim głowa Winstona Churchilla.

Ian zrobił się czerwony, ale zachował zimną krew. Może stary drzemał, nie dosłyszał.

- Ach, nie zauważyliśmy cię, Winstonie. Prawda, Dickie?

Dickie zanurkował do kieliszka.

Churchill wydobył cygaro z ust.

- Słyszałem - warknął - że egzaminy konkursowe to doskonały sposób na odsianie idiotów i imbecyli. Ogromna szkoda - ciągnął, burząc niebieskimi oczami ich linie obrony - że wybory najwyraźniej nie mają takiej właściwości.

Tego dnia zimowe deszcze najwidoczniej zmęczyły się nieustannym wysiłkiem i wisały tuż nad horyzontem, ponownie zbierając siły. Na razie było sucho, dobry dzień na wyjście z domu, nawet jeśli tylko na targ. Prawdę mówiąc, było to coś w rodzaju eksperymentu: Carol po raz pierwszy zorganizowała spotkanie Maca ze swoimi dziećmi. Tak, z dziećmi, w liczbie mnogiej. Nie tylko z Peterem, który jej czytał i był w jej życiu czymś w rodzaju kotwicy, ale także z małą Lindą, nadal we frotowych pieluszkach. Linda była pomyłką. Niemądrym błędem w sztuce. Wypadkiem przy pracy. Kudłatą, niebieskooką zagadką. W życiu Carol od sześciu lat nie było żadnego mężczyzny, który mierzyłby lojalność w kategoriach wykraczających poza dwadzieścia minut, lecz jednemu z nich, nieznanemu i bezspornie niezabezpieczonemu, zawdzięczała połowę szczęścia w swoim życiu. Powód do wdzięczności, nigdy do smutku. Jednak mimo całej radości, jaką sprawiały jej dzieci, były także ogromną górą, na którą musiał się wspiąć potencjalny partner myślący o czymś więcej niż szybki numerek. Uznała, że Mac ma potencjał. Już udowodnił, że jest niezwykły - miał cierpliwość zahibernowanej ropuchy - a teraz musiała się przekonać, jak jego nogi poradzą sobie ze wspinaczką.

Sobotni poranek. Przechadzali się po targu w Epping, kupując torebkę landrynek, żeby uspokoić Petera, zatrzymując się przy próbkach materiału sukienkowego, poszczypując i uciskając oferowane owoce i świeże warzywa wyłożone na straganach. Kupowali z namysłem, pakując nabytki do dziecięcego wózka, podczas gdy Linda, nie protestując, siedziała na ramionach Maca. Śliniła mu włosy, a on udawał, że jest cyrkowym rumakiem i wirował z nią, aż z piskiem prosiła, żeby przestał. Carol z trudem powstrzymywała uśmiech – oto bowiem oni, dziwka i klient, który już nie płacił, kupowali kapustę i ziemniaki, pod wszelkimi względami przypominając inne rodziny z Epping zajęte weekendowymi sprawunkami. Droga na szczyt góry była daleka, ale na razie Mac kroczył po niej wyjątkowo pewnie.

Targ wypełniały kuszące zapachy i okrzyki sprzedawców. Kobiety zataczały się pod ciężarem sprawunków na cały tydzień jak pijani marynarze, a mężczyźni mamrotali pod nosem, idąc obok nich, kręcąc papierosy z tytoniu, który trzymali w małych skórzanych sakiewkach, i zastanawiając się, czy zostanie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby postawić trochę na gonitwie w Kempton o wpół do trzeciej. Robiło się coraz tłoczniej, panował coraz większy ścisk. Mała karawana Carol brnęła naprzód z wózkiem na przedzie pełniącym funkcję tarana, wciskając się między ludzi i potrącając ich, aż w końcu Peter upuścił w ciżbie torebkę z cukierkami i stało się jasne, że dalsza wyprawa nie ma sensu. Utknęli w tłumie otaczającym starszego mężczyznę, który stał na podwyższeniu i krzychał do zgromadzonych. Niektórzy z nich mu odkrzykiwali.

– Dlatego postanowiłem rozpocząć kampanię wśród ludzi...

– Ale ludzie pana nie chcą, panie Churchill!

Mężczyzna na wzniesieniu wbił wzrok w oskarżyciela.

- Niektórzy mnie nie chcą, to prawda. Nie chcą mnie nawet niektórzy w mojej własnej partii. Chcą mnie wypchnąć jak kukułkę z gniazda. Ale to nie kukułki muszą podjąć decyzję, lecz zwykli ludzie z Epping, tacy jak wy, panie i panowie – tak, nawet pan, młody człowieku – wskazał swojego oponenta, który próbował mu przerwać – nawet pan. Dlatego że zgodnie z zasadami demokracji powinien pan móc głosować, jeśli ukończył pan dwadzieścia jeden lat. Jest to sprawiedliwe, słuszne i przyzwoite, mimo pańskich wyraźnych niedoskonałości, ponieważ zgodnie z tymi samymi zasadami demokracji po przekroczeniu siedemnastu i pół lat powinien pan móc zaciągnąć się do wojska i zginąć za swój kraj.

Posypały się wyzwiska. Mac się odwrócił, chcąc odejść, ale Carol pociągnęła go za rękaw i zatrzymała.

- To stary Winnie. Zaczekaj chwilę – szepnęła.

Inny młody mężczyzna, trochę starszy od tamtego, stanął w jego obronie.

- Nie wie pan, o czym pan mówi. Przecież był pan cholernym liberałem.

Inni ludzie z tłumu poparli go gwizdami.

- Owszem, byłem. Ale zawsze musimy być gotowi do zmiany. Tak, zmieniłem się, nie zaprzeczam. Gdy Burowie ścigali mnie po Weldzie i samotnych górach południowej Afryki, powiesili ogłoszenie – ba, wiele ogłoszeń. Poszukiwany. Żywy lub martwy! Winston Churchill. – Starsze osoby w tłumie poruszyły się z dumą. – Napisali, że mam dwadzieścia pięć lat. Ale niestety, i to aż nazbyt wyraźnie, postarzałem się. Napisali, że mam rudobrzazowe włosy. To też się zmieniło – prawie wszystkie wypadły. Napisali: krótki wąsik. On także zniknął – choć zauważyłem, że tego rodzaju dodatki stały się dosyć modne w innych

częściach Europy. – Tłum zachichotał, dołączając do niego. – Burowie zarzucili mi też, że mam przeciętną budowę ciała. No, spójrzcie na mnie teraz. – Poklepał się po pokaźnym brzuchu, wyraźnie zarysowanym pod płaszczem, i rozległ się śmiech, przerwany kolejnym sprzeciwem. Ktoś mu zarzucał, że żyje na koszt państwa. – Burowie napisali również, tu cytat – Churchill krzyczał, żeby zagłuszyć przerywających, i wymachiwał przygotowanymi notatkami, które stały się bezużyteczne – „Mówi przez nos i nie wymawia prawidłowo litery s”. No cóż, ten defekt polecam panu, bo mówienie przez nos jest o wiele lepsze niż mówienie o czymś, o czym nie ma się pojęcia!

Zyskiwał nad nimi przewagę. Inni ludzie w tłumie odwracali się do agitatorów, próbując uciszyć ich krzykiem, ale Churchill przywołał ich do porządku, machając ręką.

– Nie, musimy szanować ich wolność. Swobodę niezgadzenia się, a nawet ubliżania. Wolność, którą teraz odbiera się połowie Europy i którą odbierze się jej całej, jeśli dyktatura odniesie zwycięstwo. Nie możemy traktować swojej wolności w tym kraju jako czegoś oczywistego. Pozwólmy im zatem mówić, co chcą. Pozwólmy, żeby swobodnie robili z siebie głupców. Muszę pana jednak ostrzec, młody człowieku – wycelował palec w jednego ze swoich bardziej zawziętych przeciwników – że jeśli nadal będzie pan uparcie otwierał usta i zamykał oczy, nie złapie pan niczego oprócz much!

Błąd. Zwykle mówca może mieć ostatnie słowo, pokonać krzykaczy w ich własnej grze, ale na obrzeżach tłumy i poza zasięgiem wzroku Churchilla Mac zauważył krążącego, dobrze ubranego mężczyznę w średnim wieku, szepczącego do uszu krzykaczy, namawiającego, wciskającego jednemu z nich pieniądze. Dzień jeszcze się nie

skończył. Gdy tylko ucichły oklaski dla Churchilla, agitacja zaczęła się na nowo.

– Mówi pan o wolności. A co z lojalnością?

– Lojalność, owszem. Wobec partii, wobec lidera, wobec kraju. Ale niekoniecznie w tej kolejności.

– Lojalność wobec pana Chamberlaina?

– Jestem lojalny wobec pana Chamberlaina. Ale przede wszystkim jestem lojalny wobec wolności. A ona nie jest podzielna. W tym kraju nie możemy być wolni, jeśli połowa Europy zostanie zniewolona. Nie możemy przymykać oka, bo potem przyjdzie kolej na nas. Musimy spojrzeć na to, co spotkało Żydów, i coś w tej sprawie zrobić, bo obawiam się, że w przeciwnym razie wkrótce wszyscy będziemy Żydami.

Według niektórych ludzi w tłumie przesadził z retoryką.

– Odesłać ich z powrotem do Niemiec. Do Austrii. Odesłać ich tam, skąd przyjechali! – zaczęto krzyczeć.

– To byłoby jak rzucenie chrześcijan lwom na pożarcie.

– To się nazywa polityka ustępstw.

– Chrześcijanie nazywali to inaczej.

– To nie są chrześcijanie, to Żydzi.

– Jezus też był Żydem! – odparował z żarem Churchill.

– Tak jak Barabasz!

I Churchill przegrał. Ze wszystkich stron dobiegły go gwałtowne drwiny. Nie ze strony większości, gdyż brytyjska większość ma ten osobliwy zwyczaj, że woli zachować milczenie, a konfrontacja ją onieśmiela. Pojawiły się plakaty na kijach i machano nimi wokół platformy, odgradzając Churchilla od tych, do których chciał dotrzeć. Miał ostrzejszy język niż jego oponenti, ale oni byli liczniejsi i udało

im się go stępić. Nie musieli wygrać. Wystarczało im, że uniemożliwią wygraną jemu.

Tego było za wiele. Machnąwszy ręką, Churchill zszedł ze wzniesienia wśród stłumionych oklasków swoich zwolenników i zniknął z widoku. Kolejny dzień, kolejna bitwa. Tej nie wygrał, ale będzie musiał stoczyć jeszcze wiele innych. Tłum zaczął się rozchodzić. Carol pociągnęła Maca za rękaw, pora iść – lecz tym razem to on się ociągał, spoglądając przez ramię na miejsce, gdzie przed chwilą stał Churchill. Miał zaczerwienioną twarz. Linda ciągnęła go za włosy, traktując go jak drewniany patyk z głową konia, ale on chyba tego nie zauważał. Radość, którą dzielili zaledwie kilka minut temu, zniknęła. Myślami był gdzie indziej, na innym targu. Przypomniawszy sobie młodych – takich jak ci tutaj – w Wadowicach, z tym że tamci rzucali nie tylko obelgami, ale i kamieniami. Pamiętał, że spytał ojca dlaczego. Dlaczego my, tatele? Dlaczego po prostu tego nie przerwiemy? „Pewnego dnia zrozumiesz, kindle” – odpowiedział mu ojciec i odciągnął go stamtąd, tak jak teraz odciągała go Carol. Ale Maca nigdy nie można było odciągnąć wystarczająco daleko. Przez całe życie, bez względu na to, dokąd szedł i jak szybko biegł, nie zdołał uciec, nawet tutaj, nawet jeśli bardzo udawał, że jest prawie Anglikiem. Wiedział, że zawsze go znajdą.

Przed chwilą ujrzał jednak człowieka, który rozumiał – albo przynajmniej rozumiał tyle, ile mógł zrozumieć goj cedek. Człowieka, który wpatrywał się w pożar mający wybuchnąć i głośno przed nim ostrzegał. Lecz jego słowa wydawały się daremne jak ptasi trel w czasie burzy.

– Mac, kochanie, co się stało, na litość boską? – Głos Carol był pełen niepokoju. To miał być wyjątkowy dzień, a jednak coś poszło nie

tak. Straciła go, zamknął się gdzieś głęboko w sobie, w miejscu, do którego nie mogła za nim pójść.

– Josef Jaakow. To się stało.

– Kto to taki, do diabła? I dlaczego się nim przejmujesz?

– Nic na to nie poradzę.

– Niech go szlag. Kiedy go dorwę, to on będzie się przejmował.

– Nie, nie będzie. – Zatrzymał się i patrzył na nią, mocno trzymając ją za nadgarstki – zbyt mocno, prawie ją to bolało. Miał gorącą skórę, płonęła od wewnątrz. Jego twarz wydawała się wzburzona, była polem bitwy, terytorium, o które walczone wiele razy, a mimo to miano walczyć ponownie. – Bo widzisz... Josef Jaakow to ja. Josef Jaakow Farbenblum. Tak się nazywam. Chyba właśnie przypomniałem sobie, kim jestem.

Churchill był w poważnych tarapatach. W Chigwell wchodzącym w skład jego okręgu wyborczego w Epping przegłosowano usunięcie wszystkich zwolenników Churchilla z oficjalnych stanowisk i zastąpienie ich chamberlainistami. Później Theydon Bois zadeklarowało jednomyślne poparcie dla premiera, a inne podokręgi zrobiły to samo. Takie działania były możliwe dzięki nagłemu napływowi nowych członków. Nowe nazwiska na listach pojawiały się jak za sprawą czarów, a ich posiadacze głosowali przeciwko Churchillowi, mimo że znaczna większość z nich nigdy nie była na żadnym posiedzeniu. A na każdym partyjnym zebraniu w tym okręgu wyborczym przypomniano, że Epping znajduje się na trasie bombowców mogących lecieć na Londyn. Tak, w Epping panowała nerwowa atmosfera. Obwiniano Winstona Churchilla i byli tam tacy, którym zależało, żeby dowiedział się o tym cały kraj...

(„The Times”, poniedziałek, 6 marca 1939)

„POWSTANIE” PANA WINSTONA CHURCHILLA PROTEST WYBORCY

Pan C.N. Thornton-Kemsley, przewodniczący Stowarzyszenia Unionistów w Chigwell, przemawiając w sobotę wieczorem podczas kolacji wydanej przez Stowarzyszenie Unionistów w Nazeing (Essex), powiedział:

„Powstanie pana Churchilla po Monachium było wstrząsające. Za surową krytykę, jakiej poddał rząd narodowy, który zgodnie z naszą wolą miał popierać, w każdej innej partii oprócz Partii Konserwatywnej ukarano by go bezzwłocznym wykluczeniem.

Lojalni konserwatyści z Epping zostali postawieni w trudnej sytuacji. Uważam, że jeśli pan Churchill nie będzie gotów pracować na rzecz rządu i premiera, nie powinien dłużej korzystać ze schronienia, jakie dają życzliwość i nazwa tak wspaniałej partii. W Epping większość z nas zgodnie uznaje, że pan Churchill posunął się za daleko”.

Rozdział dziewiąty

W ogrodach pałacu Buckingham bez wątpienia nastala wiosna. Płatki śniegu oddawały prawo dzierzawy trawników żonkilom i krokusom, a kwiaty wiśni i wczesne wierzbowe pąki zaczęły swój doroczny taniec na scenie z nagiej kory. Życie – i nadzieja – odzyskiwały ziemię po zimie, która dotąd wydawała się wieczna. Przynosiły ze sobą atmosferę zaraźliwej młodości, która ożywiła nawet premiera.

– Świt złotej epoki, sir – powiedział. – Właśnie takiego określenia użyłem dziś rano na konferencji prasowej. Złota epoka.

– Tak pan powiedział? – odrzekł monarcha. W zasadzie nie było to pytanie, chodziło po prostu o to, że Bertie, któremu wciąż plątał się język, przez całe życie ułatwiał sobie uczestnictwo w rozmowach, szpikując je pytaniami, jakkolwiek bezsensowne by nie były, i zwalniając się w ten sposób z obowiązku wygłaszania uwag posiadających słuszną długość lub treść.

– Tak, sir – odpowiedział Chamberlain, poznając tę grę. – Sir Joseph wezwał ich do klubu St. Stephen's na spotkanie informacyjne.

– St. Stephen's? Nie znam.

– I słusznie – ciągnął Chamberlain, śmiejąc się wesoło. – To klub dla dżentelmenów odwiedzany przez licznych polityków. Miejsce nieudaczników w cieniu Big Bena. Trzeba powiedzieć, że idealnie spełnia swój cel. Wygodny skórzany fotel dla mnie, kominek, o który może się oprzeć sir Joseph, żeby obserwować całą scenę, i stanowczo

zbyt mało miejsc dla dżentelmenów z prasy. Większość z nich musi stać. Oczywiście dzięki temu zachowują czujność – i pamiętają, gdzie jest ich miejsce.

– N-nieustanie podziwiam p-pańskie sukcesy w tej dziedzinie.

– Ball jest niezmordowany. Nie wiedziałem, co znaczy terror, dopóki nie zobaczyłem, jak rzuca się na początkującego reportera, który przyszedł na wywiad, nie mając ani ołówka, ani egzemplarza mojego ostatniego przemówienia. Ball mówi, że obcowanie z dziennikarzami przypomina tresowanie sfory psów – trzeba je podzielić, tresować pojedynczo, a jeśli to nie pomoże, uśpić!

– B-brawo!

– Oczywiście większość właścicieli gazet możemy zaliczyć albo do grona osobistych przyjaciół, albo przynajmniej do grona rozsądnych biznesmenów. Ilekroć zamieszczają nagłówek sugerujący, że za rogiem czają się wojna i chaos, ich dochody z reklam topnieją jak masło w piecu chlebowym. To chyba ukierunkowuje ich myślenie.

Przeszli pod rozłożystymi gałęziami pięknej wierzby, które pochylały się nisko pod ciężarem młodych liści, wdzięcznie kontrastując z widocznym w tle zwalistym pałacem z ciężkimi germańskimi akcentami. Chamberlain nigdy nie lubił tego miejsca jako obiektu architektonicznego, wydawał mu się pozbawiony wyobraźni i nadmiernie oficjalny, więc bardzo się ucieszył, gdy król zaproponował, żeby od razu odbyli swoją cotygodniową audiencję. Te spotkania coraz bardziej go jednak nużyły; monarcha i pierwszy minister, każdy zawdzięczający coś temu drugiemu, połączeni wzajemnymi zależnościami, które nie tylko były niewidoczne, lecz także niezbyt zrozumiałe. Konsultować, wspierać, ostrzegać – zgodnie z konwencją właśnie takie prawa miał król, lecz czasami płatał się

w konstytucyjnych zaroślach jak zagubiony chłopiec. Chamberlain westchnął pod nosem – był zniecierpliwiony, nawet poirytowany, i to coraz bardziej. Oczywiście dostrzegał tę swoją wadę, ale często wyraźniej widział ją u innych.

– A Dawson z „The Times” to równy gość, nieustanne źródło radości – ciągnął Chamberlain, wracając do tematu. – Chyba niedługo przyjdzie pora, żeby okazać mu wdzięczność w ten sposób co zawsze – za pańskim łaskawym pozwoleniem, sir.

– Sir Geoffreyowi? A dlaczegożby nie? Halifax nie może się go nachwalić. Z tego, co wiem, polują razem.

– Tytuł szlachecki dla Dawsona podziałałby jak wyraźny znak dla innych. Mają wybór. Przyjaciel czy wróg, awans czy wygnanie.

Król z aprobatą pokiwał głową i dopalił drugiego papierosa w ciągu tyłuż minut, niedbale wyrzucając niedopałek na trawę.

– Uważam, że to wybór natury moralnej. Albo jesteś za pokojem, albo za wojną. Nie ma już pośrednich rozwiązań. – Idąc, Chamberlain uderzał pięścią w otwartą dłoń. Król rzadko widywał go w stanie tak wielkiego ożywienia. – Prawda wygląda tak, że o przyszłości Europy zadecydują trzej mężczyźni: Hitler, Mussolini i ja. Dlatego pojechałem do Rzymu, żeby zrobić wszystko, co w mojej mocy i przekazać jedną jasną wiadomość. Że opowiadamy się za pokojem. A jeśli ten nadrzędny cel utrudni życie marudom i wichrzycielom... – Nie dokończył myśli. Królewskie uszy były z natury delikatne.

– Słyszałem, że pan Churchill może mieć drobne kłopoty.

– Ogromne kłopoty. Ale lepszy wybuch wrogości w Epping niż w całej Europie.

– Przypomina nakręcanego bąka dla dzieci. Ma olbrzymią energię, bez wątpienia, pędzi we wszystkich kierunkach. Ale czasami jest taki...

– jego język zaczął się plątać – irytujący.

Dotarli do jeziora. Dwie krzyżówki przeleciały nad ich głowami, po czym z impetem osiadły na wodzie. Chamberlain uznał, że pora zaryzykować i zrobić coś, nad czym od dawna się zastanawiał: zaufać monarsze.

– Widzi pan, sir, musimy podjąć wszelkie starania, żeby do Berlina dotarła stosowna wiadomość. Z pewnością się pan zgodzi.

Król pokiwał głową, nie mając pewności, z czym właściwie się zgadza.

– Dlatego już od kilku miesięcy sir Horace prowadzi prywatne rozmowy z pewnymi niemieckimi wysłannikami. Bez rozgłosu, bez publicznych fanfar. W największym zaufaniu, rozumie pan, sir. – Jakimś cudem zabrzmiało to jak nagana wymierzona prosto w monarchę, co nie było aż tak dalekie od zamierzonego efektu. – Zaproponowaliśmy mu pożyczkę.

– Co? Gdy do naszych drzwi puka kryzys finansowy?

– Niech pan pozwoli, że wyjaśnię, sir – nalegał Chamberlain. – Niemcy wydają każdą markę, jaką znajdą, na broń. To nie może trwać wiecznie, zbankrutuje cały ich system. W końcu zostaną im tylko dwie możliwości. Albo Wehrmacht wmaszeruje do sąsiednich krajów, żeby ukraść potrzebne zasoby... czego rozpaczliwie staramy się uniknąć...

– Tak, chyba rozumiem – mruknął nieco zgryźliwie król. Miał żal, że o niczym go nie informowano. Od miesięcy, Chamberlain powiedział, że rozmawiają z Niemcami od miesięcy. Dlaczego nie skonsultowano się z nim wcześniej? To, że nigdy nie miał głowy do analiz, nie oznaczało, że jest półgłówkiem.

– Albo możemy zaoferować hojne pożyczki – żeby zachęcić ich do przestawienia się z produkcji broni na zwyczajny przemysł.

– Coś jakby... masło zamiast kul?

– Tak. Bardzo dobrze pan to ujął, sir. Widzi pan, chcę ich z nami związać, doprowadzić do zbliżenia naszych gospodarek.

– Oferując im hojną pożyczkę.

– Właśnie.

– A konkretnie... jak bardzo hojną?

– Na przykład miliard funtów szterlingów.

Nagle król zaczął się krztusić, oszołomiony zaskoczeniem i przypadkowym wciągnięciem nikotyny.

– Mój Boże, aż tyle? – spytał ściszym głosem.

– To niska cena za ocalenie pokoju.

– Tak, a-ale...

– I za ocalenie Europy, sir.

Oraz monarchii, rzecz jasna – lecz Chamberlain był stanowczo zbyt delikatny, żeby o tym wspomnieć. Zresztą nie było potrzeby. Jerzy wiedział aż za dobrze, że poprzednia wojna doprowadziła do zniknięcia cesarzy i królów w wielu zakątkach Europy, a nowa mogła wytyczyć drogę także do Windsoru.

– Całkowicie się zgadzam, wojna jest nie do pomyślenia, a-ale...

– Ale co, sir?

– Jednego w tym wszystkim nie rozumiem. Co ich powstrzyma przed wydaniem pieniędzy, które im damy, na lotnictwo?

Chamberlain tłumaczył sobie w myślach, że należy zachować cierpliwość. Czasami odnosił wrażenie, że zostało mu bardzo mało czasu, a wciąż miał jeszcze wiele do zrobienia. Ale lepszy taki król jak Jerzy, którego cały czas trzeba prowadzić za rękę, niż taki jak jego brat Edward, którego nie udałoby się zatrzymać bez względu na to, ile rąk by tego próbowało.

– Dlaczego, na Boga, Herr Hitler miałby iść na wojnę, osiągnąwszy wszystko, czego mógłby chcieć, bez uciekania się do niej? Przecież właśnie taką wiadomość zostawiłem mu w Monachium. Dałem mu pół Czechosłowacji i nie musiał oddać ani jednego strzału. Teraz chcę pójść o krok dalej i związać go gospodarczo, tak żeby wszyscy Niemcy byli zjednoczeni, a Wielka Brytania znalazła się w samym sercu Europy.

Jerzy powoli szedł naprzód, odmierzając krok, kiwając głową na znak zrozumienia i aprobaty.

– Widzę, panie Chamberlain, że pozostał pan biznesmenem do szpiku kości.

– I umiem robić interesy z Herr Hitlerem.

Zatoczyli pełny krąg. Rozciągały się przed nimi szerokie schody prowadzące do pałacu. Zaczęli się po nich wspinać.

– Mam nadzieję, że na Wielkanoc zrobimy dalsze postępy w tej sprawie.

– A potem?

– Za pańskim pozwoleniem... Może wybory.

– Ach, rozumiem.

– Muszą się odbyć już wkrótce. Ludzie będą mogli zdecydować: złota epoka pokoju i dobrobytu...

– Czy Winston i wojna.

– Można na to spojrzeć i w taki sposób. W zasadzie to doskonały sposób spojrzenia na tę sprawę. – Gdy weszli do pałacu, po raz pierwszy od wielu dni na twarzy Chamberlaina widniał uśmiech.

Są chwile, w których życie człowieka nie wydaje się niczym więcej jak zabawką bogów, czymś, co mogą kopać tam i z powrotem, aż w końcu im się znudzi i zostawią je tam, gdzie upadło.

Na początku wiosny 1939 roku bawili się tak z Churchillem, poniewierając nim, obsypując łaskami innych ludzi. Na wszystkich frontach, od kontynentu po jego własny okręg wyborczy, przeciwnicy Winstona rośli w siłę. Jeszcze kilka tygodni takiej zabawy i mogłoby być dla niego za późno – dla niego i dla tego, co niebawem miało nastąpić – lecz bogowie byli przede wszystkim kapryśni. Churchilla ocaliły dwa zdumiewające uśmiechy losu, wywołane niechcący przez jego najzacieklejszych wrogów.

Pierwszym był jeden z czołowych przedstawicieli partii w okręgu Churchilla, Colin Thornton-Kemsley, trzydziestosześcioletni rzeczoznawca specjalizujący się w wycenie nieruchomości, którego Joseph Ball mianował przywódcą opozycji wobec reelekcji Churchilla w Epping. Był skutecznym organizatorem, intrygującym i ambitnym, lecz jego talenty okazały się zdecydowanie zbyt skuteczne, gdyż dzień po tym, jak premier poinformował prasę o nastaniu nowej złotej epoki, Thorntona-Kemsleya wybrano na kandydata konserwatystów w zbliżających się wyborach uzupełniających w dalekim szkockim okręgu Kincardine i West Aberdeenshire. Od tej chwili był zwykle obecny w nocnym pociągu jadącym na północ i jego uwaga oddaliła się od Epping chyba najbardziej, jak to tylko możliwe.

Trzy dni później pojawił się drugi człowiek, który miał uratować Churchillowi skórę. Historia to śmietnisko ironii i zbiegów okoliczności, najróżniejsze splecione pętle, na widok których każdy redaktor zajmujący się romansami spaliłby się ze wstydu: człowiekiem, który przybył Churchillowi na ratunek, był nikt inny jak sam Adolf Hitler. Rzecz jasna, nie miał takiego zamiaru, zrobił to zupełnie niechcący. Jego celem nie było Epping, lecz miejsce oddalone od niego o blisko siedemset mil na wschód.

Mówiąc konkretnie, Praga. Stolica tego, co pozostało z rozczłonkowanej i niezależnej Czechosłowacji po ustaleniach z Monachium. Z kraju, który prawie przestał istnieć.

Czternastego marca prezydent Czech, Hácha, został wezwany do Berlina. Musiał czekać, bo Hitler akurat oglądał film. Wreszcie wczesnym rankiem Hácha wszedł do sali i usłyszał, że za kilka godzin Wehrmacht wkroczy do jego kraju. Powiedziano mu, że jeśli czeskie oddziały stawią choćby najmniejszy opór, stolica Czech zostanie zrównana z ziemią.

Słyszając to, Hácha chwycił się za serce i osunął na ziemię. Dostał zawału. Wezwano lekarza, który dał mu zastrzyk. Starzec doszedł do siebie w wystarczającym stopniu, by podpisać wyrok śmierci na swój kraj. Kilka godzin później Wehrmacht wmaszerował do Pragi.

Złota epoka Chamberlaina trwała niespełna cztery dni.

Stary stał po uda w kryształowej wodzie spływającej z Grampianów i z trudem utrzymywał równowagę na śliskich kamieniach. Rok temu byłoby inaczej. Teraz był zmęczony – i starzał się, choć nie chciał tego przyznać. Uciekł na dwa dni, żeby powędkować i podładować baterie, ale po kolacji poprzedniego wieczoru dokuczał mu ostry ból brzucha i zrobił się szary na twarzy, odmówił wypicia kieliszka przed snem i wcześniej się położył. Ostatnimi czasy jego twarz potrafiła się zestarzeć w okamgnieniu, skóra robiła się coraz cieńsza pod bliznami stresu. Duch pozostawał jednak niezłomny i tego ranka mężczyzna miał na sobie ciężkie wodery i tweedową marynarkę z muchami przypiętymi do kłap oraz kapelusz zawadiacko nasunięty na oczy skierowane ku fioletowemu i torfiastemu rozlewisku przy przeciwległym brzegu.

- Wiesz - mruknął Chamberlain, zarzucając jeszcze raz, a jego słowa uniosły się bez wysiłku w lekkim szkockim powietrzu - umiejętności związane z wędkowaniem bardzo przypominają te związane z dyplomacją. - Rozległo się świshnięcie żyłki pędzącej w stronę drugiego brzegu. - Cierpliwość. Upór. Zrozumienie, czego chcą. Zadbanie o odpowiednią przynętę, odpowiednią muchę, odpowiedni haczyk. Kuszenie ich. A potem jeszcze więcej cierpliwości. Aż w końcu dadzą się złapać!

Jego towarzysz Joseph Ball milczał. Jego powściągliwość nie miała nic wspólnego z logiką argumentu. Po prostu w tym konkretnym momencie nie był w stanie się odezwać. Miał wrażenie, że język mu spuchł i mógłby się nim udławić. Siedział na brzegu, ściskając liścik, który przed chwilą doręczył mu posłaniec na rowerze przysłany z domku myśliwskiego. Liścik, który obwieszczał katastrofę. Który mówił, że Hitler jest w Pradze i telegrafuje do całego świata, oznajmiając, iż gwizdże na politykę ustępstw, na porozumienia, a najbardziej na przekłętą panie Neville'a Chamberlaina. Czechosłowacja przepadła. Zniknęła, mimo że nie oddano ani jednego strzału.

Ball został na brzegu, modląc się, żeby ziemia rozstąpiła się i go pochłonięła. Nic takiego się jednak nie stało, więc choć była dopiero dziesiąta rano, sięgnął po piersiówkę.

Jak to przedstawić? Jak dopilnować, by ta katastrofa wywołała mniej szkód, niż mogła wywołać? Jak sprawić, by nie zniszczyła nie tylko rządu w Pradze, lecz także rządu Chamberlaina? Chamberlain dał słowo, że będzie bronił niezależności małej, wykastrowanej Czechosłowacji, nalegał, by świat zawierzył Hitlerowi, a teraz wszystko się posypało. Premier został nagi, jego jaja dyndały jak na strzelnicy -

a na dodatek przebywał w Szkocji, wiele mil od redaktorów i właścicieli gazet, którzy w innych okolicznościach mogliby pomóc stworzyć jakąś zasłonę dymną. Musieli oczywiście czym prędzej wracać do Londynu, ale właściwie do czego? Być może na własną egzekucję.

Polityka ustępstw, polityka Chamberlaina, jego „złota epoka” leżały bezpowrotnie zmiażdżone przy słupach granicznych wokół Pragi. Idy marcowe. Powinni byli mieć się na baczności.

– Chodźcie, moje drogie, chodźcie – mówił stary. Wydawał się chudy, zmizerniały pod warstwą tweedu, niemal żałosny. Przez jedną ulotną chwilę Ball zastanawiał się, czy nie powinien go tu zostawić, tkwiącego w wodzie, pospieszyć do Londynu i zadeklarować lojalność wobec Halifaxa albo Edena, dwóch najbardziej prawdopodobnych następców, lecz panika trwała tylko przez moment. Nie było wyjścia. On i premier byli nierozzerwalnie związani i musieli przez to przejść razem. Jakoś. Rzecz jasna, polityka ustępstw upadła. Będą musieli przyjąć politykę ponownych zbrojeń, politykę swoich krytyków, i ją sobie przywłaszczyć. Kilka rozmów telefonicznych, zanim zaczną długą podróż pociągiem na południe – z Dawsonem i Beaverbrookiem, potem z Jamesem Kemsleyem kontrolującym „Sunday Times”, „Daily Sketch” i cały gąszcz tytułów regionalnych. Trzeba dać im punkt zaczepienia. Podkreślić doświadczenie Chamberlaina, wyraźną winę polityki Hitlera dającą Wielkiej Brytanii przewagę moralną. Będzie to trochę przypominało mysz piszczącą, gdy kot nadepnął jej na ogon, ale im więcej hałasu uda się narobić, tym bardziej zdezorientowana będzie opinia publiczna, próbując ocenić, z czyjej winy powstał ten cały bałagan.

Był jeszcze maleńki, ale najgorszy problem polegający na tym, że zaledwie we wrześniu ubiegłego roku Chamberlain zagwarantował niezależność temu, co zostało z Czechosłowacji. Jak sobie z tym poradzą, do diabła? Znowu sięgnął po piersiówkę. Pociągnął łyk i przez chwilę się zastanawiał, widząc oczyma duszy, jak sunie wraz z lawiną, nie mając pojęcia, gdzie się zatrzyma ani ile minie czasu, zanim tak go przysypie, że nie będzie w stanie się uratować. Potem podjął decyzję. Oczywiście będą twierdzili, że Czechosłowacja sama zrzekła się niepodległości, a zatem przestała istnieć. Nie mogli przecież zagwarantować czegoś, co przestało istnieć, prawda? To byłoby głupie. To byłoby prawie samobójstwo.

Na tym nie koniec. Należało zapędzić rzeczników dyscypliny do pracy w tylnych ławach. Większość polityków była nie lepsza niż ławica sardynek, z otwartymi ustami gnała z prądem, nieustannie zmieniając pozycję, a całe ich życie było rozdarte między głodem a dreszczami dojmującego strachu.

- Mam ją! - zawołał premier, wyciągając z wody coś śliskiego.

Tak, strach załatwiłby sprawę. Strach, który dopada polityka na myśl o nadciągających wyborach. Strach, który nęka redaktora, gdy sobie uświadomi, że wbrew obietnicom może nie dostać tytułu szlacheckiego. Strach zarażający bankierów i biznesmenów, którzy pomyślą, że jeśli Chamberlain polegnie, oni też stracą swoje wpływy. Strach wszystkich porządnych Anglików, że socjalistyczne hordy mogą wkrótce załomotać do ich drzwi i uprowadzić ich córki. Strach - motywator mas. Ball schował whisky. Nadal miał wiele możliwości - i mnóstwo do zrobienia.

Premier zmagał się z walczącą rybą. Okazała się zawzięta, a stary mężczyzna nadal z trudem utrzymywał równowagę. Ball zanurzył dłoń

w czystej, chłodnej wodzie i opryskał sobie twarz.

– Zostaw to, Neville’u, musimy iść.

– Mam to zostawić? Zostawić? O czym ty mówisz, do diabła? Dlaczego musimy iść? – warknął poirytowany premier. – Przez rekiny – odrzekł Ball.

Sue Graham była w swojej sypialni i pakowała zimowe ubrania, posypując je proszkiem odstraszającym mole, a następnie owijając w arkusze bibuły. Nagle usłyszała lekkie pukanie do tylnych drzwi. Wiedziała, kto tak puka – Jerry.

– Marzę o herbacie – zawołał z dołu. – Pomagałem Freddiemu naprawić gołębnik. Kurz całkiem zapchał stare rury. – Po tych słowach rozległo się stukanie czajnika w kuchnię gazową. Jerry bez przerwy był czymś zajęty. Nie dalej jak kilka dni temu porozkręcał wszystkie pionowo otwierane okna w domu i umył je od zewnątrz, nawet ramy – sama nie mogła tam dosięgnąć, nie na piętrze. Wszedł do jej sypialni z kawałkiem irchy i wiadrem w ręce, rozejrzał się i oznajmił: – Dziewczyno, będziesz musiała sobie sprawić większe łóżko. Kiedy dorośniesz.

Nagle, w wieku trzydziestu trzech lat, zapragnęła dorosnąć naprawdę szybko.

Skończyła owijać swetry i układać je w kartonowych pudłach. Pudła umieściła na górze szafy, obok starej rodzinnej Biblii. Egzemplarz był ogromny – miał grzbiet szeroki na blisko pięć cali – i stary: pozłacane krawędzie kartek wyblakły, ciężka skórzana okładka nosiła zadrapania po przeszło stuletnim użytkowaniu. Prababka jej babki kupiła ją w tym samym sklepie w Londynie, który zaopatrywał kościoły na całym południu Anglii, i Biblię przekazywano najstarszemu dziecku z każdego pokolenia w prezencie ślubnym. Na

wyklejce widniały podpisy wszystkich pięciorga właścicieli – ostatnim był jej tata i o niczym nie marzył bardziej niż o tym, żeby być w pobliżu, gdy ona wpisze tam swoje nazwisko. „Kiedy wyjdiesz za mąż, będę mógł umrzeć jako szczęśliwy człowiek” – powiedział. Ale nie wyszła za mąż i nie umarł szczęśliwy.

Biblia zatem trafiła do niej samoczynnie. Trochę jak Jerry za sprawą śmierci jego pierwszej żony. I za sprawą jego róż. Ależ ona o nie dbała – mówiła do nich, a czasami, gdy nikt nie mógł usłyszeć, nawet im śpiewała – pilnowała, żeby nie stały w przeciągach, dawała im po połówce aspiryny, by wydobyć z nich każdą godzinę życia. Kolejno marniały i więdły, aż w końcu został tylko jeden kwiat, który umieściła między dwoma arkuszami czystej bibuły pośrodku Biblii. Pieśń nad Pieśniami, rozdział drugi, werset jedenasty. „Bo oto minęła już zima, deszcz ustał i przeszedł. Na ziemi widać już kwiaty, nadszedł czas przycinania winnic”.

– Co zrobiłaś z moimi różami? – spytał, gdy zjawił się następnym razem i zauważył pusty wazon.

– Wyrzuciłam. Dlatego że były za stare – odparowała. – I to samo zamierzam zrobić z tobą.

– Prawidłowo, dziewczyno, ale najpierw napiję się herbaty. – Jerry zawsze marzył o herbacie.

Gdy zeszła do kuchni, herbata parzyła się już na płycie, a on zaczął opiekać chleb na grzankę: nadział go na specjalny długi widelec i trzymał nad żarzącym się koksem. Siedział w starym fotelu, w którym dawniej jej tata palił papierosy wpatrzony w płomień, pochylając się nad pracą, słuchając radia. Na stole stała miseczka z tłuszczem z weekendowej pieczeni. Znała Jerry'ego zaledwie od czterech tygodni, lecz to stało się już czymś w rodzaju rytuału.

Rozsmarowywał na grzance grubą warstwę tłuszczu, a potem wybierał z dna miseczki słodką, ciemnobrązową galaretkę i kładł ją na wierzchu. Sue nienawidziła tłuszczu z pieczeni, nie znosiła go z całego serca, ale teraz w głębi spiżarni stały trzy wypełnione nim miseczki.

Dziś jednak tłuszcz z pieczeni pozostał nietknięty. Nad kuchenką zaczęła się unosić spirala dymu – tost się przypalał, wręcz syczał – lecz Jerry w ogóle nie reagował i tylko tępo wpatrywał się w ogień. Dopiero gdy krzyknęła przestraszona, zerwał się z fotela i przerzucił zwęglony chleb do zlewu.

– Tylko taka grzanka nadaje się pod tłuszcz z pieczeni – mruknęła, kiedy płomienie syknęły i zgasły w chmurze gorzkiego dymu.

– Trochę spieprzyłem sprawę, prawda?

– Chyba dobrze to ująłeś.

– Wynagrodzę ci to. Może przygotuję ci kolację?

– Wspaniale. Wezwę straż pożarną.

– Przepraszam. Radio odwróciło moją uwagę.

Dopiero wtedy skupiła się na szemrzącym w tle radiu. Na głosie korespondenta, który raz po raz słabł, zagłuszany trzaskami, jakby zdawał sprawozdanie z jakiegoś dalekiego kraju, który po przebudzeniu odkrył, że przestał istnieć. Na historii o czołgach jadących ze stukotem po brukowanych ulicach historycznych miast, odpieranych najwyżej kulkami ze śniegu. Na prezydenckich pałacach otoczonych oddziałami w dziwnych szarych mundurach. Na maleńkich czeskich flagach kielkujących w butonierkach. Na aresztowaniach. Na miejscu zwanym placem Wacława i skąpanym we łzach. Na panu Chamberlainie wyrażającym ubolewanie. Na śmierci pewnego marzenia.

- To wszystko zaczyna się od nowa, Sue. Dokładnie tak, jak poprzednim razem.

- Ale pan Chamberlain obiecał...

- Tak jak Hitler. Powiedział, że chce jedynie odzyskać swoich Niemców. Ale to nie Niemcy, tylko Czesi. I to dopiero początek.

Przyjęła tę wiadomość, nie okazując żadnych emocji. Nieodżałowany nieboszczyk zawsze jej przypominał, że jest Angielką. „Emocje są bardzo dobre – powtarzał jej – ale najpierw musisz się upewnić, że sobie poradzisz”. Sięgnęła zatem po stojący na płycie dzbanek z herbatą i zaczęła nalewać. Napar był gęsty, ciemny, zbyt mocny, lecz to nie miało znaczenia. Podała mu filiżankę i usiadła obok niego przed ogniem.

- Twoja herbata jest prawie tak samo paskudna jak twoja grzanka.

- Nie próbowałaś jeszcze mojego kremu custard.

- Co zrobimy?

- W związku z moim custardem?

- Wiesz, o czym mówię, Jerry. Jeśli wybuchnie wojna, nie będzie taka jak poprzednia.

- Dlaczego?

- Chłopcy walczyli tam, reszta z nas była tutaj. Tym razem będzie inaczej. Są bombowce. Wszyscy będziemy w tym uczestniczyć. Wszyscy będziemy musieli coś zrobić.

- Możliwe.

- Więc co zrobisz?

- Zastanawiałem się... gdy robiłem grzankę, rozumiesz... zastanawiałem się, czy nie zaciągnąć się do armii terytorialnej. Czy znowu nie zostać półetatowym żołnierzem. Jeśli będziemy mieli

następną pieprzoną wojnę, to tym razem chcę być przygotowany, wybacz, że klnę jak jakiś Francuz.

– Jeśli dojdzie do walk, będziesz miał sporo do czynienia z Francuzami.

– Miałabyś coś przeciwko temu? No wiesz, gdybym się zaciągnął?

– Czy moje zdanie ma jakieś znaczenie?

– Bardzo duże. Powinnaś już o tym wiedzieć, dziewczyno.

– W takim razie, skoro pytasz, nie widzę przeszkód. Wszyscy będziemy mieli rolę do odegrania w następnej wojnie, kobiety też. Będziemy musiały robić coś więcej niż tylko parzyć herbatę.

– Dlaczego? Co masz na myśli?

– Właściwie to bardzo wiele. – Zamilkła na chwilę, zatopiona we własnych rozmyślaniach o wojnie, o inwazji i o tym, jak niewielka odległość dzieli Bournemouth od prawdopodobnych punktów desantowych. Oraz o tym, co może z tego wynikać. – Ale wszystko po kolei.

– Więc od czego zaczniemy?

– Od cebuli, Jerry. Myślę, że należy posadzić o wiele więcej warzyw, a zwłaszcza cebuli. W razie gdyby francuska się skończyła.

Na początku roku ostry atak grypy przykuł Churchilla do łóżka. W najmroczniejszych zakamarkach swojego umysłu, które ukrywał nawet przed Clemmie, chwilami miał nawet nadzieję, że wywiąże się z tego zapalenie płuc, które go zabierze – tak wielkie było jego przygnębienie. Okazało się jednak, że został skonstruowany z wytrzymalszego materiału. Przetrwał, a teraz, gdy wojskowe buty uderzały o bruk Pragi niczym młot kowala o stal, Churchill odzyskał pazur.

Wezwał członków swojego komitetu okręgowego na zebranie, polecając, by w razie konieczności ściągnięto ich siłą – wszystkich oprócz Thorntona-Kemsleya, pochłoniętego innymi sprawami setki mil na północ. Nieważne, wkrótce i on się dowie. Teraz siedzieli przed nim, wierząc się niespokojnie niczym zubożali krewni czekający na odczytanie testamentu, z którego, jak przypuszczają, zostali zupełnie wykluczeni.

Churchill żuł cygaro, przygryzał je tak mocno, że o mało nie zgasło. Po jakimś czasie zauważył, że drzwi w głębi sali zamknięto. Nadeszła pora, by zacząć. Wstał, wbił w nich wzrok, pomilczał, potem jeszcze przez chwilę mierzył ich groźnym spojrzeniem, aż w końcu zupełnie przestali się wiercić i można było usłyszeć nawet płacz umarlaka.

– Są w tym okręgu wyborczym ludzie, aktywni, wpływowi ludzie, w dużej liczbie obecni dzisiaj wśród nas, którzy chodzili i narzekali, że powinienem siedzieć cicho. Że nie powinienem ostrzegać przed aktualnymi zagrożeniami, tak jak ostrzegałem. Panie przewodniczący, dziś wieczorem cały naród jest zrozpaczony, zmiażdżony butem tyranii. To odważny i niegdyś niezależny naród Czechosłowacji, który pragnie, by głos całego kontynentu podniósł się w grzmiącym ostrzeżeniu.

Panowała zupełna cisza. Wodził oczami po sali, zaglądając do ich dusz, i wielu z nich nie było w stanie wytrzymać tego spojrzenia.

– Ale cóż mogliśmy zrobić? W sprawie „kłótni w jakimś dalekim kraju między ludźmi, o których nic nie wiemy”. – Och, jak się skrzywili, słysząc okrutne echo słów Chamberlaina. – Mogliśmy zabrać głos. Mogliśmy wykazać się determinacją. Mogliśmy zademonstrować stanowczość, z której słusznie słynie kraj Nelsona, Drake’a i Marlborough. Zamiast tego odwróciliśmy się plecami. A robiąc to,

zmieniliśmy brytyjski kręgosłup, który przez wieki naszej historii pozostawał długi, prosty i szczerzy, w prężnierz ku uciesze dyktatorów.

– Racja! – odezwał się kobiecy głos na sali. Nie wszyscy mieli naturę spiskowców. Gdy się im przyglądał, przygarbiony niczym pięściarz czekający, żeby zadać cios, zauważył stanowcze twarze rozsiane wśród niespokojnych oczu. W najmroczniejszych chwilach łatwo było sobie wmówić, że jest zupełnie sam, że cały świat go opuścił, ale to nigdy nie była prawda. Zawsze znajdował przyjaciół, i to zwykle wtedy, gdy był w największej potrzebie. Przypomniawszy sobie, że zaledwie kilka krótkich tygodni temu, kiedy leżał w łóżku, modląc się, by Czarny Pies wywlóknął go z tej niedoli śmiertelnika, dostał list: „Drogi Panie Churchill, słyszałem, że jest Pan chory i upadł na duchu. Mógłbym Panu przysłać kwiaty, ale i bez tego mieszka Pan w wyjątkowo pięknym miejscu. Mógłbym przesłać życzenia szybkiego powrotu do zdrowia, lecz dorzucono by je tylko do rosnącej sterty na biurku Pańskiego sekretarza. Zamiast tego przypomnę Panu zatem coś, co kiedyś Pan powiedział – coś, co przeczytałem w książce, którą mi Pan dał...”

Słuchacze czekali, skrepowani, ale spragnieni jego słów.

– Niedawno pewien młody przyjaciel przypomniawszy mi coś, co kiedyś powiedziałem. Coś o Brytyjczykach, coś, o czym, przyznaję, prawie zapomniawszy. Oto jego słowa:

„Powiedział Pan, Panie Churchill, że na przestrzeni wieków historycy zauważali pewną osobliwą cechę Brytyjczyków, która drogo ich kosztuje. Po zwycięstwie zawsze udaje nam się zaprzepaścić większość korzyści, jakie przyniosła nam walka. Powiedział Pan, że nasze największe wyzwania nie pochodzą z zewnątrz. One pochodzą z wnętrza. I to nie ze skromnych domostw i mieszkań zwykłych

żywicieli rodzin, lecz od osobliwego rodzaju ludzi świątłych, jakich zawsze można u nas znaleźć, oraz z atmosfery nedorzecznego samoponizenia, w którą wpycha nas wpływowa część naszych własnych intelektualistów. Pochodzą z akceptowania defetystycznych doktryn przez wielką część naszych polityków, którzy siedzą przy kolacji, odrzucając wolność, jakby była niechcianym kąskiem, którzy upierają się przy bierności i uległości wobec Europy, uzasadniając to nieuchronnością losu...”

– Jak jednak przypomniał mi mój młody przyjaciel – jak przypomina mi bez przerwy, odkąd się poznaliśmy – nie ma rzeczy nieuchronnych. „Nieuchronne” to brzydkie słowo mające szkaradne konsekwencje. Twierdzić, że coś jest „nieuchronne”, to głosić koniec demokracji. To odrzucać swoją wolność wyboru. To zamykać wszystkie procesy wolnego myślenia i odpychać na bok te swobody, które uczyniły z tego kraju ostoję sprawiedliwości i fair play.

Powoli podnosili głowy. Jak ryby mające za chwilę połknąć przynętę – nie! nie jak ryby. Jak Anglicy czekający na wezwanie. Ale bez względu na to, czy byli okoniami, czy patriotami, miał jeszcze czas, żeby trochę się z nimi pobawić, oszołomić ich zmianą nastroju.

– Niektórzy twierdzą, że po najbliższych wyborach nie powinienem wrócić do parlamentu z tego okręgu. Część tych osób jest dzisiaj w tej sali. Chciałbym przeprosić tych, z którymi poróżniły mnie poważne nieporozumienia...

Nawet w oczach, które nadal wypełniała podejrzliwość, pojawiło się zaciekawienie. Stary przeprasza? Nigdy dotąd nie słyszano o czymś podobnym, nie w Epping ani w żadnej innej części Anglii.

– Przyznaję, że byłem denerwujący. Jak cierń w waszych tyłkach. Byłem upartym i wojującym starym człowiekiem, który ma własne

zdanie i nieznośny zwyczaj dzielenia się nim. Po cóż nam jednak parlament, jeśli nie po to, by można było przedstawiać w nim sobie nawzajem szczere opinie? Jaki, na litość boską, byłby pożytek z wysyłania tam deputowanych, żeby mówili to, co każą im mówić rzecznicy dyscypliny, i żeby głośno oklaskiwali wszystkie ministerialne komunały? Jaką wartość moglibyśmy przypisać swoim instytucjom parlamentarnym, gdyby okręgi wyborcze przysyłały wyłącznie potulnych, uległych i służalczych członków próbujących podeptać wszelkie formy niezależnego osądu? Bo właśnie coś takiego niektórzy sugerowali. Zapomnijmy jednak o tym. Nie tkwijmy w ciemnych norach katastrofy. Ruszmy naprzód, by stawić czoło czekającym nas wyzwaniom – by stawić im czoło razem – a jeśli dane nam będzie zwyciężyć, idźmy dalej! Ku szerokim, słonecznym wyżynom.

Kobieta w pierwszym rządzie chciała zacząć klaskać i już podniosła rękę, lecz pozwoliła im opaść z powrotem, nie ważąc się popsuć tej chwili.

– Podejmijmy dziś zatem decyzję o wycięciu raka nieporozumień i podziałów w naszym okręgu wyborczym. Spoglądajmy nie do wewnątrz, lecz na zewnątrz, na obowiązki, które musimy podjąć zarówno my sami, jak i cały naród brytyjski. Wspaniały okręg Epping powinien być światłem przewodnim, a nie obiektem drwin i jałowych spekulacji w kolumnach brukowców. Proszę więc, byśmy podjęli decyzję – tu i teraz. Byśmy mogli wyjść z tej sali, wiedząc, czy mam wasze pełne zaufanie oraz niesłabnące wsparcie i nadal mogę zabierać głos, czy też chcecie mnie kimś zastąpić. Proszę o powstanie tych z was, którzy nadal wątpią w moje przekonania i umiejętności. Niech dzielące nas różnice ukażą się otwarcie i w atmosferze zgody, tak jak powinno się to odbywać w gronie starych przyjaciół.

Nie drgnął ani jeden mięsień. Churchill ściszył głos, spokorniał, wykorzystując nastrój chwili. Dokładnie tak, jak ćwiczył przez całe długie popołudnie.

– A tym, którzy pragną, bym nadal wypełniał swoje zadanie jako wasz rzecznik, mogę jedynie obiecać, że będę wam służył niezachwianie, zaś wam wszystkim, przyjaciele, z głębi serca i pokornie dziękuję.

Broda opadła mu na pierś w leciutkim ukłonie wdzięczności. Wstali jak jeden mąż, żeby nagrodzić go brawami. Wiele kobiet płakało, Churchill także, łzy obficie płynęły mu po policzkach. Koniec z opozycją, koniec z przebąkaniem o pozbyciu się go. Oczywiście nadal mogą coś mamrotać w ciemnych zakamarkach. Będą twierdzili, że to było zupełnie niekonwencjonalne zagranie, że nadużył konstytucji, że nie zwołał zebrania tak, jak należało to zrobić, a zatem nie miał prawa podejmować żadnych decyzji. Będą utrzymywali, że to jedynie przypadek jawnego, przekłętego bandytyzmu, i będą mieli rację. Ale nikt nie odważy się wstać i powiedzieć tego wprost.

Co mówił Burgess, gdy się poznali i siedzieli przy stole w Chartwell? Słowa to broń, czasami jedyna, jaka pozostaje, lecz we właściwych rękach może się okazać najpotężniejszą bronią ze wszystkich. Młody Burgess był niezwykłym i spostrzegawczym mężczyzną. Churchill pomyślał, że chyba go polubił.

Rozdział dziesiąty

Chamberlain miał niebywałą zdolność regeneracji. Nie mógł dłużej zaprzeczać, że wszystko potoczyło się źle – okropnie i beznadziejnie źle – ale ponieważ większość brytyjskiego establishmentu popełniła dokładnie takie same błędy w ocenie sytuacji jak on, było mnóstwo innych osób, u których mógł szukać pocieszenia. Istniały wielkie szanse, że stracą pamięć – a zatem i pragnienie wzajemnego oskarżania się. Dopóki pełnił urząd, dopóty była nadzieja.

Gdy stał przed wysokim lustrem w swojej sypialni, gmerając przy spince przytrzymującej marszczony kołnierz jego dworskiego stroju, rozległo się przepaszające pukanie do drzwi. Wilson i Ball weszli do środka wyraźnie zaniepokojeni – mieli za sobą kolejny paskudny dzień. Rano nadbałtycka Litwa przekazała Niemcom strategiczny port Kłajpeda, by uniknąć groźby inwazji i ataku z powietrza. Wehrmacht maszerował dalej. A chyba jeszcze bardziej przerażające było to, że w Westminsterze grupa kobiet paradowała przed parlamentem, nosząc na sobie podwójne tablice z wypisanym tylko jednym słowem: CHURCHILL.

– Wybacz najście, Neville’u...

– Zjawiacie się w samą porę. Powiedzcie mi, czy pończochy leżą prosto? A sprzączki na pumpach?

Mruknęli potakująco.

– Wiecie, muszę utrzymywać standardy. Standardy są cholernie ważne.

- Dziś wieczorem spotkasz się z prezydentem Francji...

- Oczywiście, że dziś wieczorem spotkam się z prezydentem Francji – warknął Chamberlain, a podenerwowanie z całego dnia wreszcie wyrwało się na zewnątrz. – Po co w przeciwnym razie ubierałbym się jak jakaś cholerna tropikalna papuga?

Spinka do kołnierzyka odskoczyła i potoczyła się po podłodze. Wilson podbiegł, żeby ją podnieść, raczej zbyt szybko, wdzięczny za szansę usunięcia się z linii ognia. Chamberlain zachowywał się tak, gdy był wyczerpany – kiedy cały świat zdawał się sprzysięgać przeciwko niemu, on wyładowywał się na tych, którzy byli najbliżej. Pozbywał się w ten sposób części bólu. Wilson próbował oddać spinkę premierowi, ale ten nie chciał o tym słyszeć, stał na baczność z rękami wzdłuż tułowia i wysoko uniesioną brodą, oczekując, że Wilson dokończy robotę jak każdy unizony sługa. Chamberlain nie chciał być niegrzeczny wobec przyjaciela, po prostu miał bardzo zmienne humory. Poza tym w ostatnich dniach odkrył, że jego palce przestały słuchać jego rozkazów, a jego dłoń zaczęła drżeć, przez co takie czynności jak zapinanie spinek do kołnierzyka stały się prawie niemożliwe. Nie wiedział dlaczego. Być może winne było zmęczenie. Gdy jednak dobiega się siedemdziesiątki, którą Chamberlain skończył tydzień temu, przestaje się pytać dlaczego, bo większości odpowiedzi, które się otrzymuje, wolałoby się nie słyszeć.

- Po prostu chodzi o to, że prezydent będzie naciskał – powiedział miękkiem głosem Wilson, zapominając zarówno o zniewadze, jak i o pokusie uduszenia premiera – żebyśmy wysłali do Francji więcej ludzi. Mamy tam cztery dywizje, a Hitler setki. Według Francuzów to trochę nierówne szanse.

- Oczywiście, że są nierówne. Nawet głupiec to widzi!

- Troll-Belisha od tygodni bije w ten sam bęben – zauważył Ball.
- Jak już powiedziałem, nawet głupiec... – syknął Chamberlain.
- Poza tym bardzo mocno naciska na pobór. Szepcze o tym do wszystkich uszu, przypiera do muru każdego, kogo uda mu się złapać.
- Więc ostrzeż ich, żeby przeliczyli drobne w kieszeniach! – warknął Chamberlain i spinka do kołnierzyka znowu odskoczyła, wpadając pod szafę. Tym razem to Ball musiał oprzeć się na dłoniach i pulchnych kolanach, żeby ją stamtąd wydobyć, czemu towarzyszyła seria postękiwań i sapań sugerująca, że minęło dużo czasu, odkąd schylał się niżej niż na wysokość fotela. Podał spinkę właścicielowi i usiadł na końcu łóżka, żeby dojść do siebie.
- Nie będzie łatwo mu odmówić, Neville'u. Słyszano nawet, jak przebąkiwał o dymisji.
- Więc może przyszła pora, żeby pozwolić mu wrócić między jego plemiona – prychnął z pogardą Chamberlain. Z bliska Wilson zauważył, jak przygaszone ma oczy, jak ciężką zdaje się toczyć walkę, żeby unieść powieki. Były czerwone, zaognione.
- Nie, Neville'u, nie teraz – odpowiedział Wilson kojącym głosem, ale stanowczo. – Nie pora kreować męczenników, nie gdy wszyscy nadal są oszołomieni po tym cyrku w Czechach. Leslie ma przyjaciół.
- No więc co mam zrobić – ustąpić? Zaskakujesz mnie, Horace.
- Będziemy musieli rozważyć pobór, Neville'u, czy nam się to podoba, czy nie. Może w tej jednej sprawie powinniśmy pozwolić Lesliemu postawić na swoim.
- I pozwolić, żeby tańczył swój zwycięski taniec we wszystkich oazach Westminsteru, twierdząc, że kieruje rządem? Nigdy... nigdy się na to nie zgodzę!

- Sam powiedziałaś, że stanie w miejscu nie wchodzi już w rachubę, gdy Niemcy kopią w drzwi wszystkich punktów granicznych w środkowej Europie.

Ball przyglądał się z bezpiecznej odległości, nie był gotowy wejść między nich. Widział to wszystko już wcześniej, premiera i Wilsona, jego alter ego, roztrząsających mocne strony polityki albo wady osobowości. A gdy w końcu rozstrzygali sprawę – razem i jak zawsze zgodnie – nigdy nie był do końca pewny, kto właściwie wygrał. Jak jednak powiedział mu kiedyś Wilson: „Nieważne kto – ważne, żeby Neville myślał, że to on”.

I tak też było.

- Doskonale, Horace. Pora przejąć stery. Jeśli Leslie chce tańczyć, powinniśmy mu zagrać. Skoro musimy ogłosić pobór...

- Chyba musimy.

- W takim razie niech to się stanie na naszych warunkach.

- Czyli jak?

Chamberlain odwrócił się do niego z drwiącą miną i wciąż dyndającym kołnierzykiem.

- Miałem o tobie lepsze mniemanie, Horace. Nie wiedziałaś, że zawsze sądziłem, iż pobór może być konieczny? W przyszłym tygodniu ogłoszę to rządowi. Wyjaśnię, że powodem, dla którego tak długo z tym zwlekałem, były... – rozejrzał się, jakby szukał zgubionej skarpetki – no cóż, obawy, że mógłbym rozdrażnić związki zawodowe.

- Związki zawodowe? – powtórzył powoli Wilson, nie będąc w stanie ukryć niedowierzania. Siedzący na skraju łóżka Ball klasnął z uznaniem.

- Właśnie. Chcę, żeby to wszystko znalazło się w aktach urzędowych. W protokole z posiedzenia rządu. Nie może być żadnych

wątpliwości. Macie dopilnować, żeby wszystko było jasne: żadnych sugestii, że zmuszono nas do ustąpienia. Wezwijcie Dawsona i pozostałych. Dajcie im informacje. Przy odrobinie szczęścia Attlee i ci kretyni z Partii Pracy sprzeciwią się temu całemu przekłętemu poborowi i będziemy mogli ich obarczyć winą za zamieszanie.

– Ale co mamy ogłosić, Neville’u? Jaki masz plan?

– Dobry Boże, Horace, za co ja ci płacę? Na pewno trzymasz coś pod kluczem w dolnej szufladzie. Wyjmij to. Odkurz. Dopilnuj tylko, żeby nie brzmiało jak coś, co mógłby napisać Leslie.

Wilson nadal stał w półprzysiadzie obok brody premiera, a palce bolały go z wysiłku. To nie powinno być aż takie trudne. Ostatnio Chamberlain schudł, wszystko trochę na nim wisiało, nawet jego polityka. W końcu spinka do kołnierzyka wcisnęła się na swoje miejsce i porządek został przywrócony.

– Potrzebujemy czegoś wielkiego, Neville’u – mówił Ball, sięgając po haftowany frak rozłożony obok i szykując się do wsunięcia go na ramiona Chamberlaina. – Jakiegoś świetnego pomysłu, który naprawdę chwyci ich za jaja. Jesteśmy pod presją.

– Joe ma chyba rację – dodał Wilson. – Hitler nie tylko wmaszerował do Pragi, on przy okazji podeptał twoją parlamentarną większość.

Chamberlain stał na baczność przed lustrem, oceniając każdy szczegół.

– Też o tym myślałem podczas bezsennych nocy. Potrzebujemy czegoś, co sprawi, że los znowu się do nas uśmiechnie. Jakiegoś dramatycznego gestu, który pozwoli nam zapomnieć o tym całym czeskim cyrku. Czegoś, po czym nawet Herr Hitler usiądzie prosto i nadstawi uszu. Wiecie, po tym, co zrobił, mam do niego większy żal,

niż potrafię wyrazić. Dał mi swoje słowo, obiecał skończyć z roszczeniami terytorialnymi w Europie. Obiecał mi – obiecał – że nie będzie się więcej interesował Czechosłowacją. Potem zrobił ze mnie głupca. Nie mogę pozwolić, żeby znowu uszło mu to na sucho. – Nadal wpatrywał się w lustro, zdejmując z siebie zbląkaną złotą nić i prostując medale. Wreszcie wydał się zadowolony. – Macie rację. Potrzebujemy jakiegoś dramatycznego gestu. Żeby pokazać, że nie może posunąć się dalej. Żeby wyznaczyć granicę.

– Wyznaczyć granicę, Neville’u – ale gdzie? – spytał Wilson, nadal prostując obolałe plecy.

– W Polsce. Właśnie tak zrobimy. Damy gwarancje Polsce.

Wiosna jak zwykle okazywała uczucia utyłanemu brudem i poharatanemu na duszy miastu Londyn. Padał deszcz. Nie była to ulewa, raczej rześki deszczyk, i Burgess się nim rozkoszował. Stał przez chwilę, licząc krople lądujące mu na gęstych włosach i spływające po twarzy. Od dawna nie czuł się taki odświeżony, prawie czysty. Uwielbiał wodę – potrafił pływać jak ryba i pić jak ryba – minęły jednak całe miesiące, odkąd po raz ostatni udało mu się znaleźć czas, żeby pójść na basen – no, prawdę mówiąc, od tamtego popołudnia, gdy dozorca z Hackney Metropolitan otwarcie wyraził niezadowolenie z powodu ilości czasu, jaki Burgess spędzał w szatniach, i zagroził, że wezwie policję. Najśmieszniejsze było to, że Burgess z nikim się tam nie spoufalał, a jedynie ucinał sobie poobiednią drzemkę. Było tam ciepło jak w macicy, mógł zwinąć się w kłębek i fantazjować, że świat, który tylko czekał, żeby się na niego rzucić, zwyczajnie przestał istnieć. Czasami fantazjował o łonie, o swojej matce i od dawna nieżyjącym ojcu, a także o zastępczym mężu, który zaległ między nogami jego rodzicielki – w miejscu

należącym do niego, w pierwszym miejscu na tym świecie, jakie kiedykolwiek zobaczył i które potem mu odebrano. Od dnia, w którym zakończył okres dojrzewania, zastanawiał się, jak by to było uprawiać seks z własną matką. Kiedyś podzielił się tymi myślami ze swoim wychowawcą z internatu w Eton, starym F.W. Dobbsem, wyrwały mu się przy herbacie i maślanych racuszkach w niedzielne popołudnie. To minie, padła życzliwa odpowiedź. Ale nie minęło. Wiedział, że to wszystko jest trochę pokręcone, lecz na pewno nie bardziej niż rzekomo normalni mężczyźni rozwalający cały pieprzony świat.

Przez te dygresje się spóźniał. Zawsze przychodził spóźniony. Mac z pewnością o tym wiedział, był cierpliwym człowiekiem. Upił tylko cal piwa, zanim Burgess wpadł do środka, dobre czterdzieści minut po umówionej porze. Burgess usiadł, ociekając wodą i lekko parując, a Mac zaczął swoją opowieść o ostatnich klientach.

– No więc każą mi wchodzić tylnymi drzwiami.

– Nie frontowymi?

– Nie, powiedziałem: tylnymi. Myśli pan, że ich nie rozróżniam? Biorę swoje rzeczy, idę przez Green Park i St. James's Park, a pół godziny później wpuszczają mnie do jego gabinetu.

– Czyjego konkretnie?

– Halifaxa.

– Lorda Halifaxa? – spytał zdumiony Burgess. – Jesteś pewny?

– Jasne, że jestem pewny. Ilu zna pan ludzi mniej więcej trzydzieści centymetrów wyższych od pana i mających tylko jedną rękę? Poza tym wolałbym, żeby przestał mi pan przerywać. Mam się poczuć, jakbym wrócił do przeklętej Rosji?

– Wybacz, Mac. – Burgess nabrał whisky w usta i próbował je nią przepłukiwać najdłużej, jak się da, topiąc w alkoholu nagle

zniecierpliwienie. Mac nie powiedział przez telefon, dlaczego chce się spotkać – rzecz jasna, nie mógł tego zrobić, Burgess zakazał mu mówić o czymkolwiek przez telefon. Ale domowa wizyta u Halifaxa?

– No więc jestem w jego gabinecie – to ogromne miejsce, jak pałac, przeróżne fotele, regały sięgające sufitu, marmurowe popiersia i stół, przy którym mogłoby usiąść ze dwadzieścia osób. Było tam też masywne biurko, pięknie rzeźbione, ze wspaniałym skórzanym blatem, największe, jakie kiedykolwiek widziałem. Bardzo ładne. Mnóstwo papierów, ale poukładanych w zgrabne sterty.

Burgess zapomniał o przyrzeczeniu cierpliwości i próbował coś powiedzieć z ustami wciąż pełnymi whisky. Mac zaczekał, aż jego towarzysz przestanie kaszleć.

– Obok okna stoi zwyczajne drewniane krzesło z rozłożonymi wokół gazetami, żeby chronić dywan. Po chwili przychodzi on, otoczony lokajami, i zaczyna się „Wasza Lordowska Mość to”, „Wasza Lordowska Mość tamto” i „Czy mogę zaproponować herbatę albo pocałować pana w tyłek, milordzie”. Czy oni nie zdają sobie sprawy, że on gwizdże i pierdzi tak samo jak każdy inny człowiek? I krwawiłby też tak samo, gdyby wbito mu nóż w brzuch. Widziałem to w obozach. Ich krew nie jest błękitna, jest czerwona, nawet na śniegu, taka sama jak u innych. W każdym razie na początku nie mówi nic oprócz „dzień dobry”, siada na krześle z plikiem papierów w ręce, ale szybko sobie uświadamia, że za chwilę będą całe we włosach, więc odrzuca je na bok i zaczyna się odprężać.

– Widziałeś, co to były za papiery?

– Tylko ten na wierzchu. Był zatytułowany „Gdańsk”.

Burgess przełyka ślinę. Mac widzi, jak jego grdyka podskakuje i wraca na swoje miejsce niczym umizgujący się gołąb.

– Pewnie nie udało ci się...? Nie, jasne, że nie. Ale szkoda... Gdańsk, jesteś pewny? Święty kutafonie...

Przekleństwo wywołało oburzenie za jego plecami.

– Wstyd! Wstydziliby się pan! – rozległ się damski głos.

Burgess odwrócił się zdumiony i natrafił na pełne wyrzutu spojrzenie kobiety w mundurze oraz bordowo-niebieskim czepku Armii Zbawienia. Trzymała naręczce gazet. „The War Cry”.

– „Albowiem ten, który bluźni w miejscu publicznym, na pewno poczuje bicz Pana” – zaintonowała złowrogo.

– Księga Kapłańska? – spytał nieśmiało.

– Nie, Beryl. – Rzuciła egzemplarz gazety na stolik. – To będzie co najmniej jeden szyling.

Burgess uśmiechnął się, uznając swoją porażkę, i dał jej dwa. Podziękowała mu mrukliwym „Bóg zapłać”, po czym ruszyła dalej w poszukiwaniu innych grzeszników.

– Nie wiedziałem, że jest pan religijny, panie Burgess.

– Nie jestem. Po prostu staram się nie palić żadnych mostów.

– Mosty to kosztowna sprawa – mruknął Mac, zauważając, że egzemplarz „The War Cry” pozostawiony przez Beryl kosztował zaledwie pensa. Ale Burgess chyba nigdy nie narzekał na brak drobnych.

– Właśnie mówiłeś, Mac...

– Tak, lord H. No więc zaczyna się odprężyć i mówić do mnie. Jak oni wszyscy. Pyta, czy moim zdaniem wybuchnie wojna. Mnie, jakby moja opinia w ogóle go obchodziła. Mówię, że to zależy, ale czuję, że on wcale nie słucha, po prostu chce wypuścić trochę pary. I jeszcze zanim zdążę dokończyć, zaczyna mówić o Czechosłowacji i o tym, jakie to wszystko jest okropnie smutne. Potem mówi, że to nie może

się powtórzyć i pora, żeby Hitler to zrozumiał. No więc zamierzają udzielić gwarancji Polsce.

– Wybacz, że przerywam, Mac, naprawdę przepraszam, ale proszę, błagam, postaraj się sobie przypomnieć, co dokładnie powiedział.

– Powiedział, że zamierzają udzielić gwarancji Polsce. Spytał mnie nawet, czy wiem, gdzie leży Polska. – Mac zaczął coś mamrotać do kufła z piwem, a Burgess skorzystał z okazji i zamówił jeszcze dwie duże irlandzkie whisky, które ustawił przed sobą jak barki z węglem na Tamizie.

– No więc powiedziałem, że matka mi mówiła, że to gdzieś niedaleko Rosji, a on na to, że właśnie tak. Polska tkwi między Niemcami a Rosją. I zamierzamy zagwarantować jej niepodległość. No więc pytam, co to oznacza. Czy to oznacza, że jeśli Niemcy będą chcieli kawałka Polski, my będziemy musieli pójść na wojnę?

Pierwsza z nowych whisky już zniknęła. Burgess obgryzał paznokcie kciuka, wpychał go sobie prosto do ust jak małe dziecko rozpaczliwie próbujące powstrzymać się od przeszkadzania i przerywania opowieści Maca.

– No więc on na to... – Mac sięgnął po piwo i pociągnął długi, powolny łyk. Igrał z Burgessem, obaj o tym wiedzieli, i wcale nie robił tego złośliwie, lecz droczył się z nim, przypominał mu, że w ciągu ostatnich miesięcy ich stosunki uległy zmianie i teraz to on jest górą. – On na to, że niekoniecznie. To zależy. No więc mówię mu, że nie rozumiem. Odpowiada, że to gwarancja polskiej niepodległości, ale niekoniecznie polskich granic. Te można by przesunąć, za porozumieniem, i nie byłoby w tym nic złego. Powiedział, że liczy się zasada.

– Zasada! Jaka znowu przeklęta zasada? – warknął Burgess, nie potrafiąc się dłużej powstrzymać. – To żadna gwarancja, jeśli nie dotyczy granic. Znowu się wykręcą, tak jak w wypadku Czechów. Trzeba będzie przeciągnąć tę zgrają za jaja za całą niemiecką dywizją pancerną, zanim uzna, że pora iść na wojnę.

– Chce pan iść na wojnę, panie Burgess?

– Nie, Mac, nie chcę. Ale myślę, że Hitler będzie nalegał.

– Ja też tak myślę. – Zauważył, że Burgess tak mocno poobgryzał paznokcie kciuka, że jego miękka część aż krwawiła, i że ponownie włożył go do ust. – Ale Herr Halifax jest innego zdania. Powiedział, że nie chce iść na wojnę – nie żeby mógł, rzecz jasna, przecież ma tylko jedną rękę – i sądzi, że udzielenie Polsce gwarancji może się okazać sprytną sztuczką. Właśnie tak brzmiały jego słowa: „sprytną sztuczką”. Jakby mówił o jakimś występie w teatrze rewiowym. Potem drzwi się otworzyły i wszedł następny nadęty kretyn. Wyglądał na kogoś ważnego i Halifax mówił do niego Rab...

– Rab Butler, numer dwa w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Największy z nich wszystkich zwolennik ustępstw.

– No więc ten gość mówi, że chce porozmawiać o gwarancji, że ma co do niej wątpliwości i że jeśli coś takiego ma przejść, musi mieć postać strawniejszą – tak to się mówi? – dla Herr Hitlera.

– Mój Boże, ależ ty masz pamięć.

– Gdy spędza się całe lata w obozach, gdzie nie ma nic do czytania oprócz samizdatów – a to tylko jedna strona raz na wiele tygodni – człowiek stara się zapamiętać, co się da.

– Z pewnością.

– W każdym razie strzygę dalej, starając się, żeby trwało to jak najdłużej i żeby jaśnie pan nie wyszedł z tego kompletnie łysy,

i delikatnie stąpam po gazetach, żeby nie narobić hałasu, który przypomni im o mojej obecności – a on mówi do tego całego Raba, że postanowił dopilnować, by gwarancja spełniła swoje zadanie i zapewniła pokój. Mówi, że Hitler na pewno zrozumie. Potem powiedział coś jeszcze. Zna mnie pan, panie Burgess, jestem łagodnym człowiekiem, ale słysząc jego słowa, zapragnąłem sięgnąć po brzytwę.

Burgess odstawił kieliszek. W środku zostało jeszcze pół whisky. Mac nigdy dotąd nie widział, żeby Burgess odstawiał nieopróżniony kieliszek.

– Mówi do tego drugiego, do tego Butlera, że wypełni swoje zadanie dopiero wtedy, gdy nieporozumienia między nami a Niemcami pójdą w niepamięć i ujrzy Führera jadącego po The Mall u boku króla...

– Matko święta – szepnął Burgess.

– Dodał, że za dwa tygodnie wypadają urodziny Hitlera, i spytał, czy Reichsleutnant Butler nie mógłby dopilnować, by przygotowano odpowiedni list z życzeniami od króla.

Zapadło długie i pełne napięcia milczenie. Burgess rozpaczliwie chciał usłyszeć coś więcej.

– I to wszystko. zaproponowałem, że przyjdę ponownie za trzy albo cztery tygodnie zadbać o jego fryzurę, a potem wykopali mnie do pokoju maszynistek, a sami rozmawiali dalej.

– Nie udało ci się przypadkiem rzucić okiem na papiery na jego biurku?

Mac przecząco pokręcił głową.

– Niech to szlag.

– Mogło być gorzej, panie Burgess. Wszystkie maszynistki poszły na lunch, w pokoju było pusto i, prawdę mówiąc, niezbyt schludnie.

No więc pomyślałem, że mógłbym tam trochę posprzątać.

Położył sobie fryzjerską walizkę na kolanach i otworzył ją. Przypominała skórzaną aktówkę z kieszeniami, w których po jednej stronie były brzytwy, nożyczki i grzebienie, a po drugiej maleńkie buteleczki płynów wydzielających słodki, mocny zapach. Mac poluzował sznurki przytrzymujące podszewkę i leciutko ją odchylił, pozwalając Burgessowi zajrzeć do środka. Pod podszewką walizka była wypchana cienkimi arkuszami papieru, głównie kopiami odbitymi przez kalkę, zawartością kosza spod biurka – pozostałościami po kolejnym pracowitym poranku w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Halifaxa.

Każdy miał swoje zdanie na temat gwarancji dla Polski – Joe Kennedy, rzecz jasna, także. Problem w tym, że uparcie dzielił się nim ze wszystkimi ludźmi w zasięgu jego głosu i gdy Brendan Bracken zjawił się w rezydencji ambasadora, żeby odebrać Annę, Kennedy już dawno przekroczył punkt oznaczający połowę butelki whisky z Tennessee. Namówił Brackena, żeby czekając na Annę, wypił z nim drugą połowę w wypełnionym książkami gabinecie.

– No to powiedz mi, Bracken – zaczął ambasador, podając gościowi ogromną kryształową szklankę i sadowiąc się z powrotem w przesadnie wyściełanym fotelu – co wy, Brytole, właściwie odpierdalacie? Gwarancje dla Polski? To jakby chcieć zagwarantować słońce w czasie tego waszego paskudnego lata.

– Muszę przyznać, że Winston i ja nie jesteśmy gorącymi zwolennikami gwarancji dla Polski, ale skoro Czechosłowacja przepadła, uznaliśmy, że Polska będzie lepsza niż nic. – Kennedy zauważył to „my”, to poleganie na nazwisku Churchilla. Właśnie dlatego Bracken zawsze go zastanawiał: czy ten człowiek kiedykolwiek

mógłby stanąć na ringu sam – choć, prawdę mówiąc, było to tylko jedno z setki pytań, jakie nasuwały się Kennedy’emu w związku z tym dziwnym, ognistowłosym fantastą.

– Przecież Polska jest jeszcze dalej niż pieprzona Czechosłowacja. Czechosłowacja miała wzmocnione granice i najlepsze fabryki broni w całej przeklętej Europie – dopóki tego wszystkiego nie oddalicie. Za to Polacy nie mają nic oprócz kilku zardzewiałych kawaleryjskich szabli i swoich piosenek o piciu.

– To tama na drodze dalszej niemieckiej ekspansji.

– Tak, tak, Chamberlain wciskał mi ten sam kit o kresce na piasku. Ale tamy pękają. A kreski na piasku zaciera wiatr. Co w takim razie zrobicie?

– Możliwe, że będziemy musieli walczyć.

– Walczyć? Czym? I przeciwko komu?

– Co ma pan na myśli?

– Daliście gwarancje Polsce, synu. Wiesz, gdzie ona jest? Tkwi między Niemcami a Rosją. W połowie drogi między młotem a kowadłem. To jak dawać gwarancję kurczęciu w szczękach aligatora. W końcu będziecie musieli walczyć sami przeciwko całemu pieprzonemu światu za zgrają Polaczków, którzy nie umieją nawet sikać prosto.

– Przecież Ameryka ostrzegała...

– Hej, wstańmy wszyscy i zaszalujmy – zadrwił Kennedy.

– Demokracje powinny się wspierać.

– Jak dziwki na rogu ulicy. Słuchaj, Ameryka przed niczym nie ostrzegała. To pan Franklin Barania Głowa Roosevelt mówił, co mu ślina na język przyniesie. I właśnie dlatego, że w Ameryce jest demokracja, możecie postawić ostatniego dolca, że my, Amerykanie,

nie damy się wplątać w następną europejską wojnę. Mamy dość przywożenia trumien do domu. Roosevelt może paplać, co mu się podoba, ale w przyszłym roku są wybory prezydenckie. Nie chcemy wojny i nie zamierzamy wybrać prezydenta, który jej chce, zapamiętaj moje słowa. – Kennedy turlał szklanekę między dłońmi, spoglądając na nią, jakby była oknem na wszystkie tajemnice jutra. – Polityka Białego Domu to dziś nic więcej jak jedna wielka, przereklamowana żydowska produkcja. A jeśli stary drogi Franklin będzie się upierał, no cóż, chyba po prostu będziemy musieli go wykopać. Zastąpić kimś lepiej współbrzmującym z odczuciami narodu.

– Ach... kimś takim jak pan?

– Hej, nie ma tego złego... – Kennedy wstał, chichocząc. – W każdym razie przyjmij dobrą radę. Jeśli naprawdę myślisz, że ta polska sprawa jest kupą dobrze przegniętego końskiego gnoju, poprzyj słowa czynami. Sprzedaj tanio polskie papiery wartościowe. Tak jak ja sprzedałem czechosłowackie.

Ponownie sobie dolał, ale Bracken odmówił, zasłaniając szklanekę ręką. Zrobił to jednak za późno, burbon oblał mu grzbiet dłoni. Gwałtownie spojrzeli sobie w oczy – Brackena były poczerwieniałe ze zniecierpliwienia, Kennedy'ego ze zdumieniem wpatrywały się w człowieka, który odmawia darmowego drinka. Ktoś taki bez wątpienia nie pasował do jego domu, a już z pewnością nie do jego prywatnego gabinetu. Ambasador nie przeprosił i tylko opadł ciężko z powrotem na swoje miejsce.

– A właściwie to co pan tu robi? Nie przypominam sobie, żebym pana zapraszał.

– Przyjechałem po Annę. Zabieram ją na kolację.

– Za chwilę zejdzie. Właśnie kończy wysłać telegramy, które jej dałem.

– Dziękuję.

– Dokąd ją pan zabiera?

– Do teatru, a potem do Savoya.

– Dobrze. Cieszę się, że odpowiednio ją pan traktuje. To ważne, żeby odpowiednio traktować dziewczynę. – Nagle gwałtownie pochylił się do przodu, spoglądając mętным wzrokiem zza okrągłych okularów.

– Ostatnio cholernie często się spotykacie, prawda? Niech mnie szlag, jeśli wiem, co ona widzi w takim Angliku. Jej ojciec przewraca się w grobie. Posuwa ją pan?

– Przepraszam, ale...

– Posuwa ją pan? Muszę dbać o jej interesy. In loco parentis i takie tam pierdoły. Obiecałem jej matce. No więc posuwa ją pan?

– Nie sądzę, żeby to była pańska...

– Jasne, że to moja sprawa, psiakrew. Ona jest amerykańską obywatelką, do cholery, a ja jestem pieprzonym amerykańskim ambasadorem. W przyszłym roku mogę zostać kimś więcej. – Alkohol uderzył mu do głowy, coraz bardziej gmatwając zarówno jego logikę, jak i słowa. – Spotyka się pan z nią od miesiący. Na pewno ją pan dyma. Przecież to naturalne. – Machnął szklanką w stronę oprawionych w ramki plakatów znanych aktorek, które wisiały nad kominkiem. Pośrodku, na honorowym miejscu, widniała podobizna Swanson. – Puknąłem Glorię, o tak. Cudna kobieta. Posuwałem także wszystkie pozostałe, co do jednej. Moje małe towarzyszyki zabaw. Tę na końcu, małą Ethel, dałem Duggy'emu Fairbanksowi. Miał ją zapisaną w kontrakcie. Wiesz, Bracken, w twoim wieku dymałem wszystko, co się rusza. Ale łącznie z żoną, rozumiesz. To ważne. Nie zaniedbywać

żony. Chłopaki popełniają ten błąd i pakują się w niezłe gównno. Musisz je wszystkie dobrze traktować, żony też. No więc powiedz mi – dobrze traktujesz małą Annę?

Bracken, nie mając pewności, czy według ambasadora „dymanie” Anny zasługiwałoby na karę śmierci, czy na gratulacje, zwrócił się w stronę prawdy.

– Mój związek z Anną jest absolutnie honorowy.

Niech to szlag. Była czysta, poprosiła go o cierpliwość, wiele obiecywała, ale niezbyt prędko. Jego ideał kobiety. Nieskalana, bez przeszłości, nieprzechodzona, taka, z którą mógłby paradować przed innymi mężczyznami, nie martwiąc się, że zaczną wymieniać znaczące, pożądliwe spojrzenia. Musiał mieć kobietę – tego wymagała ambicja – a Anna była najlepszą kobietą, o jakiej mężczyzna mógł marzyć.

– Więc jej pan nie dyma? – mruknął odurzony Kennedy, akurat w chwili, gdy na schodach rozległy się pospieszne kroki jego siostrzenicy.

– Nie – odrzekł cierpko Bracken.

– Nie dyma jej. A to ci dopiero – mruknął Kennedy do szklanki, kręcąc głową. – Nie dyma jej pan. A mógłbym przysiąc, że ktoś to robi...

Zbliża się Wielkanoc 1939 roku. Mnóstwo żonkili. I optymizmu. Gwarancja dla Polski wyraźnie podreperowała reputację Chamberlaina – choćby dlatego, że na chwilę zamknęła usta jego krytykom. Narobili wrzasku w związku z brakiem działań po zajęciu Czechosłowacji, więc nie mogli narzekać, gdy postanowił chronić Polskę – w dodatku zbliżały się wybory. Odnosiło się wrażenie, że życie niektórych ludzi prawie wróciło do normalności.

To, co uchodziło za normalność w życiu Burgessa, wyglądało jednak zupełnie inaczej.

Miał nowego przyjaciela – Toma Driberga – który z kolei miał dom, walące się probostwo na cyplu wbitym w ujście Blackwater w Essex. Driberg kupił tę nieruchomość powodowany nadmiernym entuzjazmem kilka miesięcy wcześniej, mimo że nie miał środków na podreperowanie niszczących fundamentów. Miał jednak szczęście. Depozyt dotarł w formie odszkodowania za obrażenia ciała, jakich doznał w wypadku samochodowym, w którym złamał nos i kolano, a resztę zagwarantowała mu jego reputacja Williama Hickeya z „Daily Expressu”, która posłużyła jako zabezpieczenie debetu do chwili przyjęcia spadku po matce umierającej na zapalenie płuc. Tymczasem polecił budowlańcom, żeby wrzucili do piwnicy stalowe dźwigary mające uchronić dom przed dalszym osiadaniem oraz by zainstalowali system centralnego ogrzewania chroniący go przed chłodnymi wiatrami znad ujścia rzeki. Budowlańcy zrobili, o co prosił, i w kilka dni dom stał się zupełnie niezdatny do zamieszkania.

Tak więc w tygodniu poprzedzającym Wielkanoc można było zauważyć Driberga jadącego samochodem ku dalekim krańcom Essex, żeby ocenić postępy prac budowlanych, a także trochę się zabawić. Z myślą o tym drugim celu zaprosił Burgessa. Choć obaj byli niesławnymi i mało wybrednymi seksualnymi rozbójnikami, szczególnie podobali się sobie nawzajem. Łączyła ich zupełnie wyzuta z zainteresowania, niemal siostrzana przyjaźń, lecz mieli również wiele innych wspólnych pasji – politykę, dziennikarstwo, toalety publiczne, zamiłowanie do ryzyka i szybkich samochodów. Wpakowali się do studebakera Driberga i wyruszyli z Londynu w podróż przez Essex. Zatrzymali się na lunch w pubie tuż przed

wioską Steeple, a gdy znowu wsiedli do samochodu, Burgess, który prowadził, położył sobie na kolanach butelkę Johna Jamesona. Jechali zbyt szybko i zbyt długo pili. Katastrofa była jeśli nie nieunikniona, to przynajmniej prawdopodobna, ale właśnie o to chodziło. Łączył ich głód ryzyka graniczący z wewnętrznym przymusem.

Niebezpieczeństwo pojawiło się, kiedy jechali prawie sześćdziesiąt mil na godzinę, zbliżając się do skrzyżowania po drugiej stronie Steeple, i na ich drodze pojawił się rozkołysany rowerzysta. Burgess zaklął, potem gwałtownie odbił w bok, wpadł w poślizg i wreszcie zatrzymał się prawie sto jardów dalej, przy okazji zupełnie niszcząc znak drogowy. Driberg opuścił szybę, żeby obrzucić nieszczęsnego rowerzystę wyzwiskami – co okazało się ich drugim pechem, ponieważ rowerzystą był miejscowy policjant.

Gdy podjechał, przywitał go odurzający aromat whisky. Burgess upuścił butelkę, próbując odzyskać panowanie nad samochodem, i teraz jego ubrania były przesiąknięte alkoholem.

– Pił pan – rzucił oskarżycielsko posterunkowy.

– Nie, panie władzo – skłamał Burgess. – Nie piłem. Ja tylko rozlewałem. Zmarnowała się prawie cała butelka wybornego trunku. Zapewniam pana, że tylko wznieśliśmy toast za rodziców mojego obecnego tu przyjaciela. Jest Czechem, rozumie pan, i od tygodni nie miał o nich wieści. Chyba w tych okolicznościach okaże pan trochę wyrozumiałości...

– Paskudne dranie! – krzyknął policjant, zaglądając do samochodu.

Właśnie przyjrzał się Dribergowi, który siedział z tyłu. Driberg nie był sam. Obok miał młodego mężczyznę, boja hotelowego, którego Burgess zabrał w charakterze prezentu na parapetówkę. Zarówno Driberg, jak i chłopiec byli w nieładzie, ponieważ usilnie próbowali

włożyć z powrotem ubranie, którego właśnie się pozbyli, żeby poeksperymentować z seksem, jadąc siedemdziesiątką po wyboistej drodze wyjazdowej ze wsi. Driberg nie zaprzętał sobie głowy zdejmowaniem butów i w rezultacie nie był teraz w stanie szybko włożyć spodni. Jego poskręcana bielizna nadal tkwiła na wysokości kolan.

– Będziecie prosić na kolanach, żebym się nad wami zlitował – oznajmił funkcjonariusz bez cienia ironii w głosie, upuszczając rower na trawiaste pobocze oraz sięgając po notes i ołówek. – Pan... jak się pan nazywa? – spytał surowo, pokazując na Driberga.

– Ach, pyta pan, jak się nazywam? William Hickey.

– Jak to się pisze?

– Tak jak w „Daily Expressie”.

– Nie pogrywaj ze mną, ty cholerny degeneracie.

– Nie, panie władzo, mówię poważnie... Nazywam się William Hickey. Pracuję w „Daily Expressie”. Proszę spojrzeć. – Podsunął policjantowi aktualny numer gazety.

– To niczego nie dowodzi – powiedział policjant, przerzucając kartki.

– Niech pan zadzwoni do redakcji. Mogę podać numer. Poza tym mam tu gdzieś swoją legitymację prasową – dodał, usiłując wciągnąć spodnie.

– Pan chyba żartuje. Moja mama bez przerwy czyta Williama Hickeya.

– Mogę panu dokładnie powiedzieć, co jest w dzisiejszej kolumnie. Jeśli pan chce, powiem nawet, co będzie w jutrzejszej. – Driberg wysiadł już z samochodu i stał obok policjanta, wreszcie przyzwoicie ubrany, rozmawiając z nim jak mężczyzna z mężczyzną.

- Naprawdę jest pan Williamem Hickeyem?

- Słowo honoru. A to wszystko, panie władzo - machnął ręką w stronę spodni - wcale nie jest takie, jakie się wydaje. Po prostu upuściłem zapalonego papierosa i strasznie się sparzyłem.

- Ale on powiedział, że pochodzi pan z Czechosłowacji.

- Ze strony matki. Jest hrabiną. Ja sam jestem jednak równie brytyjski i równie dumny z tego faktu jak pan. Obecna sytuacja bardzo mnie martwi. A pana?

- Znosi się na wojnę. Tak mówi moja mama.

- Święta prawda. Wkrótce wszyscy będziemy jeździli czołgami. Nie ma sensu walczyć ze sobą nawzajem z takiego powodu jak ten, prawda?

Policjant kręcił głową, nie posiadając się ze zdziwienia.

- Mama padnie, kiedy się dowie, że poznałem Williama Hickeya.

- Jeśli pan chce, z przyjemnością podpiszę dla niej gazetę. Niech mi pan pożyczy ołówek.

I nagle policjant przestał robić notatki.

- Powinienem przynajmniej zapłacić za znak, który zniszczyliśmy

- nalegał Driberg, wyjmując plik banknotów przygotowany dla budowlańców.

- Jeśli jest pan Williamem Hickeyem, to o czym napisze pan jutro?

- spytał policjant, nadal nie do końca pojmując, co się stało.

- No cóż... Skoro pan pyta. Przeprowadzam się w te strony - uwielbiam je, wszyscy są tu tacy mili - i z radością wspomnę o przyjaznej miejscowej policji.

- Jak to? W kolumnie Williama Hickeya?

- Gwarantuję to panu.

- Wie pan co, panie Hickey, nie ma potrzeby płacić za nowy znak. Da mi pan parę funciaków na alkohol, a ja ściągnę tu kilku gości z Rose and Crown, żeby go naprawili. Bez zbędnego zamieszania. Jutro będzie jak nowy.

- A co mam napisać dla pańskiej matki? Wesołego alleluja? Coś w tym rodzaju?

- Byłoby naprawdę wspaniale, sir. Może pan to zrobić w moim notesie? - Wyrwał kartkę, na której wcześniej pisał, i podsunął Dribergowi czystą. - Mama padnie jak bum-cyk-cyk...

Sam Chamberlain w niezwykle wyrachowany sposób nieustannie próbował wprowadzać w błąd korespondentów politycznych, prezentując nam coś, co później okazywało się najbardziej groteskową wersją prawdy. Uparcie przedstawiał optymistyczne prognozy dla międzynarodowej przyszłości, będące zwykłym kłamstwem. We wszelkich sytuacjach i wszelkich kryzysach, nawet tych najgroźniejszych, zawsze twierdził, że perspektywy są bardzo pokrzepiające, a niebo bezchmurne. Utrzymywał, że ma doskonałe kontakty z Hitlerem i Mussolinim, i że dyktatorzy wykazują zrozumienie i dobrą wolę. Był pewny, że gdyby tylko lewicowe gazety przestały o nich pisać w krytyczny i obraźliwy sposób, Herr Hitler i signor Mussolini (zawsze skrupulatnie używał słów „Herr” i „signor” na znak szacunku i marszczył brwi, słysząc jakiegokolwiek bezceremonialne odniesienie do Hitlera) współpracowałiby z nim w ramach jego inicjatywy na rzecz pokoju.

Zapomnijcie zatem o swoich zmartwieniach, mówił nam, sytuacja na świecie nigdy nie była bardziej obiecująca, te wszystkie

wichrzyielskie historie zmyślili komuniści, żydowscy propagandyści i ich sympatycy [...].

W przeddzień świątecznej przerwy wielkanocnej Chamberlain spotkał się z naszą grupą (z dziennikarzami) na kolejnej optymistycznej konferencji. Uspokójcie opinię publiczną, apelował do nas, najgorsze już za nami, nie będzie kolejnych wstrząsów ani niespodziewanych działań ze strony dyktatorów – był przekonany o ich dobrych intencjach. Radził nam, żebyśmy spędzili święta z dala od trosk i smutków.

Na dokładkę dorzucił, że sam też skorzysta z tej rady i wieczorem wyruszy ekspresem do Aberdeen, by w czasie świąt łowić łososie w Dee.

James Margach, *The Abuse of Power*

Nazajutrz był Wielki Piątek.

Jeszcze zanim Chamberlain zarzucił pierwszą muchę, zanim jego pokrzepiające słowa zdążyły ostygnąć, zanim wyschła farba drukarska na porannych gazetach, dyktatorzy uderzyli ponownie. Oddziały Mussoliniego wmaszerowały do Albanii.

Wczoraj Albania była na drugim końcu świata, teraz odnosiło się wrażenie, jakby cały świat się przesunął i Sue Graham prawie słyszała huk wystrzałów. Wielkanoc nie była taka, jak sobie zaplanowała. Jej plany obejmowały Jerry'ego – w zasadzie skupiały się wyłącznie na nim – lecz teraz świat nie mówił o niczym innym jak tylko o wojnie, i z całą delikatnością, na jaką mogły się zdobyć te oksymorony w sztabie, wysłano go na tygodniowe przysposobienie wojskowe, żeby nauczył się strzelać ślepakami. Przeszedł dobre przysposobienie pod Ypres, czy to nie wystarczało?

Tego dnia brakowało pocztowych obowiązków, które mogłyby skupić jej uwagę, i Sue została zatem sama, co miało większe znaczenie, niż jej się wydawało. Ogromnie tęskniła za Jerryem. Poprzedniego dnia wieczorem zdjęła rodzinną Biblię z najwyższej półki w szafie i usiadła na swoim wąskim łóżku – na łóżku, o którym od razu powiedział, że powinna je wymienić na coś wygodniejszego, a ona, choć już wtedy to wiedziała, z zaskakującą wewnętrzną siłą poczuła teraz, że miał na myśli także własną wygodę – żeby po prostu obejrzeć różę, którą jej podarował. Snuła się nawet po domu w jego luźnej marynarce, którą zostawił powieszoną na tylnej części kuchennych drzwi. Chciała go po prostu dotknąć i poczuć jego zapach. Potem przespacerowała się ich ulubioną trasą, wzdłuż krawędzi klifów Bournemouth, obok hotelu Highcliffe. Bryza mierzwiła jej włosy, jego szalik osłaniał jej twarz.

Pochyliła głowę na wietrze i żwawo szła w stronę najwyższego punktu klifów, usiłując sobie wmówić, że łzy w kącikach jej oczu to jedynie skutek świeżego morskiego powietrza szczypiącego ją w policzki. Gdy dotarła na szczyt, zatrzymała się i z nagłym zaniepokojeniem podniosła głowę. Dlatego że bryza przynosiła nie tylko zapach soli, lecz także ostrą woń zimnej, naoliwionej stali...

Jej pełne łez oczy zwróciły się w stronę morza. Było najeżone okrętami wojennymi z lśniącymi działami, desantowcami pełnymi mężczyzn, wypluwającymi na plażę armię w szarych mundurach, a bombowce z wygiętymi skrzydłami spadały z nieba, wyjąc i plując wokół deszczem śmierci – gdzieś morze robiło się czerwone. Widziała na plażach chaos i zamęt – oraz śmierć – a to wszystko było prawie wyłącznie udziałem Brytyjczyków...

Sue potrząsnęła głową. Oczywiście był to tylko wytwór jej wyobraźni. I dalekowzroczności. Zmierzyła plażę trzeźwym spojrzeniem i zobaczyła jedynie lekko pochyłe wydmy i kamyki, a w oddali mężczyznę z psem. I na tym chyba koniec, prawda? Tylko mężczyzna z psem, bo oprócz nich nie było tam niczego: ani pola minowego, ani bunkrów, ani choćby jednego sznura drutu kolczastego, ani broni, ani nawet otworu strzelniczego. Niczego. Niczego, co mogłoby zatrzymać te okręty, desantowce, bombowce i te wszystkie rekwizyty wojny, która z pewnością miała wybuchnąć. Obrona opierała się jedynie na strusim optymizmie. „Raz jeszcze w wyłom, kochani, raz jeszcze, Czy ma go zatkać stos ciał naszych braci?”². Zaczynając od ciała Jerry’ego.

Dużo mieli na sumieniu ci mężczyźni w Westminsterze, którzy siedzieli i nie mogli się zdecydować, przekreślając w ten sposób ofiarę poniesioną przez tych, co krwawili, cierpieli i ginęli w ostatniej wojnie. Tak jak jej tata. A teraz chcieli także Jerry’ego.

Po co była ta wojna, skoro nie położyła kresu masakrom, nie uchroniła Jerry’ego i jemu podobnych od maszerowania na rzeź, zmuszając kobiety do zostania w domu i we łzach, a dzieciom zostawiając jedynie wyblakłe wizerunki mężczyzn w sepii? No cóż, Sue nie zamierzała być zapłakaną wdową, bezradnie załamującą ręce. Jej tata zginął jak dumny mężczyzna, został pochowany w niedzielnym garniturze z medalami na piersi, i niech ją piekło pochłonie, jeśli pozwoli przeklętym szkopom podeptać jego pamięć, tak jak podeptali jego życie. Pracowała na poczcie. Znała się na różnych rzeczach. Przede wszystkim znała ludzi – wszystkich ludzi – wiedziała o sprawach, o których czasami wie jedynie kobieta. Znała tych, którzy byli zbudowani ze stali, i tych, którzy mogli się ugiąć. Znała plotkarzy,

wojowników, zwolenników kompromisu i jawnych tchórzy. Tych, którzy mogli stawić opór, wytwarzać bomby albo sabotować, oraz tych, którzy na widok pierwszego niemieckiego najeźdźcy podnieśliby ręce i halki.

Możliwe, że do tego dojdzie. A skoro miało do tego dojść, nie było najmniejszego sensu iść za przykładem Chamberlaina i zaczynać od jutra, dzień po tym, gdy zrobiło się za późno. Podjęła zatem decyzję. Zacznie jeszcze dziś po południu. Zacznie robić plany, sadzić jeszcze więcej warzyw i zasieje kilka nasion wśród tych, którzy będą zmuszeni zostać, gdy wszyscy młodzi mężczyźni wyjadą. Nasion oporu. Była to winna Jerry'emu i swojemu tacie.

Usiedli na tarasie z widokiem na rzekę, ciesząc się, że mogą zaczerpnąć świeżego powietrza. W środku panował zaduch po przeprowadzonym teście gąszczelności. Robotnicy byli zajęci instalowaniem szczelnych okien, a do zaciemniających rolet i osłon przeciwwybuchowych dodano nowe drzwi dwuskrzydłowe i ekrany, przez co atmosfera w środku stała się apatyczna, a czasami niemal wymarła.

– Nie daję sobie z tym wszystkim rady, Dickie.

– Masz na myśli lodziarzy w Albanii?

– Mam na myśli tę całą nieporadność. Wyjeżdżamy na święta przeświadczeni, że będzie pokój, a potem musimy czym prędzej wracać, bo może być wojna. Jasne, nie ma sprawy, ale zbliżają się wybory. Jak, u licha, mam wyjaśnić to wszystkim wyborcom, skoro nie potrafię tego wyjaśnić nawet sobie?

– Rzeczywiście, popsuł nam całą przyjemność.

– To cudownie, że Neville obiecał nam zieloną i przyjemną ziemię, ale powinien przestać pokrywać całe podwórze końskim łajnem.

- Jesteś dla niego trochę zbyt surowy, stary. Co Neville miał zrobić? Hitler i Mussolini to chuligani, bez dwóch zdań, a jak się postępuje z chuliganami? Pozwala się, żeby przeszli przed frontowymi drzwiami. Ostatnią rzeczą, jaką robisz, jest wciągnięcie ich do salonu i rozpoczęcie zażartej kłótni.

- A co, jeśli oni tak po prostu nie przejdą obok? Co jeśli nasze drzwi też chcą rozwalić kopniakiem?

- Masz na myśli inwazję?

- Mam na myśli wkroczenie. To, co robią wszędzie indziej.

- Ależ Ianie, przecież mamy kanał La Manche.

- Aha, rozumiem. Będziemy siedzieli i modlili się o złą pogodę, tak?

- Ten pesymizm jest zupełnie nie w twoim stylu, stary. Nie martw się, ktoś znajdzie rozwiązanie.

- Na przykład pieprzony Wehrmacht? Nie, Dickie, tak dalej być nie może. Trzeba coś zrobić.

- Przede wszystkim zasady, Ianie. Pora na zmiany jest wtedy, gdy zmiany stają się nieuniknione. Nie wcześniej.

- Możliwe, że to już niedługo.

- Dobry Boże, chyba nie myślisz... Tylko nie Winston. Nie w rządzie.

- Masz rację, to nieprzyjemna ewentualność. Ale mimo wszystko ewentualność.

Dickie skrzywił się, jakby w jelicie grubym utworzył mu się supeł.

- Tylko nie przekłety Winston. Potrzebujemy teraz pewnej ręki na sterze, a nie upartego alkoholika, który nadal gorączkowo usiłuje odzyskać reputację po tym, co stało się w okopach Gallipoli. I dlatego

dziękuję Bogu za Neville'a. Nawet jeśli cała Europa stanie w płomieniach, on wyciągnie nas z pożaru.

– Czyżby? Właśnie to mnie martwi. Gwarancja dla Polski oznacza, że nie będziemy mieli wyboru. Jeśli wkroczą Niemcy, będziemy musieli iść na wojnę, czy nam się to podoba, czy nie.

– Neville nas z tego wyciągnie. Jakoś. – Słowa brzmiały odważnie, ale w oczach Dickiego pojawił się paniczny błysk. Na kilka minut zamilkli, wpatrując się w barki z węglem sunące w górę rzeki. Wody Tamizy wartko przepływały obok, jakby zmierzały w jakieś ważniejsze miejsce.

– Wiesz, Dickie, w bezchmurny dzień widać stąd nawet Clapham.

– Co my zrobimy, Ianie? Co my zrobimy, na litość boską?

– Może czas takich jak ja i ty dobiegł końca. Dostaliśmy swoje pięć minut. Polityka nie ma już chyba większego znaczenia, brakuje jakiegokolwiek wspólnej płaszczyzny. Może pora uciec w góry. Szepnij słówko rzecznikowi dyscypliny, przypomnij mu, jacy byliśmy lojalni. Długie lata lojalności rozciągnięte jak tygrysia skóra. Nie można tego powiedzieć o Winstonie i wszystkich innych zawodnych przyjaciółach.

– Myślałem, że mamy się modlić o burzę.

– Nie o to chodzi, Dickie. Ty i ja moglibyśmy jeszcze służyć narodowi przez długie lata. W Izbie Lordów.

– Na tym oddziale pacjentów w śpiączce?

– Dlaczego nie? Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby umrzeć jako par. Droga do życia po śmierci wydawałaby się o wiele krótsza.

Za domem była szklana przybudówka sąsiadująca z małym ogródkiem, w której Carol szyła i dziergała, cerowała skarpety, przerabiała ubrania albo suszyła włosy na wałkach, mając na oku Petera i Lindeę, gdy dzieci się bawiły. Jeśli nie padało i szklany dach nie

przebiegał, siadywała tam z Makiem przy stole na kozłach, żeby czytać i pisać.

Robiła wspaniałe postępy, wszystkie litery i dźwięki wpadały na swoje miejsce, słowa ożywały, a jej palce pisały z niezwykłą wprawą – nie było to jednak żadnym zaskoczeniem dla Maca, który doskonale znał jej zwinne i zręczne palce oraz wiedział, co potrafią wyczarować. Wyglądało na to, że jej analfabetyzm wiązał się raczej z zaniedbaniem ze strony rodziców niż z ignorancją czy brakiem zdolności. Gdy czytanie otworzyło przed nią całe światy pełne nowych pomysłów, odniósł wrażenie, że zostawiła za sobą ogromną część przeszłości. Czytając i poznając nowe słowa, często się śmiała, przypominało to jakąś wspaniałą grę i w końcu zaczynała wygrywać. Dzieci też się śmiały, kiedy był w pobliżu – Peterowi służyła chyba sama obecność innego mężczyzny, z którym o wiele fajniej bawiło się w berka i biegało niż z młodszą siostrą. Nawet mała Linda okazywała radość. Tego ranka podbiegła do Maca, objęła rączkami jego nogę, wybełkotała „Uwuu”, po czym go ugryzła.

Całe to zainteresowanie sprawiało jednak, że Mac czuł się nieswojo. Nie był przyzwyczajony do komplikacji, a małe dzieci okazujące mu miłość wydawały się beznadziejnym uwikłaniem. Wiódł bardzo proste życie – jadł, pracował, dbał, żeby było mu ciepło, starał się przetrwać – lecz miłość oznaczała odpowiedzialność za kogoś innego niż on sam, a odkąd Mac zobaczył, jak rozpryskuje się głowa nieszczęsnego Mońka, nie odpowiadał za nikogo.

– Co się z tobą dzieje? – spytała ostro Carol.

– Nic – odpowiedział – po prostu nie mogę się skupić. Zapnij górny guzik, kobieto, to mnie rozprasza. I czytaj ten swój magazyn.

- Okej. Jeszcze pięć minut. Potem muszę pójść po urodzinowy podwieczorek Petera.

Peter kończył dziś dziesięć lat. Mac kupił mu kowbojski kapelusz.

Carol przewróciła kartkę magazynu. Jakiś czas temu Mac zaczął przynosić do domu stare numery „Illustrated London News” z Trumper’s – połączenie obrazów i słów z tym, co słyszała w radiu, ożywiało lekcje i wypełniało wiele luk. Przyjrzała się leżącej przed nią stronie.

- Co to jest zaćmienie, kochany? – Wyraźnie wymówiła nowe słowo.

- Zaćmienie jest wtedy, gdy słońce znika w ciągu dnia. Kiedyś zwiastowało to nieszczęście.

- Piszą, że będziemy je mieli za dwa dni. W takim razie lepiej zostań ze mną w łóżku, złociutki. Może tam będziesz miał więcej szczęścia. – Znowu się roześmiała i zaczęła się bawić występnym guzikiem bluzki, lecz nagle przestała. – A o co chodzi z tym Musso i jego pomidorowymi głowami? – Przyjrzała się zdjęciu chaosu w Albanii i dokowi pełnemu żołnierzy. – „Kolumna cyklistów”?

- Cyklistów – poprawił ją.

- „...których mobilność okazała się bardzo pomocna podczas szybkiego posuwania się naprzód...” Czasami żałuję, że nie jest jak dawniej, kiedy nie umiałam przeczytać ani jednego przeklętego słowa. – Z niesmakiem przewróciła kartkę. – Och, niech to szlag. Tu jest jeszcze gorzej. – Patrzyła na zdjęcia Madrytu z końca hiszpańskiej wojny domowej. Powykręcane pomniki, pochylone jak pijacy. Zbombardowane mosty. Gruz na miejscu domów. Strzępy tkaniny, która kiedyś mogła być zasłonami w sypialni, obrusem albo

dziecięcym ubrankiem, a teraz smętnie powiewała na wietrze. I żadnych ludzi. – Mac, gdzie się podziali ci wszyscy ludzie?

Pokręcił głową, usiłując ukryć ból w oczach. Znowu był w Polsce, stał pod walącą się ścianą obok zniszczonego kurnika, a w uszach wciąż pobrzmiwało mu echo krzyków Aszkenaziego. Aszkenazi był najmłodszy w jego klasie. Na początku nie krzyczał, po prostu stał i przyglądał się wnętrznościom, które wypadły mu na ręce, gdy rozpiął bluzę. Dopiero po chwili zaczął krzyczeć, aż w końcu jakiś Rosjanin wpakował mu kulkę, żeby zamilkł. Na mundurze Maca też była krew, cudza, ani jego, ani Aszkenaziego, może Icchaka, i Mac przypomniał sobie, jak się ucieszył, gdy zdał sobie sprawę, że ta krew nie jest jego. Przypomniał sobie także, jak postanowił, że bardzo chce żyć, że nie chce umrzeć razem z Aszkenazim pod tym zburzonym kurnikiem. Przypomniał sobie to wszystko właśnie teraz, a rozpaczliwie chciał tych wspomnień unikać.

– „Spus-toszenia wojenne w mieście po trzydziestu miesiącach na linii frontu”. – Carol odwróciła się do niego i uparcie spytała: – Co to wszystko znaczy, kochanie?

– Spustoszenia? To znaczy...

– Wiem, co znaczy to cholerne słowo. Ale te wszystkie... wojny, bomby, to umieranie. W ubiegłym miesiącu była Czechosłowacja, a teraz... to. – Ze złością odepchnęła magazyn. – Obiecali nam, Mac, obiecali. Pokój dla naszych czasów. No więc co to wszystko ma znaczyć?

Odwrócił wzrok, próbując jeszcze raz ukryć ból w oczach, i zobaczył, jak Peter w za dużym kowbojskim kapeluszu goni swoją małą siostrę po trawniku, używając grabi w charakterze karabinu.

– Mam dziesięć lat, mam dziesięć lat! – wołał. – Pif-paf! Nie żyjesz.

Och, mały Peterze, po co ten pośpiech, po co ten pośpiech, już
niebawem przyjdzie na to wszystko czas. Aszkenazi też miał urodziny.
W dniu swojej śmierci skończył szesnaście lat.

2 W. Shakespeare, Henryk V, w: tegoż, Tragedie i kroniki, tłum. S. Barańczak,
Kraków 2013, s. 1350.

Rozdział jedenasty

Wspaniały wieczór, przepelniony pićm i werbalnym brakiem umiaru. Churchill analizował jego znaczenie, siedząc na tylnym siedzeniu taksówki, która wiozła go do domu. Rzadko przepuszczał zebranie Innego Klubu, kolacyjnej grupy dyskusyjnej, którą utworzył blisko trzydzieści lat temu razem ze swoim ekstrawaganckim parlamentarnym kolegą F.E. Smithem. Przyświecał im jasny cel – jeść, pić, debatować i spierać się z innymi ludźmi mającymi władzę i własne zdanie. „Zasady i stosunki panujące w Klubie – głosiła jego konstytucja – nie będą w żaden sposób kolidować z obcesowością i urazami w łonie partii”. I nie kolidowały.

Zebrali się w sali bankietowej Pinafore w Savoyu. Była ozdobiona wspaniałymi obrazami trompe l'oeil przypominającymi wiktoriańską operę komiczną, ale tego wieczoru dyskusja nabrała wyjątkowo obcesowego charakteru. W takie wieczory poczucie ładu zawsze było co najmniej lekko osłabione i zaczęło się rozpadać, gdy tylko jeden z obecnych przypomniał grupie, że zbliża się trzecia rocznica powołania Chamberlaina na stanowisko premiera. Jak na komendę i w stylu dyrygenta zaklinającego walkirie, Bracken zaczął gwałtownie wymachiwać rękami i potępiać „rząd oparty na stosie starych parasoli i namaszczeniu”. Wymagało to reakcji ze strony jedyne go obecnego wśród nich ministra, który wkroczył na ścieżkę nieuchronnie prowadzącą do konkluzji, że polityka zagraniczna Chamberlaina, mimo wszelkich przeciwności losu, jest przede wszystkim

jednoznacznie etyczna. Nawet sam minister przypuszczał, że wysuwając taki argument, posunął się co najmniej o krok za daleko, ale alkohol skłania polityków do przekraczania granic własnej logiki, więc tego się trzymał. Dotarłszy do końca drogi, odwrócił się, żeby spojrzeć w twarz oskarżycielom, i sięgnął po kieliszek, wznosząc wyzywający toast – „Za Neville’a. Za jego jubileusz!” – i sprawdzając, czy ktoś z pozostałych odważy się za to nie wypić. Bracken zaczął krzyczeć coś wyjątkowo niegrzecznego, lecz ku ogólnemu zdumieniu, a nie tylko samego ministra, Churchill uniósł kieliszek. Był to znacznej wielkości kieliszek do koniaku, któremu stary przyglądał się w świetle świec, jakby ważył w dłoni reputację swojego przywódcy. Opróżnił go jednym haustem.

– Musiałem się znieczulić – oznajmił, po czym beknął.

Minister wstał i wyszedł.

Wieczór przebiegał coraz burzliwiej, a Churchill chyba nie chciał, żeby dobiegł końca.

– Świętowanie sukcesu pana Chamberlaina bardzo mnie wyczerpało. Potrzebuję waszej pomocy – poinformował Brackena i Boba Boothby’ego, gdy w końcu uczestnicy zaczęli się rozchodzić. Dwaj młodzi przyjaciele towarzyszyli mu teraz ściśnięci na tylnym siedzeniu londyńskiej taksówki, która wiozła ich ciemnymi ulicami w stronę mieszkania Churchilla w Morpeth Mansions z widokiem na katolicką katedrę. Było już po północy, gdy nieco chwiejnie wygramolili się na chodnik. Churchill podjął próbę przetrząśnięcia kieszeni w poszukiwaniu drobnych dla taksówkarza, ale jego palce nagle stały się palcami starego człowieka. Bracken miał więcej pieniędzy niż Churchill i Boothby razem wzięci, lecz słynął z tego, że

niechętnie się do czegokolwiek dorzuca, więc wyłożenie dziesięcioszylingowego banknotu przypadło w udziale Boothby'emu.

Gdy stojąc na chodniku, przetrząsał kieszenie, z ciemności wyłoniła się jakaś postać i zawołała Churchilla po nazwisku. Zaskoczony tym najściem Bracken ruszył do przodu, osłaniając swojego pana i z taką siłą kładąc rękę na piersi nadchodzącego mężczyzny, że nieznanego aż odrzuciło. Miał na sobie stary płaszcz przeciwdeszczowy, był potargany, a w mroku spokojnie mógłby uchodzić za kłozarda – albo jeszcze gorzej. Na początku roku uaktywnili się zamachowcy z IRA, zostawiając po sobie ślad zniszczeń i ognia w największych miastach Wielkiej Brytanii. Czyjaś śmierć była tylko kwestią czasu. Reputacja rodziny Churchilla w Irlandii czyniła z niego oczywisty cel. Ostrożność Brackena była zatem zrozumiała, wręcz godna pochwały, lecz najwyraźniej wywołała niechęć po obu stronach.

– Dotknij mnie jeszcze raz, a skończysz z dupą w rynsztoku – warknął nieznanomy, obnażając zęby jak bezpański pies.

– Nie, nie, nie, Brendanie – zaprotestował Churchill, szorstko odpychając Brackena na bok. – To pan Burgess, jak mniemam.

Zakłopotany Bracken odsunął się.

– Przepraszam, ale... zauważyłem pana, przechodząc obok – skłamał Burgess. – Szedłem do domu, mieszkam za rogiem. Przy Chester Square.

W słabiutkim żółtym świetle ulicznej latarni Churchill spojrzał Burgessowi w oczy i dostrzegł w nich pokrewieństwo i laserunek takiego pijaka jak on sam.

– Zatem jesteśmy nie tylko towarzyszami podróży, ale i sąsiadami, panie Burgess? Doskonale. Oto panowie Bracken i Boothby. Wypije

pan z nami ostatni kieliszek przed snem – zarządził, biorąc Burgessa pod ramię i energicznie prowadząc go po schodach.

Boothby poszedł za nimi, potykając się z powodu niedawnego braku umiaru, ale Bracken wyglądał, jakby nie miał ochoty się do nich przyłączyć. Pojawienie się tego outsidera wytrąciło go z równowagi – nie tylko sposób, w jaki do niego doszło, lecz także entuzjazm, z jakim Churchill wziął nieznajomego pod rękę, zostawiając pozostałych w tyle. Bracken był piekielnie zaborczy w kwestii swoich stosunków ze starym. Churchill miał apetyt na życie i rozeznanie we wszelkich sprawach politycznych, o jakim Bracken nie mógł nawet marzyć, bez względu na to, ile płacił swojemu krawcowi, więc z zadowoleniem stał tuż obok niego – bliżej niż ktokolwiek inny – i korzystał z blasku jego chwały. Niechętnie dzielił się zatem takimi przywilejami z innymi ludźmi, nawet z kolegami w rodzaju Boothby’ego, a po wieczorze wypełnionym tyłoma przyjemnościami nie napawała go entuzjazmem perspektywa pójścia w odstawkę, by zrobić miejsce dla zupełnie nieznanego człowieka. Poczucie celtyckiego niezadowolenia wzrosło jeszcze bardziej, gdy po wejściu do mieszkania Churchill rzucił płaszcz na oparcie krzesła w jadalni i najzwyczajniej polecił Brackenowi, żeby nalał im wszystkim po drinku. Churchillowi wielokrotnie zdarzało się niefrasobliwie obrażać ludzi, ale z jakiegoś powodu dziś wieczorem miało to znaczenie.

Niebawem Churchill stał z kieliszkiem w ręce i opierając się o kominek, lustrował scenę w salonie, podczas gdy reszta siedziała wokół niczym żołnierze przed swoim kapitanem.

– Brakuje mi pańskich artykułów w „Standardzie”, panie Churchill – zaczął Burgess.

– Mnie też, i moim czytelnikom. Ale najbardziej tęsknią za nimi moi bankierzy. – Słowa wydobywały się wolniej i syczały bardziej niż zwykle. – Przeklęty Max.

– Nigdy nie sądziłem, że okaże się tak wielkim zwolennikiem polityki ustępstw.

– Bo nim nie jest. To wielki oportunistą i nic więcej. Wilk podczas kanadyjskiej zimy rozglądający się za następną kolacją. Wróci, gdy wiatr się zmieni. Przyniesie swoją książeczkę czekową i znowu będzie chciał się pogodzić. I jak zawsze się pogodzimy.

– Więc w ogóle pan teraz nie pisze.

– Och, ależ owszem. Realizuję ogromne przedsięwzięcie. Piszę o historii ludów anglojęzycznych. – Kieliszek z brandy zatoczył szeroki krąg w powietrzu i Churchill szykował się chyba do entuzjastycznego zachwalania towaru, ale nagle się zasępił. – Niestety, wszystko wskazuje na to, że utknąłem na średniowieczu.

– Lata inwazji i podboju po drugiej stronie kanału La Manche.

– Ach, więc jest pan historykiem!

– Zawsze chciałem dokończyć biografię markiza Salisbury, którą zaczęła jego córka lady Gwendolen. Jestem w kontakcie z rodziną. Może pewnego dnia...

– Piękne ambicje. I piękne życie. – Broda się uniosła, oczy skupiły na kolorowszym świecie. Widoczna za Churchillem armia sztywnych białych zaproszeń stłoczonych na gzymsie kominka zdawała się stać na baczność. – Po raz pierwszy dostałem się do parlamentu, gdy Salisbury był premierem. Rok przed śmiercią królowej. Walczyliśmy jeszcze wtedy z tymi przekłętymi Burami. W tysiąc dziewięćset...

Stary zamilkł. Bracken i Boothby, przyzwyczajeni do wieczornych monologów i przyływów sentymentalizmu, postanowili wysłuchać

ich w milczeniu, ale Burgess nie mógł oprzeć się wyzwaniu.

– I zaraz po wyborach porzucił go pan i dołączył do liberałów.

– Ejże! – zainteresował Bracken.

– Ależ on ma rację, Brendanie. Uciekłem ze statku. Niektórzy ludzie zmieniają swoje zasady ze względu na partię. Mnie jest wygodniej zmieniać partię ze względu na swoje zasady. – Uniósł pusty kieliszek. Znużony Bracken wstał, żeby go napełnić. – Ach, to były burzliwe czasy i statek torysów nie miał pojęcia, w którą stronę płynąć, czy uciekać przed wiatrem, czy może zawrócić i przebić się przez nadciągający sztorm. No więc... dałem nogę.

– A teraz chce pan dać znowu.

Stary zachichotał.

– Panie Burgess, nikt nie może mi zarzucić, że mam zamknięty umysł.

– Panie Churchill, przypuszczam, że ma pan w sobie także coś z bandyty.

– W rzeczy samej! My, Anglosasi, jesteśmy z natury bandytami i piratami. Wyspa potrzebuje ochrony w postaci wzburzonych mórz i rasy awanturników.

– Ach, tylko że te wzburzone morza nie powstrzymają szkopów.

– Ich powstrzymają Francuzi – wtrącił Bracken, pragnąc włączyć się do rozmowy. Boothby zasnął w drugim fotelu i cicho pochrapywał.

– Francuzi? – Burgess odwrócił się do Brackena, zniecierpliwiony i lekceważący. – Chyba nie mówi pan poważnie. Francuzi nie będą walczyli!

– Nonsens. To nasi sojusznicy – prychnął Bracken, odpłacając mu równie agresywnym tonem.

– Schowają się za Linia Maginota i będą polowali najwyżej na trufle. A zapach gnijących grzybów raczej nie przepłoszy przekłętego Hitlera.

– Sojusz z Francuzami jest zasadniczym elementem... – zaczął Bracken, ale Churchill wszedł mu w słowo, zainspirowany myślą Burgessa.

– Tak się zastanawiam. Naprawdę się zastanawiam – zanucił stary, opierając się obiema rękami o kominek i spoglądając na palenisko pełne szarego popiołu. – Mają najpotężniejszą armię na świecie. Mają też swoją Linia Maginota, najmocniejszą linię obronną, jaką widziała Europa. Ale kogo ona chroni? Na pewno nie nieszczęsną Czechosłowację. Ani Albanie. Nie ochroni też Polski ani żadnej części Bałkanów. To okropna myśl, lecz w słowach pana Burgessa pobrzmiwa smutny dźwięk prawdy. Francuzów wyprowadzi w pole ich własny system obrony. Mogą buńczucznie pokrzykiwać zza swoich fortec, ale jeśli nie uda się ich przekonać, żeby wyszli poza te mury i ruszyli w pościg za szkopami, ta linia będzie chroniła jedynie nazistów, gdy zaczną napadać na swoich wschodnich sąsiadów. Och, zrobiło się z tego okrutne oszustwo. Obawiam się, że Linia Maginota nie zapobiegnie tej wojnie. Przeciwnie, być może wojna stanie się przez nią jeszcze bardziej prawdopodobna i będzie się toczyć na znacznie większą skalę. – Odwrócił się do nich z ponurą miną. – Co może nas zatem ocalić, panowie?

Burgess pociągnął ogromny łyk whisky, potem następny, a w końcu mruknął:

– Rosja.

Bracken zerwał się na nogi jak wędkarz, który złapał szczupaka, tylko że alkohol zachwiało jego równowagą i przez chwilę wyglądało to

tak, jakby mężczyzna ślizgał się na błotnistym brzegu.

– Rosja? Oszalał pan? Bolszewicy jadący na ratunek chrześcijaństwu? Na jakiej planecie pan się urodził? Im zależy tylko na tym, żeby zepchnąć nas do morza.

– Moskwa jest prawie dwa tysiące mil od Londynu, panie Bracken, oni nie są w stanie zepchnąć nas do morza. Za to Wehrmacht obozuje zaledwie dwieście mil od granicy Rosji, od której dzielą go tylko kartoflane pola Polski. Nie sądzi pan, że Rosjanie mogą mieć teraz inne sprawy na głowie niż opróżnianie kieszeni kilku trzęsących się angielskich arystokratów?

– Panie Burgess, niech się pan wytłumaczy! – rozkazał ostro Churchill.

Ożeż kurwa, za dużo wypił i przesadził. Pod kieliszkiem spoczywającym mu na kolanach Burgess ścisnął swoje jaja. Mocno. Byleby tylko język nie opuścił go razem z rozumem. Nie lubił Brackena – poczuli do siebie wzajemną i natychmiastową niechęć, być może zauważyli, że obaj są fantastami i awanturnikami – i pozwolił, by jego przesiąknięty alkoholem temperament wziął nad nim górę. Sterczał na ulicy, marznąc przez ponad godzinę, i czekał na Churchilla, chcąc z nim porozmawiać, a teraz, gdy znalazł się w jego salonie, groziło mu, że zostanie wyrzucony. Ścisnął jeszcze raz, aż ból mocno potrząsnął jego mózgiem. Wziął głęboki oddech.

– Sam pan to powiedział, panie Churchill. W książce, którą mi pan dał...

W książce? Jakiej książce? Zaniepokojony Bracken wodził wzrokiem od jednego do drugiego jak mienszewik, którego nie wtajemniczono w spisek.

– Powiedział pan, że Rosja to Izmael narodów. Ale powiedział pan też, że to jeden z najpotężniejszych elementów gospodarki i dyplomacji na świecie. Takiego słowa pan użył. Najpotężniejszych. Odmalował pan wyrazisty obraz – pamiętam prawie każde pańskie słowo. „Rosja z jej olbrzymim, gwałtownie rozwijającym się uzbrojeniem, intensywnie doskonaląca gazy bojowe, samoloty, czołgi i wszelkiego rodzaju zakazane owoce, Rosja z nieograniczoną siłą roboczą i destrukcyjną nienawiścią ciężko spoczywającą na całym szeregu krajów, jednych małych, innych sporych, od Bałtyku po Morze Czarne, leżących w sąsiedztwie jej terytorium...

– Ma pan doskonałą pamięć.

– I jest pan beznadziejny z geografii! – zaprotestował Bracken, postanawiając bronić swojego narożnika przed uzurpatorem. – Polska to właśnie jeden z tych sąsiednich krajów, które leżą w zasięgu rosyjskiego młota. A my zgodziliśmy się zagwarantować jej pokój, do cholery!

Burgess drżał.

– A gdy przeklęty Herr Shitler najedzie na Polskę – bo z pewnością to zrobi – zobaczy przed sobą końce rosyjskich luf. Wystarczy pół słowa zachęty, żeby Rosja została naszym najpotężniejszym sojusznikiem!

– Rosja sojusznikiem? Nawet Stalin nie ufa przeklętym Rosjanom!

– A pan nie ufa nawet własnemu premierowi...

– Panowie! – warknął Churchill, przywołując ich obu do porządku.

– Co ma do tego zaufanie? Podstawą dyplomacji nie jest zaufanie, w przeciwnym razie nie powierzalibyśmy jej Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Nikt nie może ufać Ministerstwu Spraw Zagranicznych, nawet gołębie. Nie, tu liczy się potrzeba. I obawiam się,

że oddziałów Stalina będziemy potrzebowali bardziej, niżbym chciał. Nigdy nie odwracaj się plecami do Kozaka – a właśnie to musi zrobić Hitler, jeśli zamierza rzucić całą siłę swojej armii przeciwko nam na zachodzie.

– Ależ Winstonie, przecież jesteś najstydliwszym cholernym antybolszewikiem w tym biznesie – zaprotestował Bracken, a jego grube jak otoczaki okulary zaszyły mgłą emocji. – Nazwałeś sowiecką Rosję najbardziej destrukcyjną i upodlającą tyranią w historii. – Kurwa mać, skoro Burgess może przytaczać Churchillowi jego własne słowa, Bracken nie zamierzał dać się wykluczyć z tej gry. – Ba, gdy pracowałeś w Ministerstwie Wojny, wysłałeś tam trzydzieści tysięcy brytyjskich żołnierzy, żeby udusili tego drania w kołysce.

– I nie udało mi się! Okazało się, że to nie byle jaki drań. I nie byle jaka kołyska. Myślisz, że skoro mi się nie udało, może się powieść jakiemuś austriackiemu karierowiczowi?

– Chciałbyś, żebyśmy sprzymierzyli się z mordercami?

– Jeśli dzięki temu moja babcia miałaby uniknąć obdarcia ze skóry – oczywiście, że tak! Niedawno byłem w palarni i Majski, sowiecki ambasador, obsypał mnie najróżniejszymi wyrazami poparcia i przyjaźni.

– Fałszywy zasraniec...

– Ale przydatny fałszywy zasraniec, Brendanie. Gdy w gruncie rzeczy obiecał mi dożgonne braterstwo, odpowiedziałem mu tak. – Machnął kieliszkiem, przywołując wspomnienie tamtej chwili. – Panie Majski, proszę pozwolić, że będę szczery. Nie lubię pana. A już najmniej lubię pański rząd. Ale uznaję pana istnienie – jako fakt. Uznaję też niewygodny fakt, że mogę pana potrzebować – że możemy

potrzebować się nawzajem – jeśli nie chcemy dopuścić do tego, żeby hitleryzm zgasił świecę wolności we wszystkich zakątkach Europy.

– I co odpowiedział ten przydatny i fałszywy zasraniec?

– Roześmiał się. Potem poklepał mnie po plecach i zaprosił na kolację.

– Czasami, Winstonie, mam wrażenie, że poszedłbyś na kolację z samym diabłem.

– Jadam kolacje z amerykańskim ambasadorem, więc raczej nie mam prawa przypisywać sobie wyższości moralnej.

– Bob! – Bracken odwrócił się do Boothby'ego, a jego ostry ton obudził drugiego mężczyznę z drzemki. – Co sądzisz o Rosjanach?

Deputowany z East Aberdeenshire podniósł ciężką głowę.

– O Rosjanach? – rzucił melodyjnym głosem, który, zanim przeszedł mutację i obniżył się bardziej niż do basu, zapewnił mu chóralne stypendium w Eton. Boothby poruszył się w fotelu. Jego ciemny garnitur był brudny, kołnierzyk miękki i pognieciony, brzuch już zbyt wystający i jakby podtrzymywany olbrzymią dewizką. Bardzo przypominał kelnera w restauracji odcinającego kupony od dawno utraconej renomy. – O Rosjanach? – powtórzył, próbując uporządkować różne elementy w swoim umyśle. – A co oni znowu zrobili?

– Nic, Bob, chcemy się dowiedzieć, co o nich myślisz?

– Te skurczybyki kupują mnóstwo aberdeńskiego śledzia. Równe chłopy. – Po tych słowach znowu opadła mu głowa i natychmiast stracił świadomość.

Bracken odchrząknął, nie chcąc zauważyć triumfalnego błysku, który z pewnością pojawił się w oczach Burgessa. Tym razem przegrał. Przyszła pora, żeby się wycofać.

– Już późno, Winstonie, a Bob musi się położyć. Chyba lepiej pójdziemy.

Churchill wyrzucił niedopałek hawańskiego cygara do popiołu w palenisku.

– Fruńcie do swoich gniazd, skoro musicie. Odpocznijcie przed lotem, który was czeka.

Bracken potrząsnął Boothby'ego za ramię. Burgess też wstał, ale nie ruszył ku wyjściu.

– Panie Churchill, tak się zastanawiałem... Czy mogę zamienić z panem jeszcze słówko? W cztery oczy?

– Nie, nie, Burgess, jest bardzo późno, a pan Churchill ma jutro bardzo napięty grafik – zaprotestował Bracken, lecz stary już machał ręką, odsyłając go w stronę drzwi.

– Wy, młodzi politycy, nigdy nie macie czasu, ale dla historyków, takich jak pan Burgess i ja, czas jest wręcz niemierzalny. Brendanie, drogi chłopcze, znasz drogę do wyjścia. Ja i pan Burgess wypijemy jeszcze po kieliszeczku przed snem.

Churchill nalał alkohol. Olbrzymie kieliszki koniaku.

– Pije pan koniak?

– Wolę irlandzką whisky.

– W takim razie ma pan więcej wspólnego z Brendanem, niż myślałem.

– On mnie nie lubi.

– Och, polubi pana, panie Burgess, jeśli mu każę. Rano będzie lubił nawet pana pomysły związane z Rosją, choć nie doczeka się pan od niego uznania, bo wszystkie szczegóły przypisze samemu sobie. – Drzwi na dole głośno się zamknęły, zostali sami. – To mój

parlamentarny Puk. Duch psotny i czasami nierozsądny, ale w ostatecznym rozrachunku wierny.

Churchill podał gościowi ciężki kieliszek.

– Niech pan się uczy delektować koniakiem, panie Burgess. On jest jak dobra kobieta. Niech pan go ogrzewa w dłoniach i rozpieszcza, a nie atakuje.

Burgess wziął kieliszek i zastanawiał się, jak by to było położyć ręce na kobiecie. Czy byłby gotów – czy byłby w stanie – to zrobić, nawet w służbie swojej sprawy albo swojego kraju? Modlił się, by nigdy nie musiał się o tym przekonać. Wolał zostać przy Jamesonie.

Burgess zaczynał już rozumieć, że związek Churchilla z alkoholem jest zupełnie inny niż jego własny. Burgess pił, dlatego że musiał. Tylko w ten sposób udawało mu się zagłuszyć krzyki przerażenia, które w nim wzbierały, ilekroć próbował przestać pić i zasnąć, i czuł, jak przypala się jego dusza. Churchill miał jednak inne potrzeby, pił, żeby podtrzymać swoje myśli i niespożytą energię. Alkohol był jego paliwem, potrzebował go tak, jak samochód wyścigowy potrzebuje benzyny albo ognisko drewna. Alkohol go napędzał.

– A zatem – zaczął Churchill, poświęciwszy trochę czasu na przypalenie nowego cygara – chciał pan zamienić ze mną słowo. Skromny z pana człowiek, panie Burgess, bo zwykle nalegam na kilka, a za każdy tysiąc pobieram opłatę.

– To miło z pana strony. Być może robię z siebie głupca...

– Jestem politykiem – warknął Churchill. – Głupota to moja daleka krewna.

– Powiem zatem otwarcie. Zbliża się wojna... mam rację?

– Bez wątpienia.

– A gdy wybuchnie, wszyscy zamożni ludzie w popłochu uciekną w góry?

– Przypuszczam, że w Appalachy, gdzie rozbiją obozy i od czasu do czasu będą robili wypadki do Nowego Jorku.

– Lubią podróżować bez zbędnych obciążeń. I zastanawiam się... po tym, co mi pan powiedział w Chartwell... czy będą chcieli ciągnąć ze sobą pańskie długi.

Churchill rzucił młodszemu mężczyźnie zaciekawione, ostrzegawcze spojrzenie. Dzielenie się swoimi kłopotami w chwili przygnębienia było dla niego czymś zupełnie innym niż późniejsze słuchanie o nich.

– Miałem nadzieję, panie Burgess, że będę w stanie dokończyć historię ludów anglojęzycznych, zanim wybuchnie wojna, i że dzięki temu moja sytuacja się poprawi, ale...

– Nie potrafi pan pisać równie szybko jak Wehrmacht maszerować.

– Otóż to. Ambicje Hitlera rosą jeszcze szybciej niż moje potrzeby.

– Doradzam rodzinie Rothschildów – studiowałem w Cambridge z ich synem – i matka chyba sądzi, że znam się na sprawach międzynarodowych. W każdym razie pomagam uchronić jej inwestycje przed rozgnieceniem pod gąsienicami czołgów. Nie wspomniałem im słowem o pańskiej sytuacji, ale... Jeśli Rothschildowie i część ich przyjaciół dowiedzą się, że jest pan w potrzebie, na pewno chętnie panu pomogą.

Churchill mocno pociągnął cygaro, zastanawiając się nad tym, co właśnie usłyszał.

– Dlaczego mieliby odgrywać dobrych Samarytan w sytuacji, w której moi własni bankierzy wolą mnie omijać szerokim łukiem?

Rothschildowie też są bankierami i raczej nie zdoła ich pan przekonać, że to będzie dobra inwestycja.

– I właśnie tu się pan myli. Rothschildowie są Żydami. Wiedzą, co się dzieje w Europie. Wiedzą, co oznacza Hitler i że nie ma sensu nadstawiać drugiego policzka. We wszystkich częściach Europy kontrolowanych przez Hitlera Żydów piecze się na rożnie. Wiedzą też o czymś jeszcze. Że na tym kontynencie jedynym politykiem, którego Hitler się boi, jest pan.

– A czego zażądają w zamian?

– Niczego.

– Wydaje mi się to wielce nieprawdopodobne. Z mojego doświadczenia wynika, że wszystko ma swoją cenę.

– W takim razie założymy fundusz. Ślepy fundusz. Nie będzie pan zatem wiedział, kto w nim uczestniczy ani kto ile dał. Pana ręce pozostaną całkowicie czyste i będzie pan mógł zabrać się do pracy.

Siedząc przy kominku, stary spoglądał na niego niewzruszenie, raz po raz spowijając się dymem cygara.

– Reprezentuje pan nadzieje wszystkich Żydów w Europie – ciągnął Burgess. – Dlatego myślę, że będą chcieli panu pomóc.

– Panie Burgess, tacy ludzie jak Rothschildowie nie zbudowali finansowego imperium, kierując się sentymentami.

– No cóż, to coś więcej niż sentymenty. Spójrzmy prawdzie w oczy: jeśli przegramy wojnę z Hitlerem, i tak będą udupieni. Pójdą na pierwszy ogień. Pieniądze, które mogą stracić w związku z pańską sprawą, będą najwyżej kroplą w bardzo krwawym oceanie. – Opróżnił kieliszek, zaskoczony, że koniak już się skończył. – Ocalą pana, bo niewykluczone, że jest pan jedynym człowiekiem w Europie, który może ocalić ich... oraz ich pieniądze.

- Ma pan bardzo wysokie mniemanie o moich talentach, panie Burgess...

- Mam.

- Prawie tak wysokie jak ja. I muszę przyznać, że ma pan także niezwykle wycucie czasu, zjawił się pan jak anioł w chwili największej potrzeby. Moi bankierzy, jak pan zauważył, to nerwowe typy pochłonięte teraz zbieraniem sprzętu do wspinaczki górskiej. Mam wrażenie, że moje długi mogą się okazać zbyt ciężkie, żeby zechcieli zabrać je ze sobą w tę wędrówkę.

Ręka Burgessa, ta spoczywająca na jego kroczu, drżała. Rozpaczliwie potrzebował kolejnego drinka. Miał ochotę wznieść toast za Rodneya, dickensowskiego małego pracownika banku – kamizelka i mokre usta – do którego obowiązków należało przemykanie po skarbcach i dogłądanie najróżniejszych interesujących dokumentów, między innymi tego dotyczącego pożyczki Churchilla udzielonej na sześć miesięcy i nieodnawialnej. Sześć miesięcy kończyło się za tyle samo tygodni. Właśnie dlatego przyszedł do Churchilla. I nawet jeśli Rothschildowie nie zechcą pomóc, znajdzie się wielu innych chętnych, jeżeli dostaną takie polecenie.

- Ślepy fundusz, panie Churchill. Niech pan zostawi to mnie.

- Panie Burgess, jest pan zaskakującym człowiekiem. Zjawia się pan na progu mojego domu w Chartwell, gdy całemu światu grozi rychły upadek. Potem wynurza się pan z londyńskich mroków, gdy prawie słychać dźwięki walących się murów. I za każdym razem przynosi pan dar nadziei. Jak potoczą się pańskie losy?

- Być może pewnego dnia zapragnę zająć jakieś stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- Wspaniałe ambicje. Chciałbym móc się przyczynić do ich urzeczywistnienia, gdyby było to w mojej mocy. Zamierza pan wykorzystać wiedzę z zakresu spraw międzynarodowych?

- Nie - odpowiedział Burgess. Wykonał już zadanie i jego system obrony utonął w powodzi alkoholu. Nie miał już siły na dwuznaczniki.

- Chodzi wyłącznie o bezpieczeństwo zatrudnienia. Z Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie można wylecieć, no, może najwyżej za kozy.

Po wyjściu Burgessa Churchill przez jakiś czas siedział w fotelu obok okna, patrzył na spowitą mrokiem panoramę Londynu i rozmyślał.

W końcu podjął decyzję. Sięgnął po pióro i zaczął pisać. Artykuł, który miał się ukazać w „Telegraphie” pod nagłówkiem „W stronę paktu z Rosją”. Mówił w nim o potrzebie sojuszu z Moskwą, o tym, że od dawna żywione zastrzeżenia wobec takiego sojuszu zwyczajnie straciły uzasadnienie, o aktualnej zbieżności interesów ze Związkiem Radzieckim. Oraz o wspólnym celu: pokoju.

Oczywiście zupełnie nie wierzył w ten ostatni element, czyli w to, że sowiecki przywódca zmienił się z tyrańca w apostoła pokoju, lecz Stalin był potrzebny i należało pisać takie rzeczy.

Poza tym „Telegraph” miał mu zapłacić. Nie fortunę, ale w obecnych okolicznościach liczyła się każda, nawet najdrobniejsza kwota. Zamierzał sprzedać kilka artykułów, podczas gdy w licznych zakątkach Londynu inni sprzedawali swoje zasady.

- Niech go szlag... Niech go szlag, niech go szlag!

- Neville’u, proszę...

- Nie pozwolę na to!

- Oczywiście, że nie, ale...

– Jestem pieprzonym premierem. Tak! Jestem! Lepiej niech sobie o tym przypomną.

– Nikt by nie śmiał...

Podjęmowane przez Horace'a Wilsona próby przeprowadzenia operacji na emocjach zostały udaremnione, kiedy Chamberlain z taką zawziętością zaczął uderzać pięściami w skórzaną podkładkę na biurku, że z widełek telefonu spadła słuchawka. W fotelu przy kominku skulił się zaniepokojony Joseph Ball.

– Gdy tylko zaczyna wypisywać te brednie o pójściu do łóżka z Rosjanami, połowa Fleet Street pełźnie pod jego drzwi i domaga się, żeby wrócił do rządu. – Chamberlain chwycił stos gazet. – Znowu ten przeklęty „Telegraph”, a do tego „Manchester Guardian”, „Chronicle”... Przyłączyli się nawet ci cholerni Astorowie. Zajrzyj do „Observera”. – Obrazoburcza gazeta zadrżała mu w dłoni. – Na pewno szantażuje Astorów, nie wyobrażam sobie innego powodu. Co takiego znalazł na Nancy, na litość boską, znowu jakieś erotyczne bezceństwa na tych jej niedorzecznych weekendowych imprezach? – Jedyłą atrakcją jego weekendowego pobytu w urządzonym z przepychem domu Astorów w Cliveden była natomiast zabawa w gorące krzesła. Zniecierpliwiony Chamberlain cisnął obrazoburcze gazety w kąt, gdzie skonały jak poduszone kurczęta.

Wilson odczekał dłuższą chwilę i dopiero wtedy odchrząknął, żeby się odezwać. Zwykle w obecności premiera nie czuł się nieswojo, ale rzadko widywał Chamberlaina w takim stanie. Stary miał bladą twarz i skórę przypominającą wysuszony pergamin, jakby cała krew odpłynęła do śledziony, by podsycać jego gniew.

– Neville'u, musisz zadecydować. Wchodzi czy nie?

– Nie! Nie!

Znowu odchrząknął.

– Powinieneś wiedzieć, co mówią w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Że część niemieckiego rządu – ci, którzy nie chcą totalnej wojny – apeluje, żebyś przyjął Winstona. Twierdzi, że tylko w ten sposób możemy pokazać Hitlerowi, że poważnie mówimy o sprzeciwnieniu się dalszej agresji. Według nich to jedyny sposób, żeby utrzymać pokój.

– Właśnie dlatego nigdy nie słucham Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wyobrażasz sobie tego człowieka w rządzie? Niech bogowie mają mnie w swojej opiece. Ciągłe by gadał. Zabierał mi czas. Bez końca przeszkadzał. Wykorzystywałby mównicę, tak jak awanturnik wykorzystuje bar.

– Jest jednak mnóstwo nacisków...

– Mam pozwolić, by mój rząd zmiotła fala whisky i gorącego wiatru? Nigdy! Wiesz, jak on głądzi. Czasami się zastanawiam, czy nie ma przypadkiem nie po kolei w głowie. Odziedziczył to po ojcu. A do tego te wszystkie lata picia. Na pewno nie przeszły bez echa.

– Musimy jednak zdecydować. Nie tylko w sprawie Winstona, ale także w kwestii parcia na sojusz z Rosją.

Oczy Chamberlaina wpatrywały się w Wilsona z prawdziwym bólem, jego usta pod oklapniętymi wąsami zrobiły się cienkie jak żyletki.

– Z mordercami? Królobójcami? Jak miałbym pójść do pałacu i powiedzieć Jego Wysokości, że zamierzam zawrzeć umowę z człowiekiem, który zaszlachtował cara? Jak zapiszę się w historii?

– Churchill uważa, że jeśli nie dogadamy się ze Stalinem, mogą to zrobić Niemcy. Podziela się Polską i całą resztą. Mówi to wszystkim... – Tym razem przekonywał Ball, wyłaniając się z głębin swojego fotela, by

przyjść przyjacielowi na ratunek. Wymachiwał plikiem z zapisem rozmów telefonicznych. – Widzisz, prowadzę obserwację na szeroka skalę.

– Nie rozumiesz jednak tego – chyba żaden z was tego nie rozumie – że jeśli teraz zawrę jakąkolwiek umowę z Rosją, będzie to wyglądało tak, jakbym działał według jego planu. A nie pozwolę – nigdy nie pozwolę – żeby polityką mojego rządu kierował przeklęty pan Winston Churchill!

Po raz pierwszy od tego wybuchu zmusił się do wypowiedzenia nazwiska swojego przeciwnika. Wypluł je, jeszcze raz uderzając pięściami w biurko Wilsona. Jego wykrochmalony kołnierzyk koszuli frakowej przekręcił się i wpił mu się w szyję, ale Chamberlain chyba tego nie zauważył.

Wilson wstał, chcąc prowadzić rozmowę na tym samym poziomie co premier i mając dość kropelek śliny, które ciągle na niego spadały.

– Neville’u, musisz się uspokoić i posłuchać. Połowa przeklętego gabinetu chce, żebyśmy zawarli umowę z Rosjanami. – Było to kłamstwo, tak naprawdę domagało się tego raczej trzy czwarte rządu, lecz nawet zawyżone dane najwyraźniej nie robiły wrażenia na Chamberlainie, który zaczął krzyczeć.

– To mój rząd i będzie robił, co mu każe, do cholery!

Ślina dalej bryzgała, lecz Wilson się nie poddał. Wytrzymał spojrzenie Chamberlaina, przywołując ich wieloletnią przyjaźń, wzajemne zrozumienie, sukcesy. Gdy ponownie się odezwał, ton jego głosu brzmiał zdecydowanie.

– Rosjanie zaproponowali nam sojusz. Oficjalnie. Musimy dać im odpowiedź, Neville’u. Nie zdołamy się od tego wykręcić.

Chamberlain nabrał tyle powietrza, że o mało nie rozerwało mu płuc, po czym wypuścił je wraz ze znaczną częścią ognia trawiącego go od środka. W końcu falowanie piersi ustało.

– Dobrze, Horace – mruknął, poprawiając kołnierzyk. W miejscu, gdzie wpijał się w szyję, pozostał czerwony ślad. – Zaprośmy ich na rozmowy. Podziękujemy za propozycję i wyślemy delegację do Rosji. Ale... wyślemy ją statkiem. Najlepiej bananowcem. Bardzo powoli. Będziemy nalegali, by każdy szczegół dyskusji przeanalizowano także tutaj, w Londynie. I przydzielimy to zadanie człowiekowi o tak okropnie tępych umyśle...

– Masz na myśli kogoś z wojska – wtrącił Ball.

– ...że nie będzie szans na dojście do jakichkolwiek jasnych ustaleń.

– Więc jaki to ma sens? – spytał Wilson.

– Zyskamy na czasie.

– Po co?

– Żeby wyeliminować Winstona z gry. Żeby rząd odzyskał część ikry. A przede wszystkim, żeby realizować własną politykę. Nadal chcę pokoju. Nawet jeśli połowa Europy domaga się unicestwienia, ja nadal chcę pokoju. I Hitler ma się o tym dowiedzieć. Zatem właśnie tym się teraz zajmiesz, Horace.

Chamberlain zaczął krążyć po małym pomieszczeniu, trzy kroki do przodu po dywanie, obrót, trzy kroki do tyłu, ręce splecione z przodu, pochylone, wąskie, oklapnięte ramiona.

– Hitler ma wiedzieć, że jest pewne wyjście. Że nadal może więcej zyskać dzięki pokojowi niż dzięki wojnie. Dlatego będziesz kontynuował negocjacje z Niemcami w sprawie pożyczki, Horace. Wyciągnij do nich dłoń na znak pokoju i dopilnuj, żeby była pełna gotówki. Powiedz im, że chcemy, by ich robotnicy zeszli z linii frontu

i wrócili do fabryk. Rolnictwo zamiast zbrojeń, miecze na lemieszce i tak dalej. Musisz ich przekonać do korzyści płynących z pokoju. Musisz ich do nich przekonać. Wszystko od tego zależy. – Nagle urwał i wymierzył palec w Wilsona. – Ale cokolwiek będziesz robił, pamiętaj, żeby nie dowiedziało się o tym Ministerstwo Spraw Zagranicznych. To nie ma z nim nic wspólnego, rozumiesz? Nie pozwolę, żeby informowali o tym wszystkich napotkanych dziennikarzy w zamian za butelkę clareta.

Stał teraz przy oknie, spoglądając na park, a jego sylwetka rysowała się na tle porannego letniego światła, tworząc jedynie kontur. Patrząc na to z głębi pokoju, odnosiło się wrażenie, jakby samo słońce go odrzuciło.

– Trzeba też przywrócić porządek w sprawach wewnętrznych – odezwał się Wilson, ponownie przejmując pałeczkę. – Musisz wkroczyć do akcji, Joe. Mam na myśli te twoje środki bezpieczeństwa.

– Mówisz o podsłuchach telefonicznych.

– Obserwuj Winstona.

– I Edena. Oraz kilku innych.

– I dorzuć jeszcze paru, co? Na przykład tych z rządu, którzy mają dobre prywatne stosunki z Winstonem. Od razu informuj o kłopotach. Jeśli coś ma się wydarzyć, zadbaj, żebyśmy dowiedzieli się o tym pierwsi – zanim napiszą o tym na pierwszej stronie „Telegrapha”.

– Nie ma sprawy.

– Czy Sam wie o podsłuchach?

– Niezupełnie.

– To znaczy?

– Nie ma o nich zielonego pojęcia.

– Przecież jest ministrem spraw wewnętrznych.

- Widzisz, to nie jest oficjalna operacja. To raczej sposób testowania sprzętu technicznego, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. A proszenie Sama o pozwolenie mogłoby się okazać... odrobinę niedelikatne.

- Dlaczego?

- Bo on też jest na liście. Pomyślałem, że lepiej śledzić życie uczuciowe ministra spraw wewnętrznych. W zasadzie bardzo niewiele z tego życia toczy się w domu. Daty, terminy, nazwiska - mam je wszystkie. Myślę, że możemy polegać na dozgonnej lojalności Sama. Nie wiem tylko, czy to samo powiedziałaaby jego żona.

- Ty niegodziwy draniu.

- Dziękuję za komplement. Zachowuję nienaganną bezstronność. Zdołałem znaleźć kilku przyjaciół w Odhams Press. Drukują wszystkie materiały dla Partii Pracy - ulotki, plakaty, tego rodzaju rzeczy. Dzięki temu wiemy, co powiedzą, wcześniej niż oni sami. A to oznacza, że możemy od razu wtrącić swoje trzy grosze. W głównej siedzibie Partii Pracy też mam paru kumpli.

- Jak, u diabła...?

- Tu odrobina obrazy moralności, tam naruszanie porządku publicznego w stanie nietrzeźwości. Załatwiłem dla nich kilka spraw w Scotland Yardzie - odstąpienie od wniesienia oskarżeń - ale nie usunąłem zarzutów z rejestru, żeby zapewnić sobie ich dozgonną wdzięczność i oczywiście nieustanny brak dyskrecji.

- Twoja matka musiała być wampirzycą...

- Niestety, czarna magia nie zawsze działa. Mam też gorsze wieści. Kredyt Winstona. Wygląda na to, że znalazł innego pożyczkodawcę. Nie dojdzie zatem do upadku tego wyjątkowego tęgiego osobnika, w każdym razie jeszcze nie teraz.

– Szkoda. To miało być tylko małe urozmaicenie, okazja, żeby go zaskoczyć, ale dzięki niej moglibyśmy na jakiś czas zamknąć temu staremu potworowi usta. Jeśli tylko uda nam się przetrwać to lato...

Nagle postać w oknie się poruszyła. Dotąd stała nieruchomo jak głaz, ale teraz uniosła ramiona niczym dyrygent mobilizujący orkiestrę do gry.

– Jest inny sposób – oznajmił cicho Chamberlain, wracając do rozmowy. Głos miał zachrypnięty i zduszony. Odwrócił się. – Chyba jest inny sposób, żeby zamknąć mu usta. Taki, którego najmniej się spodziewa.

– Zastrzelimy go?

– Poprzemy go.

– Co powiedziałaś, Neville’u?

– Gdybyśmy pozwolili mu myśleć, że mogę ponownie zaprosić go do rządu, uwierzyć, że rozważamy taką ewentualność, gdybyśmy zagrali na jego bezgranicznej próżności... mógłby się okazać małym grzecznym murzynem.

Dwaj pozostali ożywili się, patrząc, jak pomysł nabiera kolorów.

– Pragnie stanowiska bardziej niż powietrza...

– Próżność zawsze była jego piętą achillesową...

– Nadajcie sprawie bieg, na przykład za pomocą niedyskretnej plotki w barze hotelu Athenaeum...

– Niech Dawson i Bóbr³ wypuszczą kilka balonów. Zobaczymy, jak wysoko polecą...

– Uwiedziemy go.

– Skołujemy.

– A potem wydymamy.

- Zamkniemy mu usta. Byleby tylko przetrwać lato – mobilizował ich Chamberlain – a potem prasa będzie mogła wbić zęby w coś innego.

- Na przykład w układ z Berlinem.
- Niech teraz dla odmiany Hitler przyleci do nas.
- Pokażemy im, kto tu rządzi.
- Byle tylko przetrwać lato...
- I wybory...
- I zamknąć Winstonowi usta.
- A co potem, Neville'u?
- Potem? Potem pogrzebiemy drania.

3 Bóbr to po angielsku Beaver – mowa o Beaverbrook.

Rozdział dwunasty

Świat wkroczył w wyczerpujące, duszne lato nieufności w 1939 roku i nikt nie był pewny, kto właściwie jest jego wrogiem.

Wybrano brytyjskiego wysłannika do negocjacji z Rosją. Tak jak przewidział Ball, był to przedstawiciel wojska, tyczkowany arystokrata, wielce szanowny admirał sir Reginald Aylmer Ranfurly Plunkett-Erle-Drax. Rozwiązanie było przynajmniej ekonomiczne, jak wysłanie całej delegacji owiniętej jednym nazwiskiem. Nie jest jasne, jakie wrażenie zrobił na przywódcach wielkiej proletariackiej rewolucji w Moskwie, ale z pewnością nie uszło ich uwagi, że na spotkanie z Hitlerem w Monachium Chamberlain niezwłocznie poleciał samolotem, a sir Reginalda wysłano do Rosji dłuższą drogą – morską. Nawet jeśli rozgryzienie zamiarów Brytyjczyków zajęło Stalinowi trochę czasu, zgrzyt gąsienic dywizji pancernych Wehrmachtu nie pozostawiał mu żadnych wątpliwości. Rosja nie wierzyła w zdolność polskiej armii do stanięcia na drodze Wehrmachtowi, gdyż Polska miała do dyspozycji przede wszystkim przestarzałe karabiny sprzed rewolucji w 1917 roku. Rosja powinna była o tym wiedzieć najlepiej – sama je dostarczyła. Tymczasem Horace Wilson wysłał emisariuszy, by wybadali szanse na ugodę z Niemcami, mimo że Niemcy nadal pluły, krzyczały i ostrzegawczo wygrażały pięściami w kierunku Polski. Niemieccy robotnicy zginali plecy nad tokarkami i taśmami produkcyjnymi, żeby zapełnić arsenały na czas wojny, a w Wielkiej Brytanii jeszcze bardziej wzrosła liczba bezrobotnych. Podobnie jak

poziom strachu, a wraz z nim rozpaczliwe zapotrzebowanie na rozrywkę.

W całym kraju płynął szampan. Płynął w Wimbledonie, gdzie Amerykanin Bobby Riggs zdobył tytuł mistrza w pięciu setach (wszystkie pięć wimbledońskich zwycięstw przypadło w tym roku Amerykanom, ku wielkiemu zniesmaczeniu brytyjskiej prasy, która sugerowała, że Alice Marble, triumfująca w klasyfikacji kobiet, jest mężczyzną). Płynął na królewskich regatach w Henley, mimo że pierwszą nagrodę znowu zdobyli Amerykanie, osada z Harvardu. A najbardziej wartkim strumieniem płynął podczas wyścigów Cowes Week, na których wygrał jacht „Vim” należący do Henry’ego Vanderbilta, rzecz jasna także Amerykanina. Ci przekłęci jankesi byli wszędzie, pokonywali Brytyjczyków w ich własnych grach – ale do diabła, pisali redaktorzy, Brytyjczycy wciąż jeszcze mogą nauczyć tych intruzów czegoś na temat najważniejszej ze wszystkich gier, na temat gry w wojnę...

Coś się popsuło w starym Albionie, a jednak sytuacja zdawała się zachęcać do jeszcze większych wybuchów eskapizmu. Letnie wyprzedaje szły pełną parą – perski płaszcz z jagnięcej skóry można było wytargować za czterdzieści pięć funtów, a ci z mniej zasobnym portfelem mogli wybrać jedwabną albo wełnianą bieliznę za marne dziesięć szylingów. „The Times” zachęcał ludność do relaksu i korzystania z uroków lata, stwierdzając, że „panuje ogólne przekonanie, iż nie ma powodu, dla którego nie moglibyśmy beztrudnie cieszyć się wakacjami”. Było prawie jak zwykle. W kościołach we wszystkich zakątkach kraju ogłaszano zapowiedzi, gdyż liczba ceremonii ślubnych biła wszelkie rekordy. Zwyczajni ludzie, nie ufając

żadnym zapewnieniom ze strony polityków, pospiesznie korzystali z każdej odrobiny szczęścia, dopóki jeszcze mogli.

Rzeczywistość nie pozwoliła jednak o sobie zapomnieć. Pogłoski, że Chamberlain znowu negocjuje z Niemcami, że planuje następne Monachium, zaczęły wyciekać przez szczeliny tajemnicy. Pod koniec lipca „News Chronicle” doniosło, że Wielka Brytania negocjuje pożyczkę w wysokości miliarda funtów szterlingów w zamian za rozbrojenie na bliżej nieokreśloną skalę. Wieść wywołała dezorientację w Wielkiej Brytanii, ale w Moskwie zabrzmiała wyraźnie jak świeżo wypolerowane ostrze. Brytyjczycy znowu zamierzali zdradzić Rosję. Zamierzali zawrzeć układ z Niemcami. Rosja będzie odizolowana, samotna, jeszcze raz porzucona, wydymana przez kapitalistów i imperialistów. Dokładnie tak jak dawniej. Stalin podjął zatem decyzję. Tym razem nie zamierzał dać się zaskoczyć.

Chamberlain też nie chciał dać się zaskoczyć. Gdy w Izbie Gmin poruszono temat rzekomej pożyczki dla Niemiec, zaprzeczył, jakoby cokolwiek o niej wiedział. Stał na mównicy, oparł się o nią, machał ręką i kłamał.

W tym samym tygodniu pod koniec lipca, niespełna sześć tygodni przed wybuchem tej najtragiczniejszej z wojen, rząd Chamberlaina zawiesił legalną imigrację Żydów do Palestyny, uzasadniając to tym, że zbyt wielu imigrantów dotarło do kraju nielegalnie. Na następne pięć lat ustalono kwotę w wysokości siedemdziesięciu pięciu tysięcy i ani jednego Żyda więcej. Rząd potępił zwłaszcza uciekinierów z Polski, którzy „według brytyjskiej opinii publicznej nie zaliczają się do kategorii uchodźców”. Polska była przecież bezpieczna. Zagwarantowała jej to Downing Street. Mieli zatem zostać tam, gdzie byli, całe sześć milionów, a na przywódców żydowskiej społeczności

w Wielkiej Brytanii wywierano nacisk, by zapewnili, że także dokładają starań, aby Żydzi pozostali na swoich miejscach.

Gdy zatem w dusznym zbiorniku balastowym małego statku dobijającego do wschodniego wybrzeża znaleziono ukrytą grupę niemieckich Żydów, kapitan został aresztowany. Żydów odesłano z powrotem.

Rząd Wielkiej Brytanii chyba nie miał pojęcia, kto jest jego wrogiem. IRA nie była jednak równie zdezorientowana...

To była podłej jakości zniszczona walizka zrobiona przede wszystkim z kartonu, ledwie zasługująca na dwa cynowe zatrzaski, na które się zamykała. Tuż przed południem jakiś mężczyzna w filcowym kapeluszu – nie licząc liverpoolskiego akcentu, była to jedyna charakterystyczna cecha, jaką zapamiętano – przyniósł ją do przechowalni bagażu na dworcu King's Cross. Powiedział, że przyjdzie po nią wieczorem, więc walizkę zostawiono pod ladą, nie umieszczając jej w głębi biura, gdzie wśród bardzo licznych innych bagaży mogłaby spowodować mniej zniszczeń. Zadziałałyby jak worki z piaskiem. Zamiast tego walizka nieznanego człowieka znalazła się pod ladą zrobioną z drewna, co okazało się bardzo niefortunne. W razie wybuchu drewno zmienia się w kawałki przypominające szrapnele i mogące przeobrazić dworcową halę w pole śmierci, zwłaszcza w porze lunchu, gdy pełno w niej podróżnych.

Niespełna dwie godziny po pozostawieniu walizki styki mechanizmu zegarowego – skonstruowanego ze wskazówek podróżnego budzika – zetknęły się ze sobą. W ten sposób zamknął się obwód elektryczny zasilany baterią z lampy rowerowej. Zamknięcie obwodu uzbroiło bombę. Zapalnik zrobiono z prochu strzelniczego wydobytego z kul do strzelby, ale zbyt mocno go ubito w laskach

dynamitu, które z kolei owinięto materiałem impregnowanym lakierem olejnym, i dlatego lont palił się dłużej, niż planowano – ponad minutę. Z walizki zaczęły się wydobywać smużki fioletowo-pomarańczowego dymu. O tej porze na dworcu panował jednak duży ruch i gdy pracownicy przechowalni wreszcie to zauważyli, było już o wiele za późno. Eksplozja rozerwała drewnianą ladę i szklany front przechowalni bagażu, tworząc ścianę rozpędzonych szrapneli. Za szrapnelami poleciało wiele sztuk bagażu. Doktor Donald Campbell z Edynburga, świeżo upieczony mąż, który właśnie wrócił z żoną z wycieczki na kontynent, w chwili wybuchu bomby stał w kolejce po bagaż. Eksplozja uderzyła w niego z pełną siłą i kilka minut później zmarł na podłodze przechowalni, otoczony strzępami cudzych wakacji. Jego żona, czterej pracownicy przechowalni i dziesięć innych osób odnieśli rany.

Tego samego dnia wieczorem bomba wybuchła także w szatni w centralnej sekcji na dworcu Victoria. Ranila pięciu cywilów. W kilku miejscach kraju eksplodowały inne ładunki.

W razie gdyby ktoś zapomniał, Irlandzka Armia Republikańska już była w stanie wojny.

Burgess pił – bez umiaru – bo i dlaczego miałby nie pić? Kraj nieuchronnie zmierzał w objęcia diabła, lecz chyba nikt będący u władzy tego nie pojmował. W miarę upływu lata, długiego i wyczerpująco upalnego, zdawała się rosnać nietolerancja Niemców wobec sąsiadów, a poziom wody w wielkich obronnych rzekach, takich jak Dniestr i Wisła chroniące równiny Polski, zaczął opadać. Mężczyźni stawali się najwyżej trybikami w piekielnej maszynie szykującej się do pożarcia całego świata. Rządy w Europie gorączkowo przekuwały pieniądze w broń z myślą o zbliżającym się konflikcie,

a Burgess wiedział, że tacy ludzie jak on szybko zostaną rzućeni w ślad za nią.

No więc pił. Im było goręcej, tym więcej pił, a im więcej pił, tym częściej wychodził i pieprzył. Nigdy nie należał do mężczyzn, którzy dogadzając swoim seksualnym upodobaniom, zachowują jakąkolwiek ostrożność, ale teraz zrobił się zupełnie niewybredny. Pieprzył, żeby zapomnieć, a chciał zapomnieć bardzo wiele.

Przez jakiś czas szwendał się po publicznych toaletach w Grosvenor Gardens niedaleko swojego domu, stojąc z płaszczem przeciwdeszczowym przewieszonym przez ramię. Płaszcz był sygnałem dla innych członków bractwa, a w razie potrzeby także sposobem na zasłonięcie sztywnego fiuta. Miał nadzieję, że znajdzie taka potrzeba. Mężczyzna, który miał odmienić jego wieczór – zadbany, wyszorowany, najwyżej dwudziestokilkuletni – wszedł do środka i natychmiast nawiązał kontakt wzrokowy – lekki, nerwowy błysk w oku, ale bez uśmiechu. Do takich spraw podchodziło się z powagą. Obaj się ociągali – myli ręce, czesali się, poprawiali krawat, długo przyglądali się swojemu odbiciu w lustrze – czekając, aż zostaną sami, lecz o tej porze zamykano puby i na ulicy panował duży ruch. Dwaj mężczyźni kręcący się po publicznym szalecie bez wątpienia mogli wywołać coś więcej niż sporadyczne podejrzliwe spojrzenie, więc nieznamy zniknął w kabinie. Burgess wszedł do sąsiedniej. Nie padło ani jedno słowo, wymienili tylko krótkie spojrzenia, nic, co miałoby szansę przejść w sądzie. Nadszedł jednak czas, żeby uderzyć, zaryzykować. Burgess był w takiej sytuacji już wiele razy, powodowany czymś tkwiącym głęboko w środku, czymś surowym, szorstkim, chaotycznie pierwotnym, czego nienawidził, lecz co szarpało wszystkie jego zmysły, aż w końcu zawładnęło nim całym. Dreszcz pościgu –

i bycia ściganym. W końcu go złapią, zawsze o tym wiedział. Ale jeszcze nie teraz. A nawet gdyby tak się stało, śmiałyby się ostatni. Umarłby ze wzwozem.

Burgess usiadł na drewnianej desce i wyjął z kieszeni płaszcz karteczkę z napisanym jednym słowem: „CZEŚĆ”. Złożył ją i wsunął w szczelinę między wąskimi drewnianymi listwami oddzielającymi kabiny. Trzymał ją tam przez sekundę, po czym zniknęła, wyjęta z jego palców. Kontakt. Potem odgłos spuszczonej wody, otwieranych drzwi. Przerwa. Ciche pukanie.

Po otwarciu kabiny Burgess ujrzał nie jednego mężczyznę, lecz dwóch. I nagle nieśmiały młody człowiek, jego wieczorna miłość, ten o nerwowym spojrzeniu, zmienił się w mściwego brutala.

– Ty mały, wynaturzony pedale. Mamy cię! – warknął mężczyzna, tak bardzo przysuwając groźnie wykrzywioną twarz, że Burgess poczuł woń smażonej zbyt długo wątróbki z cebulą. Drugi tajniak – bo byli to właśnie tajniacy – chwycił go za kołnierzyk i popchnął na umywalkę – och, przecież Burgess był gotów pochylić się wszędzie przed jego niebieskookim młodym kolegą, wystarczyło tylko ładnie poprosić, nie musieli go popychać ani tak potwornie, tak kurewsko mocno wykręcać mu ręki za plecami. Potem przyszła pora na kajdanki i łomot od nich obu na dokładkę, lecz tylko w takie miejsca, których nie byłoby można pokazać w sądzie.

Przez jakiś czas przypominało to trochę wycieczkę w nieznane. Prawym okiem uderzył w krawędź umywalki i zaczęła mu puchnąć powieka, a to, co widział lewym, zniekształciło się pod wpływem alkoholu. Przed przyjściem do szaletu Burgess zatankował – zawsze tak robił, zanim wybrał się na łowy – i niewiele kojarzył z wieczornego świata wokół dworca Victoria, aż w końcu ujrzał przed sobą twarz

sierżanta w areszcie przy Rochester Row. Wtedy wszystko do niego dotarło. O matko, to naprawdę był jego koniec. Nagle Burgess poczuł nadzwyczajną, suchą trzeźwość.

– Naruszanie porządku publicznego w stanie nietrzeźwości? – spytał sierżant dwóch funkcjonariuszy.

– Pedalstwo i milczenie, panie sierżancie. Nie odezwał się słowem, odkąd próbował mnie poderwać w publicznym szalecie.

– Nie przypominam sobie, żebym się do pana w ogóle odezwał – warknął Burgess, nie potrafiąc oprzeć się pokusie werbalnego ataku. Miał akcent kojarzący się z Eton i Cambridge, nie tego się spodziewali po zawartości wygniecionego płaszcza. Nagle funkcjonariusze stali się ostrożniejsi.

– O, jednak mówi. Nazwisko i adres – powiedział sierżant.

– Zanim cokolwiek powiem, chcę wiedzieć, co mi się zarzuca.

– Skłonność do opuszczania gaci – odrzekł posłusznie policjant dokonujący zatrzymania.

Burgess ścisnął się za jaja, próbując zaprowadzić jako taki porządek wśród obrazów kotłujących się w jego mózgu. Jeden z nich ukazywał sierżanta i sugerował, że Burgess właśnie został potępiony i skazany. Drugi kpiącego funkcjonariusza – Burgess rozpaczliwie pragnął walnąć niebieskookiego w te jego wielkie, tłuste, mięsiste usta i wziąć nogi za pas. Oczywiście nie mógłby daleko uciec, ale przynajmniej miałby satysfakcję, widząc, jak ten drań krwawi. Jeszcze inny obraz uświadomił mu, że na posterunku panuje chaos, policjanci biegają we wszystkich kierunkach, krzycząc o jakiejś bombie na dworcu Victoria. Wcześniej Burgess słyszał o King's Cross – a więc Victorią też się zajęli...

Funkcjonariusz krótko wyłożył sprawę sierżantowi:

- To było nagabywanie, panie sierżancie. W Grosvenor Gardens. Przez cały wieczór miałem to miejsce na oku. Zobaczyłem, jak tam wchodzi i jakieś dziesięć minut później poszedłem za nim. Nadal tam był, nic nie robił, tylko tak jakby się... gapił. Na mnie. No więc pokręciłem się trochę, umyłem ręce. Cały czas czekał. Wszedłem do kabiny, on wszedł do sąsiedniej. I zanim się obejrzałem, zaczął wsuwać przez szczelinę w ścianie karteczki ze sprośnymi propozycjami.

- Z jakimi sprośnymi propozycjami? - spytał oburzony Burgess.

Funkcjonariusz rozłożył karteczkę na biurku przed sierżantem.

- Nieważne, co tu jest napisane. Tylko zboczeńcy rozdają karteczki w publicznej toalecie.

Znowu nastąpiło gwałtowne zamieszanie, gdy drzwi do pokoju przesłuchań nagle się otworzyły i do środka wciągnięto protestującego i zakrwawionego mężczyznę z irlandzkim akcentem.

- Twierdzi pan, że nie jest zboczeńcem? - spytał ostro sierżant, ponownie skupiając się na Burgessie.

- To śmieszne!

- Tak, oczywiście, sir. Strasznie się pomyliliśmy. Postaramy się znaleźć panu wyrozumiałego sędziego. Poza tym wypierzemy pana brudny płaszcz i poszukamy odpowiedzi na pytanie, dlaczego spędza pan wieczory w sraczu. Ale do tego czasu posiedzi pan w pace. No... nazwisko?

Zatem nadeszła ta chwila - Burgess musiał dokonać wyboru. Pedalstwo było przestępstwem, oznaczało odsiadkę i wpis w kartotece. Od tego, co nastąpi w ciągu kilku najbliższych minut, zależała reszta jego życia. Chwycił się za jaja jeszcze jeden wyciskający łzy z oczu raz, żeby świat przestał wirować.

- Nie możecie mnie o nic oskarżyć. Nie macie żadnych dowodów.

– Widzieliśmy, jak otwierasz interes w męskiej toalecie. To już połowa sukcesu.

– A ja byłem w połowie drogi do domu.

– Skąd? Dokąd? – Sierżant uniósł ołówek, przygotowując się do pisania.

– Nazywam się Burgess. Mieszkam przy Chester Square, tuż za rogiem. Pod numerem dwadzieścia osiem. Nie mam nic do ukrycia. A wracałem... – wziął głęboki oddech – z dworca Victoria.

– Co?

– Byłem tam. Gdy wybuchła bomba. – Zamilkł. Słuchali. – Eksplozja przewróciła mnie na ziemię.

– A my urodziliśmy się wczoraj, prawda?

– Przechodziłem obok szatni... – zgadywał, trochę ryzykował, ale nie mógł grać zupełnie bezpiecznie. W każdym razie zawsze podrzucali bomby do szatni. – Nie widziałem niczego oprócz dymu.

– A o której godzinie nastąpiła ta mała tragedia w pańskim życiu?

Wszystko mu się przypominało. Usłyszał brzęczące dzwonki karetek niedługo przed dotarciem do Grosvenor Gardens.

– Mniej więcej wpół do dziesiątej.

– Okej. No więc leżał pan sobie na plecach na dworcu Victoria. Jak to się stało, że wylądował pan w toalecie?

– Byłem w szoku. Trząśłem się. Upadając, uderzyłem się w głowę. – Pokazał na spuchnięte oko, które już poczerwieniało i zaczynało sinieć. Sierżant był chyba pod wrażeniem, lecz funkcjonariusz zaczął się wic jak złapany hakiem węgorz. – I chciałem się dostać do domu, na Chester Square, ale... nie byłem w stanie. – Burgess powiedział to tak, jakby to, że dał się zaskoczyć po tak dramatycznym doświadczeniu, było powodem do wstydu.

– Gapiłeś się na mnie – upierał się funkcjonariusz, próbując zerwać się z haka.

– Byłem oszołomiony. Skołowany. Nie gapiłem się ani na pana, ani na nikogo innego.

– Tylko że mamy tę karteczkę, sir. Wygląda na to, że był pan tak oszołomiony, że próbował nagabywać tego funkcjonariusza.

– Nie, panie sierżancie! – Burgess porzucił zawstydzony ton na rzecz brawury. – Ten liścik nie ma ze mną nic wspólnego.

– Pańskie słowo przeciwko jego słowu. Pozwolimy, żeby rano rozstrzygnął to sędzia pokoju, dobrze? – zaproponował sierżant, oblizując koniuszek ołówka.

– Wszedłem do kabiny...

– W jakim celu?

– A jak pan myśli, do cholery? – spytał z niedowierzaniem Burgess.

Sierżant odłożył ołówek, stosownie speszony.

– No więc... siadam i widzę jakąś karteczkę wystającą przez szparę w drewnianej ścianie. Zakładam, że pochodzi od... – Burgess odwrócił się, żeby wymierzyć w funkcjonariusza oskarżycielski palec – ...od niego! Jestem zniesmaczony. Nie czytam jej. Po prostu wpycham ją z powrotem przez szparę.

– Utrzymuje pan, że to nie pański liścik?

– Stwierdzam to jako niewątpliwy fakt. Każdy grafolog w tym kraju powie panu dokładnie to samo. – Burgess o mało się nie uśmiechnął. Po incydencie w samochodzie Driberg zaproponował, żeby wymienili się mniej więcej tuzinem takich liścików właśnie z myślą o tego rodzaju sytuacjach, by mieli szansę się ich wyprzeć. – Ta karteczka tam była, gdy wszedłem do kabiny – upierał się Burgess.

– Sugeruje pan, że to ja wsunąłem ją przez szparę? – spytał oburzony funkcjonariusz.

– A nie zrobił pan tego?

– Oczywiście, że nie, do diabła!

– W takim razie musiał to zrobić ktoś, kto był tam wcześniej. I zostawił ją tam.

Funkcjonariusz zaplątał się, próbując udzielić odpowiedzi, dla której nie znalazł jeszcze słów.

– Więc mówi pan, że ją zauważył – podsumował sierżant – wsunął z powrotem przez szparę, a funkcjonariusz ją zobaczył i...

– I na mnie napadł. Zanim się obejrzałem, ten pawian i jego kolega rzucali mną po ścianach i tłukli na kwaśne jabłko.

– Nie zrobiliście tego, prawda Collins? Ostrzegałem, żebyście nie...

– Sierżant ugryzł się w język, ale bicz widniejący w jego oczach wystarczył, by funkcjonariusz się skrzywił. – No więc, sir... panie Burgess z Chester Square 28 – podjął znużony sierżant – naprawdę oczekuje pan, że uwierzę w te wszystkie bajeczki, które mi pan tu wciska?

– Przysięgam, że każde słowo to prawda, panie władzo.

– To stek bzdur, panie sierżancie...

Sierżant głęboko wciągnął powietrze, aż napięły się guziki jego bluzy. Po drugiej stronie pomieszczenia znowu rozpętał się irlandzki chaos – trzech funkcjonariuszy siedziało na wierzgającym ciele i próbowało je sobie podporządkować. Zanosilo się na to, że dzisiejsza lista zarzutów rozrośnie się równie mocno jak trawa za jego domem. Sierżanta czekała ciężka noc. Spojrzał na Burgessa – na czerwone, załzawione oczy, drżące ręce, pogniecione ubranie. Był mniej więcej w tym samym wieku co jego syn Albert. Albert niedawno zaciągnął się

do wojska. Do saperów. Miał się zajmować bombami rozrywającymi ludzi na kawałki równie skutecznie jak ta, która dziś wieczorem wybuchła na dworcu. Sierżant widział na własne oczy, co to oznacza – w Belgii, dwadzieścia pięć lat temu. Patrzył, jak saperzy czołgają się przez błoto i splątane druty, żeby rozbrajać niewybuchy. Przypominało to widowisko w teatrze rewiowym: w jednej chwili byli, a w następnej – nie. Znikali z powierzchni ziemi. Zostawała po nich tylko plama, która powoli wsiąkała w mokre, parujące błoto nowego leja po bombie. No więc pokłócił się z Albertem, doszło nawet do rękoczynów. Syn był jego jedynym dzieckiem, sierżant nie chciał, żeby tam szedł, ale Albert i tak zrobił to, o czym sierżant od początku wiedział. Od tamtej pory ojciec nie mógł spać. Pochylił się nad kontuarem, zbliżając twarz do twarzy Burgessa, tak że prawie zetknęli się nosami.

– Panie Burgess, muszę panu powiedzieć, że nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co mi pan powiedział. W ani jedno przekłete słowo. Dla mnie jest pan małym, śmierdzącym kłamcą i pedałem, którego należałoby powiesić za jaja gdzieś za kratkami. Ale jest pan sprytny, to trzeba panu przyznać. Bez wątpienia przed rozprawą zdążyłby się pan wykapać, włożyć czystą koszulę i znaleźć jakiegoś drogiego spedalonego adwokata. Chcę jednak, żeby coś pan zapamiętał. Niedługo wybuchnie wojna i tacy jak pan nie będą mogli się schować w żadnym lokalnym sraczu. Czy to się panu podoba, czy nie, zaciągną pana na front razem ze wszystkimi dobrymi, porządnymi mężczyznami. I mam w związku z panem pewne przeczucie. Wierzę w przeczucia, a jakże. I w pańskim wypadku moje przeczucie jest bardzo silne. Coś mi mówi, że zanim się pan obejrzy, ktoś wbije panu bagnet w dupę, przekręci, i wie pan co? Przyjdę na pański pieprzony pogrzeb, żeby się pośmiać. Tymczasem, panie Dymaj-Mnie-Burgess

z Sodomia Square 28, mam tu wystarczająco dużo gnoju do przerzucenia jak na jeden wieczór. Więc zabieraj się pan z mojego posterunku i nie waż się więcej zgrywać cioty w moim rewirze, bo inaczej, Boże dopomóż, sam w pana wbiję ten bagnet!

Zamknął rejestr zatrzymań z trzaskiem, który zabrzmiał jak wybuch granatu.

Był to jeden z tych dni, gdy odnosi się wrażenie, że powietrze nabiera ciężaru i przysiąda na ramionach. Znad zielono-brązowego morza wiała porywami bryza, ale poddawała się na długo przed dotarciem do frontowych drzwi poczty Sue Graham. Ten dzień nie należał do najbardziej udanych. Jej plan dnia poszedł w diabły nie tylko przez upał, lecz także z powodu nieustannego napływu ludzi, którzy zjawiali się przy jej okienku. Letni sezon w Bournemouth rozpoczął się na dobre i chyba każdy wczasowicz w promieniu wielu mil tłoczył się teraz w jej placówce. Niektórzy przybywali tylko po to, żeby spytać o drogę, inni kupowali frywolne pocztówki znad morza, a potem stali w kolejce po znaczki przed metalową kratką oddzielającą część poczty. Obok udręczone kobiety cierpliwie czekały w upale, żeby pobrać wakacyjne pieniądze ze skromnych rachunków oszczędnościowych, raz po raz przeliczając przy tym monety w portfelu, podczas gdy ich poparzone słońcem dzieci wyklócały się w kącie obok półek ze słodyczami albo ciągnęły się za rękawy. Nieustannie trwała również sprzedaż gazet – w ostatnich tygodniach popyt na nie gwałtownie wzrósł. Podobnie jak liczba telegramów. Boj z hotelu Highcliffe przyniósł rano prawie tuzin telegramów od gości hotelowych i był pewny, że przed zamknięciem przyjdzie jeszcze raz. Wyglądało na to, że każdemu się spieszy, żeby zakończyć swoje sprawy

i pozamykać wszystko, zanim... no cóż, zanim to długie, groźne lato dobiegnie końca. Nawet warzywa Sue zdawały się niecierpliwić.

Nie miała ochoty tu być, nie w tym tygodniu. Planowała wyjechać z Jerryem i spędzić urlop na pieszych wycieczkach po Dartmoor. Obydwoje w ramach przygotowań pochłaniali przewodnik Baedekera i ułożyli już program na poszczególne dni – Sue dobrze radziła sobie z planami i mapami, dorównywała pod tym względem każdemu żołnierzowi z jednostki Jerry’ego – lecz w pewnym momencie przyszedł telegram. Armia terytorialna wzywała go na tygodniowe szkolenie. W tygodniu ich urlopu. Nic nie można było na to poradzić, oczywiście musiał jechać, ale był to dla nich bolesny cios. Mieli coraz mniej czasu, obydwójce o tym wiedzieli, i czuli nieodparte pragnienie bycia razem, korzystania ze swojego towarzystwa, dopóki jeszcze mogli. Szansa przepadła.

– Harry⁴ Hitler ma u nas dług – szepnęła, całując go na pożegnanie.

Jerry’ego wysłano do obozu niedaleko Beaulieu w New Forest. Robił wszystko, żeby być z nią w stałym kontakcie. Dzwonił z lokalnego pubu, by potwierdzić, że przyznano mu stopień sierżanta i nauczono, jak rzucać wojskową radiostacją w sposób zgodny z regulaminem. Przez kilka następnych dni miał się zapoznawać z działaniem karabinu maszynowego Bren, ale na cały obóz przypadła tylko jedna sztuka, więc lista oczekujących na szkolenie była długa i niebawem miała się wydłużyć jeszcze bardziej, ponieważ nie przysłano im amunicji.

Czekając na dostawę, szykowali się zatem na wojnę. Siedzieli na polu przed oficerami, którzy uczyli ich, jak walczyć w ostatniej wojnie, a później godzinami doskonalili sztukę kopania latryn polowych

i napełniania worków piaskiem. Szlifowali też salutowanie, a pod koniec popołudnia rozpalili ogniska z zielonych gałązek i słomy, żeby zaparzyć herbatę i poinformować wszystkich wrogów w promieniu wielu mil o swojej dokładnej lokalizacji. Nie doczekali się jednak herbaty. Zaczął padać deszcz. Dosłownie lunęło. Burze o powalającej sile nawiedziły całą południową część kraju i najwidoczniej spotkały się dokładnie nad obozem, który niebawem zniknął pod wodą. Na początku biegali, upewniając się, czy boczne płachty namiotów są obciążone cegłami i kamieniami, tak żeby deszcz nie dostał się do środka, a gdy to nie pomogło, pospiesznie owinęli posłania wodoodpornymi matami i zaczęli kopać kanały drenujące, by odprowadzić wodę z powierzchni. Kiedy kanały wypełniła nadmierna ilość wody, próbowali kopać jeszcze głębiej i wykorzystać worki z piaskiem, aby wystraszyć ponure brązowe kałuże, które rozciągały się teraz na terenie całego obozu, ale wszystko na nic. Ich posłania były zniszczone, struktura dowództwa i kontroli upadła, a cały entuzjazm wyparował. W tym momencie przyjechała ciężarówka z brakującą amunicją i natychmiast wpadła w jeden z rowów odwadniających, który zniknął pod wszechobecną warstwą wody.

Dwadzieścia pięć mil dalej Bournemouth ominęła ta cała zabawa i miasteczko dalej wiło się i dusiło w gęstym upale. Pracy było coraz więcej, bo ludzie przychodzili, domagając się lemoniady na ugaszenie pragnienia oraz mieszaniny tlenu cynku i wody wapiennej dla ukojenia poparzonej skóry. Sprzęt telegraficzny przez całe popołudnie wypluwał wieści z odpowiedziami dla gości hotelu Highcliffe i z nowymi instrukcjami dla armii terytorialnej dotyczącymi poboru, więc gdy ponownie zadrżał i przystąpił do działania tuż przed zamknięciem poczty, Sue była rozkojarzona. Minęła dłuższa chwila, zanim zdała

sobie sprawę, że telegram, który właśnie przyszedł, był dla niej, od Jerry'ego – przemokniętego, oddanego, zdeterminowanego Jerry'ego – a potem druga, jeszcze dłuższa, gdy besztala go w myślach. Obowiązywała minimalna opłata za telegram o długości do dziewięciu słów, lecz on wykorzystał tylko trzy. Typowo męska rozrzutność. Dopiero wtedy słowa zaczęły przeciskać się przez skwar i ogólne udęczenie tego długiego dnia.

Telegram brzmiał po prostu: „WYJDŹ ZA MNIE”.

Telegraficzne oświadczyń, miłość w biegu, świat w stanie wrzenia, mętlik we wszystkich głowach. Odnosiło się wrażenie, że jest bardzo mało czasu na to, co istotne. Hitler trzymał całą Europę za jaja, niebawem miał sięgnąć do jej gardła.

W ciągu ostatnich tygodni Bracken widywał Annę bardzo rzadko – w zasadzie w ciągu ostatnich miesięcy, ale czas zdawał się przyspieszać z każdym mijającym dniem – a to tylko podsycalo jego żądze. Wielbił ją. Sądził, że byłaby dla niego idealną partnerką, przejawiała wielkie zainteresowanie jego pracą, podsycala jego ambicje, a w szczególności rozumiała, jak ważna jest jego rola we wszystkich myślach i planach Churchilla. Tak dobrze go znała.

Wygospodarowali kilka cennych godzin i odpoczywali pod wielkim wiązem w Hyde Parku, szukając cienia w upale, który stał się tak dokuczliwy, że nawet Bracken, zwykle pedantycznie dbający o wygląd, był zmuszony zdjąć marynarkę i rozpiąć kamizelkę. Oparł się plecami o gruzłowaty pień, a ona leżała rozciągnięta u jego stóp. Pocił się, i to nie tylko z powodu upału.

– Chcę coś powiedzieć – oznajmił nieśmiało. – Chcę to powiedzieć już od jakiegoś czasu. Chciałbym cię częściej widywać, Anno. O wiele częściej.

– Będziesz zajęty tego lata, Brendanie?

– Przywiązany do masztu... ale mimo to chciałbym cię częściej widywać.

– Ja też. To znaczy też chciałabym cię częściej widywać. Ale będę przywiązana do tego samego masztu. – Bawiła się długim źdźbłem trawy, głaszcząc je palcami. Marzył, żeby być tym źdźbłem. Poruszył się niespokojnie i położył sobie marynarkę na kolanach.

– W przyszłym tygodniu muszę zawieźć ciotkę Rose na południe Francji – ciągnęła. – Do wuja Joego.

– Ach, szkoda. – Nagle wydał się urażony, zniechęcony. – Wiem, że wyjechał. Myślałem, że twoja ciotka już mu towarzyszy.

– Wuj Joe musi poświęcić trochę czasu dyplomacji...

– Miałem nadzieję, że będziesz wolna...

– ...a potem dołączy do niego ciotka i spędzą razem urlop.

– Ach, rozumiem. – Od przybycia do Londynu Kennedy poświęcał się odbudowie entente cordiale, polityki dyplomatycznej karmionej najwyraźniej niewyczerpanym dopływem młodych francuskich aktorek, które prowadziły go nie na paryskie Pola Elizejskie, lecz na przeróżne jachty cumujące w Cannes i Monte Carlo. – Nie jest tam sam, prawda?

Anna rzuciła mu spojrzenie zabarwione dezaprobatą – być może wywołaną postępowaniem wuja albo po prostu naiwnością pytania.

– Naprawdę chcę cię częściej widywać – nalegał Bracken.

– Chyba mógłbyś przyjechać na kilka dni do Francji – tylko że oczywiście nie możesz, nie teraz, kiedy tyle się tutaj dzieje – powiedziała, jednym tchem wysuwając propozycję i wyciągając wniosek. Między innymi właśnie to tak bardzo w niej podziwiał: niezwykle praktyczną stronę jej charakteru, zupełnie niepodobną do

głupiutkich angielskich debiutantek, które nie umiały znaleźć wyjścia z damskiej toalety bez pomocy co najmniej trzech przyjaciółek. Tym razem jednak jej praktyczne podejście rozpało jego nadzieje tylko po to, by natychmiast je przekreślić.

– Anno, chodzimy ze sobą... spotykamy się... już od ośmiu miesięcy, od grudnia. – Jakie to dziwne, pomyślała, że on dokładnie wie, jak długo się znają. Była to niemal wyłącznie kobieca cecha, większość mężczyzn trzymała pamięć w bieliźnie i chyba ciągle ją traciło.

Spojrzał na nią, na jej plecy, gdy z zamkniętymi oczami leżała zwrócona twarzą do nieba, pieszcząc źdźbło trawy ułożone między swoimi piersiami, a deseń jej bawełnianej sukienki mocno przylegał do jej ciała. Wyobraził sobie, że jest królem Zulusów spoglądającym na dół z wysokiej góry, ponad Weldem ciągnącym się i falującym ku dalekim, magicznym mgłom, i zapragnął osiąść to wszystko.

– Anno, moglibyśmy widywać się o wiele częściej, gdybyśmy wzięli ślub.

Miał wrażenie, że w ogóle nie zareagowała. Nawet nie oddychała.

– Byłabyś fantastyczną gospodynią. Wielki dom. Najwspanialsze przyjęcia. Towarzyskie i polityczne centrum Londynu, ty i ja... – Jego słowa padały w pośpiechu, niesione oddechem, który zdawał się pozbawiać go sił. Powoli otworzyła oczy, przewróciła się na bok i podparła łokciem, żeby na niego spojrzeć.

– Czy to oświadczyny?

– Chyba tak.

Długie milczenie. Intensywnie wpatrywała się w źdźbło trawy.

– No więc wyjdiesz za mnie? – spytał głośno.

– Nie, mój drogi Brendanie.

- Dlaczego?

- Bo musisz stoczyć wojnę. I nie jesteś stworzony do małżeństwa. W każdym razie zniszczyłoby to naszą przyjaźń. A twoja przyjaźń jest dla mnie bardzo ważna, Brendanie. Ważniejsza, niż umiem wyrazić słowami. Muszę zatem odmówić, nie rozumiesz? Przynajmniej na razie...

Odmowa zawinięta w bibułę nadziei. Nie doceniała jednak Brackena - był Irlandczykiem, przywykłym do odmowy i odrzucenia, co tylko czyniło go jeszcze bardziej upartym, jeszcze bardziej zdeterminowanym. Nie zamierzał pogodzić się z odmową. Była młoda, podatna na wpływy, więc zamierzał wywrzeć odpowiedni wpływ i ją zdobyć. Żeby nie miała innego wyjścia, jak tylko zmienić zdanie.

Później zaczął jednak przypuszczać, że od początku doskonale wiedziała, co robi.

Ogród przy Downing Street. Jaskrawe słońce. Ławka w cieniu białej brzozy. Filiżanki na stoliku piknikowym.

- Mistrzowskie posunięcie, Neville'u. Absolutnie mistrzowskie.

- Dziękuję. - Herbata nalewana z dbałością. - Które konkretnie posunięcie masz na myśli, Horace?

- Kuszenie Winstona owocami urzędu. Wiesz, wiosną nie mogliśmy go uciszyć. Wskakiwał jak diabeł z pudełka z obłuzowanym zatrzaskiem. Ale potem w odpowiednich barach zaczęło krążyć parę pogłosek i przez całe lato nie wygłosił w Izbie Gmin ani jednego przemówienia. Ani jednego. Nawet o...

- O pożyczce dla Niemiec.

Wilson sięgnął po herbatę.

- Nawet o tym. Jak ryba zahipnotyzowana przez jedną z twoich much.

Chwila poświęcona na przyglądanie się zarysowi liści na tle nieba.

– To nie potrwa długo, Horace.

– Dlaczego?

– Już wkrótce zrozumie, że nie ma żadnej muchy. Że to tylko miraż.

Oszustwo. Pojmie, że nie zamierzam dać mu pracy.

– Więc... co zrobimy?

– Uciszymy go w inny sposób.

– W inny sposób?

– Pozbędziemy się go. Pozbędziemy się ich wszystkich. Żeby przestali plątać się nam pod nogami.

– Wakacje parlamentarne?

– Zajmą swoje roztrzepane umysły zagranicznymi podróżami.

Najlepiej na pokładzie jachtów.

– W takim czasie? Wybuchnie awantura.

– Och, ale niewielka. Atrakcje Lazurowego Wybrzeża znacznie przewyższają te, które oferuje Polska. Większość z nich ma ambicje, żeby dołączyć do brygady wiaderka i łopatkki, nic ponadto.

– Wolą budować zamki z piasku niż robić okopy.

– Właśnie.

Kolejny łyk herbaty.

– Winston też?

– On raczej nie. To kłopotliwa brygada. Ale wakacje przynajmniej pozbawią go publiczności.

– Racja.

Znowu chwila milczenia. Poprawienie krawata, nieco nerwowe poruszenie się na krześle.

– Może powinniśmy też pozbawić go innych rzeczy.

– Na przykład?

- Znasz nowe zalecenia w kwestii bezpieczeństwa wydane przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych?

- W związku z IRA? Oczywiście. Zakaz wnoszenia walizek do autobusów... zamknięcie publicznej galerii w Izbie Gmin.

- Oraz zwiększenie ochrony ważnych osób, które mogą być zagrożone.

- Masz na myśli przydzielenie im uzbrojonych funkcjonariuszy policji.

- Jeszcze herbaty, Horace?

- Dziękuję.

Typowo angielska chwila milczenia.

- To bardzo długa lista nazwisk. Względy bezpieczeństwa.

- Oczywiście.

- Zbyt długa.

- Tak sądzisz?

- Trzeba ją skrócić?

- Jak?

- Jest na niej nazwisko Winstona.

- Wiem.

- Chcę, żeby stamtąd zniknęło.

- Żeby zniknęło? Ale to oznacza...

- Właśnie. Na razie pozostawimy los Winstona w rękach Boga, co ty na to?

Drugi sierpnia. Środa. W Izbie Gmin panowała stęchła, męska atmosfera nadszarpująca nerwy i wywołująca plamy potu wokół kołnierzyków. Pora rozpocząć urlop. Miliony zwykłych Brytyjczyków były już na wakacjach, które odciągały ich myśli od wiszących nad nimi zagrożeń, a teraz mieli do nich dołączyć także członkowie

parlamentu. W normalnych okolicznościach przyjęto by taką wiadomość wybuchem słabo skrywanej radości, ale sierpień 1939 roku to nie były normalne okoliczności.

Zaledwie w ubiegłym tygodniu, gdy zaczęły krążyć pogłoski o wakacjach parlamentarnych, Churchill wstał i zażądał, by nie wysyłać członków Izby na urlop, w czasie którego zgubią się w jesiennych mgłach, a Chamberlain odrzekł, że jest to „hipotetyczna” sugestia. Teraz hipotetyczność zmieniła się w twardy fakt i premier wstał, by poinformować posłów, że zostaną wygnani z Izby aż do października.

Była to prosta i zwyczajna procedura parlamentarna, wniosek w sprawie zawieszenia obrad, który w normalnych okolicznościach wywołałby nie większe obawy niż rozlanie herbaty na spodeczek. Był jednak sierpień 1939 roku. Posłowie wstali, by wyrazić swoje zdanie – prawie wszyscy byli zaniepokojeni, niektórzy wręcz wpadli w złość. Jaki sygnał dostaną dyktatorzy, gdy demokracje zamkną swój kram i pobiegną budować zamki z piasku? Czy Hitler też będzie miał wakacje?

Churchill przemawiał przeciwko wnioskowi – po raz pierwszy od wielu tygodni wziął udział w debacie w Izbie Gmin. Nie był to żaden szturm – być może nadal powstrzymywała go kusząca perspektywa objęcia urzędu, lecz stało się jasne, że do października nic się w tej kwestii nie wydarzy, o ile w ogóle miało się wydarzyć. Jego przemówienie było zatem chwilami żartobliwe, ale raczej w uszczypliwy sposób. Mówił o „niebezpiecznych miesiącach w Europie, gdy już zebrano plony, a moce zła są najsilniejsze”. Mówił o dwóch milionach mężczyzn czekających pod bronią w Niemczech oraz o pięciuset tysiącach powołanych w ostatnich dniach i mających

dołączyć do tej grupy przed końcem sierpnia, gromadzących się wzdłuż polskich granic od Gdańska po Kraków. Powiedział, że niemieckie budynki publiczne opróżnia się na masową skalę – a dlaczego? By zrobić z nich prowizoryczne szpitale i ośrodki przyjmujące rannych.

Jego dowcip wbił się głęboko w ciało premiera. Jak to możliwe, dopytywał się Churchill, że w tak przerażających okolicznościach Chamberlain mówi do Izby: „Precz! Jedźcie i bawcie się! Nie zapomnijcie zabrać masek gazowych! Nie przejmujcie się sprawami publicznymi”. Ten rząd święcił wszak wielkie sukcesy, przewidując, jak potoczą się sprawy publiczne...

Uśmiech w kąciku ust starego mężczyzny raczej nie złagodził piekącego bólu po uderzeniach bata, którym okładał po plecach swojego przywódcę. Chamberlain siedział, dotkliwie odczuwał zniewagę i dąsał się, tym bardziej że inni też wstawali, by wezwać go do większej elastyczności, do kompromisu, do skrócenia parlamentarnych wakacji. Do trwania w gotowości.

Niespełna dwie godziny po tym, jak Churchill wrócił na swoje miejsce, Chamberlain był zmuszony wstać po raz drugi. Buntownicza atmosfera rozprzestrzeniała się w Izbie jak trucizna, ale była to przecież jego Izba, do diabła. Stał na czele partii mającej w tym miejscu przytłaczającą większość. Przyszła pora, żeby ją wykorzystać. Wyraźnie zatem poinformował deputowanych, że czekające ich głosowanie zostanie potraktowane jako wotum zaufania dla jego przywództwa. Nie głosowali jedynie w sprawie swoich wakacji, głosowali za nim, za Neville'em Chamberlainem, swoim premierem, najlepszym pieprzonym przywódcą i jedynym pieprzonym przywódcą – i lepiej niech o tym nie zapomną! W parlamentarnym języku było to

wypowiedzenie wojny. Każdy w jego partii, kto nie zechce go poprzeć, weźmie swoje życie polityczne we własne ręce, a ponieważ zbliżały się wybory, to życie okaże się krótkie. Już on tego dopilnuje. Przez ostatnie kilka godzin znosił uderzenia bata, lecz teraz z całą mocą zwrócił go w stronę kolegów.

W historii jest wiele punktów zwrotnych. Niektóre zdarzają się przez przypadek i możliwe, że ten był jednym z nich. A może prędzej czy później musiało do tego dojść. Przywódca polityczny upierający się przy swojej nieomyślności bynajmniej nie był żadną nowością, ale rzadko forsował to z tak wielkim brakiem wdzięku. Nawet w przededniu wojny politycy lubili, by ktoś, kto ich dyma, okazywał choć odrobinę entuzjazmu. Tym razem mieli przed sobą człowieka gotowego bez uprzedzenia wypowiedzieć wojnę własnym kolegom, choć wcześniej miesiącami unikał tego w relacjach ze szkopem. Przesłanie było jasne – urlop Chamberlaina był o wiele ważniejszy niż Czechosłowacja.

Pewien młody deputowany uznał, że to zbyt wiele. Ronald Cartland nie był typowym torysem swoich czasów. Nie miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pójść na studia, więc zaczął pracować jako asystent do spraw badań w Centralnym Biurze Partii Konserwatywnej za głodową pensję w wysokości trzech funtów tygodniowo. Trudne czasy, z których rodzi się niezależność. Ostrzegł komisję rekrutacyjną w swoim okręgu w Birmingham, że nie będzie bezrozumną chorągiewką gotową łopotać w zależności od kierunku, w jakim akurat wieje wiatr, ale spodobał im się jego świeży wygląd i mimo to go przyjęli.

Gdy Cartland wstał w Izbie Gmin, słuchacze wcale nie byli zachwyceni. Siedzieli zgrzani, rozkojarzeni i w większości obojętni,

przejechali im się wszyscy Churchill i Chamberlainowie. Prawdę mówiąc, wielu deputowanych ledwie go poznało, lecz z pewnością żaden z nich go nie zapomniał.

– Przepraszam, że zatrzymam Izbę jeszcze na chwilę, ale chciałbym powiedzieć kilka słów jako szeregowy deputowany partii rządzącej – zaczął niemal przepraszać. Izba rozbrzmiewała rozpraszącymi szmerami, ponieważ wielu członków ruszyło na poszukiwanie napojów orzeźwiających. Przystanęli jednak, gdy dodał: – Jestem głęboko zaniepokojony przemówieniem premiera.

Ci, którzy przeszli już obok fotela spikera Izby Gmin, kierując się w stronę palarni, zawrócili i ponownie zajęli swoje miejsca. Czyżby się przesłyszeli? Czyżby to był siarczasty policzek niełojalności?

– Rozdzielimy się do trzeciego października – ciągnął Cartland – i przypuszczam, że większość z nas pojedzie do swoich okręgów wyborczych rozrzuconych po całym kraju, żeby wygłaszać przemówienia. W naszej ojczyźnie odnosi się teraz jednak nieprawdopodobne i absurdalne wrażenie. Że premierowi chodzi po głowie... dyktatura.

O Boże, zaczął, wyruszył w tę drogę i nie było odwrotu. Nagle ciała wciskały się z powrotem w wypełnione skórzane ławy.

– Rzecz jasna, jest to wrażenie absurdalne i wszyscy obecni tu po obu stronach Izby wiedzą, że takie jest, ale... – cóż za wspaniałe mały spójnik: ale – w kraju się je odnosi.

– Do diabła, Dickie, co to za kretyn?

– Niech mnie szlag, jeśli wiem, Ianie. Kopie sobie piekielnie głęboki dół. Co tam dyktatura. Za coś takiego Neville każe położyć jego jaja na grzance.

Ze swojego miejsca na tyłach Izby Cartland widział tył głowy premiera siedzącego trzy rzędy przed nim. Nie drgnął ani jeden mięsień, nie zadrżał ani jeden włos, ale to właśnie ten bezruch powiedział mu wszystko.

– W kraju odnosi się absurdalne wrażenie – powtórzył Cartland – że premier ma dyktatorskie pomysły. A przemówienie, które wygłosił dziś po południu, wraz z kategoryczną odmową przyjęcia któregokolwiek z wniosków złożonych przez deputowanych po obu stronach Izby, zdecydowanie utrudni – te słowa wypowiedział już wolniej – odparcie tego wrażenia.

– Stek bzdur – mruknął głośno w pobliżu jakiś toryski kolega, lecz znacznie więcej słów zachęty dobiegło z całej Izby, a bardzo wiele toryskich głów po prostu odwróciło się w jego stronę i potakiwało. Przypominało to falowanie sadzawki wśród skał, do której raz po raz gwałtownie wpływa woda.

– Możesz nazywać się torysem – zaprotestował jeszcze raz kolega z partii. – Dla mnie będziesz hańbą.

– Nie, nie. Dziś rano dostałem list. – Cartland pomachał kartką w stronę protestującego. – Od jednej z moich wyborczyń. Nadany

w King's Norton i podpisany po prostu: „Konserwatystka”. Była konserwatystką przez całe życie i napisała do mnie, chcąc wyrazić swoje zaniepokojenie, ponieważ – zacytował – „bardzo wielu ludzi uważa, że premier przyjaźni się z Hitlerem”.

– Siadaj, przeklęty głupcze!

– Jest pijany, to pewne...

– Czytasz list samobójcy, co?

– Boże, dlaczego wpuszczają tu takich ludzi?

Z jego własnych ław dobiegały wykrzykiwane ostrzeżenia. Jeden z deputowanych próbował go pociągnąć za poły marynarki, żeby z powrotem usiadł, ale Cartland wyrwał mu się, zdeterminowany, by mówić dalej – bo i dlaczego by nie? Nie miał już powrotu.

– Jesteśmy w takiej sytuacji... – Jego słowa prawie zupełnie utonęły w panującym wokół zgiełku. – Jesteśmy w takiej sytuacji, że w ciągu miesiąca możemy być zmuszeni do walki. I możemy zginąć!

Próbowali z niego drwić, zakrzyczeć go, nie dopuścić do tego, by jego słowa w ogóle trafiły do protokołu, wymachiwali swoimi listami zapytań poselskich niczym toreadorzy dręczący byka, lecz on trzymał głowę wysoko, a jego głos wznosił się ponad tumultem.

– Szanowni dżentelmeni, którzy niebawem rozpoczną dwumiesięczny urlop, mogą sobie mówić „och” i protestować. Ale tysiące młodych mężczyzn szkoli się teraz w obozach wojskowych, rezygnując ze swoich urlopów dla dobra narodu.

Spojrzał z pogardą na tych, którzy go wygwizdywali, lecz pośród nich, niczym wyspy na oceanie, zobaczył także twarze wyrażające niepokój i poparcie. Jego falująca pierś opadła, głos nagle złagodniał. Teraz musieli wytężyć słuch, żeby go usłyszeć, ale wytężali.

– Nie pojmuję, dlaczego premier nie mógł wykonać wspaniałego gestu w interesie jedności narodowej. Z pewnością poparcie całego kraju jest o wiele ważniejsze, ale... – Cartland rozpaczliwie pokręcił głową i przez chwilę wyglądał, jakby nie był w stanie mówić dalej.

Chamberlain, który cały czas siedział nieruchomo i niewzruszenie, lekko odwrócił głowę, by spojrzeć na swojego oskarżyciela – w jego oku widniał błysk zimnej, nieśmiertelnej wrogości, stary człowiek drwił z młodego – a po chwili ponownie odwrócił się do niego plecami. Ta zniewaga jakby tchnęła w Cartlanda nowe życie: wciągnął w płuca

stęchłe powietrze miejsca, którym tak bardzo teraz gardził, po czym rzucił się do boju.

- Poparcie całego kraju jest o wiele ważniejsze - powtórzył podniesionym głosem, gdy znowu natarł na niego zgiełk - niż wygłaszanie szyderczych, błahych przemówień, które dzielą naród. Dlaczego premier nie może poprosić o prawdziwe zaufanie do niego jako premiera, jako przywódcy państwa, a nie jedynie przywódcy partii? Szczerze mówiąc... - osaczali go jak psy gończe pragnące rozerwać mu gardło - szczerze mówiąc, ogarnia mnie rozpacz, gdy słucham takich przemówień, jakich wysłuchałem dzisiaj po południu.

Wszędzie wokół zaczęto krzyżeć o zdradzie, a po drugiej stronie Izby opozycja domagała się więcej. Przewodniczący Izby Gmin daremnie apelował o spokój, ale Cartland już usiadł - jedyny człowiek, który zdawał się nieporuszony w oceanie sztormów. W ciągu kilku minut koledzy z partii, teraz już byli przyjaciele, nazwali jego wystąpienie „trującym”, lecz znaleźli się i tacy, którzy stwierdzili, że to „mowa z rodzaju tych, które długo przetrwają w pamięci tej Izby”. Dzielilo, ponieważ odsłaniało prawdziwy obraz jedności rządu - będącej jedynie obrazem.

Co do jednego wszyscy byli zgodni. Takie przemówienie było nieodwracalnym samopoświęceniem. Gdy wrzawa zaczęła powoli cichnąć, głowa premiera pochyliła się, by szepnąć coś krótko do ucha rzeczownika dyscypliny. Wszyscy wiedzieli, co się dzieje. Cartland został potępiony. W następnych wyborach nie mógł być kandydatem konserwatystów.

Życzenie Chamberlaina się spełniło, gdyż, jak się okazało, Cartland właśnie wygłosił najważniejsze przemówienie w swoim życiu. W ciągu

miesiąca możemy być zmuszeni do walki i możemy zginąć, prognozował. Miał rację.

30 maja 1940 roku trzydziestotrzyletni major Ronald Cartland został postrzelony w głowę i zginął podczas ewakuacji spod Dunkierki, stając się pierwszym członkiem parlamentu, który poległ w czynnej służbie.

Ignorując ostrzeżenia Cartlanda, Churchilla i innych, pod koniec tygodnia, w piątek czwartego sierpnia parlament rozpoczął letnie wakacje.

Minęło dwadzieścia pięć lat od chwili, gdy oddano pierwsze strzały w pierwszej wojnie światowej. Wtedy oczywiście jeszcze jej tak nie nazywano. Nazywano ją Wielką Wojną. Ostatnią Wojną. Wojną mającą położyć kres wszystkim wojnom.

⁴ Harry (ang.) – „dręczyć”, „nękać”, „pustoszyć”.

Rozdział trzynasty

(„Daily Express”, wolny poniedziałek, 7 sierpnia 1939)

„Daily Express” przeprowadził sondaż wśród swoich europejskich korespondentów i dziesięciu spośród dwunastu z nich mówi: W TYM ROKU WOJNY NIE BĘDZIE

BERLIN STANOWCZO: HITLER NIE JEST GOTOWY

Według europejskich korespondentów „Daily Expressu” nie będzie wojny w tym roku.

Taki wniosek płynie z sondażu przeprowadzonego w ubiegłym tygodniu w najważniejszych stolicach kontynentu. Poprosiliśmy naszych korespondentów, by podzielili się z nami swoją opinią na temat prawdopodobieństwa pokoju lub wojny w 1939 roku. [...] Co istotne, najbardziej przekonani o pokoju są trzej korespondenci w Berlinie. Wszyscy uważają, że Hitler nie jest w stanie przeprowadzić dużej kampanii [...]

Chamberlain wyjechał z Londynu w wolny poniedziałek, udając się na urlop, by łowić łososie w rzece Naver w Sutherland. Cztery dni później jego wysłannik – wielce szanowny sir Reginald Ranfurly itd., itd., itd. – dotarł do Moskwy po długiej podróży, by rozpocząć z Rosjanami rozmowy na temat sojuszu.

Tymczasem z każdym mijającym dniem wieści z polskiej granicy coraz bardziej przypominały rzekę płynnego metalu. Polaków oskarżano o terroryzm, tortury, morderstwa. Każdy ruch wojsk, jaki wykonywali z myślą o obronie swojej granicy, opisywano w Niemczech

jako przygotowania do wojny. W ustach Goebbelsa, który najwidoczniej nie czytał „Daily Expressu”, brzmiało to tak, jakby Polacy mieli za chwilę przypuścić zbrojny atak na sam Berlin.

Tymczasem Chamberlain czekał, łowił ryby i modlił się, by Reggie okazał się przekonującym zalotnikiem, mimo że wysłano go do Moskwy z pustymi rękami i nie był w stanie nic zrobić. Inni wykazali jednak większą aktywność i zaczęli przygotowania do tego, co, jak się obawiali, miało nastąpić. Przedsiębiorstwa z City zaczęły przenosić dokumenty i personel na wieś, by móc kontynuować pracę, w razie gdyby Luftwaffe zrównała Londyn z ziemią. Zdjęto bezcenne średniowieczne witraże z katedry Canterbury i umieszczono je w magazynie. Skarby z londyńskich muzeów pakowano do skrzyń i wywożono. Planowano zabić jadowite gady w zoo. Londyn stał się miastem worków z piaskiem – wszędzie wznosiły się zbudowane z nich góry. Tam, gdzie zabrakło piasku, wypełniano worki starymi książkami i programami wyborczymi.

Joe Kennedy skrócił swój wypad na południe Francji i przybył z powrotem do Londynu. Gdy ambasador schodził po schodach, młody kapitan samolotu zasalutował i spytał:

- Myśli pan, że będzie wojna, sir?
- Możesz się o to założyć. Ja tak zrobiłem.
- Jakie mamy szanse?

Kennedy ze zdumieniem spojrział na młodego pilota.

- Mniej więcej takie jak Joanna d'Arc modląca się o deszcz - warknął, po czym ruszył dalej.

Ambasadorowi towarzyszyła pani Kennedy i jego siostrzenica Anna. Mademoiselle Marie-Noëlle Rey wróciła następnym kursem.

Zaplanowano próbę pełnego zaciemnienia, którą następnie przełożono z powodu brzydkiej pogody. Londyńskie parki zaczęły się wypełniać reflektorami szperającymi i balonami zaporowymi. Sygnalizację świetlną stonowano tak bardzo, że stała się prawie niewidoczna, krawężniki pomalowano na biało, by odznaczały się w ciemności, pokazywano też, jak przekształcić autobusy w prowizoryczne ambulanse. Nawet reklamy się zmieniły. Jakiś geniusz marketingu wyczuł gęstniejącą atmosferę kryzysu i zaczął reklamować lampkę Terry's Anglepoise jako „jedyną praktyczną lampkę na czas zaciemnienia”.

Ludzie nadal jednak żyli nadzieją – daremną, bezsensowną, jałową. W „Illustrated London News” opublikowano zdjęcia szarżującej polskiej kawalerii, pod którymi widniał podpis: „Imponująca polska kawaleria – prawdopodobnie najlepsza w Europie, uzbrojona w miecze, lance i karabiny maszynowe. Wojsko niezwykle rozwinięte oraz znacznie bardziej mobilne na trudnym terenie niż siły zmechanizowane, a ponadto zdolne przetrwać na tym, co rodzi ziemia”.

Mieli zginąć wspaniałą śmiercią.

W Bournemouth Sue Graham zaplanowała, a następnie przełożyła swój ślub. Razem z Jerryem zgodnie uznali, że wojna wybuchnie, a więc należało się przygotować. Postanowili zatem poczekać ze ślubem. Sue zamówiła już materiał na suknię, kilka jardów czystego białego atłasu. Zawinęła materiał w bibułkę i umieściła go w pudełku, a na wierzchu tej kaskady bieli położyła zaszuszoną różę od Jerry'ego.

Dwudziestego pierwszego sierpnia Chamberlain przerwał wędkarski urlop i na krótko wrócił do Londynu, żeby zapoznać się z ostatnimi wydarzeniami. Tłum zgromadził się wokół Downing

Street, obserwując przyjeżdżających i odjeżdżających doradców z coraz bardziej ponurymi minami. Sporadycznie rozlegały się brawa, gdy za oknem pojawił się sam premier. Wszyscy nadal mieli nadzieję, że uda się uniknąć wojny, lecz niewielu w to wierzyło, a ci, którzy zachowali jeszcze jakieś złudzenia, pozbyli się ich przed pójściem spać.

W wieczór powrotu Chamberlaina ogłoszono bowiem coś wielce zdumiewającego. Hitler porozumiał się ze Stalinem. Pakt o nieagresji. Gdy rosyjski przywódca machał na pożegnanie wielce szanownemu admirałowi, tylnymi drzwiami wślizgiwali się niemieccy urzędnicy. Dwie najgroźniejsze dyktatury na świecie zawarły faustowski układ, wyciągając do siebie ręce i otaczając Polskę imadłem, po zaciśnięciu którego miała krwawić cała Europa.

Następnego dnia Joachim von Ribbentrop, nazistowski minister spraw zagranicznych, poleciał do Moskwy na oficjalną ceremonię podpisania paktu, a jego samolot rzucał cień mrozący serca ludzi na całym kontynencie.

Chamberlain nie mógł spać. Ilekroć zamykał oczy, noc wypełniała się przerażeniem. Kamienna pięść, którą przez tyle miesięcy czuł pod sercem, zmieniła się w lawę i płonęła w nim po każdym posiłku, nie pozwalając odpocząć. Czuł się wyczerpany, skonany, lecz wiedział, że czeka go najważniejsza próba w życiu. Leżał rozbudzony w łóżku, pot wsiąkał w poduszkę, a on wpatrywał się niewidzącymi oczami w ciemność i słuchał nocnych szmerów, które w jego zmaconym umyśle zmieniały się w głosy jego ojca i brata – szydząc z niego, tak jak wtedy, gdy był młody.

Rano wstał i jak zwykle wybrał się na spacer po St. James's Park, ale zawrócił daleko przed mostem nad jeziorem. Gdy wchodził do

budynku z numerem dziesięć, ogarnął go olbrzymi niepokój, który w późniejszej rozmowie z żoną przyrównał do uczucia towarzyszącego umierającemu człowiekowi po raz ostatni kładącemu się do łóżka. Poszedł prosto do gabinetu i ciężko opadł na fotel. Następnie wydał trzy polecenia. Należało wezwać tych członków rządu, którzy zostali w Londynie oraz jego lekarza. Poza tym chciał porozmawiać z królem przebywającym w zamku Balmoral.

Gdy trochę później w słuchawce zabrzmiał głos Jego Wysokości, nawet bakelitowe echo na linii międzymiastowej nie było w stanie zagłuszyć faktu, że telefon zakłócił monarsze spokój.

– Powinienem być teraz na p-p-polowaniu, premierze. Czy to nie może zaczekać?

– Sugeruję, sir, żeby wrócił pan do Londynu. Niezwłocznie.

– Mam wrócić? Nie mogę wrócić. Mam tu za dużo do zrobienia.

– Musi pan wrócić.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ obawiam się... nieuchronności zagrożenia, sir. – Niezręczne sformułowanie trącające rozpaczą.

– Ma pan na myśli wojnę w Polsce? Wątpię. Polska będzie musiała ustąpić, to oczywiste. Tak jak Czechosłowacja. A jeśli tego nie zrobi, S-s-stalin i Hitler rozerwą ją na strzępy. Potem zaczną rozrywać na strzępy siebie nawzajem, wspomni pan moje słowa. Nie, panie Chamberlain, z naszego punktu widzenia sprawy nie mogły przybrać lepszego obrotu. Możemy siedzieć i patrzeć, jak ci wszyscy przekłęci Europejczycy tłuką się do utraty zmysłów.

Głębokie westchnienie, jęk wyczerpania.

– Ależ sir, udzieliliśmy Polsce gwarancji.

– Tak, wiem o tym, ale... – Długie milczenie, by zapanować zarówno nad myślami, jak i nad językiem. – Chyba nie próbuje mi pan powiedzieć – nie próbuje pan, panie Chamberlain? – że nie możemy się wycofać z tej gwarancji?

– Daliśmy słowo.

– Daliśmy słowo, oczywiście, ale... – Znowu cisza. Po chwili głos pozbawiony wszelkiej pewności. – Nie możemy go dotrzymać. Nie mamy szans uratować Polski. Próbowanie byłoby samobójstwem.

– Mimo wszystko daliśmy uroczystą obietnicę. Wyzaczyliśmy granicę.

– Ale w jakim celu? Co komukolwiek przyjdzie z tego, że pójdziemy na wojnę o Polskę? Nie zrobiliśmy tego dla Czechosłowacji, więc dlaczego mielibyśmy to robić dla Polski, na litość boską? Przecież to nie ma sensu, człowieku.

Milczenie.

– W-w-wojna? Po co, do diabła? – spytał król, podnosząc głos. – To byłby jedynie daremny akt zemsty. Zostawiłby Europę w ruinie. Imperium w chaosie. – Mówił tak, jakby to była wyłącznie wina Chamberlaina.

– Wie pan, sir, że próbowałem uniknąć wojny bardziej niż ktokolwiek inny na tej ziemi. Nawet jeśli wybuchnie wojna, to przynajmniej pokazaliśmy, że staraliśmy się jej uniknąć najbardziej ze wszystkich narodów na tej bożej ziemi. Nikt nie może mieć wątpliwości co do tego, kto jest agresorem, kto ponosi winę.

– Rozumiem ryzykowanie wszystkiego dla Imperium, panie Chamberlain, dla całego Imperium. Ale dla... Polski?

– Zwołam posiedzenie parlamentu. Trzeba przedsięwziąć nadzwyczajne środki, ostrzec dominia, zarekwirować statki,

przeprowadzić pobór rezerwistów. I zrobić jeszcze wiele innych rzeczy. Pańskie miejsce jest w Londynie, sir.

– To godne n-n-największego potępienia, panie Chamberlain. Hitler wszystko popsuł. Na litość boską, przecież jest sierpień.

– Przepraszam, że zakłóciłem panu urlop, sir.

– Szkockie kuropatwy będą mu wdzięczne.

Carol i Mac leżą w łóżku, a między nimi spoczywa zimny cień samolotu Ribbentropa. Wydawało się, że mały dwupoziomowy domek w Chigwell stoi bardzo daleko od wszystkich liczących się miejsc, lecz nawet w łóżku czuli, że nie zdołają uciec.

Petera męczyły koszmary. Chyba reagował na napięcie, które otaczało go ze wszystkich stron. Tego dnia po południu wdał się w bójkę z synem sąsiada – dziurawiąc na tyłku swoją najlepszą parę spodni – i Mac dał mu w ucho. Peter krzyknął w odpowiedzi coś bardzo niegrzecznego, przypominając Macowi, że nie jest jego tatą, więc Carol też dała mu w ucho na dokładkę. Wszyscy poszli spać w podłych humorach. A mała Lindy chorowała już od kilku dni, trawiona gorączką, która zaczynała się zmieniać w brzydką wysypkę. Przyszedł lekarz, lecz nie był pewny, co jej dolega. Teraz wysypka bardzo się nasiliła i należało go wezwać jeszcze raz. Więcej pieniędzy na spodnie, na lekarzy, na leki – i to w czasie, gdy w pojemniku na herbatę pod kuchennym zlewem, gdzie trzymała wszystkie pieniądze na życie, można było znaleźć tylko wspomnienia. Państwo Hoare wyjechali na urlop – mieli prawie dwa miesiące wolnego, dasz wiarę? – więc Carol straciła źródło dochodu. A ponieważ nie sprzątała, nie wyrzucała też zawartości kosza stojącego pod biurkiem ministra.

Burgess źle to przyjął. Wiercił Macowi dziurę w brzuchu, lecz Mac niczego dla niego nie miał. Ogólnie rzecz biorąc, od połowy lipca

praca w Trumper's też przynosiła marne zyski. Tak to już jest o tej porze roku. Nawet milord Halifax wyjechał na urlop. Zostało bardzo mało ścinków, które można było zgarnąć. Spotkali się z Burgessem na drinka, choć Mac uprzedził, że to będzie strata czasu. Ale Burgess prosił, a później nalegał. Był już pijany, gdy zjawił się Mac, i sądząc po jego wyglądzie – wymiętoszona, brudna koszula, nerwowe podniecenie – Mac domyślił się, że nie trzeźwieje od wielu dni. Nigdy wcześniej nie widział go w takim stanie. Język miał jednak ostry jak nigdy i gdy stało się jasne, że Mac mówił szczerze – że naprawdę marnują czas – coraz bardziej agresywny Burgess stracił panowanie nad sobą. Powiedział, że Hitler i Stalin włączając sobie nawzajem w tyłek zniszczyli wszystko, w co wierzył. Sam jest pan sobie winien, mruknął Mac, niepotrzebnie w cokolwiek pan wierzył, a wtedy Burgess zaatakował, mówiąc, że to właśnie wiara wynosi ich ponad poziom zwierząt, po czym rozlał swojego drinka i nazwał Carol głupią krową, dlatego że nie przyniosła żadnych nowych dokumentów. Mac wstał, zanim Burgess zdążył skończyć.

– Muszę pomóc przy chorym dziecku, panie Burgess. Nie muszę wysłuchiwać tych wszystkich bzdur.

Wyszedł, zostawiając nietknięte piwo.

Możliwe, że to był koniec. Możliwe, że nie będzie więcej spotkań, nawet jeśli oznaczałoby to koniec dochodów Carol. Akurat gdy najbardziej ich potrzebowała. Zjawił się u niej, kiedy snuła plany – zabezpieczała szyby w oknach taśmą, najpierw przyklejając ją w kształcie pionowego krzyża świętego Jerzego, później ukośnego krzyża świętego Andrzeja, aż wszystkie okna w domu udekorowała gwiazdami. Powiedziała dzieciom, że to taka zabawa, jak w Boże Narodzenie. I zbudowała specjalną kryjówkę pod schodami obok

licznika elektrycznego, umieszczając w niej stary materac, na którym Peter i Lindy mogliby spać, oraz podpierając sklepienie grubymi dębowymi nogami starego stołu. Zdjęła kilka obrazów, pochowała przedmioty, które mogłyby się potłuc, postawiła wiadro piasku na szczycie schodów. Była zaradna, wiedziała, że jakoś przetrwa. Miała też metry ciężkiego ciemnego materiału, który należało przymocować na oknach w charakterze zaciemniających zasłon, oraz zapas artykułów spożywczych – cukier, kawę, suszone owoce, mięso w puszkach i całą resztę – tak na wszelki wypadek. Było to coś w rodzaju wyścigu, w którym brała udział

każda gospodyni domowa na ulicy, a chcąc mieć jakiegokolwiek szanse na zwycięstwo, trzeba było najpierw wyjść z domu. Tylko że Carol nie miała pieniędzy.

– Czy pan Burgess zaproponował ci jakieś pieniądze? – spytała, trzymając w zębach lepkie końce taśmy i niebezpiecznie balansując na taborecie.

– Nie.

– Dlaczego?

– Nie prosiłem.

– Nie prosiłeś... – Wypluła kawałki taśmy i zeskoczywszy z taboretu, podeszła do niego. – Dlaczego, do diabła? – spytała. Niepokój wyostrzył jej język.

– Dlatego że... – Dlatego że co? Mac nie był pewny, ostatnio nie był pewny bardzo wielu rzeczy w swoim życiu. Wszystko wydawało się proste, gdy żył sam i cały świat miał za wroga, mógł się od niego odgrodzić, mieć go gdzieś, skupić się na przetrwaniu, zupełnie sam. Odkąd jednak poznał Carol i dzieci, znowu zaczął coś czuć, a uczucia, jak stwierdził, często bywają bolesne. Ranily go głęboko w środku,

przywoływały wspomnienia, które wolałby trzymać zakopane obok małego Mońka i resztek swojej duszy. A ponieważ nie wiedział, jak sobie z tym radzić, chował się w swoim kokonie i całą winą obarczał Carol. W ten sposób było o wiele łatwiej, prawda? – Dlatego że... nie wydawało mi się to właściwe – wyjaśnił, niczego nie wyjaśniając.

– Boże, potrafisz być tak cholernie niepraktyczny. Tylko pomyśl, co pan Burgess dla nas zrobił. Tylko pomyśl, dla odmiany! Najwyższa pora, żebyś znowu zaczął żyć w prawdziwym świecie, do cholery.

No i zaczęła się kłótnia.

– W prawdziwym świecie? Co jest takiego prawdziwego w tym niedorzecznym świecie?

– Peter i Lindy, oni są prawdziwi. To jest mój świat, Mac. Myślałam, że twój też.

Powinien był coś powiedzieć, pocieszyć ją, ale wydostanie się z kokonu zawsze wymagało czasu.

– Muszę coś zrobić, Mac. – Chwila milczenia. Tysiąc dokuczliwych kruków dziobało jej pewność siebie. – Czy ty... kiedykolwiek myślałeś o tym, żeby spędzać z nami więcej czasu? Na przykład... wprowadzić się do nas. Na poważnie.

Wiedziała, że nie powinna tego proponować. Była kobietą, nie wypadało jej, i przez to ich związek wydał się niemal wyrachowany. Ale całe życie było wyrachowane. Kosztowało. A ona musiała myśleć o dwojgu dzieci. Mac stał i patrzył przed siebie, unikając jej spojrzenia, udając, że podziwia jej okienne dzieła. Zobowiązanie. Słyszał w jej słowach tylko zobowiązanie, a to słowo brzmiało w jego głowie jak trzaśnięcie więziennych drzwi. Przez prawie dwadzieścia lat unikał zobowiązań – przez najspokojniejsze, najbardziej uporządkowane,

najmniej zagrażające i najbardziej wyzwajające dwadzieścia lat swojego życia – a teraz...

– Napijesz się herbaty, dziewczyno? – Spędził w Anglii dość czasu, żeby wiedzieć, w jaki sposób ludzie wypełniają tu emocjonalne luki w swoim życiu. Pokuśtykał, nie czekając na odpowiedź. Wiedział jednak, że będą potrzebowali czegoś więcej niż dwóch parujących kubków, żeby rozwiązać ten problem – a należało go rozwiązać, bo właśnie rozdrapywali stare rany. Byli dwojgiem niekompletnych ludzi, którym inni podarli życie na kawałki i którzy jakimś cudem zdołali je pozszywać, lecz w rezultacie stali się nieufni wobec każdego, kogo spotkali na swojej drodze, włączając siebie nawzajem.

Carol przyjęła filiżankę herbaty, którą przed nią postawił, bez podziękowania i ze spuszczonego wzrokiem.

– To nie jest odpowiednia pora – powiedział, szykując się do jakichś wyjaśnień. – Zbliża się wojna i w ogóle. Kto wie, gdzie będę za dwa miesiące, a co dopiero za dwa lata. Niczego nie można być pewnym. Dajmy sobie trochę czasu, co, dziewczyno?

– Nieważne – odrzekła cichym i napiętym głosem, jakby coś ją dusiło. – Ja i dzieci jakoś sobie poradzimy.

Przeszła na pozycję obronną. Przekłęci mężczyźni. Starła się ukryć urazę. Niby czego nie można było być pewnym, do diabła?

Głupi mężczyźni i ich bzdurne wojny. Ona nie miała najmniejszych wątpliwości w kwestii wszystkich najważniejszych spraw w swoim życiu: Petera i Lindy. W kwestii tego, że należało ich wykarmić, zapewnić im dach nad głową i obdarzyć miłością, oraz wychować tak, by mieli większe szanse niż ona. Nad czym tu się zastanawiać? Niech zatem mężczyźni toczą tę swoją przeklętą wojnę, a ona będzie dalej toczyła własną, zwaną życiem.

- Nieważne - powtórzyła. - Jeśli wybuchnie wojna, będzie mnóstwo pracy.

- Masz jakieś plany?

- Nie - skłamała, unikając jego wzroku.

Poszli zatem do łóżka, a w zimnym miejscu między nimi zaległ cień. Leżeli tak prawie godzinę, udając, że śpią, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Próbowali je zignorować, ale rozległo się ponownie, nieustępliwie.

- Pójdę otworzyć - powiedział Mac, ciesząc się, że może na coś się przydać.

Otworzył drzwi i na progu ujrzał Burgessa z twarzą oświetloną żarem nerwowo palonego papierosa.

- Witaj, Mac.

Nawet w ciemności było widać, że usiłuje odzyskać trzeźwość.

- Chciałem przeprosić. - Ciężko ruszył naprzód, trzymał coś w ramionach. - Proponuję pokój. Byłem niegrzeczny. Przepraszam. Przyniosłem kwiaty dla pani. I szalik dla dziecka. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu. Mam nadzieję, że mała czuje się już lepiej. Chciałbym zapłacić za lekarza, jeśli pozwolisz.

- Jest bardzo późno, panie Burgess.

- Znasz mnie, Mac. Zawsze niecierpliw. I naprawdę przepraszam.

- Burgess się uśmiechnął. Pod potarganymi włosami i wygniecionym garniturem miał zaraźliwy i najzupełniej prawdziwy chłopięcy urok, który sprawiał, że pies przechodził na drugą stronę ulicy tylko po to, by dać mu się pogłaskać.

Mac stał w otwartych drzwiach ubrany w pizamę, starając się nie ulec podejrzliwości. Burgess był człowiekiem, który odmienił życie Carol, a przez to także życie Maca. Był kimś w rodzaju wybawiciela,

a teraz stał w drzwiach, przynosząc prezenty. Chciał pomóc. Może jednak coś z tego wyjdzie. Mac słyszał, jak na górze porusza się Carol, mógłby zanieść jej kwiaty, szalik, pieniądze. Naprawić sytuację. Życ dalej. Wszystko by się ułożyło.

– Nadal nic dla pana nie mam, panie Burgess – wyjaśnił Mac niemal przeproszającym tonem.

– Nie dlatego przyszedłem.

– Zaprosiłbym pana, ale... – Wykonał gest w stronę swojej piżamy.

– Nie ma potrzeby, Mac. Chciałem tylko wszystko naprawić. Jesteś moim przyjacielem. To ja zawiniłem. Przepraszam.

Nagle, choć Mac stawiał silny opór, podejrzliwość jednak wzięła nad nim górę. W świecie pozbawionym wszelkiej lojalności nie było czegoś takiego jak prezenty i przyjazne gesty, były wyłącznie łapówki – odkrył to w obozach. O co zatem chodziło Burgessowi? Dlaczego przyszedł o tak późnej porze? Dlaczego zjawił się pod drzwiami Carol? Mac zaczął się drapać.

– Ale skąd... skąd pan wiedział, gdzie jestem, panie Burgess? Skąd pan wiedział, że mnie pan tutaj zastanie?

Burgess się roześmiał. Była to jedynie próba wypełnienia luki w umyśle. Zadziałał instynktownie, nie przefiltrował tego przez przesiąknięty whisky umysł, zwyczajnie chwycił te rzeczy i pobiegł, chcąc rozwiązać problem, rozsypać zaplątane supełki w swoim życiu. Nie spodziewał się pytań i teraz usilnie próbował wypełnić czymś dziurę w miejscu, w którym powinna była czekać odpowiedź. Mac przestał się jednak drapać, już dawno przejrzał tę grę. Grał w nią przecież przez pół życia.

– Chyba się pomyliłem, panie Burgess, myśląc, że ma pan choć trochę przyzwoitości. Ale wygląda na to, że zwykły z pana mamzer.

– Mamzer?

– Kolejny drań, któremu się wydaje, że jestem jego własnością. Jak całej reszcie. A jest pan tylko drugorzędnym tajniakiem.

Powiedziawszy to, cicho, lecz bardzo zdecydowanie zamknął Burgessowi drzwi przed nosem.

(„The Times”, piątek, 25 sierpnia 1939)

SCENY Z DOWNING STREET

SPOKOJNY I ZDYSCYPLINOWANY TŁUM

OKLASKI DLA MINISTRÓW

Jak zawsze w takich chwilach, na Whitehall i Downing Street ściągnęły wczoraj setki obywateli. Oczywiście było wśród nich wielu turystów, którzy w nadziei na znakomite zdjęcie jakiejś ważnej osobistości rozłożyli swoje aparaty mieszkowe. Wszyscy zachowywali się porządnie i spokojnie. Prowadzono wiele cichych dyskusji, obserwując osoby wezwane na Downing Street 10. Tuż przed południem zgromadzeni mieli okazję wyrazić swoje uczucia i skwapliwie z niej skorzystali, odprowadzając premiera entuzjastycznymi okrzykami, gdy odjeżdżał samochodem złożyć raport królowi w pałacu Buckingham. [...]

Kiedy zbliżyła się pora wznowienia obrad, olbrzymi tłum zebrał się na Parliament Square i deputowani, przybywający pieszo lub samochodami, z trudem przedostawali się na teren parlamentu. Tłum nadal był zdyscyplinowany, złożony z obywateli żywo zainteresowanych, lecz absolutnie spokojnych. Demonstrowało jedynie około dwudziestu mężczyzn i kobiet, którzy chodzili w kółko z plakatami opatrzonymi tylko jednym słowem. „CHURCHILL”.

Brawa rozległy się ponownie około 14.40, gdy premier wraz z panią Chamberlain opuszczał Downing Street, by udać się do Izby Gmin. Później wiwatowały tłumy ustawione wzdłuż Whitehall i brawa przybrały na sile, kiedy dołączyła do nich chmara ludzi przed siedzibą parlamentu.

Jakaś kobieta stojąca na ulicznej wysepce niedaleko wejścia na dziedziniec pałacowy podeszła do przejeżdżającego samochodu premiera i przystawiła do szyby plakat z napisem „Churchill”. [...]

Sierpień był dla Churchilla miesiącem przygotowań. Spędził kilka dni w podróży, przeprowadzając inspekcję Linii Maginota we Francji. Była to niezaprzeczalnie wspaniała zaporą, nie do zdobycia, lecz zastanawiał się, dlaczego nie sięga aż do morza. Potem pojechał na kilka dni malować razem ze starym przyjacielem, artystą Paulem Maze'em, w zamku na zachód od Paryża. Trudzili się godzinami, próbując uchwycić subtelny czar zabytkowego młyna niedaleko brzegów rzeki Eure. Churchill zdecydowanie wolał krajobrazy od portretów – „One nie narzekają”. Inni, mniej życzliwie, sugerowali, że jego preferencje wynikają stąd, iż nie potrafi spędzić więcej niż kilku chwil na kontemplowaniu osoby innej niż on sam.

Churchill zatem malował, opłukując swój świat kolorami i wybornym koniakiem, i czułby się szczęśliwy, gdyby zdołał zapomnieć. Był jednak ostatnim człowiekiem w Europie zdolnym zapomnieć albo zignorować wydarzenia, które nabierały rozpędu wokół niego. Szukał świeżych barw, lecz realia tego sierpnia były wyłącznie szare i brązowe. Nagle odwrócił się do Maze'a i powiedział: „Będziemy musieli bardzo długo czekać, zanim znowu namalujemy obraz w czasach pokoju”. Potem spakował farby i natychmiast wrócił do Anglii.

Pojechał prosto do Chartwell, gdzie godzinami układał cegły, kończąc budowę kuchni w domku wzniesionym na terenie posiadłości i pracując nad swoją Historią. Wieczorem w dniu jego powrotu przybył do Chartwell emerytowany inspektor Scotland Yardu W.H. Thompson, który był jego osobistą obstawą, gdy Churchill służył w rządzie. Jego usługi znowu stały się potrzebne, ponieważ w Anglii było dwadzieścia tysięcy niemieckich nazistów, zorganizowanych i potencjalnie niebezpiecznych, a Churchill wiedział, że Hitler nienawidzi go chyba bardziej niż wszystkich innych Anglików. Spali zatem z Thompsonem na zmianę i czuwali.

Poza tym naoliwili pistolety.

– Ponoć w Londynie wrze, sir – zauważył Thompson, demontując zamek i lufę browninga 9 mm.

– Wątpię – odrzekł niespiesznie Churchill. Rozkładanie i czyszczenie broni sprawiało mu chyba przyjemność, było ponadczasowym rytuałem przygotowań ze szczoteczką, wyciorem i wacikiem, dzięki któremu miał się czym zająć. – Nie, to nie wrzenie, panie Thompson. Londyńczycy nie tak łatwo tracą głowę. Nie są kurczakami. Ale w wypadku Downing Street może być zupełnie inaczej. Przypuszczam, że pan Chamberlain siedzi w tej chwili otoczony doradcami i zastanawia się, jak to możliwe, że naziści ściskają się z komunistami nad stołem, który sam zastawił.

– Przyjmą pana z powrotem, sir. Muszą.

– Być może. Z tego, co wiem, w Londynie pojawiło się kilka billboardów z pytaniem: „Po ile Churchill?”. Najwyraźniej ktoś chce mnie tam widzieć. Ale wątpię, żeby rozwiesił je pan Chamberlain.

Przez kilka minut trwali w zupełnym milczeniu, siedząc po przeciwnych stronach biurka w gabinecie, czyszcząc, oliwając,

składając, ładując, traktując broń z nabożną czcią, jakby szykowali się do jakiegoś sakramentu. W końcu Churchill pobłogosławił ją tym, co zostało w jego szklaneczce whisky, włożył browninga do górnej szuflady biurka, by łatwo mógł ją wydobyć podczas pracy, a potem zważył w dłoniach inną broń, colta .45. Miał go przy sobie we Flandrii podczas ostatniej wojny, pistolet dobrze mu służył i Churchill chyba nadal był z niego zadowolony. Wstał, spróbował rozprostować stare, zbolale kości, po czym podszedł do otwartego okna wychodzącego na krótki podjazd i frontowy mur zasłaniający Chartwell – niezbyt skutecznie – przed biegnącą obok drogą. Był wspaniały letni wieczór, niebo zasnuło się czerwienią, gdy słońce zaczęło zachodzić za kępą rododendronów. Na murze przycupnęła szara wiewiórka i jadła wieczorny posiłek, a on rozkoszował się ostatnim ciepłem dnia. Napiął ciężkie ramiona, wyciągnął szyję, zadzierając do góry brodę, uniósł pistolet i strzelił. W gabinecie rozległ się potężny huk, pozostawiając kwaśną woń spalonego smaru, a po drugiej stronie podjazdu kilka fragmentów czerwonej cegły odprysło z nowej dziury, która pojawiła się jakieś osiemnaście cali pod górną krawędzią muru. Przerażona wiewiórka czmychnęła, nawet nie draśnięta.

– Nie jestem przygotowany na tę wojnę, Thompsonie.

– Nikt nie jest.

– Gdy w ubiegłym tygodniu stałem na potężnych murach obronnych Linii Maginota, wokół widziałem tylko sprzeciw. Francuzi wzniesli olbrzymi transparent, głosząc całemu światu: „Liberté! Egalité! Fraternité!”. Naprzeciw niego i na oczach ich wszystkich Niemcy wzniesli jeszcze większy transparent krzyczący: „Ein Volk! Ein Reich! Ein Führer!”. – Churchill odwrócił się od okna. – A wie pan, co my mamy, inspektorze?

Thompson wzruszył ramionami.

– Mamy w Dover tablicę mówiącą: „Witamy w Anglii. Prosimy o ciche opuszczanie pokładu, by nie zakłócać spokoju lokalnym mieszkańcom”. – Churchill smutno pokręcił głową i do oczu napłynęły mu łzy. – To pierwsze, co zobaczą, kiedy się tu zjawią.

W krótkim czasie, jaki mu pozostał, Churchill pracował do późna nad Historią, a Thompson go pilnował. O świcie pierwszego września Churchill wycofał się do swojej spartańskiej sypialni obok gabinetu, otoczony zdjęciami lorda Randolpha. Gdy spał, Niemcy najechały na Polskę. Niedługo po wschodzie słońca zbudził go telefon od polskiego ambasadora, który powiedział, że właśnie w tej chwili na Warszawę spadają bomby, a przez wszystkie ważne przejścia na zachodniej granicy kraju przetaczają się czołgi. Polacy już umierają, a niebawem umrze sama Polska. Poprosił Churchilla, by zrobił, co w jego mocy.

Churchill natychmiast zadzwonił do generała Ironside'a, generalnego inspektora zagranicznych sił zbrojnych. Generał zatelefonował do Ministerstwa Wojny. Nikt tam o niczym nie słyszał.

Chamberlain nadal walczył o swój pokój. Nie chciał wypowiedzieć wojny. Ogłosił, że Wielka Brytania wypełni zobowiązania wobec Polski, i oznajmił Niemcom, że muszą się wycofać, lecz nie wyznaczył żadnego terminu. Skorzystał z nadzwyczajnych uprawnień, które odsuwały na bok demokrację i oddawały całą realną władzę w ręce ministrów i urzędników cywilnych. Słał Hitlerowi wiadomości za pośrednictwem ambasadorów i pośredników, licząc na odpowiedź, która dałaby choć cień nadziei. Mówiło się o włoskiej mediacji. Gdyby tylko Niemcy się wycofały, wszystko byłoby możliwe.

Chamberlain apelował o pokój, a Wielka Brytania szykowała się do wojny. Zaczęła się ewakuacja trzech milionów dzieci z miast. W całym

kraju zarządzono zaciemnienia. Zamilkły kościelne dzwony, trzymane w rezerwie na wypadek inwazji, która, jak wszyscy się obawiali, miała nastąpić. Tłumy, które zaledwie kilka dni wcześniej wiwatowały i machały, teraz zamilkły.

A gdy Polska cierpiała i krwawiła, posłowie z partii rządzącej wypełnili palarnię i skupili się na picciu drinków. „Nigdy wcześniej nie widziałem, by aż tyle pito” – napisał pewien weteran służby cywilnej...

– Szlag by to trafił! Szlag! Szlag!

– Całkowicie się z tobą zgadzam, Ianie, stary druhu.

– Jak mogliśmy się w coś takiego wpakować?

– Chciałeś powiedzieć: jak Neville mógł nas w coś takiego wpakować.

– Niech to diabli, pamiętasz, co robił w ubiegłym roku? Głędził o kłótniach w dalekich krajach między ludźmi, o których nic nie wiemy. Właśnie tak mówił o Czechosłowacji. A Polska jest jeszcze dalej.

– Mieszanie się w sprawy Polski to pieprzone samobójstwo. Z jednej strony Iwan, z drugiej Adolf.

– Nie wypowiedział wojny... na razie.

– Musimy być wdzięczni za drobne łaski i duże drinki. Jeszcze po jednym?

– Głupie pytanie, psiakrew.

Skinął na umęczonego kelnera.

– Ufałem Neville'owi, przecież wiesz. Polegałem na jego zapewnieniu, że nie będzie żadnej cholernej wojny. Obiecał to, Ianie. No więc, niech to szlag, zrobiłem coś głupiego. Wszystkie pieniądze trzymam tutaj. W naszej kochanej Anglii.

– Wszystkie?

– Patriotyczny obowiązek... No, właściwie to większość z nich i tak należy do małej. Kiedyś chciałem z nią o tym porozmawiać, ale... cóż, wiesz, jak to jest. To był jeden z tych przeklętych okresów, kiedy w zasadzie się do siebie nie odzywaliśmy.

Chwila milczenia poświęcona na picie.

– W każdym razie wszystko nadal leży tutaj. W banku i w inwestycjach. Większość pójdzie w diabły. Powinienem był to przenieść, kiedy jeszcze mogłem. Teraz jest już za późno, te wszystkie kontrole dewizowe i w ogóle.

– Oraz pobór.

– Nie bądź takim ponurakiem, Ianie, jesteśmy o wiele za starzy na te przeklęte bzdury.

– Miałem na myśli Cecila, mojego syna. Ma dwadzieścia dwa lata...

– Biedaczysko.

– Już dostał powołanie. Poprosiłem swojego prawnika, żeby się temu przyjrzał. Może zwolnienie z przyczyn zdrowotnych. Wiesz, Cecil ma chory łokieć, nie może strzelać. Nie trafiłby w bażanta, nawet gdyby ten podszedł i go pocałował.

– Kto, Cecil?

– Tak.

– Myślałem, że dwa lata temu był w wioślarskiej reprezentacji Oksfordu...

Znowu cisza.

– Przekłety Neville. – Powiedziane cicho, lecz z pasją.

– Ianie, przecież nie toczymy jeszcze wojny. Może Neville ma coś w zanadrzu.

– A Winston dobija się do drzwi.

– Słyszałem, że połowa rządu się buntuje, nie może zrozumieć, dlaczego Neville nie wypowiedział jeszcze wojny. Mówi się o zamachu stanu.

– Cezar ma krwawić? A kto zagra Kasjusza?

– Mówią, że prowodyrem jest Leslie.

– Hore-Belisha! No cóż, wspaniale, wprost cudownie. Pójdziemy na wojnę, bo mały Leslie ma taki kaprys.

– Jest ministrem wojny.

– Jest pieprzonym Lewantyńczykiem, więc raczej nie może rościć sobie prawa do obiektywizmu. Pewnie inwestuje w Polsce. Ma tam jakąś piekarnię do spółki z dalekim kuzynem. I oczekuje, że pójdziemy na wojnę, żeby wydobyć jego aktywa z pieca? O nie.

– To jeden wielki bałagan, Dickie. Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

Chwila milczącej kontemplacji.

– Napijemy się jeszcze?

Gdy niemieckie oddziały zaczęły pustoszyć Polskę, Chamberlain w końcu wezwał Churchilla. Wyjaśnił, że od dawna myśli o przebudowie rządu oraz o zaproszeniu do niego Churchilla, i że właśnie nadeszła odpowiednia pora. Czy Winston zechciałby rozważyć zajęcie stanowiska w Ministerstwie Wojny? Churchill podziękował, przyjął propozycję, a nawet uronił łzę. Chamberlain polecił mu trwać w gotowości i czekać na rozwój wypadków.

Churchill wrócił zatem do swojego londyńskiego domu w Morpeth Mansions, by „czekać na rozwój wypadków”, lecz one uparcie zwlekały. Nie wypowiedziano wojny i nie było Ministerstwa Wojny. Od dwóch dni czekał na wezwanie, które nie przychodziło, usiłując wierzyć, że nie pada ofiarą sprytnego oszustwa.

Inni nie mieli takich wątpliwości, oceniając tę sytuację. Bracken wpadł do niego z policzkami podbiegłymi krwią i Boothbym u boku.

– Potworność! Bombardują Polskę od dwóch dni, a Chamberlain nadal się ukrywa. W kularach pachnie buntem. – Bez pytania nalał sobie drinka, wychylił go jednym haustem, po czym ponownie napełnił kieliszek aż po brzeg.

– Wciąż cię nie wzywają, Winstonie? – spytał Boothby, idąc za przykładem Brackena i częstując się whisky.

Cygaro niecierpliwie się rozjarzyło.

– Nieważne. Ludzie są z tobą. Właśnie maszerują przed bramą pałacowego dziedzińca, wymachując plakatami z twoim nazwiskiem.

– W takim razie módlmy się, żeby ich entuzjazm okazał się zaraźliwy.

– Posłuchaj, co mówisz! – nie wytrzymał Bracken. Zaczął chodzić po pokoju, gwałtownie wyrzucając ręce i słowa, a jego duszę pustoszył huragan. – Jak możesz czekać na Chamberlaina? Nigdy do tego nie dojdzie, Winstonie. Wszędzie krążą plotki. On dalej próbuje dobić jakiegoś targu z Niemcami – Horace Wilson pociąga za wszystkie sznurki – Neville znowu jest na kolanach. Wyobrażasz sobie? Następne Monachium? Czy ta hańba nigdy się nie skończy?

– Dno tej beczki leży głębiej, niż ktokolwiek z nas był w stanie sobie wyobrazić.

– To zdrada.

– On pragnie pokoju. To nie znaczy, że jest zły.

– Rozmawialiśmy z częścią pozostałych – włączył się Boothby zachrypniętym głosem. – Wszyscy jesteśmy zgodni. Musisz wkroczyć, Winstonie. Idź do Izby Gmin. Natychmiast. Zbierz naszych kolegów. Pomaszeruj na Downing Street i zażądaj...

– To niedorzeczne. Po Downing Street nie przemaszeruje nikt oprócz przeklętego Wehrmachtu. Rozpoczynając wojnę domową, możemy tylko zachęcić Hitlera do inwazji.

– Nie możemy walczyć, gdy Chamberlain trzyma ster.

– Jest przywódcą naszej partii.

– Partii? Partii? – Znowu przyszła kolej na Brackena, omal nie krzyknął z pogardą. – Do diabła, partia nie kiwnie palcem. Jest zepsuta do szpiku. Im więcej błędów on popełnia, im częściej się myli, im więcej przepuszcza okazji – tym bardziej apelują, żebyśmy trzymali się razem. Jedność. Dyscyplina. Wszyscy za liderem. Jak gadareńskie świnię taplające się we własnym łajnie.

– Brendanie... natychmiast przestań! Musisz nauczyć się powściągać nienawiść. Nie rozsiewaj jej wokół. Zachowaj ją dla Hitlera i jego szkopów, a nie dla pana Chamberlaina. Nadejdzie czas, gdy będziemy go potrzebowali.

– Tak jak Jezus potrzebował Judasza!

– Chamberlain jest wyczerpany...

– Własnymi ambicjami!

– Dał mi słowo.

– To samo słowo, którym kupczył w połowie Europy?

– Niemniej jednak... – Tym razem Churchillowi chyba zabrakło słów. – Niemniej jednak zaczekam na jego wezwanie.

Boothby był równie stanowczy.

– Winstonie, nie powinieneś przeskakiwać przez ten mur i taplać się razem z nim. Musisz go odsunąć.

– Mam być rzeźnikiem?

– Nie rzeźnikiem, do diabła, patriotą!

– Śmiesz wątpić w mój patriotyzm, Bob?

- Nie, Winstonie, tylko w twój apetyt na władzę. Na litość boską – i wcale nie żartuję – ktoś musi nas poprowadzić na tę cholerną wojnę!

Prowokowali go, przeciwstawiali jego ambicje obowiązkowi i tym razem trudno mu było pogodzić jedno z drugim. Zły na nich, a jeszcze bardziej na siebie, gniewnie przygryzał cygaro. Boothby nie zamierzał jednak czekać. Chwytał marynarkę, którą wcześniej niedbale rzucił na oparcie krzesła, i ruszył w stronę drzwi, lecz zanim zniknął, jeszcze się odwrócił.

- Okej, Winstonie, czekaj. Bądź sobie cierpliwy. I módl się do Boga w niebie, żeby Polacy zdołali to jakoś zrozumieć.

- Co zrozumieć?

- Że mogłeś uwierzyć w słowo kogoś takiego jak Chamberlain. I że możesz zachować tak niedorzeczny spokój, podczas gdy Luftwaffe masakruje ich żony i dzieci!

Potem wyszedł.

Churchill i Bracken z zażenowaniem słuchali, jak Boothby wybiega przez frontowe drzwi.

- Za bardzo się przejmuję – przeprosił Bracken. – Jak wszyscy dzisiejszego wieczoru. Dwaj deputowani pochorowali się na sali obrad.

- Przypuszczam, że nie tylko z przejęcia.

- No cóż, między innymi dlatego. – Bracken odłożył kieliszek. Dziś wieczorem musiał zachować trzeźwość umysłu, a nigdy nie potrafił dorównać Churchillowi w picciu.

- Idź za Bobem – polecił Churchill. – Wezwij go. W taki wieczór jak ten lepiej nie zadzierać z przyjaciółmi.

Bracken sięgnął po marynarkę, ciesząc się, że ma pretekst, by wyjść.

- Potrzeba mu tylko odrobiny świeżego powietrza. Dołączymy do protestujących. Pomachamy paroma transparentami z twoim nazwiskiem - zażartował, kierując się w stronę schodów. - Nie masz nic przeciwko, prawda? To znaczy przeciwko tym transparentom.

- Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko nim?

- Ulżyło mi. Nie mogłem spytać wcześniej... byłeś we Francji... więc...

- To twoja robota?

- Tak - skłamał Bracken. - Szepnąłem słówko kumpłowi z branży reklamowej.

- Ciągłe mnie zaskakujesz, Brendanie.

- To nie było nic wielkiego.

Churchill doskonale o tym wiedział - to nie było nic wielkiego, przynajmniej jeśli chodziło o udział Brackena. Plakaty rozwiesił jakiś wielbiciel. Nie była to robota Brendana - ale Brendan zawsze rozpaczliwie chciał mieć we wszystkim swój udział. Był strasznym cwaniakiem, który kłamał - nie, to niewłaściwe słowo, bo z tego, co wiedział Churchill, Bracken nigdy nie angażował się w szkodliwe oszustwa - który zmyślał, właściwie nie wiedząc, że to robi. Churchill zawsze czuł, że może polegać na lojalności Brackena, a to liczyło się bardziej niż sporadyczne „ostrożne gospodarowanie danymi i oszczędność faktów”, jak to określił w rozmowie z Clemmie. W każdym razie tego typu nieścistości były niczym w porównaniu z tymi, którymi tak obficie zalewano ich z góry.

- Bob nie chciał cię urazić - dodał Bracken, starając się załagodzić sytuację, ale Churchill odprawił go machnięciem cygara.

Oczywiście Boothby miał rację - bezsprzecznie i niezaprzeczalnie. Nie było powodu wierzyć w obietnicę Chamberlaina. Premier stał

jednak w obliczu okoliczności przysłaniających wszelkie względy osobiste i wcześniejsze zniewagi. Churchill obserwował go tamtego popołudnia w Izbie Gmin, przygarbionego i osiwiałego pod ciężarem zmartwień. Zbliżała się wojna, a w takim czasie z pewnością można było mieć nadzieję, że premier zagra uczciwie. Churchill postanowił zatem czekać.

– O, moja gwardia pretoriańska. – Chamberlain smętnie się uśmiechnął, gdy Wilson i Ball weszli do gabinetu. Jego twarz, zawsze delikatna, wyglądała jak widmo za cienką warstwą bladego, wymizerowanego pergaminu. Na stole przed premierem stała szklanka z musującymi solami na niestrawność.

– Bóle?

– Dziwisz się?... Na diecie z nielojalności, którą mnie tu karmią?

– Leslie?

– Mówi, że nie może popierać polityki – cytuję – „bojaźliwości i niezdecydowania”.

– Karierowicz i intrygant, jak oni wszyscy.

– Możliwe, Joe, ale nie jest sam. Przyszedł z innymi.

– Jest też Winston. – Ball pomachał teczką. – Niedługo przestanie siedzieć cicho. Wydzwania do wszystkich i mówi, że najpóźniej jutro w południe musimy wypowiedzieć wojnę, bo inaczej...

– Bo inaczej co? – warknął Chamberlain na swoich akolitów, krzywiąc się, jakby czuł fizyczny ból.

– Bo inaczej zastaniesz go na progu swoich pieprzonych drzwi. I przyjdzie w towarzystwie. – Ball jeszcze raz pomachał teczką. – Organizują się.

– Ilu?

– Zbyt wielu.

– Horace?

– Myślę, Neville'u – oddech, ostatnia przerwa na zastanowienie, historyczna chwila – że jeśli jutro nie wypowiedz wojny, zrobi to ktoś inny.

– Ach, więc już do tego doszło... – Chamberlain chyba na chwilę zapomniał o aktualnej sytuacji. Pociągnął duży łyk soli na niestrawność, popijając nimi dwie różowe pigułki, które wyjął z okrągłego pudełeczka. – Dziękuję za uczciwość. Wam obu. Pływam w morzu oszustwa, a wy jesteście moimi skałami. Za rzadko wyrażam wam swoją wdzięczność.

– Nie ma takiej potrzeby.

Chwila milczenia, błędzenia myślami.

– Ludzie będą wiedzieli, że to nie moja wina, prawda? Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby uniknąć takiego scenariusza. Uznają, że obraliśmy etyczną drogę?

– Bez wątpienia.

– Na pewno mamy już miejsce wśród aniołów, ale... – Długa cisza, uchwycenie się słabej nadziei, która zwiędła, gdy jej dotknął. – Skoro ma być wojna – znowu chwila ciszy, bardziej bolesna – to będę musiał go zaangażować. Prawda?

– Wojna wymaga poświęceń.

– Bombarduje mnie listami. Dzisiaj dostałem już dwa. Jakbym w takim dniu miał czas je czytać.

– Może lepiej mieć go w swoim obozie...

– Zająć go czymś.

– Odwrócić jego uwagę.

– Na przykład w resorcie marynarki wojennej.

– Doskonale! Jego stanowisko z poprzedniej wojny.

- Więc nie będzie awansu.
- Obowiązki, które skupią jego uwagę tysiące mil od Polski.
- Więc gdy problem Polski zostanie rozwiązany...
- Szybka wojna...
- I wychwalany pod niebiosa pokój...
- Znowu będziesz mężem opatrnościowym, Neville'u.
- A Winston zagubi się gdzieś na morzu.
- Wielka Brytania w sercu Europy, a nie u jej gardła.
- A do tego wybory. Może nawet jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

- Och, Bogu niech będą dzięki! Możemy jeszcze zwyciężyć...

Orędzie zostało ogłoszone słabym, piskliwym głosem punktualnie o 11.15.

- Przemawiam do was z gabinetu przy Downing Street 10. Dziś rano ambasador Wielkiej Brytanii w Berlinie wręczył niemieckiemu rządowi ostatnią notę, stwierdzającą, że jeśli do godziny jedenastej nie usłyszymy, iż są gotowi natychmiast wycofać oddziały z Polski, nasze państwa znajdą się w stanie wojny. Nie otrzymaliśmy takiej deklaracji i w konsekwencji nasz kraj jest w stanie wojny z Niemcami. Możecie sobie wyobrazić, jakim bolesnym ciosem jest dla mnie klęska moich długich starań o pokój. Uważam jednak, że nawet gdybym zrobił coś więcej albo coś innego, nie mógłbym liczyć na większy sukces [...]. A teraz niech Bóg was błogosławi. Niech stanie w obronie tego, co słuszne. Będziemy walczyć ze złem – z brutalną siłą, złą wiarą, niesprawiedliwością, uciskiem i prześladowaniem – i jestem pewien, że w starciu z nimi wszystkimi dobro zwycięży.

Był to głos człowieka stojącego na skraju wyczerpania wywołanego doznany zawodem, słowa kogoś, kto szuka dla siebie

usprawiedliwienia, nawet gdy całemu narodowi grozi wielkie niebezpieczeństwo. Jesteśmy w stanie wojny, ale proszę, uwierzcie, to nie moja wina...

Gdy skończył, trudno mu było mówić dalej. Zaszło mu w ustach, jego oczy zwilgotniały. Ułożył kartki w zgrabny stos i starannie zakręcił skuwkę wiecznego pióra. Wreszcie odwrócił się do Horace'a Wilsona, który stał na straży przy drzwiach, i skinął głową, jakby ruch każdego mięśnia groził rozerwaniem go na kawałki. Na początku słowa nie chciały wyjść z jego ust, a gdy w końcu wyszły, zabrzmiały ostro jak potłuczone szkło.

– Poślijcie po niego.

Część trzecia

Granice lojalności

Starszy mąż stanu podagrą nękany
Wciąż o sens wojny był zapytywany.

W końcu rzekł w odpowiedzi:

„Ja i moi koledzy

Stwierdzamy, że temat nie jest nam znany”.

(Limeryk popularny w Ministerstwie Spraw Zagranicznych na początku wojny)

Rozdział czternasty

Wrzesień 1939

Minęły cztery tygodnie – dokładniej mówiąc, dwadzieścia dziewięć dni wyjątkowego późnoletniego upału i miazdżenia ducha – nim Warszawa uległa w płomieniach. Do tego czasu dwieście tysięcy ludzi i cały naród wykrwawili się na śmierć. Tak zaczęło się coś, co w Ameryce nazwano „dziwną wojną” – było to określenie równie odległe jak nadzieja dla ludzi uwięzionych w pułapce gruzów polskiej stolicy w niekończącym się wrześniu 1939 roku, gdy sieroty krzyczały z przerażenia, a muchy ucztowały i tyły.

Był to dopiero początek. I to nawet nie koniec początku.

W pierwszych godzinach wojny imperium brytyjskiego – imperium, któremu klęska była pisana tak samo jak Polsce, tylko że ono po prostu o tym nie wiedziało – syreny przeciwlotnicze zawyły w całym Londynie zaledwie kilka minut po tym, jak słaby arystokratyczny głos Chamberlaina ogłosił, że zaczęła się bitwa. Churchill i jego żona Clemmie wspięli się na górę swojego domu przy Westminster Cathedral, żeby patrzeć, jak srebrnoszare balony zaporowe wzbijają się nad dachami i iglicami Londynu.

– Szkop jest punktualny jak cholera – zauważył Churchill, po czym sprowadził żonę do najbliższego schronu przeciwlotniczego, przyciskając do piersi butelkę brandy i ciągnąc za sobą smużkę cygarowego dymu. Okazało się, że schron to nic innego jak otwarta piwnica. Nie było w niej drzwi, worków z piaskiem, miejsca do

siedzenia. Spoglądając na opustoszałą ulicę, Churchill wyobraził sobie masakrę, która, jak go ostrzegano, nastąpi po bombardowaniu.

Wiedział, że rząd już się przygotował, kopiąc w tajemnicy olbrzymie doły z wapnem i gromadząc sto tysięcy kartonowych trumien dla ofiar, które, jak szacowali eksperci, polegną w najbliższych tygodniach. Jednak przynajmniej tym razem alarm okazał się fałszywy: wywołał go samotny – i przyjazny – francuski samolot. Dwa dywizjony myśliwców RAF-u wysłane ku czemuś, co, jak sądzili, mogło być pierwszą falą Luftwaffe, jakimś cudem zdołały jednak stoczyć powietrzną walkę nad Tamizą i w chaosie, który się tam rozpełtał, strącono dwa myśliwce. Zdarzenie zasłynęło jako bitwa nad Barking Creek.

Tego samego dnia wieczorem niemiecki U-Boot storpedował i zatopił wypływający w rejs liniowiec „Athenia”. Sto dwanaście osób straciło życie, w tym dwudziestu ośmiu Amerykanów uciekających do ojczyzny. A dwa tygodnie później, gdy wieczorem siedemnastego września zachodziło słońce, lotniskowiec „Courageous” obrócił się do wiatru, żeby umożliwić samolotom wylądowanie na swoim pokładzie. Robiąc to, niechcący znalazł się na drodze U-Boota, na który polował razem z innymi okrętami. Pojedyncza torpeda trafiła go w śródkręcie i posłała na dno. Ponad pięciuset członków załogi, łącznie z kapitanem, utonęło razem z nim.

Tego samego dnia los Polski został przesądzony, gdy sowieckie wojska natarły na jej wschodnią i prawie niebronioną granicę, zadając jej cios w plecy. Właśnie to uzgodniono w tajnym protokole do paktu podpisanego przez Ribbentropa i Mołotowa. Polska miała zostać zmieciona z mapy Europy.

A jednak... Czy Wielka Brytania i Francja nie zagwarantowały Polsce niepodległości? Czy nie wypowiedziały wojny Niemcom, które dopuściły się zbrodni, najeżdżając na nią? Co zatem z Sowietami? Czy honor, sprawiedliwość, konsekwentność i zwyczajne człowieczeństwo nie wymagały zwrócenia się także przeciwko tej nowej szarańczy ze wschodu? Ech, tylko że dyplomacja nie jest sztuką niewinności i nie sili się ani na etyczność, ani na konsekwentność. Gdy więc niemieckie i sowieckie armie spotkały się i uściskały w polskim Brześciu Litewskim – gdzie jak w operze komicznej Rosja zawarła w 1917 roku swój upokarzający pokój z wojskami cesarza – wszyscy mężowie stanu w Londynie i Paryżu wstrzymali oddech. Postanowili zaczekać.

Cierpliwość jest jednak dobra dla tych, którzy mają pełne brzuchy.

Pierwsza noc wojny zastaje Carol Bell we łzach, próbującą skupić upačkane solą oczy na igle wbijanej w kurtkę Petera. Kurtka podzieliła los spodni. Razem z innymi chłopcami z ulicy Peter wykorzystał dach schronu przeciwlotniczego, by poćwiczyć skoki ze spadochronem, i w zetknięciu z wystającymi śrubami materiał na łokciach poszedł w diabły. To jego jedyna kurtka. A jutro Peter wyjeżdża. Carol rozpaczliwie pragnie, żeby wyglądał schludnie w tym momencie poranka, gdy ona będzie próbowała znaleźć uśmiech i pomachać mu na pożegnanie, być może po raz ostatni.

Przez całe popołudnie napełniała worki piaskiem i plecy bołą ją tak, jakby zajmowała się całym klubem piłkarskim na wyjeździe, łącznie ze wszystkimi zawodnikami rezerwowymi. Rzecz jasna, nigdy tego nie robiła, przyjmowała klientów wyłącznie pojedynczo. Miała nadzieję, że pobędzie z Peterem do ostatniej chwili, ale powiedział, że chce się pobawić z przyjaciółmi i uznała, że będzie najlepiej, jeśli jej syn poczuje się tak normalnie, jak to tylko możliwe – żadnych łez, one

mogę zaczekać do jutra – więc pozwoliła mu iść, zastrzegając, że ma wrócić na podwieczorek. Zawsze go nosiło, nie potrafił usiedzieć w miejscu, nawet gdy był w jej brzuchu. Mały niecierpliwy skurczybyk. Odziedziczył to po niej. W każdym razie poszedł się bawić, a ona nie mogła tak po prostu siedzieć i na niego czekać, ćwicząc sztuczne uśmiechy i słowa pożegnania, więc włożyła śpiącą Lindy do wózka i pojechała z nią do parku, gdzie napełniano worki piaskiem. Nie była to żadna wielka akcja ludności cywilnej w czasie wojny, napełniali tylko worki piaskiem, ale samotna matka jest w stanie zrobić niewiele więcej – i niewiele więcej jej wolno. Napełniała zatem worki piaskiem. I słyszała, jak ludzie plotkują za jej plecami.

W Chigwell miała zacząć od nowa, z dala od tych wszystkich złośliwych języków, które otaczały ją na poprzedniej ulicy, lecz nawet w Chigwell porzucona żona wywołuje podejrzliwość bez względu na to, jaką znajdzie wymówkę, żeby wyjaśnić swoją sytuację. Plotki zawsze są odrażające. Równie dobrze mogłaby zamieścić ogłoszenie w piśmie kościelnym, informując, że za numerkę bierze piąta. Ten świat taki już jest: dopatruje się czegoś bardzo złego w każdej kobiecie niebędącej w stanie utrzymać przy sobie mężczyzny. Wszyscy mężczyźni to dranie, na których nie można polegać, ale każda porządna kobieta na pewno jakoś da sobie radę... Carol utrzymuje zatem pozory, pomaga innym – jeśli jej na to pozwalają – trzyma się z dala od cudzych mężów, a dzisiaj napełnia worki piaskiem. Robi coś, co wypełni przestrzeń między teraźniejszością a chwilą wyjazdu Petera z domu.

Chyłkiem wbiega przez tylne drzwi, brudny, podrapany, rozpromieniony – i obszarpany. Carol daje mu w ucho – z pewnością się tego spodziewał, to uczciwa kara za przyjemnie spędzony czas –

a potem wysupłuje ostatniego szylinga i posyła go do piekarni po jego ulubione tartaletki z wiśniami i lemoniadę. Peter kładzie się spać obsypany miłością i okruszkami. A gdy światła gasną, Carol siedzi sama, w świetle nie większym od maleńkiego pokoiku w głębi domu, i otoczona zaciemniającymi zasłonami próbuje zacerować wszystkie dziury, które nagle pojawiły się w jej życiu. Rozpaczliwie stara się zapomnieć o jutrze, bo jutro straci syna. Wyprawi go do szkoły jedynie z maską gazową, małą torbą i ogromną przywieszką na szyi, a tam pochłonie go wielki plan. Zabiorą go, ustawią w szeregu razem ze wszystkimi innymi dziećmi i wywiozą – w bezpieczne miejsce, jak uparcie twierdzą autorzy wielkiego planu, lecz gdzie jest to bezpieczne miejsce, nie wiedzą i nie potrafią jeszcze powiedzieć. Gdzieś na wsi. Z nowymi rodzicami. Gdzie już nie będzie należał do niej. U ludzi, którzy nic o Peterze nie wiedzą, którzy nie rozumieją jego psotnej natury i nie będą wiedzieli, jak uwielbia wiśniowe tartaletki z lemoniadą, którzy być może będą go źle traktowali albo wykorzystają go jako tanią siłę roboczą. Peter będzie prawie jak uchodźca, będzie kolejną wystraszoną twarzą na stronach „Picture Post”.

Carol nic nie może na to wszystko poradzić – postanowiła jednak, że jej syn będzie przynajmniej uchodźcą z porządnymi skórzanymi łatami na łokciach kurtki. Szyje zatem w świetle gołej żarówki i walczy z narastającym w niej strachem, że po jutrzejszym dniu może już nigdy nie zobaczyć Petera.

Walczy dalej. Musi być silna, dla dzieci. Pożegnać go z uśmiechem. Tłumaczy sobie, że nadal ma Lindy, że przecież mogło być gorzej. Wtedy podnosi wzrok i zauważa ich gumowe maski gazowe na stole. Peter i Lindy bawili się nimi przy podwieczorku, goniąc się nawzajem, krzycząc stłumionymi głosami, udając wyłupiastookie potwory z innej

planety. Właśnie tak wpłynęła na nich wojna. Zmienili się nie do poznania. Nie należą już do niej.

Jeszcze zanim na Londyn spadła pierwsza bomba, runął cały jej świat.

Halifax myślał, że zastanie premiera pracującego w gabinecie, ale tam było pusto. Podłużne eleganckie pomieszczenie stało się klaustrofobiczne, wszystkie okna oklejono taśmą maskującą, odcinając widok i światło. Okno balkonowe w głębi było jednak otwarte, a firanka falowała, jakby ktoś uciekł stamtąd w pośpiechu. Halifax poszedł tamtą drogą, a ona doprowadziła go na spalony słońcem taras, skąd zobaczył Chamberlaina klęczącego obok korzeni białej brzozy i prowadzącego ożywioną rozmowę z ogrodnikiem. Sądząc po nachyleniu jego pleców i po żywej gestykulacji, chodziło o jakąś niezwykle ważną sprawę.

– O, Edward! – Premier spojrzał w górę z miną wyrażającą nietypowy dla niego entuzjazm. – Widziałeś kiedyś zimowita jesiennego? Właśnie się przebija.

Minister spraw zagranicznych spojrzał na niego z imperialnej wysokości. Polska stała w płomieniach, Warszawa obracała się w gruzy, a tutaj...

– Sam je posadziłem. W ubiegłym roku – ciągnął Chamberlain. – Na ich widok człowiek zaczyna myśleć, że wszystko wróci do normalności, prawda?

– Nadzieja... i krokusy... umierają ostatnie.

– Może w takim razie przekonasz swojego przyjaciela Dawsona, żeby też spojrzał na to w ten sposób – odrzekł Chamberlain głosem, w którym nagle zabrzmiało napięcie, i niezdarnie podniósł się z ziemi,

opierając się na lasce. Zaczynały mu dokuczać pierwsze objawy podagry.

Halifax nie mógł nie usłyszeć oskarżycielskiej nuty. Swojego przyjaciela Dawsona... Jeden wstępniak w „The Times” zaledwie odrobinę mniej pochlebny niż zwykle, a premier odczuł go jak osobistą zniewagę, wszędzie wokół widział wrogów.

– Przecież wiesz, że Geoffrey jest jednym z naszych największych przyjaciół – upierał się Halifax – i nadal nim będzie. Przez ostatnie miesiące poświęcał nam swoje artykuły wstępne.

Chamberlain prychnął.

– Lecz tak jak bardzo wiele osób czuje się... – Halifax szukał właściwego słowa. Zamierzał powiedzieć „zawiedziony”, ale uznał, że brzmi ono zbyt dwuznacznie i będzie podatne na nadinterpretację przewrażliwionego premiera. – Czuję się przygnębiony.

W rzeczywistości gdy jechali razem w przedziale pociągu z Yorkshire, Dawson wyznał, że czuje się niemal zdradzony. „Jakbym stał nago w pieprzonym parku, Edwardzie, mówię ci. Popierałem ten rząd, dobrze o tym wiesz. Ze wszystkich sił. Ale piszecie moje wstępniaki częściej niż ja sam. A Neville obiecał. Obiecał, że polityka ustępstw zadziała, że nie będzie wojny. Obstawał przy tym aż do ostatniej chwili. Teraz wyszedłem na zupełnego głupca. Nagle na redakcyjnych zebraniach zapanował chaos, wszyscy się kłócą – nawet nędzny windziarz wytyka mi moje błędy. Bycie nagim władcą to żadna zabawa, mówię ci”.

Halifax współczuł. Doskonale wiedział, co czuje Dawson. Monachium nigdy mu się nie podobało i nazwał je „fatalnym wyborem zła”, kiedy jeszcze Chamberlain obiecywał pokój i honor oraz rościł sobie prawo do ważnego miejsca w historii. W końcu Halifax się

zgodził, bo wyglądało na to, że nie ma innego wyjścia. Hitler mu się nie podobał i dlatego mu nie ufał. Poza tym bał się go bardziej niż trochę. Halifax miał trzech synów w wieku poborowym i nie mógł znieść myśli, że ich straci, a obawiał się, że właśnie tego może zażądać Hitler. I to wszystko byłaby jego wina – ich wina, jego i Chamberlaina. Z jakiegoś powodu źle to rozegrali, bardzo źle, lecz tego ranka Chamberlain wcale nie był w nastroju do samobiczowania. Gdy ruszyli wokół ogrodu, premier wziął go pod rękę i oparł się o jego ramię.

– Powiedz Dawsonowi, że bez wątplenia postępujemy moralnie. W chrześcijańskim świecie nie było jeszcze przypadku tak niepotrzebnej wojny. Historia to pokaże. To, co udało nam się zrobić przez ostatnie miesiące, pokazuje, że jesteśmy stroną niewinną, że walczymy o pokój. Bóg nam sprzyja i czerpię z tego olbrzymią pociechę. Dawson też powinien.

Halifax czuł się niezręcznie. Należał do Kościoła Wysokiego, spędził na kolanach więcej czasu niż którykolwiek z jego rządowych kolegów, lecz w tej chwili czuł się niezdolny zarówno do roszczenia sobie prawa do bycia chrześcijańskim krzyżowcem, jak i do powiedzenia tego na głos w taki sposób, by nie zabrzmiało to jak absurd.

– Myślę, że Dawson – i przypuszczam, że wielu innych ludzi także – usiłuje pojąć, dlaczego z jednej strony idziemy na wojnę z Niemcami, gdy najeżdżają na Polskę, lecz z drugiej nawet nie kiwniemy palcem na znak protestu, gdy Sowieci – Halifax nie chciał nazywać ich „Łosjanami” – robią dokładnie to samo.

– Nasza gwarancja była wymierzona przeciwko Hitlerowi, nie przeciwko Rosji.

– Z punktu widzenia Polski to niewielka różnica...

- Z punktu widzenia Polski nic nie zrobi większej różnicy, ponieważ najprawdopodobniej za kilka dni Polska przestanie istnieć!

Halifax gwałtownie się zatrzymał, potykając się o Realpolitik, która wyskoczyła z ich rozważań o moralności. Tymczasem Chamberlain wysunął głowę do przodu i szedł dalej sam, jakby chciał zostawić za sobą wszystkie te sofizmaty.

- Muszę powiedzieć, Neville'u, że nie jest to najszcześniejszy argument intelektualny, jaki kiedykolwiek sformułowaliśmy - ośmielił się zauważyć Halifax.

- Zapomnij o intelektualizmie, myśl o przetrwaniu. Gdybyśmy wysłali do Polski korpus ekspedycyjny, nie dotarłby nawet do plaży. Wystrzelaliby go razem z tobą, mną i całym rządem.

- No więc... co teraz?

- Czekamy. Na właściwy moment. Ta wojna nie może trwać - Hitler się przeliczył, nie ma środków. Jestem pewien, że wiosną niemiecki naród będzie się domagał końca tego całego absurdu.

- Bo... przejedzą mu się zwycięstwa? - Halifax nie potrafił ukryć sceptycyzmu.

Chamberlain pokręcił głową, jakby dokuczały mu komary.

- Edwardzie, wojna to tylko chwilowy sposób na odwrócenie uwagi. Wybieg. Hitler spustoszył niemiecką gospodarkę, jej upadek to tylko kwestia miesięcy. Wojna może prowadzić wyłącznie do głodu i katastrofy, tak jak poprzednim razem. Ale... - odwrócił się do ministra spraw zagranicznych, a w jego zmęczonych oczach pojawił się wyzywający błysk - jeśli zdołamy ograniczyć konflikt, żeby nie rozprzestrzenił się poza Polskę, do wiosny Niemcy schudną i zmęczą się, a my zdołamy wyjść z tego okropnego bałaganu, zachowując prestiż i nietknięte imperium.

Halifax chciał dać się przekonać, lecz gdyby doszło do gospodarczej rywalizacji między Wielką Brytanią a Niemcami, mogłaby się okazać piekielnie zacięta.

– Dlatego musimy trzymać to w ryzach – ciągnął Chamberlain. – Żadnego bombardowania Niemiec, żadnego dawania im pretekstu do odwetu i rozprzestrzenienia się konfliktu. Muszą zrozumieć, że my nadal, nawet teraz, nie chcemy otwartej wojny. Moje sumienie by tego nie zniosło.

– Ale zniosłoby Hitlera?

– O tym muszą zdecydować Niemcy. A z Bożą pomocą wiosną wojna może dobiec końca i Brytyjczycy też będą mogli podjąć decyzję.

– Wybory?

– Dlaczego nie?

– Och, ta przekłeta Europa. – Przekłeta jest także polityka, dodał Halifax w myślach, skoro wojnę postrzega się przez pryzmat przewagi wyborczej. Czasami demokracja była beznadziejna.

Jakby na potwierdzenie tych myśli zauważył Wilsona i Balla, którzy szli po trawie w ich stronę. Czuł rosnącą niechęć do tych ludzi, którzy z taką zawziętością służyli Chamberlainowi – czasami nazywano ich „żelaznym trójkątem w sercu rządu”. Dlaczego zawsze bolała go brakująca ręka, gdy ci dwaj znajdowali się w pobliżu? Czy chodziło o przynależność klasową? Ball był synem sprzedawcy książek, a Wilson sprzedawcy mebli z Bournemouth – choć z punktu widzenia wicehrabiego, który odziedziczył tytuł po ojcu, sam Chamberlain też mógł być postrzegany jako prowincjonalny handlarz metalu. A może było to znacznie prostsze niż angielski system klasowy, może chodziło o zwykłą jawną zazdrość. Ogólnie rzecz biorąc, Wilson miał zbyt duże wpływy, towarzyszył Chamberlainowi w Monachium, premier włączał

go w przeróżne niekonwencjonalne układy z ambasadorami i innymi ludźmi, które zgodnie z prawem powinny pozostawać w gestii Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Tak, chodziło o wszystkie te sprawy po trochu. Ale najbardziej o to, że Halifax wiedział, iż tak naprawdę Wilson powinien ponosić lwią część winy – winy za ślepe popieranie polityki ustępstw, za popchnięcie Chamberlaina o krok za daleko, winy, która, jako że Wilson działał w cieniu, oficjalnie będzie musiała spaść na barki Halifaxa.

Wilson podszedł, machając kartkami.

– Jeszcze dwa.

Chamberlain jęknął.

– Tylko nie kolejne pomocne wskazówki od Winstona – powiedział błagalnym tonem.

– Wyraża nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, że zwróci twoją uwagę na... – Wilson zaczął czytać – „olbrzymie marnotrawstwo papieru w związku z codzienną działalnością rządu. Jeśli można, chciałbym zasugerować, by rozważył Pan wydanie instrukcji dla wszystkich departamentów, aby od tej pory koperty używane w oficjalnej korespondencji były w miarę możliwości używane ponownie, a nie wycofywane z użytku. Wprawdzie może się wydawać, że to błażostka, lecz przyniosłoby to znaczne oszczędności w ciągu przyszłych miesięcy i lat, a ponadto nauczyło wszystkich urzędników – których mamy teraz miliony – myśleć o gospodarności...”

– Dość, dość. – Chamberlain westchnął, opierając się ciężko na lasce. Odwrócił się do Halifaxa. – Bombarduje mnie pomysłami, nie dając chwili wytchnienia. Czuję się tak, jakbym był częścią jego osobistego blitzkriegu.

– Myślisz, że masz u niego jakieś specjalne względy? – spytał Halifax. – Przecież on traktuje tak wszystkich.

– Ciebie też?

– Na przykład dziś rano. Uwagi na temat telegramów Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Z jakiegoś powodu uwagi Winstona brzmią jak Boże przykazania, nawet gdy cuchną porto i wyżutym cygarem.

– Mam pewne wątpliwości. Pamiętam, że już o tym rozmawialiśmy, Horace. Czy Winston nie wywoła większego chaosu, będąc w rządzie, niż będąc poza nim? Nadal nie jestem pewny, czy podjąłem właściwą decyzję, zapraszając go z powrotem. To jak rywalizowanie z orkiestrą dętą. – Dźgnął laską trawnik. – No więc o czym mówi jego drugie przykazanie?

Wilson pomachał kartką.

– Pan Churchill pragnie wyrazić zaniepokojenie tym, że nasze siły lądowe i powietrzne są niewystarczająco duże, by stawić czoło aktualnym zagrożeniom...

– Co? – wybuchnął Chamberlain, potrząsając laską, jakby próbował wytrącić obraźliwy list z ręki Wilsona. – Przecież Winston to marynarka wojenna. Dałem mu marynarkę wojenną, nic więcej. To nie ma nic wspólnego z resztą. Nic. Niech szlag trafi jego i jego bezczelność! – Z zaskakującą energią chwycił Halifaxa za rękaw, wbijając palce jak szpony. Na policzki Chamberlaina wystąpiły jaskrawokarmazynowe plamy, choć reszta twarzy mimo słońca pozostała biała jak pergamin. – Wrócił do rządu dwie minuty temu, a już mu się wydaje, że może wykonywać moją robotę lepiej niż ja. Ale nie pozwolę na to, Edwardzie, o nie. Ten człowiek nie zostanie premierem, dopóki żyję.

– Dopóki żyjesz, Neville'u, nie ma takiej potrzeby.

– Zgadzam się z tobą, Edwardzie. Ale jeśli kiedykolwiek nadejdzie dzień, w którym poczuję, że powinienem się usunąć, mogę ci powiedzieć bez wahania, że jesteś jedynym człowiekiem, którego widzę jako mojego następcę... – Zbyt przewidywalne pokorne pomruki Halifaxa. – Nie, wiem, że czasami dzielą nas pewne różnice, ale chodzi tylko o rozłożenie akcentów, a nie o nadrzędny cel. Przez te ostatnie niebezpieczne miesiące wiernie stałeś u mojego boku i chcę, żebyś wiedział, ile dla mnie znaczy twoja lojalność.

– To bardzo szlachetnie z twojej strony, Neville’u. – Halifax skłonił kopulastą głowę.

Chamberlain podniósł głos, odwrócił się, jakby przemawiał do niewidzialnej publiczności przyczajonej wśród kwietnych rabat oraz zajmującej cały olbrzymi ogród aż po jego najdalsze zakątki, i pomachał ręką, żeby zwrócić na siebie uwagę.

– A jeśli to oznacza, że trzeba utrzyć nosa takiemu niewdzięcznemu karierowiczowi jak Winston... No cóż, jestem właściwym człowiekiem do tego zadania!

Nagle Chamberlaina ogarnęło zmęczenie. Jego dumne plecy zgięły się jak łuk i ciężko oparł się o ramiona Balla i Wilsona, wchodząc po krótkich schodach z powrotem na wyłożony płytkami taras przy gabinecie. Jego stopy zrobiły się ciężkie, krok niepewny. Halifax poszedł za nim z pochyloną głową i poważnym obliczem niczym jakiś kapłan z zamierzchłych czasów idący za świętymi relikwiami. Brakowało mu tylko dzwonka i pastorału.

Chamberlain wydał z siebie zduszony okrzyk. Ogień w jego sercu zgasł. Na chwilę uciekł do dużego palca u nogi. Chamberlain zaczął narzekać na wojnę i związane z nią udręki. Zaczął uparcie twierdzić,

że brzemie powinno obciążać wszystkich jednakowo. Równość w cierpieniu.

Wilson i Ball milczeli, nie wiedząc, jak potraktować ten nagły wybuch moralizatorstwa. Czasami, w chwilach skrajnego wyczerpania, Chamberlain zdawał się zapominać o ich obecności i mówić do jakiegoś dalekiego ducha albo przodka. W takich momentach najlepiej było mu nie przeszkadzać i nie próbować podążać krętymi ścieżkami jego prywatnej moralności. W końcu byli od załatwiania, a nie od filozofowania.

Chamberlain powiedział, że jeśli Niemcy mają zostać zmuszeni głodem do uległości, nie może być takich, którzy utyją. Nalegał na zastosowanie odpowiednich środków – „podatki, restrykcje, cła, wszystko, czego będzie trzeba” – by skutecznie ograniczyć zyski tych, którzy wzbogaciliby się na wojnie.

Wilson i Ball nagle jakby zeszytnieli. Po trosze zaprowadzili, a po trosze zanieśli premiera na jego miejsce przy stole w gabinecie. Strużka potu biegła niczym mrówka z jego czoła ku sztywnemu kołnierzykowi. Akolici podali mu sole na niestrawność i bąknęli coś o socjalistycznej konfiskacie, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Chamberlain wydawał się głuchy. Z większym naciskiem zaczęli przekonywać, że to właśnie wielcy producenci broni okrutnie ucierpieli w latach appeasementu, że teraz należałoby pozwolić im znowu stanąć na nogi, lecz Chamberlain nadal niczego nie słyszał. Później przypomnieli mu, że wielcy przemysłowcy zasilają fundusze partii datkami, oceanami pieniędzy podtrzymującymi jego rząd na powierzchni.

– Po prostu chcę być sprawiedliwy – upierał się.

– Ale jak to? – spytali.

Słabo się uśmiechnął.

– To wy powinniście mi powiedzieć. Wy, moi doradcy, moje lojalne elfy. Przeszukajcie swoją dolną szufladę. Horace, przecież zawsze coś tam znajdujesz.

Ach, dolna szuflada. W końcu Ball i Wilson mogli się odprężyć. Wszystkim się zajmą.

Zostawili Chamberlaina, któremu w upale ciężko opadła głowa. Zanim drzwi się zamknęły, zdążył zasnąć na krześle.

26 września 1939

Premier wstaje, by wygłosić oświadczenie. Ma na sobie żałobne ubranie ożywione jedynie białą poszetką i olbrzymią złotą dewizką. Wyczuwa się, że w Izbie Gmin z każdą chwilą słabnie pewność i pogarsza się atmosfera. Gdy premier zajmuje miejsce, prawie nie słychać oklasków. W czasie całego przemówienia Winston Churchill siedzi zgarbiony obok Chamberlaina, przypominając chińskiego boga dostatku cierpiącego z powodu ostrej niestrawności. Po prostu tam siedzi, nachmurzony, zgarbiony i krągły, a potem wstaje. Witają go głośne brawa dobiegające ze wszystkich ław i zaczyna nam mówić o rozmieszczeniu okrętów marynarki wojennej. Zauważam, że Hansard nie odnotowuje pierwszych zdań Churchilla. Zaczął od tego, jak dziwnie się poczuł, gdy po ćwierćwieczu ponownie znalazł się w tym samym pomieszczeniu przed tymi samymi mapami, walcząc z tym samym wrogiem i zmagając się z tymi samymi problemami. Jego twarz marszczy się w olbrzymim uśmiechu i Churchill dodaje, spoglądając na premiera: „Nie mam pojęcia, jak to się stało, że mój los tak osobliwie się odmienił”. Cała

Izba ryknęła śmiechem, a Chamberlain nie miał nawet na tyle przyzwoitości, żeby lekko się uśmiechnąć. Tylko się naburmuszył.

Harold Nicolson, Diaries and Letters 5974-5979

Trzydziesty września. Miesiąc od wybuchu wojny. Plac Horse Guards oświetlony jedynie sporadycznym blaskiem księżyca i żarem jednego cygara w oknie budynku Admiralicji.

Churchill jest sam, przygnębiony. Jego personel uciekł, zanim zawył Czarny Pies, który krążył przez cały dzień i wreszcie późnym wieczorem rzucił się na nich wszystkich. Oczywiście postąpił niesprawiedliwie, wyzywając się na swoich ludziach, gdy prawdziwy problem tkwił gdzieś indziej, po drugiej stronie placu, przy Downing Street, ale wiedział, że rano wszyscy wrócą i będą prosili o więcej, tak jak za starych czasów.

Tyle wspomnień. Pierwszy lord Admiralicji. Znowu. Stanowisko, z którego odsunięto go prawie dwadzieścia pięć lat temu. „Winston wrócił!” – brzmiał telegram rozesłany do wszystkich okrętów floty w dniu, w którym premier ponownie go powołał. To był wspaniały dzień. Już na progu budynku Admiralicji Churchill dokładnie wiedział, dokąd ma iść, niezgrabnie szedł korytarzami, jego obcasy stuknęły w mozaikową podłogę, oficerowie i członkowie personelu z trudem dotrzymywali mu kroku, aż w końcu wpadł jak burza do swojego dawnego gabinetu i zobaczył, jak niewiele się tam zmieniło – jego fotel, biurko, ta sama boazeria z najlepszego angielskiego dębu i ukryty w niej schowek z mapami. Gdy go otworzył, ujrzał te same mapy, które zostawił w 1915 roku, ze szpilkami nadal wskazującymi położenie wszystkich okrętów Cesarskiej Marynarki Wojennej na europejskich wodach. Przeprowadzono poszukiwania w piwnicach i magazynach, by wydobyć z nich lampy i inne elementy wyposażenia

gabinetu, które tak dobrze mu służyły w poprzednim wcieleniu. Wkrótce wszystko wyglądało tak, jak powinno – oprócz wojny.

Jeden miesiąc. Miesiąc, w ciągu którego Polska, a wraz z nią honor Wielkiej Brytanii zostały zmiecione z mapy. Co robili brytyjscy sojusznicy, kiedy Polacy walczyli i umierali dziesiątkami tysięcy, a krajobraz rozpaczy pokrywał się ich zwłokami? Nic. Na dobrą sprawę nie zrzucono ani jednej bomby i nie oddano w złości ani jednego strzału. Zamiast bomb RAF zrzucił ulotki. Świstki od Chamberlaina. Propagandę – nawet kopie przemówień premiera – zapewniającą Niemców, że Brytyjczycy nie chcą z nimi walczyć – jakby ktokolwiek mógł w to wątpić! Po miesiącu rzekomej wrogości doniesiono o jednej ofierze po stronie Niemiec – o nieszczęśniku uderzonym paczką z przemówieniami Chamberlaina, którą zrzucono z whitleya i która z jakiegoś powodu się nie otworzyła. Runęła na tego człowieka z wysokości szesnastu tysięcy stóp i zabiła go na miejscu. Nie jest to wojna, jaką zna Churchill.

Bombardowania – prawdziwe bombardowania, bezlitosne ataki z powietrza mające rzucić wroga na kolana – zostały zakazane. „Nie możemy bombardować ich fabryk zbrojeniowych – poinformował gabinet sekretarza stanu do spraw sił powietrznych, sir Kingsleya Wooda – ponieważ to własność prywatna”. Zresztą gdyby Brytyjczycy zaczęli bombardowania, Luftwaffe mogłaby wziąć odwet. Odwaga myszy. Zatem strategia polegała chyba na tym, żeby zanudzić Niemców na śmierć. I zatłuc ich ulotkami.

Na zachodnim froncie dzieje się jeszcze mniej. Osiemdziesiąt pięć francuskich dywizji stoi naprzeciw najwyżej trzydziestu czterech dywizji Wehrmachtu. Francuzi maszerują tam i z powrotem, wyglądając zza Linii Maginota, ale nie pójdą na wojnę. Może czekają

na swoich brytyjskich sojuszników, którzy przystali do Francji tylko cztery dywizje. Niemcy ustawili wzdłuż całego frontu głośniki, przez które nieustannie drwią z Francuzów – „Ou est l’armée anglaise?”. Gdzie są Brytyjczycy? Nie, nie jest to wojna, jaką zna Churchill.

A gdy próbuje walczyć i zachęca do tego innych, napotyka jedynie opór. Nie dalej jak dzisiaj dostał list od premiera – w spóźnionej odpowiedzi na kilka jego pism – który cierpko zaznacza, że jak dotąd zakres obowiązków Churchilla obejmuje wyłącznie Królewską Marynarkę Wojenną. Gani go za ingerowanie w inne resorty i zwraca mu uwagę na „niezwykłe podobieństwa” między treścią poufnych notatek służbowych Churchilla dla kolegów z rządu a tym, co ukazuje się później w gazetach. W tej kwestii premier oczywiście ma rację: Churchill przecieka jak zardzewiała pogłębiarka na Tamizie, lecz robi to wyłącznie z powodu frustracji i dlatego, że próbuje skupić umysły innych ludzi na wygraniu tej wojny – na celu, który w jego bardziej niż skromnej opinii można osiągnąć, jedynie podejmując walkę.

Wojna. Trwa już miesiąc. Już skąpała się we krwi. To nie jedyny jubileusz: minęło dwanaście miesięcy od dnia, w którym Chamberlainowi salutowała gwardia honorowa SS, młode bawarskie kobiety płakały z radości przed jego hotelem, a on zawierał pakt z Hitlerem. Dwanaście miesięcy porażek, oszustw, szaleństwa śmierci, gdy wojenna machina Hitlera maszeruje, nie napotykając żadnego oporu, a rząd w Londynie ze wstydem zasłania twarz. Przypomina to jego schowek z mapami – zupełnie jakby czas się zatrzymał, jakby zgasły światła i stanęły wszystkie zegary.

Ech, pieprzyć to. Klnie pod nosem, wyrzucając niedopałek cygara przez otwarte okno. Za jego kadencji żadne zegary nie będą stały. Churchill postanawia dać czasowi małego kuksańca.

- Ejże! Nie potraficie czytać, do cholery? Tu jest napisane „rezerwacja”. Ten schron jest zarezerwowany.

Członek ARP w blaszanym hełmie i ciemnym mundurze chwycił Maca za ramiona, gdy ten próbował przecisnąć się między workami z piaskiem tworzącymi wejście do schronu przeciwlotniczego przy Berkeley Square w Mayfair, dwieście metrów od Trumper’s. Właśnie zawyły syreny – być może kolejny fałszywy alarm, ale kto wie? Było gorąco, Maca bolała noga i kończyła mu się cierpliwość.

- Zarezerwowany? Dla kogo? Masz listę?

- Zarezerwowany dla urzędników i im podobnych. Żeby mogli pracować nawet podczas nalotu. Dlatego do środka mogą wejść tylko osoby z listy. Nadażasz?

- Skąd wiesz, że mnie nie ma na tej twojej liście? Pokaż mi ją – zażądał Mac, ale mężczyzna to zignorował, odpychając go na bok, gdy jakaś kobieta w kapeluszu udekorowanym mnóstwem owoców i niosąca futrzany płaszcz zbliżyła się do muru obronnego z worków wypełnionych piaskiem. Panował skwar, dwadzieścia siedem stopni w cieniu, lecz kobieta trzymała lisa, jakby za chwilę miał ponownie ożyć. Członek ARP zasalutował.

- Dzień dobry, pani Studely-Grimes.

W odpowiedzi oschle skinęła głową, co groziło runięciem całej ozdoby kapelusza do rynsztoka.

- Urzędnicy, tak? A kim ona jest, szefową MI5? – spytał Mac niewinnym tonem.

Mężczyzna zmrużył oczy. Siedziba służb specjalnych mieściła się tuż za rogiem, ale nie każdy musiał o tym wiedzieć. A już z pewnością nie ten prymityw.

- Nie wymądrzaj mi się tu, koleś. Po prostu biegnij do następnego schronu - poleciał, otwarcie ignorując fakt, że Mac nie był w stanie biegać.

- Niech mi pan powie, panie z ARP, czy bomby Luftwaffe też są zarezerwowane, czy raczej podzielimy się nimi wszyscy?

- Przyjmij jedno słówko jako dobrą radę, kolego: odpierdol się!

- Dwa. To były dwa słówka.

Mężczyzna zbliżył do Maca groźną twarz. Potem prychnął.

- Ejże, cuchniesz wódą. No, doigrałeś się. Mam cię. Naruszanie porządku publicznego pod wpływem alkoholu. Zaczekaj no tu, do cholery... - Mężczyzna zaczął gestykulować w kierunku policjanta patrolującego drugą stronę ulicy, lecz jego krzyki zagłuszyło wycie syren, które zabrzmiało ponownie, by poinformować o czystym niebie. Kolejny fałszywy alarm. Policjant poszedł dalej.

Zawiedziony i zignorowany członek ARP wypiął pierś, na chwilę stanął na palcach i spiorunował Maca spojrzeniem.

- Następnym razem, koleś... - Agresywnie pogroził Macowi, jakby palec nagle zajął mu się ogniem. - Następnym razem... No, lepiej uważaj, psiakrew!

- Ubierz ich w mundur, a wszyscy staną się nazistami - westchnął Mac, kuśtykając. Zrobił to wystarczająco głośno, żeby mężczyzna usłyszał.

Tyle że facet miał rację. Mac rzeczywiście cuchnął alkoholem. Znowu przez przekłętego Burgessa.

Burgess dzwonił, wiercił mu dziurę w brzuchu, błagał o jeszcze jedno spotkanie, a nawet umówił się na strzyżenie, żeby przekazać te apele osobiście. Wydawał się tak szczerze skruszony, że w końcu Mac uległ i zgodził się z nim zobaczyć.

Od razu stało się jasne, że Burgess przyszedł do pubu – ciemnego, niechlujnego miejsca w bocznej uliczce niedaleko dworca Victoria – trochę wcześniej niż Mac. Jego niebieskie oczy przypominały topniejący lód, włosy wyglądały, jakby zaczesał je z tyłu do przodu, zmysłowe i niemal kobiece usta, które przy innych okazjach tak łatwo układały się w uśmiech, wydawały się przyspawane do kieliszka. Mac pomyślał, że to dziwne, prawie jakby Burgess miał podwójną osobowość, bo gdy ręka ściskająca papierosa drżała jak liść podczas syberyjskiej burzy, ta trzymająca kieliszek była nieruchoma niczym głaz. Jego umysł zdawał się odzwierciedlać kondycję dłoni, w jednej chwili słabł i tracił pewność, w następnej zmieniał się we wzór przenikliwości i przekonania – zawsze jednak był nieprzewidywalny. Mac usiadł z kuflem piwa i nie mając innego wyjścia, słuchał, jak Burgess prowadzi go na wycieczkę po swoim udręczonym sercu.

– Dzięki, Mac. I przepraszam. Że wyszedłem, gdzie mieszkasz. Powinienem był spytać. A nie tak się czaić. Wybacz. Przepraszam. Rano się wykastruję. – Nagle oderwał oczy od kieliszka i spojrzał prosto na Maca. – Zresztą po co się tak wkurzasz? Masz kochającą kobietę, piękną rodzinę, a mimo to się wkurzasz. Dlaczego, do diabła? – Zanim jednak Mac zdążył choćby zastanowić się nad tym pytaniem, a co dopiero nad odpowiedzią, Burgess mówił dalej. – Nie wiesz, jakie masz szczęście, Mac. Że znalazłeś kogoś wyjątkowego. Że się zakochałeś. Ja nigdy nie będę w stanie znaleźć kogoś takiego. Kogoś, komu można zaufać. A już z pewnością nie znajdę kobiety. – Łapczywie zaczerpnął powietrza, jakby na chwilę zapomniał o oddychaniu, a następnie spojrzał na swój kieliszek i podjął: – Miałem osiem lat. Spałem u siebie w pokoju. Usłyszałem krzyki dobiegające z sypialni rodziców. Pobiegłem tam. Przecież każdy by pobiegł,

prawda? Matka krzyczy i w ogóle. Zastałem ją pod moim starym. Pompował ją, dymał – wiesz, co mam na myśli – i wtedy dostał zawału. W trakcie. Leżąc na mojej matce, do cholery. – W jego głosie pobrzmiwała gorycz i pociągnął spory łyk Jamesona, żeby ją złagodzić. – Nie mogła go z siebie zrzucić. Mój stary, na mojej matce... – Chwila milczenia, a potem: – Wiesz co? Od tamtej pory nie potrafię patrzeć na kobietę, nie myśląc o matce. I o moim starym. Martwym. Pieprzącym ją. Coś takiego nie wydaje się... No cóż, z jakiegoś powodu nie wydaje się naturalne. Ja tego nie potrafię. Nie wiesz, jakim jesteś cholernym szczęściarzem, Mac. Ja nie umiem kochać kobiety. W zasadzie to nie umiem kochać niczego. Zero zobowiązań, rozumiesz. Pozbyli się mnie. Odesłali do szkoły z internatem. Jak walizkę niepotrzebną w podróży. Nie miałem swojego miejsca. Oczywiście staram się kochać swój kraj, ale... – Kolejna chwila ciszy poświęcona na głębokie zaciągnięcie się nikotyną. – Rosja. Okropne miejsce. Ciemne, ponure, paskudne. Ale wiesz, oni dzielą tę samą nędzę. Po równo. Nędza. Wszędzie wokół nędza. Szkoda, że muszą się nią podzielić także z Polską. Byłeś kiedyś w Rosji, Mac? Jasne, że byłeś, do cholery. W Wyższej Szkole Sołowieckiej. Jesteś jednym z uczniów Stalina. I przetrwałeś. W większym stopniu, niż ja zdołam przetrwać. Pewnego dnia wezmą mnie i zastrzelą. Albo powieszą. W oczach Systemu jestem zdrajcą, tak jak ty. Kocham swój kraj, naprawdę Mac, mówię poważnie. Krykiet. Koronę. Świąteczny pudding – czego więcej można by chcieć? Mój dom moją twierdzą. Tylko że kawałek dalej i za każdym krzakiem znajdujesz zgraję małych generałów Franco. Ta cała zabawa w miłość i nienawiść nie daje mi spokoju, naprawdę. Osobiście dobrze się urządziłem. Eton i Cambridge. Górna półka. Urodzony, by rządzić. Ja. Guy Burgess. – Uderzył się w pierś palcem zakończonym

groteskowo obgryzionym paznokciem, podnosząc głos i ciągnąc tonem, który wydał się Macowi niemal pogardliwy. – Pieprzony Guy Burgess! – krzyknął ku zaciekawieniu ludzi siedzących przy pobliskich stolikach. Po chwili się uspokoił. – Ale z jakiegoś powodu... nienawidzę tego wszystkiego. Czasami – przeważnie – nienawidzę siebie. To takie głupio powierzchowne. Zagwiźdź tyłkiem Rule, Britannia!, a wszyscy będą klaskać. Skop establishment i nikt nie będzie narzekał, pod warunkiem że będziesz kopał od środka. A ja działam w środku. Ale ty – niech to szlag, tacy ludzie jak ty – ten kraj odpycha was każdego przekłętogo dnia, jakby to były Sołowki. Więc wiesz, co się ze mną dzieje? Robię się głupi. Przejmuję się. Pytam swoje sumienie, a ono odpowiada: wal ich. Wal ich wszystkich. I cały System. Rozwał go bez względu na koszty. „Na miejsce śmierci zaprowadzi mnie sumienie, zwlekam tak długo tylko przez tchórzostwo”. To chyba Auden. Mój przyjaciel. Sprowadzał mnie na złą drogę w każdym zakamarku Cambridge. I – tak to już jest – w końcu przychodzi pora, że musisz się zdecydować. Kraj. Sumienie. Albo sztywny kutas. – Wybuchnął płynnym śmiechem, który rozpuścił się, przechodząc w łzy, i zaczął mu spływać po twarzy. – Wiesz, Mac – załkał – w końcu można zdradzić tylko jedno. Siebie samego. I ja robię to bez przerwy.

Popchnął pusty kieliszek w stronę Maca, który z pewnym zdumieniem zauważył, że jego kieliszek też jest pusty. Wstał i dołał im obu.

Potem Burgess mówił jeszcze mniej sensownie, nalegał tylko, żeby Mac wybaczył mu zarówno pijaństwo, jak i wtrącanie się w jego prywatne życie. „Bądźmy w kontakcie, Mac, bądźmy w kontakcie”. I Mac obiecał, że będą. Gdy wyszedł z pubu i ruszył lekko chwiejnym krokiem brukowaną uliczką, zastanawiał się, dlaczego na to przystał.

Przecież tak wiele różniło go od Burgessa. Nie wierzył w swój kraj – nie miał swojego kraju i oszczędzało mu to katuszy, na jakie świadomy patriotyzm narażał Burgessa. Nie wierzył też w sumienie. Do diabła, wystarczy spojrzeć, co robi sumienie z goj cedek – szlachetnymi gojami w rodzaju Burgessa. Bo nie miał wątpliwości, że głęboko w środku Burgess jest szlachetny – albo za takiego się uważa. Dlatego cierpiał. Coraz bardziej się załamywał, unoszony falą alkoholu i samobiczowania, a Maca zawsze uczono mierzenia się z problemami w inny sposób. Pamiętał swojego wuja Moszego, szewca, uśmiechniętego olbrzyma o delikatnych palcach. „Zachowuj się, mały Josefie Jaakow, bądź grzeczny! – ryknął pewnego dnia, gdy Mac wrócił z targu z okiem podbitym pięścią policjanta. – Ale jeśli zaczniesz mieć kłopoty z prawem, rób tak: najpierw pość. Pość, aż poczujesz ból, bo nic w tym życiu nie przychodzi całkiem bezboleśnie, rozumiesz? Potem módl się do Boga. Recytuj psalmy, wzywaj Wszechmogącego. A jeśli na twojej łopacie dalej jest pełno gówna – no cóż. Wtedy przychodzi pora, żeby dać w łapę mamzerowi sędziemu”. W ciągu lat spędzonych w obozach Mac poznał drogę na skróty. Od razu przechodził do łapówki. Kilka razy uratowało mu to życie, a jego sumienie zniknęło razem ze słońcem.

No więc nie ma kraju, nie ma sumienia. Pozostawała zatem tylko... Cóż, na początku była Carol. A teraz także Peter, Lindy i sprawy, które zaczęły się dla niego liczyć. Zależało mu. Nienawidził, gdy mu zależy, to komplikowało mu życie, ale stoczył tę bitwę i wiedział, że ją przegrał. Znowu zaczął czuć. I przypominać sobie różne rzeczy, na przykład swoje korzenie, wuja Moszego i tego przekłętą policjanta na targu. Oraz mężczyznę z ARP. Pół życia później i pół kontynentu dalej, a tak niewiele się zmieniło. Nadal zdarzali się ludzie, którzy

z przyjemnością daliby mu porządnego łupnia, tak dla draki. A teraz, ponieważ znalazł swoje miejsce, ponieważ miał dom, zaczęło sprawiać mu to ból. Po raz pierwszy, odkąd wymaszerował ze szkolnego boiska w Wadowicach, Mac naprawdę się bał. Miał coś do stracenia. Jeśli więc Burgess chciał się mścić, mógł się zemścić także za Maca, jak również za Carol, Petera i Lindy. Mac postanowił zatem spełnić prośbę Burgessa i pozostać z nim w kontakcie – przecież oprócz kaca nie miał nic do stracenia.

Rozdział piętnasty

Październik 579

– Zrób głośniej, do diabła... głośniej, głośniej, głośniej! Szlag by to trafił, nic nie słyszę.

Głos Beaverbrooka odbił się echem od marmurowych ścian łazienki, a potem wpadł przez otwarte drzwi do sąsiedniego pomieszczenia i niespokojne palce zaczęły gmerać przy pokrętkach radiodbiornika. – Nie żebym spodziewał się usłyszeć coś wartego słuchania, Winston jak zwykle będzie głądził – dodał Kanadyjczyk.

– Zaczyna się – oznajmił skonsternowany i bez wątpienia młodzieńczy głos.

W odpowiedzi na tę uwagę z łazienki dobiegły postękiwania, które wprawiły w lekkie zażenowanie czterech mężczyzn zebranych wokół biurka. Wszyscy byli przepłacanymi kierownikami, a w zamian za wygórowane uposażenie musieli znosić między innymi szefa prowadzącego zebrania z kibla. Beaverbrook lubił szokować, wywoływać domysły, i zwykle mu się to udawało. Mężczyźni poruszali się niespokojnie, aż w końcu głos Churchilla, syczący, lekko trzeszczący i pozbawiony basu, lecz mimo to doskonale rozpoznawalny dzięki melodyjnym tonom, w końcu zapewnił im upragnioną odmianę.

„Imperium brytyjskie i Republika Francuska – zaczął pierwszy lord – od miesiąca toczą wojnę z nazistowskimi Niemcami. Nie przystąpiliśmy jeszcze do zacieklej walki, której należy się spodziewać,

ale wydarzyły się trzy ważne rzeczy. Po pierwsze, na Polskę znowu najechały dwa wielkie mocarstwa, które niewoliły ją przez sto pięćdziesiąt lat, lecz nie zdołały zdusić ducha narodu polskiego. Bohaterska obrona Warszawy pokazuje, że dusza Polski jest niezniszczalna i że znów powstanie – jak skała”.

Z łazienki znowu dobiegły nieprzyjemne odgłosy, a po nich rozległ się szum spuszczonej wody.

„Jakie jest drugie wydarzenie pierwszego miesiąca wojny? – ciągnął głos Churchilla. – To oczywiście manifestacja siły w wykonaniu Rosji. Rosja prowadzi zimną politykę własnych interesów. Życzylibyśmy sobie, by rosyjska armia przekroczyła granicę jako przyjaciel i sojusznik Polski, a nie jako najeźdźca. Jednak to, że rosyjska armia przekroczyła tę granicę, było najwidoczniej niezbędne dla bezpieczeństwa Rosji w obliczu nazistowskiego zagrożenia...”

– Na litość boską, Winstonie, obudź się! Rosjanie są tam dlatego, że to dwulicowi przekłeci komuniści. – W ślad za głosem z łazienki wyszła drobna postać. Pierwszy baron Beaverbrook wsunął szelki z powrotem na ramiona. Wciąż niezapięty rozporek łopotął jak żagle podczas szkwału.

„Nie umiem wam powiedzieć, jakie działania podejmie Rosja...”

– Będzie gwałcić bogaczy! – warknął Beaverbrook, rzucając się na swój fotel za biurkiem i wyjmując cygaro z wymyślnego pojemnika.

„To zagadka owinięta tajemnicą i schowana w enigmie...”

– Hej, śliczne zdanie, Winnie, trzeba ci to przyznać.

„Być może istnieje jednak klucz do tej zagadki. Tym kluczem jest rosyjski interes narodowy. Interesom i bezpieczeństwu Rosji na pewno nie sprzyja to, że nazistowskie Niemcy osiadą na wybrzeżu Morza Czarnego, ani to, że opanują kraje bałkańskie i podporządkują sobie

słowiańskie ludy południowo-wschodniej Europy. Byłoby to sprzeczne z historycznym interesem Rosji. W tym miejscu interes Rosji zbiega się z interesem Wielkiej Brytanii i Francji...”

– Chyba żartujesz!

„Mimo mgły dezorientacji i niepewności możemy dość wyraźnie ujrzeć ciągłość interesów Anglii, Francji i Rosji...”

– Niech go szlag. Bolszewicy właśnie dymają Polaczków, a on też chce się nadstawić tym draniom. Dość! – zawołał Beaverbrook. Pochylił się i wyłączył radiodbiornik.

– Piramidalne bzdury – powiedział ze śmiechem jeden z mężczyzn siedzących po drugiej stronie biurka, bardzo się starając, żeby zabrzmiała w tym pewność siebie. Zebrania w urządzonym z przepychem gabinecie w stylu art déco Beaverbrooka znajdującym się w budynku „Expressu” często przemieniały dorosłych mężczyzn w nerwowych nastolatków.

Beaverbrook odwrócił się do niego.

– Bzdury?

– Wskoczyć Stalinowi do łóżka? To po prostu zbyt mało prawdopodobne.

– Czyżby? Nie byłbym taki pewny. Po raz pierwszy w całym swoim zagmatwanym życiu stary Winnie może mieć rację. Po dobieciu targu z Rosjanami cała ta wojna może potoczyć się inaczej.

– Przecież nienawidzimy Rosjan – odezwał się nieśmiało inny głos.

– Jasne, że nienawidzimy przeklętych Rosjan. Też nie jestem pewny, czy cię lubię, a mimo to u mnie pracujesz.

Urażony głos zamilkł.

– Nie to jednak jest dziś największym problemem: liczy się nie tyle wojna, ile pokój – ciągnął Beaverbrook. – Hitler zaproponował koniec

tego wszystkiego. Zdobył w Polsce to, co chciał, a teraz mówi, że znowu chce być grzecznym chłopcem i nigdy nie stanie pod naszymi drzwiami. Co wy na to, panowie? Co na to „Express”? – Poddawał ich próbie. Lubił zgrywać inkwizytora, sondować. Sam miał tak niewiele skryzalizowanych poglądów, że chętnie szukał świeżych, żywiąc nadzieję, iż przypadkiem natrafi na coś, co mu się spodoba.

– Jadłeś dziś lunch z Horace’em Wilsonem. Co on o tym sądzi? – spytał redaktor Heale, który stał nieco z boku, pykając olbrzymią fajkę z korzenia wrzośca i w zamyśleniu bawiąc się zabytkowym globusem.

W chłopięcych oczach Beaverbrooka pojawił się błysk wywołany radością, że wreszcie ktoś podjął jego grę.

– To proste. Polska jest zgubiona. Nie uratujemy jej zatem, nawet jeśli będziemy kontynuowali wojnę. To może być wyłącznie wojna odwetu i zemsty, która doprowadzi do bezsensownej rzezi tysięcy niewinnych Anglików. – Nie powiedział tego głośno, ale modulacja jego głosu wyraźnie świadczyła o tym, że cytuje dosłownie.

– A premier?

– Odkąd to Horace pozwala, żeby między niego a premiera wsunęła się choćby bibułka od papierosa?

– No więc... Churchill chce wojny. A Chamberlain nie. Niefortunna różnica zdań.

– A „Express”... Czego chce „Express”? – spytał Beaverbrook i nagle spoważniał, skupiając spojrzenie na redaktorze.

Heale odpowiedział dopiero po chwili.

– Przez ostatnie parę lat byliśmy dość konsekwentni. Trzymaliśmy się naszego credo. „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój”. Dlaczego teraz mielibyśmy to zmieniać?

Była to subtelna taktyka, odwołanie się do świętej księgi. Beaverbrook, magnat przemysłowy i były członek gabinetu z okresu pierwszej wojny, człowiek niezwykle bezwzględny, lubił dawać do zrozumienia, że z radością dobiłby targu z diabłem, gdyby ten zaoferował mu procent od drogi dojazdowej do piekła, ale miał też wiele innych cech, między innymi był synem presbiteriańskiego pastora ze środkowej Kanady. Trzymał Biblię na biurku, a drugą na szklanej półce w swojej prywatnej/publicznej łazience, i nigdy nie okazywał pogardy wobec opinii opakowanych w biblijny kontekst.

– No tak, jasne, „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi”. Tylko że Bóg powiedział także, i moim zdaniem słusznie... – Zamilkł na chwilę, czekając na reakcję, przeczesując dłonią rozczochraną czuprynę rzednących włosów. – Och, na litość boską, co z wami, przecież żartuję, do cholery...

Spojrzeli po sobie, zastanawiając się, czy nie jest za późno, żeby się roześmiać.

– Ale Bóg powiedział też coś takiego... Chyba w Księdze Ezechiela...

Stojący w kącie Heale uśmiechnął się pod nosem. Beaverbrook miał pamięć przypominającą koparkę wielonaczyniową, z której był w stanie wydobyć biblijny cytat prawie na każdą okazję, a w dodatku zwykle przytaczał go słowo w słowo. Potrzebował jedynie publiczności.

– „Bo tak mówi Pan Bóg: Oto Ja sprowadzam z północy na Tyr Nabuchodonozora, króla Babilonu, króla królów, z końmi, rydwanami, jeźdźcami, wojskiem i licznym ludem. Córki twoje, które są na stałym lądzie, zabije mieczem. – Wysunął do przodu rozżarzony koniuszek cygara, jakby to był bagnet. – Wieże oblężnicze zbuduje przeciw tobie, przeciwko tobie usypie wały i tarczę wystawi przeciwko tobie. Głowice

swych taranów skieruje przeciw twoim murom, zburzy twe wieże żelaznymi hakami!”. Tego typu pierdoły. No więc jak sądzicie? Czy mamy dalej klęczeć i wychwalać tych, którzy wprowadzają pokój? A może wolelibyście, panowie, żebyśmy znaleźli watażkę, który zabije mieczem kilka dziewczic?

– Oszczędźmy dziewczice – odezwał się jeden z mężczyzn. – Później będą nam potrzebne. I czy Churchill miałby być królem królów? Nie wydaje mi się.

– Reglamentacja papieru gazetowego nas wykańcza – ośmielił się zauważyć inny dyrektor. – Reklama poszła w diabły. Dopóki trwa wojna, nic nie zarobimy.

– Doskonała uwaga, doskonała – przyznał magnat. – Chyba że oczywiście wywołamy trochę kontrowersji. Wykorzystamy kilka śmiałych nagłówków, żeby napędzić sprzedaż.

– Wojna jest nie dość kontrowersyjna? – spytał z niedowierzaniem jakiś głos.

– Wojna? Jaka wojna, do cholery? Widziałeś ostatni komunikat? Polska zginęła i przepadła, a na froncie zachodnim cisza. Znowu. Równie dobrze można by się przyglądać, jak rośnie trawa.

– Jakiego rodzaju kontrowersje miał pan na myśli? – spytał Heale.

Beaverbrook rozciągnął usta, w których trzymał cygaro. Zwykle był to znak, że za chwilę wyjmie zawleczkę z granatu.

– Co byście powiedzieli, gdybyśmy wskoczyli do łóżka Winstonowi?

– Po trupie Chamberlaina!

– Otóż to. Zrobilibyśmy ładnych parę nagłówków w ramach kampanii pod tytułem „Chamberlain musi odejść”.

- Ale „Express” zawsze był zwolennikiem polityki ustępstw. Graliśmy w drużynie Chamberlaina.

- Tylko że Chamberlain przegrał. Chce pokoju, ale nie może tego powiedzieć, bo wie, że ludzie na ulicy nie zechcą słuchać. Hitler o jeden raz za dużo wsadził palec w ich kolektywny tyłek. Jeśli Chamberlain ogłosi, że chce ponownie lecieć do Monachium, by podpisać następne porozumienie w sprawie pokoju, bardzo możliwe, że zestrzelą go nasze własne działa.

- Ale Hitler nie żartuje. Niedawno powiedział, czego chce. – Dyrektor zaczął przerzucać papiery w poszukiwaniu gazety sprzed dwóch dni i zacytował z pierwszej strony: – „...zakończenia wojny między Niemcami a Wielką Brytanią”. Właśnie tak brzmi jego propozycja. Moim zdaniem to najlepsza oferta, jaką od niego dostaniemy.

- W porządku, Hitler chce pokoju, Chamberlain chce pokoju. Załóżmy, że Jezus Chrystus nadal chce pokoju i, jak przypuszczam, Dalajlama też. My również chcemy pokoju. Ale nasi czytelnicy, niech Bóg im sprzyja, mężczyźni i kobiety, którzy płacą za nasze martini i kochanki, oni w swej nieprzemijającej mądrości wcale nie chcą pokoju. Są wściekli jak diabli. Chcą, żebyśmy poszli i stłukli szkopów. Jak mielibyśmy ich zatem przekonać do jakiegoś układu pokojowego?

Urządził im sprawdzian. Musieli odpowiedzieć. Pomysły, początkowo ociężałe, nabrały rozpędu. Zaproponowali listy od oburzonych korespondentów zmęczonych wojną. Dramatyczne artykuły na temat tego, że splajtuje wiele przedsiębiorstw, że niebawem dzieci będą musiały zebrać na ulicy, że w czasie zaciemnień ulice przemienią się w śmiertelną pułapkę. Że pobór rozbija rodziny, a rozłąka osłabia zarówno morale publiczne, jak i prywatne. I że

reglamentacja odbierze kobietom ich tradycyjne przyjemności, wypchnie je z kuchni do fabryk, gdzie zamiast rodzić dzieci, będą produkować amunicję. I być może, zaproponowali, gazeta powinna zamieścić wywiady ze ślepyimi, chromymi i kulawymi, z bohaterami i ofiarami poprzedniej wojny, wojny, która powinna była położyć kres wszystkim wojnom...

I tak narodziła się kampania – nie tyle z pewności, ile z najzwyczajszego wygodnictwa. Za dymną zasłoną cygarowych kłębów Beaverbrook ukrył uśmiech zadowolenia. Zaprowadził ich dokładnie tam, gdzie chciał, żeby się znaleźli – i gdzie Horace Wilson podczas lunchu powiedział mu, że powinni być. Zanim podano deser, przebąkiwał już nawet o tece ministra dla samego Beaverbrooka w zreformowanym powojennym rządzie. W sumie to był owocny dzień.

– Propagandujmy zatem! Rozdzielcie srebrniki i wciągnijcie na maszt białą flagę – polecił Beaverbrook.

– A jeśli nikt nie zechce salutować?

Beaverbrook zastanowił się, po czym się uśmiechnął.

– No cóż, wtedy wskoczmy Winstonowi do łóżka.

Przez wieki St. James's Park sąsiadujący z Whitehallem był zielonym azylem w sercu Londynu. W czasach Tudorów, gdy Westminster był rozległym i bardzo niehigienicznym średniowiecznym miejscem, ludzie ściągali tam ze swoich ruder nad cuchnącymi wodami Tamizy, by rozkoszować się świeżym powietrzem i organizowanymi w parku turniejami konnymi. Były tam także inne rozrywki – szczucie niedźwiedzi, walki kogutów, przywieziona z Francji gra pall-mall⁵ albo w kule oraz miejsca do „gruchania” lub „kopulowania” dla tych, którzy woleli bardziej stacjonarne dyscypliny

sportu. Po zmroku wiele młodych dziewcząt wynurzało się z brukowanych uliczek Mayfair, by zarabiać na życie, opierając się o pień drzewa, gdy jakiś pijak zażywał przyjemności, i nierzadko pozbawiały go przy tym nie tylko swojego honorarium, lecz także reszty zawartości portfela. St. James's Park, mimo całego swojego wytwornego i zadbanego wyglądu, zawsze był – i jest do dziś – miejscem wielu ekscesów.

Właśnie tam, na wąskim moście nad jeziorem, wczesnym popołudniem przecięły się ścieżki Churchilla i Kennedy'ego. Obaj byli zajęci w porze lunchu, konsumując wybuchową mieszankę intryg i alkoholu – Churchill podczas spektakularnego występu przed wielopartyjną grupą szeregowych posłów w Reform Club, a Amerykanin w bardziej powściągliwej, lecz nie mniej konspiracyjnej atmosferze pałacu królewskiego na zachodnim krańcu parku. Kennedy zmierzał właśnie na biegnącą po drugiej stronie Downing Street w towarzystwie Anny i jakiegoś trzydziestokilkuletniego mężczyzny.

– O, pan ambasador – rzucił Churchill, unosząc kapelusz. Idący obok niego Bracken zrobił to samo.

– Pan pierwszy lord. – Niemający kapelusza Kennedy skinął w jego stronę. W ich słowach nie było cienia życzliwości; Churchill nie mógł się zdecydować, czy dziwne pozdrowienie Amerykanina jest tylko przykładem jego prostactwa, czy może próbą bycia zabawnym. – Moją siostrzenicę Annę już pan zna – ciągnął Kennedy – a to – pokazał na wysokiego niebieskookiego mężczyznę po swojej prawej stronie – pan Björn Svensson. – Na tym prezentacja się skończyła. Wydawało się, że to minimum mające spełnić wymogi uprzejmości. Ambasador zignorował Brackena, który złożył tę zniewagę na karb poufałości

i prowincjonalizmu. Nawet Anna zdobyła się jedynie na wstydlivy, nerwowy uśmiech.

Churchill zwrócił się do Szweda:

– Pan Svensson i ja już się poznaliśmy. Zdaje się, że to było rok temu podczas kolacji w ambasadorskiej rezydencji. Jest pan biznesmenem, prawda?

Szwed pokiwał głową, ukazując rzednące włosy.

– Nie bardzo mieliśmy wtedy okazję rozmawiać, panie Churchill.

– W rzeczy samej. Z tego, co pamiętam, wyszedłem przed końcem... Co, Joe?

– Zgadza się, Winstonie. Wyszedłeś.

– Słyszałem o panu, panie Svensson. Spędził pan dużo czasu w Niemczech. Przekazuje pan wiadomości.

– Bynajmniej – zaprotestował Szwed w łagodny i elegancki sposób.

– Po prostu lubię, gdy obie strony są... dobrze poinformowane. Mają świadomość, co myśli i mówi ta druga. To trudne czasy dla wszystkich, panie Churchill, i staram się jakoś pomóc.

Churchill prychnął.

– Właśnie wracamy z pałacu Buckingham, Winstonie. Król nie mógł się doczekać, kiedy usłyszy, co ma do powiedzenia obecny tu Björn – ciągnął Kennedy, zaczynając małą grę w udowodnianie swojej wyższości.

Churchill znowu prychnął, tym razem świadomiej. Lunch w pałacu – a ani Kennedy, ani Szwed nie mieli na głowach kapelusza.

– Mam nadzieję, że zastaliście Jego Wysokość w doskonałej formie.

– W świetnej, panie Churchill, dziękujemy – odpowiedział Szwed. Jego elegancja kontrastowała z szorstkością ambasadora. – Był

niezwykle zainteresowany propozycją Herr Hitlera dotyczącą rozmów pokojowych.

– Nie możemy pozwolić, żeby ta dziwna wojna wymknęła się spod kontroli, Winstonie – wtrącił Kennedy.

– Wolę ją nazywać „wojną zmierzchu”, Joe. Zmierzchu, który przychodzi tuż przed zapadnięciem mroku.

– Daj spokój, Winstonie, to dla was szansa, żeby wydostać się z tarapatów. Udzielenie Polsce gwarancji było szaleństwem, skoro nie mieliście szansy jej obronić. Tylko że to był mały lokalny konflikt milion mil stąd. I niech taki pozostanie, na litość boską.

– A jeśli wybuchnie kolejny mały lokalny konflikt...?

– Kogo to obchodzi? To nie ma z nami nic wspólnego. Niech sobie grają w te swoje przekłete głupie gry – nikt nie powiedział, że musimy się do tego włączać i za nich walczyć.

– To nie jest żadna gra...

– Nazywaj ją, jak chcesz, ale i tak nie była warta ani jednego martwego Amerykanina czy Brytyjczyka. Ani wtedy, ani teraz. Król chyba się z tym zgadza. Woli strzelać do kuropatw zamiast do swoich bliskich kuzynów.

– Populację kuropatw odtwarzamy poza sezonem łowieckim. Wojna jest, niestety, trochę bardziej bezkompromisowa.

Rozgrywali walkę sparingową, ale ich ciosy były coraz bardziej bolesne, naruszały cienką zasłonę grzeczności, która ich otaczała. Mówili coraz głośniej, z coraz większą nieustępliwością, a reszta grupy ledwie zauważalnie się odsunęła, jak sekundanci podczas pojedynku.

– I właśnie dlatego, panie ambasadorze – podjął Churchill, wracając do oficjalnego tonu, by zasłonić nagość ich uczuć – będziemy

wdzięczni, jeśli pański kraj postanowi dostarczyć nam militariów, by doprowadzić tę wojnę do końca.

– Jesteśmy neutralni.

– Tak, ale pański prezydent zapewnia mnie o swojej pełnej solidarności...

Jeśli to miała być riposta w ich grze w licytowanie się na kontakty, okazała się nieskuteczna, bo choć Churchill rzeczywiście miał własną otwartą linię łączącą go z amerykańskim prezydentem – tak jak Kennedy najwyraźniej miał otwartą linię łączącą go z rodziną królewską i Downing Street – ambasador odpowiedział ledwie skrywanym pogardliwym prychnięciem.

– Jasne, jasne, solidarność jest wszędzie. To towar, którym handluje się teraz w Waszyngtonie zupełnie otwarcie. I nisko się go wycenia. Kłopot w tym, że to, czego potrzebujesz w związku ze swoją wojną, wymaga wysokiej dopłaty.

– Liczymy na więcej niż tylko solidarność. Korzystne warunki... nawet otwarte poparcie.

– Bzdura. Ta wojna nie ma nic wspólnego z Ameryką.

– Pan Roosevelt zapewnia mnie...

– Stary ramol. – Kennedy nie zdołał powstrzymać zniecierpliwienia. – Wierz mi, on ma za dużo na głowie, żeby zawracać ją sobie wyjmowaniem europejskich kasztanów z ognia. Nowy Ład się rozpada, dwanaście milionów bezrobotnych, za rok kampania i starania o reelekcję. Jeśli chce się wmieszać w wasz bałagan, to tylko dlatego, że ma wiele innych spraw do ukrycia.

– Tu nie chodzi o zdobycie przewagi w jakiejś kampanii wyborczej, tu chodzi o przetrwanie demokracji jako takiej.

- Chcesz wiedzieć, co myślę o demokracji, Winstonie? Myślę to samo co doktor Gallup. Że dziewięćdziesiąt sześć procent Amerykanów nie chce mieć nic wspólnego z waszą wojną, za cholere. A jeśli ramol o tym zapomni, to w przyszłym roku na konwencji delegatów spotka wielu innych ludzi, którzy aż będą się rwali, żeby zetrzeć sól z jego fistaszków.

- Twoje ambicje są jasne jak słońce.

- A twoje mogą doprowadzić do zmiecienia połowy ludzkości z powierzchni ziemi!

Obaj stali na moście w rozkroku, dwaj Horatia nieznający zmiłowania, otoczeni wyczekującymi kaczkami. Churchill wysunął lewą nogę do przodu, jakby szykował się do zadania ciosu, a wyższy od niego Amerykanin naprężył się jak struna, żeby móc spoglądać na przeciwnika z władczej wysokości. Ciężko oddychał, toczył walkę z pogardą.

- Zacząłeś większą wojnę, Winstonie, i dostaniesz łupnia. Rozejrzyj się - zażądał Amerykanin, machając w stronę wspaniałego pejzażu minaretów i zdobionych dzwonnicy górujących nad Whitehall. - To wszystko zrówna się z ziemią w pierwszym tygodniu każdej prawdziwej wojny. - Przysunął się i dodał niemal konspiracyjnie. - Nie masz ani samolotów, ani broni, żeby temu zapobiec, a mówiąc między nami, większość twoich kolegów z gabinetu nie ma także jaj. Ty je masz, Winstonie, muszę ci to przyznać. Przypisuję to temu, że w połowie jesteś Amerykaninem. Ale i tak niczego nie rozumiesz. Jedynymi zwycięzcami w tej wojence będą komuniści i Żydzi.

- Och, oszczędź mi tych twoich zagmatwanych teorii spiskowych! Na każdym rogu widzisz Żydów.

- No... a poza tym w Sądzie Najwyższym, w amerykańskim Ministerstwie Finansów, w Departamencie Stanu, a przede wszystkim w Białym Domu. Ramol wszędzie znalazł dla nich kryjówki: Baruch, Morgenthau, Lehman, Frankfurter. To oni prowadzą ten biznes. I trzymają ręce w kieszeniach wszystkich producentów broni na rynku.

- „Uważamy następujące prawdy za oczywiste – zacytował Churchill, a jego głos poniósł się nad jeziorem – że wszyscy ludzie stworzeni są równymi, że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami, że w skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście”⁶.

- Jasne, jest jeszcze jedna prawda, którą uważamy za oczywistą, ale ojcowie założyciele nie zadali sobie trudu, żeby ją zapisać, bo jest oczywista, psia krew. Że nie udziela się gwarancji jakiemuś śmiesznemu państwu w rodzaju Polski, którego nie jesteś w stanie obronić i które już nie istnieje.

- Honor nakazuje, żebyśmy nie ustępowali.

- Jezu Chryste, nawet Jerzy II wiedział, kiedy gra jest skończona – a przecież był kompletnym wariatem!

Churchill odwrócił się, złapał się barierek biegnącej wzdłuż mostu, pochylił głowę i przez chwilę bał się, że puszcza mu nerwy. Nad jego głową niebo nagle pociemniało od stada szpaków wrzeszczących, jakby właśnie wykluły się w piekle.

- Winstonie, na litość boską, posłuchaj. Obecny tu Björn był w Berlinie trzy dni temu, widział połowę nazistowskich szysz, nawet Göringa. Hitler chce pokoju. Ma Polskę, więcej nie chce... No, może kilku kawałków kolonii w Afryce, ale jest gotów podjąć w tej sprawie negocjacje. Możecie mieć pokój w ciągu tygodnia. Musicie tylko poprosić.

Churchill powoli się odwrócił, jego krągłą twarz przepętniła wściekłość, a ręce zmieniły się w ciasne węzły knykcii.

– Hitler to hiena, która złamała wszelkie zasady sprawiedliwości i zwykłej przyzwoitości. Napada na jeden kraj po drugim i tak jak hiena będzie wracał po jeszcze, dopóki na europejskim kontynencie nie zostanie nic oprócz białych kości i wspomnień. Mówi pan o demokracji i woli ludu, panie ambasadorze. A ja panu mówię, że to właśnie z woli tego potężnego narodu ludzi kochających wolność nigdy nie powinniśmy spocząć ani zaniechać starań, dopóki nie wytrzebimy z tej planety zarazy hitleryzmu – nie za pomocą obietnic, nie za pomocą kartek, nie poprzez grzeczne pytanie pana Hitlera, czy byłby tak miły – ale ogniem! Wojna jest bardzo okrutna. Trwa długo. Lecz taka jest cena wolności. A zatem przyłożymy się do tego zadania i będziemy ponosili wszelkie ofiary, dopóki rządy w Europie nie zostaną jeszcze raz zwrócone jej ludom, a my, Brytyjczycy, będziemy mogli znowu spokojnie spać w swoich łóżkach.

Kennedy przez chwilę milczał, kręcąc głową.

– Winstonie, gdyby można było wygrać wojnę słowami, stary Adolf skapitulowałby jeszcze przed zachodem słońca. Ale nie można, a on tego nie zrobi. Tymczasem zamierzam zabrać obecnego tu pana Svenssona na herbatę do premiera i zastanowić się, czy istnieje jakiś inny sposób.

Uśmiechnął się – krzywo, pogardliwie i z wysiłkiem – po czym ominął przygarbionego Churchilla, a za nim ruszyli Anna i wspomniany Szwed, który pokłonił się Churchillowi z powagą księdza dającego pokutę. Gdy dotarli na drugi koniec mostu, Kennedy się odwrócił.

- Musimy to kiedyś powtórzyć, Winstonie. Podobało mi się jak diabli!

Po tych słowach się oddalił.

Churchill ze łzami w oczach stał nieruchomo przez dłuższą chwilę, drżąc lekko na całym ciele, aż w przyptywie niepohamowanej energii zerwał z głowy kapelusz i cisnął go na ziemię. Kapelusz stoczył się z mostu do jeziora. Wystraszone kaczki rozpierzchły się na wszystkie strony.

Gdy wrócił, stała naga od pasa w górę. Zsunęła ramiączka sukienki, pozwoliła im opaść, odsłaniając piersi z sutkami, które były małe i jakby stworzone z różowego koralowca. Wyglądała prawie jak dziecko.

- To dla ciebie, Brendanie - szepnęła łamiącym się głosem.

Wcześniej się pokłócili, frustracja szarpała mu nerwy, lecz teraz dopadło go poczucie winy, jakby matka przyłapała go z rękami w spodniach. Jego związek z Anną zmierzał donikąd, prawie w ogóle nie posunął się do przodu od dnia, gdy Bracken wyrwał się z propozycją małżeństwa, a ona odrzekła: „Nie, jeszcze nie teraz”. Tak powiedziała, prawda? Jeszcze nie teraz? Od tamtej chwili spotykali się, jadali razem kolację, śmiali się, szeptali sobie czułe słowa, a później nie widzieli się przez tydzień, często dwa. Jej zobowiązania wobec wuja nie pozwalały na częstsze spotkania - i, prawdę mówiąc, jego zobowiązania polityczne, związane przede wszystkim z Churchillem, też były ogromną przeszkodą - więc właściwie zatrzymali się na etapie pocałunków, a ona łagodnie się śmiała i odsuwała, ilekroć on, na swój własny nieporadny sposób, próbował pchnąć sprawę do przodu. Podczas spotkania na moście w gruncie rzeczy go zignorowała. Być może w tych okolicznościach było to zrozumiałe, lecz nie zauważył

nawet spojrzenia, nawet jakiegoś drobnego, potajemnego gestu świadczącego o zażyłości. Prawie jakby się wstydziła. Zabolało go to.

Nagle skończyła mu się cierpliwość, nie tyle dlatego, że zawładnęło nim jakieś zwierzęce pragnienie posiadania jej – do tego typu żądź na szczęście podchodził ze spokojem, być może mnisi w Tipperary wybili mu z głowy większość tych głupot – ale ponieważ wiedział, że nie panuje nad sytuacją. No więc krzyczał. Podniósł ręce i głos. Powiedział, że nie może jej szanować jako kobiety, jeśli nie szanuje siebie jako mężczyzny. Najśmieszniejsze było to, że w zasadzie nieszczególnie miał ochotę rzucić ją na kanapę i zniewolić, po prostu chciał wiedzieć, na ile by mu pozwoliła, gdyby wpadł na taki pomysł. To była kwestia dominacji. Zatem puściły mu nerwy – efekt był imponujący, wywołało to wytrzeszcz i szalony błysk w jego oczach za szklami grubymi jak denka od butelek, włosy opadły mu na czoło, zaczął wymachiwać rękami i zademonstrował swoje krzywe zęby w całej okazałości – a ona się rozplakała. Nie miał pojęcia, jak należy się obchodzić ze zrozpaczoną kobietą, więc popomstował jeszcze trochę, żeby uzmysłwić jej sytuację, i wyszedł po papierosa.

Gdy wrócił, żeby znowu stanąć z nią twarzą w twarz, była półnaga i drżała. Stała się bezbronna. Mógł ją pożreć. Kiedy ruszył w jej stronę, podniosła ręce, by zasłonić piersi.

– Dla ciebie, Brendanie. Tylko dla ciebie.

Chlipała, jakby budził w niej strach.

Objął ją, otoczył ramionami, nie dotknął jej piersi, lecz pocałował ją i naciągnął bawełnianą sukienkę z powrotem na jej ramiona. Wiedział bowiem, że ona właśnie tego chce, i że tym razem decyzja należy do niego. Zakwiliła z ulgą, pocałowała go jeszcze namiętniej i podziękowała mu.

– Już niedługo, najdroższy Brendanie, już niedługo – szepnęła mu do ucha.

– Martwiłem się – zaczął, jakby chciał przeprosić. – Tam, na moście, myślałem, że jesteś zakłopotana moją obecnością. Że wręcz się mnie wstydzisz.

– Byłam zakłopotana wyłącznie z powodu wuja Joego i pana Churchilla. No i trochę zła. Obaj strasznie nam wszystko utrudniają.

– Są siebie warci.

– Chyba lubią się ze sobą kłócić.

– Atakowaliby się, nawet gdyby nie było wojny.

Przezesłała palcami włosy, które opadły mu na czoło, starając się zaprowadzić wśród nich jaki taki porządek.

– Brendanie, czy myślisz... że niedługo będzie pokój?

– Nie, jeśli Winston postawi na swoim.

– Chyba lubi walczyć.

– O tak. Czasami aż za bardzo.

– Naprawdę?

– Oczywiście jest wspaniałym człowiekiem, nie zrozum mnie źle, ale czasami... Do diabła, chce walczyć nawet z Irlandczykami. Jakby Hitler nam nie wystarczał.

– Nie rozumiem, kochanie.

– Irlandczycy nie chcą nam pozwolić korzystać ze swoich baz marynarki wojennej. Winston jest na nich wściekły. Twierdzi, że zgodnie z prawem mają taki obowiązek. A jeśli się nie zgodzą, my... No cóż, on uważa, że powinniśmy po prostu zacząć ich okupować.

– Wziąć te bazy siłą?

– Chamberlain i Halifax mówią, że to szaleństwo. I prawdopodobnie mają rację. Już nigdy nie zobaczylibyśmy

irlandzkiego ochotnika. A w Ameryce wywarłoby to mniej więcej taki sam efekt jak przepłynięcie się kanonierką po Missisipi.

– Ten twój pan Churchill ma mnóstwo pomysłów. I mnóstwo wrogów. Z tego, co mówi wuj Joe, Halifax wspomniał, że pierwszą rzeczą, jaką zrobił pan Churchill po dostaniu się do Admiralicji, było zamówienie butelki whisky, a drugą...

– Wypicie jej. Ha! Pewnie to prawda. Tak czy inaczej, wątpię, żeby to zamieszanie w Irlandii na cokolwiek się przydało. Winston ma ważniejsze zmartwienia.

– Na przykład?

– No cóż... – Bracken się zawahał. Sprawa była delikatna. Wyłącznie dla uszu wtajemniczonych osób, ale w zasadzie on też nie powinien był o tym wiedzieć. Winston potrafił być takim plotkarzem. A Anna wpatrywała się w niego, jej sukienka lekko się zsuwała, Anna odślaniała się raz jeszcze, ufała mu. – Chce wysłać siły ekspedycyjne na Bałtyk.

– Chyba miałyby to sens.

– Tylko że widzisz, nie można przepłynąć okrętami wojennymi przez cieśniny między Danią a Szwecją. W niektórych miejscach mają niespełna dwie mile szerokości, są płytkie. No więc... – Przełknął ślinę, wydawał się skrępowany, jeszcze raz spojrzął na jej sukienkę. – On chce spławić tamtędy całą flotę. Obłóżyć okręty kesonami – olbrzymimi pływającymi balonami – żeby mogły przedostać się przez płycizny i...

– Brzmi... ekscytująco.

– To cholernie niebezpieczne. Połowa Admiralicji uważa, że to byłby koszmar. Winston zawsze ma mnóstwo pomysłów. Czasami przechodzi samego siebie.

– A co ty o tym myślisz, Brendanie?

– Co o tym myślę? Nie powinienem nawet o tym wiedzieć... podobnie jak ty.

– W takim razie od razu zapomnę o tych waszych niemądrych okrętach. – Pocałowała go, przywierając do niego ciałem. – I nie pozwól, żeby inni wciągnęli nas w swoje nedorzeczne bitwy. Niech zostanie między nami tak, jak jest, Brendanie, dopóki nie nadejdzie odpowiednia pora.

Opleciony jej ramionami, nie miał innego wyjścia, jak tylko się zgodzić. Wygrał, to on był panem w swoim domu i w ich związku. W kwestiach cielesnych mógł spokojnie wykazać cierpliwość – przecież o wiele ważniejsze było to, żeby w niego wierzyła, niż żeby wskoczyła z nim do łóżka. Był szczęśliwy. I ogarnięty tym szczęściem zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że Anna znowu kontroluje sytuację.

– Ianie, nie miałem wyboru. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko wprowadzić się tutaj.

Ian rozejrzał się, spoglądając na olbrzymią jadalnię hotelu Dorchester przy Park Lane. – Toczymy wojnę, Dickie. Wszyscy musimy ponosić jakieś ofiary.

– Doskonale o tym wiem. Mój kucharz się ulotnił, żeby dołączyć do armii, przekłety głupiec. Ma już tyle lat, że powinien być mądrzejszy, tak mu powiedziałem, ale co poradzisz? Postanowił się zaciągnąć i dać sobie odstrzelić jaja. Wygarnąłem mu to prosto z mostu, a jakże. Opuszczał mnie w niezwykle niefortunnych okolicznościach i nie powinien oczekiwać, że po powrocie odzyska swoje stanowisko.

– Skłonność mężczyzny do egoizmu nigdy nie przestaje mnie zdumiewać.

- No więc zostałem bez kucharza. Nie ma mi kto gotować. Jestem zupełnie ugotowany. Stałem przed okropnym dylematem. Przeprowadzić się do Dorchestera albo jechać do Deirdre na wieś. Ale mówię ci, że trzeba by było bagnetu jakiegoś Fritza, żeby zmusić mnie do przebywania z nią w inne dni niż weekendy i święta, więc obawiam się, że padło na hotel. Na razie.

- Znam gorsze dziury.

- Ale zrozum, Ianie, zrozum - nalegał Dickie, wymachując pełnym widelcem - to idealne miejsce. Wspaniałe piwnice...

- Nie narzekam - mruknął Ian, unosząc kieliszek. - Co to takiego? Lafite czy latour?

- Jeszcze lepiej. Léoville las cases, rocznik 1899, gdy jeszcze wiedzieli, jak się to produkuje. Pij do dna, stary. Następna butelka w drodze.

- Chyba szkoda byłoby patrzeć, jak to wszystko znika w niemieckim gardle.

- Ależ właśnie na tym polega urok tych piwnic. Masz nawet miejsce do spania w czasie nalotów, z pościelą i w ogóle. No więc jeśli zjawia się Göring, odzywa się gong, znikamy w piwnicy, delektujemy się butelką tego albo tamtego, a potem śpimy jak niemowlę. Zarezerwowali nawet miejsce dla Halifaxa. Będzie moim sąsiadem. Jeśli dobrze to rozegram, mogę zakończyć tę wojnę na jakimś stanowisku w rządzie.

- Tylko jeśli wygramy.

- Ianie, ta cała idea wygrywania i przegrywania jest trochę staromodna, nie sądzisz? Wydaje mi się, że wujek Hitler trafił w sedno. Pora na razie zakończyć tę grę. Inaczej wszyscy przegramy.

- Neville ma chyba inne pomysły.

– Masz na myśli raczej pomysły Winstona. Mówię ci, Ianie, moją skrzynkę zapchały listy od ludzi twierdzących, że powinniśmy skorzystać z tej oferty, zakończyć to tu i teraz. A jeśli Hitler domaga się kilkuset mil oblepionej muchami Afryki, to niech ją sobie weźmie. I niech cierpi. Zresztą czy Afryka kiedykolwiek zrobiła coś dla Anglii?

Przerwał im sommelier, przynosząc drugą butelkę clareta. Dickie nie chciał próbować i tylko machnął ręką, żeby mężczyzna nalał.

– Ale wiesz, Dickie, myślę o moim kucharzu. I o takich jak on. O zwykłych ludziach, takich, którzy raczej nie piszą listów.

– Bo nie umieją pisać. Mój kucharz z trudem klecił listę zakupów.

– Być może. Ale jest wielu takich jak on, zdeterminowanych, by walczyć do upadłego.

– Wiesz dlaczego, Ianie, wiesz dlaczego? Bo nie mają nic do stracenia. Pamiętasz 1917? W jednej chwili Rusczy bili się ze szkopami, a w następnej mieli pod nosem rewolucję. To samo mogłoby się stać tutaj, wspomnisz moje słowa. – Zanurkował do kieliszka. Ian w milczeniu obliczył, że jego towarzysz właśnie utopił dwutygodniową pensję kucharza i takich ludzi jak on.

– Tu nie jest Rosja, Dickie.

– Nie jest? Nie jest, na Boga? Na czele ich armii stoi Żyd Trocki, a na czele naszej Horeb-Elisza. Moi kumple żołnierze mówią, że on niszczy Ministerstwo Wojny, że wszystko stawia na głowie. – Nagłe uderzenie angielskiej musztardy odebrało mu mowę i ugasił ogień kolejnym łykiem starego clareta. – Wiesz, co śpiewają w czasie marszu, Ianie? Wiesz, co śpiewa brytyjska armia? – Zaczął nucić szorstkim głosem, dyrygując sobie widelcem, głośniej z każdym oddechem:

Do boju, żołnierze Chrystusa,

Nie macie czego się bać,

Izrael Hore-Belisha

Za wami będzie stać.

W gajerku od Burtona,

Żywiony frykasami,

Gińcie za wolność Żydów

Jak wszyscy Brytole przed wami...

Chwył wykrochmaloną serwetkę, którą miał zatkniętą za kołnierzyk, i zaczął nią wymachiwać.

– Chryste, Ianie, równie dobrze od razu moglibyśmy wyjąć białą flagę. Czasami człowiek musi zadać sobie pytanie, o co my, do cholery, walczymy.

Sommelier, zwabiony hałasem i powiewającą serwetką, szybko zjawił się przy stoliku.

– Życzą sobie panowie coś jeszcze?

– No, jak myślisz, Ianie? Masz czas na numer trzy?

Mężczyzna z Romford cmoknął przez zęby i westchnął. Przyszedł w sprawie pianina. Powiedział, że jest mu potrzebne do lokalnej jednostki armii terytorialnej, „żeby chłopaki mogły się rozerwać”, ale we wspólnej kasie brakuje im pieniędzy. Carol wiedziała jednak, że to kłamstwa. Po prostu chciał ją okantować.

Z ogródka za domem dobiegały krzyki i śmiech. Peter wrócił. Po tygodniach czekania na armagedon z powietrza londyńskie matki miały dość fałszywych alarmów. Chciały, żeby ich dzieci wróciły do domów, a ich wiejscy opiekunowie skwapliwie na to przystali. Może jednak wojna się skończy. Poza tym Carol miała teraz własny schron przeciwlotniczy, wykopany przez Maca w ogródku za domem. Schron był teraz fortem, statkiem, książęcym pałacem, magazynem

i miejscem, w którym wszyscy mogli się schować przed Indianami i słoniami. Oraz przed panem Göringiem.

Chciała za to pianino tylko czterdzieści funtów. Było w przyzwoitym stanie. Delikatne zarysowania na powierzchni. Czterdzieści funtów. Żeby mogła urządzać Boże Narodzenie. Należało do jej babki, było czymś w rodzaju pamiątki rodzinnej, jedyną rzeczą, która pozostała jej z czasów dzieciństwa. Jako mała dziewczynka siadała przy nim i uczyła się grać – oraz uciekać, zwłaszcza przed ojcem, gdy był w pobliżu. Grała melodie w rodzaju Nellie Dean i On Mother Kelly's Doorstep. Jej matka wtedy płakała. Wydawało parę fałszywych dźwięków, co jednak w żaden sposób, przynajmniej według Carol, nie umniejszało olbrzymiej wartości tego instrumentu w dziedzinie dostarczania przyjemności i rozrywki. Mężczyzna z Romford był innego zdania. Raz po raz uderzał w klawisz, który nie wydawał żadnego dźwięku, i wzdychał.

Po powrocie Petera Carol postanowiła zrobić wszystko, żeby te święta były wyjątkowe, żeby dzieci nie musiały z nich rezygnować. W takich czasach nie można było polegać na Bożym Narodzeniu – na niczym nie można było polegać. Ale z czterdziestoma funtami daliby radę. Jedzenie. Kilka prezentów. Być może piątka odłożona w puszcze po herbacie. Dziś mieli na kolację małą puszkę sardynek rozmnożonych za pomocą garści płatków owsianych, tak by zdołały pokryć grzanki. Jakby byli końmi. Czterdzieści funtów dużo by zmieniło, lecz mężczyzna z Romford cmoknął przez zęby, szykując się do splunięcia. I zaproponował tylko dwadzieścia pięć.

Nie miała nic przeciwko targowaniu się, przywykła do niego, wiedziała o targowaniu się więcej niż przeciętny człowiek, ale potrzebowała pieniędzy bardziej, niż mężczyzna z Romford

potrzebował używanego pianina z paroma głuchymi klawiszami. Z podwórka dobiegł odgłos uderzania w metalową powierzchnię schronu, przypominając jej, że za dwie godziny dzieci przybiegną do domu i będą domagały się jedzenia. Czegoś więcej niż płatków owsianych.

Musiała sprzedać pianino, przetrwać Boże Narodzenie. A potem... No cóż, wiedziała, co trzeba zrobić. Ta myśl wywołała w niej nienawiść do samej siebie i jeszcze większą nienawiść do mężczyzn, a przede wszystkim do Maca. Do nieuchwytnego, tajemniczego, milczącego, unikającego zobowiązań Maca, mężczyzny o tak wrażliwej duszy, że tylko sporadycznie wolno było jej dotknąć. A najbardziej nienawidziła go za zamęt, jaki wprowadził do jej życia, zmieniając wszystko wokół. Dając jej nadzieję. Tego nie była w stanie mu wybaczyć.

Pieniądze się skończyły. Mac powiedział, że na pana Burgessa nie można już liczyć. W dodatku ciągle chodził pijany, nie trzeźwiał od wybuchu wojny. A gdy chodził pijany, nie było pieniędzy. No więc sprzedawała wszystko, co jej zostało.

Mężczyzna z Romford właśnie wywlekał pianino za drzwi. Powiedziała, żeby uważał, żeby nie rozdarł linoleum, ale za późno. Trzymała w garści dwadzieścia osiem funtów. Właśnie ogłoszono, że na Boże Narodzenie zacznie się reglamentacja żywności – masła, bekonu, cukru, szynki – a potem jej zakres się powiększy. Mogła jeszcze zatem pójść do sklepu i porobić zapasy. Z sardynek.

Wesołych świąt, panie Hitler.

Należało jakoś przewyciężyć ten impas między dwoma najważniejszymi mężczyznami w kraju, ponieważ okoliczności osłabiały wolę gabinetu i siały dezorientację w bocznych uliczkach rządu. Obaj wiedzieli, że trzeba doprowadzić rzecz do końca – tylko

jak? Ci synowie Birmingham i Blenheim byli członkami tego samego rządu, ale pochodzili z dwóch zupełnie innych światów.

Właśnie skończyło się posiedzenie Rady Ministrów. Drażliwa sprawa. Chamberlaina dopadła podagra i przy każdym kroku odczuwał dotkliwy ból. Był zmuszony skorzystać z windy dla służby, żeby zjechać ze swojego pokoju na poddaszu, a dwaj policjanci pełniący służbę pod numerem dziesięć zanieśli go do gabinetu i posadzili w fotelu jak szmacianą lalkę. Po tym zdarzeniu premier hojnie obdzielał wszystkich swoim niesławnym brakiem cierpliwości do kolegów, nie przejawiając żadnych widocznych oznak przychylności, a oni nie mogli się chyba doczekać, kiedy pozbierają swoje papiery i pobiegną zajmować się innymi sprawami. Raczej nie była to odpowiednia chwila, żeby zapraszać premiera na kolację, ale właśnie to zrobił Churchill. W ciągu tych wszystkich lat, gdy służyli razem w parlamencie, ani razu nie przełamali się chlebem i nie dzielili się niczym oprócz interesów, więc żaden z nich nie mógł potraktować zaproszenia Churchilla inaczej niż jako propozycji pokoju.

– Oczywiście jeśli czuje się pan na siłach, premierze – dodał Churchill, być może nieopatrznie.

W stalowych oczach Chamberlaina pojawił się błysk – bólu czy poirytowania? – i premier mruknął, że się zgadza. Chyba nie mógł odmówić.

Spotkali się zatem w apartamencie Churchilla w budynku Admiralicji, on z Clemmie i Chamberlain – wciąż ciężko oparty na lasce – ze swoją znacznie młodszą żoną Annie, która była równie towarzyska, co on sztywny. To Annie regularnie wydawała przy Downing Street przyjęcia dla elit przez trzy wieczory z rzędu, by zaoszczędzić na kwiatach i wypożyczonej zastawie, i zachęcała

wszystkich do przechadzania się między salami recepcyjnymi, żeby zwiększyć towarzyską atrakcyjność spotkania oraz uniknąć niepotrzebnego obciążania słabej podłogi. Gdy jednak kuchnia i podłoga skrzypiały, przeżywając obłędzenie, Chamberlain siedział w swoim gabinecie i pracował. Poważny człowiek. Nie nadawał się do pogawędek, jakich oczekuje się na takich spotkaniach towarzyskich, a z powodu podagry jeszcze bardziej nie nadawał się do picia. Odmówił whisky, którą Churchill chciał go poczęstować.

– Ach, dwadzieścia lat służby ramię w ramię w wielkiej izbie parlamentu, Neville’u, a jeszcze nigdy nie jedliśmy razem kolacji. Jakie to niemądre z naszej strony, że pozwoliliśmy, by upłynęło aż tyle czasu – emocjonował się Churchill, prowadząc Chamberlaina na jego miejsce przy stole.

Chamberlain powstrzymał się od przypomnienia Churchillowi, że przez większość tych dwudziestu lat nie tyle służyli ramię w ramię, ile skakali sobie do oczu. Usiadł i od razu sięgnął po łyżkę do zupy.

Właśnie podczas jedzenia zupy przeszkodził im zarumieniony porucznik, który przybiegł z pokoju narad na dole.

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, panie i panowie, ale chciałbym przekazać najnowsze informacje wywiadowcze. – Przez chwilę chyba nie był pewny, komu powinien wyjawić wieści: pierwszemu lordowi czy premierowi. Nie umiejąc rozstrzygnąć dylematu związanego z etykietą, utkwiał spojrzenie w zasłonach zaciemniających i żwawo zasalutował. – Czterdzieści minut temu zatopiono U-Boota niedaleko zachodniego wybrzeża Irlandii.

– Na pańską cześć, premierze! – zawołał Churchill, zrywając się z miejsca. Miał wilgotne oczy. – Mój drogi Neville’u, jestem głęboko poruszony. Ty i ja... nie zawsze mówiliśmy jednym głosem, ale różnice,

które nas dzieliły, nie mają znaczenia w obliczu ogromnego zadania, przed którym teraz stoimy. – Do oczu Churchilla napłynęło jeszcze więcej łez. – I muszę ci powiedzieć, że pełniąc służbę, nigdy nie czułem się bardziej zaszczycony niż dzisiaj, gdy służę w twoim rządzie.

Chamberlain przyjął te słowa skinieniem głowy, w głębi serca zażenowany tak niemęskim okazywaniem emocji, a Churchill natychmiast rzucił się w wir działania. Zaczął kroczyć po pokoju, domagał się szczegółów od oficera, podyktował wiadomości z gratulacjami, napełnił kieliszki i wznosił toast za Królewską Marynarkę Wojenną, nie zważając na to, że premier pije tylko wodę.

– Jacyś jeńcy, poruczniku?

– Brak doniesień, by ktokolwiek przeżył, sir.

– Ojej – bąknęła żona premiera w chusteczkę.

– Ach, tak to bywa na morzu, moja droga pani Chamberlain, jest nękanie burzami, nieprzewidywalne...

– Przekonałem się o tym na własnej skórze. – Chamberlain wszedł mu w słowo, bojąc się, że Churchill zamierza wygłosić panegiryk, który poprowadzi go przez liczne odyseje i potrwa aż do deseru.

– Naprawdę, Neville'u? Myślałem, że jesteś z Birmingham, że tam się urodziłeś i wychowałeś.

Chamberlain nigdy nie należał do zbyt wylewnych ludzi, gdy chodziło o życie prywatne, lecz tym razem postanowił zrobić wyjątek – w końcu była to okazja, żeby posłuchać kogoś innego niż Churchill. Chrząknął.

– Sizal – powiedział śmiało.

Odniosło to zamierzony skutek. Churchill nadal milczał, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Chamberlain skorzystał z okazji.

- Gdy byłem młody, miałem niespełna dwadzieścia lat, mój ojciec ubzdurał sobie, że powinniśmy zbić majątek na sizalu. W Indiach Zachodnich. Ułożył wspaniały plan. Znalazł wyspę oddaloną od Nassau o jakieś czterdzieści mil, prawie niezamieszkaną, uznał, że będzie idealna. Wiesz, że mój ojciec zawsze był człowiekiem Imperium. Uparł się, że to powinien być rodzinny interes, ale mój brat Austen zasiadał już w parlamencie, więc... zadanie przypadło mnie, młodszemu synowi. Wyruszyłem zatem. To miejsce nazywało się Andros. Zbudowałem port, a nawet małą linię kolejową, żeby przewozić sizal, który byśmy wyprodukowali. Przez następne pięć lat stałem z nagim torsem po kolana w najróżniejszym łajnie, walcząc z huraganami, bryzgającymi falami, dyzenterią, moskitami i udarem słonecznym – oraz oczywiście z miejscowymi robotnikami. Zawsze nazywałem ich wyzyskiwaczami. Sam o mało nie zostałem tubylcem, przez większość czasu chodziłem półnagi, myłem się w morzu. Odcięty od cywilizacji. Pewnego razu, gdy łódź z zaopatrzeniem spóźniała się z powodu sztormów, przez tydzień żywiliśmy się kokosami i rybami, a kiedy łódź wreszcie przybiła, w ciągu jednego weekendu wypiliśmy miesięczny zapas piwa. To było ciężkie życie, ale zarazem wspaniałe. Walka z żywiołami. To zrobiło ze mnie mężczyznę.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Była to najdłuższa wypowiedź na temat prywatnego życia, jaką Churchill kiedykolwiek słyszał z ust premiera, i wcale nie miał ochoty mu przeszkadzać, chciał słuchać dalej. Chamberlain podniósł brodę i zatrzepotał powiekami, wpatrując się w obrazy z dalekiej przeszłości, jeszcze raz przeżywając ten sen. Nie powiedział jednak nic więcej, dopóki Churchill go nie zachęcił.

- Pięć lat – szepnął z podziwem.

– Wykonywałem swoje obowiązki.

– I tak jest do dzisiaj. Ale co było dalej, Neville'u? Powiedz nam, proszę.

– Ach, oczywiście chciałbyś poznać zakończenie. Morze wygrało, rzecz jasna. Ostatecznie morze zawsze wygrywa. Pewnego dnia rozpętał się potworny sztorm, który zmiotł połowę upraw oraz dwóch młodych tubylców i o mały włos nie zabrał mnie razem z nimi. Reszta plantacji poszła na zmarnowanie, podobnie jak robotnicy. Nie chcieli dłużej pracować, nawet gdy groziłem im chłostą. – Prychnął. – Oczywiście mieli rację. To nie było miejsce dla sizalu, a tym bardziej dla białego człowieka. Wiecznie odcięte przez morze. Powinienem był to zrozumieć, kiedy tylko zobaczyłem, że nikt tam nie mieszka. W każdym razie wróciłem do Anglii, stałem się z ojcem – wierzcie mi, nie był zachwycony. Krzyczał, że zmarnowałem pięćdziesiąt tysięcy funtów. I pięć lat swojego życia, przypomniałem mu. Nie, one nie poszły na marne, odrzekł, człowiek uczy się na swoich błędach. Dzięki temu przestają one być błędami.

– Wiem, co miał na myśli – mruknął cicho Churchill.

– No więc zamiast pionierem... zostałem premierem. – Chamberlain uśmiechnął się, udając skromność, a panie życzliwie się roześmiały.

– Jakie to inspirujące – ryknął Churchill, uderzając ręką w stół i rozlewając wino. Nie zwrócił na to uwagi, podczas jedzenia był haniebnie niechlujny.

– No cóż, tobie też nie najgorzej się powiodło, Winstonie. W innych okolicznościach to ty mógłbyś zostać premierem. Popełniłeś za mało błędów, na których mogłeś się uczyć, na tym polega twój problem.

Clementine zakrztusiła się winem, ale Churchill nawet nie zauważył zniewagi. Podobnie jak Chamberlain, który wcale nie zamierzał go obrazić.

– Nie, Neville’u, mówię o tym życiu na morzu. Gdy byłeś odcięty od świata. Jakie to inspirujące. Dzięki tobie chyba po raz pierwszy widzę światelko w tunelu.

– W związku z czym?

– W związku z wojną. W związku z pokonaniem Niemców! – Odsunął talerz na bok i mimo najsurowszego ze spojrzeń Clemmie zaczął zanurzać palce w kieliszku najwyborniejszego burgunda, żeby narysować na lnianym obrusie prostą mapkę. – W związku z Norwegią! – oznajmił z dumą.

Chamberlain wyglądał jak rażony piorunem, prawie jakby dostał udaru. Osobą, która wyartykułowała myśli ich obojga, była jego żona.

– Nie rozumiem, panie Churchill.

Potraktował to jak sygnał i zaczął się jego występ.

– Ta plama tutaj – wskazał nieładny ślad na krawędzi obrusa – to Niemcy, a to – chwycił solniczkę i z hukiem postawił ją na swojej mapie – to szwedzkie kopalnie rudy żelaza w Gälliware i Kirunie. Teraz mają ogromne znaczenie dla niemieckich działań, hitlerowska machina wojenna właśnie tam pozyskuje prawie dziewięć z dziesięciu części swojej rudy żelaza. A zatem... – Jego prawa ręka mocno uderzyła w stół. – To jest Morze Bałtyckie, a to – lewa ręka spadła w ślad za nią, rozsypując większość zawartości solniczki – Ocean Atlantycki. Latem ruda żelaza dla Niemiec płynie przez Bałtyk, ale w czasie zimy na blisko pięć miesięcy Bałtyk zamarza na kość. Wtedy rudę trzeba transportować przez norweski port Narwik na Atlantyku. I płynie się z nią na południe, dopóki nie wpadnie do paszczy Hitlera.

Twarz Churchilla rozpromieniła się z dumy, jakby właśnie rozwikłał tajemnice atomu.

– Ale nadal nie jestem pewna... – zaczęła nieśmiało Annie Chamberlain.

– Moja marynarka wojenna kontroluje północny Atlantyk. Jeśli zdołamy wypchnąć statki wiozące rudę żelaza z przybrzeżnych szlaków morskich na otwarte wody, będziemy mogli posłać je na dno, a wraz z nimi zatoną wszelkie nadzieje Hitlera na zwycięstwo w tej wojnie!

– Ale jak sobie to wyobrażasz? Jak mamy wypchnąć z norweskich wód statki z rudą żelaza? – spytał Chamberlain.

– Zaminujemy je! Rozkażę minowcom marynarki wojennej obsiać przybrzeżne wody, jakby to była wiosna w Suffolk.

– Ale... Ale... – Dolna warga Chamberlaina zaczęła drżeć ze zdumienia. – Norwegia jest neutralna. To byłby akt wojny.

– Akt przetrwania! Gdybyśmy przeprowadzili to jak należy, Hitler wytrzymałby najwyżej dwa miesiące... góra trzy.

– Pierwszy lordzie, chyba muszę ci przypomnieć, że poszliśmy na wojnę, żeby chronić integralność neutralnych państw.

– A ja odważę się zasugerować, premierze, że wypełnimy to zadanie, jedynie wygrywając wojnę.

Przeszli w tryb oficjalny, ćwicząc argumenty, które, jak wiedzieli, w końcu wybuchną nad stołem w gabinecie.

– Królowa Norwegii jest ciotką naszego króla – zaprotestował Chamberlain.

– I właśnie dlatego to rozumieją. A nawet nas poprą.

– Podsumujmy – nie dawał za wygraną Chamberlain, odsuwając deser. – Oczekujesz, że Norwegowie poprą niezapowiedziany atak na

swój kraj?

– To kwestia dyplomacji. Mamy ministra spraw zagranicznych, niech się weźmie do pracy! A chwała zwycięstwa, które możemy odnieść na wiosnę... To będzie zwycięstwo zainspirowane historią, którą nam dzisiaj opowiedziałeś.

Pani Churchill wiedziała, że to ostatnie to bzdury. Po południu słyszała, jak Winston ćwiczył te argumenty podczas kąpieli. Przypuszczała, że cały wieczór został podporządkowany wyłącznie temu celowi, ale jej rozmyślania przerwał drugi oficer, tym razem komandor porucznik, który przyszedł przekazać wieść o zatopieniu następnego U-Boota.

– To znak, to znak – oświadczył Churchill, wstając, żeby wykonać mały taniec radości, i upierając się, by wznieść kolejny toast. Czasami zachowywał się jak uczeń. Chamberlain nie dołączył do toastu. Nie zamierzał dać się zmusić do zgubnego zignorowania swojej podagry mężczyźnie będącemu jedynie najnowszym członkiem jego rządu, a tym bardziej do rozpoczęcia zainspirowanej przez niego wojny na pełną skalę.

– Gdybyśmy zaatakowali Norwegię, konsekwencje mogłyby być nieprzewidywalne – oznajmił Chamberlain, wracając do swoich argumentów.

– A jeśli nie przypuścimy takiego ataku, co do konsekwencji nie będzie żadnych wątpliwości. Hitler zdobędzie całą rudę żelaza, jakiej potrzebuje jego machina wojenna, a później z pełną mocą wykorzysta ją przeciwko nam.

– Nie potrzebujemy wojny totalnej, żeby pokonać Hitlera. Przecież Niemcy nie wytrzymają nie wiadomo jak długo. Rudą żelaza nie

można się najeść. Z Polski już teraz docierają doniesienia o głodujących ludziach.

- Głodują Żydzi, Neville'u, nikt więcej. A jeśli Hitlerowi kiedykolwiek czegoś zabraknie, zrobi to co zwykle. Napadnie na kolejny kraj.

- Być może. - Chamberlain położył serwetkę na stole, składając ją starannie, żeby pokazać, iż wieczór dobiegł końca. Churchill nadal miał swoją zatkniętą za kołnierzyk. - Skoro tak cię to... - Chamberlain drapał się po spodniach, szukając odpowiedniego słowa - ... zainspirowało, bez wątpienia chciałbyś to gruntownie przemyśleć.

Miało to sugerować, że pomysł nie spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem.

- Spodziewam się, że cały gabinet gruntownie to przemyśli, premierze - warknął wyzywająco Churchill. - Niezwłocznie roześlę dokumenty.

- Skoro nalegasz.

- Nalegam... - Nagle tupet Churchilla jakby go zawiódł, albo może pierwszy lord zdał sobie sprawę, że wieczór nie przebiega zgodnie z jego planem, że nigdy nie było szans na zwabienie Chamberlaina na pokład, że trzeba wybrać dłuższą drogę. Całe jego życie wydawało się serią takich dłuższych dróg. - Nalegam jedynie, żebyście ty i twoja uroczą żona niebawem znów nas odwiedzili, Neville'u. Wspaniale było was gościć.

Nastąpiła wymiana uprzejmości poprzedzających pożegnanie, a gdy Churchill pomagał Chamberlainowi i jego żonie włożyć płaszcze, po raz trzeci przeszkodził im oficer nadbiegający z pokoju narad.

- Tym razem przysłali nam komandora! - zawołał Churchill. - To pewny znak, że usłyszymy dobre wieści. Zauważyłem, że gdy

doniesienia są trudne do przełknięcia, przysyłają najwyżej aspiranta z odręcznie napisaną notatką.

– Chciałbym zameldować, że zatopiliśmy trzeciego U-Bootu tego wieczoru – odezwał się komandor. – Przyłapaliśmy go na powierzchni kawałek na północ od Wielkiej Brytanii. Pomyślałem, że chcieliby panowie wiedzieć.

– To naprawdę niebywałe! Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby coś takiego wydarzyło się w ciągu jednego dnia. Królewska Marynarka Wojenna oddaje panu cześć, premierze. – Churchill powiedział to z typowym dla siebie entuzjazmem, choć wiedział, że tego wieczoru na premiera nie działają ani pochlebstwa, ani alkohol.

– Jest pan pewny, że pan tego nie ukartował, panie Churchill, specjalnie z myślą o nas? – odważyła się spytać pani Chamberlain z fałszywą skromnością, wykazując wyjątkową dla siebie przenikliwość.

– Szanowna pani, jeśli uczyni mi pani zaszczyt i codziennie będzie przyprowadzała tu męża na kolację, śmiem twierdzić, że wojna dobiegnie końca w ciągu kilku tygodni. On przynosi mi szczęście.

Na temat tego, co przynosił mu jego pierwszy lord, Chamberlain postanowił na razie się nie wypowiadać. Zmagania z podagrą wystarczały mu aż nadto.

Ruszyli zatem w noc, dwaj starzy mężczyźni, jeden syn Birmingham, drugi potomek pałacu Blenheim, pochodzący z różnych miejsc i nadal kroczący innymi drogami. Pierwszy poszedł do domu. Drugi oczyma duszy był już w Norwegii.

– Jego marynarka wojenna. Nazwał ją swoją marynarką, Horace. Niech mnie szlag, jeśli się przestyszałem.

– Tę wojnę też uważa za swoją.

– Najpierw chce najechać na Irlandię. Teraz na pieprzoną Norwegię.

– Wojna za wszelką cenę.

– On chyba czerpie pomysły z komiksów.

– Nie jest dżentelmenem.

– Myślałem, że w Admiralicji będziemy go mieli pod kontrolą. Że zajmie się jakimiś dalekimi zakątkami. Jakąś drugorzędną wojną.

– Zamiast tego mamy pierwszorzędnego głupca.

– Ale nie pozwolę mu wszystkiego zniszczyć, Horace. W Dardanelach uśmiercił wystarczająco dużo porządnych Anglików. Zniszczyłby pół Anglii, próbując zaspokoić własną próżność.

– A drugą połowę sprzedałby temu, kto zaproponowałby najwyższą cenę.

– Nie pozwolę na to, Horace, nie pozwolę Winstonowi grać w te jego wojenne gierki. Mogę ci coś przyrzec.

– Co takiego, Neville'u?

– Przysięgam ci, że pošlę pierwszego lorda na dno. Na długo, zanim zdoła zatopić choćby jeden niemiecki statek z rudą żelaza. Poślę go na dno, zanim on pošle na dno nas wszystkich.

⁵ Pall-mall – dawna nazwa krowi.

⁶ Deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych, w: Encyklopedia historii Stanów Zjednoczonych Ameryki, red. A. Bartnicki, K. Michałek, I. Rusinowa, Warszawa 1992, s. 67–68.

Rozdział szesnasty

Listopad–grudzień 1979

Wojna ma wiele odcieni.

Pod koniec listopada przez londyński West End przejechała w czasie zaciemnienia czarna taksówka. Zostawiła za sobą kilka bomb kwasowych i cztery z nich wybuchły na Piccadilly Circus oraz w najbliższej okolicy. Winą obarczono IRA. Nikt nie ucierpiał.

W ten sam weekend w zakazanym mieście zwanym Pragą po wielu dniach niepokojów społecznych niemieckie siły bezpieczeństwa zrobiły nalot na domy i sale sypialne „intelektualistów”, a tak naprawdę uczniów szkół średnich i studentów. Niektórych zabito podczas próby ucieczki, resztę wywleczono z łóżek i tysiącami zawieziono do koszar w Ruzynie oraz na stadion Sparty. Polano ich zimną wodą i trzymano na zewnątrz aż do wieczora. Potem stu dwudziestu czterech uczniów i studentów przepędzono przed pozostałymi i rozstrzelano.

W okupowanej Polsce aresztowano i wywieziono do Dachau prezydenta Warszawy. Trzysta tysięcy polskich więźniów przetransportowano już do obozów pracy. Niemieckie władze ogłosiły: „Polak jest tu sługą i ma wyłącznie służyć. Należy wymagać ślepego posłuszeństwa i bezwzględnego wypełniania rozkazów. Nie dopuszcza się żadnych sentymentów, wyjątków ani względów, nawet dla konkretnych Polaków, których znamy i szanujemy. Musimy

wstrzyknąć w swoje kręgosłupy dawkę żelaza i nie dopuszczać myśli, że Polska mogłaby kiedykolwiek znowu powstać”.

Hans Frank, generalny gubernator okupowanej Polski, ogłosił, że „wszyscy Żydzi mający więcej niż dwanaście lat muszą nieustannie, pod groźbą surowych kar, nosić na ręce opaskę z gwiazdą Dawida, ilekroć wychodzą z domów”.

Zaczęło się.

U wybrzeży Islandii przekształcony statek wycieczkowy P&O „Rawalpindi” natknął się na dwa krążowniki opancerzone „Scharnhorst” i „Gneisenau”. „Rawalpindi” miał cztery przestarzałe sześciocalowe działa, a Niemcy olbrzymią gamę uzbrojenia, w tym sześć jedenastocalowców. „Rawalpindi” starał się jak cholera, lecz przypominało to próbę zatrzymania pociągu ekspresowego za pomocą rurki do strzelania ziarnami grochu. Niebawem wszystkie jego działa zmieniły się w poskręcany metal, a cały kadłub stanął w ogniu. Mimo to kontynuował atak, usiłując zmiażdżyć wroga ostatkiem sił. Zatonął w płomieniach. Przeżyło zaledwie trzydziestu ośmiu członków załogi.

Po drugiej stronie Bałtyku Rosjanie wykonywali coraz groźniejsze gesty w stronę swojego maleńkiego sąsiada – Finlandii. Sowiecka propaganda oskarżała Finów o okropne zbrodnie przeciwko Rosjanom i o plany zaatakowania samej Rosji. Niepokojąco przypominało to oskarżenia wysuwane przez władze Niemiec przed wkroczeniem Wehrmachtu do Polski.

A sami Niemcy hojnie obsiewali wody minami, zatapiając wiele statków, nie tylko brytyjskich, lecz także należących do państw neutralnych. To właśnie na tym zagrożeniu postanowił skupić się Chamberlain w pierwszym orędziu radiowym, które skierował do narodu, odkąd wypowiedział Niemcom wojnę. Przemówił w sobotę,

typowym dla siebie afektowanym, piskliwym głosem. Zaczął od grzęzawiska komunałów.

Do tej pory wojna toczyła się w sposób bardzo odmienny od tego, czego się spodziewaliśmy. Nie powinniśmy przypisywać niechęci Niemców do rozpoczęcia wielkiej ofensywy lądowej i do przypuszczenia serii zmasowanych ataków z powietrza na nasz kraj ich humanitarności. Mamy mnóstwo dowodów świadczących o tym, że żadne względy człowieczeństwa nie zniechęcą ich do jakichkolwiek form działań wojennych mogących ich zdaniem zapewnić im jakąś korzyść. Widocznie zatem doszli do wniosku, że w obecnej sytuacji poprzez takie ataki więcej by stracili, niż zyskali, i wolą metody, które ich zdaniem można stosować, nie narażając się na poważne straty.

Dopiero potem komunały ustąpiły miejsca pasji.

Najnowszą z tych metod – jak wszyscy wiecie – jest masowe obsiewanie naszych wód minami nowego rodzaju. Niemców nie obchodzi, że te działania są sprzeczne z porozumieniami międzynarodowymi, pod którymi się podpisali. W ogóle ich nie obchodzi, że codziennie wysadzają w powietrze zarówno statki neutralne, jak i brytyjskie, topiąc albo okaleczając obywateli państw, z którymi nie toczą wojny. Liczą na to, że dzięki tej barbarzyńskiej broni odetną nasze zamorskie dostawy, zmuszając nas do uległości uciskiem albo głodem. Nie obawiajcie się, to im się nie uda.

W czasach wyzwania i poświęceń tylko najbardziej zatwardziałym cynikom mogłoby przyjść do głowy, że słowa premiera były wymierzone przeciwko komuś innemu niż Niemcy. Pod koniec audycji widziano jednak, jak sir Horace Wilson z szerokim uśmiechem

wymienia z Chamberlainem prywatne słowa zadowolenia. A w dniu, w którym Churchill przedstawił kolegom z gabinetu swój dokument w sprawie Norwegii, otrzymali oni także kopie przemówienia premiera. Nikt nie był do końca pewny, kto je dostarczył, lecz część dotyczącą min morskich i neutralnych państw podkreślono na czerwono.

– Świetne, świetne przemówienie, Ianie... Niech Bóg mu błogosławi. Szkoda, że zabrakło korony. Nie jestem pewny, czy dobrze zrobił, zamieniając ją na marynarski mundur. Wiesz, nawet królowie powinni dbać o pozory.

– Prosto. Rzekłbym: surowo. Całkiem adekwatnie do uroczystego otwarcia sesji parlamentu w czasie wojny.

– I na szczęście krótko. Gdyby zaczął się jąkać, spędzilibyśmy tam cały dzień.

– Spokojnie, Dickie. Pozory i tak dalej...

– Pogódź się z tym, Ianie. Trudno go uznać za najtłustszego koguta w zagrodzie Windsoru. – Dickie wzruszył ramionami. – To nie jego wina, nie jest do tego stworzony. Co poradzi, że ma brata zdrajcę.

– Dickie, proszę cię! – Przestraszony Ian rozejrzał się po jadalni Izby Gmin, bojąc się, że ktoś mógł ich usłyszeć.

– Przecież to prawda. Jak myślisz, dlaczego odesłali Windsora do Francji?

– Żeby... mu pomóc, jak przypuszczam.

– Żeby usunąć go z drogi. Żeby usunąć z drogi ją. Widocznie mówi jej o wszystkim, a ona to powtarza. Fryzjerowi, krawcowi, manikiurzystce i każdemu, kto ich zaprosi na darmową kolację.

– Nie mówisz poważnie.

- Słuchaj, stary, oni nie mają skrupułów. Zawsze ci to powtarzałem. Więc kiedy wybuchła wojna, a on mówi, że wraca ze zsyłki we Francji, wszyscy wpadają w panikę. Nie chcą po niego wysłać samolotu, mają nadzieję, że po prostu zgnije w jakimś francuskim burdelu albo zabłądzi gdzieś po drodze. Aż tu nagle przekłety Winston wysłał niszczyciela, żeby odebrał go z Cherbourg! No więc księżę wraca i jak zwykle traktują go z rezerwą. Królowa Maria nie chce się z nim widzieć, z własnym synem. Wyobraź sobie. Może to ich ostatnia szansa na spotkanie, a ona nie chce go widzieć. Jest nieprzejednana. Zresztą nie udostępniają im samochodu, nikt nie dyga przed jego żalostną żoną i nie mają się gdzie zatrzymać. Nawet Chamberlain ciągle go zbywa, czekając, aż inni zadecydują, co robić, a Winston – ciągle ten przekłety Winston, prawda? – zaprasza go na lunch połączony ze zwiedzaniem żalostnego pokoju narad Admiralicji. Jest tam cały ten kram, no wiesz, ściśle tajne mapy, wszystkie pozycje floty. Może sobie patrzeć do woli.

- Ależ Dickie, księżę jest admirałem floty.

- Tak, a do tego feldmarszałkiem i tak dalej. Właśnie na tym polega pieprzony problem. Zdają sobie sprawę, że muszą mu znaleźć jakieś zajęcie, byleby jak najdalej od Londynu. No więc kazali staremu Troll-Belishy odesłać go do Francji, żeby lepił babki z błota, i zdegradować go do rangi generała brygady. Nieźle wybrnęli z sytuacji, zmuszając do tego starego Eliszę. Najpospolitszego człowieczka w gabinecie. Ianie, jeśli system kiedykolwiek zapragnie mnie wyrzucić, chcę, żeby zrobił to jak należy – peruki, togi, gronostaje i cały ten przekłety majdan. Ale pluton egzekucyjny w postaci jednego małego pospolitego Żyda?

Nastąpiła chwila ciszy, podczas której kontemplowali przyszłe zmienne koleje losu.

- Nadzwyczaj wyborny burgund, Dickie.
- Romanée-saint-vivant '65. Lepszego nie znajdziesz.
- Nie wiedziałem, że Komisję do spraw Wina na to stać.

- Nie stać. To mój prywatny zapasik. Zamieniłem słowo z porządkowym i spytałem, czy nie znalazłby dla mnie jakiegoś kątko w piwnicy, gdzie mógłbym przechować to, co najlepsze. Nie mogę tego trzymać w piwnicy w domu, nie jest dość głęboka, a niech mnie szlag, jeśli zostawię to przekłętemu Adolfowi. No więc pomyślałem, że możemy uczcić rozpoczęcie nowej sesji parlamentu od drobnej przyjemności. W końcu możliwe, że to ostatni parlament, w którym zasiadamy.

- Myślisz, że jest aż tak źle?
- Gorzej. Słyszałeś drugą dzisiejszą wiadomość?

Zdziwione spojrzenie.

- Rosjanie. Wypowiedzieli traktat o neutralności podpisany z Finlandią. A przecież wiesz, co to oznacza.

- Chryste. - Przeciągle, gwałtownie zakończone westchnienie. - Podaj no tę cholerną butelkę.

Rosjanie najechali na Finlandię ostatniego dnia listopada. Rosja przestała być zagadką owiniętą w tajemnicę i schowaną w enigmatyce. Była wygłodniałym, pazernym, podłym i powszechnie znienawidzonym mocarstwem, które dręczy sąsiadów i nie ma żadnych wspólnych interesów z Anglią i Francją, bez względu na to, co powiedział Churchill. Jak oznajmił Dickie w palarni, głosem mającym dotrzeć do najdalszych zakamarków, nie było absolutnie nic enigmatycznego w kolejnym przekłętym blitzkriegu.

Burgess się zakrztusił. Każdy ruch sprawiał mu ból. Pił od tygodnia, dniami i nocami, nie pamiętał nawet, kiedy po raz ostatni

był w domu. Tłumiło to doznania fizyczne, ale wewnątrz nękał go ból udręki i upokorzenia. Czuł się tak, jakby Józek Stalin i cała Armia Czerwona deptali mu duszę. Najpierw Polska, teraz Finlandia. Rosyjskie czołgi znowu toczyły wojnę z dziecięcymi wózkami.

Nie rozumiał dlaczego, więc się upijał. Nie miał odwagi iść do Reform Club ani do Garricka, mimo ich luźnego podejścia do obowiązujących tam zasad, bo od tygodnia spał w tym samym garniturze. Poza tym padał deszcz, deszcz, od którego mokła nawet dusza, zacinający od wielu dni, jakby sam Bóg dołączył do tej niedoli. W końcu dotarł do klubu Mandrake w piwnicy przy Dean Street, swojej kryjówki w Soho, z której wyrzucano tylko tych, co wymiotowali na innych, ale szybko zaczął mieć dość pisarzy i intelektualistów rozprawiających o wojnie, sumieniu i ofierze – jakby, do diabła, mieli o tym jakiegokolwiek pojęcie. Mózgojebcy. Nic dziwnego, że w każdej porządnej rewolucji ginęli jako pierwsi. Naubliżał zatem wszystkim i powlókł się do pubu w Covent Garden, skąd wyrzucono go już po jednej whisky, i w końcu powoli dotarł nad rzekę. Spojrzał na jej wzburzoną toń, gdzie przyływ toczył walkę ze sztormowymi wodami pędzącymi w dół rzeki, i chyba dostrzegł w tym widoku coś, co przypominało jego duszę. Zapragnął podejść bliżej. Wspiął się więc na Hungerford Bridge, przejście dla pieszych sąsiadujące z linią kolejową do Charing Cross. Nie myślał o samobójstwie – prawdę mówiąc, nie myślał o niczym – ale w takim nastroju mógł się rzucić z mostu choćby po to, żeby poczuć, jak to jest. Spadać. Tonąć. Całkiem jak w życiu.

Na chwilę przestało padać, lecz mknące po niebie chmury wskazywały, że to jedynie przejściowe wytchnienie. Był sam na środku długiego, wąskiego mostu, połknięty przez noc. Sięgnął do kieszeni po

papierosa, ale znalazł jedynie rozmięktą laskę tytoniu, która nie chciała się zapalić i szybko pękła na pół. Może jednak się zabije.

– A ty spierdalaj – mruknął, uświadamiając sobie nagle, że dołączył do niego ktoś nieznajomy, że jakiś obcy człowiek wtargnął do jego prywatnej nędzy. Odwrócił się i ujrzał policjanta.

Reakcje niektórych homoseksualistów mają w sobie coś niezwykle instynktownego, jakiś mechanizm spustowy, który zaskakuje w środku, gdy się zobaczą, porozumienie niewymagające słów ani kontaktu innego niż spojrzenie. Burgess pomyślał, że policjant rzucił mu takie właśnie spojrzenie. Był stanowczo zbyt pijany, żeby móc ufać instynktom, lecz z drugiej strony był też stanowczo zbyt pijany, żeby się tym przejmować. Skoro miał skoczyć i utonąć, może powinien to zrobić w asyście kutasa jakiegoś zupełnie obcego mężczyzny. Tego mężczyzny. Do diabła, jeśli źle to rozegra, zawsze będzie mógł jednak rzucić się z mostu. Na dół... no tak, rzucić się na dół. Może właśnie szykował się do popełnienia największego w swoim życiu błędu w ocenie. Wiedział, że w ciągu dwudziestu minut mógł znaleźć się w areszcie i nie wyszedłby z więzienia przez najbliższe dziesięć lat, ale z jakiegoś powodu nie miało to znaczenia. Było to swego rodzaju rozwiązanie, wiele by uprościło. Skończyłby się ból. Nagle policjant stał się aniołem stróżem Burgessa, kimś, kto uwolni go od tych wszystkich niemożliwych do podjęcia decyzji i znajdzie takie czy inne rozwiązanie – Burgessa w zasadzie nie obchodziło jakie.

Nim upłynęło trzydzieści sekund od chwili, w której kazał policjantowi spierdalać, Burgess już klęczał i szarpał tego mężczyznę za spodnie, ryzykując życie. Dwie minuty później było po wszystkim.

Wiedzieli, że nigdy więcej się nie spotkają – w każdym razie nie w takich okolicznościach. Policjant zapiął rozporek, poprawił bluzę.

Potem kopnął Burgessa w brzuch, tylko raz, ale brutalnie, i Burgess pomyślał, że nigdy więcej nie będzie w stanie oddychać.

– Pewnego dnia ktoś ci rozwali ten twój głupi łeb – mruknął policjant i odszedł, znikając w ciemności i zostawiając Burgessa uczeplonego barierki.

Gdy kroki policjanta ucichły w oddali, Burgessa przepęłnił wstręt do samego siebie. Był pijany, płaszczył się na kolanach w śmierdzącej kałuży, nie miał dokąd pójść i nie do końca wiedział, gdzie jest. Był człowiekiem, który z pogardą spoglądał na resztę ludzkości, szydził z jej wartości, a mimo to właśnie sprowadził wartość swojego życia do mokroustych macanek w ciemności. Zawsze uważał się za człowieka mogącego pomóc w przemianie tego chorego, żalosego świata, lecz teraz nie potrafił pomóc nawet samemu sobie – a przy okazji chyba narobił w spodnie, choć nawet tego nie był pewny. Wzbierała w nim odraza, zginająca jego ciało wół, jakby usiłował uciec od samego siebie. Nagle zaczął wymiotować do rzeki.

Dopiero znacznie później zdołał podźwignąć się na nogi i powlec do domu.

Były to pierwsze dni najgorszej zimy od wieków, podczas której bogowie lodu zaatakowali na wszystkich frontach. Zwrotnice się zacierały, olej napędowy krzepł, węgla brakowało, a rury z wodą zamarzały i pękały, wpędzając w rozpacz miliony ludzi. Nikt jednak nie powinien był tego zauważyć, ponieważ prognozy pogody poddawano najsurowszej cenzurze. Lód był wrogiem, którego, podobnie jak nazistów, należało ignorować. Wielka Brytania spowiła się niedolą, mrozem i ciemnością. Śmiertelność na drogach osiągnęła zawrotny poziom blisko tysiąca osób miesięcznie, a bezrobotnych nadal było w sumie blisko półtora miliona.

Przedsiębiorstwa, którym zaszkoziła wojna, zamykały się albo rozpaczliwie apelowały o pomoc. Hotel Orchard w Marble Arch reklamował się hasłem: „Hitler nie może zatopić tego statku ani zwolnić załogi. Przybywajcie! Warunki korzystne dla wszystkich kulturalnych ludzi”. Wiekowe matrony szukały pomocy domowych za pośrednictwem ogłoszeń drobnych – poszukiwana gosposia, niezbędne dobre referencje, najwyżej czterdzieści pięć lat, narodowość dowolna, byle nie niemiecka... Wszystko było na sprzedaż albo na wymianę, nie tylko pianina.

Reglamentacja zaczynała dawać się we znaki – mięso, szynka, bekon, cukier, benzyna... Lecz ograniczenia w dostawach prądu i gazu chwilowo zniesiono, by można było walczyć z zimą. Po prostu podniesiono cenę.

Nie był to chyba odpowiedni czas, by publikować nowe zdjęcia starannie upozowanej królowej zrobione przez pana Cecila Beatona, który uwiecznił ją wśród marmurowych kolumn, sof obitych jedwabiem oraz połyskliwych żyrandoli pałacu Buckingham, olśniewającą w „złotej sukni wyszywanej perłami i brylantami”, jak donosił „The Times”. Ogłoszono, że królowa jest „pełna nadziei”. Należało raczej zasugerować, że przynajmniej cierpi razem ze swoimi poddanymi.

Po stu dniach wojny Wielka Brytania jakby straciła wolę walki. Pogoda uziemiła większość RAF-u, Brytyjski Korpus Ekspedycyjny we Francji toczył bitwę uzbrojony w łopaty na polach zamrzniętych na kamień. Jedynie Królewska Marynarka Wojenna wydawała się skora do kontynuowania wojny na odległych szarych wodach z dala od wybrzeży.

A Stany Zjednoczone, jak się zdawało, w ogóle nie miały ochoty walczyć...

(„The Times”, wtorek, 12 grudnia 1939)

RADA, JAKĄ PAN KENNEDY DAJE USA

PRZESTRZEGAM PRZED ANGAŻOWANIEM SIĘ W WOJNĘ

Materiał naszego nowojorskiego korespondenta z 11 grudnia

Pan Kennedy, ambasador Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii, przemawiając wczoraj w Bostonie, żarliwie przestrzegł USA przed angażowaniem się w wojnę.

Podczas spontanicznego przemówienia na zebraniu parafialnym w kościele, w którym służył kiedyś jako ministrant, pan Kennedy powiedział: „Jeśli kochacie Amerykę, nie pozwólcie, żeby coś, co pochodzi z innego kraju, wywołało w was przekonanie, że możecie choć trochę poprawić sytuację, przystępując do wojny. W tej walce nie ma dla nas miejsca. I bez tego sytuacja będzie wyglądać źle”.

[...] Powiedział, że jednym z najważniejszych czynników mogących wpłatać Stany Zjednoczone w wojnę jest „szlachetny duch” amerykańskiego narodu, który „nie chce patrzeć na niesprawiedliwość i niemoralne postęпки”, lecz powtórzył: „To nie nasza walka”.

Była to jednak walka Churchilla i czasami wydawała się wyłącznie jego walką. Gdy przedstawił gabinetowi swoją propozycję zaminowania przybrzeżnych wód Norwegii, natychmiast ją odrzucono. Halifax wyraził przerażenie w związku z pogwałceniem prawa międzynarodowego podczas przypuszczenia ataku na neutralne terytorium i nie pojawił się żaden znak poparcia dla dążenia Churchilla do prowadzenia wojny na szerszą skalę. W każdym kącie

dawało się słyszeć mamrotane słowo „Dardanele”. Pierwszy lord zdołał wycisnąć z kolegów jedynie zgodę na przedłożenie propozycji dowódcom wojskowym w celu „dalszej analizy”, co na Whitehall było eufemizmem równoznacznym z powiedzeniem „wal się”. Churchill został odizolowany i odrzucony.

Nie po raz pierwszy jednak na ratunek przyszedł mu Hitler ze swoją machiną wojenną.

Na początku grudnia pancernik kieszonkowy „Admiral Graf Spee” pojawił się na południowym Atlantyku z zamiarem zasadzenia się na liczne statki na szlakach morskich niedaleko rzeki La Plata. Zamiast zastać tam bezbronne statki handlowe, wpadł prosto na brytyjskie siły ekspedycyjne. „Exeter”, „Ajax” i „Achilles” z nowozelandzką załogą były znacznie słabiej uzbrojone niż „Graf Spee”, lecz mimo to stanęły do walki. Trzynastego grudnia wczesnym rankiem zaczęła się bitwa, w której wzięły udział wszystkie cztery jednostki manewrujące w gęstych chmurach zasłony dymnej. Godzinę i dwadzieścia minut później uszkodzony został „Exeter”. Olbrzymie działa „Grafu Spee” trafiły go co najmniej sto razy, miał zniszczony pomost dowodzenia i niesprawne dziobowe wieże artylerii. Na śródkręciu szalał ogień. Wielu członków załogi poległo. Pozostałe brytyjskie okręty też ucierpiały, ale „Graf Spee” nie był wyjątkiem. Jego dowódca, kapitan Langsdorff, postanowił wycofać się do neutralnego portu w Montevideo oddalonego o trzysta mil, lecz tam odkrył jedynie, że bitwa jeszcze się nie skończyła. Brytyjskie okręty mimo poważnych zniszczeń powlekły się za nim jak krwawiące ogary.

W Montevideo „Graf Spee” stanął przed rozpaczliwym dylematem. Mógł tam spędzić jedynie siedemdziesiąt dwie godziny – w przeciwnym razie zgodnie z zasadami neutralności zostałby

internowany na czas wojny. Przed portem czekała jednak brytyjska sfera, ranna, choć wciąż rozpaczliwie niebezpieczna. A szukając schronienia w Montevideo, „Graf Spee” pozbawił się wszelkiego elementu zaskoczenia i pola manewru. Wpadłby prosto na przyczajonego wroga.

Langsdorff się zastanawiał, a świat wziął sobie bitwę do serca. Do portu w Montevideo ściągnęły tłumy, światowe media przysłały samolotami dziennikarzy mających nieustannie informować o rozwoju wypadków, ustanowiono połączenia radiowe. Bitwa u ujścia La Platy miała zostać pierwszą bitwą nagłośnioną w mediach.

Pierwszy raz od wielu tygodni wśród nagłówków w brytyjskiej prasie dominowały nie czarnowidztwo i przygnębienie, lecz wieści o tym, że odparto Niemców, a brytyjska flaga, choć nieco porwana, powiewa wysoko. Naród przez cztery dni patrzył i czekał.

Gdy tylko Langsdorff wyładował rannych członków załogi, podjął próbę wynegocjowania od Urugwajczyków dodatkowego czasu. Nie udało mu się. Mógł spędzić w porcie siedemdziesiąt dwie godziny i ani chwili dłużej. Nie chciał pozwolić, by internowano jego okręt, by unosił się w jakimś zagranicznym zaścianku jako gnijący symbol nazistowskiej porażki, lecz nie zamierzał też ryzykować rozbiciem na kawałki dumy niemieckiej marynarki wojennej na oczach całego drwiącego świata. Było tylko jedno wyjście – które tak naprawdę wcale nie było wyjściem. Siedemnastego grudnia o zachodzie słońca „Graf Spee” z garstką załogi na pokładzie podniósł kotwicę i popłynął sześć mil w głąb ujścia La Platy. Nad nim leciały samoloty zwiadowcze, raportujące o sytuacji czekającym okrętom Królewskiej Marynarki Wojennej. Wznowienie bitwy wydawało się nieuniknione, ale zanim „Graff Spee” zbliżył się do brytyjskich okrętów, o jego losie przesądził

sam Langsdorff. Zatopił go. Rozbebeszył. Zniszczył własnymi rękami. Okręt spłonął, przechylił się i w końcu zatonął.

Dwa dni później w zaciszu pokoju hotelowego w Montevideo kapitan Langsdorff strzelił sobie w głowę.

Królewska Marynarka Wojenna – Królewska Marynarka Wojenna Churchilla – zwyciężyła w pierwszym poważnym starciu w tej wojnie.

Chamberlain przyleciał do Heston i do świata mającego kolor zimnej stali. Było to to samo lotnisko, z którego skorzystał, wracając z Monachium, lecz tym razem nie czekały na niego tłumy, ciżba nie wznosiła wesółych okrzyków, przepychając się, żeby rzucić mu pod nogi liście palmowe, nikt nie wzywał do wspólnego pozowania do zdjęć na pałacowym balkonie. Był tylko Horace Wilson w płaszczu, usiłujący nie zmarznąć.

– Słyszałeś? – spytał Wilson, gdy premier zszedł po drabince z de havillanda. Żadnej wymiany uprzejmości.

– Dlaczego go nie powstrzymałeś? – warknął Chamberlain.

– Byłem na wsi, nic o tym nie wiedziałem, dopóki nie włączyłem radia. Winston jest jak Hitler. Atakuje w weekendy.

– Gdy jestem odwrócony plecami. Jak on śmie? Niech go szlag! Całymi dniami marznę na francuskich polach, przeprowadzając inspekcję na froncie, a on pławi się w chwale jak świnia w chlewie.

– Niemniej...

– W jego ustach zabrzmiało to tak, jakby osobiście obsługiwał działa. Jakby sam zatopił „Grafę Spee”.

– Niemniej...

– Kłamstwa. Kłamię jak najęty. Wystarczy jedna whisky i już przestaje nad sobą panować, wyolbrzymia, zmyśla. Wyczarowuje jakieś mityczne U-Booty i twierdzi, że posłał je na dno. – Płytki

oddech wydobywał się w postaci wirujących obłoków pary, gdy pokonywali pieszo krótką drogę do terminalu. Chamberlain szedł wolniej niż zwykle, jakby w obawie, że poślizgnie się na lodzie.

– Niemniej – uparcie powtórzył Wilson – nie możemy cofnąć ani jednego słowa z tego, co powiedział. Prasa i opinia publiczna są zachwycone.

– Co?

– Poza tym ogłosił, że dotarli pierwsze oddziały z Kanady.

– Niech go szlag! Co to ma wspólnego z Admiralicją? Czy one tu przyplłynęły, na litość boską? Czy nie mógłby się powstrzymać od pchania tych swoich wścibskich paluchów w stronę każdej dobrej wiadomości?

– To sprzeczne z jego naturą.

Chamberlain był blady, na jego twarzy malowała się furia zmieszana z wyczerpaniem. Przejmujące francuskie zimno dało mu się we znaki, przeniknęło do szpiku kości, nie był już młodzieniaszkiem i jego odporność na fizyczne niewygody wyraźnie malała. Przetrwał jednak, wizytował setki mil frontu przez kilka dni, żeby pozdrawiać oddziały i konsultować się ze swoimi generałami, nie poskarżył się nawet słowem, a po tym wszystkim odkrył, że dostał cios w plecy – bo właśnie tak się czuł. Ciało wyczerpanego polityka pokrzepia się pochwałami, a te ukraść Winston, zgarnął wszystkie dla siebie. Odgłos braw nadal przywierał do smaganego wiatrem lodu.

– Dłużej tego nie zniosę. On musi odejść – oznajmił Chamberlain, gwałtownie wypuszczając powietrze, jakby to był jego ostatni oddech.

Wilson przez chwilę się nad tym zastanawiał, a potem przystanął. Nie dotarli jeszcze do budynku terminalu i mróz, który przeniknął przez podeszwy jego stóp, właśnie pożerał wszystkie jego palce, ale

nad Wilsonem wzięło górę chyba coś ważniejszego niż jego dążenie do wygody.

– Nie możemy. Nie teraz. W każdym razie jeszcze nie.

Chamberlain odwrócił się do niego, lecz Wilson mówił dalej, ucinając nieuchronne protesty.

– Prowadzimy wojnę i z perspektywy opinii publicznej Winston wydaje się chyba jedynym ministrem, który walczy. Na Whitehallu może być czymś w rodzaju pośmiewiska, ale w kraju uchodzi za ucieleśnienie oporu. Zniszczysz go, a zniszczysz wszelkie szanse na dalszą walkę.

– Nie rozumiesz, że ja wcale nie chcę walczyć! – wybuchnął Chamberlain.

– Ale nie możesz też zawrzeć pokoju, nie teraz, chyba że chcesz stracić stanowisko.

– Czasami się zastanawiam, czy...

– No więc musisz zmanifestować swoją władzę. Nie poprzez bezpośredni, ostry atak na Winstona, lepiej byłoby go chyba trochę postraszyć. Niech pomyśli dwa razy, zanim znowu coś zrobi, niech się pilnuje. Niech wie, że jego dni są policzone.

– A niby jak miałbym doprowadzić do tego wielkiego cudu? – spytał Chamberlain ze środka wirującej, zwarzonej mrozem chmury złości.

– Poślij po Lesliego.

Och, jakimż wygodnym celem miał się okazać Leslie Hore-Belisha. Tryskający energią, niekonwencjonalny, denerwujący, często niewrażliwy, otwarcie ambitny i niewybaczalnie innowacyjny. Innowacyjny – sekretarz stanu do spraw wojny! W dodatku zawsze gotów uśmiechnąć się do obiektywu.

Poza tym oczywiście był Żydem. Nie żeby Chamberlain miał mu to szczególnie za złe czy chociaż go za to nie lubił. Antysemityzm premiera nie był zbyt żarliwy, w zasadzie Chamberlaina nie bardzo to wszystko obchodziło, przypominało raczej jego niechęć do dwudziestowiecznych symfonii – tyle że Lesliego Hore-Belishy nie można było wyłączyć ani nawet ściszyć głosu. Inni jednak uważali ministra wojny za białego murzyna. Za kogoś niepożądanego, za człowieka o odmiennej orientacji, outsidera, który przecisnął się obok straży pałacowej i rozłożył swoje garnki w marmurowych korytarzach władzy. Mówiąc słowami „Truth” (gazety należącej do sir Josepha Balla), był „mało ważnym człowiekiem, którego najbardziej rzucający się w oczy talent to umiejętność pojawiania się na zdjęciach w gazetach” – a zwłaszcza w gazetach wydawanych przez jego współwyznawców, którzy działali w „należących do Żydów rynsztokach Fleet Street”.

Narobił sobie także innych niewygodnych wrogów, zwłaszcza w sztabie generalnym. Tygodniami z coraz większą zaciekłością sprzeczekali się o betonowe bunkry potrzebne do rozbudowy obrony Linii Maginota w niefortunnej luce za Belgią, której musiała bronić brytyjska armia. Hore-Belisha powiedział, że bunkier można zbudować w ciągu trzech dni, sztab generalny twierdził, że potrzeba na to trzech tygodni i wściekł się, gdy Hore-Belisha nie chciał w to uwierzyć. Dlatego przy stołach w kantynach korpusu ekspedycyjnego we Francji nazwisko Hore-Belishy wypluwano jak pestki z puddingu. I wiele z tych pestek spadło na stół króla. Był on przecież najwyższym zwierzchnikiem armii w kraju. Pełnił ważną funkcję, miał prawo interweniować – miał wręcz obowiązek. I nie zamierzał tolerować ministra wojny, który otwarcie poparł jego brata Edwarda podczas

kryzysu abdykacyjnego, a na domiar złego jako pierwszy odwiedził Windsorów na wygnaniu. Niech go szlag. Jerzy nie był antysemitą, oczywiście, że nie. Po prostu człowieka nie lubił. Zresztą miał dość narzekań, że minister jest bezbarwny i słaby.

Król wezwał zatem premiera. Poskarżył się i zasugerował, że ktoś taki jak Hore-Belisha nie jest odpowiednią osobą na tym stanowisku. Robiąc to, wyszedł poza swoje kompetencje – zadanie monarchy polegało na tym, żeby go widywano, lecz rzadko słuchano – jaki jest jednak sens bycia królem, skoro nie można mieć opinii na temat własnych ministrów? Chamberlaina ponaglały także liczne inne głosy. Dlatego tuż przed świętami Bożego Narodzenia premier wezwał do siebie Lesliego Hore-Belishę.

– Jak leci, Leslie?

– Doskonale.

– Jakież problemy? Zmartwienia?

– Nic, czego nie mogłoby rozwiązać kilka dodatkowych milionów dla mojej armii, premierze.

A więc nie wiedział, pogłoski jeszcze do niego nie dotarły. Biedaczysko. Chamberlain nie był jednak człowiekiem dającym się zniechęcić albo zmusić do działania, które wydawałoby mu się bezcelowe. Lubił rozgrywać takie sprawy bez pośpiechu.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, jaki jestem wdzięczny, Leslie. Dostało ci się trudne... prawie niemożliwe do wykonania zadanie. Podziwiam twoje zaangażowanie, naprawdę podziwiam.

– Cóż, to... niezwykle miło z pańskiej strony, premierze.

– Tak. Chciałem tylko, żebyś o tym wiedział. Zanim znikniesz.

– Zanim zniknę?

- Żeby świętować Boże Narodzenie. Świętujesz Boże Narodzenie, prawda Leslie?

Bojler nazywał się Belzebub. Pokryty sadzą wiódł żywot w dużej mierze niedoceniany, wciśnięty w duszną piwnicę starej szkoły i otoczony kałużą koksu. Belzebub należał do elity West Bromwich, powstał około 1890 roku, lecz te czasy już dawno minęły. Miał własną osobowość. Nie tolerował żadnych wygłupów. Mruczał, jęczał, napinał się, bez wątplenia bardzo się starał, ale mimo to proszono go o coraz więcej. Kiedy na zewnątrz było dziesięć stopni poniżej zera, stało się: poczuł się niedoceniany. Na samej górze miał manometr przypominający oko cyklopa obserwujące wszystko, co działo się w piwnicy starej szkoły, a gdy dozorca zbliżył się do niego po raz czwarty tego dnia, marszcząc brwi i ściskając wielki klucz francuski, Belzebub zadrżał. Dozorca dźgnął go w oko, potem zrobił to jeszcze raz i chyba nadal nie podobało mu się to, co widzi, więc ogarnięty frustracją wziął ten swój wielki klucz i rąbnął nim w główną rurę parową – i w tym momencie Belzebub uznał, że wreszcie ma tego dość. Olbrzymia wapienna bryła, która przez lata przylegała do wnętrza jego rur, oderwała się i wpadła do głównego zaworu. Belzebub zadrżał i skonał.

Dla Jerry'ego była to wspaniała wiadomość. Stara szkoła – niedaleko głównego punktu przerzutowego królewskich łącznościowców w Blandford Forum – została zarekwirowana jako tymczasowe schronienie dla jego batalionu, a wraz ze śmiercią Belzebuba i brakiem gotowej alternatywy wśród zatłoczonych, lecz przemarzniętych obozów na wiejskich obszarach Dorset, cała jego kompania dostała dwudniową przepustkę, pierwszą od ponad dwóch miesięcy. Pięć godzin później, wciąż w mundurze z nowymi

krokiewkami sierżanta świeżo przyszytymi do rękawa, siedział razem z Sue przy stoliku w restauracji Royal Gardens w Bournemouth. Zadzwoił i zrobił rezerwację, gdy tylko dowiedział się o przepustce, i okazało się, że zdążył w ostatniej chwili – był piątek, trzy dni przed Bożym Narodzeniem, i chyba całe Bournemouth postanowiło uczcić swoje przetrwanie w dziwnej wojnie. Zdobył ostatni wolny stolik.

Siedzieli zatem i trzymali się za ręce w blasku świec, opowiadając sobie o życiu. Jerry mówił, jak rano szkolono go na operatora radiostacji, a codziennie po południu kazano mu krzyczeć i wbijać bagnet w bele siana leżące nieruchomo na ziemi. Powiedział, że bardzo dodawało mu to otuchy. W czasie poprzedniej wojny nigdy nie spotkał Niemca, który leżałby bez ruchu na ziemi, gdy brytyjski żołnierz wbijał mu bagnet w bebechy, ale być może wywiad wojskowy odkrył jakiś nowy sposób na zwyczajne śmiertelne przerażenie niemieckich żołnierzy. Była to znacznie bardziej pocieszająca myśl niż alternatywa – to, że Ministerstwo Wojny wciąż nie potrafi odróżnić bagnetu od noża do masła. Potem Sue zaczęła opowiadać o czymś, co nazwała swoimi planami stacjonarnymi – o tym, że w razie inwazji chce zorganizować grupę, która kontynuowałaby walkę na tyłach. Zwykłych ludzi mających normalną pracę i obowiązki, którzy korzystaliby z okazji i siali mały zamęt podczas ewentualnej okupacji. Taki niewydarzony klub, powiedziała z nieśmiałym uśmiechem. Jerry się zaniepokoił, lecz ona wyjaśniła, że już znalazła kilku potencjalnych członków ruchu oporu. Harolda – listonosza, weterana wojny burskiej i poprzedniej wojny, który mógł przekazywać wiadomości, nie wzbudzając podejrzeń. Lekarzę, która umiała nie tylko leczyć, ale znała też wiele różnych sposobów na wywołanie ostrych dolegliwości, a nawet śmierci – twierdziła, że byłaby w stanie unieszkodliwić cały

pułk na czterdzieści osiem godzin, gdyby zdołała się zbliżyć do jego zapasów wody. Mechanika samochodowego, który utrzymywał, że potrafi zrobić karabin z zardzewiałego roweru.

– Za coś takiego dostaje się kulkę – szepnął Jerry.

– Słyszałam, że w Polsce i Czechosłowacji ludzie dostają kulkę zupełnie za nic.

– Tu do tego nie dojdzie.

– Dojdzie, jeśli twoja armia nie odróżnia bagnetu od noża do masła – odparowała. – Jerry, jeśli nastąpi inwazja, to miejsce jako jedno z pierwszych znajdzie się pod okupacją. A wtedy – ścisnęła jego rękę – przypuszczam, że nie będzie cię już w pobliżu. Tak to jest na wojnie, prawda? Nie ma żadnych prostych ani bezpiecznych opcji. Wszyscy mamy różne bitwy do stoczenia.

– Ale mimo to, kochanie...

– Za późno, Jerry. Już namówiłam pana Wooltona. Wiesz, tego lokalnego budowlańca. Stawia nowy budynek klubowy obok boiska. Przekonałam go, żeby zbudował małą kryjówkę między przebieralniami – coś w rodzaju magazynku połączonego ze schowkiem. Piłkarze daliby nam doskonałą przykrywkę. Biedaczysko, całą robotę wykonał sam, a ma ponad sześćdziesiąt lat i lumbago, więc nie mogę teraz do niego pójść i powiedzieć, że to wszystko była strata czasu i na darmo narobił sobie pęcherzy, prawda?

– Niezwykła z ciebie kobieta.

– Zapominasz, że pracuję na poczcie. Widuję ich wszystkich. Podchodzą do mojej lady i rozmawiają. Jedni plotkują, narzekają na reglamentację albo zaciemnienie oraz na to, że niedawno Harold spóźnił się o godzinę z dostarczeniem poczty w środku śnieżycy. A drudzy po prostu robią swoje. Szykują się.

Jerry pyknął fajkę, ale już zgasła – zgasła, gdy z zafascynowaniem i niemalym strachem słuchał Sue.

– Wiesz, Sue, bardzo cię kocham. Ale nie powinnaś mi tego mówić. To informacje tylko dla wtajemniczonych i w ogóle.

– I wspominam ci o tym po raz ostatni, Jerry. Bo naprawdę musisz wiedzieć. W razie czego.

– W razie czego?

– No... w razie czego.

Jeszcze raz ścisnęła mu rękę, bardzo mocno.

Nagle przy ich stoliku wyrósł kierownik sali. Miał rozbiegane oczy, przestępował z nogi na nogę i nisko się pochylał.

– Ach, menu. Pora coś zamówić, kochanie – oznajmił Jerry.

– Nie, proszę pana. Przepraszam, ale... – zaczął kelner, mówiąc z akcentem przywodzącym na myśl tereny na południe od Rzymu. Za jego ramieniem czekało dwóch oficerów, kapitan i pułkownik. Z korpusu kwatermistrzowskiego. Chłopaki z tyłów. Ludzie od kubłów na śmieci. – To ostatni stolik, proszę pana, a ci dwaj dżentelmeni... dwaj oficerowie... Obawiam się, że muszę państwa prosić o ustąpienie im miejsca.

– Dlaczego?

– Stopień, chłopie – warknął pułkownik. – To jedno z wojennych niebezpieczeństw. – Uśmiechnął się pod wąsem.

– Przecież zrobiłem rezerwację. Z wyprzedzeniem. Panowie też zrobili rezerwację?

– Niech pan nie będzie bezczelny, sierżancie. – Uśmiech zniknął, a wąs wystrzelił jak naostrzony ołówek. Oficer zwrócił się do Sue. – Pani wybaczy, ale jesteśmy na służbie. Zakładam, że pani towarzysz przebywa na przepustce. Za godzinę musimy być z powrotem

w sztabie, mamy bardzo mało czasu, strasznie nam przykro, ale wojna jest okrutna. Musimy się pospieszyć. Może moglibyśmy postawić państwu drinka, żeby jakoś... załagodzić sytuację?

– Raczej nie, pułkowniku.

– Cóż, jak pani woli.

Upokorzony kelner prawie zgiął się wpół.

– Tak mi przykro... proszę pani... proszę pana.

Jerry wstał z krzesła, w oczach miał wściekłość.

– Jeśli się panom wydaje...

– Masz chyba inne bitwy do stoczenia – przerwała mu Sue. –

Prawda, kochanie?

– Żwawo, sierżancie. Czas ucieka – warknął oficer.

Jerry zamierzał go uderzyć, Sue to czuła, więc zanim zdążył zareagować, wzięła go za rękę i znowu ją ścisnęła, jeszcze mocniej, wbijając paznokcie w skórę, aż go zabolalo.

– Już idziemy, pułkowniku, ale najpierw, jeśli można, chciałabym o coś spytać.

– Oczywiście.

– Wie pan, czym się różni nóż do masła od bagnetu?

– Nóż do masła od ba...? Nie jestem pewny, czy rozumiem pytanie.

– Właśnie tak przypuszczałam. – Sięgnęła po torebkę. – Aha, a tak przy okazji, pułkowniku, jeszcze ostatnie, bardzo kobiece spostrzeżenie. – Przysunęła się do niego tak blisko, że poczuł na twarzy jej oddech. – Prawdziwi mężczyźni nie chwalą się stopniem. Chwalą się wspaniałymi kobietami. Takimi jak ja.

– Ależ ja nigdy...

– Wcale mnie to nie dziwi. Pewnie jest pan zbyt zajęty. Tymi wszystkimi bitwami w sztabie, prawda? – Uśmiechnęła się do niego

najbardziej kokieteryjnie, jak umiała, a potem odwróciła się do Jerry'ego i przesunęła opuszkami palców po jego nowych krokiewkach. – Chodź, kochanie. Czeka cię jeszcze bardzo długa noc.

Mac włókł się z powrotem przez park, stawiając nierówne kroki na świeżym lodzie. Od kilku godzin było ciemno, a podczas zaciemnienia Londyn wyglądał upiornie i był opustoszały, dając mu półksiężyc za jedyne przewodnika. Powinien był wracać do domu, lecz zamiast tego szedł w stronę Trumper's. Właśnie skończył wieczorną zmianę w pałacu Kensington, gdzie podciął włosy temu czy innemu księciu. Zwykle nie było to jego zadanie, ale młody człowiek, który obsługiwał księcia, wyruszył na wojnę i w ostatniej chwili zwerbowano Maca na jego miejsce. Książę nie spodobał się Macowi – szybko nazwał go Jego Książęcą Siatką na Włosy – przede wszystkim dlatego, że Jego Książęcą Siatką na Włosy zdawał się pogrążony w błogiej nieświadomości co do istnienia Maca, nawet gdy ten pracował. W pewnej chwili odebrał telefon od generała i rozmawiali o „swoim ulubionym Żydzie” oraz o „presji ze strony Jego Wysokości”. Pewnie myślał, że Mac jest głupi, a do tego głuchy. Poza tym zdaniem Maca postąpił samolubnie, wzywając golarza w piątek przed Bożym Narodzeniem. Sekretarz księcia zrekompensował to jednak Macowi hojnym napiwkami. Dzięki temu Mac mógł zanieść dzieciom Carol trochę świeżych owoców. Spiesząc się na wezwanie do pałacu, Mac zapomniał jednak zabrać małą puszkę farby potrzebnej do dokończenia konia na biegunach dla Lindy, więc teraz mozolnie maszerował z powrotem do Trumper's. Nie był to oczywiście nowy koń, a jedynie taki z przetrąconą nogą, ocalały z kościelnej wyprzedaży rzeczy używanych, miał podrapane siodło i brakowało mu wodzy. Dlatego przez ostatnich kilka tygodni wieczorami Mac powoli strugał nową nogę, naprawiał, polerował,

lakierował, przyklejał nową grzywę... Tego wieczoru wystarczyło nałożyć odrobinę farby na siodło i Lindy nie zauważyłaby różnicy. Sekrety zawodowe, które opanował w obozach wielkiej proletariackiej rewolucji przemysłowej. Zamierzał zabrać ze sobą konia na biegunach, idąc w niedzielę do Carol. Konia i układankę dla Petera – nową, z pociągiem Flying Scotsman wyłaniającym się z obłoków pary. Starych układanek nie można było naprawić.

Zastanawiał się nad jakimś wyjątkowym prezentem dla Carol. Nad czymś z biżuterii, na przykład bransoletką, lecz w takich czasach należało być człowiekiem praktycznym, potrzeby były ważniejsze niż subtelności – jej własne słowa, które powtarzała częściej z każdym kolejnym tygodniem wojny – znalazł więc kilka jardów ładnego aksamitu w jej ulubionym jasnoniebieskim kolorze, żeby mogła sobie uszyć, co tylko zechce. Oraz skromną parę kolczyków z imitacji turkusa do kompletu. Para, którą już miała, wydawała mu się za duża, wręcz wulgarna, jakby wosk świecy skapywał jej z uszu. Zabawne, rok temu, gdy się poznali, w ogóle go nie obchodziło, jak wygląda ani w co się ubiera, ale teraz...

Dziwny był ten rok. Rok drażenia w sobie, odkopywania różnych rzeczy, ponownego ich odkrywania. A niebawem miał stać się jeszcze dziwniejszy.

Zbliżając się do Park Lane, Mac wsunął na ramię białą opaskę, a drugą nałożył na kapelusz. Na Park Lane panowały prawie zupełne ciemności, lecz ulica była szeroka i ruchliwa, a Mac kuśtykał bardzo powoli i dzięki białym opaskom miał odrobinę większą szansę, że ktoś zauważy go w snopach światła, które wolno było wytwarzać pojedynczym reflektorom samochodów. Zaczekał na odpowiedni moment, a potem popędził jak krab uciekający przed mewami i już

niebawem szedł przez Shepherd Market w stronę swojego miejsca pracy. Wszędzie było ciemno, świat cieni, ale słyszał szmer rozmów i brzęk kieliszków zza zaciemnionych okien restauracji, a nawet dźwięki pianina gdzieś w Grapes. Gdy przeciął placyk między wiktoriańskimi uliczkami, kawałek dalej dostrzegł w drzwiach rozżarzony koniuszek papierosa. Jakiś mężczyzna rozmawiał z kobietą – nie, targował się z nią. Miał na sobie płaszcz przeciwdeszczowy i trzymał teczkę, którą nieustannie przekładał z ręki do ręki. Był zdenerwowany. Być może nowy rekrut. Robił jednak postępy i wkrótce dobili targu. Dziewczyna wzięła go pod rękę i zaczęła prowadzić na górę, gdzie, jak dobrze wiedział Mac, znajdowały się pokoje. A kiedy otworzyła drzwi, snop światła na chwilę padł na bok jej twarzy. Mac zobaczył w nim błysk tandetnego kolczyka przypominającego wosk.

Tyle się zmieniło w ciągu roku. Gdy się poznali, nie umiałby poczuć tej złości, w ogóle niewiele czuł, ale teraz – dlatego że się spotkali – był jakby wyżarty od środka. Oszukany. Przez nią. Tej niedzieli, w Wigilię, zczekał, aż dzieci pójda spać, a potem powiedział jej, co wie, i wtedy odkrył, że jego złość jest jak wiosenny wietrzyk w porównaniu z trąbą powietrzną jej złości. Krzyknęła, że mężczyźni to przyczyna wszystkich nieszczęść w jej życiu. Jej wściekłość i strach spadły na niego niczym bezlitosny sztorm, ponieważ był jedynym mężczyzną, którego akurat miała pod ręką – i ponieważ miała żarliwą nadzieję, że okaże się inny niż pozostali. Nie okazał się jednak, był jeszcze gorszy. Krzyczała, że to męski świat, męska wojna, a Mac ponosi za to odpowiedzialność w takim samym stopniu jak oni wszyscy – za to, że na świecie zapanował chaos, za zostawienie jej z dwójką dzieci, które trzeba chronić przed głodem i krzywdą, za potępianie jej za grzechy inicjowane przez samych mężczyzn. Zjawiał się w jej życiu, kiedy

przychodziła mu ochota. Mężczyźni w Market mieli przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby jej zapłacić.

Oczywiście w zasadzie nie chciała tego wszystkiego powiedzieć, lecz Carol od zawsze była wojowniczką i w ciągu ostatniego roku w niej także zaszły zmiany. Mimo wojny gdzieś głęboko w swoim wnętrzu poczuła coś nowego. Nadzieję. Nadzieję, która zjawiała się z dziwnym akcentem i powiększającym się obwodem w pasie, przyjmując postać Maca. Nadzieję, która grzała ją nocami, nawet jeśli jego akurat nie było. Okazał się jednak człowiekiem tak bardzo zamkniętym w sobie, że chyba rzadko wydostawało się z niego coś, czym mógłby się z nią podzielić. I czy naprawdę myślał, że wróciłaby do tego całego zezwierżenia w Market, gdyby miała jakąś alternatywę, jakiś wybór – gdyby był porządnym mężczyzną i się do niej wprowadził, gdyby zaczął dbać o nią i jej dzieci tak, jak powinien dbać normalny mężczyzna?

Miała rację. Wiedział, że Carol ma rację. Wyszedł z obozów okaleczony i skryty, a w obliczu jej złości ponownie zamknął się w sobie, tak jak nauczył się robić dawno temu. Nie kłóć się. Unikaj konfrontacji. Po prostu idź. I właśnie tak uczynił – choć wiedział, że nie powinien. Poszedł. Nie mógł się powstrzymać. Nie umiał dojść do ładu z tymi wszystkimi emocjami. Zakorzeniły się w nim tak głęboko, że nie mógł na to nic poradzić, tak samo jak ona nie mogła nic poradzić na swoje problemy.

Gdy w mroźną bożonarodzeniową noc wyszedł z małego nędznego domu w Chigwell, usłyszał, jak za jego plecami koń na biegunach Lindy roztrzaskuje się o bruk.

Rozdział siedemnasty

Styczeń 1984

Okazało się, że była to zima pozbawionych skrupułów zdrad, nawet ze strony pogody. Nikt nie pamiętał, by temperatura spadła aż tak nisko. Tamiza zamarzła po raz pierwszy od 1888 roku. Niespełna dwa tygodnie później kraj zaatakowały najgorsze burze stulecia. Wojna została uniemożliwiona. RAF nie mógł latać, a wszystkie dostępne oddziały skierowano do odśnieżania i dbania o funkcjonowanie kraju. Chyba tylko marynarka wojenna Churchilla była w stanie uciec przed uściskiem zimy i kontynuować walkę, patrolując morza, które, choć niebezpieczne, jeszcze nie zamarzły.

Jerry był w ciągłym ruchu, przeniesiono go do Królewskiej Lekkiej Piechoty z Yorkshire i skierowano na dalsze szkolenie niedaleko Thirsk, gdzie na każdym kroku walczył z wrzosowiskami. Jeden pięcioosobowy patrol zamarzył na śmierć. Poprzedniego dnia wieczorem pił z tymi ludźmi w pubie. Samolot zwiadowczy wysłany na poszukiwania zaginionych rozbił się i szukano go przez trzy dni. Radiostacja Jerry'ego, stworzona z myślą o użytkowaniu w Indiach, poszła za przykładem bojlera w Blandford i uparcie odmawiała pracy.

Tymczasem Carol w oddalonym hen na południe Londynie całe dnie spędzała na ciemnym, mroźnym poddaszu, próbując przekonać rury z wodą, żeby odtajały, zanim Peter wróci ze szkoły. Jakimś cudem codziennie się jej to udawało, lecz wieczorem zawsze ponownie zamarzały na kość.

Jednak nie tylko pogoda dopuściła się zdrady. Beaverbrook dał o sobie znać. Znowu. Właściciel „Expressu”, mimo że za pośrednictwem swojego tresowanego ministra spraw wewnętrznych Sama Hoare’a cały czas naciskał na swój powrót do rządu, jednocześnie wykorzystywał własne imperium prasowe, by narzekać i zrządzić na wojenne restrykcje. Zwrócił się do księcia Windsoru, próbując go namówić, by stanął na czele ruchu na rzecz pokoju. Nawet książę nie był jednak aż tak niemądry. Wiedział, że tego rodzaju ruch bez wątpienia zaszkodziłby nie tylko działaniom wojennym, lecz także brytyjskiej monarchii. Gdy Chamberlain usłyszał o sprawie, nie mógł się zdecydować, czy Beaverbrook jest głupcem, czy może łajdakiem, lecz postanowił, że prędzej zamarznie nie tylko lotnisko Heston, ale i samo piekło, zanim „drogi Max” znowu wepchnie ryj do ministerialnego koryta.

Na domiar złego wrócił ambasador Kennedy. Po przerwie bożonarodzeniowej poświęconej szerzeniu przygnębienia i defetyzmu w Ameryce przyjechał do Londynu, by kontynuować swoją pracę wśród ministerstw przy Whitehall. Tymczasem w Birmingham dwaj członkowie IRA poszli na szubienicę i zawiśli ramię w ramię za sierpniowe podłożenie bomby w Coventry – aczkolwiek to, po której stronie zdrady stali, a potem wisieli, bardzo zależało od tego, kto dokonywał oceny.

Być może właśnie z powodu tego nieszczęsnego mrozu ludzie ciągle odwracali głowy w stronę tego, co działo się wśród śniegów Finlandii, skąd dzień po dniu napływały doniesienia o tym, jak twarde Finowie stawiają opór rosyjskiemu najeźdźcy, a nawet zmuszają go do odwrotu. Podczas gdy Wielka Brytania posepniała i zrządziła, waleczni Finowie pokazywali światu, na czym naprawdę polegają wojna i opór.

I zaczęło narastać poczucie, że być może Wielka Brytania powinna jakoś pomóc – przecież poszli na wojnę, by bronić niewinnych ludzi przed agresją, a to, co działo się w Finlandii, z pewnością było nie mniej okropne niż to, co rozegrało się w Polsce. W gabinecie toczyła się nawet ożywiona dyskusja na ten temat, rozmawiano o wysłaniu ochotników, zwłaszcza gdy Finowie zaczęli spychać Rosjan za swoją granicę. Na tym kończyły się jednak działania gabinetu – na mówieniu. Tak jak w wypadku

Polski, w obronie Finlandii nie kiwnięto palcem i nie oddano ani jednego strzału. Zdrada stała się czymś w rodzaju zwyczaju.

Oprócz tego była oczywiście sprawa Lesliego Hore-Belishy...

Chamberlain nawet go lubił, naprawdę, nie podzielał tych wszystkich uprzedzeń. Przecież człowiek nie mógł nic poradzić, że taki się urodził, prawda? Ale Leslie bardzo chciał walczyć – z Niemcami, z własnym sztabem generalnym i, jak się zdawało, z całą resztą. Z kimkolwiek, byleby Leslie mógł walczyć. Bardzo przypominał Winstona.

Na początku stycznia Hore-Belisha został wezwany do gabinetu przy Downing Street. Chamberlain lubił załatwiać takie sprawy właśnie tam, w oficjalnym otoczeniu, które w pewnym sensie depersonalizowało całe zajście. Horace Wilson grał odźwiernego, co wzmacniało efekt. Leslie nadszedł sprężystym krokiem, gdy Chamberlain siedział pochylony nad listem. Premier nie przerwał pisania.

– Leslie, w czasie przerwy świątecznej przemyślałem kilka spraw. – Nadal nie podnosił głowy.

– Jakich spraw, Neville’u?

– Dotyczących Ministerstwa Handlu.

- Dlaczego?
- Dla ciebie.
- Słucham...?

W końcu Chamberlain był zmuszony podnieść wzrok i spojrzeć rozmówcy w oczy, w których nagle zagościł niepokój.

- Tak sobie myślę... Rozumiesz, to tylko propozycja... Tak sobie myślę, że mógłbyś się przenieść do Ministerstwa Handlu. - W zasadzie Chamberlain myślał o przeniesieniu Hore-Belishy do Ministerstwa Informacji, do resortu ważniejszego niż Ministerstwo Handlu, lecz rano omówił sprawę z Halifaxem, który zdecydowanie się temu sprzeciwił. „Żyd? W Ministerstwie Informacji, Neville’u? Jak by to wyglądało z perspektywy neutralnych państw? Jego prostackie metody naraziłyby na szwank brytyjski prestiż”. Pomysł zatem upadł. Leslie, drogi Leslie, miał zostać poproszony o przeniesienie się z Ministerstwa Wojny do Ministerstwa Handlu. Oddać kontrolę nad całą armią Wielkiej Brytanii w czasie wojny i zacząć rozkazywać dywizjom spinaczy do papieru.

- Ale, ale... - bąkał Hore-Belisha, próbując rozwikłać chaos, który nagle stał się jego życiem. - Dwa tygodnie temu mówiłeś, że całkowicie mi ufasz. W żaden sposób nie dałeś do zrozumienia, że myślisz o zmianie.

- Zastanawiałem się nad tym. Sądzę, że ta zmiana leży w twoim interesie. Odejdźcie z Ministerstwa Wojny.

- Nie jestem pewny, czy chcę przyjąć twoją propozycję.
- Leslie, to coś więcej niż propozycja.
- Przecież powiedziałeś...
- Chciałem być miły. Żeby złagodzić cios. Miałem nadzieję, że zgodzisz się przyjąć ofertę.

- A jest jakaś inna?
- Nie.
- Czy mogę to przemyśleć?
- Obawiam się, że sprawa mogłaby wycieknąć.
- Zakładam, że wiemy o tym tylko ty i ja.
- Zgadza się.
- No więc jak mogłaby wycieknąć?

Boże, ten przekłety człowiek zamierzał robić problemy. Chamberlain wrócił do pisania listu.

- Wojna wymaga poświęceń, Leslie. Nie czuj się rozgoryczony. Weź Ministerstwo Handlu.

- Potrzebuję czasu. Czasu! - wybuchnął Hore-Belisha, wychodząc z gabinetu chwiejnym krokiem i nie będąc w stanie udzielić premierowi takiej odpowiedzi, jakiej tamten chciał, ani w zasadzie żadnej innej.

Gdy wyszedł, rześkie powietrze na Whitehallu szybko przywróciło mu zmysły i ciężko ruszył na poszukiwanie rad i sojuszników - sojuszników o niezależnych umysłach, którzy będą gotowi stanąć po jego stronie i sprzeciwić się premierowi. Poszedł poszukać Churchilla, lecz zastał tylko Brackena.

- Muszę porozmawiać z Winstonem - wypalił minister wojny.
- Nie może pan. Jest w Paryżu. Poleciał tam dziś rano.
- Ale ja muszę - jęknął, opadając na fotel Churchilla i żądając dużej brandy.

Dopiero później, wieczorem, udało im się nawiązać kontakt. Podczas rozmowy prawie zupełnie zagłuszonej trzaskami

i elektrycznymi zakłóceniami minister wojny próbował przedstawić swoją trudną sytuację.

– Pomóż mi, Winstonie, pomóż mi. Wieszają mnie, żebym wysechł jak patroszony śledź.

– Co? – spytał Churchill. – Cholera, nic nie słyszę.

Próbowali zatem krzyczeć do siebie i przekrzykiwać się, lecz niewiele można było z tego zrozumieć, aż w końcu Churchill powiedział:

– Weź informacje, Leslie.

Po czym na linii wreszcie zapadła cisza.

„Weź informacje” – co to miało znaczyć, do diabła? Brzmiało zupełnie bez sensu – teraz wszystko straciło sens. Dlatego po kilku godzinach narastającej rozpacz Hore-Belisha postanowił zabrać swoją reputację i coraz większe rozżalenie na tylne ławy. Oznajmił Chamberlainowi, że nie przyjmie Ministerstwa Handlu.

– Nie zasługuję na taką degradację. Jestem jeszcze stosunkowo młody, Neville’u. Czas jest po mojej stronie.

Chamberlain wyraził smutek i prychnął. A więc Jego Królewska Mość miał rację. Leslie nie potrafił grać zespołowo.

Dopiero kilka dni później, gdy fala publicznego poparcia, którego się spodziewał, nie nadpłynęła i do przygnębionego Hore-Belishy zaczęły docierać pocztą pantoflową różne pogłoski, wszystko nabrało sensu. Churchill nie powiedział „Weź informacje”, tylko „Weź Informacje”. Wiedział, że zamierzają wykopać Hore-Belishę z Ministerstwa Wojny, lecz nic w tej sprawie nie zrobił. Nie ostrzegł go. Zdradził wieloletnią przyjaźń. Zostawił Lesliego, żeby zawisł. Należał do spisku Chamberlaina...

Cóż, nie do końca. Przed wyjazdem do Francji Churchill także został wezwany na Downing Street, gdzie wyjaśniono mu, że żaden minister nie jest nietykalny, że podejmowane przez Hore-Belishę

próby wypromowania się kosztem kolegów budzą coraz większą niechęć – tak jak działania każdego ministra, który przedkłada osobistą reputację ponad reputację całego rządu. I Chamberlain postanowił przypomnieć wszystkim członkom rządu – „wszystkim, Winstonie” – kto ma tu najwięcej do powiedzenia. Było to irytujące i niemile wystąpienie. „Nie pozwolę, by którykolwiek minister, obojętnie jak zdolny czy rzekomo lubiany, kołysał moją łodzią. Wypadnie za burtę, zanim się obejrzy. Wiem, że to zrozumiesz”.

Kołysał moją łodzią. Chamberlain podkreślił to słowo, tak jak wcześniej uzgodnił z Wilsonem. A Winston myślał, że wszystkie łodzie należą do niego...

Churchill wyruszył zatem do Francji, przekonany, że Hore-Belishy zaproponują Ministerstwo Informacji – i wiedząc, że gdyby nie łaska Boga i Neville’a Chamberlaina, pierwszego lorda Admiralicji byłoby równie łatwo wymienić jak każdego sekretarza stanu do spraw wojny. Było to nie tyle postraszenie, ile salwa całą burtą wymierzona tuż nad jego głową. Dlatego z pewnym ociąganiem, a nawet z przebłyskiem poczucia winy ze strony Churchilla, Leslie Hore-Belisha został odwieszony na bok i wisiał, aż uszły z niego wszelkie ślady wilgoci i życia.

Gdy Mac odszedł od Carol i jej Bożego Narodzenia, postanowił się upić. I chodził pijany przez cały tydzień. Zataczając się, rzygając i nie pamiętając drogi do domu. A kiedy wreszcie wytrzeźwiał, wyruszył na poszukiwania Guya Burgessa.

Znalazł go późnym wieczorem, idącego wydłużonym, sprężystym krokiem, z oklapniętymi ramionami i papierosem schowanym w dłoni, w stronę swojego domu przy Chester Square.

– Dobry wieczór, panie Burgess.

- Niech szlag trafi moją starą babcię, co ty tu robisz?

- Czekam na pana, rzecz jasna.

- A skąd, do diabła, wiesz, gdzie mieszkam?

- Myśli pan, że tylko pan bawi się w te gierki?

Po tych słowach Burgess na chwilę zaniemówił.

- Ty. Kaleka. Śledziłeś mnie?

- Oczywiście, że nie, jak mógłbym? Ale gdy ostatnim razem przyszedł pan do Trumper's, odwiesiłem pańską marynarkę. W wewnętrznej kieszeni była koperta.

- Podstępny drań. Wyglądasz, jakbyś mocno zmarzł. Skoro już tu jesteś, chyba powinieneś wpaść na drinka.

- Byłoby miło.

- Nie mam milda.

- Wystarczy whisky.

Burgess spojrział na niego ze zdziwieniem, jakby zobaczył go po raz pierwszy, a następnie otworzył frontowe drzwi. We wspólnym korytarzu na stoliku leżało mnóstwo rozrzuconych listów. Burgess chwycił te opatrzone swoim nazwiskiem, ale nie omieszkał przejrzeć części pozostałych. Jednemu poświęcił szczególną uwagę, uniósł go pod światło, odwrócił, a potem rozerwał kopertę.

- A! Stary Tweedie ma kłopoty z właścicielem. Znowu zalega z czynszem. Ale powiedz mi, Mac: Tweedie wie, że nie zapłacił, o czymś takim się nie zapomina, więc dlaczego, do diabła, zawracają sobie głowę pisaniem mu o czymś, co już wie? - Zwinął list w ciasną papierową kulkę i wrzucił go do wielkiej współczesnej chińskiej wazy stojącej w rogu korytarza. - Coś takiego może popsuć człowiekowi dzień. Nie ma sensu do tego dopuszczać, prawda?

Później ze śmiechem wbiegł po schodach. Mac chwiejnie ruszył za nim.

Gdy Burgess zamaszystym gestem otworzył drzwi do swojego mieszkania, Mac nie zdołał się powstrzymać i ze zdziwienia aż zaparło mu dech. Widok przypuścił atak na jego zmysły – czerwony dywan był poprzepalany i zaplamiony, białe ściany straciły nieskazitelną czystość dobrych kilka lat temu, wszędzie stały zapomniane brudne talerze i szklanki, mnóstwo bibelotów i staroci tłoczyło się w każdym kącie, a resztę spowijał chaos kartek i książek w opłakanym stanie. Wypchany bażant tkwił w czymś, co kiedyś było szklaną gablotką. Potłuczone szkło leżało wokół nóg bażanta, który patrzył na to wszystko z wyraźną odrazą w jasnych oczach. Na jego dziobie wisiała gnijąca skórka od banana. Wszystko cuchnęło tytoniem.

– Nie powinien pan powiedzieć czegoś w rodzaju: „Przepraszam za bałagan”? – podsunął Mac.

– O co ci chodzi? Sprzątałem nie dalej jak w ubiegłym tygodniu. Chcesz się napić czy dyskutować o higienie?

– Zostanę przy whisky.

Pojawiły się dwie olbrzymie szklanki i Burgess usiadł na fisharmonii, która stała przed sypialnią pokryta warstwami guano z zakrzepłego wosku. Zaczął grać, niezbyt wprawnie, i przyspiewywał sobie głosem mającym więcej wspólnego z dżunglą o zmierzchu niż z salą koncertową. Wkrótce z góry dobiegło stukanie.

– To Tweedie – poinformował Burgess. – Stary ramol ze szkockiej armii. Z Perth. Nienawidzi muzyki, do której nie da się maszerować. Ale dzięki niej zapomni o zmartwieniach. – Znowu zaczął grać. Rozległy się kolejne protesty. Nagle Burgess zaczął grać hymn narodowy i śpiewać na całe gardło. Protesty nad sufitem ustały.

Burgess zagrał wszystkie sześć zwrotek – dotąd Mac był przekonany, że jest tylko jedna – nie zapominając o ostatnim zdaniu, które zaśpiewał na cały głos: „Niech tłumi rebelie i pędzi jak burza, by miażdżyć buntowniczych Szkotów. Boże, chroń króla!”

Na koniec Burgess z impetem zatrzasnął pokrywę fisharmonii.

– Ha! To zawsze na niego działa. Ten stary drań Tweedie stoi teraz pewnie na baczność przy łóżku z piżamą zsuniętą do kostek i kutasem zwiędłym jak sałata, nie wiedząc, czy salutować królowi, czy łapać za szkocki miecz. – Burgess sięgnął po drinka. – Zresztą „Boże, chroń króla!” i te wszystkie bzdury to jeden wielki bzdet. Słowa napisane przez Francuza i śpiewane rodzinie królewskiej złożonej z samych pieprzonych Niemców. Cudowne, no nie?

– Co takiego? – spytał Mac z krzesła, które zarekwirował, wytarłszy je rękawem. Nadal miał na sobie płaszcz.

– No jak to co, patriotyzm. Kopanie cudzoziemców. Świadomość, że my, Brytole, jesteśmy najlepsi, a wszyscy cudzoziemcy to drugorzędne brudasy.

Mac sączył whisky. Nawet mimo nowo odkrytego pociągu do alkoholu nie był w stanie dotrzymać Burgessowi kroku. Rozmówca najwyraźniej próbował go sprowokować, ale Mac postanowił podjąć inne wyzwanie.

– Panie Burgess, niech mi pan coś powie. Dlaczego tak bardzo się pan zadręcza?

Zapadła nietypowa cisza.

– Drwi pan ze swoich sąsiadów, ze swojego kraju, ze swojego króla – ale przede wszystkim z siebie samego. Zastanawiam się dlaczego.

– A kim ty, do cholery, jesteś, bratem Freuda? – warknął Burgess.

– Nie, Żydem – odrzekł spokojnie Mac. – Zadręczanie się wynosimy do rangi sztuki. Cztery tysiące lat praktyki. Poza tym zadręczam się dlatego, że nienawidzę kochać, i gdy ktoś oferuje mi miłość, a ja rzucam mu nią w twarz, nienawidzę się jeszcze bardziej. To pewnie wina obozów. Uczą człowieka, jak przetrwać na własną rękę, jak być jedynym Numerem Jeden. Ale pan nie jest Żydem, panie Burgess, nie był pan w obozach... a mimo to czasami mam wrażenie, że zadręczanie siebie stało się pańską misją. Dlaczego?

– Nie jesteś w stanie tego zrozumieć. Nigdy nie chodziłeś do Eton.

– Ach, ale skończyłem inną szkołę.

– No tak. Niech żyje rewolucja. – Burgess opróżnił szklanekę jednym haustem i sięgnął po butelkę.

– Pan chyba ciągle walczy – ale o co?

– O to, w co wierzę.

– To dobrze. – Mac pokiwał głową jak nauczyciel w szkole. – Każdy człowiek powinien w coś wierzyć. Chciałbym w coś wierzyć, bardzo bym chciał. Czasami chciałbym też mieć swój kraj. Nigdy za niczym nie tęskniłem, najwyżej za śniadaniem, ale w ciągu ostatniego roku wiele się w moim życiu zmieniło. Czy pan też tęskniłby za ojczyzną, gdyby jej pan nie miał, panie Burgess?

– Zdecydowanie tak.

– A mimo to drwi pan ze swojego króla i swojego kraju.

– Z kraju nie, Mac. Na tle innych nie wydaje się taki zły. Do diabła, nawet chodzę spać w krawacie MCC.

– MCC?

– Krykiet. Uwielbiam go. I całą resztę też – Szekspira, Dickensa, Constable'a, truskawki i letnie wieczory w Kencie. Kocham swój kraj, naprawdę. Nienawidzę tylko paskudnego systemu.

– Ach, Systemu. O Systemie wiem wszystko. Nauczyłem się tego na Sołowkach. Ale myślałem, że w tym kraju Systemem jest Eton.

– Właśnie. Teraz już wiesz, dlaczego czasami siebie nienawidzę. I dlaczego piję, żeby zapomnieć. – Burgess mocno oplótł się rękami i zaczął kołysać się w przód i w tył. Z jego ust wydobyły się niewyraźne słowa refrenu. – „Krzyknąłem do barmana, by nalał mi jeszcze, / Ma dusza wołała, że chce jej się pić. / I choć przysięgłem, że więcej nie będę, / To muszę pić dalej, by dalej móc żyć”. Uśmiechnął się nieśmiało. – Nauczyłem się tego w Cambridge. Tego i wielu innych rzeczy. Z jakiegoś powodu łamanie postanowień weszło mi tam w nawyk, podobnie jak łamanie serca mojej matce. Ale wtedy wszystko wydawało się takie proste. Młodzi mieli powstać i obalić paskudny wyrachowany system, miała być wolność i jedzenie dla wszystkich, a my mogliśmy zdobyć wspaniałe dyplomy z cudzołóstwa. Boże, to naprawdę wydawało się proste. Dlatego wielu moich przyjaciół pojechało walczyć w Hiszpanii. Wrócili tylko nieliczni. A wiesz, co robiła reszta z nas? – Upił wielki łyk whisky. – Absolutnie nic. Pieprzyliśmy wszystko. Siedzieliśmy na zadowolonych z siebie dupskach i nawet nie kiwnęliśmy palcem. Mogliśmy coś zrobić, mogliśmy to przerwać. Ale byliśmy za bardzo zajęci drapaniem się i kłóceniem o to, kto powinien być naszym przeklętym królem. No więc teraz to wszystko się powtarza, w Polsce.

– I w Finlandii.

Burgess przez chwilę się wahał.

– Tam sytuacja jest chyba inna. Ale rozumiem, co masz na myśli.

– Widzi pan jakąś różnicę?

– Oczywiście, że tak! – odrzekł z żarem Burgess. – Rosjanie to banda ignorantów, ale to nic w porównaniu z barbarzyństwem, jakie

gwarantuje Hitler. Nie tylko narzuca je poprzez wojnę, lecz obiecuje jako celowy akt polityczny. Poczytaj sobie. To wszystko jest w Mein Kampf.

Mac wzruszył ramionami.

– Może i ma pan rację. Wiem, co się dzieje w Polsce, panie Burgess. Zwłaszcza co spotyka Żydów. Czytałem, że się ich wyłapuje i wsadza do pociągów. Tylko dlatego, że są Żydami. Wysyłają ich do obozów, gdzie mają się oczyszczać przez pracę. Ja też jechałem w bydłowych wagonach, które wiozły mnie do obozów. Niech mi pan wierzy, nie było w nich nic czystego. Może ma pan rację, może faktycznie jest różnica między tym, co działo się wtedy, a tym, co dzieje się teraz. Mnie i większości innych uczniów właściwie nie wysyłano do obozów za to, kim byliśmy, ani nawet za to, co zrobiliśmy. Nigdy nie postawiono mi zarzutów i nie byłem sądzony, po prostu poniósł mnie nurt wydarzeń. Prawie jakby wysłano nas tam przez przypadek. Nie sądzę, żeby to, co dzieje się w Polsce, to był przypadek.

– No więc stoimy po tej samej stronie.

– Być może. Zastanawiałem się nad tym. Zastanawiałem się też, dlaczego działa pan w czymś, co moglibyśmy nazwać... branżą informacyjną.

– Masz na myśli dziennikarstwo.

– Panie Burgess. Jestem golarzem, nie imbecylem. Przeczytałem część materiałów, które dostarczyłem panu z kosza pod biurkiem ministra spraw wewnętrznych. Gdyby pan to opublikował, aresztowano by pana, a mnie najprawdopodobniej aresztowano by za dostarczenie panu tego.

Burgess milczał i wbrew swojemu zwyczajowi nie sięgnął po kieliszek.

– Obawiam się, że te informacje – proszę mi wybaczyć, staram się ostrożnie dobierać słowa – mogą nie sprzyjać działaniom wojennym.

– Działaniom wojennym? Jakim działaniom wojennym, do cholery? Właśnie na tym polega pieprzony problem! – Burgess zerwał się na nogi, nie będąc w stanie pohamować emocji. – Nie rozumiesz, Mac, to wszystko dzieje się znowu. Ten... – wypluwał z siebie słowa – prowincjonalny handlarz żelastwem, którego nazywamy premierem, próbuje walić swoją przekłętą parasolką w płonący miecz, a naziści zamierzają zmienić ten kraj w przypis do historii Tysiącletniej Rzeszy. Mój Boże, gdyby chociaż można było mówić o jakichkolwiek działaniach wojennych. – Burgess wykręcał sobie ręce, bez wątpienia przeżywał katusze. – Piję, żeby zasnąć, pieprzę, żeby zasnąć, robię wszystko, byleby tylko nie myśleć o tym, co się dzieje w Europie. Ale nie mogę, Mac, nawet we śnie. Mam koszmary. Widzę zwłoki. Tworzą sterty jak w fabryce śmierci – kobiety, małe dzieci, niemowlęta, nawet moja matka. Ona zawsze się tam pojawia. Wszyscy są połamani jak lalki. A na dnie tej olbrzymiej sterty leżą moi przyjaciele z Hiszpanii, właściwie jeszcze chłopcy. I wiem, że sam też gdzieś tam leżę, pogrzebany w środku. Tylko że w przeciwieństwie do reszty nie jestem martwy, po prostu powoli duszę się pod ich ciężarem... Później się budzę i odkrywam, że to jednak nie jest sen, że to się dzieje naprawdę. A żeby to powstrzymać, Mac, zrobiłbym wszystko. Wszystko, co trzeba. – Jego niebieskie oczy wypełniły się łzami i zaczął płakać, wcale tego nie kryjąc. – W Cambridge wszystko wydawało się o wiele prostsze. Świat był czarny i biały – owszem, poza tym trochę czerwony – i wszelkie problemy miały się rozwiązać pojutrze. Ale teraz fajdam w spodnie, bo bardzo się boję, że pojutrze obudzimy się i odkryjemy, że cała Europa to tylko jedna olbrzymia sterta połamanych ciał, a ten

głupi sztywniak Chamberlain będzie miał to wszystko gdzieś, bo przecież interesuje go tylko to, żeby znalazł się ktoś, kto pomoże mu wyprostować ten przeklęty kołnierzyk.

– No więc jakie jest rozwiązanie? – spytał cicho Mac.

– Nie wiem, Mac... Boże, chciałbym wiedzieć! – Ciężko opadł z powrotem na fotel. Był wyczerpany. – Wiem tylko, że muszę robić, co w mojej mocy, najlepiej, jak potrafię.

– To znaczy co? – Po chwili Mac sam sobie odpowiedział. – Przekazywać informacje.

Burgess wytarł oczy grzbietem dłoni.

– A jednak jesteś pieprzonym bratem Freuda. O co ci chodzi, Mac?

– Chyba o wiele spraw. O moje własne obawy, podobne do pańskich, o moje własne niedoskonałości. O to, że nie wiem, czego chcę ani co powinienem. Jest kobieta, o której pan wie. Widzi pan, bardzo ją lubię i ona też mnie lubi. Ma dwójkę wspaniałych dzieci. Powinienem być bardzo szczęśliwy, ale z jakiegoś powodu chyba nie jestem w stanie... Problem w tym, że chodzi o zaangażowanie. Właśnie ono nas poróżniło. Podobnie jak mnie i pana, panie Burgess. Kochanie czegoś albo kogoś o wiele bardziej niż samego siebie. Coś, przed czym uciekałem przez całe życie, jakby to była ścigająca mnie zaraza z przeszłości. Ale pan? Podchodzi pan do tego z tak wielką pasją. Chciałem spróbować zrozumieć pańskie zaangażowanie. Sprawdzić, czy przypadkiem nie jest zaraźliwe.

– I jest?

Mac długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Spytał pan, dlaczego przyszedłem, o co mi chodzi. Chodzi o to. – Spod cienkiego płaszcza Mac wyciągnął aktówkę. – Należy do ostatniego klienta, jakiego miałem dzisiaj wieczoru. Zostawił ją,

śpiesząc się na oficjalną kolację. Nie otwierałem, ale... Widzi pan, jakieś sto jardów od zakładu fryzjerskiego przy Curzon Street jest siedziba główna MI5 – to nasi stali klienci – a mój dzisiejszy klient to wysoki rangą oficer. Wieczorem je kolację i możliwe, że do swojego powrotu nie zauważy zniknięcia walizki – być może nawet do jutra rana. Wtedy wpadnie w panikę. I w końcu pomyśli o Trumper's. Będzie czekał przed drzwiami już o dziewiątej, gdy tylko otworzymy. – Mac podsunął Burgessowi aktówkę. – Jest pańska. Do siódmej rano. Jeśli pan chce.

– Wiesz, co robisz, Mac?

– Chyba nazywają to zaangażowaniem. Pomyślałem, że warto spróbować.

Odsunęła się na siedzenie, zapach skóry wypełniał jej nozdrza, spoglądała na niego z mieszaniną zdumienia i rosnącego strachu. Wieczór zaczął się tak optymistycznie, zawierał wszystkie elementy, które sprawiały, że było jej przyjemnie w jego towarzystwie. Bracken był taki troskliwy. Drinki w barze American w Savoyu – na jej cześć, oznajmił z emfazą – i kolacja w Grillu, gdzie przechadzał się między stolikami, rozpoznawany przez wszystkich – choć niektórzy mieli takie miny, jakby ich zęby właśnie natrafiły na twardą chrząstkę. Odnosiło się wrażenie, że odkąd wybuchła wojna, „drogi Brendan” jakby urósł. Oczywiście nadal pozostawał w cieniu swojego mistrza, ale teraz ten mistrz stał okrakiem nad całym światem, od jednego dalekiego portu do drugiego. Chwilami Bracken okazywał się wyjątkowo krótkowzroczny i miał trudności z rozpoznaniem tych, którzy mu się kłaniali, kiedy indziej jego krótkowzroczność była najzupełniej umyślna, wyrównywał dawne rachunki. Przy jednym ze stolików siedział bankier, który kiedyś odmówił mu pożyczki.

Mężczyzna rozpromienił się i wyciągnął rękę. Bracken – bardzo głośno, tak żeby usłyszeli to nie tylko goście bankiera, ale i ludzie przy sąsiednich stolikach – kazał mu spieprzać. I poszedł dalej, niepoprawny rozrzutnik, dyskutując o sprawach państwowych, o finansach i wojnie, a Anna nie odstępowała go ani na krok i cały czas się uśmiechała.

W szczególnie mało powściągliwy sposób relacjonował dymisję Hore-Belishy, mówiąc o tym, jak minister wojny przyszedł do jego pokoju – no cóż, jeśli ktoś woli pedantycznie trzymać się faktów, to właściwie do pokoju pana Churchilla – i wspólnie rozwiązywali ważne aktualne problemy. Niezbyt pochlebnie wyrażał się o zachowaniu H.-B. i o jego emocjach, raz po raz wyolbrzymiał fakty, wymachując przy tym rękami, lecz najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało i nikt nie kwestionował jego słów. Zainteresowanie ludzi dodawało mu chyba wyjątkowej energii, jakby stał na scenie w świetle reflektorów, posiłek zmienił się w jeden nieprzerwany monolog, a gdy ostatnie kolacyjne konwenanse splukał alkohol, Bracken zaproponował, żeby pojechali do Hyde Parku podziwiać księżyc nad jeziorem Serpentine. Osobiście zasiadł za kółkiem bentleya, a Savoy dał im do towarzystwa butelkę pol rogera. Ciemnymi i przeważnie opustoszałymi ulicami dotarli niebawem nad jezioro, które rozciągało się pośrodku parku niczym język. Byli sami, świat zdawał się należeć wyłącznie do nich.

A on znowu zaczął swoją opowieść o „małym Lesliem” – tak go nazywał – rozwodząc się o chwili, w której H.-B. we łzach przysięgał, że gdyby nie mądre rady Brackena, rozerwałby rząd na strzępy. Kiedy butelka pol rogera była już w połowie opróżniona, prawie wyłącznie przez Brackena, brzmiało to tak, jakby własnoręcznie ocalił cywilizowany świat przed grabieżczymi zapędami mściwego Żyda.

Znaczna część jego opowieści była po prostu bujdą, wszyscy o tym wiedzieli, lecz przekazywał ją z taką lubością i przekonaniem, że gdy kończył, większość ludzi prawie mu wierzyła, a pozostali chyba z jakiegoś powodu nie mieli nic przeciwko temu, że kłamie.

– Ależ Brendanie, kochany, co właściwie oznacza to całe odejście pana Belishy? – spytała Anna.

– Co oznacza? Przecież to oczywiste, do diabła. Oprócz Winstona był jedynym człowiekiem w rządzie, który miał jaja, żeby toczyć wojnę. To dlatego się go pozbyli. Oraz z powodu jego skłonności do zrażania do siebie wszystkich po kolei, od króla po arcybiskupa. Ale mój Boże, gdyby udało nam się go napuścić na Hitlera, jakież mógłby zadać mu straty!

Szyba była opuszczona, żeby mógł strzepywać popiół z papierosa, i do środka wpadało zimne powietrze. Niebawem wszystkie szyby całkiem zaparowały i w ogóle nie było widać księżyca.

– To oznacza, moja droga, że dopóki pan Neville Chamberlain jest naszym przywódcą, ten kraj nigdy nie będzie walczył. Będzie uskakiwał i unikał konfliktu dopóty, dopóki Hitler pozostawi mu choćby wąskie wyjście. Czasami myślę, że wypowiedział wojnę tylko po to, żeby wszystkich zmylić. Sądziliśmy, że niedługo wojna się skończy, ale minęło już prawie pół roku, a my nadal nie robimy niczego oprócz zanudzania tych drani i żywienia nadziei, że dzięki temu nam ulegną. Och, ale na szczęście nie potrwa to długo.

– Co nie potrwa długo, drogi Brendanie? – Lekko kąsała jego ucho, jakby coś takiego znacznie bardziej odpowiadało jej prowincjonalnym amerykańskim gustom niż słuchanie o losie świata.

– Pokój. Ta dziwna wojna. Nie podoba się opinii publicznej, nie podoba się Francuzom. – Jeszcze raz zaciągnął się papierosem. –

Trzeba coś zrobić. Dziś rano rozmawiałem o tym z Winstonem. Niedługo sytuacja się zmieni.

– Ale jak? Gdzie?

– W Norwegii! Z jakiegoś powodu zaczniemy wojnę w Norwegii. Z powodu rudy żelaza. – Znowu zaczął machać rękami. Przewrócił przy tym nie do końca opróżnioną butelkę, lecz albo tego nie zauważył, albo się tym nie przejął. – Chamberlain tego nie chce, Halifax uważa, że pomysł jest fatalny, ale Winston jest zdeterminowany. Odciąć rudę żelaza, a potem przydusić szkopów, zmuszając ich do uległości!

I nagle jego wymachujące ręce znalazły się na niej, najpierw na jej bluzce, a później pod spodem, i gorączkowo czegoś szukały.

Próbowała protestować, ale pocałował ją ustami o smaku tytoniu i szampana. Próbowała się odsunąć, lecz udało jej się tylko opaść na wielką skórzaną kanapę, a wtedy on rzucił się na nią tak, jak jeszcze nigdy dotąd. Miało to coś wspólnego z wojną, z dramatyzmem spraw publicznych i sposobem, w jaki teraz wszyscy go słuchali i podziwiali, nawet jeśli on patrzył na nich z góry. Jakby prowadził atak kawalerii i nie zamierzał brać jeńców.

Nawet gdy opadła na siedzenie, nacierał dalej, atakując ją ustami i językiem, a także rękami, i wydawał się głuchy na jej protesty. Jedna pierś została już odsłonięta, zimne nocne powietrze spadło na nią kaskadą, a Anna poczuła, że jest sztywny i napiera na nią. Mamrotał jakieś głupie czułe słówka, na równi z nią obmacywał samego siebie, a potem jego ręka znalazła się między jej nogami i zaczął pchać się coraz dalej. Z trudem łapała oddech, przygnieciona zarówno jego ciężarem, jak i zaskoczeniem, powtarzając sobie, że to nie może dziać

się naprawdę, aż w końcu poczuła, że on jest nagi i wciska się między jej uda. Ciało przy ciele.

W tym momencie nie wytrzymała. Wydobyła z siebie gardłowy krzyk i z zadziwiającą siłą odepchnęła go. Ponieważ jednak trzymał rękę głęboko pod jej bluzką, usłyszała odgłos rozdzieranego jedwabiu.

– Brendanie, nie! – zawołała, zapominając o wszelkiej powściągliwości, i zanim się spostrzegła, wyskoczyła z samochodu i uciekła. Biegła z ulgą, wiedząc, że do domu ma najwyżej pięć minut. Ścigały ją jednak także szyderstwa sów i narastający strach, gdyż wiedziała, że rano albo niedługo potem będzie musiała do niego wrócić.

Gdy zatrzasnęły się za nią drzwi samochodu, Bracken został oszołomiony i zły, i to nie tylko z powodu wypitego alkoholu. Właśnie dawał popis, jeden z najlepszych i najbardziej żywiołowych w swoim życiu, a publiczność wstała i wyszła. Było to zdumiewające i bardzo bolesne, lecz nie należał do mężczyzn, którzy pozwalają, by takie denerwujące przeszkody stawały im na drodze. Przedstawienie musi trwać.

Tylko krótki spacer dzielił park od Shepherd Market, a jeśli jechało się wykonanym na zamówienie bentleyem – nieważne, że mało płynnie – trwało to jeszcze krócej i niebawem Bracken dotarł do celu. Był tutaj już parę razy – niebezpieczeństwo, że zostanie rozpoznany albo przyłapany na grzeszeniu w miejscu publicznym z jakiegoś powodu go pociągało – ale okazało się, że Market jest zaciemnione, a we wszystkich bramach panuje taki mrok, iż z trudem rozpoznałby własną matkę. Gdy zatem wreszcie znalazł to, czego szukał, i kobieta zaprowadziła go po schodach do nędznego pokoju, wcale się nie zdziwił, odkrywszy, że ma ona niemal figurę matrony, trochę jak jego

rodzicielka. Wiedział, że nigdy nie zapomni dnia, w którym jako dziesięciolatek przybiegł powiedzieć matce o jakiejś niezastężonej karze wymierzonej przez tę świnię nauczyciela, a kiedy wpadł do domu, ze łzami w oczach szukając tam pocieszenia i czułości, zastał ją nagą przy kominku, wycierającą się po kąpieli, całą złożoną z ciemnych sutków, obwisłego ciała i odrażających tajemnic ukrytych pośród włosów. Zamiast pocieszenia i czułości dostał od wciąż nagiej matki największe lanie, jakie kiedykolwiek mu dała – na plecach zostały mu po nim ślady przypominające tory tramwajowe – i w końcu wybiegł na zewnątrz, gdzie nie mogła go dopaść.

Ciało tej kobiety przypominało mu o matce. Prawdę mówiąc, przypominały mu o niej ciała wszystkich kobiet. A gdy zdjął koszulę i wspomniała o zadrapaniu, które zauważyła na jego plecach, wróciła do niego fala obsesyjnych wspomnień. Zaproponowała maść przyspieszającą gojenie oraz coś, co mogłoby pomóc na pryszczach na plecach, ale Bracken nie wiedział – nie chciał wiedzieć – że ma pryszczach na plecach! Poczł się upokorzony. Zawsze miał pedantyczne podejście do higieny osobistej, był po trosze hipochondrykiem, przez co wizyty w burdelu jeszcze bardziej go stresowały, i wiadomość, że ma pryszczach, uświadomiła mu, iż popełnił okropny bład, bo wszystkie kobiety są w gruncie rzeczy takie same: podłe, nieczyste, tak jak jego matka.

No więc uderzył ją – walnął pięścią. W bok twarzy, gwarantując jej opuchnięte, podbite oko i niszcząc wulgarny, pozbawiony jakiegokolwiek uroku niebieski kolczyk, który dyndał jej obok policzka. Przeciął jej skórę, głęboko, i między jej palcami popłynęła krew, ale Bracken tego nie zauważył, bo już biegł po schodach, znowu usiłując uciec od wspomnienia swojej matki.

Rozdział osiemnasty

Luty-marzec 5984

Dickie zaproponował herbatę, do której Ian spodziewał się najwyżej racuszków. Zamiast tego dostał jednak grzankę z serem, a do popicia butelkę najwyborniejszego yquema, jakiego kiedykolwiek kosztował. Niektórzy traktowali tę wojnę zdecydowanie poważnie.

– Pomyślałem, że powinniśmy trochę odpocząć od trudnych warunków – upierał się Dickie.

– Zawsze chętnie ci w tym pomogę.

– Ta przekłeta wojna okazuje się dość uciążliwa.

– Szkoda mi tych biednych Finów.

– Trzeba im pomóc, stary, tak jak powiedział Neville. Moim zdaniem jego wczorajsze oświadczenie to było mistrzostwo. Absolutne mistrzostwo. Najprzenikliwsze wcielenie premiera. Cała Izba jadła mu z ręki. Jak on to ujął? „Podjęcie bezzwłocznych działań w celu przekazania Finom wszystkich dostępnych zasobów, jakimi dysponujemy”. Prawdziwy przywódca, w rzeczy samej.

– Więc jeszcze nie wiesz.

– O czym?

– Dowiedziałem się, gdy tu wchodziłem. Niefortunny moment.

– O co chodzi?

– O Finów. Skapitulowali. Ugięli się. Zawarli porozumienie z Rosjanami. Dali im, co tamci chcieli.

- Aha... - Dickie przez chwilę się zastanawiał, a potem mruknął wyjątkowo brzydkie słowo. Następnie skupił się na grzance z serem, zbierając palcami to, co z niej zostało, i szeroko rozdziawiając usta, żeby połknąć wszystko za jednym razem. - Mimo to musimy patrzeć na sprawę optymistycznie - zasugerował, wywołując kaskadę okruszków.

- Optymistycznie?

- No, na te wszystkie oddziały i sprzęt, jakie zamierzaliśmy im wysłać. Ale byłoby fiasko, gdyby tam dotarły, podczas gdy ci przekłenci Finowie się poddali. Zastanów się. Pierwsza strzelanina w wojnie i bylibyśmy po stronie przegranych. Nie, lepiej, że w ogóle nas tam nie było. - Strzepnął okruszki, które zatrzymały się na jego brzuchu. - Stawiam gówno przeciwko pałacowi, że Neville'owi właśnie o to chodziło. W gruncie rzeczy. O zwłokę. O upewnienie się.

- Finowie walczyli przez piętnaście tygodni, Dickie.

- Właśnie o tym mówię. A nam udało się trzymać z dala od tego całego bałaganu. Myślę, że będziemy to wspominali jako drobne zwycięstwo.

- Więc oferujemy wszelkie wsparcie oprócz faktycznej pomocy?

- Trzeba żyć, żeby móc walczyć w przyszłości. Bierz przykład z Winstona. Jeśli nie uda ci się za pierwszym razem, wleź w inną dziurę. Przecież to myśl przewodnia całej jego kariery.

- O czym nieustannie nam przypominają.

- Więc ty też dostałeś ten liścik? Nie mam pojęcia, kto go rozesłał... ale trafił w sedno. Winston zmieniał partie częściej niż ja żony. Lojalność nigdy nie była w jego stylu. Nigdy nie był prawdziwym torysem.

- Przekazał najlepszą wiadomość w ciągu tej wojny.

– Nie, Ianie, na tej wojnie nie ma dobrych wiadomości. – Dickie, opróżniwszy talerz, opadł na oparcie z zawiedzioną miną. – Gdziekolwiek spojrzeć, tylko udręka i kłopoty.

– Kłopoty, Dickie?

– Jakbym za mało dźwigał na swoich barkach. Nie jesz tej grzanki?

– Nie mam apetytu.

– Doskonale – oznajmił Dickie, sięgając po grzankę zostawioną przez kolegę. Wrócił do tematu dopiero, gdy ją pożarł. – No tak... kłopoty – westchnął.

– Jak jej na imię?

– Myra. To moja bratowa.

– Niech mnie szlag, Dickie, bratowa? Posuwasz się za daleko!

– Nie! Nie o to chodzi, głupcze. Ale... – zrozpaczony pokręcił głową – ...wygląda na to, że ostatnio wdepnęła w bagno. No cóż, zdarza się, stresy wojenne i tak dalej.

– W bagno?

– No, właściwie to w cukier. Jest na skraju załamania. Wracła do domu, ale jechała trochę krzywo, więc zatrzymali ją niebiescy. Wiesz, czysta podłość klasy robotniczej. Tylko dlatego, że prowadziła rollsa.

– Pijana?

– Raczej wykończona i rozkojarzona. Dobry jedwab na pewno poprawiłby jej humor.

– No więc w czym problem?

– Chcieli przeszukać samochód. Otworzyli bagażnik. I znaleźli zapas cukru.

– Przecież to nie zbrodnia.

– Właściwie to tak. Okazuje się, że ta kretyńska kupiła na czarnym rynku prawie trzyletnią rację cukru i właśnie wiozła ją do domu. –

Ponuro westchnął. – Trzysta jardów od jej drzwi, psiakrew. Przeklęty pech.

Ian powoli odsunął wino. Stracił apetyt na wszystko.

– Lokalne pismaki oszaleją ze szczęścia, jeśli się wyda, że łączą mnie z nią jakieś więzi – trajkotał Dickie. – Przemycała trzyletni zapas ciastek i deserów w bagażniku swojego rolls-royce'a. Zrobią z niej Marię Antoninę bez poczucia humoru. W przyszłym tygodniu stanie przed sędzią pokoju i chce, żebym jej pomógł. Dopytuje, czy nie mógłbym pociągnąć za jakieś sznurki. Nie mam pojęcia, co robić.

– Ja mam – odezwał się cicho Ian.

– Masz, stary?

– Poślij ją do diabła.

Gdzieś w Moors.

Moja odważna i kochana Sue,

Tęsknię za tobą. Bournemouth jest tak daleko.

Tutaj wszystko wydaje się nieskończone – wrzosowiska, pogoda, szkolenie. Północny wiatr wieje bez ustanku i nadal zdarzają się wielkie śnieżyce. A u ciebie? Nocami temperatury spadają poniżej zera, ale i tak posyłają nas na ćwiczenia. Wracamy do naszej kwatery w lokalnym domu ludowym, a tamtejszy bojler jest niewiele lepszy niż Belzebub. Teraz już wiesz, dlaczego tak naprawdę chcę się z tobą ożenić – żeby po prostu było mi ciepło!

Myślałem, że przygotowują nas na Finlandię, ale teraz to już przeszłość. No więc dokąd nas wyślą? Nigdy za bardzo nie uśmiechało mi się walczyć z Rosjanami, jest ich zbyt wielu. Nadal ostro ćwiczymy w śniegu. Drogi na wrzosowiskach są skute lodem i ciągle się na nich ślizgam na moim bsa. Wczoraj dwa razy się przewróciłem. Mimo to motor jest lepszy niż własne nogi, które

mają do dyspozycji wszyscy pozostali. Wreszcie uruchomiliśmy radiostacje – były wyposażone w niewłaściwe lampy elektronowe. Jedzenia nie sposób opisać słowami, ale tutejsze piwo i ludzie są przyjaźni. Nie opiliśmy ich jeszcze do szczeru, choć bardzo się staramy. Warunki raczej spartańskie.

Część żon zjawiała się w kwaterach w miasteczku i reszta z nas jest bardzo zazdrosna. Szkoda, że... W powietrzu wyczuwa się jednak, że coś się wydarzy. Dowożą broń i sprzęt, a wczoraj dostaliśmy nowego podporucznika, który jest tłumaczem. Ma na imię Petch, to cudzoziemiec. W każdym razie dziś wieczorem planujemy zabrać go do miasteczka i porządnie spać, żeby nam zdradził, skąd pochodzi. Prawdopodobnie właśnie tam będziemy się wybierać.

Chłopaki z Yorku są twarde, ale to dobrze. Jeśli kiedykolwiek przyjdzie nam walczyć z czymś innym niż nuda i odmrożenia, chcę ich mieć przy sobie. Myślę, że bez względu na to, dokąd nas pošlą, będziemy w stanie dobrze się spisać.

Jak tam szatnie? Tęsknię za tobą okropnie. Niech to diabli, właśnie przyjechał wóz, który ma nas zawieźć do pubu – muszę lecieć. Napiszę, gdy będę mógł. Obiecuję.

Zawsze będę cię kochał. Nie mogę się doczekać.

Jerry

Był to żołnierski list z luźniejszych, mniej ocenzurowanych czasów niż te, które nastąpiły później. Był to list, który hołubiła do końca życia.

Łazienkę wypełniały gęste obłoki pary.

– To ty, Burgess? Wejdz, wejdz! – Churchill leżał w mydlanej wodzie i wyzywająco ścisnął w ustach cygaro. – Nie przejmuj się, że się

kąpię. Ostatnio na wszystko mam bardzo mało czasu, muszę się streszczać. Chodź, usiądź na krześle dla gości.

Burgess ostrożnie i trochę nieśmiało usiadł na wskazanym miejscu, a Churchill dalej pluskał się w olbrzymiej emaliowanej wannie w apartamencie Admiralicji. Ze ścian i luster spływały krople wody.

– Dziwny był ten liścik, w którym napisałeś, że chciałbyś się ze mną spotkać. Nabazgrałeś go na odwrocie rysunku. Dlaczego?

– Wcześniej napisałem dwa listy z prośbą o spotkanie, sir. Nie dostałem odpowiedzi. Pomyślałem, że być może system dostał czkawki, że chyba nie ma pan czasu. Odkąd przeprowadził się pan do Admiralicji, nie mogę już wystawać pod pańskimi drzwiami, więc... pomyślałem, że podejmę ostatnią próbę. Wyślę coś bardziej wpadającego w oko niż list.

– Tak się śmiałem z obrazka, że o mało nie przeoczyłem tego, co napisał pan na odwrocie. Dobry pan jest, bardzo dobry.

Na rysunku był niszczyciel HMS „Britannia” przekształcony tak, by nabrał charakterystycznych cech Churchilla. Miał cygaro wysunięte niczym płonący wylot lufy i wyrywał się na otwarte morza, podczas gdy zapasowa kotwica złożona z kilku innych członków Ministerstwa Wojny – z samym premierem na czele –

kurczowo trzymała się rufy, powstrzymując go i niemal grożąc przewróceniem niszczyciela do tyłu. Na odwrocie Burgess nabazgrał tajemnicze pytanie: „Możemy się spotkać?”

– Mówi pan, że już pisał? Nic do mnie nie dotarło.

– Czkawka w systemie – powtórzył Burgess.

– Ha! Ma pan na myśli Brendana. Koordynuje sporą część mojego harmonogramu dnia. Przypuszczam, że pana nie lubi.

– Prawdopodobnie z wzajemnością.

– To nie jego wina. Jest o mnie bardzo zazdrosny. Nie lubi ludzi, którzy tak po prostu wchodzą z ulicy do mojego salonu – albo do mojej łazienki. Widzi w panu coś w rodzaju zagrożenia.

– Zagrożenia?

– Jego pozycji. Jest dość zaborczy. Nawet Clemmie tak uważa. Mówi, że zjawił się razem z meblami i nigdy nie odszedł. Bywa męczący, ale jest całkowicie lojalny, nie służy żadnemu panu oprócz mnie.

– Skąd ta pewność?

– Niech się pan zastanowi. Kto inny by go chciał?

Burgess przypuszczał, że ktoś by się znalazł, lecz nie podzielił się tą myślą z Churchillem, gdy ten szukał mydła w najdalszych zakamarkach wanny.

– No więc, młody człowieku, chciałeś porozmawiać. Zdaje się, że ma pan zwyczaj rozmawiania ze mną w wyjątkowo zagmatwanych i niespokojnych czasach. Niech pan się postara nie zostać ekspertem w tej dziedzinie. W przeciwnym razie Bracken znielebi pana jeszcze bardziej.

– Niespokojne czasy stwarzają różne okazje – prawda, panie Churchill?

– Tak, tylko dla kogo niespokojne?

Burgess pochylił się z łokciami opartymi na kolanach, coraz bardziej mokry od pary. Nie był zbyt dobrym pokerzystą, miał problem z kontrolowaniem swojej twarzy, zbyt łatwo przychodziły mu humor i pogarda, i właśnie zamierzał podjąć spore ryzyko. Nie czuł się swobodnie, choć bardzo by tego chciał.

– Jako dziennikarz mam przeróżne kontakty. Jedne nieszablonowe, inne wręcz niedyskretne. Taka praca.

– Wciąż nie odpowiedział pan na moje pytanie. Niespokojne dla kogo?

– Dla pana Chamberlaina, jak przypuszczam, i dla jego sprawy.

– Będącej też moją sprawą.

– Nie, wcale nie! – Za bardzo się emocjonował.

– Zaprzecza mi pan?

– On jest do szpiku kości wytwórcą nakrętek i śrub. Nie rozumie ludzi, a jedynie maszyny. Nie ma pojęcia, w którą stronę maszerować, a otaczają go tacy, którzy nie chcą maszerować nigdzie. Którzy kupią pokój niemal za każdą cenę. On nie ma do tego serca, nigdy nie miał.

– To tylko takie gadanie.

– Z panem Chamberlainem nie zdołamy wygrać wojny. Poza tym on jest chory. Wiem o tym z bardzo dobrego źródła. – No cóż, było to źródło w postaci teczek, które znalazł w aktówce od Maca. – Ma groźny wrzód żołądka, być może coś gorszego.

– Wojna daje się we znaki nam wszystkim...

– Jutro kończy siedemdziesiąt jeden lat. Starzec mający mało czasu.

– Niektórzy powiedzieliby, że taki opis doskonale pasuje do mnie.

– Tylko że on jest chorym starcem, nie może spać, nie może jeść.

I stoi przed największym zagrożeniem, z jakim kiedykolwiek konfrontował się ten kraj. Moim zdaniem to powód do niepokoju.

Churchill zanurzył się w wodzie niczym hipopotam w upalny dzień.

– Powiedział pan, że wie to z dobrego źródła. Z jakiego?

Burgess przecząco pokręcił głową.

– To źródła dziennikarskie, panie Churchill, wie pan, że nie mogą ich ujawniać. Ale nieważne, skąd mam te informacje, liczy się to, że są

prawdziwe. Widuje pan pana Chamberlaina właściwie codziennie, sam pan może to ocenić.

Churchill zastanawiał się i w zamyśleniu bawił się mydłem.

– Założmy, że rzeczywiście jest chory... Co pańskim zdaniem miałbym zrobić z tą informacją?

– Wykorzystać ją. Ten kraj nie może sobie pozwolić na chorego człowieka na stanowisku premiera.

– Nie mogę jej wykorzystać. – Churchill powoli pokręcił głową.

– Dlaczego?

Niebieskie oczy Churchilla z przyganą spojrzały na gościa.

– Właśnie dlatego, że on jest premierem.

– Ależ musi pan!

– Wywołać chaos i dać Hitlerowi okazję, na którą tylko czeka? Żeby mógł nas zaskoczyć w chwili nieuwagi, gdy kraj będzie zdestabilizowany i pozbawiony przywódcy?

– Właśnie to może nastąpić, jeśli Chamberlain dalej będzie się guzdrał.

– Chciałby pan ze mnie zrobić parlamentarnego zamachowca?

– Oczywiście.

– I co potem?

– Zajmie pan jego miejsce.

– I jaki przykład dałbym innym zamachowcom? Nie, panie Burgess, pan Chamberlain prosił mnie o lojalność i dałem mu słowo.

– Przywiązuje pan wagę do obietnic? Nawet gdy jego sługusy rozpowszechniają jadowite listy na pański temat? Gdy na każdym kroku osłabiają pana pozycję? Przecież pan wie, że tylko czekają na odpowiedni moment, tak jak w wypadku Hore-Belishy.

- Nieważne! - Churchill podniósł rękę, żeby odeprzeć atak. Jego instynkt też toczył walkę, lojalność z całym impetem nacierała na ambicje i nie było szans, by zdołał rozstrzygnąć ten konflikt w kąpielni. Potrzebował czasu, żeby rozważyć to, co właśnie usłyszał.

- To jeszcze nie wszystko.

- Wymierza pan razy jak podoficer żandarmerii na okręcie wojennym.

- Chodzi o Daladiera, premiera Francji.

- Naszego najważniejszego sojusznika.

- Właściwie naszego jedyne go sojusznika.

- Nieludzko się pan wyklóca.

- Pozwolę sobie przypomnieć, że nastąpiły nieludzkie czasy, sir. Mam przyjaciela, to chef de cabinet...

- Ach, szanowny monsieur Pfeiffer.

Burgess zbladł. Dał się ponieść chwili i za dużo wyjawiał.

- Jego zdaniem rząd Daladiera lada chwila upadnie. Nie sprawdził się, podobnie jak sam Daladier, i jego wrogowie się mobilizują. We Francji może rozpętać się chaos.

- A po nim będzie szansa na odnowę. Pojawi się silniejszy przywódca.

- To samo powinno się wydarzyć tutaj! - Logika takiego rozumowania była bez zarzutu, lecz gubiła się w wirze gwałtownych emocji.

- Nie, nie, nie! - Churchill usiadł w wannie, odgarniając z oczu przeredzone włosy. - Nie pozwolę na bunt.

- To nie żaden bunt, lecz zwyczajne obranie innego kursu. A może wolałby pan poświęcać czas na przestawianie leżaków na tonącym statku?

Och, dobry Boże, posunął się za daleko...

– Cholerna bezczelność! – zagrział Churchill, ale Burgess wytrzymał jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem. Był młodzieńcem zdeterminowanym, nawet jeśli porywczym, tak jak kiedyś Churchill, który żałował, że już taki nie jest. Nagle ogień osłabł. Pierwszy lord Admiralicji otrząsnął się.

– Niech pan będzie tak miły i przyniesie mi ręcznik – polecił Burgessowi.

Burgess zrobił to. Fale gwałtownie się rozstały, naśladując cud na Morzu Czerwonym, i Churchill wstał nagi, bardzo różowy, niczym ogromny, ociekający wodą Nautilus otoczony parą i kałużami.

– Powiedz mi, Burgess, jesteś owcojebcą?

– Co? – Burgess omal się nie zakrztusił.

– Wie pan, co mam na myśli... cieplaka, pedzia. Wyjmuje pan karty ze spodu talii? Nie obchodzi mnie, jak pan to nazywa, ale żądam odpowiedzi.

Burgess skamieniał. To był jakiś sprawdzian. Co miał powiedzieć, do cholery? Postanowił wyznać prawdę, choćby z tego powodu, że byłaby to przynajmniej jakaś nowość.

– Ujmę to tak, panie Churchill: nie proponowałbym, żeby rozważył pan moją kandydaturę na idealnego zięcia.

– Musi mi pan wybaczyć tę impertynencję, Burgess – podjął Churchill, owijając się fałdami ręcznika – ale słyszałem o skłonnościach pana Pfeiffera i to, że je pan podziela, wiele mówiłoby o pana kontaktach. Widzi pan, muszę podjąć pewną decyzję.

– W kwestii tego, czy lubi pan takich jak ja?

– W kwestii tego, czy mogę panu zaufać.

– Czy może pan zaufać homoseksualiście?

- Dobry Boże, człowieku, nie bądź idiotą, chodziłem do Harrow. Chcę tylko ocenić, czy mogę zaufać pańskiej uczciwości – i pańskim informacjom. Bo ostatecznie jest pan kimś, kto zajmuje się informacjami. A to czyni z pana potencjalne zagrożenie.

- Zaczyna pan mówić jak Bracken.

- Ach, jednak jest między nami pewna różnica. – Churchill wślizgiwał się właśnie w bieliznę z czystego jedwabiu i obficie spryskiwał wodą kolońską. Robił to wszystko, ani razu nie wyjmując z ust cygara. – Życie nauczyło mnie cenić ludzi mających informacje – w latach, które spędziłem w dziczy, wielokrotnie ratowali mi oni skórę. Nauczyłem się jednak także podejrzliwości wobec takich osób, bo informacje to władza, a ludzie z informacjami lubią manipulować innymi. W tym mieście roi się od takich. – Patrzył prosto na Burgessa i marszczył brwi. – Muszę zdecydować, czy jest pan ze mną szczerzy.

- I?

- Przypuszczam, że może pan mieć kontakty także ze służbami wywiadu.

Był to następny sprawdzian. Niech to szlag, ten człowiek wiedział za dużo o... no cóż, po prostu wiedział za dużo. Burgessowi zrobiło się niedobrze. Przeszarżował.

- Nieformalne kontakty – odrzekł. Było to wyjaśnienie najbliższe prawdy, na jakie mógł się zdobyć, i chyba wyjaśniało kradzież walizki z MI5.

- Zastanawiam się zatem, czyje interesy pan tak naprawdę reprezentuje.

- Pańskie, mam nadzieję. – Wiedział jednak, że dostał niedobre karty.

– Odkąd się poznaliśmy, chwalebnie mi pan kibicuje: wspiera mnie pan, zachęca. Ale wyczuwam, że ma pan własne plany, tak jak Kasjusz i jego współspiskowcy. Nie będę pańskim Brutusem.

– W takim razie musi pan przywyknąć do chaosu i psów wojny.

– Powiedziałem kiedyś, że jest pan zaskakującym człowiekiem, Burgess. Człowiekiem, który się pojawia, gdy rozpada mi się świat. Z jakiegoś powodu żałuję, że nie widywałem pana znacznie rzadziej.

– Joe! – zawołał Horace Wilson. – Witaj z powrotem na tym łądzie. Jak sobie radzi kraj wolnych ludzi?

– Szykuje się na dyktaturę. Roosevelt chce trzeciej kadencji i jest gotów zawrzeć pakt z diabłem, żeby dopiąć swego.

– Wygląda na to, że dyktatura zrobiła się niezwykle modna.

– Co, moim niezbyt skromnym zdaniem, Horace, może wcale nie być takie złe. Mów, co chcesz o Adolfie, ale sprząta sporą część europejskiego bałaganu. Odwała za ciebie brudną robotę.

– Jego metody pozostawiają wiele do życzenia.

– Ej, przecież to Lebensraum. Każdy kiedyś tak robi. Czym jest twoje imperium, jeśli nie Lebensraumem? Do diabła, nawet Stany Zjednoczone Ameryki to nic innego jak matka wszystkich eksperymentów z Lebensraumem. Powinniście odpuścić Adolfowi, dopóki jeszcze możecie.

– Ach, Joe, znasz Margot, prawda? Żonę ministra...

– Pewnie, że znam.

Ambasador z czułością wyciągnął rękę – być może odrobinę zbyt poufale, zważywszy na okoliczności – lecz ona to zignorowała i odpowiedziała mu jedynie zimnym, wściekłym spojrzeniem, po czym zniknęła w głębi salonu z filarami przy Downing Street, gdzie zebrali się goście, by świętować urodziny premiera.

- Margot ma pamięć słonicy. Ja zawsze powtarzam: przebacz i zapomnij. - Wziął następny kieliszek szampana z podsunętej mu srebrnej tacy. - Byłaby to niezła polityka wobec Hitlera, jeśli chcesz znać moje zdanie.

- Kraj nie jest w nastroju do bawienia się w to całe przebaczenie i zapomnianie, Joe. Wiesz, że niedawno podczas niemieckiego nalotu niedaleko Scapy zginął pierwszy cywil? - Mówił ściszym głosem, wodząc oczami po sali niczym strażnik na służbie, choć całą uwagę poświęcał Kennedy'emu.

- Pierwszy z milionów, jeśli będziecie tacy uparci.

- Trudno uznać, że jesteśmy uparci, raczej szukamy właściwego sposobu, żeby uniknąć takiego scenariusza.

- Moja siostrzenica Anna ciągle mi powtarza, że krążą pogłoski o Norwegii.

- Ach, kamień milowy demokracji: opinia publiczna. Nalega, żebyśmy coś zrobili, byle nie na własnym podwórku. No więc proszę. Brytyjska opinia publiczna chce, żeby zrobić coś daleko za morzem, a francuska opinia publiczna z równym wigorem nalega, by zrobić coś z dala od Francji. Odpowiedź? Norwegia.

- Do dupy z taką odpowiedzią.

- No cóż, nie chcę zostać posądzony o brak lojalności, ale muszę zaznaczyć, że głównym entuzjastą walki wśród kry jest Winston.

- Powtarzam: do dupy.

- Ale los mu sprzyja. On nie chce dać za wygraną. Mój Boże, próbowaliśmy go przekonać, lecz...

- W ubiegłym roku wybrałem się do Arizony. Zastanawiałem się nad zakupem stadniny. Przejechałem się na koniu, który się znarowił. Zastrzelili go.

– Niestety, hodowla mężów stanu to nauka mniej precyzyjna niż hodowla koni.

– Nie w Niemczech.

Wilson nie odpowiedział, zamiast tego pozdrowił skinieniem głowy przechodzącego gościa.

– A więc Norwegia – drążył Kennedy.

– Możliwe. Tego chcą Francuzi, tego chce Winston. A Norwegowie odsłoniли swoje gardła przez ten cyrk z „Altmarkiem”. Podeptali argumenty Ministerstwa Spraw Zagranicznych dotyczące potrzeby poszanowania neutralności.

– No to lepiej się przygotujcie.

– Joe, mogę cię zapewnić: mamy plany, oceny, komisje, szacunkowe dane, raporty i nowe plany, aż z trudem...

– Nie, chciałem powiedzieć, żebyście przygotowali się... na klęskę.

– Wątpisz w nasze możliwości?

– Pakujecie się w armagedon, nie mając prawie żadnych sojuszników...

– Mamy Francuzów.

– Nawet Francuzi nie mają Francuzów! Mimo to przystępujecie do wojny, nie mając dość samolotów, broni, czołgów ani żołnierzy... a teraz chcecie jeszcze łowić ryby w pieprzonej Arktyce.

– Niemniej...

– Mówię tylko, żebyście się przygotowali, Horace. Jeśli wygracie, nie ma sprawy – okrzykniecie Neville’a wielkim wojownikiem. Ale jeśli nie, jeśli wszystko weźmie w łeb, lepiej przygotujcie się do tego, żeby wszystkie pomyje, które zaczną do was płynąć, trafiły prosto na głowę Winstona Churchilla, tak jak po Gallipoli. Po prostu mówię, żebyście się przygotowali.

– Panie ambasadorze, miło mi słyszeć, że... – zaczął Wilson, lecz nagle chyba coś go zaskoczyło. Jego niespokojne spojrzenie zahaczyło o inny obiekt. – Joe, wybacz. Muszę coś załatwić.

I z niedyplomatycznym pośpiechem zostawił Kennedy'ego, by precyzyjnie się przemieszczać przez tłum w stronę premiera.

– Neville'u, nie chciałbym ci psuć urodzin, ale wyglądasz na wykończonego – szepnął.

Twarz Chamberlaina przybrała kolor starego wosku, oczy upodobniły się do szkła. Stał sztywno i lekko drżała mu ręka.

– Czuję się tak, jakby ktoś właśnie przeszedł po moim grobie – odrzekł premier cicho i z wysiłkiem.

Wilson poprowadził swojego pana w stronę drzwi, starając się zachować jak największą dyskrecję.

– Przed chwilą się dowiedziałem, Horace. Dostałem liścik – mówił Chamberlain zachrypniętym głosem. – Daladier odszedł. Wykopali go. Jego własni ludzie zwrócili się przeciwko niemu w Izbie Deputowanych. Twierdzili, że nie potrafi toczyć wojny.

– To jego grób, Neville'u, nie twój.

– Zastąpił go Reynaud. Będzie nalegał na Norwegię. Niedługo dopnie swego. Wojna się zbliża, nie będziemy w stanie się jej przeciwstawić.

– Poradzimy sobie, Neville'u. Niepotrzebnie się przejmujesz.

– Po prostu chodzi o to, że... właśnie tego chce Winston. Żąda Norwegii od miesięcy. Jak katolik w wyznaniu wiary. Norwegia, Norwegia, nic tylko Norwegia. Gdziekolwiek spojrzę, wszędzie jest przeklęty Winston. – Słabo chwycił Wilsona za rękaw. – Wiesz, czuję w brzuchu rozdzierający ból. Ten ból naprawdę dość mocno mi doskwiera. Chyba muszę się na chwilę położyć.

Wojna nie pozwalała jednak na relaks i odpoczynek. Wezwano lekarza premiera, który zalecił oszczędzać siły i poddać się badaniom, lecz Chamberlain odmówił. Nie było czasu, miał zbyt dużo do zrobienia. Opinia publiczna i Francja nalegały – trzeba coś zrobić! Zresztą było zbyt wielu wrogów mogących wykorzystać nawet najmniejszy przejaw słabości. Nikt nie mógł się dowiedzieć. Przecież nie on pierwszy zmagał się z wrzodami. Lekarz zwiększył zatem dawki leków, wydał surowe instrukcje dotyczące diety, a Chamberlain uparcie, odważnie i na oślep parł przed siebie.

Na początku kwietnia wygłosił przemówienie pełne pewności siebie i wigoru – jego zdolność do regeneracji okazała się dość niezwykła. Poszedł na zebranie partii w Westminsterze i powiedział, że jest dziesięć razy bardziej pewny zwycięstwa niż na początku wojny. Publiczność złożona z wiernych członków partii była tym zachwycona – i była zachwycona nim samym, właśnie na tym polega cały sens wierności. Oklaskiwano każde jego słowo. Zachęcony entuzjazmem i unoszony niekwestionowaną lojalnością, oznajmił, że Wielka Brytania jest silniejsza niż kiedykolwiek, wręcz niepokonana – „Hitler spóźnił się na autobus!”, rzekł zwycięsko, a jego słowa, wydobyte z wypełniającego salę przegrzanego powietrza przesiąkniętego ślepa lojalnością, czekało nowe życie w nagłówkach wszystkich gazet. Być może nie tak licznych jak „Pokój dla naszych czasów”, lecz później i tak miały powrócić, by go nękać.

Chamberlain dobrze wiedział, co to znaczy spóźnić się na autobus – on i jego koledzy zdobyli przecież znaczne umiejętności w tym zakresie. Od Bożego Narodzenia rozważali podjęcie akcji wojskowych przeciwko Norwegii i pod naciskiem Churchilla kilka razy o mało nie postanowili działać. Zawsze znajdował się jednak jakiś powód, żeby to

odwlec. Norwegia była neutralna. Norwegia mogłaby zawrzeć sojusz z Niemcami. Podobnie jak Szwecja. Co pomyśleliby Amerykanie? Jak zareagowaliby Niemcy? Co jeśli zaczęłoby padać śnieg i co jeśli by stopniał? Co jeśli Norwegowie stawiliby opór i (ściszone głosem) co jeśli wyszłyby z tego następne Dardanele? Co jeśli, co jeśli, co jeśli...? Może i Norwegia była odpowiednim miejscem, ale brakowało odpowiedniej pory, dopóki Daladier nie wypadł z gry, a zwlekanie przestało być wybawieniem i stało się grzechem śmiertelnym.

W końcu to wszystko zaczęło trochę przypominać cyrk na kółkach. Doszło do tego, że w trakcie inspekcji map w Ministerstwie Wojny Halifax pomylił granicę między Norwegią a Szwecją z linią kolejową. Pokazywało to jednak tylko, że w Europie granice nie są już tym, czym były kiedyś.

Churchill stał obok kominka z czarnego marmuru, opierając się o gzyms i trzymając szklaneczkę whisky. Gdy wpatrywał się w płomień w palenisku, do jego gabinetu w siedzibie Admiralicji wpadł Bracken, jak zwykle nie wykazując ani odrobiny powściągliwości.

– O, Brendan! – powitał go pierwszy lord, odwracając oczy od ognia. – W samą porę. Zaczęło się. Norwegia!

Bracken szybko podszedł do barku, żeby napełnić sobie szklaneczkę.

– A więc stary drań ustąpił.

– Jak to mówią, zatrzymał autobus i zgodził się wsiąść.

– Co wysyłamy?

– Na początek minowce. Potem oddziały. Pół floty.

– Za zwycięstwo! – Bracken wznosił toast. – Najpóźniej w weekend!

– Nie bądź tak cholernie impulsywny – zganiał go Churchill. – Myślisz, że Hitler nie kiwnie palcem? Wkroczenie do Norwegii będzie przypominało polanie jodyną tyłka jeżozwierza. Będzie pieklił się i wrzeszczał. Oraz walczył.

– Tak myśli Chamberlain?

– „Tak myśli Chamberlain?” – powtórzył Churchill, nie starając się ukryć szyderstwa. – Mój Boże, gdyby myślał, że ta operacja doprowadzi do wymiany ognia, już zapychałby wszystkie nasze karabiny końskim łajnem.

– A więc...? – podjął skołowany Bracken.

– Nie rozumiesz? Hitler zareaguje, będzie walczył. Wojna to jedyna reakcja, jaką zna. I wkrótce otoczy nas chaos. Och, będzie ciężko, czeka nas straszliwa wojna, ale nie ma innego wyjścia. Zamiast patrzeć, jak pożera wszystko kawałek po kawałku, zmusimy go, żeby zrobił to hurtem – i przy okazji pożre samego siebie.

– Cholera, brzmi to dość desperacko.

– Musimy iść na wojnę, Brendanie. Tylko w ten sposób pokonamy nazistowską tyranię.

– O matko. – To było wszystko, co zdołał wymyślić Bracken. Nalał sobie drugiego, znacznie większego drinka.

– Zaczęło się. – W oczach Churchilla pojawił się osobliwy blask, zajaśniała w nich wirująca energia niezwykła u człowieka w jego wieku. – I właśnie dlatego musimy się przygotować. Mam dla ciebie misję, Brendanie, misję największej wagi. Usiądź i słuchaj uważnie.

Bracken czuł się tak, jakby wrócił do szkoły, rozpaczliwie próbował zrozumieć, co się dzieje.

– Wkrótce będziemy toczyli wojnę.

– Premier mówi, że jest teraz dziesięć razy pewniejszy zwycięstwa.

– Mógłby być... gdybyśmy mieli dziesięć razy więcej ludzi i dziesięć razy więcej broni! Ale nie mamy. Dysponujemy potężną marynarką wojenną i siłami powietrznymi, które wreszcie się rozrastają. Widziałem nowe samoloty: spitfire'y i hurricane'y. Są nieliczne, ale wspaniałe. Mimo to nasza armia jest w rozpaczliwej sytuacji. Miliony poborowych ściągają do wojska, lecz są zieloni, nieprzeszkoleni – i często nieuzbrojeni. Wiesz, Brendanie, że rekrutów zmusza się do musztry z widłami, a nawet z kijami od mioteł? Nie możemy walczyć ze szkopskimi żołnierzami za pomocą kijów od mioteł!

– Masz plan. Zawsze masz jakiś plan. – W ustach Brackena zabrzmiało to jak oskarżenie.

– Musimy mieć karabiny. Nasze fabryki nie zdołają wyprodukować ich na czas, ale chyba wiem, które dałyby radę.

– Które?

– Niemieckie. I ty je do tego nakłonisz.

Zapadła pełna zdumienia cisza.

– Prawda, że to doskonały pomysł, Brendanie?

– Popraw mnie, jeśli źle zrozumiałem. Chcesz, żebym pojechał do...

– Do Europy. Na granicę samej Rzeszy. Myślę, że najlepiej będzie do Belgii.

– I mam poprosić o kilka tysięcy karabinów.

– O kilkaset tysięcy. Za które bez wątpienia przyjdzie nam zapłacić twardą gotówką.

– A nie obawiasz się, że Niemcy nabiorą trochę podejrzeń, a nawet że nie będą skłonni do współpracy, jeśli zjawimy się pod ich drzwiami i zaczniemy kupować ich karabiny?

– No cóż, sam nie mogę się tym zająć. Więc to zadanie musi przypaść tobie. Słuchaj – zaczął stukać palcem w mapę wiszącą na

ścianie – Niemcy są otoczone mnóstwem neutralnych krajów, które handlują z Rzeszą najróżniejszymi towarami. Pojedziesz zatem do jednego z nich, zasięgniesz języka i dobijesz targu. Jesteś biznesmenem, wiesz, jak to się robi.

– Skoro to takie proste, dlaczego nie wyślemy tam ministra do spraw zaopatrzenia?

– Nie bądź imbecylem! Niemcy nigdy nie sprzedaliby Brytyjczykom broni. Musisz uciec się do podstępu i twierdzić, że występujesz w imieniu jakiegoś neutralnego kraju, Brendanie. Najważniejsze, żeby załatwić sprawę szybko. Dziś. Jutro. Błagam cię. Zanim dotrze do nas sztorm.

Bracken w skupieniu wpatrywał się w Churchilla. Pierwszy lord wydawał się trzeźwy i brzmiał śmiertelnie poważnie.

– Oczywiście może nic z tego nie wyjść, ale jeśli nie spróbujemy... – mówił, kontynuując temat.

– Genialne. – Bracken cicho zaklaskał. – Absolutnie genialne. Ale nie mogę tam pojechać.

– A to dlaczego?

Dlaczego? Dlatego że brzmiało to jak szaleństwo. I byłoby cholernie niebezpieczne. Czy to za mało? Jednak także dlatego, że zadzwoniła skruszona Anna, ze łzami przeprosiła za scenę, którą zrobiła w samochodzie, błagała go, żeby znowu się z nią spotkał, sugerowała, że mogliby wyjechać na kilka dni na wieś i zapomnieć o tym wszystkim. Po tamtym wieczorze czuł się źle, nie mógł znaleźć sobie miejsca, a nawet był trochę zażenowany, ale jej telefon wygładził wszystkie nierówności i Bracken znowu mógł być szczęśliwy – gdyby tylko znalazł na to czas.

– Ze względu na Norwegię, Winstonie, oto dlaczego. Zaczną się oświadczenia, debaty, pytania, najróżniejsze działania w Izbie i będziesz uwiązany tu, w Admiralicji. W herbaciarni i palarni będziesz mnie potrzebował bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Wyślemy zatem kogoś innego, kogoś, komu można zaufać.

– Kogo?

– Na przykład Boba Boothby’ego. Nadaje się znakomicie. Umysł polityczny, doświadczenie w biznesie. Całkowicie lojalny wobec ciebie. Płynnie mówi po francusku, jak sądzę, a do tego po włosku i trochę po niemiecku. – Bracken zmyślał na poczekaniu. Tak naprawdę nie miał pojęcia, czy Boothby zna języki obce, ale jego entuzjazm wydawał się aż nadto pasować do sytuacji.

– No to poszukaj go, Brendanie. Sprowadź go tu natychmiast! – rozkazał Churchill. – Przedstawmy mu sprawę i wyślijmy go w drogę.

Decyzja zapadła. Bracken zapoznał Boothby’ego z planem. Gdy to robił, żaden z nich nie mógł wiedzieć, że każde słowo z ich rozmowy jest zapisywane stenograficznie, a kopia znajdzie się na samym wierzchu dokumentów trafiających codziennie na biurko sir Josepha Balla.

Rozdział dziewiętnasty

Kwiecień 584

Na początku kwietnia batalion Jerry'ego przeniesiono z poligonu w Thirsk do stałej placówki w Szkocji, gdzie wszedł w skład 146. Brygady Piechoty. Wieść niosła, że niebawem miał wziąć udział w działaniach – prawdziwych działaniach – i większości perspektywa ta wydawała się o wiele przyjemniejsza niż monotonne szkolenie na wrzosowiskach. Dołączyły do nich inne jednostki, w głównej mierze armii terytorialnej, a nie regularnego wojska. Dlatego zaczęli się zastanawiać, czy przypadkiem nie zanoszą się na kolejne ćwiczenia, a nie na prawdziwą akcję.

Późnym wieczorem, gdy powoli zaczęło się ściemniać, konwój ciężarówek obwieszonych kamuflażem przewiózł ich do portu w Rosyth. W dokach panował z trudem kontrolowany chaos, kiedy na pokład dwóch krążowników ładowano najróżniejszego rodzaju zaopatrzenie – pojazdy, skrzynie, worki z jedzeniem, a nawet żywe osły. Jerry zauważył też, że wnoszono kilka wędek i strzelb sportowych. A więc zdecydowanie chodziło o ćwiczenia, tyle że – sądząc po olbrzymiej koncentracji ludzi i zniecierpliwieniu oficerów – na szeroką skalę.

Następnego dnia wczesnym rankiem batalion Jerry'ego skierowano na pokład jednego z krążowników i po niemałej sprzeczce kwatermistrzów z cywilnymi pracownikami doku resztę zaopatrzenia upchnięto w kadłubie albo ułożono w stertach na każdym wolnym

skrawku pokładu. W hałasie i zamieszaniu jeden z osłów wpadł w panikę. Zaczął gwałtownie wierzgać w uprzęży podczas załadunku, rycząc ze strachu i kołysząc się wiele stóp nad pokładem. Załadunek zupełnie ustał, gdyż dokerzy i żołnierze wykrzykiwali wzajemne oskarżenia, aż w końcu kwatermistrz wyjął swojego webleya i wypalił do rozkołysanego zwierzęcia. Oznajmił, że w razie dalszych opóźnień bez wahania znowu dobędzie broni. W swoich groźbach nie ograniczył się do osłów.

O świcie wszystko było załadowane. Sześciuset żołnierzy czekało na pokładzie w stanie wzmożonego napięcia. Nagle przyszły nowe rozkazy. Rozładunek! Najszybciej, jak to możliwe! Zauważono niemieckie okręty zmierzające w stronę północnego Atlantyku i Królewska Marynarka Wojenna była potrzebna gdzie indziej. W pośpiechu zapasy z pokładu wyrzucono – dosłownie – z powrotem na nabrzeże, pokład krążownika oczyszczono w ramach przygotowań do akcji i gdy godzinę później wydano rozkaz, Królewska Marynarka Wojenna odplynęła. Nie było czasu zostawić na lądzie ciężkiego sprzętu zgromadzonego w ładowniach. Kiedy eskadra krążowników w pośpiechu opuszczała port, nadal tkwił on pod pokładem.

Norwegia była enigmą neutralności. Nie miała polityki zagranicznej ani nawet czegokolwiek, co można by za nią uznać. Jej rząd składał się z socjalistów, antimilitarystów i byłych bolszewików, którzy ponuro trwali w przekonaniu, że moc neutralności i prawa międzynarodowego wystarczy, by mogli przeżyć. Był to kraj groteskowo nieprzygotowany do roli miejsca, w którym skupią się zagraniczne intrygi. Nie miał stałej armii, która zasługiwałaby na wzmiankę, karabinów maszynowych, granatów ani dział przeciwlotniczych. Odkładał na czołg, żeby żołnierze mieli przynajmniej

szansę zobaczyć, jak wygląda, lecz jeszcze go nie dostarczono. Lotnictwo istniało jedynie teoretycznie – negocjowano zakup kilku samolotów szkoleniowych we Włoszech w zamian za zapas suszonego dorsza – a marynarka wojenna posiadała dwa najstarsze pancerniki na świecie, „Norge” i „Eidsvold”, które nie opuściły portu od 1918 roku. W sprawach wojskowych brakowało tam jakiegokolwiek wyraźnego przywództwa – pewnego razu ministra obrony aresztowano pod zarzutem szerzenia pacyfizmu wśród norweskich żołnierzy. Wyglądało na to, że Norwegia raczej nie jest w stanie powstrzymać Brytyjczyków od okupacji jej najważniejszych strategicznie portów, nawet jeśli najeźdźcy byli fatalnie uzbrojeni.

Problem w tym, że niemieckie naczelne dowództwo doszło do identycznego wniosku.

Edward Halifax był człowiekiem przesiąkniętym tradycjami służby publicznej. Cieszył się autorytetem ministerialnego stanowiska, lecz poza tym szczerze wierzył, że wiąże się ono z pewnymi obowiązkami. Jednym z nich było kierowanie się w pracy zestawem surowych wartości moralnych i w związku z tym rankiem odwiedził już lokalny kościół parafialny przy South Audley Street, by pomodlić się cicho w zarezerwowanej dla siebie narożnej ławce. Inny obowiązek polegał na dbaniu, by jego wygląd zawsze dodawał mu autorytetu podczas pracy, a dzisiaj przewidywał, że będzie potrzebował każdego cala tego autorytetu, ponieważ wielu ambasadorów zapuka do jego drzwi, niektórzy nawet pięścią. Ambasador Norwegii, Colban, bez wątpienia zjawi się pierwszy, przynosząc kolejną notę protestacyjną. Norweg był niezwykle sympatycznym człowiekiem, ale tym razem z pewnością będzie nachmurzony i pozbawiony typowego dla siebie dobrego humoru. Za nim przybędą Włosi, Duńczycy i Szwedzi, tworząc

zaniepokojoną kolejkę. Zapowiadał się trudny dzień, więc chcąc się do niego przygotować, minister spraw zagranicznych wezwał nie tylko Boga, lecz także Maca. Gdy siedział przy jednym z olbrzymich okien wychodzących na park i czytał ogromną stertę not i telegramów, golarz podcinał mu włosy.

Tak się zatem złożyło, że Mac był obecny, kiedy do gabinetu wpadł dyżurny i chwiejnym krokiem podszedł do ambasadora. Pomieszczenie było tak olbrzymie, że Mac zdążył przyjrzeć się rumieńcom na policzkach dyżurnego, jego rozpaczliwemu spojrzeniu oraz bezmyślnie oklapniętej dolnej wardze, która uniemożliwiała mu chyba wypowiedzenie choćby jednego zrozumiałego słowa. W ręce mężczyzny drżała kartka, którą trzymał przed sobą niczym ślepiec szukający po omacku kolejnej przeszkody.

Gabinet brytyjskiego ministra spraw zagranicznych ma pewien majestat. Jest zdecydowanie najwspanialszy i najbardziej imponujący spośród wszystkich ministerialnych gabinetów przy Whitehallu, większy nawet od samej sali posiedzeń rządu. W tak szacownym miejscu zwykli ludzie zdają się tracić większość znaczenia, a ktoś taki jak Mac traci je doszczętnie. Dlatego Halifax nie odprawił go, czytając najnowsze wieści, i chyba nawet zapomniał o jego obecności. Podczas lektury mamrotał pod nosem – być może do siebie, a może do swojego Boga – długą listę nazw. Oslo. Narwik. Trondheim. Bergen. A kiedy tak czytał, stojący nad jego ramieniem Mac zauważył, że ręka Halifaxa także zaczyna drżeć. Jego głos stał się ledwie słyszalny, napięty pod wpływem niepokoju, lecz Mac stał wystarczająco blisko, by bardzo wyraźnie usłyszeć słowa ministra spraw zagranicznych.

– Dobry Boże. Dotarli tam pierwsi. Niemcy najechali na Norwegię – szepnął. – Teraz na pewno nie zdołamy wygrać.

Nie wszystko jednak szło po myśli Niemców.

Efekt zaskoczenia osiągnęli w pełni, przemycając na norweskie wody jednostki Wehrmachtu ukryte pod pokładem z pozoru pustych statków do przewozu rudy żelaza, podczas gdy Luftwaffe kontrolowała niebo, lecz niemiecka marynarka wojenna napotkała niespodziewane przeszkody. Tuż przed północą armada okrętów Kriegsmarine zaczęła płynąć w górę Oslofjorden. Dostępu do stolicy Norwegii strzegła jedna forteca uzbrojona tylko w dwa działa stare jak świat i – dla uczczenia ich niemal biblijnych korzeni – noszące nazwy „Mojżesz” oraz „Aaron”. Dowódca fortecy, co zrozumiałe, działał ostrożnie – przeładowanie dział trwało całe wieki, a zresztą reflektory były niesprawne, więc ledwie widział siły wroga. Postanowił zaryzykować. Wstrzymać się, dopóki największy okręt, „Blücher”, jedna z najnowszych i najpotężniejszych jednostek pływających w niemieckiej flocie wojennej, nie znajdzie się zaledwie kilkaset jardów od fortecy. Okazało się, że ryzyko przyniosło spektakularne efekty. Pocisk wystrzelony przez „Aarona” trafił okręt tuż pod mostkiem, niszcząc jego centrum kontroli przeciwlotniczej, a pocisk z „Mojżesza” uderzył w magazyn na sterburcie, doprowadzając do zapłonu paliwa lotniczego i rozświetlając „Blüchera” jak ognie rzymskie, przez co statek stał się celem, w który nie sposób nie trafić. Wkrótce zalało maszynownię, magazyny zaczęły eksplodować i okręt tonął. „Blücher” przewoził całą kadrę dowódczą mającą przejąć administrację w Oslo i tysiące tych ludzi zginęły, gdy zniknął w ciemnych wodach fiordu, opóźniając o kilka godzin niemiecką okupację norweskiej stolicy. Kiedy w końcu Niemcy wkroczyli do Oslo, z orkiestrą dętą na czele, odkryli, że król i większość najważniejszych członków rządu wykorzystała przewagę, jaką dało im opóźnienie wroga, i uciekła.

Nie wszystko zatem szło po myśli Niemców. Ale większość spraw owszem.

Był ranek, a mimo to wszyscy troje siedzieli w ciemności wokół kapryśnego kominka, nie rozsuwając jeszcze zasłon zaciemniających, jakby chcieli wierzyć, że ten dzień nigdy się nie zaczął.

– Jak to się mogło stać? Jak to się mogło stać?

– Zbieg okoliczności, Neville'u?

– Całym sercem chcę wierzyć...

– Głową, Neville'u, głową... nie żadnym sercem – zaprotestował Wilson. – Nie w takim momencie. Czy twoja głowa pozwala ci wierzyć, że to był zbieg okoliczności i Niemcy dokonali inwazji tego samego dnia, w którym planowaliśmy wysłać tam swoje siły?

– Nie – szepnął, patrząc na węgielki.

– Więc przekłęci Niemcy wiedzieli! – zawołał Ball, uderzając pięściami w podłokietniki.

– Ale...

– Neville'u, ktoś ich zawiadomił. Ktoś, kto wiedział i się wygadał. Albo po prostu przekazał informacje.

– Zaniedbanie.

– Zdrada! Chyba że masz na to lepszą nazwę.

– Mój Boże, czy naprawdę do tego już doszło?

– Neville'u, zawsze do tego dochodzi. Tym kimś kierują podłość i ego. Stawia się ponad wszystkimi. Jest gotów zmieniać fronty dla osiągnięcia prywatnych korzyści.

– Ale kto to taki?

Zapadła długa cisza, podczas której wszyscy kontemplowali swoje myśli i strzępiasty dym.

– Nie wierzę... Nie uwierzę – Chamberlain nie dawał za wygraną – że Winston byłby zdolny do czegoś takiego. Nie, gdy chodzi o Niemców.

– Wystarczająco często zmieniał partie.

– Mimo wszystko.

– W takim razie to ktoś z jego otoczenia. Wiesz, że Winston nie potrafi trzymać języka za zębami. Najpierw się przechwala, a dopiero potem oddycha.

– Ostatnio bardzo dziwnie się zachowywał, Neville'u.

– Naprawdę, Joe?

– Poprosił Boba Boothby'ego, żeby wybrał się na kontynent, najwyraźniej z jakimś szalonym planem zakupu karabinów.

– Karabinów? Od kogo?

– Właśnie w tym sęk. Od Niemców.

– Chyba żartujesz.

– Winston nie żartuje. Wszystko wskazuje na to, że jest śmiertelnie poważny.

– Od Niemców? Przecież to obłąd.

– Albo coś znacznie, znacznie gorszego.

– Zażądam od niego wyjaśnień.

– Cierpliwości, Neville'u. Na razie lepiej go obserwować.

– Tak, tak będzie najlepiej, Neville'u. Obserwujmy go. Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi. Znajdziemy resztę...

Chamberlain westchnął, jakby rezygnował z części swojej niewinności.

– Doskonale. Joe, w razie potrzeby załóż mu podsłuch... Załóż podsłuchy im wszystkim.

– Już to zrobiłem.

– Ach, Winston... Ale dlaczego?

– Ilu potrzebujesz powodów? Podłość. Ego. A chociażby twarda gotówka.

– Zrobił to dla pieniędzy? Myślicie, że sprzedałby nas dla zysku?

– Neville’u, ciągle nam powtarzasz, że niektórzy ludzie próbują czerpać zyski ze wszystkiego, nawet z wojny.

– A pamiętasz ten kredyt, Neville’u? Spłacił cały. Trochę tego było. Jeśli się nad tym zastanowić, nigdy nie udało nam się dojść, skąd wziął pieniądze.

– W takim razie powinniśmy się dowiedzieć. Musimy!

– Wystarczyło, żeby ocalić Chartwell.

– I być może wystarczy, żeby pograć Churchilla. – Sfrustrowany Chamberlain zacisnął dłonie w pięści. – Chcę wiedzieć, co się dzieje... Muszę wiedzieć.

– I dowiesz się. Ale to jeszcze nie wszystko, Neville’u – wtrącił się Wilson. – Skoro ktoś powiedział Niemcom o Norwegii, ktokolwiek to był, musimy założyć, że wiedzą o wszystkim. Także o tym, gdzie – i kiedy – zamierzamy uderzyć.

– Będą na nas czekali dobrze przygotowani.

– Szykuje się cholerna katastrofa, Neville’u, drugie Gallipoli.

– Mój Boże, w takim razie musimy zmienić plany kampanii. Zrobić coś, czego się nie spodziewają.

– Coś, czego nie spodziewa się ich informator.

– Czego nie spodziewa się Winston.

– Albo...

Wilgotny węgiel prychnął, a iskra spadła na płytki paleniska, gdzie walczyła o życie i powoli zgasła. Chamberlain potarł powieki, żeby ukoić ból.

– To Winston wpackował mnie w tę kabałę w Norwegii. Zawsze uważałem, że ryzyko jest zbyt wielkie, wszyscy to wiedzą. Jeśli się nie uda...

– Nie uda się – wtrącił Ball. – Już się nie udaje.

– Jeśli to się źle skończy – ciągnął uparcie Chamberlain – w tym całym chaosie w Norwegii jest coś, o czym nigdy nie wolno nam zapomnieć ani pozwolić, by inni zapomnieli.

– Co, Neville’u?

– Że to była wojna Winstona.

146. Brygada nie widziała jeszcze wroga ani nawet go nie poczuła, lecz już była zdeorganizowana. Straciła połowę zaopatrzenia, a wraz z nim znaczną część tych pozorów ładu, które odróżniają armię od hałastry. Poza tym przepadła radiostacja dalekiego zasięgu Jerry’ego. Gdy dwa dni później żołnierze w końcu wypłynęli, zabrali niewiele sprzętu. Jerry poprosił kwatermistrza o nową radiostację. Ten spojrział na niego przekrwionymi oczami.

– Zrobię, co w mojej mocy – odrzekł sztywno i sfrustrowany mocno przygryzł dolną wargę.

Robili, co w ich mocy. Z jakiegoś powodu wcale to tak nie wyglądało.

Wiedzieli już, że płyną do Norwegii – do Narwiku, jak im oznajmiono, żelaznego portu na dalekiej północy. I gdy pokonali już kawał drogi, przyszły nowe rozkazy dla Jerry’ego i 146. Brygady. Inny cel – zmiana zdania na górze, na samej górze, chłopaki. Skierowano ich do miejsca o nazwie Namsos w środkowej Norwegii, by 146. Brygada mogła poprowadzić atak na dawną stolicę, Trondheim, wysuniętą dalej na południe. Poinformowano ich, że to element nowego śmiałego planu w celu przechytrzenia i oskrzydlenia wroga.

Na początek przechytzony został dowódca 146. Brygady, który utknął na jednym z okrętów nadal zmierzających do Narwiku. Większość tego, co pozostało z jej sprzętu, popłynęło razem z nim.

Chyba nikt dokładnie nie wiedział, gdzie jest Namsos ani co mają zrobić, gdy już tam dotrą. Nie mieli ani jednej mapy tego miasta. Mimo to zamierzali „robić, co w ich mocy”. Zresztą przecież musiało pójść im lepiej niż w Narwiku, prawda?

W chaosie towarzyszącym wojnie niektórzy potrafili jednak odnaleźć zadowolenie. Bracken siedział naprzeciwko Anny i rozkoszował się uwagą, jaką mu poświęcano – uwagą kelnerów, innych gości w Ritzu, ale przede wszystkim uwagą Anny. Wyglądała olśniewająco i wylewnie go przeprosiła – on także przyznał, że tamtego wieczoru nad jeziorem mógł się wykazać większą delikatnością. Wyjaśnił, że dał się ponieść emocjom, pasji zrodzonej z otaczających ich zewsząd wojennych wydarzeń. Przypomniała mu, że jest irlandzką katoliczką – niczego więcej nie trzeba dodawać, mruknął pod nosem – błagała, by był cierpliwy, i na poparcie swojej prośby przyzywała armię pomocników, poczynając od Maryi Dziewicy, a kończąc na swojej świętej pamięci nieszczęsnej matce. „Niemniej jednak – upomniała go z wyдутymi usteczkami, które poruszyły go do głębi – wuj Joe mówi, że jeśli nie będziesz nad sobą panował, połamię ci nogi...”

Siedzieli zatem w bardzo publicznym miejscu, a ona lśniła równie jasno jak wszystkie żyrandole. Ludzie wokół przyglądali im się z podziwem oraz z niemałą dozą zazdrości. Widział, jak szepczą. Większość innych gości już wiedziała, kim on jest, a reszta z pewnością miała się dowiedzieć, nim wieczór dobiegnie końca.

Anna rozumiała te sprawy. W przeciwieństwie do wielu innych kobiet, ta chyba naprawdę pogodziła się z napięciami, które doprowadzały go do skrajności wytrzymałości i czasami, tak jak tamtego wieczoru, popychały trochę dalej. Z życiem w samym środku sztormu, dźwiganiem ciężaru kogoś takiego jak Churchill, który prowadził go, wspierał, a niekiedy beształ, i z byciem u jego boku, gdy coś szło nie tak – na przykład teraz. Winston myślał, że norweska przygoda będzie spektakularna, że zakończy ten etap dziwnej wojny, ale zamiast tego wszystko brało w łeb, a inni w niego wątpili, unieważniali jego polecenia, zmieniali plany. Fiord w Narwiku był pod okupacją – nie z winy Winstona, lecz przez uniki innych. A mimo to, co niewiarygodne, próbowali obarczyć go winą. Jeden z kolegów z gabinetu zbył nawet plany Churchilla dokonania pełnego frontального ataku na fiordzie, przyrównując je do kolejnej szarży lekkiej brygady⁷.

Wzięła go za rękę i powiedziała, że rozumie. Potem go pocałowała i zapewniła, że zawsze będzie rozumiała.

Gdy przybyli, Namsos wyglądało jak mała brązowa smuga na tle zaśnieżonych gór. Grudy dryfującego lodu odbijały się od kadłubów płynących okrętów, a nieustanny wiatr rzucał w twarz ostrymi kryształkami lodu. Nikt na pokładzie nie wiedział zbyt wiele o tym miejscu, pomijając to, że już teraz zamarzały im płuca. Sztab w Ministerstwie Wojny napisał z Londynu do norweskiego biura turystycznego z prośbą o broszury i zdjęcia jak największej części norweskiego wybrzeża, lecz na żadnym z nich nie było Namsos. Nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby tam jechać. Miasteczko zbudowano prawie wyłącznie z drewna, miało niespełna cztery tysiące mieszkańców trudniących się głównie wycinką drzew i rybołówstwem. Zwłaszcza ryby odcisnęły tam swoje piętno. Miasteczko śmierdziało.

– Spodoba ci się bardziej niż w Narwiku – powiedział kwatermistrz Jerry’emu. – Narwik jest za cholernym kołem podbiegunowym. Tu będzie cieplej.

Ciepło na norweskim wybrzeżu jest jednak w kwietniu pojęciem względnym i o poranku słońce zapewniło bardzo niewiele wytchnienia od zimna, dając jedynie oślepiające światło, które odbijało się od zamarzniętego śniegu i oślepiało. Może dlatego pierwszy nalot zauważyli dopiero, gdy samoloty były już prawie nad nimi. Doszło do krótkiej i niezdecydowanej konfrontacji, po czym heinkle Luftwaffe odleciały.

– Pewnie uciekły, zanim zjawił się RAF – zauważył Jerry.

– Nie powinniśmy zbyt wiele oczekiwać od naszych niebieskich chłopaków – mruknął kwatermistrz. – Za daleko od domu. Chyba będziemy musieli poradzić sobie sami.

Nie było zatem żadnej osłony z powietrza, co samo w sobie mogłoby być znośne, gdyby nie to, że brakowało także dział przeciwlotniczych. Byli zmuszeni zejść na ląd w nocy, która o tej porze roku trwała zaledwie cztery godziny. Wyścig z czasem.

Schodzili w różnych miejscach wybrzeża, nocą i w środku burzy śnieżnej. Część zaopatrzenia bezpiecznie dotarła na ląd, lecz inne rzeczy zwyczajnie wpadły do morza, a większość ciężkiego sprzętu trzeba było zostawić w ładowniach statków transportowych.

Poczuli niemal komiczną ulgę, gdy tuż po 146. Brygadzie do Namsos dotarli też francuscy Chasseurs Alpains. Były to specjalnie przeszkolone oddziały górskie, ludzie śniegu, ale – jak się okazało – wyłącznie w teorii, gdyż paski do nart zostały w Szkocji razem z mułami i wszystkimi pojazdami. Francuski dowódca ukradł brytyjskiego jeepa i wyruszył na poszukiwania swojego brytyjskiego

odpowiednika, żeby rozwiązać problem, lecz zanim pokonał sto stóp, wziął udział w czołowym zderzeniu. Brytyjczycy i Francuzi jeżdżą inną stroną drogi, nawet na wojnie.

Sue wiedziała, że Jerry jest w Norwegii. Wcześniej tygodniami szkolono go na zamarzających wrzosowiskach, więc raczej nie zamierzali go wysłać na Saharę. Nie miała od niego żadnych wieści od czasu tamtego ostatniego liścika z Yorkshire, w którym informował, że są „w drodze”, ale wiedziała, że chodzi o Norwęgę. Była jednak spokojna. Według brytyjskiej prasy lądowanie w Norwegii przypominało marsz na Waterloo. „Doskonała robota – pisał z zachwytem »The Times«. – Brytyjskie oddziały wykonały gwałtowne pchnięcie w samym sercu południowej Norwegii. Niemcy się wycofują!”. Dziwna wojna dobiegła końca, a historyczne brytyjskie zwycięstwo wydawało się równie rychłe, co nieuniknione.

Mimo to zaczęła się martwić. To także było nieuniknione. Przecież właśnie to powinny robić kobiety w czasie wojny. Czekać w domu i martwić się, podczas gdy mężczyźni rozwiązują problemy. A pan Chamberlain powiedział, że je rozwiązuje. W ciągu dnia pracowała na poczcie, rozwieszając plakaty z hasłem: „Ściany mają uszy!”, które piętnowały zagrożenia związane z plotkowaniem. Rzecz jasna, ludzie plotkowali dalej – równie dobrze można by im mówić, żeby przestali oddychać – a gdy tylu mężów znalazło się w siłach zbrojnych i na dłuższy czas wyjechało z domów, z pewnością było o czym plotkować. Polecono jej także przygotować się do wypłacania wojennych zasiłków dla wdów, co z jakiegoś powodu brzmiało mniej zdecydowanie niż oficjalne komunikaty. Może jednak sytuacja nie była aż tak klarowna. Dlatego wieczorami, tak na wszelki wypadek, układała plany działania „stacjonarnej” grupy. Wiedziała, że jeśli to, co mówią prasa i premier,

jest prawdą, okazały się zbędne – lecz z drugiej strony, gdyby mówili prawdę, wojna w ogóle by nie wybuchła. Złożyła wizytę pewnemu farmerowi. Wcześniej jego żona była na poczcie i opowiadała, jak zaginęło im jedno z ich cieląt, dosłownie zniknęło bez śladu, i słyszeli jedynie jego rozpaczliwe jęki dobiegające spod ziemi. W końcu odkryli, że zwierzę wpadło do prawie zupełnie niewidocznej dziury na polu, wyjątkowo suchej i zadziwiająco rozległej. Była tam sieć naturalnych tuneli. Sue zasugerowała, że skoro mogła się tam schować krowa, to równie dobrze mogłoby się schować... no cóż, prawie wszystko. Albo prawie każdy. Farmer zgodził się nie zasypywać dziury. Tak na wszelki wypadek.

Taka praca połączona z zamartwianiem się była wyczerpująca. Na zakończenie każdego dnia Sue zdejmowała pudło z górnej półki w szafie i ostrożnie kładła je na łóżku, wygładzała narzutę, odkładała pokrywę, odchyłała bibułkę, przesuwała opuszkami palców po przezroczystej białej koronce swojego welonu ślubnego, jakby strzepywała śnieg, jakby była przy Jerry. Odmawiała krótką modlitwę i zbliżała zaszuszoną czerwoną różę do ust. Stało się to czymś w rodzaju rytuału, dzięki temu pozostawali w kontakcie.

Jerry zakładał, że pierwsza noc w Norwegii będzie najgorsza. Grubo po północy zrobił niefortunne wejście, zjeżdżając z niszczyciela na tyłku, gdy jego nabijane ćwiekami buty zetknęły się z oblodzonym trapem, i o mało nie wpadł do czarnej jak ropa wody razem ze skrzynią, którą niósł. Prawie by się ucieszył – podczas rejsu ze Szkocji cierpiał na bardzo gwałtowną chorobę morską – lecz ostatecznie nie stracił niczego oprócz godności. Kwatermistrz stał i krzyczał na dole trapu, wydając Jerry’emu konkretne polecenia w kwestii tego, co może zrobić ze swoją pieprzoną skrzynią i pieprzoną dupą. Chyba nie miało

znaczenia, co znajduje się w przeróżnych skrzyniach wynoszonych na brzeg, na razie najważniejsze było to, żeby je wyładować. W kolejce czekały inne łodzie, które w świetle dnia za jakieś dwie godziny mogły stać się łatwym celem. Jerry ze swoją skrzynią chwiejnie poszedł w noc. Maleńki dok w Namsos nękała właśnie okrutna śnieżycą, a jedynym źródłem światła były reflektory dwóch jeepów, więc ludzie nie mieli pojęcia, dokąd idą. W końcu położył swoją skrzynię obok setek innych porzuconych w sąsiedztwie śmierdzącej szopy do patroszenia ryb. Odór był tak silny, że znowu zebrało mu się na wymioty. Brakowało jedzenia i nie urządzono jeszcze kantyny, ale na razie miał to gdzieś.

Gdy nastał mdły, wyprany z kolorów poranek, po omacku grzebali w śniegu, szukając zaopatrzenia. Niebawem skrzynie leżały rozrzucone wzdłuż nabrzeża i rozrywano im boki, a zaniepokojeni żołnierze modlili się, żeby zawartość okazała się źle oznakowana i by w środku znaleźli śniegowce, mapy, szperacze, moździerze, sprzęt medyczny i dalmierze, których tak rozpaczliwie potrzebowali. Jerry otworzył kopniakiem skrzynię opisaną jako „Wsparcie dla łącznościowców” i odkrył, że jest wypełniona maszynami do pisania. Skrzynia obok zawierała same rowery.

– Zapomnieli o koszach piknikowych – mruknął któryś z żołnierzy.

W Wielkiej Brytanii operację nazwano sukcesem. Gdy Jerry stał po kostki w zamarznętej brei, prawie wszyscy redaktorzy na Fleet Street zdawali się maszerować w rytmie bicia w bębny.

Carol czytała gazety, prawie wszystkie, które zdołała pożyczyć, nawet jeśli były z poprzedniego dnia, i czytając je, przypominała sobie o Macu. O upartym, taktownym, wrażliwym, tajemniczym Macu. Nie była w stanie niczego przeczytać, nie przypominając sobie o nim,

a tego dnia rano Peter spojrział na nią znad swojej grzanki i po raz kolejny spytał, gdzie jest Mac. Nie potrafiła mu odpowiedzieć, nie wiedziała. Przeklęty mężczyzna. Nauka czytania zmieniła jednak jej życie – była to jedna z wielu zmian, jakie w nim zaszły za sprawą Maca. Czytała doniesienia o bohaterskiej walce o Norwegię, porady na temat tego, jak można sprawić, by w schronie przeciwlotniczym było wygodniej, oraz apele skierowane do niej i innych kobiet czekających w domach, by „na miarę swoich możliwości” pomogły wygrać tę wojnę. W rezultacie znalazła się pod drzwiami pani Marjorie Braithwaite.

Marjorie Braithwaite była kimś, kogo słusznie nazywa się filarem społeczności. Tuż po pięćdziesiątce, tęga, obdarzona mocnym głosem, którego używała, by zdominować większość wydarzeń, w jakich brała udział. Wydarzeń tych było wiele, ponieważ wyszła za sędziego pokoju, a sama została przewodniczącą lokalnych filii Women’s Institute i Czerwonego Krzyża. Marjorie Braithwaite była osobą publiczną, przynajmniej we własnym mniemaniu. Poza tym regularnie uczęszczała do miejscowego kościoła i to właśnie tam Carol zdarzało się zamienić z nią kilka zdawkowych słów. Z pewnością nie mogłyby powiedzieć, że dobrze się znają, lecz uznała, że powinna zwrócić się o pomoc właśnie do pani Braithwaite.

Przeszła po krótkiej żwirowej ścieżce biegnącej za żywopłotem przed domem Braithwaite’ów. Denerwowała się. Nauczyła się dogadywać z większością ludzi, ale takie osoby jak Marjorie Braithwaite zdecydowanie wykraczały poza zakres jej doświadczeń. Gdy zbliżała się do drzwi olbrzymiego wiktoriańskiego bliźniaka, żwir głośno chrząścił pod jej nogami, jakby miał pretensje, że tamtędy przechodzi. Po chwili wahania zapukała.

Otworzyła pani Braithwaite.

– Tak? – Oddychała ciężko, w sposób charakterystyczny dla grubasek. Znad jej ramienia wyjrzała druga kobieta. Carol przeszkodziła im w podwieczorku.

– Pani Braithwaite, nazywam się Carol Bell. Znamy się z kościoła – zaczęła.

– Wiemy, kim pani jest, prawda, Agnes?

Kobieta za jej ramieniem potaknęła. Pani Braithwaite w skupieniu przyglądała się Carol, jakby wypatrywała piegów, aż ta zdała sobie sprawę, że szuka na jej twarzy śladów sińców po niedawnym pobiciu. Rana na górze policzka zostawiona przez połamany kolczyk jeszcze się w pełni nie zagoiła i mogła po niej zostać blizna. Carol oczywiście starała się ją ukryć – gdyby mogła, nie wychodziłaby z domu przez tydzień, ale to było niemożliwe, miała przecież dwoje dzieci. Nie chodziła do kościoła z poranioną twarzą i z pewnością nigdzie nie spotkała pani Braithwaite, lecz najwyraźniej wieść się rozeszła. Była kobietą z podbitym okiem i bez męża. Nikt nie musiał niczego dodawać.

– Czego pani chce, pani Bell? Pani, prawda?

– Zastanawiałam się... – Carol zamilkła i skrzywiła się pod spojrzeniem tej drugiej kobiety. – Widzi pani, czytałam taki artykuł w gazecie. „Dzierganie dla Norwegii”. Wie pani, rękawiczki, kominiarki, skarpetki, tego typu rzeczy. Dla naszych żołnierzy, którzy tam są. I... I chciałabym pomóc, ale brakło mi wełny.

– Brakło pani wełny? – powtórzyła pani Braithwaite donośnym głosem, a Agnes zachichotała.

– No i zastanawiałam się... Zna pani kogoś, kto może mieć na zbyciu trochę wełny? Starej. Takiej, z której mogłabym...

– Pani Bell. – Tytuł grzecznościowy został rozciągnięty, jakby pani Braithwaite występowała w teatrze Old Vic. – To porządna okolica. Nie pochwalamy zebrania po domach.

– Ja nie zebrzę, pani Braithwaite. Ja tylko próbuję zrobić coś dla naszych chłopców.

– Ach, no tak, dla chłopców. – Filar społeczności nabrał powietrza i zaprezentował swoje pięć stóp i dwa cale w całej okazałości, aż zaskrzypiały buty. – Chcę pani powiedzieć, pani Bell, że w naszej małej społeczności obowiązują pewne standardy. Prawda, Agnes?

– Z całą pewnością – mizdrzył się drugi filar.

– Robi nam się niedobrze – prawda, Agnes? – gdy patrzymy, jak niektórzy ludzie próbują wykorzystać sytuację, gdy reszta kraju walczy o życie.

– Wykorzystać sytuację? Ja tylko prosiłam o trochę wełny.

– Pani Bell, wiem, że jest pani bardzo zajęta kobietą – o tak, bardzo zajęta. Pozwoli pani zatem, że nie będę owijała w bawełnę. Walczymy na tej wojnie o przetrwanie zwykłej przyzwoitości i wartości rodzinnych. Mam na myśli normalne rodziny, w których mąż idzie na front, a żona zostaje w domu i gotuje. Właśnie dlatego pan Chamberlain wezwał nas do walki z Niemcami, bo Niemcy to degeneraci. Ta wojna jest więc wojną przeciwko wszelkim formom degeneracji. Bożą wojną, jeśli mogę tak powiedzieć. Czy wyrażam się jasno?

– Co to ma wspólnego z odrobiną wełny? – spytała zdumiona Carol.

– Nie mam dla pani wełny. I nie znam nikogo, kto mógłby ją dla pani mieć. Radziłabym, żeby zastanowiła się pani nad tym, dlaczego walczymy na tej wojnie, zanim przyjdzie pani zakłócać spokój

szanowanym ludziom w ich własnych domach. Chodź, Agnes, nie będziemy marnowały więcej czasu. Czeka na nas podwieczorek!

Powiedziawszy to, zdecydowanie zamknęła drzwi przed nosem Carol.

Carol przez chwilę stała bez ruchu, usiłując zapanować nad smutkiem. Od początku wiedziała, że kiedyś do tego dojdzie – jak w każdym miejscu, w którym wcześniej mieszkała, gdzie plotki zaczynały krążyć, mnożyć się i w końcu zmuszały ją do wyprowadzki. Ryzyko zawodowe. Miała jednak nadzieję, że tutaj będzie inaczej, Peter zaaklimatyzował się w szkole, mała Lindy szybko rosła, a ona i Mac... Tak bardzo uważała, dopóki nie zdradziło ją pobicie. Rana na policzku pulsowała bólem i Carol miała wielką ochotę się rozplakać, ale się powstrzymała. Nie chciała dać pani Braithwaite tej satysfakcji. Postanowiła zaczekać, aż wróci do domu.

Gdy samolot Boothby'ego zbliżał się do celu, spod rozpostartego dywanu chmur wyłoniła się Bruksela, stolica neutralnej Belgii. Wkrótce wojna, która wybuchła na niebie i morzach wokół Norwegii, miała osiągnąć także tej części Europy, lecz na razie panował tam spokój i Bruksela trwała nieświadoma strzał rzeczywistości, które już z myślą o niej naszykowano.

Natychmiast po przybyciu do miasta Boothby odszukał szefa brytyjskiego wywiadu wojskowego. Myślał, że zastanie go w trakcie gorączkowych działań, ale ten spokojnie jadł lunch z innym oficerem, który, jak się okazało, był jego jedynym podwładnym. Niemniej byli tak pomocni, jak to tylko możliwe w zaistniałych okolicznościach. Doradzili mu, żeby wybrał się do Liège. Powiedzieli, że ze szczytu tamtejszej katedry można bez trudu dojrzeć niemiecką granicę i Zagłębie Ruhry, pod warunkiem że wiatr rozgoni dym z rur

wydechowych niemieckich czołgów. Niech pan jednak nie zabawi tam długo – ostrzegli – a właściwie to niech pan nie zabawi długo nigdzie w tej części Europy. Te opary z rur wydechowych wystarczą, by człowiek nabawił się kaszlu, który najpewniej w końcu go zabije.

Wykonali w jego imieniu dwa telefony i tego samego dnia po południu Boothby złapał pociąg do Liège. Człowiek ściskający bukiet żonkili spotkał się z nim pod dworcowym zegarem i w porze podwieczorku Boothby już wiedział, co mogą mu tam dostarczyć. Dziewięć tysięcy zwykłych karabinów, ponad sto maszynowych i tysiąc lekkich automatów.

Boothby nie był przekonany. Żonkile? Pod zegarem na dworcu kolejowym? Czy to może być aż tak proste? Zasypał ich pytaniami. Czy cała broń jest nowa? Zapewniono go, że zostanie dostarczona w fabrycznych opakowaniach. Jakiej formy zapłaty oczekują? No cóż, rzecz jasna przekazu bankowego w amerykańskich dolarach – a myślał, że co to jest, stragan z owocami? I dostawa – czy mogli zorganizować natychmiastową dostawę? W tym momencie jego informatorzy cmoknęli przez zęby. Natychmiastowa dostawa nie będzie możliwa – odrzekli przepaszająco – broń trzeba przywieźć aż z Kolonii, oddalonej o siedemdziesiąt mil, a trzeba jeszcze przekupić celników. Czy mógłby poczekać do śniadania?

Nadal jednak nie był zadowolony. Dziewięć tysięcy karabinów to było stanowczo za mało, polecono mu zakupić o wiele, wiele więcej. Wyjaśnili, że będzie to trudne, nawet za amerykańskie dolary, lecz gdyby zdołał przekonać swoich przełożonych do zapłaty diamentami, wszystko mogłoby okazać się możliwe.

Skierowali go do Amsterdamu.

Wyruszył nazajutrz rano, z lekkim kacem, nieświadomy, że cały czas jest śledzony.

- Pachnie mi tu zdradą.
- Bezlitosne słowa, Horace.
- Na bezlitosne czasy, Neville'u.
- Musi być jakieś wytłumaczenie. Musi.
- Dla negocjowania w sprawie zakupu tysięcy karabinów i zabiegania o setki tysięcy kolejnych?
 - Rozpaczliwie brakuje nam karabinów.
 - Niemieckich karabinów, Neville'u? Bo one są niemieckie. Tego nie da się wytłumaczyć.
 - Dla obrony terytorialnej... Dlaczego nie dla obrony terytorialnej?
 - Bo wtedy stanie się ona obroną Churchilla.
 - Piątą kolumną?
 - Kolumną kolaborantów. Uzbrojoną. Gorszą niż w Norwegii.

Wykonującą polecenia Winstona.

- To wydaje się zupełnie nieprawdopodobne.
- Podobnie jak wyciek daty inwazji. A jednak wyciekła.
- Poza tym chodzi też o pieniądze, Neville'u.
- Dowiedziałeś się, skąd je wziął, Joe?
- Ze ślepego funduszu. Ktoś niezwykle skutecznie pozacierał ślady.
- Pieniądze niewiadomego pochodzenia?
- I to mnóstwo.
- Czy to też da się wytłumaczyć?
- Tak samo jak mauzera wymierzonego w twoją pierś.
- Musimy się dowiedzieć, skąd pochodzą te środki.
- Nie szcędź wysiłków, Joe – zachęcił Wilson. – Połam nogi paru bankierom.

- Z przyjemnością.

- Karabiny? Ukryte złoto? Tajne informacje na temat inwazji? - Premier mówił z coraz większym napięciem. - Może powinienem kazać go aresztować?

- Jeszcze nie, Neville'u. Najpierw pogrzebmy tu i tam. Dowiedzmy się czegoś więcej o tych pieniądzach. Przejrzyjmy jego dzienniki. Zobaczmy, z kim się spotyka. Sprawdźmy, ile robaków uda nam się wykopać.

- Ambicje, zazdrość, brak cierpliwości... Te cechy Winstona potrafię zrozumieć. Ale czegoś takiego już nie.

- Może oszalał jak jego ojciec albo po prostu ogarnęła go chciwość, lecz bez względu na to, jaka choroba go nęka, stał się przez nią niebezpieczny.

- W takim razie chyba szkoda, że nie udało się tak tego zorganizować, żeby znalazł się w Namsos. Ukróciłibyśmy jego cierpienia.

Peter wreszcie położył się spać, a Lindy spała od dawna. Chwila spokoju. Carol usiadła obok lampki, po policzkach ciekły jej łzy. Nie były to jednak łzy upokorzenia, lecz dumy. Doszła do wniosku, że pani Braithwaite i tacy ludzie jak ona nie są warci sadła, z którego powstali. Carol wiedziała, że to, co robi, w żaden sposób nie wpłynie na losy wojny, ale miało wpłynąć na nią. Maleńki, nieistotny akt sprzeciwu. Gdyby jednak powtórzono go tysiąc razy, sto tysięcy razy, cały naród mógłby stawić opór trąbie powietrznej, która niebawem miała go porwać.

Carol siedziała, trzymając na kolanach swój ulubiony wełniany pulower, i pruła go rząd po rzędzie. Gdy skończyła, sięgnęła po druty i zaczęła dziergać.

Powiedział mu pracownik banku Churchilla. Rodney, miodouste stworzenie, które na bieżąco informowało Burgessa o zmianach wokół spraw finansowych Churchilla. Rodney powiedział mu, że ma konkurencję. Inni też wypytywali. Ludzie o urzędniczym wyglądem, chcący się dowiedzieć, skąd Churchill wziął pieniądze. Wiedział, że to urzędnicy i że sprawa jest pilna, ponieważ po lunchu szef działu spadł na niego z wielkiej wysokości, co było o tyle niezwykle, że przeważnie po lunchu zapadał w śpiączkę. Zażądał przyniesienia akt Churchilla z archiwum i teraz leżały zamknięte w jego biurku.

Burgessowi nie podobały się te pytania, gdyż miał świadomość, że ci, którzy je zadają, nie będą zachwyceni odpowiedziami, gdy już je usłyszą – co niechybnie nastąpi. Burgess nie zajmował się tą sprawą osobiście, ale wiedział, że pieniądze na pewno kilkakrotnie „wyprano”, przepuszczając je przez szereg różnych rachunków. Wyprano je starannie, bo to były brudne pieniądze. Nie żydowskie, jak wcześniej sugerował Churchillowi, lecz rosyjskie, skąpane we krwi – we krwi carów, wieśniaków, Polaków i Finów.

Zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie minie trochę czasu, zanim dotrą do dna, ale nadal kopali, przynajmniej tak mówił Rodney. Kopali Burgessowi grób. I Churchillowi też. Nagle zaczął się bać, bardziej niż w całym swoim dotychczasowym życiu. Bał się za bardzo, żeby pić, przynajmniej pierwszego wieczoru. Lecz Bóg mu świadkiem, że nadrobił te braki drugiego i każdego kolejnego dnia. Mimo to jednak nie mógł spać. Ilekroć zamykał oczy, śnili mu się milczący, pozbawieni twarzy mężczyźni, którzy coraz bardziej się zbliżali.

⁷ Nawiązanie do brytyjskiej szarży w bitwie pod Bałakławą w 1854 roku, gdzie wskutek nieporozumienia między dowodzącymi lekka kawaleria przyspuściła frontalny atak na rosyjskie oddziały artylerii, piechoty i kawalerii, ponosząc ogromne straty.

Rozdział dwudziesty

Kwiecień–maj 1984

Pociąg, którym Bob Boothby jechał do Amsterdamu, był niezwykle punktualny mimo narastającej w całej Holandii atmosfery niepewności. Z dworca Bob dotarł piechotą do hotelu Amstel, dziewiętnastowiecznej budowli z piernika nad brzegiem najważniejszej rzeki w mieście. Przedstawił się recepcjoniście jako Brown, mając nadzieję, że wymówił to jak „Braun”, i natychmiast zaprowadzono go tylnymi schodami do prywatnego pokoju na drugim piętrze. Został tam czterech mężczyzn siedzących przy stole nakrytym zielonym sukniem. Jakby przerwał im leniwą grę w karty. Były tylko cztery krzesła, lecz gdy Boothby wszedł, jeden z mężczyzn od razu wstał i zajął pozycję przy drzwiach. Pozostali przedstawili się jedynie uściskiem dłoni.

Trzydzieści pięć minut później zaproponowano mu czterysta tysięcy nowych niemieckich mauzerów i tysiąc nabojów do każdego z nich. Powiedziano mu, że dostawa mogłaby się rozpocząć w przyszłym tygodniu i potrwałaby najwyżej trzy. Większość karabinów znajdowała się jeszcze w Niemczech, ale można je było sprawnie przetransportować do dowolnego portu w Belgii. Oczekiwano zapłaty w diamentach w chwili dostarczenia tam broni. Za dodatkową opłatą w wysokości dwudziestu pięciu procent kontrahenci byli jednak gotowi przyjąć dolary przekazane za pośrednictwem wskazanego banku w Stanach Zjednoczonych.

Boothby zaproponował bank w Europie, lecz oni przecząco pokręcili głowami.

– Nawet Bank Anglii nie wchodzi w rachubę.

– Wątpią panowie w jego solidność? – spytał Boothby.

– Nie. Tylko w to, do kogo będzie należał. Bylibyśmy w niezręcznej sytuacji, gdyby zapis tej transakcji trafił w ręce Niemców.

– Ależ to niemożliwe!

Tylko wzruszyli ramionami.

– Proszę mi powiedzieć... w jaki sposób ta broń wydostanie się z Niemiec? Muszę to wyjaśnić swoim mocodawcom. Czy mogą panowie zagwarantować dostawę?

– Wielu Niemców nienawidzi nazistów: przemysłowcy, celnicy, a nawet niektórzy żołnierze Wehrmachtu. Ci, którzy nie nienawidzą nazistów, także mają niezwykłą słabość do dolarów. Każdego dnia i o każdej godzinie przez niemiecką granicę przejeżdża tyle wojskowych pojazdów, że nikt nie zauważy jednej ciężarówki znikającej w ciemności. Po drogach porusza się teraz więcej ciężarówek niż kiedykolwiek wcześniej, to dlatego możemy zaproponować tak ogromną ilość broni. I dlatego mamy tak mało czasu.

– Zatem w imieniu mojego rządu...

– Pańskiego neutralnego rządu – podkreślili, drocząc się z nim. Wiedzieli.

– ...przyjmuję te warunki. Wrócę do domu, żeby potwierdzić szczegóły i niezwłocznie się z panami skontaktuję.

– Niech pan więc już idzie, i to szybko. Czas nie jest po pańskiej stronie.

– Powiedzieli panowie trzy tygodnie.

– Może mniej. I niech pan przypomni swojemu rządowi o jednej sprawie.

– To znaczy?

– Jeśli nie wykorzystacie tych karabinów, zrobią to Niemcy.

Brytyjska prasa, karmiona rządowymi komunikatami, nie chciała o tym słyszeć. Odwrót? Niemożliwe! Ogłoszono zatem, że to Niemcy się wycofują, że porzucają lądowiska. Dwudziestego trzeciego kwietnia twierdzono, że brytyjskie siły wykonały gwałtowne pchnięcie w samym sercu środkowej Norwegii i odniosły znaczący sukces. Dwudziestego szóstego kwietnia, że „artyleria przeciwlotnicza wylądowała w Namsos w samą porę, by osłaniać kolejne alianckie desanty”. Rząd postanowił już jednak porzucić kampanię.

Przecież i tak był to cel o drugorzędnym znaczeniu, największą wagę zawsze przywiązywano do Narwiku na północy. Prawda? I właściwie to nie wina rządu, że raz po raz odwlekano całą operację. To nie wina rządu, że oficer mający pokierować kampanią w środkowej Norwegii dostał udaru na schodach księcia Yorku akurat w dniu, w którym powierzono mu to zadanie, i znaleziono go leżącego bez zmysłów. Ani że samolot jego następcy lądował awaryjnie i wszyscy pasażerowie zostali ranni, lecąc na północ, by przeprowadzić inspekcję punktów załadunkowych w Szkocji. To nie wina Neville'a Chamberlaina, że kampania zakończyła się fiaskiem, to nie jego wina, że Wehrmacht dotarł na miejsce pierwszy ani że w ciągu kilku dni Luftwaffe zmieniła drewniany port w Namsos w tłące się popioły.

Mimo to 146. Brygada nie ustawała w wysiłkach. Chcąc dotrzeć do Trondheim, rozproszyła się na wielomilowym odcinku frontu, lecz lód, który miał ochraniać flankę, zaczął topnieć i Niemcy powoli ich

otaczali, grożąc rozgromieniem. Mimo to nie ustawiali w wysiłkach, ponieważ nikt im nie powiedział, że ich kampanię już zarzucono.

Churchill nie popierał ataku na Trondheim. Skupiał uwagę na Narwiku, wysuniętym dalej na północ, skąd przywożono rudę żelaza. Pod naciskiem Chamberlaina zgodził się na kampanię w Trondheim, aczkolwiek niechętnie. Teraz jednak nawet Chamberlain zmienił zdanie. Nie szło im. Przyszła pora uciekać. Churchill czuł się przez to bezsilny, wręcz upokorzony.

– Skoro musimy się wycofać – powiedział kolegom z gabinetu – rzućmy przynajmniej wszystkie siły na Narwik. Odetnijmy rudę żelaza. Przy odrobinie szczęścia uda nam się to zrobić w kilka dni. Coś byśmy uzyskali.

Wydawało się to rozsądne, nawet możliwe. Niemcy byli znacznie słabsi w odizolowanym porcie tak daleko za kołem podbiegunowym. O dziwo, powrócono zatem do pierwszej propozycji Churchilla, odrzuconej wiele miesięcy temu.

Chamberlain wydał rozkazy. Rozpocząć pełną parą kampanię w Narwiku. Zapomnieć o Trondheim.

– Ale nie mów Francuzom, jeszcze nie teraz. Boję się, że nastąpi jakiś przeciek – polecił Chamberlain. – I o niczym nie wspominaj Norwegom. Pomyślą, że ich opuszczamy i odmawiamy pomocy.

Churchill chrząknął, coś nieprzyjemnego utknęło mu w gardle.

– I każ naszym oddziałom utrzymać pozycje, niech zaczekają z ewakuacją jeszcze kilka dni – ciągnął Chamberlain.

– Ale dlaczego? – spytał zdumiony Churchill. – Z militarne punktu widzenia nie ma żadnych powodów, żeby opóźnić odwrót.

– To powody polityczne, pierwszy lordzie, polityczne. Nie zapominaj, że w kraju też mamy front. Jeśli ogłosimy, że... – jeszcze raz

sięgnął po to dwuznaczne, żenujące słowo – wycofujemy się ze środkowej Norwegii, fatalnie wpłynie to na opinię publiczną. Nie, zaczekajmy jeszcze kilka dni i zobaczymy, czy nie uda się złagodzić tych wieści zwycięstwem w Narwiku. Może skłonimy się ku wersji, że wyruszyliśmy do środkowej Norwegii tylko po to, by zyskać trochę czasu z myślą o naszym prawdziwym celu. O Narwiku.

– Mamy rozkazać naszym oddziałom, żeby utrzymały pozycje – pozycje nie do obronienia – w nadziei na... lepsze nagłówki?

– Pierwszy lordzie, nigdy nie wolno nam zapominać, że morale na krajowym froncie to klucz do zwycięstwa w każdej wojnie – odrzekł cierpko Chamberlain. – Z pewnością się z tym zgodzisz.

Klucz do zwycięstwa w wojnie. A także do zwycięstwa w wyborach i do utrzymania się u władzy. W umyśle Churchilla zaczęły nabierać kształtu wściekłe myśli o rzucaniu na szalę życia dzielnych mężczyzn, by ratować własne, lecz wiedział, że do takiego obrazu sprawy należy podchodzić z największą ostrożnością. Było już zresztą za późno – Chamberlain zamknął teczkę, posiedzenie gabinetu wojennego dobiegło końca. Należało utrzymać pozory sukcesu.

Utrzymywano je zatem. Dwa dni po podjęciu decyzji o ewakuacji korespondent „Timesa” ogłosił, że „aliancka machina wojenna działa sprawnie i skutecznie na froncie na północ od Trondheim – wszystkie brytyjskie i francuskie oddziały, które tam spotkaliśmy, były pewne siebie i w dobrym humorze”. Następnego dnia napisał, że „nie ma ani krzty prawdy w oświadczeniu wydanym przez niemieckie dowództwo, jakoby francusko-brytyjskie siły poniosły sromotną klęskę. W rzeczywistości prawdziwa walka w okolicach Trondheim jeszcze się nie zaczęła, alianci są zajęci przygotowywaniem baz”.

Oczywiście, że prawdziwa walka jeszcze się nie zaczęła. W ogóle nie miała się zacząć. Tego samego dnia, w którym „The Times” z przekonaniem opublikował swoją wersję „prawdy”, flotylla opuściła Scape, żeby rozpocząć ewakuację.

Nastąpiła wiosna ubrana w pelerynę z licznymi kolorów, najżywszych i najbardziej energetyzujących, jakie pamiętało większość londyńczyków. Burgess w ogóle ich jednak nie zauważał. Jego świat stracił światło i nadzieję. Jego oczy mówiły wszystko – były zaczerwienione, obwiedzione zmęczeniem, wpatrywały się w niego z brudnego lustra. Miał szczecinę na brodzie i przepocone włosy. Próbował wszystkiego: chodził spać trzeźwy, chodził spać pijany i tak strasznie zamroczony, że nie miał pojęcia, gdzie jest jego łóżko. Ale bez względu na to, jak albo gdzie się kładł, codziennie rano jego życie nadal śmierdziało strachem. Rodney, ten z banku, powiedział mu, że nadal węższą. Kopia.

Wiedział, co powinien robić – wbijano mu to do głowy setki razy. Miał nie robić nic. Zachowywać się zupełnie normalnie, tak jak nakazywał podręcznik. Burgessowi było jednak bardzo daleko do normalności, był człowiekiem, do którego zasady zwyczajnie nie miały zastosowania.

Postanowił zatem działać. Coś zrobić. Spotkać się z Churchillem – osobiście, twarzą w twarz. Musiał ostrzec pierwszego lorda, uratować go przed konsekwencjami, a gdyby się udało, być może, myślał Burgess, zdołałby uratować także siebie. Ale nie mógł dostać się do Churchilla. Churchill toczył wojnę, był mężczyzną, który jadł, spał i pracował w najpilniej strzeżonym budynku w kraju, w budynku pełnym czujnych oczu, teraz już pewnie podejrzliwych wobec swojego pierwszego lorda, bez wątplenia monitorujących jego korespondencję

i rozmowy telefoniczne, widzących każdy ruch Churchilla i rejestrujących wszystkich jego rozmówców. Burgess nie mógł dostać się do niego tam, w Admiralicji, byłaby to potencjalnie śmiertelna pułapka.

Twarz w lustrze spoglądała na niego z wściekłością. Potarł zęby palcem i mocno wbił knykcie w oczy, a potem wciągnął powietrze, lecz nic się nie zmieniło. Nadal się bał. Gdy jednak ciągnął się za przepocone włosy, wpadł na pewien pomysł. Mac. Oczywiście, przekłety Mac. Człowiek zawsze pełen niespodzianek, sprawca pomniejszych cudów. Miał swoje imperium w Trumper's, zakładzie fryzjerskim królów i dworzan, mężów stanu i szpiegów, prawie wszystkich osób liczących się w tym kraju.

– Mac, posłuchaj – warknął Burgess chwilę później do słuchawki. – Pan Churchill. To jeden z twoich klientów?

– Niezupełnie jeden z moich klientów, panie Burgess. Należy do Alfreda.

– Więc bywa u was regularnie?

– Raczej nie zawieramy przelotnych znajomości.

– Kiedy więc? Kiedy znowu do was przyjdzie?

Burgess usłyszał szelest przekładanych kartek grubej księgi.

– Spóźnia się. Wygląda na to, że odwołał dwie wizyty w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Pewnie trwa wojna albo coś w tym rodzaju.

– Mac, ty draniu...

– W środę. Ma być u nas w środę, panie Burgess.

W środę pierwszy lord na kilka chwil wyjdzie ze swojej skorupy...

Gdy zatem Churchill wstał z krzesła Alfreda, przy ladzie w Trumper's zobaczył Burgessa pozornie pochłoniętego oglądaniem kolekcji balsamów do włosów.

- Z jakiegoś powodu nie kojarzy mi się pan z człowiekiem używającym balsamu do włosów, Burgess – warknął Churchill na powitanie.

- O, pan Churchill, co za zbieg okoliczności.

- Zbiegi okoliczności, Burgess, są dla powieściopisarzy i kompozytorów operowych, a nie dla takich historyków jak pan i ja.

- Racja. Ale skoro już na siebie wpadliśmy, szkoda byłoby nie skorzystać z okazji. Ma pan chwilę?

- Ha! Dlaczego czuję, że zaraz zaczniesz się jedna z tych pańskich pogadanek?

Obok sterczał pochylony Alfred, podając kapelusz i laskę Churchillowi, który po chwili je wziął.

- Oczywiście Brendan by tego nie pochwalił – ciągnął, ruszając w stronę drzwi – ale tym razem nie widzi. Skorzystajmy zatem ze słońca. Niech pan ze mną pospaceruje. Potrzebuję rozrywki.

Wyszli na jasne światło dnia. Osobisty detektyw Churchilla, Thompson, trzymał się o kilka jardów z tyłu, spowity dymem cygara. Churchill narzucił niezwykle żwawe tempo jak na człowieka w jego wieku, prawie jakby szarżował wąskimi i tętniącymi życiem uliczkami Shepherd Market. Początkowo w ogóle się nie odzywał, myślami był gdzieś indziej. W Norwegii. Dopiero gdy dotarli do Piccadilly i czekali na przejściu dla pieszych, Churchill poświęcił towarzyszkowi odrobinę uwagi.

- Burgess, wygląda pan okropnie – warknął, kiedy stali na skraju szerokiej ulicy.

- Kiepsko sypiam. Martwię się. O wojnę, jak przypuszczam.

- Wygląda mi pan na człowieka, którego zawsze coś gnębi... którego gnębi coś innego. Jakby program nigdy nie był kompletny.

Reszta z nas przechodzi w końcu do Wszystkich Innych Spraw, a pan dopiero zaczął. To nie może dobrze wpływać na pańskie nerwy.

Burgessa zdumiała ta przenikliwość i z niepokojem pomyślał o tym, dokąd mogłaby ich zaprowadzić, lecz Churchill już ruszył dalej, pędząc przez ulice niczym szarża, a jego laska ze srebrną główką domagała się pierwszeństwa w ruchu ulicznym. Burgess poszedł za nim, omijając furgonetki dostawcze i rowery.

– Mam nadzieję, że na wojnie idzie dobrze – odezwał się, gdy bezpiecznie dotarli do Green Park po drugiej stronie.

– O której wojnie pan mówi? – prychnął Churchill. – O tej, którą próbuję toczyć przeciwko nazistom, czy o tej, którą codziennie jestem zmuszony prowadzić przeciwko własnym kolegom?

– Czuję, że nie tylko ja mam inne problemy na głowie.

– Przepraszam. Nie powinienem tak mówić. Ale... niech to szlag, wie pan, jak to jest na wojnie. Czasami chcąc nie chcąc zaczynamy się zastanawiać, po czyjej stronie stoimy. Kto tak naprawdę jest naszym wrogiem.

– Amen – szepnął Burgess.

– Jak oceni nas historia, Burgess? Powiedzą, że byliśmy odważni i śmiali? Czy może, że wykazaliśmy się płochliwością albo nawet zwyczajnym tchórzostwem?

– Historia często bywa ślepa. Przypuszczam, że będzie nas sądzić po wynikach: po tym, co robimy, a nie po tym, czym się kierujemy, robiąc to.

– Współcześni mi ludzie zawsze sądzą mnie po tym, co uważają za moje wyniki. Gallipoli. Parytet złota. Oby historia okazała się łaskawsza.

– Historię piszą zwycięzcy. Mam nadzieję, że w końcu każde słowo zostanie napisane przez pana.

– Wspaniałe pomysły! Postaram się go urzeczywistnić.

– Szkoda, że wszystkie moje pomysły nie są równie zadowalające. – W głosie Burgessa zabrzmiał ton, na dźwięk którego Churchill zatrzymał się i spojrzał na młodszego mężczyznę.

– Burgess, coś pana gnębi i zaczął się pan na mnie, żeby mi o tym powiedzieć. Do rzeczy, proszę. – I znowu ruszył przed siebie. Przechodzili obok frontowej części pałacu. Churchill uniósł kapelusz, by z daleka okazać szacunek.

– Panie Churchill, chodzi o pieniądze. O kredyt. To oczywiście ślepy fundusz, nie wie pan, skąd pochodziły pieniądze. Ja też nie wiem. Okazuje się jednak, że część funduszy, które udało się zebrać, pochodzi z zagranicy.

– Z zagranicy? Skąd? Od kogo?

– Nie jestem pewny... Byli pośrednicy... Ale wydaje mi się, że w takich czasach jak obecne wszystkie zagraniczne pieniądze mogą być... niewygodne.

– Ile było tych zagranicznych pieniędzy?

– Zbyt dużo. Przepraszam, powinienem był bardziej uważać.

– Racja, do cholery, powinienem był pan bardziej uważać. Ma pan pojęcie, co oni robią, jeśli się dowiedzą, że siedzę w jakiejś zagranicznej kieszeni?

– Zdaję sobie sprawę, że...

– No więc czyje są te pieniądze, Burgess?

– Nie wiem.

– W takim razie: skąd? Skoro pan wie, że z zagranicy, na pewno wie pan skąd.

– Nie mam pewności.

Nagle Churchill znowu się zatrzymał i odwrócił do Burgessa.

– Niech pana szlag. Kim oni są, do diabła?

– Nie wiem, nie potrafię panu powiedzieć. Właśnie na tym polega sens tworzenia ślepego funduszu.

– A ja musiałem być ślepy, że panu uwierzyłem.

– Po prostu próbowałem pomóc.

– Pomóc samemu sobie, psiakrew!

– Nie, panu! Panu, panie Churchill. Najniezwykleszemu z ludzi, być może jedynemu na takie czasy.

– Dlaczego zatem mam wrażenie, że zależy panu na tym, by dopadli mnie moi wrogowie?

Churchill zacisnął dłonie w pięści, jakby za chwilę miał uderzyć młodszego mężczyznę. Detektyw Thompson podszedł o krok bliżej.

– Mam uwierzyć, że zebrał pan pieniądze, nie wiedząc, skąd pochodzą? – ciągnął czerwony ze złości Churchill.

Burgess nawet nie drgnął.

– A czy historia ma uwierzyć, że pan, panie Churchill, włożył pieniądze do kieszeni, nie wiedząc, skąd pochodzą?

– Niech szlag trafi pańską bezczelność!

Thompson podszedł jeszcze bliżej, ale Churchill zatrzymał go machnięciem ręki.

– Jak pan śmie, Burgess.

– Śmiem, dlatego że nie mam innego wyjścia. Jeśli ta sprawa kiedykolwiek wyjdzie na jaw i narobi panu wstydu, będzie najwyżej kroplą w oceanie kłopotów, jakich przysporzy mnie. Wiem, że w ogólnym rozrachunku moje losy nie mają znaczenia, ale bez

względu na to, czy to się panu podoba, czy nie, panie Churchill, siedzimy w tym obaj.

Stary ciężko oddychał, żując koniuszek cygara. Po chwili znowu ruszył przed siebie, krocząc przez St. James's Park w stronę Whitehallu. Burgess pognął za nim.

– Co pan zrobi, sir?

– Co zrobię? Co zrobię? – Laska śmigła przed nim, jakby ścinał nią niewidzialnych wrogów. – Chyba mógłbym pójść do premiera. Wyjaśnić sytuację. Modlić się, żeby zrozumiał. Potem obaj wykopalibyśmy cholernie wielki dół, żeby w nim pana pogrzebać, Burgess.

– W ślad za mną wepchnie do niego pana. Wie pan o tym, prawda? Lepiej, żeby miał pan jakąś alternatywę.

– Jakies sugestie? – warknął Churchill.

– Oddać pieniądze. Zastąpić je funduszami z innego źródła. To nie powinno być zbyt trudne. Gdy je pan brał, był pan wyrzutkiem, który nie miał się do kogo zwrócić, ale teraz jest pan pierwszym lordem. Przypuszczam, że takie sprawy mają duży wpływ na saldo w banku.

– Możliwe, że jest to jakieś zabezpieczenie.

– A jeśli ktoś spyta, będzie pan mógł przysiąc na stos Biblii, że nie ma pan pojęcia, skąd pochodziły tamte wcześniejsze pieniądze.

– Już pan to wszystko obmyślił, prawda, Burgess? To część pańskiego przeklętego planu.

Burgess nie odpowiedział. Bał się, że Churchill go przejrzał. Byli już na moście nad jeziorem. W oddali wznosiła się wieża zegarowa Admiralicji. Churchill jeszcze raz spojrzął mu w twarz.

– W tym miejscu musimy się pożegnać, Burgess.

Burgess spuścił głowę, nietypowo jak na niego skruszony.

– Tak mi przykro.

– Mnie też, mnie też. I obawiam się, że teraz pan Bracken znielebi pana jeszcze bardziej.

– Czuć smak krwi. Prosto z pola bitwy – mruknął Beaverbrook, kołyszając karmelowy płyn w kieliszku, aż w jego powierzchni odbił się blask świec. – Wiesz, Joe, to prawdziwy napoleon, żadna tam podróbka. Z cesarskich piwnic. Do diabła, Francuzi wiedzą co nieco o życiu.

– I o umieraniu.

– Na litość boską, chyba nie zamierzasz triumfować przez cały przeklęty wieczór? „A nie mówiłem?” i tego rodzaju bzdety? Przecież wiesz, że na tej cholerniej wojnie jestem razem z tobą.

– Najpierw będzie gorzej, a później fatalnie, Max. Wiesz, co ostatnio słyszałem? Pamiętasz te działa przeciwlotnicze, które wysłali do Namsos, robiąc wokół tego wielkie zamieszanie? Nie miały lunet ani celowników. Używając fachowego języka, są Całkiem Kurwa Bezużyteczne. Trzeba naprawdę jakiegoś wojskowego półgłówka, żeby po miesiącach planowania inwazji na tak żałosny kraj jak Norwegia spieprzyć sprawę.

– Nie tylko Norwegia. Słyszałeś o Brytyjczykach we Francji? Łącznie mają raptem siedemnaście lekkich czołgów. Hitler pewnie trzęsie się ze strachu.

– Pora zawrzeć umowę. Wycofać się, póki jeszcze nie zaszło to za daleko. Niech Europa sama decyduje o swoich... No wiesz...

– Losach?

– Zawsze potrafisz znaleźć odpowiednie słowo, Max. Tak, niech sama decyduje o swoich losach. Nie ma potrzeby się w to mieszać.

– Tego samego zawsze chciał Neville. Przypuszczam, że nadal chce.

- Ale między tym, czego Neville chce, a tym, co Neville dostaje...

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Do ciebie też docierają te pogłoski?

- W kurniku panuje spore zamieszanie. Spodziewają się lisa.

- Kto gdacze najgłośniej?

- Przystojniaczki. Duff Cooper, Hore-Belisha. Wszystkie te zrzędy i męczennicy, którzy wleką za sobą swoje niezadowolenie jak krzyż.

- Ale Neville'owi nic się nie stanie.

Gdzieś na końcu tej myśli unosił się jednak znak zapytania, modulacja świadcząca o niepewności.

- To niemożliwe. Daladier... oraz Neville?

- Wszystko się sypie. Tak jak mówiłem.

- Tak, tak. No więc co teraz będzie?

- Brytole dostaną po dupie.

- Czy mogę prosić, żeby Wasza Ekscelencja wyrażał się nieco precyzyjniej?

- Okej, więc Neville też może dostać po dupie.

- Niezbyt odpowiedni moment, jak na mój gust. „Express” cały czas go popierał. Zawsze myślałem, że nie należy zmieniać koni, kiedy ktoś mierzy ci w tyłek.

- W takim razie lepiej się upewnić, że wybrało się właściwego konia.

- Jeśli zatem nie Neville...?

- Módl się, żeby to nie był Winston. Padnij na kolana i módl się! Ile szkód może narobić jeden człowiek? To fiasko w Norwegii... Całkiem jak drugie Gallipoli i Dardanele. Czy Brytole niczego się nie uczą?

- A przecież powinien mieć dość doświadczenia, żeby uniknąć kolejnej katastrofy.

– To od początku była gra Winstona. Od miesiący. Bez końca Norwegia i Norwegia. Jak zdarta płyta, która nie może sama się wyłączyć.

– Słyszałem, że dosłownie zmusił do tego Neville'a. I tak będą pisały moje gazety.

– Będą rzucały gównem.

– Znajdzie się go wystarczająco dużo, żeby usmarować ich obu.

– No więc kto wyjdzie z tego pachnący różami?

– Jak to kto? Halifax, rzecz jasna.

– Odźwierny samego Boga?

– Jest solidny. Rozsądny. To człowiek, który od samego początku nie chciał, żeby brytyjskie oddziały włóczyły się po Norwegii, i miał dość rozumu, by wszystkich o tym poinformować.

– Daj mi siłę. I jeszcze trochę koniaku.

– Co masz przeciwko Edwardowi?

– Nic, czego nie mogłoby wyleczyć dwieście lat ostrożnego parzenia się z kimś innym niż bliskie kuzynostwo.

– Dlaczego wszyscy nie mogą być tak genetycznie doskonali jak rodzina Kennedych.

– Wypiję za to.

– A skoro o tym mowa, Joe. Pamiętasz tę twoją francuską sojuszniczkę, o której tyle mi opowiadałeś? Masz na nią wyłączność... czy może byłbyś zainteresowany małą dzierzawą?

Chamberlain słyszał pogłoski – no, w każdym razie część pogłosek. Szepty zwykle nie docierają aż na Downing Street. Za jego drzwiami wzbierała jednak fala niepokoju, której nie mógł dłużej ignorować. Niektórzy mówili nawet o przegranej wojnie. Poleciał zatem rzecznikom dyscypliny, by rozgłosili, że to wszystko wina Winstona –

jego kolejna fatalna klęska – a sam postanowił wygłosić oświadczenie w Izbie Gmin. By pokazać im, że on, Neville Chamberlain, nadal w pełni panuje nad sytuacją. By zatrzymać ten głupi plotkarski młyn.

Nawet jak na jego wysokie standardy był to prawdziwy majstersztyk. Izba wypełniona po brzegi, zaniepokojona. Spijali każde słowo z jego ust, wiedząc, że do ich drzwi pukają katastrofa i klęska.

– W ubiegłym tygodniu postanowiliśmy, że trzeba porzucić wszelkie zamiary zajęcia Trondheim – zaczął – i w związku z tym należy wycofać nasze oddziały. (No, brzmiało to całkiem nieźle, my postanowiliśmy, a nie Niemcy z całą ich przekłętą przewagą w powietrzu i z manewrami mającymi na celu okrążenie naszych wojsk. Dopóki jeszcze panowaliśmy nad sytuacją...).

Głos Chamberlaina zabrzmiał bardziej złowieszczo i Izba zamilkła, żeby dobrze go słyszeć.

– Operacja wycofania w obliczu wroga to jedna z tych operacji, które zawsze zaliczano do działań najdelikatniejszych i najtrudniejszych. – Mądre głowy pokiwały ze zrozumieniem. – A akcja sir Johna Moore'a pod La Coruñą, choć okupiona wieloma istnieniami ludzkimi, w tym życiem samego dowódcy, znalazła miejsce wśród klasycznych przykładów brytyjskiej biegiwości wojskowej. (Biegiwości? To była raczej cholerna katastrofa. Brytyjska armia wycofująca się przez lód i breję hiszpańskiej Galicji, rozwalana na kawałki mila po mili, dopóki ścigająca ją armia Napoleona nie opadła z sił i nie mogła kontynuować pogromu. Resztkom brytyjskich żołnierzy pozwolono uciec chyłkiem na pokładzie statku. Mój Boże, on nas przygotowuje na następną La Coruñę...).

Zapadła długotrwała cisza. Chamberlain żądał, żeby zamilkli. Potoczył wzrokiem po Izbie, spoglądając zarówno na przyjaciół, jak

i na wrogów, nalegając, by się uspokoili, zanim powie im coś więcej. I usłuchali. Jego głowa pochyliła się nad leżącymi przed nim notatkami.

– Wycofujemy wszystkie siły ze środkowej Norwegii.

A więc jednak. Odwrót. Porażka. Powiedział to cicho, jakby chciał złagodzić cios, ale co to miało znaczyć? Chamberlain podniósł wzrok i głos, by zmierzyć się z wyzwaniem rzuconym przez wszystkich wokół.

– Wycofujemy wszystkie siły spod samych nosów niemieckich samolotów i, z tego, co wiem, nie straciliśmy w tej operacji ani jednego człowieka!

Ani jednego człowieka? Czy to mogła być prawda? Nie była to zatem La Coruña, to było wybawienie z paszczy śmierci i rozpaczy. Deputowani stłoczeni w rządowych ławach wokół premiera prześcigali się w głośnym wyrażaniu radości.

Nie, to nie była żadna porażka. Niemcy stracili w swoich operacjach tyle okrętów, że zmienił się cały układ sił na morzach, oznajmił im premier. To zwycięstwo, tyle że pod inną nazwą. Poza tym był jeszcze Narwik.

– Nadal mamy przewagę – mówił z entuzjazmem. – Jest o wiele za wcześnie, by zamknąć norweski bilans.

Chamberlain stał na mównicy, jego palce szukały kojącego dotyku drewna wypolerowanego tysiącem rąk, jego broda tkwiła wysoko, a wzrok omiatał zatłoczoną Izbę – jego Izbę. Czuł ten przyływ podniecenia, dla którego warto było tak harować – i które ostatnio wydawało się jedynym środkiem zdolnym przytępić ból. Ból stawał się bowiem coraz silniejszy, bardziej natarczywy, i wkrótce premier zamierzał posłuchać swoich lekarzy, zwolnić tempo, znaleźć czas na

odzyskanie sił. Jak jednak mógł odpoczywać, gdy dzielni brytyjscy żołnierze ginęli w Norwegii? Jak mógł myśleć o sobie, gdy losy całego narodu, całego Imperium, być może całego świata, spoczywały w jego rękach? Właśnie działa się historia, a historia nie czeka, aż jelito grube starego mężczyzny poradzi sobie z jego śniadaniem.

Za plecami Chamberlaina rozlegały się okrzyki poparcia. Podziękował za nie lekkim skinieniem głowy, na jego policzki wystąpiły dwie czerwone plamy. To było mistrzostwo świata, jedno z jego najlepszych występów. Znowu stał u steru.

Gdy jednak siadał, poczuł dojmujące zimno. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i z głośnym hukiem uderzył w skórzaną ławę. Do głowy przyszła mu nagła myśl, myśl, która zdawała się zakłócać jego spokój. Myśl, że z jakiegoś powodu właśnie popełnił potworny błąd.

Cały naród usłyszał wiadomość Chamberlaina przepuszczoną przez filtr ulgi, strachu, dezorientacji i wstydu. W swoim wypolerowanym drewnianym boksie w Trumper's Mac widywał ich wszystkich. Emerytowanych żołnierzy, którzy rozumieli, a przez to nagle jakby jeszcze bardziej się zestarzelili; bankierów, którzy rozumieli tylko pieniądze i dziękowali Panu za jego miłosierdzie; oraz jednego z ludzi Pana – pastora z Bayswater – który, gdy Mac się od niego odwrócił, niespodziewanie się rozpłakał. Po jego rumianych jak jabłka policzkach płynęły rzeki wstydu.

– Najechanie na neutralny kraj było błędem – oznajmił – ale porzucenie go to wręcz potworność. Jestem Anglikiem. Jestem z tego dumny. Odtąd żaden cudzoziemiec nie będzie wierzył słowu danemu przez Anglika.

Burgess słyszał przemówienie Chamberlaina, lecz za bardzo struchlał ze strachu, by płakać. To była powtórka z Hiszpanii.

I z Austrii, i z rozczłonkowanej Czechosłowacji, i z Albanii, i z Polski. Kiedy to się skończy? Już nie wiedział. Był pewny, że nie na Norwegii i Danii. Może to piekło nie miało końca.

Sue Graham podzielała zagmatwane emocje wielu ludzi. Wydarzenia w Norwegii nie miały żadnego oczywistego ani bezpośredniego wpływu na stateczne tempo wydarzeń w Bournemouth, lecz mimo plakatów rozwieszonych na jej pocztce ludzie kłapali ozorami. Kampanię wojskową, która jednego dnia, nie bacząc na nic, gnała po zwycięstwo, przedstawiano teraz jako triumf odwrotu. Nie trzeba było być Albertem Einsteinem, żeby zauważyć w tym luki. Na razie jednak Sue cieszyła się, że może pławić się w uldze, wiedząc, iż mężczyźni wracają do domu. Lepiej, żeby wrócili z podkulonymi ogonami, niż nie wrócili w ogóle. Tego wieczoru zapaliła zatem świeczkę w sypialni i zdjęła pudło z górnej półki w szafie. Wyjęła z niego welon, opuszkami palców wygładziła zagniecenia i włożyła go na głowę. Potem chodziła po sypialni w starych butach Jerry'ego, by móc go dotknąć. Niemądre, doprawdy. Z jednej strony miała ochotę zbesztać samą siebie – przecież powinna być kobietą praktyczną – ale nawet kobieta praktyczna musi czasami wziąć sobie wolne. Jeszcze raz przeczytała ostatni list Jerry'ego, tak jak sto razy wcześniej, i nagle jej umysł wypełnił się przeróżnymi obrazami – zagrożeniami, niebezpieczeństwami, które mogły mu się przydarzyć, odkąd napisał te słowa. Zaniepokoiły ją te myśli. Odłożyła welon do pudła i przysunęła do ust ususzoną różę, po czym delikatnie umieściła ją na białej koronce. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że kolor tej róży bardzo przypomina barwę krwi.

Carol w małym domku w Chigwell robiła to, co powinna była robić kobieta. Karmiła dzieci, sprzątała i dbała o nie, modląc się, by

nie musiały dorastać tak szybko jak mnóstwo dzieci w środkowej Europie. Jej modlitwy przeważnie nie miały formalnego charakteru, mruzczała jedynie zaklęcia, stojąc przy zlewie. A gdy skończyła się modlić, zaczynała robić na drutach. Robiła na drutach nawet w kościele, podczas nabożeństwa. Pani Braithwaite mierzyła ją wściekłym spojrzeniem, aż upodobniła się do rozgotowanego ziemniaka, i złowrogo mamrotała o braku szacunku. Carol tylko się uśmiechała.

Anna zapewniała kojącą pierś, której Bracken mógł powierzać liczne otaczające go problemy. Cierpliwie słuchała jego obrazowych opowieści o coraz większym chaosie zarówno w Norwegii, jak i w Westminsterze. To była męska wojna. Cóż innego mogły robić kobiety, jeśli nie słuchać, płakać i dziergać?

Była to jednak także wojna Niemców, a Niemcy słuchali słów Chamberlaina uważniej niż większość innych ludzi. Słuchali o trudnej operacji wycofania armii. O ewakuacji. O tym, że to wszystko odbywa się tuż pod nosem Niemców. Oczywiście bolało ich, że podstępem odebrano im zwycięstwo w walce. Kto mógł się spodziewać, że Brytyjczycy zwyczajnie podkulą ogony i uciekną? I kto mógł wiedzieć, że bezwzględne śniegi Norwegii zasłonią tę całą operację? Tuż pod nosem Niemców! Przez krótką chwilę – bardzo krótką chwilę – niemieckie naczelne dowództwo mogło jedynie tupać, wściekając się z powodu tego, co wydawało się pustym i w pewnym sensie pozbawionym znaczenia zwycięstwem.

Później burzowe chmury się rozstały i samolot zwiadowczy wrócił ze zdumiewającymi wieściami. Namsos nadal jasno płonęło po bombardowaniu, a ogień rzucił nowe światło na sytuację. Ewakuacja nie dobiegła jeszcze końca. Maruderzy wciąż zmierzali w stronę portu.

Brytyjskie niszczyciele czekały u wybrzeża, żeby ich zabrać. To jeszcze nie był koniec.

Chamberlaina przyłapano na niemądrych, bezsensownych przechwałkach. Na parlamentarnym oszustwie mającym wywołać kilka owacji i dać mu trochę więcej czasu. Ten czas już się jednak skończył, bo teraz Niemcy z radością klasnęli w dłonie. Mogli teraz zapewnić wrogowi nie tylko klęskę, lecz również upokorzenie. Ośmieszyć Człowieka z Parasolką. Niemcy skupili całą swoją przeraźliwą uwagę na najbardziej bezbronny punkcie wroga.

Na Namsos.

Jerry właściwie nie miał pojęcia, jak zdołał dotrzeć na wzgórze nad portem. Głód. Zimno. Strach. Luftwaffe. Z każdym niepewnym, chwiejnym krokiem czuł, że go ścigają. Gdy niebo nad jego głową nie było ciemne i mroźne, wypełniało się samolotami. Niemieckimi samolotami. Przez cały ten czas w Norwegii Jerry nie widział ani jednego brytyjskiego samolotu. Czuł się opuszczony, zdradzony.

Należał do jednostki wiodącej 146. Brygady, która parła na południe w konwoju zarekwirowanych autobusów i ciężarówek, myśląc, że znajdzie się w awangardzie szturm na Trondheim. Nagle jednak wszędzie pojawili się Niemcy, nie tylko przed nimi, ale także z tyłu, ostrzeliwali ich, rozbili kompanię w drobny mak. Był to pierwszy ostrzał, jakiego doświadczyła większość żołnierzy 146. Brygady. Dla niektórych ostatni. Atak przypuszczony na kompanię Jerry'ego trwał niespełna dwadzieścia minut, lecz zupełnie ją zatrzymał.

Było wielu rannych i brakowało środków transportu, co spowalniało odwrót. Jako łącznościowiec, Jerry został wysłany przodem, by skontaktować się z innymi jednostkami i zażądać

wsparcia. Ale inne jednostki też się wycofywały. Gdy wreszcie nawiązał chwilowy kontakt za pomocą radia krótkiego zasięgu, usłyszał, że wsparcie jest nieosiągalne. „Odwrót RV₁ – polecono mu. – Odwrót RV₁”. Wycofać się do Namsos. Tak brzmiał oficjalny rozkaz. Każdy był zdany na siebie.

Podczas tego odwrotu Jerry tuzin razy myślał, że zginie – albo od pocisków Luftwaffe, które ścigały go jedną morderczą milę po drugiej, albo od jeszcze bardziej bezwzględnego zimna. Tuzin razy o mało nie uległ pokusie, żeby położyć się na śniegu i zasnąć, by śnić o domu i Sue. Jednak to właśnie te myśli powstrzymywały go od poddania się, pchały naprzód.

Aż w końcu dotarł tutaj. Nad Namsos. Miasteczko miało w sobie mrozące krew w żyłach, niemal okrutne piękno. Naprzeciw niego w blasku księżyca rozciągał się fiord, którego nie wypełniał już zmrożony śnieg, jak w dniu ich przybycia, i który wyglądał wspaniale. Po prawej Jerry widział mistyczne, wirujące kolory zorzy polarnej, świateł Północy, jakby same niebiosa czekały, by go powitać. Poniżej leżało Namsos. Nie Namsos, które opuścił niespełna dwa tygodnie wcześniej, lecz Namsos pozbawione kształtu i formy, miasteczko, które nie zachowało niczego oprócz swojej nazwy, pustkowie oświetlone migotaniem żółtych płomieni wciąż obłapiających ruiny tego, co niedawno było domami, kościołami, szkołami i nabrzeżem. A za miasteczkiem zaczął dostrzegać na wodach fiordu kształty przyczajonych w ciemności okrętów. Brytyjskich okrętów ewakuujących żołnierzy.

Ten widok go przeraził. Oznaczał jednak także rychły powrót do domu.

Poszli się modlić. Błagać Wszechmogącego. Propozycja wyszła od Halifaxa: chwila spędzona ze Stwórcą, zanim każdy z nich pójdzie swoją drogą do parlamentu. Chamberlain skwapliwie się zgodził. Miał wrażenie, że wokół niego wzbiera niepokój i nie zaszkodzi przypomnieć Bogu, po czyjej stronie walczy. Zaszli zatem do kościoła Świętej Małgorzaty naprzeciwko budynków parlamentu.

Towarzyszyli im Ball i Wilson, którzy uklękli kilka rzędów z tyłu. Ball był w złym humorze – małe ugięcie kolana miało w sobie znaczny potencjał reklamowy, lecz całość zorganizowano w ostatniej chwili i nie zdążył w porę zawiadomić fotoreporterów. Hołdu nie widział więc prawie nikt, pomijając samego Boga, a Ball wątpił, czy Bóg gra teraz w ich drużynie.

– Jest bardzo źle, Joe? – szepnął Wilson.

– A kiedy po raz ostatni widziałeś mnie na pieprzonych kolanach?

– Mnie też się to nie podoba. Widziałeś dziś rano „Guardiana”? Całe to pustosłowie o „umiejętności okłamywania samego siebie” Neville’a i o tym, że stała się ona „zagrożeniem dla państwa”?

– Wyłamują się. Przypominam im, że mają u nas dług wdzięczności, ale te pasożyty chyba nie rozumieją pojęcia „lojalność”.

Nozdrza Wilsona rozszerzyły się, wciągając uporczywą woń wosku i zgaszonego już kadzidła.

– Oddziały wrócą z Norwegii, ciągnąc za sobą katastrofę. Ktoś będzie musiał za to zapłacić.

– W takim razie lepiej, żeby to nie był Neville. Ani ja i ty. Bo wiesz, my też możemy zapłacić za to głową.

– Jeśli nie my, to kto?

Ball przygryzł pulchny knykieć.

- Uderzymy w moralizatorski ton. Jak porządni ludzie. Zaczniemy od obwiniania Norwegów. Quislinga i całej reszty, którzy nas zawiedli, gdy my ryzykowaliśmy wszystko, przybywając im na ratunek.

- Joe, na litość boską, nawet Neville tego nie przełknie. Potrzebujemy chyba czegoś mocniejszego.

Do kościoła wszedł pospiesznie arcydiakon z sąsiedniego opactwa. Dowiedział się o przybyciu dwóch znamienitych gości i teraz przystąpił do udzielania im błogosławieństwa.

- Niech to szlag, utkniemy tu na cały dzień - warknął Ball.

- Oczywiście zawsze jest jeszcze Winston.

- Tak, zawsze Winston.

- Norwegia to było jego dziecko.

- Podobnie jak te wszystkie przeklęte karabiny.

- Jakież wieści?

- Boothby wrócił i twierdzi, że znalazł ich dość dla całej armii. Teraz potrzebuje już tylko pieniędzy. Winston zażądał, żebyśmy zapłacili.

Chamberlain i Halifax wstali z klęczek i cicho rozmawiali z arcydiakonem. Wilson i Ball przeżegnali się i rozprostowali obolałe nogi.

- A skoro mowa o Winstonie i pieniądzach, Joe...

- Już prawie, Horace. Już prawie.

- Na litość boską - warknął Wilson, nie mogąc powstrzymać zniecierpliwienia. - Ile trwają takie rzeczy?

- Ach, właśnie na tym polega piękno całej sprawy. Nie jest łatwo, dlatego że te pieniądze pochodzą z zagranicy.

- O, dobry Boże, jeśli to prawda, mamy go...

- Jeszcze nie, Horace. Pieniądze przeszły przez jakieś tajemnicze przedsiębiorstwo handlowe o nazwie Omni-Carriers. Bank w Genewie,

kochanka w Wiedniu, jak zwykle w takich sytuacjach. Nie możemy tego dotknąć osobiście, więc chłopaki z wywiadu drążą temat. Sprawdźmy, co tak naprawdę knuje to Omni.

– Ale pieniądze są z zagranicy. Nie rozumiesz, co to znaczy?

– Rozumiem, co to może znaczyć.

– On coś ukrywa.

– Oczywiście, że coś ukrywa. Tylko co? Nie możemy wycisnąć prawdy z pierwszego lorda Admiralicji w samym środku pieprzonej wojny. Potrzebujemy do tego innych środków.

– Jego dzienniki. Sprawdziłeś?

– Gdy był w Paryżu. Ale nie ma w nich nic niezwykłego, pomijając jego rozlicznych przydupasów w rodzaju Boothby’ego i Brackena.

– Zaglądałeś do rejestrów w jego gabinecie?

– Oczywiście, są jeszcze rejestry w gabinecie.

– Ale chyba nie byłby aż tak głupi, żeby spotykać się z kimś w gabinecie, prawda?

– A gdzie? Teraz nigdzie nie wychodzi, chyba że do parlamentu albo do Admiralicji. Założyliśmy pluskwy we wszystkich jego telefonach.

– Może jest jakiś inny dziennik? Prywatny? Do planowania spotkań poza gabinetem?

– Jaki prywatny? Przecież on nie ma czasu. Pamiętaj, że mieszka w tej przeklętej Admiralicji. Kojarzysz mieszkanie nad gabinetem?

– Mieszka w Admiralicji – powtórzył powoli Wilson, poruszając ustami, jakby recytował nie do końca pamiętaną modlitwę. – Oczywiście. Więc wszyscy jego goście, nawet ci prywatni, muszą przejść przez recepcję. Miąć odźwiernego. Wpisać się do księgi.

– No i? – spytał ostrożnie Ball, jeszcze nie nadążając.

- No więc znajdź księgę gości. Jeszcze dziś! Natychmiast! Porównaj ją z jego dziennikiem. Zobacz, czy odwiedzali go jacyś inni ludzie.

- Inni ludzie? Jacy ludzie?

- Ci, którzy nie trafili na pierwszą listę. Którzy nie mieli żadnego oficjalnego ani oczywistego powodu, żeby tam być. Jednorazowi goście. Ci, z którymi spotkał się sam na sam. Sprawdź to i zrób listę nazwisk. Powinno ich być najwyżej kilka - jak zauważyłeś, Winston nie ma czasu. Chyba że specjalnie go znajduje. Jeśli ktoś tu bruździ, właśnie tak go znajdziemy.

- I co potem?

Po raz pierwszy od wielu dni Wilson przestał marszczyć brwi i lekko się uśmiechnął.

- Zdobędziesz nazwisko, Joe. I wtedy, jak przypuszczam, wojenka Winstona dobiegnie końca.

Nie jest jasne, jak Jerry mógł dotrzeć na nabrzeże. Wydaje się, że człowiek, który opadł z sił, nie byłby w stanie pokonać blisko dziesięciu mil w niecałe dwie godziny. Unoszą go jednak strach i myśli o domu, towarzyszą każdemu krokowi i każdemu potknięciu się w drodze na dół, pchają go, zmuszają, by szedł dalej, podnoszą, gdy upada. Myśli o Sue. Tam, gdzie zasy są głębokie, jej uśmiech dodaje mu sił; kiedy traci orientację i zaczyna błądzić, jej szepty prowadzą go ku jasności rozświetlającej w mroku spalone Namsos.

Zbliżając się do nabrzeża, Jerry wie, że już nie jest sam. Zaczyna się natykać na porzucone autobusy, zepsute ciężarówki, zbędne zapasy, ze wszystkich stron otaczają go pozostałości po odwrocie ciśnięte na bok przez tych, którzy dotarli tu wcześniej. I ilekroć ścieżka prowadzi go do jakiegoś dobrego punktu obserwacyjnego, poniżej coraz wyraźniej widzi ślady ewakuacji - sylwetki mężczyzn przemykające między

płomieniami, małe łodzie odbijające od prowizorycznych, drewnianych kei, cień przyczajonego niszczyciela na kotwicy. Wie, że nie będą na niego czekali, bo wkrótce zacznie świtać, a na każdy okręt unieruchomiony w fiordzie Namsos czyha śmierć. Rano już ich nie będzie. Jerry wlecze się dalej.

Mija kolejne porzucone pojazdy. Ciężarówkę piekarza, kilka prywatnych samochodów, a nawet okrutnie powyginane rowery. Oraz stanowiska dział, gdzie być może jeszcze kilka minut temu brytyjska tylna straż prowadziła obserwację i czekała na rozkaz wycofania się do portu. Wygląda na to, że była uzbrojona jedynie w breny – zostawiono trójnogi razem z pudłami niezużytej amunicji. Wszyscy brali udział w wyścigu z czasem, w wyścigu, który Jerry rozpoczął kilka okrążeń później.

Już ich widzi. Wyraźnie. Są niespełna dwie mile od niego. Od czasu do czasu słyszy nawet wykrzykiwane rozkazy, ale zagłusza je łoskot silnika zatłoczonego trawlera, który niknie w ciemności. Jerry krzyczy do nich, macha rękami, ale to na nic. Czuje, jakby płonęły mu nogi, jakby palono go na stosie. Chce, żeby to się skończyło. Jego ciało i umysł wrzeszczą na siebie nawzajem, domagając się, by to drugie ustąpiło. Wlecze się naprzód.

Teraz jest już w miasteczku, a raczej tam, gdzie było miasteczko. Nie zostało z niego nic oprócz dymu przesuwającego się niczym tumany mgły po jego ścieżce, palącego go w gardło, usiłującego go udusić. Oprócz prawie całkiem powalonych ścian, które spoglądają na niego z wyrzutem. Frontowa część kościoła z wybitymi oknami wpatruje się w niego ślepo niczym czaszka. Wszędzie migoczą płomienie wyznaczające drogę do piekła wikingów. Wkrótce będzie

u celu. Gdy jednak raz po raz ukazuje mu się nabrzeże, ma wrażenie, że zostało już tylko kilku ludzi – i tylko jedna łódź.

Miasteczko nadal jest przesiąknięte odorem gnijących ryb, który przedziera się przez dławiący pył, cofając Jerry'ego do chwili, w której tu przyплыnęli, tak pełni nadziei i oczekiwań. To wspomnienie przepelnia go gniewem, ponieważ to, co się stało, nie było wojennym nieszczęśliwym wypadkiem, lecz jawną, przeklętą, niewybaczalną niekompetencją. Niekompetencją, która uśmierciła bardzo wielu jego kolegów i o mało nie zabiła jego samego. Jeszcze nie.

Potem jest już na miejscu. Chwiejnym krokiem wchodzi na nabrzeże pełne najróżniejszego sprzętu – pojazdów, tuzinów ciężarówek, stert karabinów, skrzyń, beczek z ropą, zapasów, częściowo porzuconych, a częściowo takich, które dotarły dopiero niedawno i pozostały nietknięte. Są tam nawet dwie armaty przeciwlotnicze Bofors czekające na rozkaz ruszenia na wojnę. Jerry'ego jednak wojna przestała już interesować, interesuje go jedynie przetrwanie. A teraz jest już na brzegu.

Tylko że ich nie ma. Został sam na nabrzeżu, ale w oddali na wodzie widzi wzburzony kilwater, podąża za nim wzrokiem i w końcu dostrzega upiorny zarys małego tendera pospieszenie znikającego w ciemności. Krzyczy, lecz jego wołanie wraca w formie echa, nieusłyszane. Krzyczy jeszcze raz, macha rękami, ale to bezcelowe. Wycofujące się armie nie patrzą za siebie.

Dla Jerry'ego to jednak jeszcze nie koniec. Nieopodal w śniegu leży porzucony motocykl Norton. Jerry podnosi go i siada na nim okrakiem, kierując pojazd w stronę morza. Kopniakiem uruchamia silnik, włącza reflektor i świeci nim w stronę odpływającej łodzi. Nic. Świeci znowu, naciska na klakson – pewnie bardzo trudno cokolwiek

zobaczyć na tle płonącego miasteczka, ale nic więcej mu nie zostało. Nagle odnosi wrażenie, że łódź przestała się oddalać i tylko unosi się na skraju jego pola widzenia. Świeci jeszcze raz. I jeszcze. „SOS, SOS”.

Wreszcie w odpowiedzi błyska lampa. „ZIDENTYFIKUJ SIĘ”.
Zauważyli go!

„SIERŻ. WHITE KOMP. B KOYLI”⁸.

Są jednak ostrożni, boją się podstępu niemieckich oddziałów górskich, które, jak wiedzą, depczą im po piętach.

„MOTTO” – domagają się.

O, chłopaki wiedzą, co robią. Zaczynają mu drzeć nogi, gdy ulga przepływa przez jego ciało i ogarnia je całe. Palce na włączniku światła też mu się trzęsą.

„CEDE NULLIS”.

Po nabrzeżu przetacza się dym, raz po raz przysłaniając światło reflektora. Proszą, żeby powtórzył. Pstryka przełącznikiem.

„NIGDY SIĘ, KURNA, NIE PODDAWAJ”.

Następuje niekończąca się przerwa, po czym odpowiadają:
„ZAWRACAMY”.

I daleki cień znowu się porusza, tyle że tym razem rośnie. Wszystko wokół Jerry’ego jakby spowalnia, ale morze ma własne tempo. Jerry zsiada z motoru, stoi na śniegu, wpatruje się w wodę, od strony której zbliża się ratunek, macha rękami na powitanie.

Brytyjczycy opuszczają Namsos i zostawiają tam swój honor. Zgodnie z rozkazami prosto z Londynu nie poinformowali Norwegów o odwołaniu i porzucają sojuszników zupełnie nieostrożnych. Zżerany poczuciem osobistej hańby dowódca operacji w Namsos napisał do swojego norweskiego odpowiednika, przeprasząc za fatalne okoliczności, w jakich obaj się znaleźli. Próbował też znaleźć jakiś

symboliczny znak, jakiegoś rodzaju rekompensatę mogącą choć w niewielkim stopniu wynagrodzić temu człowiekowi poczucie zdrady, które niewątpliwie odczuwa. „Zostawiamy tu sporą ilość materiałów, które, mam nadzieję, będziecie mogli przejąć i z pewnością okażą się cennym nabytkiem dla pana i pańskiej walecznej armii”. Materiały, które ma na myśli, leżą porzucone na nabrzeżu wokół Jerry’ego.

Ale w zamęcie odwrotu cele nieuchronnie narażane są na szwank. Nikt nie powiedział kapitanowi niszczyciela o zamiarze zostawienia sprzętu Norwegom. Z jego punktu widzenia wszystko, co pozostawia, wpadnie niebawem w ręce ścigających ich Niemców. Dlatego gdy tylko słyszy, że ostatnia łódź opuściła keję, wydaje rozkaz, żeby wszystko zniszczyć. Jest wczesny ranek 3 maja 1940 roku. Działa brytyjskiego niszczyciela plują ogniem na nabrzeże, dopóki wszystko nie obraca się w ruinę. Zabijają przy tym sierżanta Jerry’ego White’a.

Ostatnia brytyjska krew przelana w Namsos rozkwita na białym śniegu. Jak róża na koronce.

⁸ KOYLI (Kings Own Yorkshire Light Infantry) – Królewska Lekka Piechota z Yorkshire.

Rozdział dwudziesty pierwszy

7 maja 1984

– Chryste, to trochę okrutne, nie sądzisz, Ianie? Całe to pustostowie w prasie.

– Uderzają w najczulszy punkt, bez dwóch zdań.

– Nie podoba mi się to. To cholernie niesprawiedliwe.

– Nawet „Mail” domaga się zmian.

Dwaj starzy wojownicy przeciskają się przez zatłoczoną Izbę Gmin w poszukiwaniu miejsca, próbując unikać grupek kolegów i konspiratorów gromadzących się chyba na każdym kroku.

– „Mail” też? – Dickie kręci głową. – Sępy! Jeszcze kilka miesięcy temu wychwalali go pod niebiosa. Hitlera też. Mój Boże, co się porobiło.

– Klęska.

– No więc wdaliśmy się w bójkę. Trochę krwawimy z nosa. Ale przecież Londyn nie został zbombardowany.

To klub dla dżentelmenów, pełny starej skóry i tradycji, lecz dzisiaj Izba Gmin nie jest kojącym miejscem. W powietrzu czuć stęchlizną, mieszaniną zarwanych nocy, lęku i zbyt ciasno upakowanych męskich ciał. Ian znalazł jednak małą lukę w tłumie, szansę na odrobinę przestrzeni w ostatnim rzędzie skórzanych ław w głębi sali. Będą stamtąd mieli doskonały widok na obrady. Wciskają się.

– Naprawdę myślisz, że to możliwe? – draży Dickie, gdy po długich przepychankach i przeprosinach z obu stron jego obszerne spodnie

wreszcie stykają się z zieloną skórą.

– Co?

Ścisza głos do szeptu.

– No wiesz... Neville.

– Coś musi się wydarzyć. Tak dłużej być nie może – odpowiada Ian.

Dalsza dyskusja staje się jednak niemożliwa, gdyż poniżej w sali zjawia się premier, wyłania się zza fotela spikera Izby Gmin, by ostrożnie jak żuraw przejść między wyciągniętymi nogami swoich kolegów, którzy zasiedli już w pierwszym rzędzie. W ławach rządowych rozbrzmiewa chór poparcia zorganizowany przez rzeczników dyscypliny partyjnej, lecz Ian zauważa, że tylko bardzo nieliczni koledzy wstają, aby powitać lidera. Bezpieczne miejsce w parlamencie wydaje się cenniejsze.

Chamberlain także dostrzega tę powściągliwość. W kapryśnym świecie premier jest tylko tak dobry jak jego ostatnie wystąpienie, a Chamberlain przyznał – prywatnie i wyłącznie przed samym sobą – że źle ocenił swoje wystąpienie z poprzedniego tygodnia. Przedstawił w pozytywnym świetle sprawę wycofania się ze środkowej Norwegii, ale żołnierze już wrócili, a za nimi przypełzli korespondenci wojskowi ze swoimi narzekaniami i biadoleniem. Ci satyrycy i cynicy przypominają dawnych markietanów: gdy minie zagrożenie, snują się po polach bitwy, by rabować ciała. Gardzi nimi. Gardził nimi nawet wtedy, gdy ich kontrolował. Teraz, kiedy się okazało, że mają apetyt na padlinę, gardzi nimi jeszcze bardziej.

Wie, że to będzie ważny dzień. Starannie się ubrał. Jak zwykle świeża koszula frakowa, a do tego krawat, który żona kupiła mu z okazji narodzin ich pierwszego wnuka. Chce wyglądać jak najlepiej, lecz siłą rzeczy zauważył, jak bardzo schudł pod jedwabną koszulą

i dopasowaną marynarką, jak upływ czasu dał mu się we znaki. Nie jest już tym człowiekiem, którym był kiedyś. Kraj jednak także nie jest taki jak kiedyś, choćby dwadzieścia miesięcy temu, gdy wrócił z Monachium i wszyscy – tak, wszyscy – wychwalali jego i jego pracę. Teraz okazują wdzięczność mew.

Krótką drogę do parlamentu pokonał samochodem. Chciał pójść pieszo, ale zeszły się tłumy, niektórzy trzymali nieprzychylnie transparenty, a on musi zachować skupienie, musi wznieść się ponad nich, tak wysoko, by ich proce i strzały zwyczajnie go nie dosięgły. I gdy sadowi się na swoim miejscu obok mównicy, skinieniem głowy dziękuje kolegom za oklaski – być może trochę nieśmiało, lecz wystarczające, by zagłuszyć nieuniknionych krzykaczy. Siłą rzeczy zauważa, że sala obrad jest wyjątkowo zatłoczona, wypełniona po brzegi. Przychodzi mu do głowy, że parlament wygląda jak statek do ewakuacji, ale szybko odpędza od siebie tę niedorzeczność.

Oklaski i machanie listami zapytań poselskich w ławach rządowych już ustało. Izba powoli się uspokaja, przygotowując się na to, co za chwilę nastąpi. Tymczasem do wszystkich zakamarków dociera donośny głos z akcentem z Lancashire.

– Oto i on. Facet, który spóźnił się na autobus.

I na sali obrad znów podnosi się wrzawa, ławy opozycji ryczą z aprobatą, wszystkie starania rzeczników dyscypliny idą na marne. Chamberlain kłania się i uśmiecha do deputowanego, z wdziękiem przyjmuje cios, a w głębi ducha poprzysięga zemstę za pomocą wszelkich dostępnych środków. Teraz jednak to on zabierze głos. Zbliża się debata na temat operacji w Norwegii, potrwa dwa dni. Za chwilę zacznie się jego spacer z przeznaczeniem.

Chwyta obiema rękami za mównicę, uspokajając się jak sportowiec przed skokiem. Zaczyna od pochwalenia olbrzymiej waleczności brytyjskich żołnierzy. Te słowa przychodzą mu z łatwością i nie sposób im zaprzeczyć. Nie zyskał jednak niczego poza odrobiną czasu. Czekają i obserwują go niczym kruki na kablach telefonicznych, licząc na padlinę.

Przyznaje, że odwrót ze środkowej Norwegii wywołał potężny wstrząs zarówno w parlamencie, jak i w całym kraju.

- Na całym świecie! - krzyczy ktoś.

Boże, będą mu przeszkadzali, zanim w ogóle zacznie? Piorunuje przewodniczącego wzrokiem, lecz on udaje, że przegląda notatki.

Niektórzy sugerują, że winę za wstrząs odwrotu ponoszą ministrowie, a on przyznaje, że ministrowie powinni być gotowi na to, iż zostaną obwinieni o wszystko. Mówi to lekko protekcyjnym tonem. Stoi wyprostowany, napina ramiona, chcąc pokazać, że jest wystarczająco silny, by przyjąć każdą ilość win.

- Co on wyrabia... Czeka na autobus? - odzywa się ponownie głos z Lancashire.

Tylko nie znowu ten oklepany dowcip... Wewnątrz skręca się ze złości, ale mówi dalej. Jeśli kogokolwiek można za to winić, oświadcza, to nie ministrów, lecz tych, którzy rozbudzili od początku nieuzasadnione nadzieje w związku z wyprawą do Norwegii. Nadzieje tak niedorzeczne, że mogły nawet wyjść od samego wroga. Nadzieje zupełnie bezpodstawne i z pewnością nigdy nie popierane przez ministrów.

Takie uchylenie się od odpowiedzialności wywołuje głośny sprzeciw. Przez ławy opozycji naprzeciwko niego przetacza się oburzenie. Gwizdy dźwięczą mu w uszach, a za plecami wyczuwa

jedynie głuchą ciszę. Jego ludzie są powolni, być może rozleniwieni po zbyt dobrym lunchu, lecz rozleniwienie na nic mu się, do diabła, nie przyda. Jego wzrok skupia się na głównym rzeczniku dyscypliny siedzącym na końcu pierwszego rzędu i zaczynającym uderzać głową o oparcie niczym hortator na galerze wybijający rytm dla niewolników. Podnosi się wrzawa, która w końcu wyrywa przewodniczącego z otępienia.

– Nie chcecie wysłuchać premiera? – pyta przewodniczący z wyrzutem.

– Słyszeliśmy już te wszystkie wymówki – odpowiada mu jakiś podniesiony głos.

Pora się za nich wziąć. W takich chwilach jak ta Chamberlain czasami zastanawia się, kto naprawdę jest jego wrogiem. Nie wyolbrzymiajcie naszych problemów, nie ważcie się wyolbrzymiać naszych problemów, beszta ich, nie odwalajcie za Wehrmacht jego roboty. Wielkie nieba, przecież daleko temu do Gallipoli!

Ech, to wieczne, nieodparte porównanie. Gallipoli. Oczy całej opozycji kierują się w stronę Churchilla, który siedzi obok swojego premiera pogrążony w myślach.

Nie, ciągnie Chamberlain, tym razem ponieśliśmy naprawdę dość niewielkie straty. Zgoda, ucierpiał nasz prestiż i być może mit niemieckiej niezwyciężoności zyskał trochę koloru. To pewne, że nasi wrogowie teraz triumfują. Premier rozkłada ręce, nie ma nic do ukrycia, pokazuje, jaki potrafi być rozsądny. Rozsądek nigdy jednak nie robił furory w Izbie Gmin, a on zaczyna tracić panowanie nad sytuacją. Trzeba działać szybko.

Pytacie zatem, dlaczego skupiliśmy się na Trondheim, wiedząc, jak trudne i ryzykowne będzie to zadanie? Cóż, ile powodów chcecie

usłyszeć? Najważniejszy jest jednak ten, że poprosili nas o to sami Norwegowie. Dzielni Norwegowie, niezwykle odważni, stawiający opór niemieckiemu agresorowi – któż mógłby im odmówić? Któryś z was? Wstańcie i pokażcie się, jeśli ośmielilibyście się odmówić!

– Dlaczego zatem uciekliście? – pyta jakiś głos.

Przybyliśmy im z pomocą, bowiem jesteśmy porządnymi ludźmi, którzy szanują wolność i prawo do neutralności małych narodów (oczywiście sami też naruszyliśmy ich neutralność i położyliśmy kilka min, ale to nic w porównaniu z działaniami Niemców...).

No więc dlaczego się wycofaliście...?

Ignoruje oklepany dowcip. Jak by to wyglądało, gdybyśmy nie przybyli im z pomocą, pyta uparcie. Powiedzieliby, że interesowała nas tylko ruda żelaza! A to, rzecz jasna, jest bardzo dalekie od prawdy!

Poza zasięgiem jego wzroku olbrzymia głowa Churchilla spoczywająca na piersi pozostaje nieruchoma, jeśli pominąć jedną brew, która gwałtownie się unosi – wyrażając co? Rozbieżność opinii? Szyderstwo? Lekkie zdziwienie? W oczach opozycji wygląda to tak, jakby prawda usiłowała wydostać się na zewnątrz.

Zrozumcie naszą strategię, nalega Chamberlain. Niemcy mają olbrzymią i dobrze wyposażoną armię. Może nas zaatakować w dowolnym czasie i miejscu. Musimy być gotowi na takie zagrożenie!

Przepraszamy, krzyczą, ale czy przypadkiem Winston nie powtarza tego od lat? Czy nie dlatego skazałeś go na przymieranie głodem w dziczy?

Głowa, czoło, żuchwa i wszystkie mięśnie Churchilla trwają obok przywódcy niewzruszone jak głaz.

Chamberlain z pogardą macha rękami. Niektórych z was zawsze trzymają się kiepskie żarty. Każdego ministra oskarżacie albo

o nadmierną pewność siebie, albo o defetyzm. Ja natomiast zawsze starałem się trzymać umiarkowany kurs.

Nie umiałbyś utrzymać nawet kierownicy autobusu, krzyczą.

Posłuchajcie, w przeciwieństwie do niektórych nigdy nie starałem się rozbudzać nieuzasadnionych oczekiwań...

Powiedz to Joeyowi Ballowi.

...ani wywoływać u ludzi gęziej skórki kreśleniem obrazów bezbrzeżnej rozpacz.

Spóźniłeś się na autobus, krzyczą znowu.

Dość. Dłużej tego nie zniesie. Pora wziąć się za tę hołotę... Nie przekraczajcie moich słów. Użyłem ich w zupełnie innych okolicznościach. Przed inwazją w Norwegii. Trzy dni wcześniej!

Jasna cholera, wie, że przegrał. Zrobił się za bardzo wrażliwy, do diabła, pozwolił, żeby zależli mu za skórę. A co gorsza, dał to po sobie poznać. Wracaj – wracaj tam, gdzie twoje miejsce, Neville'u. Na górskie szczyty, do wzniosłych wizji, zamiast siedzieć w rynsztoku ze szczurami.

Posuwa się naprzód, dla osłony piętrzy wokół banały. Nie ma czasu na sprzeczenie się, na wewnętrzne podziały. To czas zwierania szyków, obnażania zębów. Czas zjednoczenia. Lojalności wobec partii. Przyjaźni!

Apeluje nawet o pomoc do Partii Pracy. Nie, nie! – wołają. Wiedział, że tak będzie. Co? Nie pomożecie w czasie wojny? – pyta z szyderym uśmiechem.

Wybuch frustracja. Chamberlain mocniej chwyta się mównicy. Oczy rzeczników dyscypliny krążą po sali niczym ościenie do poganiania bydła, popędzając, pobudzając, przymuszając. W panujący

tam chaos wplatają się okrzyki wstydu. Niektóre pochodzą nie z przodu, lecz z za jego pleców, z jego własnych ław.

Już prawie skończył. Skończyły mu się banały. Nie twierdzę, że jestem nieomylny, mówi do nich. Nie gardzę pomocą i radami innych. Uznaję bowiem nadrzędny narodowy cel – jak każdy prawdziwy Anglik – przygotowania się na czekające nas próby. Musimy zaangażować wszystkie siły w przygotowanie się na te wielkie próby, a zatem ciągle zwiększać naszą siłę, aż sami będziemy w stanie wymierzać ciosy, gdziekolwiek i kiedykolwiek zechcemy!

Nie była to wspaniała przemowa, trudno ją uznać za materiał godny Szekspira, lecz nigdy nie miał umiejętności Winstona. Stawił jednak czoło trąbie powietrznej i nie ścięła go z nóg. W końcu może usiąść przy akompaniamencie oklasków swoich ludzi i okrzyków zdumienia całej reszty. Jest zadowolony. A także zupełnie wyczerpany.

Spośród wszystkich rozlicznych zagrożeń czyhających na męża stanu największym są jego przyjaciele. Gdy Chamberlain siadał, sytuacja chyba wciąż była zrównoważona. Pierwszej odpowiedzi chciał udzielić Clement Attlee, przywódca Partii Pracy, który wyniosłym tonem charakterystycznym dla prywatnych szkół szydził z Chamberlaina, mówiąc o jego karierze złożonej prawie wyłącznie z klęsk i o tym, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat premier przegapił wszystkie autobusy. Później przyszła kolej na sir Archibalda Sinclaira, przywódcę liberałów, który długo opisywał wady kampanii norweskiej – żołnierze armii terytorialnej, słabo wyszkoleni chłopcy wysłani po to, żeby załatwić męską robotę i ginący za ten przywilej.

Takie szyderstwa miały jednak niewielkie znaczenie. Liderom opozycji trudno zabłysnąć na takiej arenie, gdyż oczekuje się od nich wyłącznie wielkich słów potępienia. Chamberlain nadal był zatem

wolny i panował nad sytuacją, gdy z miejsca podniósł się następny mówca. Wierny zwolennik rządu, doświadczony poseł, rycerz hrabstwa i generał brygady w jednym. Sir Henry Page Croft był weteranem, który brał udział w kampanii nad Sommą i był świadkiem ogromnego rozlewu krwi. Za chwilę miał wygłosić pochwałę swojego przywódcy, po której Chamberlain nigdy nie doszedł do siebie.

Brygadier wyprężył się jak struna. Widział przed sobą rzędy ław opozycji ciągnące się niczym okopy wroga pozbawione drutu kolczastego – mój Boże, ale przecież już do tego przywykł, napatrzył się na to jeszcze we Francji i na polach Flandrii. W umyśle miał rozkaz dzienny wydany osobiście przez głównego rzeczownika dyscypliny, a w ręce kilka notatek, które wkrótce zamierzał raz po raz wbijać w pierś wroga niczym bagnet. Kilka krótkich oddechów, by napełnić płuca, oblizanie spierzchniętych ust i do ataku...

Pierwszy cios wymierzył w Clementa Attlee, później rzucił się na Sinclaira, lecz były to tylko pomniejsze potyczki. Jego oczy skupiły się na celu, który z pogardą nazwał „naszymi własnymi Quislingami” – na podstępnych i zdradzieckich pismakach, którzy „zaciągnęli się do armii doktora Goebbelsa”. Te kreatury, rzucił oskarżycielsko, zmieniły „mały niefortunny wypadek w wielką klęskę brytyjskiej armii”.

Mały niefortunny wypadek. Otóż to. Problemy w Norwegii tak naprawdę nie były gorsze niż popsuty pasek klinowy. Dwa rzędy za nim dał się słyszeć głos Dickiego, który ze swadą go popierał.

Tak, ciągnął brygadier, Quislingowie z naszej prasy byli defetystami – gdzież jednak jest porażka? Nie było żadnej porażki, a jedynie wspaniałe zwycięstwo! (Nawet Dickie musiał zamilknąć, żeby dobrze go zrozumieć). Dzięki temu podstępowi zwabiono Hitlera w jedną z największych strategicznych pułapek wszech czasów, upierał się

Croft. „Zrobił dokładnie to, przed czym cały niemiecki sztab przestrzega od stu lat. Wydłużył prawą flankę o ponad tysiąc mil. Musi trzymać w Norwegii co najmniej sto tysięcy ludzi do końca wojny...” Statystyki śmigały po sali obrad niczym granaty, hałas był ogłuszający.

– Któż może wątpić – grzmiał – że Hitler z prawą flanką rozciągniętą o tysiąc mil, ciągle narażony na ewentualny atak od strony morza, wkroczył na drogę oznaczającą odejście od wszelkiego wojskowego rozsądku i strategii?

Przecież to jasne. Hitler runie pod ciężarem własnego sukcesu. Dajmy mu Belgię, dajmy mu Francję, dajmy mu wszystko, czego chce, a niebawem zostanie całkiem rozgromiony... Koledzy brygadiera siedzieli oszołomieni, on jednak miał w nozdrzach zapach krwi i wiedział z doświadczenia zdobytego w okopach, że jeśli raz zaczniesz, nigdy nie śmiesz się zatrzymać, bo inaczej kończysz z jajami zawieszonymi na drucie. O nie. Na Berlin!

– I powiem wszystkim przyjaciołom, jakkolwiek różniliby się w swoich opiniach – zawołał, pokazując na premiera – że jeśli są przekonani, iż potrafią znaleźć lepszego premiera, to nich go tu sprowadzą!

Była to oczywiście tylko pierwsza połowa myśli, zaledwie zarys tego, co miało być jego coup de grâce, lecz zbawca znad Sommy nieroztropnie przerwał, by zaczerpnąć tchu w samym środku szarży. I nagle znalazł się na ziemi niczyjej. Ugrzązł w błocie. Niech to szlag. Parł naprzód, coraz lekkomyślniej, usiłując uchylać się przed ostrzałem wroga atakującego ze wszystkich stron, chcącego za wszelką cenę pogrzebać jego miecz aż po rękojeść.

– Jeśli jednak uważacie, że taki rodzaj ataku w prasie, ten sabotaż, to coś złego, jeśli nadal wierzycie w demokrację, nie pozwólcie, by ci,

k którzy o nią walczą, dostawali rozkazy od największego ze wszystkich dyktatorów: od dziennikarzy!

Co? Większy dyktator niż Hitler? Większy nawet niż Józek Stalin? No cóż, był to tylko jakiś punkt widzenia, który zresztą miał się okazać niezwykle skuteczny, jeśli chodzi o usunięcie nazwiska brygadiera z bożonarodzeniowej listy pocztówkowej „Telegrapha”. Usiadł, z trudem łapiąc oddech. Poniżej siedzący przed nim Chamberlain nawet nie drgnął, nie śmiał się poruszyć. Jego umysł zamarł. Czy tylko na to było ich stać? Czy mieli go bronić nie waleczni rycerze, lecz nadworni błażni i głupcy?

Izba Gmin zmieniała się w scenę, na której miało się rozegrać historyczne arcydzieło, i zza kulis wyszedł sir Roger Keyes, ubrany do tej roli w mundur admirała floty, z sześcioma rzędami medali błyszczących na piersi. Lista wojskowych dokonań admirała była długa, nieskazitelna, zaiste bohaterska. Ten człowiek wiedział, co to wojna. Był także parlamentarzystą, który uważnie przemyślał rolę, jaką miał do odegrania w tym dramacie.

– Dziś po raz pierwszy przyszedłem do Izby Gmin w mundurze, ponieważ chcę zabrać głos w imieniu części oficerów i ludzi z walczącej marynarki wojennej, którzy są bardzo niepokieszeni.

Przyjaciele, Brytyjczycy, rodacy, nadstawcie uszu, bowiem przybyłem mówić o zacnych ludziach, których później pożremy. Keyes z oratorską swadą przystąpił do wydzierania Chamberlainowi serca. Mówił o przeklętych afrontach. O wstrząsającej historii nieudolności. O rzeczach, które nie powinny były się wydarzyć. O bitwie, która powinna była zakończyć się triumfem, lecz zamiast tego stała się historyczną tragedią – tak, użył tego słowa. Tragedią. Żadnych obłudnych bzdur na temat tego, że kraj utrzymał przewagę i że to, co

się stało, nie jest gorsze niż popsuty pasek klinowy. Izba o mało nie padła z wrażenia. Nikt nie pamiętał, by kiedykolwiek z taką zręcznością przeprowadzono sekcję argumentów premiera, odsłaniając ukrytego pod nimi raka.

Później mówił o Churchillu.

– Wielce podziwiam i cenię mojego szanownego przyjaciela pierwszego lorda Admiralicji.

Co to miało być? Kolejny szanowany człowiek, którego chciano rzucić na pastwę tłumu? Ale nie, Keyesowi chodziło o coś zupełnie innego. Mówił o błyskotliwych koncepcjach Churchilla, o niesprawiedliwości, z jaką go wcześniej traktowano, a także o przyszłości.

– Chciałbym zobaczyć, jak jego wielkie talenty znajdują właściwe zastosowanie. Nie wierzę jednak, by mogło to nastąpić w ramach obecnego systemu.

Obecnego systemu? Ależ obecnym systemem był...

Chamberlain. Który siedział, jakby żelazo przebiło mu duszę. Po chwili, gdy znalazł w sobie siłę, żeby wstać, opuścił salę obrad przy wtórze słabych oklasków po swojej stronie. Nie zamierzał dłużej słuchać tej debaty. Nie było go zatem na sali, kiedy zaczął się ostatni dramat tego dnia odegrany przez postać z jego rodzinnego Birmingham. Leo Amery należał do ludzi, którym zawsze trochę brakuje do pełnego sukcesu, polityków piastujących wysokie stanowiska, lecz nigdy najwyższe. Był niziutki, prawie napoleoński, i z reguły miał trochę więcej do powiedzenia, niż jego koledzy chcieliby usłyszeć. W tym dniu nie zważało się jednak na to, czego chcą inni, więc gdy nieco później zwrócił na siebie uwagę przewodniczącego i zabrał głos w mocno wyludnionej sali obrad, posłowie zaczęli powoli

wracać z jadalni i barów. Sala wciąż jednak była wypełniona zaledwie w połowie, kiedy oznajmił, że „dzisiaj lojalność należy się wyłącznie wspólnej sprawie”, ale ławy stopniowo się wypełniały, gdy przez blisko czterdzieści minut łajał własny rząd za niepowodzenia w Norwegii.

– To zła historia, historia braku zaopatrzenia i przygotowania, historia niezdecydowania, opieszałości i strachu przed podejmowaniem ryzyka. – Miażdżąca krytyka pod każdym względem, lecz... – Gdyby tylko na tym się kończyło. Niestety, nie kończy się.

Wyszydził słowa swojego premiera o Hitlerze, który spóźnił się na autobus. Powiedział, że takie twierdzenia są bardzo dalekie od prawdy – co było najmocniejszym określeniem, na jakie mógł sobie pozwolić poseł, nie chcąc nazwać Chamberlaina głupcem i kłamcą.

– Nie możemy dalej postępować tak, jak postępujemy – oznajmił. – Musi nastąpić zmiana. Wierzcie mi, jeśli nadal będziemy stosowali te same metody, nawet całe nasze męstwo i wszystkie nasze zasoby nie zapewnią nam przetrwania...

Co? Możemy przegrać wojnę? Gdy jednak ciskał w nich tymi trudnymi do przełknięcia prawdami, nie odezwał się ani jeden głos sprzeciwu.

Powiedział im, że sam parlament też został wystawiony na próbę. I przywołując inną sytuację, kiedy parlament poddano sprawdzianowi, przypomniał im o słowach Olivera Cromwella potępiającego błędy jego własnych towarzyszy, gdy zdawało się, że wszystko może przepaść. „Oddziały wasze są w większości stare, zgniłe, to słudzy, karczmarze i im podobni [...]. Musicie zdobyć ludzi mocnych duchem, którzy dadzą z siebie wszystko, albo dalej będą was bić”.

Rząd Chamberlaina – stary? Zgniły? Słudzy i karczmarze?

Zanim parlament zdołał się podnieść po tych obelgach, powrócił Amery.

– Walczymy dziś o życie, o wolność, o wszystko. Nie możemy pozwolić, by prowadzono nas tak jak dotychczas. Zacytowałem Olivera Cromwella. – Zawahał się, bowiem aż do tej chwili nie wiedział, czy użyje słów, których miał za chwilę użyć, lecz gdy jego spojrzenie zawisło nad tymi wszystkimi służącymi wyłącznie sobie i karczmarzami, wyzbył się wszelkich wątpliwości. – Zacytuję też inne słowa. Robię to z wielką niechęcią, ponieważ mówię o swoich starych przyjaciółach i współpracownikach, ale myślę, że słowa te odnoszą się do obecnej sytuacji. Cromwell skierował je do długiego parlamentu, gdy myślał, że organ ten nie nadaje się do dalszego kierowania sprawami państwa.

Izba zamarła w bezruchu, to nie było jedynie milczenie. Byli świadkami jednej ze wspaniałych mów parlamentarnych i za chwilę mieli uczestniczyć w jej ostatnim akcie.

– „Siedzicie tu zbyt długo, by nadal robić coś dobrego. Odejdźcie, mówię, i pozwólcie nam o sobie zapomnieć! W imię Boga: won!”

Okropne słowa. I nagle wszyscy poczuli, że zaczęła się nowa gra. To już nie była debata o Norwegii, lecz debata o Chamberlainie i wszystkich jego działaniach, a od tej debaty miało zależeć nie tylko życie jednego człowieka, ale być może życie całego narodu. Spuścili głowy ze wstydem, smutkiem, złością, a niektórzy ze strachem, lecz bez względu na to, czym się kierowali i komu byli winni lojalność, po obradach popędzili z parlamentu do swoich koterii i zakamarków, by zacząć spiskować. A najbardziej spiskowała Partia Pracy. Od początku tej wojny była zmuszona siedzieć bezradnie, nigdy nie mając pewności, kiedy popierać, a kiedy się sprzeciwić, lecz niepewność tę

zmiotła fala obelg, która zaczęła się przelewać przez tylne ławy i mogła jeszcze urosnąć tak bardzo, by zmieścić cały ten rząd. Postanowili zatem zmienić to, co zaczęło się jako temat debaty, w nieodwracalną decyzję. Gdy nazajutrz wrócili na salę obrad, ich przywódca ogłosił, że na zakończenie debaty, za pięć godzin, Partia Pracy przeforsuje w Izbie głosowanie nad wotum zaufania. W razie przegranej Chamberlain będzie musiał odejść.

Premier ociężale wstał. Czy naprawdę musi walczyć z wrogami na wszystkich frontach? Miał jednak wielu dłużników – wielu deputowanych obecnych na sali miało u niego dług – i przyszła pora, żeby sobie o tym przypomnieli.

– Całemu krajowi grozi dziś niebezpieczeństwo, a my stoimy w obliczu nieustępliwego wroga, z którym należy walczyć, podejmując wspólne działanie. Krytykowanie rządu może oczywiście być postrzegane jako obowiązek...

– Hańba! – warknął jakiś głos. Należał do Dickiego, który mierzył palcem w opozycję. – Dla kogo oni pracują? Dla Wehrmachtu?

Chamberlain z wdzięcznością pomachał ręką.

– Nie usiłuję uniknąć krytyki. Mówię to jednak do swoich przyjaciół w Izbie. A mam przyjaciół w tej Izbie. – Uśmiechnął się słabo, słysząc wokół siebie głosy poparcia. – Żaden rząd nie może skutecznie prowadzić wojny, jeśli brakuje mu publicznego i parlamentarnego poparcia. Przyjmuję wyzwanie. Ba, przyjmuję je z radością! – Spojrzał na własne ławy z groźnym błyskiem w oku. – Przynajmniej zobaczymy, kto jest z nami, a kto przeciwko nam. Wzywam moich przyjaciół, żeby nas poparli.

No, uczestnicy szeptanych spisków wypłyną zatem ze swoich zakamarków na palące światło dnia, gdzie będzie ich można

zidentyfikować. I rozprawić się z nimi. Być może Partia Pracy wyświadczyła mu jednak przysługę. Zresztą nie było szans, żeby rząd przegrał głosowanie. Zadowolony premier usiadł na swoim miejscu.

Premierzy kurczowo trzymają się swoich stanowisk, a gdy je tracą, z jeszcze większą uporczywością trzymają się swojej reputacji. Bywa, że tylko ona im pozostaje. Jeden z byłych premierów nadal zasiadał w Izbie Gmin, przysłaniając reputacją wszystkich innych mężczyzn w jego wieku. David Lloyd George był zwycięskim premierem w czasie poprzedniej wojny i przeprowadził kraj przez ten niebezpieczny okres dzięki mieszaninie odwagi, energii, wyobraźni, znie wag, łagodnej korupcji i oślepiającego walijskiego oratorstwa, które zrobiło z niego parlamentarną legendę. Osiągnął już podeszły wiek, miał siedemdziesiąt siedem lat, i był coraz słabszy, lecz jego kraj znowu poszedł na wojnę zagrażającą wszystkiemu, co Lloyd George osiągnął. Gdy chwiejnie wstał z miejsca, odziany w swój nieodłączny niebieski garnitur, z grzywą białych włosów opadających na skronie, mówił cicho – tak cicho, że musieli poprosić, aby mówił głośniej. Kiedy jednak spełnił ich prośbę, usłyszeli słowa, które zapamiętali do końca życia.

– Interweniuję w tej debacie z większą niechęcią niż zwykle. Wahałem się, czy w ogóle w niej uczestniczyć, ale czuję, że powinienem coś powiedzieć, czerpiąc z wojennych doświadczeń, które zgromadziłem w przeszłości. Ze zwycięstw i klęsk.

Wychwalał męstwo żołnierzy walczących za ten kraj, podnosił głos i szeroko rozkładał ręce, skupiając na sobie uwagę obecnych mężczyzn i kobiet.

– Wszyscy jesteśmy z nich równie dumni. Czytając wojenne historie, drżymy z emocji.

W pierwszym rządzie rządowych ław potakująco kiwano głowami, wyglądało na to, że Lloyd George szuka płaszczyzny porozumienia. Był przecież ugodowcem, on także nie chciał tej wojny. Okazało się jednak, że szukał tylko sposobności, by rzucić im się do gardeł.

– Tym większy zatem wstyd, że teraz zrobiliśmy z tych żołnierzy głupców.

Tłum zaczął na niego warczeć, próbując go zniechęcić, ale on zbyt długo był w parlamencie, żeby się tym przejąć. Zbył ich interwencje machnięciem ręki.

– Wszyscy wiedzą, że to, co zrobiono, zrobiono bez przekonania. Nieskutecznie. Bez zapału i inteligencji. Przez trzy albo cztery lata myślałem sobie, że pierwszy lord wyolbrzymia fakty związane z Niemcami – pomachał kościstym palcem w stronę Churchilla – ponieważ premier mówił nam, że to nieprawda. – Smutno pokręcił głową, a jego białe włosy opadły na twarz niczym całun. – Pierwszy lord miał jednak rację.

Siedzący obok Chamberlaina Churchill uparcie wpatrywał się w swoje skarpetki. Stary Walijszyk rozdzielał komplementy, jakby rzucał rybom robaki. Lata doświadczenia nauczyły Churchilla, że w wypadku Lloyda George'a zwykle był gdzieś ukryty haczyk.

– Potem wybuchła wojna – ciągnął stary mąż stanu. – Trudno uznać, by ktokolwiek zwiększył tempo wydarzeń. Panowały takie same rozleniwienie i taka sama nieskuteczność jak wcześniej. Czy ktoś mi powie, że jest zadowolony z naszych działań? – Potoczył wzrokiem po Izbie, rzucając im wyzwanie, domagając się odpowiedzi. – Czy ktokolwiek z tu obecnych jest zadowolony z tego, co zrobiliśmy?

Nikt nie chciał się z nim zmierzyć.

– A więc nikt nie jest zadowolony. Cały świat to wie. A my znaleźliśmy się w strategicznie najgorszym położeniu, w jakim kiedykolwiek był nasz kraj.

Chamberlain, który siedział obok Churchilla, z irytacją uderzył dłonią w kolano i Lloyd George zauważył tę oznakę słabości u swojego dawnego wroga. Zaatakował.

– Premier ma rację, mówiąc, że musimy zmierzyć się z tym wyzwaniem jako ludzie, a nie jako partia, że to nie powinna być sprawa osobista. Premier nie ma zatem racji, nierozzerwalnie wiążąc swoją osobę z interesem kraju.

– O co ci chodzi? – warknął Chamberlain. – Niczego takiego nie robię. W tych sprawach nie ma miejsca dla żadnej osoby.

Z ław rządowych posypały się inne obiekcje, na które Lloyd George zareagował jedynie uśmiechem, aż ich furia się wyczerpała i znowu było go słychać. Jego głos wzniósł się ku staremu drewnianemu dachowi.

– Premier powiedział: „Mam przyjaciół”. Owszem, ma przyjaciół. Nie chodzi jednak o to, kim są przyjaciele premiera – zadrwił. – To znacznie poważniejsza sprawa. – Z odległości najwyżej kilku stóp Lloyd George popatrzył Chamberlainowi w oczy i wytrzymał jego spojrzenie, tak jak haczyk wytrzymuje miotanie się łososia. – Premier musi pamiętać, że spotykał się z naszym potężnym wrogiem w czasie pokoju i w czasie wojny. Niczego nie wskórał. Nie ma prawa apelować do przyjaźni. Apeluje o poświęcenie. Naród jest gotowy do poświęceń – o ile jego przywódca także.

Głos Walińczyka nagle przycichł, znowu złagodniał, posmutniał jak podczas pożegnania kochanków.

- Uroczyście oznajmiam, że premier powinien dać przykład poświęcenia, ponieważ nic nie mogłoby bardziej przyczynić się do zwycięstwa w tej wojnie – tu oddech, pauza, ułamek czasu, który wydawał się nieskończony, gdy czekali na dalsze słowa – niż poświęcenie przez niego pieczęci swojego urzędu.

Starzec skończył i tak mocno się zachwiał, że kilka rąk musiało pomóc mu usiąść. W stronę Chamberlaina nie wyciągnęły się żadne pomocne ręce.

I tak to się ciągnęło. Godziny tortur. Rząd kołysał się jak człowiek w pętli, rozpaczliwie wierzgając nogami, powoli umierając. Dla wielu był to widok odrażający, więc szukali schronienia w barach, zabijając tam swój ból. Gdy jednak zbliżyła się dziesiąta, wszyscy wrócili na miejsca. Miała zostać podjęta ostatnia próba ratunku. O łaskę i odcięcie więźnia zamierzał zaapelować sam Winston Churchill.

Churchill rozparł się w skórzaney ławie i smutno się uśmiechnął. Cóż za ironia losu, pomyślał, że akurat on, człowiek, którego przez całe jego życie polityczne oskarżano o nielojalność, miał wskoczyć na pokład statku bez wątplenia idącego na dno. Przez większość ostatnich dwóch dni przysłuchiwał się debacie i nie było wątpliwości, że statek tego państwa przechyla się tak niebezpiecznie, iż może go przewrócić najmniejszy podmuch wiatru z niewłaściwej strony. Patrzył, jak rzecznicy dyscypliny torysów poruszają się wśród rządowych ław, apelując, błagając, czasem podając w wątpliwość, lecz tylko nieliczni chcieli stanąć przy pompach, a ci, którzy byli skłonni to uczynić, na przykład Croft, zrobiliby lepiej, po prostu wyskakując za burtę.

Wszyscy wiedzieli, że znalazł się w lekko absurdalnej sytuacji, że Chamberlaina i jego ministrów ma bronić człowiek, którego tamci

odrzuć, człowiek, którego na wiele lat odsunęli od stanowiska i który być może mógł najwięcej zyskać na ich klęsce. Dla większości ludzi byłaby to wystarczająca pokusa, by złagodzić ciosy, ale Izba miała po raz kolejny przekonać się o tym, o czym już wiedziała. Że Winston Churchill nie jest taki jak większość ludzi.

Minęła już dziesiąta. Ostatni przedstawiciel opozycji, Alexander, powoli kończył przemówienie, ośmieszając apel premiera o przyjaźń, jak wielu deputowanych przed nim. Niech szlag trafi jego przyjaźń, co ze zwycięstwem? – spytał. Co z latami głupoty opartej na nieskończonej ignorancji? Churchillowi została niespełna godzina, żeby posprzątać ten bałagan. Wszyscy na niego patrzyli, wszyscy wiedzieli, że w głębi serca Churchill zgadza się z niemal każdym słowem krytyki, jakim obrzucono rząd.

Już prawie nadeszła pora. Alexander przypuszczał ostatni i mocno osobisty atak na premiera. Chamberlain siedział obok pierwszego lorda, ramię przy ramieniu, i był tak zimny, że Churchill czuł to nawet przez ubranie. Wydawało mu się, że premier drży – a może sam drżał? Na koniec zawsze przyływ zdenerwowania, nigdy nie bądź zbyt pewny wyniku. Izba była niesforna, nalewana z butelki bez rozcieńczania, a Alexander z wysiłkiem brnął do końca. Churchill nabazgrał jakieś zdanie, po raz ostatni uporządkował notatki, nerwowo pogmerał w kieszonce kamizelki. Podsumowywał debatę po raz pierwszy od dekady – od dekady, w której ludzie zasiadający w rządowych ławach wokół niego byli jego nieprzejednanymi wrogami, a ci naprzeciwko jedynymi

sojusznikami. Przez chwilę czuł się jak walczący kogut, który widzi w lustrze swoje odbicie i nie jest pewny, gdzie ani kogo zaatakować.

Nie było więcej miejsca na wątpliwości. Wstał, potoczył wzrokiem po sali, domagając się jej uwagi. Gdy to robił, Lloyd George wyraźnie i niedwuznacznie puścił do niego oko.

Zaczął zatem. Bronił działań rządu w Norwegii nie tylko bardzo szczegółowo, lecz także z większą elokwencją niż wszyscy inni ministrowie razem wzięci, opowiadając im o ewakuacji dwunastu tysięcy brytyjskich żołnierzy, którą „przeprowadzono z ogromną wprawą i, jeśli mogę dodać, przy bardzo dużym szczęściu”. Nie chciał dawać do zrozumienia, że odniesiono wielkie zwycięstwo. Zamiast tego mówił o wynikach, które okazały się „bardzo złe i bardzo rozczarowujące”.

Posługując się tymi samymi narzędziami, zaczął jednak budować własną argumentację. Ekspedycji daleko było do doskonałości, mogła być lepsza, lecz nie zapominajcie o okolicznościach.

– Gdyby Szwecja przyszła Norwegii na ratunek, gdyby wkroczyły jej wojska, a jej bazy lotnicze zostały oddane do dyspozycji Królewskich Sił Powietrznych, moglibyśmy zająć zupełnie inne pozycje. – Co jednak zrobili Szwedzi? – Nic, tylko krytykowali. – Spojrzał wokół siebie. – Jak bardzo wielu innych.

Wyjaśniał, ganił, kreślił słowami barwne sceny, mówił im o bukietach torped, o wodach, na których eskadry z transportem mogły zostać rozerwane na strzępy, o pazernym nazistowskim imperium Głodolandzie, i uświadamiał im przeraźliwe realia walki – przeraźliwe zwłaszcza dla Niemców.

– Powiedziałem, że wróg dozna ciężkich strat, i rzeczywiście takie były. Osiągnęliśmy upiorny sukces: utonęło siedem albo osiem tysięcy ludzi, a woda wyrzuciła tysiące zwłok na skały niedaleko Oslo. U stóp latarni morskiej widziano przerażające sceny. Cóż jednak znaczy

utrata siedmiu albo ośmiu tysięcy ludzi dla państwa totalitarnego? Jakie znaczenie mają dla takiego rządu, z jakim walczymy?

Mówił bez ogródek i nie tępił ostrza. Patrząc w oczy opozycji z odległości zaledwie kilku stóp, spytał, co robiła w czasie tych bardzo długich ostatnich lat, gdy on i kilku innych ostrzegało przed czekającymi ich zagrożeniami. Gdzie wtedy byliście? – pytał. Staliście obok rządu, który teraz atakujecie – lobbowaliście za polityką ustępstw!

Tym samym tchem podziękował im jednak za wielką i cenną pomoc, którą nieśli w bliższych czasach. Niczym surowy rodzic beształ, dbając o to, by dziecko wiedziało o jego niesłabnącej miłości.

Hipnotyzował kolegów, którzy wychudli na diecie złożonej z marnych poglądów i kiepskiej retoryki. Sprawiał, że się śmiali, krzywili, a potem poważnieli, by potem jeszcze raz obudzić w nich ducha.

– W mrocznych chwilach, gdy przychodzą niemile zaskakujące i rozczarowujące wieści, zawsze szukam orzeźwienia w raportach przekazywanych przez niemieckie radio. – Słowa wychodziły z jego ust z sykiem jak para z lokomotywy. – Uwielbiam czytać kłamstwa, które opowiadają o wszystkich brytyjskich okrętach, które rzekomo zatapiają – po wielokroć – i przyglądać się błogiej nieświadomości, w której są zmuszeni trzymać swoich nieszczęsnych chłopów pańszczyźnianych i swoje roboty. Niemcy twierdzą, że zatopili lub zniszczyli jedenaście okrętów. – Pochylił się nad mównicą, jakby chciał im się z czegoś zwierzyć. – Tak naprawdę dwa zostały lekko uszkodzone, żadnego z nich nie wycofano ze służby choćby na jeden dzień. – Pokręcił głową, jakby przekazywał smutne wieści. – Niestety, w różnych momentach straciliśmy jedenaście trawlerów będących do

dyspozycji rządu – i właśnie to są te wszystkie „okręty wojenne” z niemieckich doniesień!

Gdy targał i wywijał ich emocjami niczym wiatr sztandarami na polu bitwy, tańczyli, jak im zagrał. Jacyś deputowani ze Szkockiej Partii Pracy, wyraźnie osłabieni z powodu podekscytowania, które usiłowali łagodzić za pomocą whisky, zaczęli mu przeszkadzać, wstając chwiejnie, by obrzucać go nedorzecznymi protestami w kwestiach proceduralnych, akurat gdy mówił o stratach brytyjskiej i francuskiej floty handlowej. A kiedy ich beształ, próbowali dać do zrozumienia, że przeklinał i używał nieparlamentarnego języka. Jednak każda trzeźwa i obdarzona czuciem istota na sali wiedziała, że Churchill użył słów, jakie dotąd rzadko słyszało się w tym miejscu. Większość laburzystów paliła się ze wstydu, miał po swojej stronie prawie wszystkich mężczyzn i prawie wszystkie kobiety na sali obrad. Przeszedł zatem do najważniejszej aktualnej sprawy, do wotum nieufności.

Partią Pracy się nie przejmował, uznając ją co najwyżej za oportunistyczną sforę – wiedział, że w jej ławach nie zbierze się dość głosów. Sprawa miała się rozstrzygnąć po jego własnej stronie, więc odwrócił się do partyjnych kolegów i oparł na łokciu.

– Niektórzy poczuli się urażeni, że premier zwrócił się do swoich przyjaciół. Cóż, myślał, że ma jakichś przyjaciół, i ufam, że w istocie tak jest. – Starał się pochwycić ich spojrzenia, mierzył indywidualną siłę charakteru. Niektórzy nie wytrzymywali i odwracali wzrok. – Z pewnością miał całkiem sporo przyjaciół, gdy wszystko się układało – zauważył Churchill, prowokując jednego po drugim.

Ale zegar tykał, dochodziła jedenasta, kończył mu się czas. Odwrócił się do całej Izby.

– Pozwólcie mi powiedzieć – zaczął – że nie jestem zwolennikiem kontrowersji. Podsycamy je od dwóch dni i jeśli się wyłamuję, to nie dlatego, że zamierzam się kłócić z szanownymi dżentelmenami. Przeciwnie, powiadam: niech ucichną przedwojenne zatargi, zapomnijmy o osobistych waśniach i zachowajmy nienawiść dla wspólnego wroga. Zignorujmy interes partyjny, trzymajmy energię na wodzy, niech wszystkie umiejętności i siły narodu skupią się na walce, a chomać niech ciągną najsilniejsze konie...

Możliwe, że retoryka zaczynała brać nad nim górę, lecz prawie nikt tego nie słyszał, gdyż wokół narastała wrzawa pod koniec najdonioślejszej debaty, w jakiej kiedykolwiek brali udział obecni na sali. Churchill wymachiwał ręką, dyrygując do samego końca, aż nad kakofonią dał się słyszeć głos przewodniczącego.

– Pytanie brzmi: „Czy Izba zawiesza teraz obrady”. Wszyscy, którzy są za, niech powiedzą „tak”...

„Tak”, ryknęli.

– Kto jest przeciw?

Odpowiedział mu ogłuszający hałas.

– Przygotować korytarze⁹! – rozkazał przewodniczący.

A zatem dzielą i są podzieleni. Mężczyźni i kobiety, torysi, liberałowie, laburzyści, karczmarze i ludzie sumienia. Tego wieczoru podzieli się cały naród, także starzy przyjaciele, którzy nigdy więcej się do siebie nie odezwą, i część młodych mężczyzn, którzy niebawem zginą.

Zderzają się ze sobą, mocno, odurzeni, ci przepelnieni pasją i ci kierujący się niczym innym jak tylko zdezorientowaniem, które pomagają im przewyciężyć rzecznicę dyscypliny partyjnej. Ministrowie wymieniają fałszywe uśmiechy, uśmiechy odwagi

i pewności siebie. Nikt jednak nie jest przekonany. Chamberlain wie, że jego poparcie spadnie, lecz mając większość przekraczającą dwustu deputowanych, może sobie pozwolić na dość duże straty. Po Monachium około dwudziestu z jego ludzi wstrzymało się od głosu, ani jeden nie opowiedział się przeciwko niemu. O ile gorzej może być tym razem?

Za nim dobrzy lojaliści, tacy jak Dickie, wychodzą z okopów, by stoczyć bitwę w jego imieniu.

– Cały Winston, cholera – narzeka Dickie. – Nigdy nie wiadomo, po czyjej jest stronie. Połowa z tego, co powiedział, to zupełnie pierdoły. Chwilami nie rozumiałem ani słowa.

– Lecz mimo to mówił wspaniale – odpowiada Ian.

– Na wojnie nie walczy się za pomocą słów, Ianie.

– Czym więc będziemy walczyli?

Dickie marszczy brwi, nie rozumiejąc, o co przyjacielowi chodzi. Być może w tym zgiełku się przesłyszał.

– Rzecznicy dyscypliny mówią, że część naszych naprawdę zagłosuje przeciwko. Dasz wiarę? W czasie wojny? Rażące przestępstwo, psiakrew.

– Ilu?

– Och, zbyt niewielu, nie przejmuj się. Wśród torysów nie może być aż tylu głupców. Rzecznicy dyscypliny uważają, że będzie nas grubo ponad setka. Ja mówię, że grubo ponad sto pięćdziesiąt.

– Jesteś pewny?

– Stawiam dziesięć funtów. Wchodzisz?

Ian jednak kręci głową. Dickiego to nie zniechęca. Gdy stają na zatłoczonej podłodze Izby Gmin, czekając na przejście do korytarzy do głosowania, znajduje innych kolegów chcących założyć się o wynik.

Ruszają w stronę drzwi prowadzących ku korytarzom. Bardzo szybko staje się jasne, że – inaczej niż po Monachium – wielu konserwatystów zamierza nie tylko wstrzymać się od głosu, lecz aktywnie zagłosować przeciwko rządowi. Jeden deputowany dołącza do kolejki czekającej przed korytarzem opozycji. Po raz pierwszy w życiu głosuje przeciwko własnej partii. Płacze.

Gdy kolejni torysi zasilają szeregi opozycji, odprowadzają ich okrzyki „Quislingowie!” i „Szczury!”. Kiedy jednak rejwach w zatłoczonej Izbie zaczyna cichnąć, wygląda na to, że ich liczebność rośnie. Wśród buntowników najbardziej rzucają się w oczy ci w wojskowych mundurach – nie tylko admirał Keyes, ale także generał brygady oraz pułkownicy, kapitanowie, majorzy i podpułkownicy lotnictwa. Prawie wszyscy oficerowie w czynnej służbie opowiadają się przeciwko rządowi. Niektórzy oddają głos po raz ostatni w życiu. Dołączają do nich tacy jak Amery, Harold Macmillan, Duff Cooper i Hore-Belisha, przez lata pogardzani przez premiera. Nadeszła chwila ich zemsty. Zamierzają zrobić z niej ucztę.

Jednak nawet gdy idą głosować, skrzaty Chamberlaina pracują, chwytają za łokcie, szepczą do ucha, proponują jutrzejsze spotkanie z premierem, który zamierza dokonać rekonstrukcji rządu, który rozumie ich obawy – oraz ich ambicje. Jeden ostatni akt lojalności wystarczy, by wskoczyli na ministerialne stanowisko. Główny rzecznik dyscypliny obejmuje ramieniem deputowanego, nawet gdy ten już wchodzi do korytarza opozycji. Wysuwa argumenty, proponuje zachęty, lecz wszystko na nic. Nagle, już na progu, szeptem pada nazwisko pewnej kobiety, o wiele za młodej, by mogła być żoną deputowanego, i o wiele zbyt egzotycznej, by mogła być jego córką. Deputowany odwraca się, w kąć ust drga nerwowy tik.

Spogląda w oczy rzecznikowi dyscypliny i mówi mu, że naziści są przynajmniej uczciwi. Otwarcie wyganiają Żydów za pomocą karabinów i bagnatów. Wolałbym teraz być Żydem w Niemczech, niż iść obok ciebie, mówi. Potem się odwraca i przechodzi dalej.

Jeden z kolegów namawia Dickiego do podwojenia zakładu, który przed chwilą zawarli, ale on odmawia. Zbyt wielu deputowanych z jego strony Izby zdaje się znikać w korytarzu opozycji.

– Judasz! Obyś szeszył w piekle! – krzyczy, kiedy znajoma postać znika za niewłaściwymi drzwiami.

Powoli przesuwiają się dalej. Wyczerpany Ian spuszcza głowę.

– Pora im pokazać, czym jest lojalność – mamrocze Dickie, gdy wreszcie docierają do miejsca, z którego nie ma odwrotu. – Mam rację, Ianie?

Nagle Ian podnosi głowę, patrząc staremu przyjacielowi w oczy.

– Żegnaj – mówi. Potem się odwraca.

Ian jest jednym z czterdziestu jeden członków partii rządzącej, którzy głosują przeciwko Chamberlainowi. Co więcej, ponad sześćdziesięciu kolejnych wstrzymuje się od głosu, co jednak wciąż nie wystarcza, by pokonać olbrzymią większość wynoszącą przeszło dwustu deputowanych, którzy popierają premiera. Gdy rzecznicy dyscypliny stają przed przewodniczącym, żeby ogłosić wynik, przedstawiciel rządu zajmuje miejsce po prawej stronie – tradycyjną pozycję zwycięzców.

Za rządem: 281. Za opozycją: 200.

Przewaga skurczyła się do osiemdziesięciu jeden.

Chamberlain wygrał głosowanie, ale stracił przy tym wszystkie resztki wiarygodności. Jego autorytet moralny wisi na nim w strzępach.

Powietrze wypełnia się bezbrzeżnym zdumieniem, z trudem się nim oddycha. Po chwili rozlega się skandowanie zaintonowane przez parę głosów, lecz rozprzestrzenia się jak zaraza i wkrótce wypełnia połowę Izby. „Won! Won! Won! Won!” – krzyczą. Nawet po stronie rządu słychać stopy tupiące do taktu. Harold Macmillan, który właśnie zagłosował przeciwko własnemu premierowi, wstaje i mimo wrzawy zaczyna śpiewać hymn Rule, Britannia! Partyjni koledzy obrzucają go wyzwiskami i zanim ma szansę zaśpiewać do końca, siłą sadzają go na miejsce.

Pierwszy wychodzi Chamberlain. Wydaje się zamyślony i smutny. Gdy idzie w stronę drzwi, jego zwolennicy wstają i klaszczą, ale kiedy tylko znika, przestają.

Dwadzieścia miesięcy wcześniej wrócił z Monachium i witano go jak mesjasza. Teraz, na zewnątrz i w ciemności, żadne tłumy nie wiwatują na jego cześć. Jest tylko niekończący się mrok. Został sam.

– Max, cieszę się, że cię zastałem. Przydałaby mi się mała pomoc.

Gdy Ball podszedł, usta Beaverbrooka rozciągnęły się w olbrzymim powitalnym uśmiechu.

– Dobry wieczór, Joe. I to nie byle jaki wieczór.

– Tak. Wzburzone wody. Potrzebuję od ciebie odrobiny balastu. Żeby statek przestał się kołysać.

– Co ci chodzi po głowie?

– Pierwsza strona jutrzejszego numeru „Standarda”. Małe przygotowanie sceny. No wiesz, coś o tym, że kraj bardziej niż kiedykolwiek dotąd potrzebuje doświadczenia Neville’a. Że buntownicy oddają przysługę Goebbelsowi.

– Rozumiem.

- Daj przykład innym. Stalowe nerwy, zimna krew. To, co zwykle. Zanim zaczną panikować.

Beaverbrook pociągnął cygaro i przyjrzał się rozżarzonemu koniuszkowi.

- Oni już panikują, Joe.

- Tym bardziej należy ich uspokoić. Wygładzić wzburzone wody.

- Jak na mój gust, Neville nie jest na żadnych wzburzonych wodach, tylko w głębokim gównie. Po sam kołnierzyk.

- To znaczy?

- Nie widzę sensu we wskakiwaniu tam razem z nim.

- Na litość boską, dołączasz do nich, prawda?

Magnat prasowy wzruszył ramionami.

- No wiesz, dzisiejsi buntownicy to jutrzejsi władcy.

- Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy.

- Co dokładnie dla mnie zrobiliście? - warknął powoli.

- Dawaliśmy ci taki dostęp do tematów, za jaki twoi konkurenci byliby gotowi oddać prawe jądro.

Beaverbrook znowu się zaciągnął.

- Joe, mój stary przyjacielu, ja widzę to zupełnie inaczej. To ja dawałem wam: pierwsze strony, wstępniaki, opiniotwórcze artykuły wychwalające wasze nieistniejące cnoty i atakujące każdego, kto się wam nie spodobał. Jak na mój gust, już wystarczająco zrobiłem.

- Ostatni cios, Max, o nic więcej nie proszę.

- I wygląda na to, że niczego więcej nie potrzeba, Joe. Neville jest już w zasadzie martwy.

Milczenie przesycone niepewnością.

- No więc... co zamierzasz zrobić?

- Rozważyć dostępne możliwości. Bardzo starannie.

– Chyba nie masz na myśli Winstona. Cokolwiek chcesz zrobić, nawet o nim nie myśl. To kombinator, Max.

– Myślę, że dziś wieczorem spisał się doskonale.

– Ale on coś knuje. – Ball przygryzł wargę, nie wiedząc, jak daleko powinien się posunąć. – Padają przeróżne pytania o jego pieniądze. To brudny szmal.

– To samo można powiedzieć o połowie gabinetu. Jeśli pogrzebiesz wystarczająco głęboko, odkryjesz najróżniejsze szkielety. Wasz rząd siedzi na pieprzonym cmentarzysku.

– Ale Winston dąży do zostania premierem. Numerem jeden. Nie możemy go wpuścić na Downing Street, nie wiedząc, skąd bierze pieniądze.

– Ode mnie ich nie dostaje, Joe, przysięgam. Już nie. Zwolniłem go, pamiętasz? Na twoją prośbę. – Beaverbrook przyglądał się rozmówcy, gasząc niedopałek cygara, aż w końcu zostały z niego tylko okruchy. – **Przypuszczam, że to jedna z wielu rzeczy, których będę żałował.**

⁹ Członkowie Izby Gmin głosują za lub przeciw wnioskowi, udając się do jednego z dwóch korytarzy.

Rozdział dwudziesty drugi

9 maja 5984

Churchill był królem wieczoru, ale w Westminsterze wieczory są długie.

Po głosowaniu Chamberlain wyszedł, lawirując między kolanami kolegów, i natychmiast wycofał się do swojego gabinetu za fotelem spikera. Mimo zamkniętych drzwi słyszał wrzawę, która trwała na zewnątrz – śmiech, oburzenie, euforię, jawne pijaństwo. W środku czuł jedynie pustkę. To właśnie ta pustka i jej milczenie krzyczały na niego, że to koniec, że będzie musiał odejść, zgłosić gotowość do dymisji i pozwolić, by ktoś inny spróbował wygramolić się ze stajni. Gdy jednak jego ręka sięgała już po szklaneczkę whisky, usłyszał w ciemności inne głosy, apelujące do niego, żeby wytrwał, żeby zaczekał i zobaczył, jak ułożą się figury na tej szachownicy, a nawet by dalej popychał kilka z nich. Rozzłościło go nie tylko upokorzenie związane z buntem – w końcu nielojalność nie jest niczym nowym dla żadnego przywódcy. Najbardziej, do żywego, drażnił go kontrast, jaki powstał po olśniewającym wystąpieniu Churchilla, bardziej przypominającym pantomimę niż parlament. Nawet jeśli w zamyśle miał narobić reszcie wstydu, nie mógłby osiągnąć dobitniejszego efektu. Przeklęty Winston znowu wycinał ten sam numer, grał we własną grę. Nigdy nie można mu było naprawdę ufać.

Tak czy inaczej, przewaga osiemdziesięciu jeden głosów pozostawała przewagą. Wielu premierów przetrwało, mając mniejszą –

Wilson i Ball, gdy w końcu się pojawili, powtarzali mu to do znudzenia. Uparcie twierdzili, że dymisja zwyczajnie nie wchodzi w rachubę. Miał jednak świadomość, że muszą dbać o własne interesy. Potrzebowali go, żyli w jego cieniu, nie byliby w stanie wytrzymać w pełnym świetle dnia, gdzie zwiędliby jak sałata. Do tego dochodziły także inne względy. Jeśli miał odejść, pojawiał się pytanie o sposób, w jaki to zrobi. Wszystko musiało się odbyć na jego warunkach, nie pozwoliliby się tak po prostu wypchnąć niewdzięczności i rewiewemu pozerstwu.

Ale jeszcze nie teraz. I, co niezwykle, Churchill chyba się z tym zgadzał. Poprzedniej nocy, po głosowaniu i tuż po wizycie Balla i Wilsona, Churchill wpadł do gabinetu premiera, roztaczając dym cygara i podekscytowanie, by uparcie przekonywać, że Chamberlain powinien działać dalej. Cała naprzód. Żadnego zawracania. Dlaczego to zrobił? Czym tak naprawdę się kierował? Winston zawsze skłaniał do takich pytań. Czy był to jedynie chwilowy zapal, jego nienasycony głód walki – jakiegokolwiek walki? A może próbował ostatecznie pogrążyć Chamberlaina? Tak bardzo, że ten nie miałby szans się podnieść? Tak, jeśli chodziło o Winstona, niczego nie można było być pewnym.

Chamberlain wysłuchał innych i ułożył własny plan. Gdy nazajutrz rano w gabinecie pojawili się Edward Halifax i Churchill, Chamberlain mógł im już powiedzieć, że postanowił utworzyć koalicyjny rząd i stanąć na jego czele. Zebrać ludzi, którzy pomogą mu dźwigać ciężar odpowiedzialności – oraz winy.

– Chcesz włączyć Clementa Attlee i jego bandę? – mruknął Churchill, z niepokojem marszcząc brwi. – Wolałbym dzielić łóżko z pchłami.

- Teraz mówimy o moim łóżku – przypomniał mu premier.
- Zasygnalizowali, że będą chętni?
- Jeszcze nie.
- A jeśli nie będą? – drążył.
- Wtedy chyba pozostanie mi wybrać kogoś innego. Ciebie albo Edwarda – odrzekł Chamberlain.

Jakimś cudem zmarszczki niepokoju zniknęły i Chamberlain nie miał najmniejszych wątpliwości, że twarz Churchilla rozpromieniła się na tę wiadomość.

Niech go szlag.

Tej nocy Burgess nie dotarł do łóżka. Próbował utopić swój lęk, świętując „upadek” z Dribergiem. Po szeregu coraz bardziej obscenicznych toastów zdołał dotrzeć jedynie na swój wyściełany fotel. Teraz obudził się, słysząc w uszach dudniące dzwony armagedonu, obok odwieszanej koszuli, która gapiała się na niego z niedowierzaniem, i z pęcherzem grożącym, że pozbawi go resztek godności. Dzwony nie przestały bić, nawet gdy już sobie ulżył. Ktoś musiał go bardzo potrzebować.

Odebrał natrętny telefon i krzyknął coś bardzo nieuprzejmego, mając nadzieję, że to jego ojczym, wierny zwolennik Chamberlaina.

Był to jednak Mac, który oznajmił mu, że powinien się ogolić – wręcz nalegał. A w jego głosie pobrzmiwało coś, co uświadomiło Burgessowi, że jego dzień świętowania dobiegł końca, zanim w ogóle się zaczął.

Wszyscy wiedzą, że rozczarowanie zrobiło z Leo Amery’ego zgorzkniałego człowieka, wyjaśnił Wilson. Uwolnijmy go od tego rozczarowania, a nagle sobie przypomni, że Cromwell był jedynie

chwilowym demagogiem, tyranem, którego ciało wywleczono z grobu, a głowę zatknięto na pikę, by zgniła, z brodawkami i w ogóle.

– Mierzmy wyżej – zachęcał Wilson.

– Jak wysoko? – spytał premier.

– Tak wysoko, jak będzie trzeba. Jeśli uda nam się namówić Amery'ego, żeby wszedł na pokład, inni mogą pójść za jego przykładem.

– A jeśli nie?

Na to pytanie Wilson nie miał odpowiedzi. A Wilson, pomyślał Chamberlain, rzadko nie miał na coś odpowiedzi.

Wezwano zatem Amery'ego. Wydawał się niezadowolony z obecności Wilsona i skonsternowany tym, że stoi twarzą w twarz z przywódcą, z którym tak niedawno poróżniły go jego własne dosadne słowa.

– Mówiłem szczerze, Neville'u – zaczął, jeszcze prawie zanim przekroczył próg – o starych przyjaciółach i współpracownikach. Zdaję sobie sprawę, że w obecnej sytuacji będzie to dla ciebie niewielka pociecha, ale w całej swojej parlamentarnej karierze nie byłem bardziej zrozpaczony niż wtedy, gdy przemawiałem przeciwko tobie.

Chamberlain ułożył palce w piramidkę.

– Starzy przyjaciele i współpracownicy – powtórzył cicho. – Leo, szczerze wierzę, że nimi jesteśmy. I właśnie dlatego chciałem z tobą porozmawiać.

Spojrzał przez okno – był idealny wiosenny dzień. Dzień odnowy. I słusznie.

– W naszych wzajemnych relacjach zdarzają się problemy, po obu stronach, i nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż ich rozwiązanie.

– Oczywiście. Tylko jak?

– Nie za pomocą gładkich słów, nie za pomocą nagłego porzucenia zasad – obaj zbyt długo walczyliśmy na tym froncie, żeby zrobić coś takiego. Ale może poprzez wspólną pracę na rzecz wspólnej sprawy moglibyśmy lepiej zrozumieć swoje punkty widzenia.

Amery ostro spojrział na Wilsona. To były jego słowa, nie Chamberlaina. Wilson rozciągnął wąskie usta w uśmiechu – stał przy oknie, odwrócony plecami do słońca, i widać było tylko zarys jego lekko przygarbionej sylwetki. Mroczna postać z bajki dla dzieci, pomyślał Amery.

– Mam nadzieję, Leo, że uda mi się stworzyć nowy rząd dla wspólnej sprawy. Rząd złożony ze wszystkich partii i wszystkich talentów. – Zamilkł na chwilę, żeby jego słowa wybrzmiały, czekał na reakcję. – Chciałbym w nim wykorzystać także twoje talenty.

– W jakim charakterze?

– A w jakim byś chciał?

– To zależy, co jest do wzięcia.

Chamberlain spojrział na Wilsona, po czym odpowiedział.

– Wszystko jest do wzięcia.

– Wszystko?

– Wszystko oprócz tego biurka.

– Ministerstwo Lotnictwa. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych – dodał Wilson tytułem wyjaśnienia, starając się przywrócić właściwy kurs.

– Urząd lorda kanclerza? Ministerstwo Spraw Zagranicznych? – drażnił Amery, podbijając stawkę.

Długie milczenie. Chamberlain jeszcze raz spojrział na Wilsona.

- Dobrze rozumiem, że stanowisko ministra spraw zagranicznych też jest dostępne?

- Jeśli musi.

- A Halifax?

- Niespełna dwie godziny temu ponownie mnie zapewnił, że mam jego pełne poparcie.

- I niespełna dwie godziny później oferujesz jego tekę...

- Nastąpiły trudne czasy, Leo.

- A jak trudne będą musiały się stać, zanim zaproponujesz komuś moje stanowisko?

- Jestem pewny, że do tego nie dojdzie...

Amery przez chwilę milczał, aż jego milczenie stało się bolesne. Niezdecydowanie? Kalkulacja? Twarz Amery'ego niczego nie wyrażała.

- Co ty na to, Leo?

- Zastanawiam się, premierze, jak to możliwe, że tak bardzo pomylił się pan w ocenie mojej osoby. I w ocenie tego kraju.

Po tych słowach odwrócił się i wyszedł, wlokąc za sobą marzenia Chamberlaina.

Burgess przyjrzał się sobie w lustrze. Wyglądał okropnie.

- Mac, przykro mi.

- Przypuszczam, że pańskiej wątrobie też jest przykro.

- Wiesz, nie wszyscy umiemy przetrwać na połowie kufła przeklętego milda.

- Skoro nazywa pan to przetrwaniem, sir.

Przetrwanie. Do niego się to wszystko sprowadziło, prawda? Cały idealizm i szlachetność zostały w końcu odsunięte na bok, świat skupił się tylko na jednym. Na przetrwaniu. A Mac robił Burgessowi wyrzuty z powodu jego cholernej koszuli.

– Słuchaj, nie spałem całą noc, włączyłem się po Westminsterze i patrzyłem, jak tworzy się historia.

– Historia trochę przypomina łóżko. W jednej chwili panuje w niej ład, a w następnej straszny bałagan.

– O co ci chodzi? Dlaczego mnie tu ściągnąłeś, do cholery?

No więc Mac opowiedział mi o swoich dwóch porannych klientach. Jeden wyznał, że zaproponowano mu posadę sekretarza stanu do spraw lotnictwa i natychmiast usnął. Zanosiło się zatem na przetasowanie, ostatni rozpaczliwy rzut kostką.

– To się nie uda – podsumował wyzywająco Burgess. – Chamberlain musi odejść.

– Właśnie dlatego drugi klient wydał mi się taki interesujący. To był starszy rzecznik dyscypliny partyjnej i w przeciwieństwie do poprzednika nie usnął. Podobnie jak pan był w opłakanym stanie. „No więc jak się miewa nasz pan Chamberlain?”, spytałem go. „Nie spałem całą noc, próbując go ratować”, odrzekł. A potem dodał: „Zupełna strata czasu, cholera. Partia jest pełna niezrównanych kretynów.

– Przecież ci mówiłem. Chamberlaina czeka już tylko dział taksydermii.

– No więc powiedziałem mu, że przykro mi to słyszeć, i spytałem, czy będziemy częściej widywali pana Churchilla. Proszę unieść brodę, panie Burgess.

Mac przechylił brodę palcem, żeby odsłonić szyję, i zaczął golić.

– I co on na to? – spytał Burgess przez zaciśnięte zęby.

– Niewiele, sir. Ale pomyślałem, że to interesujące. I dlatego musiałem do pana zadzwonić. Za co przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko wyjaśnij, do cholery.

- Siedział dokładnie tu gdzie pan. Z szyją wypiętą jak bożonarodzeniowy indyk. Szczerze mówiąc, chwilami trudno było zrozumieć, co mówi. Ale chyba zrozumiałem.

Burgess mógł jedynie wyrazić frustrację chrząknięciem.

- Chyba powiedział, że pan Churchill zostanie premierem po jego trupie.

Gdy zadzwonił telefon, Churchill zażywał właśnie regularnej popołudniowej drzemki w Admiralicji. To musiało być coś ważnego, jego podwładni dostali wyraźne instrukcje. Powiedziano mu, że jest wzywany na Downing Street. Tempo rosło. Szybko się ubrał i przeszedł po placu apelowym obok Horse Guards. Żwir chrzęścił mu pod nogami, jego zakończona srebrem laska wystrzeliwała do przodu. Maszerował w stronę odgłosu wystrzałów.

Nadal był pod wrażeniem zabawnego lunchu. Carlton Grill. Świetne spotkanie pełne czarnego humoru i braku poprawności, całkowicie adekwatne do takiego dnia. Kingsley Wood nalegał, by Churchill poświęcił mu trochę czasu. Mówił z taką pasją, że Churchill poczuł się nie tyle nagabywany, ile zaintrygowany. Zwykle Wood był raczej człowiekiem wytrwałych dążeń niż braku poprawności, jednym z tych, którzy tworzyli kręgosłup partii, pozbawionym wyobraźni lojalistą, który jako sekretarz stanu do spraw lotnictwa piastował jedno z najważniejszych stanowisk w rządzie – tak w każdym razie myślał sam Wood, zanim odkrył, że od dziesiątej rano tego dnia jego cenne miejsce w gabinecie proponowano co najmniej trzem różnym osobom. Z ustami pełnymi krwistej wołowiny i chrzanu strasznie się zaperzył, żyły na jego skroniach upodobniły się kolorem do wina. Churchill znalazł się w nietypowej dla siebie sytuacji, zredukowany do roli widza, a więc siedział, jadł i patrzył, jak poparcie dla premiera odpływa

na fali urazy i wybornego clareta. Nie mógł zaprzeczyć, że całkiem mu się to podobało.

A teraz to wezwanie. Policjant przy drzwiach żwawo zasalutował i – czy Churchillowi tylko się przywidziało? – wyjątkowo szeroko się uśmiechnął. Personel chyba o wszystkim dowiadywał się pierwszy. Churchill pomaszerował długim korytarzem prowadzącym z frontowego holu do sali posiedzeń rządu. Już miał sięgnąć w stronę wypolerowanej mosiężnej klamki, gdy nie wiadomo skąd zjawił się obok niego Horace Wilson.

– Mój drogi Winstonie, poświęcisz mi chwilę?

Wilson miał nieznośny zwyczaj zadawania pytań w taki sposób, że brzmiały jak papieskie edykty. Churchill już miał nadużyć stanowiska i wymówić się tym, że premier był pierwszy, a poza tym Wilson jest tylko denerwującym pracownikiem biurowym, lecz taki gest nie miałby sensu. Downing Street było magiczną fortecą, zamkiem intryg, a Wilson jego bezwzględny odzwierciedleniem. Mówiło się, że nawet jeden z tyśiącfuntowców Göringa nie mógłby się dostać do Chamberlaina, nie otrzymawszy zgody Wilsona, a dzisiejszy dzień nie nadawał się do burzenia przez Churchilla ustalonego porządku, w czym zresztą wyręczało go teraz bardzo wiele osób. Pociągając cygaro, poszedł za Wilsonem do jego stróżówki. W środku już czekał Ball.

– Winstonie, jest problem – zaczął Wilson, gdy Churchill usiadł w jednym z niskich foteli. Wilson oparł się o gzyms kominka, chcąc górować nad przybyszem. Churchill, utkwivszy między skórzanymi podłokietnikami, nagle poczuł się osaczony. W odpowiedzi jedynie stęknął.

– Broń – ciągnął Wilson.

– Broń?

- Tak, no wiesz, taka, z której strzela się do ludzi.

Churchill nigdy nie lubił Wilsona. Lubił ludzi pełnych pasji, entuzjazmu, a nawet takich, którzy bywali szaleni, lecz Wilson był zdecydowanie zbyt powściągliwy, urzędnik służby cywilnej do szpiku kości. Przetnij go, a ze środka wypłynie atrament.

- Nie chrzań mi tu, Horace, nie jestem w nastroju, a poza tym mam mnóstwo roboty. O jaką broń ci chodzi, do cholery?

- O czterysta tysięcy karabinów.

- A, o tę. Co najmniej od tygodnia czeka na przekazanie.

- Mauzery.

- Kiedy za nie zapłacicie?

- Niemieckie mauzery.

- Świśnięte wrogowi sprzed nosa.

- Czy w ogóle to przemyślałeś, Winstonie?

- Czy przemyślałem? Niby co?

- Dlaczego Niemcy mieliby ci pozwolić zdobyć czterysta tysięcy ich najnowszych karabinów?

Churchill rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Co sugerujesz?

- Nie chodzi o to, co sugeruję, chodzi o to, co powiedzą inni, jeśli kiedykolwiek usłyszą o tej... - szukał odpowiednich słów - zdumiewającej sprawie. - Przerwał, by zapalić papierosa i odpędził dym powolnym ruchem ręki. - Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że wróg może o tym wiedzieć? Że bez wątplenia o tym wie? I czy zadałeś sobie pytanie, dlaczego pozwala ci ciągnąć tę sprawę? Na całym zachodnim froncie roi się od agentów i szpiegów, a ty do tego kotła posłałeś kogo? Boothby'ego? Nie jakiegoś wyszkolonego agenta czy negocjatora, lecz jedynie... no cóż, szczerze mówiąc, jedynie

twojego parlamentarnego koleśia. Notorycznego pijaka. Oraz, tak się przypadkiem składa, zaprzysięgłego przeciwnika premiera. Wczoraj wieczorem głosował w korytarzu opozycji. Niczego nie trzeba dodawać. A ty chcesz, by ludzie uwierzyli, że pojechał do Europy pomóc sprawie Neville'a?

– W tym korytarzu głosowało wczoraj wielu szlachetnych ludzi.

– To ty tak sądzisz. Wcale nas to nie dziwi. Przecież sam powstrzymałeś się wyłącznie ze względu na swoje stanowisko.

Zaciśnięte pięści Churchilla uderzyły w podłokietniki.

– Jak śmiesz! Co, u diabła, sugerujesz?

– Śmiem – powiedział cicho Wilson – dlatego że inni też będą śmieli.

– Jacy inni?

– Berlin, na litość boską! – warknął Ball, włączając się wreszcie i przypominając Churchillowi, że mają nad nim przewagę. – Każdy, kto chce zaszkodzić brytyjskiej sprawie. Boothby truchtał wzdłuż niemieckiej granicy jak wieprz po bambusowym gaju. Wszyscy go słyszeli, aż po Amsterdam. Czekali na niego.

– Z czterystoma tysiącami nowiutkich mauzerów? Szczerze wątpię.

– Chyba nie myślisz, że je dostaniemy, co? Oczywiście możemy za nie zapłacić, odebrać kilka skrzyń w ramach pierwszej dostawy. Potem Goebbels spuści psy. Ogłosi, że znowu zrobił z Brytyjczyków głupców. Nabrał ich na rozpaczliwy zakup nazistowskich karabinów, i to dlaczego? Dlatego że nazistowskie karabiny są najlepsze, wie o tym nawet Winston Churchill. A ponieważ Brytyjczycy są słabi, nie mają wystarczająco dużo własnej broni. Będzie o tym trąbił we wszystkich neutralnych krajach Europy.

– Skąd możesz wiedzieć...

– Wiemy wystarczająco dużo, żeby dać ci zapis każdej godziny, jaką Boothby spędził na kontynencie – odwarknął Ball. – Listę wszystkich odwiedzonych przez niego miejsc. Wszystkich obskurnych przydworcowych hotelików i korytarzy, po których krążył, załatwiając twoje interesy. Twoje interesy, Winstonie. Doktor Goebbels prawdopodobnie nie omieszka wykorzystać także i tego faktu.

– A co ten degenerat ze zdeformowaną stopą ma ze mną wspólnego?

– Winstonie, Winstonie – westchnął Wilson, interweniując najbardziej protekcyjnym tonem, na jaki mógł się zdobyć. – Zastanów się. Poza rządem byłeś najbardziej bezwzględnym krytykiem Neville'a. W rządzie byłeś dla niego największym cierniem. Jesteś najambitniejszym i, zdaniem wielu, najzuchwalszym politykiem w tym kraju. Masz zadatki na dyktatora, mówi tak nawet część twoich podwładnych z Admiralicji. Wysłałeś za granicę znanego oponenta premiera, by kupił niemiecką broń. Nie skonsultowałeś się z żadnym ze współpracowników.

– Trzeba działać! W takich czasach potrzebne jest działanie!

– Tak. Ale rozumiesz, jak to może wyglądać. Nie potrzeba takiego mistrza propagandy jak Goebbels, żeby zrobić z tego intrygę. Okrzyknąłby cię naśladowcą Führera, zanim rozpakowano by pierwszą skrzynię.

– Chyba nie myślisz, że byłbym zdolny do zdrady... – Głos Winstona drżał pod wpływem emocji.

Wilson przez chwilę milczał. Zdrada? Już niebawem się dowiedzą, być może za kilka godzin. Skąd wziął pieniądze. Jednak do tego czasu...

– Oczywiście, że nie. Ale inni by uwierzyli, w całej Europie. I chyba całkiem liczni także tu, w kraju. Nazwaliby to szaleństwem Churchillów.

Długo czekał, by użyć tych słów; wiedział, że jeśli kiedykolwiek będzie mógł powiedzieć coś takiego w obecności Winstona, spór będzie już wygrany. Patrzył, jak jego ofiara skręca się z bólu. Churchill ciężko dyszał, brakowało mu tchu, jakby dostał kopa w brzuch. Nie był na to przygotowany. Oczywiście, że z nikim się nie skonsultował, lecz z drugiej strony nie robił z tego tajemnicy, zwrócił się nawet do Ministerstwa Finansów, by zapłaciło za tę przeklętą broń. Ale ministerstwo zwlekało. Teraz chyba już wiedział dlaczego.

Ball skrócił jego cierpienie.

– Jeśli to wyjdzie na jaw, Winstonie, będziesz skończony.

Wcześniej Churchill nie patrzył na to w ten sposób, nawet nie myślał o takiej ewentualności – tak, nie przemyślał tego, za bardzo się pospieszył, gnany wojennym podnieceniem i pasją niczym kawaleryjska szarża, tylko po to, by dać się całkiem odciąć i otoczyć. Jako młody mężczyzna w takich okolicznościach wydałby z siebie potężny okrzyk i rzuciłby się do ataku, szczęśliwy, że zginie w ferworze walki. Nie był już jednak młody i nie chciał umierać, jeszcze nie. I nie w taki sposób, nie pokrojony na najnędrniejsze kawałki językami zamiast mieczem.

– Kto... o tym wie? – spytał z wysiłkiem, jakby miał pogruchotaną zuchwę.

– O wszystkim? Jedynie garstka – odrzekł Wilson. – I Neville wyraźnie im powiedział, że mają to zachować dla siebie.

– Winstonie, nikt nie wątpi w twoją zdolność toczenia i wygrania tej wojny – dodał Ball – o ile pamiętasz, kto jest naszym wrogiem.

- Premier ma świadomość, jak bardzo byłeś wobec niego lojalny w ostatnich miesiącach.

- W takim razie jestem... - Churchill miał powiedzieć „jego zakładnikiem”, lecz te słowa nie chciały przejść mu przez usta - jak zawsze niewypowiedzianie wdzięczny.

Churchill we mgle chaosu i rozpaczony znalazł drogę do sali posiedzeń rządu. Halifax już czekał, podobnie jak główny rzecznik dyscypliny.

- A, Winston - powitał go głos Chamberlaina dobiegający jakby z wielkiej odległości.

Churchill usłyszał więcej słów. O nieustającej nadziei Chamberlaina na utworzenie koalicji rządowej. Ale także o nieuniknionych trudnościach. O konieczności przygotowania się na najgorsze. Wyglądało na to, że „najgorsze” oznacza każdy rząd inny niż rząd Chamberlaina.

- Jest pewna niezwykle ważna sprawa - mówił premier wyniosłym, dumnym tonem. - Jak wszyscy wiemy, niektórzy wysuwają kandydaturę Edwarda na potencjalnego następcę...

Mimo rozpaczony umysł Churchilla trawił rzucane mu czerwone mięso. A więc idea koalicji Chamberlaina upada, zanim jeszcze udało się wcielić ją w życie. Wcale go to nie dziwiło.

- Są również tacy, którzy sugerują, że jego pozycja w Izbie Lordów utrudni sprawę. Niejako usunie go ze środka sceny. To już przecież blisko czterdzieści lat, odkąd po raz ostatni mieliśmy para na stanowisku premiera...

Chamberlain bawił się piórem, bez końca obracając je w dłoni. Jego palce wydawały się sztywne, nieporadne jak u starca. A może to umysł Churchilla po prostu nagle zrobił się niezdarny?

- Pomijając inne nazwiska, które mógłbym zaproponować, Winstonie - mówił premier - chciałbym poznać twoje zdanie. Jeśli wydarzenia zmuszą mnie do zalecenia Jego Wysokości, by powierzył utworzenie rządu komuś innemu, czy miejsce w Izbie Lordów automatycznie dyskwalifikowałoby kandydata?

Zatem chce Halifaxa, ale nie jest pewny, czy Halifax dałby radę działać z Izby Lordów. Chce mojej aprobaty. Chce usłyszeć od Churchilla, że to żaden problem, by nikt inny nie mógł powiedzieć, że problem jednak istnieje. Jeśli powiem, że to problem, uznają mnie za najbardziej niewdzięcznego kolegę, za najbardziej wyrachowanego z ludzi. Za człowieka, który powie wszystko i zniży się do wszystkiego, by zrealizować własne ambicje i zostać premierem. Za człowieka, który... Nagle przypomniał mu się Horace Wilson. Jego chuda twarz z oczami jaszczurki śmiała się z niego. A gdy się śmiała, rozchyliła usta, odsłoniła zęby i powoli przemieniła się w oblicze Josefa Goebbelsa. W tę samą bezduszną maskę... wymachującą nowiutkim mauzerem.

Gdzieś w oddali Churchill słyszał głos mówiący o ważkim problemie konstytucyjnym. Pytający go, czy zna jakieś powody, dla których nie należy brać pod uwagę członka Izby Lordów. Wystawiający go na próbę. W obecności rzecznika dyscypliny. On nie był jednak w stanie myśleć o niczym innym niż karabiny, setki tysięcy karabinów. Oraz o tym, dlaczego człowiek tak groteskowo niekompetentny jak Chamberlain mógł tak długo stać na czele tak wielkiego szaleństwa. I o tym, dlaczego nieudolność rozkwitała, podczas gdy Churchillowi z powodu zwykłej zazdrości i intryg ludzi mniejszego kalibru po raz kolejny odmówiono roli, do której został stworzony. Fatalna wada Churchillów. Bycie zbyt dobrym do tej roboty.

Nie mógł udzielić odpowiedzi. Po chwili znalazł się w ogrodzie z Halifaxem. Pił herbatę. Był uprzejmy. Tak okropnie angielski.

Dzięki Bogu mimo trwającej wojny tego dnia było spokojnie. Niekończące się spotkania. Drzwi wejściowe przy Downing Street tak często kołysały się na zawiasach, że portier powiedział żonie, iż czuje się jak właściciel burdelu w Marrakeszu. A wszystko w pośpiechu. Gdy tylko herbata zaczęła stygnąć, Halifaxa i Churchilla wezwano z powrotem do gabinetu, gdzie zastali Clementa Attlee i ważnego członka Partii Pracy, Greenwooda, usadowionych naprzeciwko premiera. Niewiele formalności, żadnych pogawędek. Chamberlain siedział sztywno.

– Będą panowie służyli w koalicji pod moim kierownictwem? – spytał.

– Nie – padła szczerą odpowiedź.

– Dlaczego? – Chamberlain był urażony, nieprzywykły do braku subtelności.

– Dlatego że pana nie lubimy, panie Chamberlain. Gardzimy pańskim przywództwem, uważamy, że jest złe – powiedzieli.

W innych okolicznościach Churchill mógłby oglądać tę potyczkę z przyjemnością, ale nie teraz. W tej szamotaninie mógł być tylko jeden zwycięzca. Halifax.

Partia Pracy była bestią przytłoczoną własnymi rozrośniętymi zasadami fair play. Rewolucję należało przeprowadzać w ścisłej zgodzie z regulaminem. Przecież jeśli mieli złupić bogaczy, należało to zrobić w systematyczny i uporządkowany sposób. Przywódcy Partii Pracy poinformowali zatem Chamberlaina, że dzielą się z nim wyłącznie swoimi osobistymi opiniami, a przed podjęciem oficjalnej decyzji będą musieli skonsultować się z kierownictwem partii. Tak się

akurat złożyło, że kierownictwo zebrało się w Bournemouth z okazji dorocznej konferencji partyjnej.

– Ale niech mi pan wierzy – powiedział Attlee. – Prędkiej piekło zamarznie, nim zgodzą się służyć pod pańskim przywództwem.

– Może zatem pod kimś innym – zaproponował ponuro Chamberlain.

Minęła siódma, zanim Churchill i Chamberlain zostali sami. Jak rzadko, pomyślał Churchill, zdarzało im się być sam na sam, mężczyzna z mężczyzną.

– Neville’u, musimy porozmawiać. Ten nonsens z karabinami – zaczął, lecz Chamberlain uciszył go machnięciem ręki: nie było potrzeby niczego wyjaśniać i nie było pragnienia wysłuchania tych wyjaśnień.

Premier wyraził smutek z powodu tego zamieszania:

– Winstonie, z pewnością wiesz, jak to może wyglądać. Ja jednak nigdy nie miałem powodu wątpić w twoją lojalność.

– Neville’u, muszę cię o coś spytać. To wszystko było dla mnie bolesnym szokiem. Taki niespodziewany cios. Ale mimo to... Jeśli sprawy tak się potoczą, że wśród kandydatów na twojego następcę znowu znajdzie się moje nazwisko, czy staniesz mi na drodze i odmówisz zarekomendowania mnie Jego Wysokości?

– Ależ oczywiście, że nie – skłamał Chamberlain. – Obawiam się jednak, że straciłem kontrolę nad biegiem wydarzeń. Ogólnie panuje pogląd, że należy zaprosić Partię Pracy do rządowego stołu, a jej przedstawiciele właśnie wyraźnie oznajmili, że nie będą mnie tolerować. Boję się, że to samo powiedzą o tobie. Wczoraj na sali obrad dałeś im okropne lanie, twoje szyderstwo wciąż pobrzmiwa im w uszach.

– Wszystko, co robiłem, robiłem dla twojego dobra, Neville'u.

– I jestem ci za to do zgonnie wdzięczny. Dzisiaj jednak, Winstonie, wygląda na to, że obaj zasiądziemy obok swoich ojców. Mężczyźni niespełnionych marzeń.

W każdym zakamarku, w każdej szczelinie życia politycznego trwała tej nocy konspiracja. W klubie Carlton, w Beefsteak and Travellers, w obu izbach parlamentu, we wszystkich salonach i barach Westminsteru spiskowano i spierano się, aż stało się jasne, że Chamberlain już właściwie odszedł. Tylko kto miał go zastąpić?

W pewnych kręgach wymieniano nazwisko Lloyda George'a, lecz szybko je odrzucano jako zbyt absurdalnie romantyczne. Był zresztą za stary. Niektórzy mówili też o Leo Amerym, ale tylko jego przyjaciele. Oczywiście popularnym wyborem był Churchill, człowiek ludu, który swą wojowniczością przekonał naród do udziału w wojnie i którego słowa dały ludziom wolę zwycięstwa. Tak, Churchill był niewątpliwie faworytem ludu, lecz to nie lud decydował. Ostatecznie sprawę miały przesądzić głosy najwyżej stu mężczyzn, mężczyzn mających autorytet i władzę – a chyba każdy z nich w takim czy innym momencie miał jakieś starcie z Winstonem Churchillem.

Członkowie Partii Konserwatywnej byli tradycjonalistami, przedkładali formę nad treść. Nie zamierzali zapomnieć, że jako młody mężczyzna Churchill ich porzucił, dołączając do Lloyda George'a i liberałów, i że nawet w podeszłym wieku nie stracił zamiłowania do mieszania ich z błotem.

Wielu członków Partii Pracy także pamiętało długą i trudną ścieżkę kariery Churchilla. Minister spraw wewnętrznych, który wysłał oddziały mające przełamać strajk generalny. Minister finansów, który przywrócił w kraju parytet złota, pomagając głodowi zapukać do drzwi

milionów obywateli. Imperialista, instynktowny parlamentarny pięściarz. Człowiek, który na widok socjalisty nie mógł się powstrzymać od uniesienia kolana na powitanie. Człowiek, którego się bali. Część członków Partii Pracy nie mogła ścierpieć myśli, że u steru stanie dziedziczny arystokrata Halifax, lecz po zastanowieniu – nie zawsze na trzeźwo – wielu dochodziło do wniosku, że chyba będzie wspaniale, jeśli torysi zamkną premiera w Izbie Lordów. Tak, pozwólmy torysom cofnąć się o sto lat i zostawmy przyszłość w rękach socjalizmu.

Joe Kennedy także grał w tym przedstawieniu. Widywano go, jak w limuzynie z szoferem krążył po Fleet Street z butelką schłodzonego szampana pod pachą, szepcząc nazwisko Halifaxa do wszystkich redaktorskich uszu. Nie ryzykujcie z Winstonem, ostrzegał, i nie oczekujcie, że Ameryka wyjmie wasze palce z ognia...

Wszystkie te głosy rozbrzmiewały tylko w jednym celu – by zarekomendować Jego Wysokości królowi Jerzemu kogoś, kogo wedle własnego uznania mógłby poprosić o zajęcie stanowiska premiera. Gdy jednak przyszło co do czego, Jerzy okazał się niezbyt zainteresowany rekomendacjami. Już podjął decyzję. Skoro jego dobry przyjaciel Chamberlain musiał złożyć pieczęcie urzędu, monarcha wiedział, kto powinien je podnieść. Jego jeszcze większy przyjaciel, Edward Halifax.

Król i szlachetnie urodzony dworzanin umówili się i spotkali wieczorem w ogrodach pałacu Buckingham, gdy Halifax wracał piechotą do domu. Nikt ich nie widział, to było zupełnie prywatne spotkanie. Przyjaciela z przyjacielem.

– Edwardzie, chyba nadszedł czas.

– Szczerze mówiąc, sir, jestem co do tego chyba mniej przekonany niż niemal wszyscy, z którymi rozmawiam.

- Przesadzasz ze skromnością.
- Za dobrze mnie pan zna, żeby tak myśleć.
- W takim razie o co chodzi?
- Po prostu... nie jestem pewny, czy podołam zadaniu.
- Jakiemu zadaniu? Bycia premierem? Człowiek z takim doświadczeniem jak ty?
 - Och, bycie premierem byłoby radością, zaszczytem, zadaniem, które przyjąłbym z entuzjazmem, ale rozmawiamy o czymś zupełnie innym.
 - O czymś innym?
 - O byciu przywódcą wojennym, sir. Nienawidzę wojny. Nie rozumiem środków, jakimi się posługuje, a jej stosunek do moralności wprawia mnie w dezorientację. Mimo wszystkich jego wad uważam, że Winston może być odpowiednim człowiekiem na to stanowisko.
 - Dlatego że on w ogóle nie ma moralności!
 - Być może. Ale z moralnego punktu widzenia nastąpiły najpodlejsze czasy. I Winston aż pali się do tej roboty, podczas gdy ja... mnie trawi niepewność.
 - Mój Boże, Edwardzie, przecież rządziłeś w Indiach jako namiestnik króla. Stałeś się jednym z najwspanialszych ministrów spraw zagranicznych wszech czasów. Masz moje zaufanie i zaufanie każdego porządnego człowieka. Nie przychodzi mi do głowy nikt lepszy, kto mógłby nas przeprowadzić przez te czasy.
 - Mimo to...
 - Obowiązek, Edwardzie. Nie możemy uchylać się od obowiązku, nawet jeśli czasami mamy na to ochotę. Twój obowiązek, Edwardzie, bardzo przypomina mój... – Chwila milczenia. – Zresztą są jeszcze inne powody.

- Na przykład?

- Jak, u diabła, zdołałbyś wytrzymać, służąc pod takim człowiekiem?

Burgess zaczynał wpadać w panikę. Odkąd wstał z fotela Maca, godzinami szwendał się po Westminsterze, czając się w jego licznych zakamarkach i słuchając dźwięków układanej na nowo historii. Nawet głuchy mógłby usłyszeć, jak powoli przewracają się elementy rządu Chamberlaina, lecz potrzeba było wrażliwszego ucha, żeby wyłowić pierwsze odgłosy wskazujące na to, kto może go zastąpić. Rzecznik dyscypliny strzygący się u Maca bez wątpienia mówił poważnie – po jego trupie – a w wyłomie piętrzyły się zwłoki mające zagrozić drogę Winstonowi Churchillowi. Jego mylnym ocenom, jego niezaprzeczalnym klęskom, a nade wszystko temu, że nie był „jednym z nas”. Większości z nich Churchill niczego nie zawdzięczał. I obawiali się, że od niego dostaną tyle samo.

W miarę jak dzień się wydłużał, a do spekulacji dołączały alkohol i niepewność, obawy rosły. Wczesnym wieczorem Burgess znalazł się w barze Strangers', gdzie słuchał dziennikarza ogłaszającego wszem i wobec, że ojciec Churchilla wcale nie umarł na syfisy, lecz na jakieś dziedziczne szaleństwo, które przekazał synowi. Właśnie dlatego Winston zaspokajał z nawiązką wszystkie swoje apetyty – dlatego pił, dlatego uprawiał hazard, dlatego późno w nocy krążył po budynku Admiralicji, wlokąc za sobą szefów sztabu, dlatego jego niesławny temperament stawał się coraz bardziej destrukcyjny i dlatego opuściła go Clemmie. Tak, w tym decydującym momencie życia Churchilla uciekła od niego nawet własna żona. Chyba nikt nie wiedział, gdzie się podziała, a jeśli ktokolwiek słyszał, że umiera jej szwagier, a ona pojechała czuwać przy jego łożu śmierci, nie zadał sobie trudu, by

o tym powiedzieć. Ludzie wierzyli w takie bzdury przede wszystkim dlatego, że chcieli w nie wierzyć. I dlatego, że w wielu takich pogłoskach było ziarnko prawdy. Churchill nigdy nie był łatwy we współżyciu.

Dlatego Burgess czuł coraz większy niepokój. W kotle zaczęło wrzeć i wydawało mu się, że wszyscy trzymają ręce na miechach innych niż jego własny, a on nie może nawet przepchnąć się do przodu. Po raz pierwszy w życiu zaczął zazdrościć przyjaciołom, którzy pojechali walczyć w hiszpańskiej wojnie domowej, nawet tym, których tam pochowano. Przynajmniej odegrali swoją rolę. Jego jednak wyznaczono do stoczenia innej wojny. Nie było mu pisane proste spełnienie polegające na sięgnięciu po karabin i mierzeniu do wroga. Wrogowie otaczali go ze wszystkich stron, byli tuż-tuż, lecz on mógł się jedynie uśmiechnąć i postawić im kolejnego pieprzonego drinka.

Nie wiedział, co robić, więc nie mając żadnego konkretnego pomysłu, ruszył na poszukiwanie Churchilla. Churchilla jednak nie można było nigdzie znaleźć – nie chciał, żeby go znalezione. Burgess zdołał jedynie wypatrzeć Brackena i Boothby'ego na końcu tarasu w Izbie Gmin, z którego roztaczał się widok na rzekę. Wieczór był chłodny, rozświetlony tylko sierpem księżyca, ale oni nie zważali na zimno. Bracken był nawet bez marynarki. Obaj z Boothbym wyglądali na kompletnie pijanych.

Bracken chwiejnym krokiem chodził tam i z powrotem, krzycząc na kolegę z wściekłością mogącą się zrodzić jedynie z alkoholu i strachu. To była jego wina, krzyczał Bracken, najbardziej monumentalny błąd, głupota godna Sodomy. Boothby nie oponował. Siedział przy drewnianym stole z pochyloną głową, obwisłe policzki opierały mu się na kamizelce, i poruszał się tylko, żeby sięgnąć po

drinka. Bracken wymachiwał rękami w nocnym powietrzu i w pewnym momencie można było odnieść wrażenie, że za chwilę uderzy drugiego mężczyznę, lecz było to jedynie preludium do kolejnego potoku słów wyliczających wady Boothby'ego. Byli ludźmi Churchilla. I ogarnęła ich rozpacz.

– Szukałem pana Churchilla – wtrącił się Burgess, podchodząc, żeby mogli go rozpoznać.

– Podobnie jak wściekłe psy piekła – warknął Bracken.

– Lepiej, żeby go pan nie znalazł – dodał ponuro Boothby.

– Co się stało?

– On się stał – zagrzmiał Bracken, wygrażając Boothby'emu pięścią i odwracając się do nich obu plecami.

– Wszystko popsułem. Wszystko – wymamrotał Boothby do szklanki.

– Ale jak?

Dwoje ciemnych oczu uniosło się znad alkoholu.

– Właśnie o to chodzi. Niech mnie szlag, jeśli wiem. Zrobiłem tylko to, co mi kazano. Ale Winston mówi, że wszystko spieprzyłem. Popsułem. Nigdy nie widziałem, żeby aż tak się wściekł. Tak strasznie. Powiedział, że weźmie te przeklęte mauzery i wepchnie je wszystkie we mnie. Co do jednego. Nie mogę nic więcej powiedzieć. Nie wolno mi. – Wyglądało na to, że wysiłek go przytłoczył i Boothby znowu skupił się na szklance.

– Mauzery? Nie rozumiem – zaczął Burgess, lecz przerwał mu Bracken.

– Och, pan nie rozumie. Zatrzymajmy świat, żeby uczcić tę chwilę. Pan Burgess nie rozumie. Co tu rozumieć? Kim pan, do diabła, jest,

żeby rozumieć? Wyskakuje pan z ciemności... Co pan właściwie knuje, Burgess?

– Chcę pomóc.

– Och, proszę mi wybaczyć. Przez pomyłkę wziąłem pana za jednego z tych pasożytniczych dupków, którzy przyczepiają się do ważnych ludzi i wysysają z nich wszystkie soki. No cóż, chyba jedynym przyzwoitym skutkiem tego całego bałaganu jest to, że pan, panie Burgess, marnował swój przeklęty czas. Niczego pan nie dostanie. Nikt niczego nie dostanie, ani Winston, ani ja, ani obecny tu Boothby. A pan jest ostatni na liście. Jest pan na samym końcu. – Bracken wykonał teatralny gest ręką, mający odprawić Burgessa w melodramatyczny sposób, lecz udało mu się jedynie potrącić butelkę stojącą na balustradzie. Butelka runęła w ciemność. Po chwili z cichym pluskiem wpadła do płynącej w dole rzeki.

– Przykro mi, że mnie pan nie lubi, Bracken... – podjął Burgess.

– To zabawne. Ja raczej lubię pana nie lubić.

– Ale naprawdę chcę pomóc panu Churchillowi. Jeśli zdołam.

– Jak proponuje pan to zrobić? Skoro Chamberlain chce Halifaxa. Skoro rzecznicy dyscypliny chcą Halifaxa. Skoro właściwie każdy spaniel w partii torysów chce Halifaxa. Skoro, jak przypuszczam, błogosławiony król i przeklęty arcybiskup Canterbury chcą Halifaxa, i skoro jest absolutnie pewne, że większość Fleet Street również go chce. Och, ale być może to wszystko właśnie przestało się liczyć, bo pan Burgess przybył nam na pomoc.

– Przestań zachowywać się jak kutas, Brendanie – warknął Boothby. – To nie jego wina.

– A wie pan, co robi ten skończony kretyn Chamberlain? – ciągnął niezrażony Bracken. – Jak zwykle nie może się zdecydować. No więc

poprosił cholernych socjalistów, żeby zadecydowali za niego.

– Co oni mają z tym wspólnego, do diabła?

– Wszystko! Ten kretyn na Downing Street poprosił Partię Pracy, by dołączyła do koalicji i powiedziała, kogo chciałyby widzieć na jego miejscu. Dzień po tym, jak Winston rozszarpał ich na kawałki w Izbie Gmin! To tak, jakby spytał Stalina, kto powinien zostać pieprzonym papieżem. – Bracken rozejrzał się w poszukiwaniu butelki. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że przepadła. Wziął butelkę Boothby'ego i resztkę jej zawartości wlał z rozmachem do swojej szklanki, po czym posłał ją śladem pierwszej. – No więc jeśli nie jest pan cudotwórcą albo przynajmniej nie wie, kogo większość przywódców Partii Pracy pieprzy na boku, niewiele może pan zrobić. Byłbym zatem zobowiązany, panie Burgess, gdyby zrobił pan to, co najwyraźniej wychodzi panu najlepiej, i po prostu stąd spieprzał.

Burgess się odwrócił – nie było sensu tu tkwić. Bracken nie panował nad sobą, a Boothby najwyraźniej przegrywał prywatną bitwę z logiką. Zostawił ich nad rzeką. Jaki to miało sens? Nie był cudotwórcą i nic nie wiedział na temat nocnych poczynań przywódców Partii Pracy. Odchodząc, przypomniał sobie jednak, kto może wiedzieć.

Driberg był w Bournemouth na konferencji Partii Pracy. Burgess wiedział nawet, w którym hotelu się zatrzymał. Gdy jednak zadzwonił, Driberga tam nie było. I prawdopodobnie miało go nie być aż do śniadania. Najdroższy hotel w całym Bournemouth, a on wolał spędzać noce pod przeklętym molo.

Nie tylko w Bournemouth noc tętniła życiem. Na froncie, który rozciągał się na długości ponad dwustu mil, od holenderskiej granicy

niedaleko Morza Północnego po lasy w Ardenach na południu,
potężne dywizje hitlerowskiego Wehrmachtu też nie próżnowały.

Rozdział dwudziesty trzeci

(„Evening Standard”, piątek, 10 maja 1940)

NAZIŚCI NAJEŹDŻAJĄ NA HOLANDIĘ, BELGIĘ I LUKSEMBURG: FRANCUSKIE MIASTA ZBOMBARDOWANE

Brytyjskie oddziały maszerują: zaatakowane bazy RAF-u we Francji

Wojna totalna gwałtownie przeobraziła się w największą pożogę w dotychczasowej historii, gdy Hitler wdarł się do Holandii, Belgii i Luksemburga oraz zbombardował wiele miast we Francji. Bomby zrzucono także na Szwajcarię.

Szereg nalotów przeprowadzono jednocześnie na punkty wokół Paryża. Zbombardowano również Nancy, Lille, Lyon, Colmar, Pontoise, Luxeuil, Maubeuge, Valenciennes i Villers-Cotterêts. W samym Nancy zginęło szesnaście osób.

Inne raporty informują o atakach na Calais i Dunkierkę. Lotnisko w Lyonie atakowano przez dwie godziny.

Według doniesień z Nowego Jorku Brukselę „zbombardowano potwornie”. Ucierpiała też Antwerpia.

Chmary samolotów wojskowych zbombardowały wszystkie belgijskie lotniska i wiele lotnisk w Holandii. W licznych miejscach wylądowali spadochroniarze. Atakowano również bazy RAF-u we Francji...

Pierwsze nadzwyczajne posiedzenie Rady Ministrów odbyło się o ósmej. Miano na nim omówić wybuch wojny na olbrzymim froncie.

Poza tym większość kolegów z rządu spodziewała się, że Chamberlain złoży na tym posiedzeniu dymisję. Ale nie złożył. Nawet o tym nie wspomniał.

Nie podjął także tego tematu, gdy spotkali się ponownie o jedenastej trzydzieści. Cała dyskusja była poświęcona przyszłemu kierunkowi wojny, sposobom odparcia szkopskiego ataku, aż w końcu ktoś – później właściwie nie było wiadomo kto – poruszył znacznie delikatniejszą sprawę przyszłego kierunku rządu.

Chamberlain zmienił jednak plany. Jak powiedział mu tego ranka Ball, gdy zaczęły napływać pierwsze doniesienia o nowym niemieckim natarciu, w żadnym tumanie artyleryjskiego dymu nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Rząd? – odrzekł sztywno Chamberlain. – A można by pomyśleć, że dziś rano to ostatnia rzecz, jaką ktokolwiek się przejmuje. Jak dla mnie, sytuacja jest jasna. Bez względu na to, jakie trudności mogło spowodować środowe głosowanie, w świetle niemieckich działań straciły one znaczenie. – Chrząknął, zdradzając swoje zdenerwowanie. – W środę była Norwegia. Dzisiaj mamy do czynienia z o wiele większym zagrożeniem znacznie bliżej domu. Moim obowiązkiem jest zmierzenie się z zadaniem odparcia tego zagrożenia. Mam robotę do wykonania i zamierzam ją wykonać. Jestem pewny, że moje działania w tym zakresie zdobędą pełne poparcie zarówno w parlamencie, jak i w całym kraju. Oraz oczywiście przy tym stole.

Wpatrywał się w nich, próbując pochwycić ich spojrzenia, lecz nie patrzył na niego nikt oprócz Winstona, który wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać. Siedzieli oniemiały. Taceo consentire – milczenie oznacza zgodę. Zatem nie zamierzali jednak zmienić konia, nie, gdy panował taki popłoch...

- A zatem, panowie, jeśli możemy wrócić do bieżących spraw...

Wtedy ktoś chrząknął. Przerwał to milczenie. Ktoś chciał zabrać głos. Nagle wszystkie głowy podniosły się i spojrzały w jego stronę. Był to Kingsley Wood, minister lotnictwa.

- Panie premierze, czy zanim przejdziemy dalej, mógłbym nadużyć naszej wieloletniej przyjaźni?

Chamberlain przyzwalająco skinął głową. Wood był człowiekiem partii, lojalistą. Nie zaszkodzi, jeśli wyrazi swoją aprobatę. Dopilnuje, by wszyscy wiosłowali w tę samą stronę. Wood był jednak człowiekiem, który się zmienił - albo został zmieniony. Nie chciał dłużej wiosłować w tę samą stronę co jego przywódca, nie po tym, jak odkrył, że Chamberlain zamierza wyrzucić go z szalupy, by udobruchać rekiny.

- Jako przyjaciel, panie premierze, chciałbym powiedzieć... - spuścił wzrok i bawił się piórem jak Brutus nożem - że się nie zgadzam. Nie zgadzam się jako współpracownik, jako członek pańskiego gabinetu, lecz przede wszystkim jako ktoś, kto niezmiernie pana szanuje i podziwia. Wydarzenia dzisiejszego ranka jedynie uwypuklają potrzebę dopilnowania, by konieczne zmiany w rządzie zostały wprowadzone jeszcze szybciej. Ta wojna może trwać latami. Jeśli nie zrobimy tego teraz, to kiedy?

Nagle Chamberlain poczuł, że wszyscy się w niego wpatrują i nikt się przed tym nie wzdryga. Musiał jakoś zareagować, ale przez chwilę nie mógł wydobyć z siebie głosu. Słowa, gdy wreszcie padły, miały w sobie coś podobnego do dźwięku rozdieranego papieru.

- Czy ta wypowiedź odzwierciedla opinie was wszystkich? - spytał powoli.

Nikt się nie odezwał. Taceo consentire. Ryzyko się nie opłacało.

Wiedział, że może się tak stać. Dlatego miał inny plan.

– Edwardzie?

– Przepraszam, Neville'u, ale jak mógłbym teraz zabrać głos? Każdy wie, że jestem twoim najlojalniejszym współpracownikiem. Zdyskredytowano by wszystko, co bym powiedział, uznając to za wyrachowanie, przesadne.

Chamberlain wpatrywał się w swojego ministra spraw zagranicznych, nie mając pewności, kogo właściwie widzi. Przyjaciela?

Lojalnego pomocnika? Ale jak daleko sięgają takie cechy, gdzie jest granica jego lojalności? Wkrótce mieli się przekonać.

Halifax czytał mu w myślach.

– Nie chcę tego, Neville'u, nie w takich okolicznościach. Nie chcę zająć twojego miejsca.

Sączyli herbatę w ogrodzie i jedli kanapki na lunch. Był przepiękny wiosenny dzień, rośliny cebulkowe i pąki eksplodowały, rywalizując mnóstwem kolorów. Cóż za ironia losu, pomyślał Chamberlain, że angielskie słońce wychodzi tylko po to, by oświetlać katastrofy.

– Dlaczego? Dlaczego nie chcesz? – spytał bezceremonialnie.

– Nie jestem pewny. Czuję, że to niewłaściwe. Nie sądzę, żebym na to zasługiwał.

– Zasługiwał? To nie jest żadna nagroda, Edwardzie! To nie żadne świcidelko, które dostaje się podczas zawodów sportowych, na litość boską. To cholerny obowiązek. Twój cholerny obowiązek!

– To samo powiedział król.

– Zostaniesz premierem, czy to ci się podoba, czy nie.

– Nie Winston?

– Jak mogę zarekomendować Winstona? – Z hukiem odstawił filiżankę i spodeczek na stół. – Nawet gdyby mnie zmuszono, żebym

ustąpił mu miejsca, jak myślisz, ile by wytrzymał? Ile, zanim wystawiłby na próbę swoją wątrobę albo cierpliwość współpracowników, docierając do najdalszych granic zniszczenia? Najwyżej po kilku miesiącach wrócilibyśmy do punktu wyjścia i szukalibyśmy nowego premiera. I prędzej czy później musiałbyś nim zostać właśnie ty, Edwardzie.

– W takim razie niech to będzie później.

– Teraz! Dzisiaj! Obawiam się, że bogowie wojny nalegają.

– Mimo to niech to będzie później – powtórzył. – Niech Winston prowadzi wojnę. Niech się zmęczy. Jeśli mam przejąć stery, byłoby o wiele lepiej, gdyby on poniósł wcześniej porażkę, która zmusi go do zaprzestania walki ze wszystkimi wiatrakami.

– A ile szkód zdążyłby narobić w międzyczasie, przekształcając całą Europę w jakąś powtórkę horroru z Gallipoli? Nie, musi istnieć jakiś lepszy sposób. Istnieje lepszy sposób, Edwardzie. Ty. Na stanowisku premiera. Winston nadal może toczyć wojnę jako twój podwładny, gdy ty będziesz planował pokój – pokój, który musi nastać bez względu na to, czy wojna będzie przegrana, czy wygrana.

Halifax nie odpowiedział i skupił się na filiżance. Chamberlain ciągnął dalej.

– Ambicja to u Anglika nikczemna przypadłość, Edwardzie, a Winston cierpi na nią, odkąd nauczył się raczkować. Nigdy nie był człowiekiem partii, to nie leży w jego naturze. To mężczyzna z aspiracjami tyrańca, zataczający się od jednego kryzysu do drugiego. Mój Boże, czasami boję się go prawie tak jak Hitlera.

Halifax nadal milczał.

– Ambicja. A do tego chciwość. Trzyma wiele srok za ogon, a z jakiegoś powodu jego dłonie są zawsze ubłocone i ściskają pieniądze.

Posłuchaj, Edwardzie, nie mogę zdradzić ci szczegółów, sam nie znam ich wszystkich, jeszcze nie, ale Winstonowi nie można ufać. Ani w kwestii władzy, ani w kwestii pieniędzy. Dobrze o tym wiesz.

Milczenie Halifaxa wymownie świadczyło o tym, że wie.

Chamberlainowi pod wpływem emocji zaschło w ustach i bardzo chciał się napić herbaty, lecz obawiał się, że zadrży mu ręka i w ten sposób się zdradzi.

– Umówiłem się już na spotkanie w pałacu, Edwardzie.

Halifax gwałtownie podniósł głowę.

– Tak szybko? Czy to zgodne z etykietą?

– Na szóstą. Za niespełna pięć godzin złożę pieczęcie urzędu. Nie chcę tego, ale najwyraźniej nie mam wyboru. Gdy taki królik jak Kingsley Wood okazuje się łasicą, wiadomo, że świat zaczął się obracać zbyt szybko. Został mi jeszcze jeden obowiązek: doradzenie królowi w kwestii mojego następcy. To musisz być ty. Na Downing Street jeszcze dziś wieczorem.

– Ale wciąż zadaję sobie pytanie, czy podołam.

Chamberlain pochylił się do przodu, napięty jak gumka.

– Tylko dwóch ludzi nie chce cię na stanowisku premiera. Jeden to Winston Churchill, drugi to Adolf Hitler. Wszystko zależy od ciebie, Edwardzie. Zostawisz los naszego kraju w ich rękach?

Powoli, jakby przygniotły go kamienne bloki, Halifax zaczął kręcić głową, lecz robił to tak sztywno, że nie było jasne, czy chce zaprzeczyć, czy potwierdzić.

– Edwardzie, będę przy tobie – namawiał go Chamberlain. – Razem kierowaliśmy tym krajem, ty i ja. Byliśmy drużyną. Zawsze byliśmy drużyną. Premier i najbliższy z jego współpracowników. Ty w Izbie

Lordów, ja w Izbie Gmin. Nigdy w pojedynkę. Nadal możemy tak działać.

Halifax wydał z siebie niezwykle żalosne westchnienie zakończone czymś bardzo zbliżonym do mruknięcia:

– Niech będzie.

Dwa słowa. Chamberlainowi jednak wystarczyły. Wiedział, że za kilka godzin pod tylne wejście budynku przy Downing Street podjedzie furgonetka i zaczną do niej ładować wszystkie jego rzeczy osobiste. Że będzie to dość okrutne, takie wymknięcie się tylnymi drzwiami i niezważanie na to, że Winston stoi przed frontowymi i usiłuje wyważyć je kopniakiem. Churchill przejmujący stanowisko od Chamberlaina. Niedoczekanie. To nie była zwykła sprawa osobista, to była sprawa rodzinna, sprawa wielu pokoleń, kwestia honoru.

Było jednak coś więcej. Co jeśli Halifax rzeczywiście zajmie jego miejsce? Szanowany, kompetentny Edward. Tyle że bezbronny. Jego imperium to była Izba Lordów odizolowana od centrum wydarzeń. Chamberlain byłby oczywiście jego starszym mężem stanu, lecz Halifax dostanie także Winstona, który będzie z nim walczył do upadłego, tak jak walczył ze wszystkimi premierami, którym służył, nie tyle dlatego, że tak postanowił, ile dlatego, że po prostu nie znał innego sposobu, że powodowała nim najnikczemniejsza przypadłość: ambicja. A gdy oni dwaj, Halifax i Churchill, opadną z sił i nie będą w stanie dłużej tego ciągnąć, kto zaoferuje doświadczenie i podstawy pozwalające przywrócić krajowi jego zszarganą niezłomność w godzinie największej próby? A jakże, będzie to właśnie Neville Chamberlain.

Uścisnął Halifaxowi rękę. Gra jeszcze nie dobiegła końca.

Attlee zastukał piórem w stół, żeby przywołać zebranych do porządku. Był małym, eleganckim mężczyzną o elitarnym pochodzeniu, który bez żadnych wątpliwości – nawet ze strony własnej matki – był najmniej charyzmatycznym przywódcą w historii swojej partii, lecz po mistrzowsku przeprowadzał towarzyszy przez proceduralne zawiłości porządku obrad i różnych spraw do załatwienia. Czekają ich dużo pracy. Usłyszeli uporczywe stukanie Clementa Attlee i powoli zamilkli.

Członkowie krajowego komitetu wykonawczego zebrali się w zadymionej piwnicy hotelu Tollard Royal w Bournemouth, by rozstrzygnąć dwa bieżące problemy. Czy włączą się do koalicji pod przewodnictwem Chamberlaina? Jeśli nie, czy włączą się do koalicji pod przewodnictwem kogoś innego?

Z pierwszą kwestią uporali się niezwykle szybko, używając języka, który bardziej pasowałby do umywalni w walijskich kopalniach po zamrożeniu rur. Neville Chamberlain zawsze traktował ich z pogardą i skwapliwie czerpał przyjemność z wyszydzania ich z mównicy. Co więcej, był także producentem, właścicielem wiktoriańskiego zakładu przemysłowego, arcytorysem, który siedział z założonymi rękami, gdy siły faszystów plądrowały Hiszpanię, a teraz postanowił sprowadzić wojnę i cierpienie pod ich własne drzwi. I ten drań oczekiwał od nich pomocy.

Niektórzy członkowie krajowego komitetu wykonawczego mieli intelektualne podejście do swojego socjalizmu. Inni go w sobie wyhodowali, a co najmniej kilku wbiły go do głowy oddziały i najemnicy, którzy przełamali strajk generalny. Ale bez względu na punkt widzenia wszyscy doszli do tego samego wniosku.

Chrzanić go.

Sprawa nie była jednak taka prosta. Trzeba było prowadzić także inne interesy. Trwała wojna, potworna, opanowująca nagłówki wojna, która niebawem miała rozpłaszczyć Belgię i ośmieszyć ich konferencję. Ich program był fantazją złożoną z aspiracji i idealizmu, wzywającą między innymi do natychmiastowego wynegocjowania pokoju z Niemcami, lecz czołgi Hitlera postawiły wszystko na głowie. To, co wczoraj wydawało się górnolotne i idealistyczne, teraz było zwyczajnie głupie. Dlatego wnioski, które mieli przedyskutować, trzeba było pogrzebać razem z premierem, ale zgodnie z regulaminem każda ceremonia pochówku wymagała odrębnego głosowania.

Była już prawie druga, gdy uroczystości pogrzebowe dobiegły końca, a oni wciąż nie uporali się z drugą sprawą związaną z Chamberlainem. Robiło się nieco duszno. Attlee zarządził krótką przerwę.

Towarzysze udali się do baru na górze, gdzie odkryli Driberga. Mężczyzna z „Expressu” nie był w najlepszej formie. Świeża eskalacja przemocy po drugiej stronie kanału La Manche napawała go przerażeniem, a nie był człowiekiem odważnym, chyba że mógł zasłonić się gazetą. Zareagował zatem tak jak zwykle, poświęcając noc na próby samounicestwienia. Wrócił do hotelu grubo po śniadaniu i powitał go tam telefon od Burgessa. Dribergowi ciążyła głowa, gardło miał obolałe od nocnego powietrza, zmarznięte plecy dawały mu się we znaki i za żadne skarby nie mógł pojąć, dlaczego Burgess tak się ekscytuje zebraniem przeklętego krajowego komitetu wykonawczego.

– Nie rozumiem, Guy. Dlaczego opinia cholernej Partii Pracy nagle stała się taka ważna?

– Dlatego że trwa wojna, prawdziwa wojna, i rząd potrzebuje Partii Pracy w swoim namiocie. W związku z tym Partia Pracy może ustalać

warunki wczolganania się do tego namiotu.

– Jasne. Chamberlain czy nie Chamberlain. Powiedzą mu, żeby wyskoczył bez spadochronu, a my dostaniemy innego cholernego torysa.

– Nie jakiegoś innego cholernego torysa, głupku. To będzie albo Halifax, albo Churchill. Wyobrażasz sobie Halifaxa? Tego jednorękiego idiotę? Ile upłynie czasu, zanim rzuci ręcznik? Zanim dobije targu? Zanim zaprosi Wehrmacht, żeby przemaszerował po Strandzie i wbił ci bagnet w tyłek?

Skołowany Driberg pokręcił głową.

– Przecież Attlee nie może powiedzieć torysom, kto ma być ich przywódcą...

– Tom, jeśli mogą odmówić służenia pod przywództwem Chamberlaina, mogą też odmówić służenia pod przywództwem Halifaxa. A wtedy torysom zostanie tylko jedna możliwość. Winston. Wszyscy dobyli noży przeciwko Churchillowi, a Partia Pracy może być jego jedynym przyjacielem.

– Dziwna para, do diabła.

– Możliwe, że to jego jedyna szansa. Nasza jedyna szansa. Od tego może zależeć wszystko, nawet nasze życie. Musisz ich skłonić do podjęcia decyzji, Tom. Za Churchillem.

Skołowany Driberg przystąpił zatem do działania w barze Royal Tolland. Szczypał w łokcie, szeptał na ucho, uśmiechał się i przypochebiał. Dobrze znali Driberga, lubili go, gdyż pod oschłą powierzchownością aparaczyka Beaverbrooka był taki sam jak oni. Wielu z nich pomógł, wyciszając krępujące sprawy, ostrzegając o ich rychłym nagłośnieniu, z lubością uczestnicząc w ich intrygach. Wiedzieli, że coś knuje – Driberg zawsze coś knuł – ale słuchali go.

A gdy dwadzieścia minut później wezwano ich z powrotem do piwnicy, a Driberg padł pod ciężarem największej whisky, jaką kiedykolwiek trzymał w ręku, przypomnieli sobie jego słowa i zaczęli dyskutować o zaletach takiego rozwiązania. O tym, że mają prawo weta. O tym, że ich weto wpłynie na decyzję. O tym, że mogą zdecydować, kto zostanie następnym premierem.

Wybrali Halifaxa.

Burgess przez cały dzień usiłował zapanować nad rosnącym przerażeniem, lecz gdy zadzwonił Mac, stracił ostatnie resztki zimnej krwi. Mac – spokojny, spostrzegawczy, wszędobylski Mac – zadzwonił, żeby powiedzieć, iż właśnie wezwano go do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jego Lordowska Mość chciał się ostrzyc. Natychmiast.

– No i? – spytał Burgess.

– No i? Co jeszcze chciałby pan usłyszeć, panie Burgess? Jaśnie pan chce się czym prędzej ostrzyc. Mówi to panu coś? Wybiera się na ślub czy na pogrzeb? Wiem z doświadczenia, że mężczyźni chowa się w starych garniturach i nikt się za bardzo nie przejmuje długością ich włosów.

– Jesteś pewny? Absolutnie pewny, Mac?

– Jestem pewny tylko tego, panie Burgess, że jeśli natychmiast się tam nie zjawię, stracę pracę. Miło się z panem rozmawiało. – W słuchawce zapadła cisza.

Wtedy Burgess zaczął przegrywać bitwę z ogarniającym go strachem. Robiło mu się od tego niedobrze – naprawdę go mdliło, i to mocno. Najwyraźniej zabrakło mu możliwości. Będzie zmuszony podjąć największe ryzyko w życiu – zaryzykować własnym życiem – działając na podstawie jakiegoś przeklętego strzyżenia. Wydawało się to stanowczo zbyt nedorzeczne, lecz wydarzenia wymykały się spod

kontroli jak uciekająca ciężarówka, a on nie miał innego wyjścia, jak tylko stanąć jej na drodze, rzucić się pod koła w rozpaczliwej nadziei, że wystarczająco zepchnie ją z kursu. Gdyby tylko udało mu się ocalić Churchilla...

Już wiedział, dlaczego nie pojechał do Hiszpanii. Przerazała go myśl o bólu, o śmierci. Czuł, jak łzy spływają mu po policzkach. Łzy tchórza. Ale myśl o klęsce przerazała go jeszcze bardziej. Nie miał nawet czasu się napić.

- Och, matko, ratuj.

Niemal w tej samej chwili na biurku Horace'a Wilsona wylądowała niebieska teczka. Opatrzono ją adnotacjami „Ścisłe tajne” i „Pilne” oraz przekazano „Do wyłącznego użytku premiera”. W osobliwie mętnym języku służby cywilnej oznaczało to także użytek Horace'a Wilsona. Sama teczka była cienka, zawierała tylko jedną kartkę, i pochodziła od Balla. Była wynikiem śledztwa dotyczącego rozbieżności między listą osób wpisanych do rejestru odwiedzających w Admiralicji a nazwiskami odnotowanymi w oficjalnym dzienniku pierwszego lorda.

Znalazło się tam więcej nazwisk, niż Wilson się spodziewał – prawie dwa tuziny. Większość była zupełnie przewidywalna – jacyś krewni Clemmie i paru Churchilla, kilkoro bliskich starych przyjaciół, jego syn Randolph i jego nowa żona, włoski krawiec, który zjawił się trzykrotnie (może tu należało powęszyć?), oraz lekarz Churchilla. Poza tym raz pojawiło się nazwisko Guya Burgessa.

Ball napisał, że nie jest jasne, dlaczego Burgess przyszedł do Churchilla z osobistą wizytą, nie korzystając z oficjalnych kanałów, a jeszcze mniej jasny wydawał się cel jego wizyty. Burgess był dziennikarzem szukającym kąsków i grzeszków. Choć Ball nie znał go

osobiście, ten młody człowiek sprawiał wrażenie nad wyraz dobrze ustosunkowanego i zdobywał reputację gagatka w kręgach towarzyskich. Warto było przyjrzeć mu się bliżej. Jemu i krawcowi.

Właśnie takie polecenie Ball wydał służbom bezpieczeństwa. Zaznaczając, że sprawa jest bardzo pilna.

Tuż po trzeciej Attlee pospiesznie opuścił zebranie krajowego komitetu wykonawczego. Problemy rozwiązano, decyzje podjęto, a doniosłe konsekwencje tych decyzji miały nastąpić w Westminsterze, a nie w Bournemouth. Chciał jak najszybciej wracać do Londynu. Partia Pracy była otwartą księgą, z natury niezdolną do długiego utrzymywania czegoś w tajemnicy, i wydali już oświadczenie prasowe, deklarując chęć dołączenia do koalicji rządowej, lecz wrodzona ostrożność i poczucie osobistej przyzwoitości Clementa Attlee wymagały, by nie wydawać żadnych publicznych oświadczeń dotyczących następcy premiera, dopóki nie poinformuje samych zainteresowanych. Powinni byli dowiedzieć się pierwsi, tak nakazywała przyzwoitość. Powinni byli dowiedzieć się oficjalnie, poufnie i na piśmie. Wszystko zgodnie z zasadami.

W drodze na dworzec Attlee polecił zatem taksówkarzowi, by zatrzymał się na poczcie. Wysłał stamtąd telegram na Downing Street. Na płożonym druczku skomponował wiadomość, którą mieli zrozumieć wyłącznie adresaci.

„NA + PIERWSZE + PYTANIE + NIE + STOP + NA + DRUGIE + TAK + POD + H + STOP + NATYCHMIAST + WRACAM + DO + LONDYNU + PRZYJEŹDŹAM + PIĘTNAŚCIE + PO + PIĄTEJ + STOP + ATTLEE”

Oszczędnie, tak jak Attlee miał w zwyczaju. Niespełna dwa tuziny słów. Nie wspomniał o Churchillu – każde dodatkowe słowo

kosztowałyby pensa, a zdaniem części krajowego komitetu wykonawczego Churchill nie był tego wart. Attlee był natomiast szczerze niezdecydowany. Wyczuwał pułapkę. Znał torysów, wiedział, że nie można im ufać, dopóki nie zostaną pochowani. Pomyślał, że lepiej zostawić uchyloną furtkę. Na wszelki wypadek. Podał szylinga i siedem pensów, poprosił o pokwitowanie, a potem pośpiesznie wrócił do taksówki. Nie chciał spóźnić się na pociąg.

Sue była zdumiona. Nie codziennie zdarzało się, by sławny człowiek wszedł na jej pocztę i poprosił o przesłanie telegramu premierowi. Gdyby nie rozpoznała ciemnych rysów i starannie przystrzyżonego wąsa przywódcy laburzystów, pomyślałaby, że to jakiś żart.

Gdy wyszedł, uchylając kapelusza i życząc jej miłego dnia, usiadła w małym, dusznym pokoiku na tyłach poczty, gdzie przechowywała cenne przedmioty. To właśnie tu trzymała sejf z zapasem znaczków, przekazów pocztowych, książeczek oszczędnościowych i drobniaków, a obok stał regał wypełniony licznymi podręcznikami i okólnikami dotyczącymi pocztowych procedur. Tu zainstalowano także dalekopis Creed. Maszyna tłumaczyła wiadomości na dziurki w papierowej taśmie. Później taśma przechodziła przez automatyczny transmiter kierujący wiadomość ku wybranemu celowi, gdzie znowu drukowano ją na papierowej taśmie i przyklejano do druczku telegramu.

Kiedy Sue przysunęła krzesło, żeby wygodniej usiąść przy klawiaturze, dalekopis z drzeniem obudził się do życia. Przychodził jakiś telegram. Taśma z wiadomością powoli wyskakiwała z urządzenia, a Sue z niejakim zdziwieniem uświadomiła sobie, że telegram jest zaadresowany do niej. Pochyliła się, przesuając taśmę

w palcach, i zaczęła czytać, a maszyna terkotała dalej, przekazując wiadomość słowo po słowie.

„Z + ŻALEM + ZAWIADAMIAMY + ŻE + SIERŻ + J + WHITE + KOYLI + ZAGINAŁ + I + PRAWDOPODOBNIEM + POLEGŁ + W + AKCJI...”

Wpatrywała się w te słowa, nie mrugając oczami unieruchomionymi przez coraz dłuższą wstążkę papieru, i dalszej części już nie przeczytała. Paraliż ogarnął jej ciało od oczu aż po szyję, ręce, palce, nogi i każdy mięsień. Siedziała zgarbiona przy maszynie, nic z tego nie rozumiejąc, bez ruchu.

Znaleziono ją jakiś czas później. Dwaj zaniepokojeni klienci zastali Sue Graham nadal pochyloną nad dalekopisem. Nie mogli się z nią porozumieć i z pewnym trudem zaprowadzili ją na stary fotel jej ojca w pokoju na zapleczu. Zamknęli pomieszczenie służbowe i zaryglowali drzwi poczty, a potem siedzieli obok niej i czekali na lekarza.

Czasami nawet człowiek mający kolosalny apetyt i przez całe życie beztrudnie pływający na fali alkoholu porzuca powściągliwość i upija się w sztok. Ma to niewiele wspólnego z ilością, a znacznie więcej z postanowieniem, żeby po prostu odpuścić i utonąć. Churchill postanowił odpuścić. Przestało mu zależeć, z radością tonął wśród wspomnień i żalu. Podczas lunchu towarzyszył mu Bracken – lojalny, uparty Bracken, na którego można było liczyć, że później odprowadzi mistrza tam, gdzie należy, bez względu na to, w jakim mistrz będzie stanie.

Jeszcze zanim wypili pierwszą butelkę clareta, stary wyraził całą gamę mrocznych emocji. To, co z początku było jedynie rozklejaniem się, wkrótce przeszło w rozpacz, żal przeobraził się w oskarżenia, złość

w oburzenie, aż w końcu straciło to wszelki sens. Zaczął się mazać, szlochał, że poniósł klęskę.

– Nazywam się Churchill. Urodziłem się, żeby stoczyć tę wojnę, Brendanie, żeby nas przez nią przeprowadzić, ale wszystko przepadło. Przepadło! Zniszczą nas, tysiące lat angielskiej niezależności znikną z powierzchni ziemi.

– Przecież jeszcze nawet nie zaczęliśmy...

– On nie będzie walczył! Halifax nie będzie walczył! Będzie uciekał, tak jak te przeklęte lisy, za którymi się ugania, aż Niemcy dopadną nas wszystkich. Nic nie stanie im na przeszkodzie, nie będzie gdzie się schować. Och, gdybym tylko zdobył te karabiny...

– Przecież właśnie przez nie tu jesteś – zaczął protestować Bracken, lecz Churchill uciszył go machnięciem ręki, a jego głos i temperatura emocji zaczęły się podnosić.

– Powiedzieli, że chciałem, by walczyli na mojej własnej wojnie. Mojej własnej wojnie! Jakby to było coś zupełnie innego niż ich wojna. Niech ich szlag, może i mieli rację. Może moja wojna byłaby inna... Nie, naprawdę, Brendanie, mówię ci, że moja wojna z całą pewnością byłaby inna, toczyłbym ją bez litości i bez wytchnienia, aż zapewniłbym nam zwycięstwo! A jednak, Brendanie, zawsze jest ten najgroźniejszy wróg – nie, nie ten, który stoi przed tobą podczas bitwy, lecz zdradzieckie dranie atakujące cię od tyłu. To one są prawdziwym wrogiem, wrogiem wewnętrznym. Och, może jednak powinniśmy byli wykorzystać te karabiny!

Zaniepokojony Bracken zaczął coś bąkać, ale szturm Churchilla zmiotł jego protesty.

– Cromwell oczyścił to królestwo, mając czterystu kawalerzystów, więc tylko pomyśl... pomyśl, co mógłby działać Churchill, mając

czteryście tysięcy mauzerów. – Nagle w jego głowie zabrzmiał lęk. – A co zrobi z nimi teraz Hitler? Oto jest pytanie. – Na jego policzkach zalśniły łzy.

Wewnętrzny wróg. Miał na myśli Chamberlaina? Halifaxa? Partię? A może te duchy wewnątrz siebie, które nieustannie go nawiedzały. Bracken nigdy nie widział starego w takiej rozsypce.

– Przecież nie wykorzystalibyś tych karabinów, nie dla własnych celów. Prawda, Winstonie?

– Marlborough by to zrobił. On by walczył.

– Tak, ale z pewnością...

– Gdybym zebrał armię Anglików o niezłomnych sercach, czegoż mógłbym nie dokonać? Z całą pewnością bym je wykorzystał.

– Ale... przeciwko komu?

Churchill zareagował jedynie miną wyrażającą niewysłowiony ból. Człowiek toczący wojnę z samym sobą i ze światem, który go tłamsił.

Dotarli już do połowy drugiej butelki, lecz nie było im dane jej skończyć. Przybył posłaniec. Miało się odbyć kolejne posiedzenie gabinetu. Premier przeprasza, ale czy pierwszy lord mógłby się natychmiast stawić?

– Mój pluton egzekucyjny – ryknął Churchill, rzucając serwetkę na podłogę. Wyszedł chwiejnym krokiem, nie oglądając się za siebie i bez słowa podziękowania.

Prawie w tym samym momencie, w którym Churchill kierował się w stronę Downing Street, zjawił się tam posłaniec z SIS. Przyniósł kolejne dwie teczki na zgrabną stertę rosnącą na biurku Wilsona. Obie zawierały zaledwie po jednym akapicie i oznaczono je żółtą etykietką do wyłącznego użytku premiera. W pierwszej informowano, że na niedawnym przyjęciu dla dyplomatów w Berlinie pewien pijany

Rosjanin, mając już dobrze w czubie, powiedział swojemu niemieckiemu odpowiednikowi, że Chamberlain jest chory. Że bardzo niedomaga. Problemy z żołądkiem. Twierdził, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Dlatego że na Kremlu przechowują głęboko zakopaną kopię historii choroby premiera.

Zawartość drugiej teczki była bardziej szczegółowa. Zatytułowano ją „PAN CHURCHILL”, drukowanymi literami, z podkreśleniem. Stwierdzano w niej, że w toku niedawnego dochodzenia dotyczącego osobistych finansów pierwszego lorda odkryto, iż większość jego dochodów z ostatnich dwunastu miesięcy pochodzi z jednej płatności. Choć nominalnie pieniądze napłynęły z funduszu założonego w Wielkiej Brytanii, fundusz ten zasiliły środki z jednego źródła, z prywatnego przedsiębiorstwa handlowego o nazwie Omni-Carriers. Omni miało też biuro w Bukareszcie i bankierów w Genewie, ale prawie wszystkie inne szczegóły jego działalności spowijała celowo wytworzona mgła tajemnicy. Mimo to SIS dotarło jednak do źródła (z pomocą rozgoryczonego i zubożałego byłego pracownika, aczkolwiek ten szczegół pominięto w raporcie dla premiera). Omni rozpoczęło swój żywot nie od obrotu surowcami, lecz zabytkowymi dziełami sztuki. W olbrzymiej ilości i wyłącznie z Rosji. Tak wielki asortyment nie byłby możliwy bez oficjalnej zgody. A gdy bardzo wiele przedsiębiorstw upadało wskutek wielkiego krachu w 1929 roku, Omni ocalało jedynie dzięki awaryjnemu zastrzykowi gotówki. Gotówka ta, jak przysięgał były pracownik, pochodziła z Narodnego Banku. W Moskwie.

Wszystkie nitki tworzące niezwykłą pętlę leżały już w teczkach na biurku Wilsona. Trzeba je było tylko trochę posplatać i mocno zacisnąć.

Burgess dotarł do klubu zaledwie kilka minut po wyjściu Churchilla, wyciągnąwszy od sekretarki starego, dokąd pierwszy lord udał się na lunch. Wyskakując z tylnego siedzenia taksówki, o mało nie wpadł na Brackena, który schodził po obłożonych workami z piaskiem schodach do St. James's Park. Bracken rzucił mu wściekłe spojrzenie.

– Spieprzaj, Burgess.

– Muszę się zobaczyć z panem Churchillem.

– Nigdy nie przestaje mnie zaskakiwać, jak często potrzebuje pan Winstona. I nigdy nie przestaje mnie zdumiewać, że mimo to Winstonowi udaje się bez pana obejść. – Bracken nie zadał sobie trudu, żeby zwolnić kroku.

– Muszę się z nim zobaczyć! – powtórzył Burgess, ledwie łapiąc oddech i nie zawracając sobie głowy ukrywaniem zaniepokojenia.

– Nie da rady! – zaśpiewał wesoło Bracken. – Poszedł sobie!

– Dokąd? – Burgess chwycił drugiego mężczyznę za rękaw.

Bracken odwrócił się i spojrzał na niego z nienawiścią.

– Zabieraj ode mnie te brudne łapska!

– Nie, dopóki mi pan nie powie, gdzie jest pan Churchill.

– Obyś szczeł – warknął Bracken, znowu ruszając przed siebie.

– W takim razie obaj będziemy potępieni. My i Anna Fitzgerald.

Bracken gwałtownie się zatrzymał.

– W co ty pogrywasz, Burgess?

– Myślał pan, że zdoła utrzymać ten romans w tajemnicy?

– Nigdy się tym nie przejmowałem. Cieszę się, że nas ze sobą kojarzą – odrzekł Bracken, lecz pod wpływem zaskoczenia plątał mu się język. – Jeśli pan myśli, że mam coś do ukrycia...

– Przepraszam. Zapomniałem. To panna Fitzgerald ma problem. Dlatego że ma romans także z pewnym szwedzkim dżentelmenem. Nazywa się Svensson. Björn Svensson.

Bracken modlił się, by jego twarz pozostała nieprzenikniona za okularami grubości denka od butelki, ale nie zdołał ukryć rumieńca zdumienia i bólu, który zalewał mu policzki.

– Ty żałosny draniu. Powtórz to choćby raz, a cię zniszczę. Dopilnuję, żebyś nigdy więcej nie miał pracy. A gdy już skończę ścierać cię na proch, Joe Kennedy z całą pewnością ustawi się w kolejce, żeby rzucić to, co z ciebie zostanie, z powrotem do rynsztoka, z którego wypelzłeś. Wykończę cię, Burgess. I sprawi mi to niewysłowioną przyjemność. – Odwrócił się i znowu ruszył przed siebie, krocząc zamasyżycie w stronę parku.

Całkowite zniszczenie Burgessa. O tak, wiele osób mogłoby stanąć w kolejce po tę przyjemność, lecz Burgess wiedział, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zaryzykować. Zniszczyć samego siebie, jeśli właśnie to musiał zrobić, by dostać się do Churchilla. O Boże, więc to już teraz. Nie ma odwrotu. Pobiegł za oddalającą się sylwetką Brackena.

– W takim razie pójdziemy na dno razem. Ona zniszczy także ciebie, Bracken.

Drugi mężczyzna nadal szedł, krocząc z jeszcze większym zniecierpliwieniem, przepychając się po zatłoczonym chodniku, odprowadzany spojrzeniami rozdrażnionych przechodniów.

– Wiesz, że ona mówi temu Szwedowi o wszystkim? O wszystkim, co słyszy od ciebie?

Bracken lekko zwolnił kroku, lecz nadal szedł. Burgess prawie go dogonił, był tuż przy nim.

– Wiesz, że właśnie w ten sposób Niemcy poznali datę inwazji w Norwegii? Dlatego że jej o tym powiedziałeś.

Bracken zatrzymał się, ale nie odwrócił, jakby natrafił na niewidzialny mur.

– Tysiące Brytyjczyków straciło życie, Bracken. Przez ciebie. I przez nią.

Wreszcie się odwrócił, wściekłość na jego twarzy ścierała się z rozpaczą.

– Kłamstwa – szepnął. – Kłamstwa! Niedorzeczne kłamstwa!

– Spójrz prawdzie w oczy, Bracken. Myślisz, że dlaczego zadaje się z takim typem jak ty, do diabła? Żeby dostawać porady od twojego fryzjera?

Bracken chwycił Burgessa za klapy pogniecionego garnituru.

– Svensson jest tylko przyjacielem jej wuja!

– I człowiekiem z bardzo szerokimi koneksjami. Prowadzi mnóstwo interesów w Niemczech. Handluje przeróżnym towarem. Walutami. Drewnem. Gumą. I tym, co usłyszysz w łóżku.

Ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali.

– Wiesz, co ona robi, Bracken? Wstaje od twojego stołu i idzie prosto do jego łóżka. Zabierając ze sobą twoje przekłete róże.

Wtedy Bracken go uderzył, zamachnął się i tak mocno walnął Burgessa w brodę, że ten bezwładnie runął do rynsztoka. Bracken stał nad leżącym, gotów to powtórzyć.

Burgess pomacał się po brodzie, po czym zdołał się uśmiechnąć, mimo że czuł pękniętą wargę.

– To nic w porównaniu z tym, co zrobią tobie, Bracken, gdy odkryją ten twój miłosny trójkącik. Przypuszczam, że spiorą cię jak cholera. Ale to będzie dziecięca igraszka, biorąc pod uwagę to, co zrobią

z twoją karierą. I z karierą pana Churchilla. Wszystko przypadnie, dlatego że zainteresowałeś się niewłaściwą spódniczką.

Stopa oddaliła się, gotowa wykopać z niego te obelgi, lecz nagle w pamięci Brackena coś zaskoczyło. Szwed w towarzystwie Anny i Joego Kennedy'ego na kolacji, podczas której poznał Annę, oraz ich późniejsze spotkanie w parku. Kennedy nazwał Szweda człowiekiem mającym liczne kontakty – Chryste, przecież wtedy właśnie wracali z pałacu. A Anna była tak wyraźnie, denerwująco zawstydzona.

– Skąd wiesz o Annie?

– Bo wiem o Svenssonie.

– To szpieg?

Burgess ostrożnie podźwignął się na nogi, nadal rozcierając brodę.

– Trudno im będzie to udowodnić. W końcu nie zrobił niczego więcej niż ty, po prostu powtarzał plotki. Ale ty wiedziałeś, że to wcale nie są plotki, wiedziałeś, że to tajemnice państwowe. A mimo to je przekazałeś. Anna Fitzgerald szeptała ci słodkie puste słówka, a ty... no cóż, ty szeptałeś jej o wszystkim. Znacznie łatwiej będzie im oskarżyć ciebie.

– Ale, ale...

– Wiesz, co robią, Bracken? Dojdą do wniosku, że jesteś albo głupcem, albo zdrajcą. Będą węszyć, szukając w twojej przeszłości czegoś, co mogło cię skłonić do zwrócenia się przeciwko nam, przeciwko Anglii. Czegoś, co ukrywałeś przez te wszystkie lata.

Irlandzkie policzki Brackena, które dotąd płonęły pod wpływem udręki, nagle zmroził lód.

– Jeśli odkryją, że masz przed nimi tajemnice, że zmyślasz i zacierasz ślady, uznają cię za zdrajcę. Jeśli nie, będziesz po prostu kolejnym zadurzonym głupcem, który dał się podpuścić znacznie

młodszej kobiecie i przypadkiem stał się odpowiedzialny za wojskową katastrofę w Norwegii. Och, czy Chamberlain nie byłby zachwycony, mogąc to przypisać komuś innemu? Komuś tak bliskiemu panu Churchillowi?

– Nie mówisz poważnie.

– Śmiertelnie poważnie.

– Nie wierzę ci – szepnął Bracken.

– Więc dlaczego nadal tu stoisz? A może mam ci powiedzieć, kiedy odbyło się ostatnie spotkanie panny Fitzgerald i Svenssona? W hotelu Hyde Park niespełna tydzień temu. Spędzili tam noc i sporą część poranka. Na gałce u drzwi dyndała duża tabliczka z napisem „Nie przeszkadzać”.

Usta się poruszyły, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Burgess jeszcze raz zyskał przewagę, lecz tym razem w jego głosie zabrzmiała nuta współczucia.

– To było tej nocy, gdy po raz ostatni się widzieliście, prawda?

Powoli ukształtowały się słowa:

– Chcesz mnie zniszczyć.

– To dość zabawne, Bracken, ale zamierzam cię uratować. Dlatego że tylko w ten sposób mogę uratować pana Churchilla. Jeśli ty pójdziesz na dno, on pójdzie na dno za to, że był tak ogromnym przeklętym głupcem, by się z tobą zaprzyjaźnić. Dlatego muszę się z nim zobaczyć. Koniecznie. Natychmiast.

– Ale nie możesz. Jest na posiedzeniu Rady Ministrów.

– O mój Boże! – zawołał Burgess zduszonym głosem, jakby znowu dostał cios. – W takim razie jest już chyba za późno. Jednak musimy spróbować.

Pobiegli ulicą w stronę parku i ciągnącej się za nim Downing Street. Nagle Bracken się zatrzymał.

– Zaczekaj! – zawołał.

– Nie ma czasu.

– To go znajdź. – Bracken wpatrywał się w niego ze złością, wszelkie ślady udręki zniknęły. – Skąd o tym wszystkim wiesz, do cholery? Kim ty jesteś, Burgess? Czym ty jesteś?

Burgess tylko na niego patrzył, nadal dysząc z wysiłku.

– Powiedziałeś: albo zdrajca, albo głupiec. A ty nie jesteś żadnym pieprzonym głupcem, Burgess, o nie.

Stali oko w oko, mężczyźni podobnego wzrostu i z włosami, wśród których panowały te same prawa chaosu.

– Zdrajca chcący uratować pana Churchilla? – spytał Burgess. – Dziwna definicja zdrady.

– Skąd w takim razie wiedziałbyś o Svenssonie? O Annie? O mnie? Jeśli nie...

Burgess został zmuszony do odsłonięcia kart. Skończyły mu się wymówki i wyjaśnienia. Poza tym rozpaczliwie się bał, że może nie zdążyć.

– Chryste, Burgess, ty nie jesteś zwykłym pedziem, tylko taką samą kreaturą jak Svensson, prawda? Ale po której stronie działasz? – I powoli, gdy przez jego skołatany umysł zaczęły się przetaczać wspomnienia wieczornych rozmów o zaletach Rosji, uśmiech zaczął wytyczać ścieżkę na twarzy Brackena, wykrzywając ją przy tym. – Och, chyba się domyślam po której. Prawda, komisarzu?

– Jestem Anglikiem, Bracken. Angielskim jak mało kto na tej ziemi.

– Jesteś komunistą.

- To nie ja zdradziłem tysiące brytyjskich żołnierzy. Nie zapominajmy o tym, dobrze?

I uśmiech zniknął.

- Niczego nie możesz udowodnić.

Nagle Burgess zaczął się drwiąco śmiać.

- Niczego nie możesz udowodnić! - powtórzył Bracken, udając pewność siebie, lecz oczy Burgessa były zimniejsze i trzeźwiesze, niż Bracken kiedykolwiek widział.

- Bracken, nie rozumiesz, jakie to wszystko jest niedorzeczne? Żaden z nas ni cholery nie może niczego udowodnić. Możemy obrzucać się nawzajem oskarżeniami, ale niczego nie zdołamy udowodnić, do diabła. Przyznaję, mam przyjaciół w pewnych dość podłych miejscach - tyle na mnie masz i pewnie mógłbyś to wykorzystać, żeby zagwarantować mi wyjątkowo uciążliwe życie. Lecz daleko mu będzie do tego, co mogę obiecać tobie, jeśli zostanę zmuszony. Bo właściwie co masz przeciwko mnie? Rosję? Nie toczymy wojny z pieprzoną Rosją! Chcemy mieć w niej sojusznika, chcemy jej po swojej stronie - Winston Churchill od miesiący mówi o tym w radiu. Nie, mną się za bardzo nie przejmą. Do diabła, jeśli jestem choć w połowie tak dobrym przyjacielem Rosji, jak przypuszczasz, mogą nawet uznać, że się przydam. Podczas gdy ty... Ty masz krew na rękach, panie Bracken. Brytyjską krew. Dla ciebie też mogą znaleźć wiele zastosowań, ale żadne z nich nie pozwoli ci spać w nocy.

Bracken pokręcił głową.

- Bez względu na to, jak bardzo mnie nienawidzisz, Bracken, siedzimy w tym obaj. O tak. Jesteśmy czymś w rodzaju drużyny. Związani ze sobą jak diabeł i jego ogon. I obaj możemy smażyć się

w piekle, ale tylko razem. Bo jeśli pójdę na dno, koniecznie będę chciał zabrać cię ze sobą.

– Grozisz mi jak jakiś nędzny osiłek.

– Obudź się, Bracken! Tu nie chodzi o ciebie i o mnie. Chodzi o świat, który oszalał i chce się unicestwić, o świat, w którym ty i ja nie liczymy się bardziej niż szczanie w parku. Mamy wybór, możemy to naprawić. Możemy tu teraz stać i zarzucać sobie wzajemnie brak wszelkich cnót, gdy świat dąży do samozniszczenia – albo wykorzystać jedyną szansę, jaką dostaniemy, żeby temu zaradzić.

– To znaczy?

– Ocalić pana Churchilla. Potem możemy usiąść przy skrzynce szampana i rozmawiać o swoich niedoskonałościach, aż obaj się zestarzejemy. Ale na razie – o ile nie czujesz jakiegoś nienaturalnego pragnienia, żeby stanąć w kolejce do najbliższego szafotu – chciałbym zasugerować, żebyśmy coś w tej sprawie zrobili.

I znowu biegli, pędząc przez Pall Mall, do parku i ku Downing Street.

Dwadzieścia po czwartej. Dziesięć minut do posiedzenia rządu.

– Mówi pani, że pan Attlee jest w pociągu? – pytał Wilson, trzymając przy ustach bakelitową słuchawkę.

Sekretarka na drugim końcu linii usiłowała mu to wyjaśnić.

– Telegram? Nie dostaliśmy żadnego telegramu – upierał się Wilson. – Na litość boską, jakiego rodzaju operacją wy tam kierujecie?

Sekretarka miała ochotę powiedzieć, że ona nie kieruje żadną operacją, a Partia Pracy podczas konferencji jest zarówno fizycznie, jak i z racji usposobienia niezdolna do, jak to ujął, „kierowania” czymkolwiek, bez względu na to, jak wielu starań dokładało w tym

celu szefostwo, lecz wyczuła, że rozmówcy nie interesują szczegóły demokracji.

– Jest tam ktoś, z kim mógłbym porozmawiać? – spytał Wilson, jakby ona była nikim.

Wszyscy poszli do Winter Gardens na konferencję. Zaproponowała, że tam pobiegnie i do niego oddzwoni.

– Ile to pani zajmie?

Trzydzieści minut, jeśli się pospieszy.

– Ale mamy tylko dziesięć! Co mam powiedzieć premierowi? Nie wie pani, co było w telegramie pana Attlee?

Na drugim końcu linii nastąpiło wahanie.

– Jeśli pani wie, to, na litość boską, musi mi pani powiedzieć – nalegał. – Chyba pani rozumie, że trwa wojna.

Cisza.

– Proszę...

Ach, magiczne słowo. Nareszcie. No cóż, o telegramie nic nie wie, jego treść zależała od pana Attlee. Ale napisała na maszynie komunikat prasowy i zrobiła sto kopii, które miała rozdysponować wieczorem. Leżały obok niej. Uznała, że nie stanie się nic złego, jeśli powie Wilsonowi, czego z grubsza dotyczą. Jednogłośnie decyzji krajowego komitetu wykonawczego o pełnym partnerstwie w ramach nowego rządu.

– Tak...

Pod kierunkiem nowego premiera.

Ach, więc jednak. Na pierwsze pytanie – nie. Za to na drugie odpowiedzieli twierdząco. Wilson odłożył słuchawkę bez podziękowania i innych formalności.

Chamberlain stał obok niego. Wilson podniósł głowę.

- Tak jak się spodziewaliśmy, Neville'u.

Chamberlain wolno pokiwał głową.

- Czy to by cokolwiek zmieniło? Gdyby zdecydowali inaczej – drażnił Wilson.

Chamberlain wydawał się nieobecny. Przez chwilę stał wyprężony, napinając ramiona.

- Nigdy się nie dowiemy – odrzekł. Potem sięgnął po cienką teczkę i pomaszerował do gabinetu.

- Przykro mi, sir, posiedzenie już się zaczęło. Pięć minut temu. Nikomu nie wolno wchodzić.

- Na litość boską, człowieku, jestem osobistym sekretarzem parlamentarnym pana Churchilla.

- Doskonale wiem, kim pan jest, panie Bracken. Ale nie jest pan członkiem gabinetu i bez względu na to, jak głośno będzie pan na mnie krzyczał i jak bardzo będzie wymachiwał rękami, nie mogę pana wpuścić.

Portier z Downing Street był nieugięty i uparcie zagradzał im drogę prowadzącą do gabinetu Rady Ministrów.

- Ja... my... mamy wiadomość dla pana Churchilla – wtrącił się Burgess. Specjalnie mówił bardziej pojednawczym tonem, lecz efekt psuła rozcięta i świeżo spuchnięta warga. - Ta wiadomość ma ogromne znaczenie dla sprawy, o której właśnie dyskutują. Z pewnością może pan...

- Pan wybaczy, sir – odrzekł portier, spoglądając ze zdumieniem na rozmemłanego i zdyszanego nieznajomego z naderwaną nogawką – ale szczerze w to wątpię. Tak się składa, że wiem, iż w programie posiedzenia jest tylko jeden punkt, i że chodzi o sprawy personalne. Niemniej nie wolno mi przekazywać żadnych dokumentów.

- Ale to... - Niemożliwe. To katastrofa. Koniec wszystkiego. Zrozpaczony Burgess odwrócił się i ujrzał inną zdenerwowaną postać, która właśnie przekraczała próg. Był to Kingsley Wood.

- Nie mam czasu, nie mam czasu, jestem spóźniony na posiedzenie - powiedział uparcie, gdy Bracken próbował go zatrzymać, lecz Burgess zdecydowanie stanął mu na drodze i najwyraźniej nie zamierzał go przepuścić.

- Musi pan to przekazać panu Churchillowi. Proszę - nalegał Burgess. Z wypchanej kieszeni marynarki wyjął książkę.

- A to co, u diabła?

- To książka pana Churchilla, część jego dawnych przemówień - odrzekł Burgess, migając mu przed oczami okładką. - W środku są słowa, które wydawały mu się bardzo ważne w kontekście tego posiedzenia. Zapomniał jej zabrać, pytał, czy nie moglibyśmy mu jej przynieść...

„Jeśli kiedykolwiek będzie mnie pan potrzebował, niech mi pan przyśle tę książkę. Będę pamiętał naszą rozmowę...”

W zamierzeniu miało to tylko pomóc Burgessowi przejść obok portierni w klubie i wywołać Churchilla z lunchu, lecz teraz mogło posłużyć do innego celu. Zdumiony Wood ze zniecierpliwieniem pokręcił głową, urażony tym, że prosi się go o bycie chłopcem na posyłki Winstona. Po zastanowieniu uznał jednak, że być może jest to lepszy los niż bycie barankiem ofiarnym Neville'a. Chwycił książkę i ruszył w stronę drzwi.

Chamberlain siedzi na swoim krześle - jedynym krześle przy stole w gabinecie, które ma podłokietniki - i zaczyna drobiazgowo przygotowania. Przesuwa - nie więcej niż o pół cala - srebrny kałamarz należący niegdyś do Gladstone'a, równo układa leżącą przed

nim teczkę, przygląda wilgotnymi dłońmi sukieny obrus. Ostatnia inspekcja sali, jedno przeciągłe spojrzenie. Wszystko jest gotowe, nawet jeśli on nie jest gotowy i nigdy nie będzie. Skinięciem głowy daje znak stojącemu obok drzwi sekretarzowi gabinetu.

Wchodzą przygaszeni, nie słysząc typowych uprzejmości, spoglądają na niego i szybko szukają swoich miejsc. Winston siedzi jako drugi po jego lewej stronie – gdyby surowo przestrzegano hierarchii, znajdowałby się u jego boku, lecz Chamberlain nigdy nie zniósłby go w tak bliskim sąsiedztwie i już na początku znalazł jakiś konstytucyjny pretekst, żeby od pierwszego lorda oddzielała go przynajmniej jedna osoba. Jedno miejsce nadal jest puste – Kingsley Wood jeszcze się nie zjawił, niech go szlag, bez wątplenia zatrzymały go wojenne huki dobiegające zza kanału La Manche. Reszta w milczeniu zajmuje miejsca, czekając na znak Chamberlaina. Na kominku za nim zegar wybija wpół do piątej.

– Panowie, dziękuję za przybycie. Przepraszam, jeśli przeszkodziłem wam... – zamierza powiedzieć „w lunchu”, wie, że Winston był na lunchu, widzi to w jego załzawionych oczach – w obowiązkach. Obawiam się jednak, że dziś po południu ważniejsze muszą być moje obowiązki jako premiera.

Mężczyźni przy stole poruszają się z zakłopotaniem.

Chce mówić dalej, lecz nagle drzwi gwałtownie się otwierają i do środka wpada Kingsley Wood z przeprosinami.

– Proszę o wybaczenie, panie premierze. Bardzo mi przykro. Pilne obowiązki...

Chamberlain protekcjonalnie kiwa głową i Wood zajmuje miejsce. Trzyma coś w ręku – książkę, którą przesuwa po brązowym obrusie

w stronę Churchilla. Pierwszy lord gwałtownie się prostuje, jakby obudził się z drzemki, ale nic nie mówi.

– Panowie! – Chamberlain jeszcze raz przywołuje ich do porządku, poirytowany tym, że mu przeszkodzono. – Zaraz po tym posiedzeniu udam się do pałacu, by złożyć dymisję na ręce Jego Królewskiej Mości.

Rytualne pomruki żalu, lecz nie zdziwienia. Wszyscy wiedzą, co się dzieje. Tymczasem Churchill otworzył książkę. Szlag by go trafił! Co on sobie wyobraża?

– Wszyscy wiecie, że nie tego bym sobie życzył – ciągnie Chamberlain – ale wydarzenia domagają się usunięcia aktualnych wątpliwości co do przyszłego kierunku rządu. Mój zapał, mój entuzjazm wobec zadań związanych z funkcją pierwszego ministra Jego Królewskiej Mości pozostają niezmienione... – (albo raczej pozostaną, gdy trochę odpocznę, gdy będę miał szansę powalczyć z tym przeklętym wrzodem, który tak bardzo mi dokucza) – i chciałbym myśleć, że moja służba na rzecz kraju nie dobiegła jeszcze końca... – (ba, dam wam trochę czasu, panowie, kilka miesięcy, żebyście narobili beze mnie bałaganu, i może ponownie zasiądę na tym krześle). – Mam jednak wobec was pewne zobowiązania, a za waszym pośrednictwem wypełniam także zobowiązania wobec całego kraju. Jestem premierem prawie od trzech lat, w tym czasie przeszliśmy wiele ciężkich prób i przewyciężyliśmy liczne problemy. Jak wszyscy wiecie, z tym stanowiskiem wiąże się ogromna odpowiedzialność...

Churchill już jednak nie słucha. Nie ma pojęcia, dlaczego podczas tego posiedzenia nad posiedzeniami podsunęto mu książkę, jego własną, i nie jest w nastroju na tajemnice. Stara się nie zwracać na nią uwagi, ale odchyła okładkę i odkrywa dedykację, którą sam napisał.

Burgessowi. Dlaczego, och dlaczego, zjawił się tu ten człowiek? I to właśnie teraz. W jakim celu? Niech go cholera.

Chamberlain mówi monotonnym głosem, że nie może ustąpić ze stanowiska i nie skorzystać z okazji, by osobiście im wszystkim podziękować za to, co dla niego zrobili. Niektórzy z obecnych mają wrażenie, że jego wdzięczność jest nieco ironiczna, wręcz złośliwa. Do tych osób należy Churchill, który stracił już jednak zainteresowanie przemówieniem premiera. Między stronami książki znalazł dwie kartki złożone na pół. W tych okolicznościach nie potrafi im się oprzeć.

Chamberlain mówi o obowiązku, który musi jeszcze wypełnić: o doradzeniu królowi, kogo powołać na stanowisko premiera. Wokół stołu przetacza się szmer wyczekiwania, lecz Halifax siedzi z kamienną twarzą i pochyloną głową, jakby spodziewał się wieńca laurowego. Churchill czyta.

– Robiłem, co w mojej mocy – mówi Chamberlain – i mam obowiązek przekazać olbrzymie brzemie tego urzędu komuś, kto, dobrze o tym wiem, jest bardziej godny i zdolny je nieść...

– Panie premierze!

Podniesiony głos. Wszyscy z oburzeniem wciągają powietrze. To potworne, że Chamberlainowi przerywa się mowę pożegnalną. Patrzą oskarżycielsko. To Churchill.

– Wiem, że to niewybaczalne przeszkadzać panu w takiej chwili, lecz obawiam się, że mógłby pan zakończyć to posiedzenie w typowy dla siebie skromny i pokorny sposób, nie pozwalając nikomu z nas wyrazić tego, co tak żarliwie chcemy wyrazić. Czyli naszej wdzięczności.

Churchill wstaje. Nikt nie wstaje, przemawiając w gabinecie, ale Winston zawsze lubił oburzająco dramatyzować, a przecież to posiedzenie jest inne niż wszystkie pozostałe. Jeśli uparł się złożyć hołd – a któż zrobiłby to lepiej? – niech mówi.

Wstając, przesuwa w stronę Chamberlaina dwie kartki.

– Miałem zaszczyt służyć wielu premierom – wspomina Churchill – zarówno w czasie wojny, jak i w czasie pokoju. Pan jednak, sir, jest wyjątkowy i pod względem zamaszystości wizji, i pod względem determinacji, z jaką dążył pan do osiągnięcia swoich celów. A pańskim największym celem jest oczywiście pokój. – Nie przygotował się, improwizuje, lecz właśnie tego oczekuje się w takich chwilach, gdy zabójcy gromadzą się nad ciałem, by wychwalać cnoty ofiary.

Chamberlain czyta. Nikt tego nie zauważa, oczy wszystkich skupiają się na Churchillu, który sławi prawość ich upadłego przywódcy.

– Żaden naród nie przystępował do bitwy z większymi oporami, zrobiwszy tak wiele, by zapewnić pokój, i zdobywszy w oczach całego świata pozycję, której niczego nie można zarzucić. W naszej wspólnocie narodów nigdy jeszcze tak wielu nie zawdzięczało tak wiele tylko jednemu człowiekowi. – Po chwili Churchill dochodzi do wniosku, że to niezręczne sformułowanie, ale lepiej go teraz nie prostować.

Chamberlain podnosi wzrok, odrywa go od kartki niczym mięczaki od skały. Już wie.

Już po pierwszej kartce wie, że mały brytyjski koncern o nazwie Chiltern Investments ma udziały w zagranicznych przedsiębiorstwach. Wśród tych przedsiębiorstw jest kilku największych niemieckich producentów stali i broni – Blohm und Voss, Daimler-Benz, Junkers,

Krupp i Messerschmitt. Pojedynczo nie są olbrzymie, lecz razem tworzą kuszące portfolio. Na ponurą ironię zakrawa fakt, że jednym z przedsiębiorstw, w których Chiltern

Investments figuruje jako udziałowiec, jest Mauser Works z Oberndorfu, producent karabinów, które usiłował kupić Churchill.

Druga kartka wyjęta z książki Burgessa jest nieco grubsza. To fotokopia. Aktu ustanowienia spółki o nazwie Chiltern Investments. Współwłaściciele to H. Wilson i J. Ball.

Którzy stali się katami Chamberlaina.

Jego oczy wypełniły się poczuciem zdrady i wspomnieniami chwil, w których Wilson i Ball zaciekle przeciwstawiali się podatkowi od zysków dla brytyjskich producentów broni. Kazał im poszukać alternatywy. Najwyraźniej ją znaleźli.

Cały zdrętwiał, pomijając tę część żołądka, w której ból przecina go niczym nierówny nóż. Dopiero po jakimś czasie zaczynają do niego docierać słowa wylewające się z ust Churchilla.

– ...ci, którzy z panem służyli, znają pańską odwagę. Znają pańskie oddanie. A nade wszystko znają pańskie poczucie publicznego obowiązku, przekazywane z ojca na synów, które od dawna rozświetlało wspaniałe nazwisko Chamberlain i nadal będzie to robić, dopóki ja będę miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia.

Co? Co on mówi? Dobrze imię mojej rodziny... w jego rękach?

– Reputacja to krucha rzecz. W naszym nowoczesnym i bezlitosnym świecie taka reputacja jak ta rodziny Chamberlainów budzi zazdrość gorszych ludzi – ludzi zawsze gotowych rzucić kamieniem i skalać to, co wspaniałe.

Czy on mnie chwali... czy może próbuje zastraszyć?

– Pan jednak, panie premierze, może odejść dziś ze stanowiska, nie tylko mając naszą wdzięczność i – jeśli wolno mi użyć takich słów – naszą miłość, lecz także spokojny o to, że pańskie miejsce w annałach naszego kraju ugruntują jeszcze dziś nie tylko pańskie zasługi, ale też zasługi tych, których zabrał pan w tę wspaniałą podróż.

Chamberlain już wie. Dla innych brzmi to najwyżej jak wybuch emocji, być może podsyconych dobrym lunchem, lecz Chamberlain wie, że chodzi o coś więcej. Słowa użyte przez Churchilla nie padły przez przypadek. To ostrzeżenie i potworna groźba.

– Proszę naszych kolegów o jeszcze chwilę pobłażliwości, ponieważ chcę zakończyć całkowicie osobistym akcentem. Nikt nie żyje w odosobnieniu. Żyjemy otoczeni innymi ludźmi...

Znowu to samo, powiedział to tak głośno, że tylko najpodlejszy głupiec mógłby nie zrozumieć.

– Wielki Cezar kroczy wraz z wieloma żołnierzami, więc chciałbym z tego miejsca podziękować, że mogę tu z panem być, i wyrazić nadzieję, że to, co nam pan dał, wróci do pana stukrotnie pomnożone. Pragnę też zapewnić, że składane panu hołdy zawsze będą sławiły wielkie nazwisko Chamberlain.

Większość obecnych ma wrażenie, że Churchill przesadził w swych retorycznych gestach, lecz peany są stworzone nie z kropelek emocji, ale z całych ich olbrzymich wiader, i nawet jeśli zaleją salę, nikt nie będzie narzekał. Gdy Churchill siada na miejsce, z aprobatą uderzają rękami w stół, aż zaczynają ich szczypać dłonie. W uszach Chamberlaina brzmi to jednak jak bicie w bębny w drodze na miejsce egzekucji.

– Czy nic nie da się zrobić, panie Chamberlain? – spytał król, jak zwykle urywanym głosem, wyraźnie zdenerwowany.

– Obawiam się, że nie, sir.

– Miałem nadzieję...

– Że to będzie Edward. Tak, to wspaniały człowiek. Ale nie nadaje się na tę wojnę. To potworny i straszny konflikt, który, jak się obawiam, unurza Europę we krwi. Walkę musi podjąć człowiek znający się na takich sprawach.

– Rozumiem.

– Edward także.

Król wstał, nie było sensu przedłużać audiencji. Chamberlain spojrział przez wysokie okna na plac przed pałacem i balustradę, gdzie zaledwie dwadzieścia miesięcy temu dziesiątki tysięcy osób tworzyły tłum ciągnący się jak okiem sięgnąć, by oklaskiwać go jako swojego zbawcę. Teraz nie było tam nikogo, widział jedynie worki z piaskiem i kolor khaki.

– Myślę, że pańskie otoczenie potraktowało pana niezwykle okrutnie – podsumował król.

– Być może – przyznał Chamberlain. – Najwidoczniej jednak ostatecznie człowieka sędzi się po dokonaniach tych, którymi się otacza.

Zadzwoił telefon. Był to osobisty sekretarz króla. Polecił Churchillowi stawić się w pałacu o szóstej. Churchill nie był pewny zwycięstwa, dopóki nie odłożył słuchawki.

Tego dnia Clemmie wróciła wcześniej od umierającego szwagra i mogła pomachać mężowi na pożegnanie. Podróż z Admiralicji do pałacu Buckingham miała potrwać najwyżej dwie minuty i Churchill także zauważył brak tłumów. W wielu zakątkach Whitehallu wyczuwało się jednak wyraźny żal. Później słyszał, że w Ministerstwie Spraw Zagranicznych otworzono szampana, żeby wznieść toast nie za

nowego premiera, lecz za starego. Nazywali Chamberlaina królem na drugim brzegu.

Ale Churchill nie przejmował się takimi sprawami. W zasadzie czuł jedynie ulgę. Kryzys, z którym miał się teraz zmierzyć – z którym mieli się zmierzyć oni wszyscy – był wyzwaniem, którego łąknął przez całe dorosłe życie i które miało odsunąć na bok nieistotne pozy. Wypełniał swoje przeznaczenie, a reszta, jeśli chciała, mogła pójść za nimi.

Jego ochroniarz, inspektor Thompson, zatrzymał na chwilę samochód.

– Chcę się upewnić, że pan Chamberlain już wyszedł, sir. Nie wypadaloby, żeby się panowie minęli: pan wchodząc, zanim on zdąży dobrze wyjść.

– Racja. W takich chwilach trzeba robić to, co wypada, Thompson.

Churchill milczał, czekając na tylnym siedzeniu samochodu i myśląc o Chamberlainie. O człowieku, który walczył tak zaciekle, z takim zaangażowaniem i pasją, a mimo to ostatecznie poległ. O tym, że prawie wszyscy premierzy kończyli w ten sposób: wycięci, wykłuci, wydrapani, wykopani, wywleczeni ze stanowiska. A on najprawdopodobniej podzieli ich los. Pozostawało tylko pytanie kiedy.

Do oczu napłynęły mu łzy. Nigdy nie zazna drugiej takiej chwili, chyba że jakimś cudem zdoła wyjść zwycięsko z tragedii, która rozgrywała się za kanałem La Manche i już wkrótce miała dotrzeć na drugą stronę. To była chwila, którą mógł się delektować, w której mógł zamieszać w palecie barw i rzucić je na niezwykle płótno życia, nawet jeśli w końcu miałby zostać postawiony pod ścianą i zastrzelony. Przynajmniej będzie miał co powiedzieć ojcu, gdy znowu się spotkają.

Przyszła pora. Thompson wsiadał z powrotem do samochodu.

- Chciałbym panu pogratulować, sir – powiedział inspektor, kiedy samochód ruszył po żwirze Horse Guards Parade.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Zasłużył pan na to.

- Nie, Thompsonie, obawiam się, że nie. Ale mam nadzieję, że zasłużę, gdy ta okropna ciężka próba dobiegnie końca.

Ball nie był głupcem. Jego czas się kończył, ale nadal mógł zdecydować, jak odejdzie. Wiedział, że jeśli teczka, którą zostawił na Downing Street, przeznaczona dla oczu premiera, wpadnie w ręce Churchilla, stary postara się, żeby jego odejście było najbardziej bolesne, jak to możliwe. Lepiej odejść cicho i w jednym kawałku.

Na Downing Street nie był to dzień zajmowania się papierkową robotą. Teczka leżała nieotwarta. Zanim Churchill wrócił z pałacu, Ball dopilnował, by została usunięta i zniszczona. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że grzebał w prywatnych dziennikach nowego premiera.

Służby wywiadu miały podobny dylemat. Nie było przecież żadnego rozstrzygającego dowodu, że pieniądze Churchilla pochodziły z Moskwy, a nawet gdyby pochodziły, wcale nie musiały być nielegalne. Węszenie wokół jego konta w banku trudno byłoby uznać za najlepszy sposób na zrobienie wrażenia na nowym premierze, zwłaszcza na takim, który słynął z porywczosci. Dlatego teczka z żółtą etykietką także zniknęła.

Na biurku Wilsona została jedynie teczka z osobistą historią choroby Neville'a Chamberlaina. W końcu zgodnie z instrukcją odnalazła drogę do premiera. Churchill przeczytał jej zawartość kilka dni później, nadrabiając zaległą papierkową robotę. A zatem wieści o stanie zdrowia Chamberlaina, które przyniósł mu Burgess, dotarły do Moskwy...

- Brendanie, co tak naprawdę sądzisz o Burgessie?

Bracken odwrócił się, przerywając nalewanie drinków.

- Dziwny człowiek. Może nie jest taki zły, jak początkowo myślałem. Ale ma w sobie coś, co mnie... zastanawia. Długość jego ręki. Bardzo długiej ręki.

- Zgadza się - powiedział stary, podpisując się inicjałami pod notatką i rzucając ją na stos innych.

Mac dokuśtykał do frontowych drzwi w Chigwell. Niósł mały bukiet kwiatów.

Carol tylko przez chwilę wyglądała na zaskoczoną.

- Witaj, nieznajomy. Co tu robisz?

- Przysłał mnie pan Burgess.

Jej twarz ledwie zauważalnie stężała.

- Czego chce? Nie mogę mu więcej dostarczać papierów, naprawdę. Już nie zajmuję się sprzątaniami.

- Nie, nie to miałem na myśli. Chodzi o to, że... No cóż, wczoraj go strzygłem i rozmawialiśmy. Był bardzo zmartwiony.

Padał lekki deszcz, tworząc na jego włosach połyskliwą warstwę wilgoci, ale nie wykonała żadnego gestu, by zaprosić go do środka.

- Płakał. Prawdziwymi łzami. No więc spytałem, dlaczego tak bardzo się wszystkim przejmuje. Powiedział, że nie przejmuje się wszystkim, że jedyne, co kochał, to ten kraj. Widzisz, on nie ma rodziny, mówi, że nigdy nie będzie jej miał, i brakuje mu tego. No więc ma tylko swój kraj.

- Ten pan Burgess sprawia wrażenie miłego człowieka. Troskliwego. Chciałabym go poznać.

- Chodzi po prostu o to, że... ja nie mam swojego kraju, nie w takim sensie, w jakim ma go pan Burgess. Dlatego zacząłem się

zastanawiać, na czym mi zależy – albo na czym kiedykolwiek mi zależało. I doszedłem do wniosku, że tylko na jednym. Na tobie. Dlatego tak bardzo zdenerwowała mnie myśl, że jesteś z innymi mężczyznami. Ponieważ się zmieniłem, wreszcie naprawdę mi na czymś zależy... I to twoja zasługa. Więc...

– Więc od nas odszedłeś.

– Carol, chcę ci powiedzieć, że bardzo mi na tobie zależy – na tobie i na dzieciach. Przepraszam, że byłem zły. Z powodu Market.

– Nie pracuję już w Shepherd Market. Nie sprzątam i nie mam klientów. Teraz jest mnóstwo roboty. Trwa wojna.

Rozpromienił się.

– To cudownie, Carol. Tak się cieszę.

– Ja też.

– Co u dzieci?

– Już śpią.

– A... u ciebie?

– Trochę jak u pana Burgessa. Dużo myślałam. I płakałam. Z powodu tego, na czym mi zależy.

– Przykro mi, jeśli...

– Tobie? No tak, muszę przyznać, że byłam trochę przybita. Ale od tamtego czasu minęły już cztery miesiące, Mac.

– Chciałbym ci to wynagrodzić. Jeśli mi pozwolisz. – Podszedł do samego progu, unosząc kwiaty. Burgess mówił, że powinien przynieść kwiaty, nalegał. Nic wymyślnego, kilka łądzynek i mnóstwo szczerości. Zostawił nawet wyjątkowo duży napiwek na pokrycie kosztów.

– Przeprowadzamy się, Mac. Wyjeżdżamy.

– Ale dlaczego?

- Dlatego że podobnie jak ty i pan Burgess mam coś, na czym zależy mi bardziej niż na własnym życiu. Dzieci. Trzymanie ich w Londynie to za duże ryzyko, zwłaszcza teraz, kiedy trwa prawdziwa wojna.

- Ale nie wyjeżdżacie daleko...

- Do Somerset. Tam są tylko krowy. Nic, co pan Hitler chciałby zbombardować.

Przez chwilę milczał, ze zrozumieniem kiwając głową i modląc się w myślach - po raz pierwszy, szczerze, od ponad dwudziestu lat, od dnia, gdy patrzył, jak odpływa mały Moniek. - To wielka szkoda. Miałem nadzieję, że...

- No tak. Ja też.

- Dasz mi drugą szansę?

- Na wojnie nie ma drugich szans, Mac. Przykro mi.

Burgess uprzedzał, że nie będzie chciała przyjąć go z powrotem, nie po czterech miesiącach, ale musiał spróbować.

Wtedy zamknęła drzwi, przycinając kwiaty.

Mac postawił kołnierz i pokuśtykał w deszczu.

Epilog

W niezwyklejch okolicznościach i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu premierem został Churchill, a nie Halifax, i ta jedna decyzja zmieniła bieg historii. Gdyby Chamberlaina zastąpił Halifax, nie podjąłby walki, a Wielka Brytania by nie wygrała.

Nawet po dziesiątym maja sytuacja była jednak cholernie niepewna. Następnego dnia Jock Colville, pamiętny autor dzienników, który służył jako osobisty sekretarz zarówno Chamberlainowi, jak i Churchillowi, napisał: „Zdaje się, że Whitehall skłania się ku opinii, iż Winston okaże się kompletną pomyłką i Neville wróci [...]. Rzadko się zdarza, by premier obejmował urząd, gdy establishment ma tak wiele wątpliwości co do tego wyboru”.

Opinia Colville'a dawała Chamberlainowi wielką nadzieję. Dopiero pod sam koniec życia były premier wreszcie porzucił wiarę, że pewnego dnia może wrócić na Downing Street. Zimna szara ręka, którą czuł w swoim wnętrzu, nie była wrzodem, lecz uporczywą, nieuleczalną chorobą. Kilka tygodni po opuszczeniu Downing Street poddał się chirurgicznemu zabiegowi rozpoznawczemu, po którym przeszedł poważną operację jamy brzusznej. Okazało się, że to rak, którego nie udało się przezwyciężyć. 9 września 1940 roku napisał w swoim dzienniku: „Nie przywykłem jeszcze do nowego życia człowieka dotkniętego częściowym kalectwem. Wszystkie myśli, które mogły przychodzić mi do głowy w związku z dalszą aktywnością

polityczną, a nawet możliwością ponownego objęcia stanowiska premiera po wojnie, zniknęły”.

W październiku dowiedział się, że zostało mu już niewiele życia, i napisał: „To bardzo pomocne i pocrzepiające, bowiem perspektywa nieustannego czekania na koniec i codziennego zmagania się z takim nieszczęściem, jakiego teraz doświadczam, byłaby okropna. A tak wiem, co robić i nie będą mnie więcej dręczyły wątpliwości ani pytania”. Zmarł dziewiątego listopada, niespełna pół roku po odejściu ze stanowiska.

Halifax dalej pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych, lecz jego czas w centrum wydarzeń gwałtownie dobiegał końca. Sprzeciwił się Churchillowi nalegającemu, by Wielka Brytania walczyła bez względu na wszystko – Halifax, wierny swoim ugodowym korzeniom, wołał wynegocjowany pokój niż „krew, znoj, łzy i pot” oferowane przez Churchilla, i jeszcze przed końcem maja zagroził złożeniem dymisji. Churchill nie przyjmował jednak ani negocjacji z Niemcami, ani rozłamu w swoim rządzie. Zabrał Halifaxa na prywatny spacer w ogrodzie pod numerem dziesiątym. Porozmawiali jak mężczyzna z mężczyzną i Halifax zachował się jak prawdziwy angielski dżentelmen, którym w istocie był. Kryzys minął, podobnie jak okres urzędowania ministra spraw zagranicznych. Pod koniec 1940 roku Churchill wysłał Halifaxa za Atlantyk, by został ambasadorem w Stanach Zjednoczonych.

Sir Horace'a Wilsona spotkał okrutniejszy los. Gdy jedenastego maja przyszedł do swojego gabinetu, na sofie siedzieli Brendan Bracken i syn Winstona Randolph. Wpatrywali się w niego, lecz nie padło ani jedno słowo i żaden z nich się nie uśmiechnął. Wilson wyszedł i nigdy nie wrócił – oraz nigdy mu nie wybaczone. Jego rzeczy

wyrzucono w ślad za nim na korytarz. W 1942 roku jego służba dla rządu definitywnie dobiegła końca.

Drugi elf, Joseph Ball, wrócił do kariery w biznesie. Ostatecznie zdobył kontrolę nad koncernem przemysłowym Lonrho, który później sprzedał kontrowersyjnemu magnatowi Tiny'emu Rowlandowi, dawnemu członkowi Hitlerjugend.

Do innych los się uśmiechnął. Max Beaverbrook nie musiał długo czekać, by urzeczywistnić swoje marzenie o powrocie do rządu. Mimo energicznych i czasami podłych antywojennych kampanii barona prasowego Churchill zaproponował mu stanowisko ministra produkcji lotniczej. Odrzucając dawne poglądy i nawet się przy tym nie rumieniąc, gazetowy par osiągnął w tej dziedzinie niebywały sukces.

Tom Driberg, jego pracownik zatrudniony w redakcji „Expressu”, wkrótce pożegnał się z rolą Williama Hickeya, by zostać posłem, a w końcu także przewodniczącym Partii Pracy. Został również agentem KGB oraz jednym z najbardziej niesławnych homoseksualnych specjalistów od werbunku w swojej epoce – i to w epoce, gdy homoseksualizm zazwyczaj karano z pełną mocą prawa. Jego biograf napisał, że „każdy, kto miałby mniejsze wpływy, skończyłby w więzieniu, a Driberg dotarł do Izby Lordów”. Większość życia spędził w szalecie i umarł na tylnym siedzeniu taksówki, jadąc do parlamentu.

Bracken pozostał postacią, która z jakiegoś powodu zawsze żyła na krawędzi rzeczywistości, mimo że przez całą wojnę służył lojalnie jako minister informacji, a w końcu jako pierwszy lord Admiralicji. Wiedział jednak, że sprzymierzając się z Burgessem, zawarł układ z diabłem, uniemożliwiając sobie dalszą karierę po zakończeniu wojny i rozpadzie sojuszu z Sowietami. Mogli go w każdej chwili

szantażować. Po 1945 roku nie sprawował już żadnego urzędu i w końcu odszedł na emeryturę jako poseł, stając się pierwszym (i ostatnim) wicehrabią Brackenem. Nigdy się nie ożenił i pod koniec życia był samotnikiem. Ostatnie lata poświęcił na wspieranie słusznych spraw ogromnymi kwotami pieniędzy, które zgromadził jako właściciel „Financial Times”. Umarł w 1958 roku, zostawiwszy instrukcje, by spalono wszystkie jego dokumenty.

Bob Boothby pozostał kochankiem Dorothy Macmillan i uważano go za ojca jej najmłodszego dziecka. Harold Macmillan o tym wiedział. W 1957 roku Macmillan, który okazał się o wiele bardziej bezwzględny, niż wielu mogło się spodziewać, został premierem. Rok później Boothby trafił dzięki niemu do Izby Lordów. Po śmierci Dorothy Macmillan – wtedy już niedomagający, po osiemdziesiątce i prawie ślepy – usiłował spalić olbrzymią liczbę listów w piecu ogrodowym. Kiepsko mu to wyszło i znaleziono go, gdy chwiejnym krokiem krążył po ogrodzie, goniąc za nadpalonymi kawałkami papieru. Okazało się, że były to listy miłosne Boothby’ego do Dorothy.

Leo Amery, jeden z niewątpliwych ojców sukcesji Churchilla, otrzymał chyba najokrutniejszy cios ze wszystkich. Jego syn John był żarliwym antykomunistą i przebywał we Francji, gdy ta wpadła w ręce nazistów. Później przez większość wojny prowadził antykomunistyczną krucjatę, próbując między innymi stworzyć brytyjską jednostkę do walki z Rosjanami. Nadał też kilka audycji z Berlina, apelując do Brytyjczyków, by zawarli pokój z Niemcami. Po wojnie aresztowano go i oskarżono o zdradę. Przyznał się do winy i został stracony w więzieniu Wandsworth sześć dni przed Bożym Narodzeniem w 1945 roku. Jego brat Julian był doświadczonym i bardzo szanowanym toryskim posłem.

Los Maca okazał się niezwykle przewrotny. W napiętej i czasami historycznej atmosferze tamtych czasów wiele osób wyrażało obawę, że w Wielkiej Brytanii może istnieć piąta kolumna, która tylko czeka, by wesprzeć nazistów podczas spodziewanej inwazji. Kilka dni po zostaniu premierem Churchill zarządził masową zbiórkę podejrzanych cudzoziemców i osób uważanych za politycznie niepewne. Mac dołączył do wielu tysięcy internowanych na mocy rozporządzenia 18B o uprawnieniach nadzwyczajnych. Spędził trzy tygodnie w obozie na wyspie Man, do którego wrzucono wielu żydowskich uchodźców razem z prawdziwymi nazistami, aż w końcu zainterweniował Halifax, ręcząc za jego uczciwość. Maca uwolniono i wrócił do Londynu, gdzie podczas zaciemnienia przejechała go i zabiła furgonetka rozwożąca gazety.

Pod koniec wojny Carol poznała amerykańskiego żołnierza i zamieszkała w Idaho.

Joseph Kennedy został pariasem i ostatecznie w listopadzie 1940 roku, tuż po rozpoczęciu bombardowania Londynu, przestał pełnić funkcję ambasadora. Był już wtedy powszechnie pogardzany za defetyzm – a także za tchórzostwo, gdyż miał skłonność do przeczekiwania nalotów na Londyn w „ziemiance” niedaleko Windsoru, zwykle w towarzystwie jakiejś francuskiej modelki. Przezywano go „Strachliwy Joe”. Gdy w końcu opuścił Anglię, zabrał ze sobą syrenę przeciwlotniczą, twierdząc, że zamierza ją zainstalować w Hyannis, by przyzywać do domu swoje żeglujące dzieci.

Reputacja Kennedy’ego ucierpiała jeszcze bardziej, kiedy w sierpniu 1940 roku odkryto, że z jego ambasady wyciekały najróżniejsze antybrytyjskie informacje, które potem trafiały do Niemiec. Wysoko postawionemu amerykańskiemu dyplomacie

postawiono zarzut szpiegostwa i wtrącono go do więzienia. Nikt nie wspominał o Annie, której pozwolono po cichu uciec z Wielkiej Brytanii.

Był jeszcze Guy Burgess. On nie zniknął po cichu. Kariera zawiodła go z BBC do SIS, a jeszcze później do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, skąd wysłano go do Stanów Zjednoczonych – przez cały ten czas był na usługach KGB. Nikt jednak nie może bez końca żyć na krawędzi. Zyskiwał coraz gorszą sławę z powodu pijaństwa i nieskrępowanego homoseksualizmu, aż w końcu wydalono go ze Stanów Zjednoczonych w atmosferze hańby i podejrzeń. 25 maja 1951 roku nagle zniknął w towarzystwie innego wysokiego rangą dyplomaty i przyjaciela z Cambridge, Donalda Macleana. Kilka lat później obaj pojawili się w Moskwie. Ich ucieczka wywołała ogólnoświatową sensację i zapoczątkowała trwające wiele lat polowanie na innych sowieckich szpiegów w brytyjskim establishmencie.

Najwidoczniej ktoś ostrzegł Burgessa, że interesują się nim władze, i żywo spekulowano, kim była osoba, która dała mu cynk. Takie informacje mogły pochodzić wyłącznie z bardzo wysokiego szczebla, lecz ani Churchill, ani Bracken, mogący wiele stracić wskutek takiej demaskacji, nigdy nie byli podejrzewani. Churchill, który zaledwie kilka tygodni po ucieczce Burgessa po raz drugi został premierem, ze wszystkich sił starał się zignorować cały epizod. Jock Colville napisał w swoim dzienniku: „Nie sądzę, żeby [Churchill] bardzo się tym interesował. Musiałem nawet naciskać, żeby zwrócił się do kancelarii rządu, by sporządzono notatkę w sprawie tego incydentu. Chyba po prostu uznał, że to młodzi dekadenci zepsuci alkoholem i homoseksualizmem”. Churchilla cieszyło, że upływ czasu zatarł ślady licznych przyjaźni i kontaktów, które Burgess nawiązał z bardzo

wieloma wpływowymi ludźmi – wliczając oczywiście samego Churchilla.

Burgess zmarł w Moskwie w 1963 roku, nadal nosząc muchę starego etończyka. Zgodnie z życzeniem zmarłego jego prochy wróciły do Wielkiej Brytanii i spoczęły na cmentarzu w Sussex.

Nie tylko on przeminął. Czechosłowacja, kraj, którego los stał się jedną z najważniejszych przyczyn wojny mającej rozprzestrzenić się na cały świat, nigdy się nie podniosła. Po kapitulacji Niemiec wpadła pod jarzmo komunizmu i odzyskała niezależność dopiero po upadku muru berlińskiego w 1989 roku. Wtedy przy pierwszej okazji zagłosowała za podzieleniem się. Dziś Czechosłowacji już nie ma.

Nie ma także imperium brytyjskiego, za które Churchill walczył całym sercem.

I nikt już nie wierzy w to, co piszą gazety.

Podziękowania

Wojna Winstona nie jest książką historyczną. To powieść, która jak przystało na dzieło literackie korzysta z pełni należnych jej swobód. Rzeczywistość bywa jednak równie apetyczna jak fikcja, więc starałem się jak najwierniej trzymać wydarzeń z dwudziestomiesięcznego okresu opisanego w tej książce.

Niektóre z tych wydarzeń są dobrze znane, inne mniej – spotkanie Churchilla i Burgessa w Chartwell, leżące u podstaw tak wielu wydarzeń przedstawionych w tej powieści, naprawdę się odbyło i Tom Driberg obszernie zrelacjonował je w swojej książce. Większość historii z tego okresu pomija jednak ten epizod, a zatem nie przypisuje mu żadnego znaczenia. Nietrudno zrozumieć dlaczego. Wiele dzienników i osobistych pamiętników z okresu appeasementu gruntownie wypatroszono po wojnie i gdy Burgess został zdemaskowany jako sowiecki szpieg, osoby mające ochotę wspominać jakiegokolwiek swoje powiązania z tym człowiekiem było równie trudno znaleźć jak orchidee w Hyde Parku. Churchill był jednym z wielu ludzi mających słuszne powody, by zapomnieć o swych relacjach z młodym producentem radiowym z BBC.

W źródłach historycznych są zatem luki, które starałem się wypełnić. Niewykluczone, że nawet najmniejsza ingerencja w fakty zdenerwuje osoby uważające się za poważnych historyków, lecz z drugiej strony mam nadzieję, że umyślne splecenie faktów i fikcji zaostrzy apetyt i pobudzi wyobraźnię wielu czytelników do tego

stopnia, iż zapragną podrażnić głębiej i przekonać się osobiście, co naprawdę wtedy zaszło.

Podobnie jak ja, mogą być zaskoczeni podobieństwem problemów, z którymi zmagał się wówczas Churchill, do tych które nękają nas przeszło siedemdziesiąt lat później – takimi jak to, czy w obliczu sił terroru lepsza jest ugodowość, czy konfrontacja, oraz to, czy polityk jest winien lojalność przede wszystkim swojej partii, czy swojemu sumieniu. Zwykle uważamy spin doktorów za bardzo niedawny wynalazek, lecz ci służący Neville’owi Chamberlainowi byli równie szkodliwi i niemoralni, jak ci otaczający wszystkich współczesnych premierów, a Anglicy chyba nadal usiłują określić swoje relacje z Europą i „złymi cudzoziemcami”.

Iluż dzisiejszych przywódców w Europie i Stanach Zjednoczonych wciąż powtarza jak echo smutne słowa Chamberlaina, że ich świat stanął na głowie z powodu „kłótni w jakimś dalekim kraju między ludźmi, o których nic nie wiemy”?

Badania związane z tą powieścią i pisanie jej dały mi większe poczucie spełnienia i sprawiły mi więcej przyjemności niż praca nad którąkolwiek z wcześniejszych książek, a u osób, które dostarczały mi wskazówek i inspiracji, zaciągnąłem wyjątkowo wielki dług. Laurence Marks i Maurice Gran, którzy zaprosili mnie na wyborowy lunch i zakończyli go nie do końca przeze mnie zapamiętanym, lecz niedającym mi spokoju wątkiem zaginionego telegramu, wprawili całe to przedsięwzięcie w ruch. Rob Shepherd, z którym koleguję się od wielu lat, pozwolił mi splądrować swoją rozległą wiedzę na temat tego okresu i w dużej mierze polegałem na jego wspaniałej książce *A Class Divided*. Joe Shattan to mój następny wielki przyjaciel, który w innym życiu mógłby być Makiem i to właśnie przede wszystkim z jego

powodu mogłem powołać tę postać do życia. Jestem też niezwykle wdzięczny Monty'emu Parkowi i Trumper's, temu wyjątkowemu zakładowi fryzjerskiemu dla dżentelmenów, który tak niewiele się zmienił od czasów Maca i w którym Monty od wielu lat utrzymuje najwyższe standardy.

Sue Graham, Carol Bell i Jeremy White wspierali mnie w bardzo szczególny sposób. Dzięki nim udało mi się zebrać wiele tysięcy funtów dla Spinal Injuries Association jeszcze przed wydaniem książki.

Pomogło mi także bardzo wiele innych osób, zwłaszcza moja piękna chrześciana Eugenia Vandoros. Do grona ludzi zasługujących na wielki uścisk i podziękowania należą również: Tim Hadcock-Mackay, Ian Patterson, Christopher Burr, Anthony Browne, Sherard Cowper-Coles, Kate Crowe i Glenmore Trenear-Harvey. Angela Neuberger znalazła wycinek z gazety, który szczególnie mnie zainspirował.

Za pozwolenie na cytowanie fragmentów publikacji i innych materiałów jestem wdzięczny następującym osobom: Christine Penney z Library of Birmingham University za listy Neville'a Chamberlaina, Hodder and Stoughton Limited za *The Fringes of Power* Johna Colville'a, WH Allen Ltd. za *The Abuse of Power* Jamesa Margacha, HarperCollins Publishers Ltd. za *Diaries and Letters, 1914-1919* Harolda Nicolsona pod redakcją Nigela Nicolsona.

Nie ma potrzeby zamieszczać rozległej bibliografii dla osób chcących przeczytać coś więcej na temat tego okresu, ponieważ źródła te są doskonale znane, lecz nie mogę odmówić sobie podziękowania personelowi London Library i Philowi Reedowi z Cabinet War Rooms. The International Churchill Society i magazyn „Finest Hour” nieustannie dostarczały mi fascynujących spostrzeżeń. Jestem także

wdzięczny za pomoc wesołym archiwistom z Churchill College w Cambridge.

Mam zatem nadzieję, że będziecie czytać i dobrze się bawić – a przy okazji zapamiętacie, że gdyby historia Winstona Churchilla znalazła inne zakończenie, o które wcale nie było trudno, nasz świat byłby dziś miejscem pełnym mroku i czarnej rozpacz, pozbawionym swobód i dobrych obyczajów, które tak często uznajemy dziś za oczywistość. Długu, jaki mamy u Winstona Churchilla i u tych, którzy mu pomogli, nie sposób zmierzyć.

Tytuł oryginału

Winston's War

Copyright © Michael Dobbs 2002

Copyright © for the translation by Anna Gralak

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Fotografia na okładce

Copyright © Songquan Deng/iStock.com

Wszystkie fragmenty Pisma Świętego są cytowane za Biblią Tysiąclecia.

Opieka redakcyjna

Anna Niklewicz

Przemysław Pełka

Artur Wiśniewski

ISBN 978-83-240-3841-1

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com